

ROSAMUNDE PILCHER



Elfrida

Elfrida Phipps, kiedy ostatecznie zdecydowała się opuścić Londyn z zamiarem zamieszkania na wsi, udała się najpierw do schroniska dla zwierząt w Battersea. Wróciła stamtąd z czworo- nożnym towarzyszem, ale upłynęło dobre pół godziny, zanim na niego trafiła. Siedział, przyciskając pyszczek do prętów koj- ca, i wpatrywał się w nią tak rozczulającym spojrzeniem ciem- nych oczu, że Elfrida nie miała wątpliwości - to właśnie pies, jakiego potrzebowała! Nie miała ochoty brać jakiegoś olbrzy- miego psiska, nie przepadała też za jazgotliwymi pieskami po- kojowymi, a ten był akurat w sam raz.

Miał puszystą sierść, której kosmyki zasłaniały mu oczy. Uszy mógł na zmianę czujnie nastawiać bądź opuszczać, a jego ogon był nastroszony jak pióropusz. Umaszczenie miał bia- ło-brązowe z brązowymi łatami w odcieniu mlecznego kakao. Pracownica psiarni wyraziła przypuszczenie, że wśród jego przodków musiał znajdować się border collie, bearded collie tudzież osobniki bliżej nie zidentyfikowanych ras. Elfrida jed- nak nie zważała na jego pochodzenie - grunt, że dobrze mu z oczu patrzyło!

Zostawiła datek na potrzeby schroniska i drogę powrotną odbyła już w towarzystwie swego nowego przyjaciela. Usado- wił się na przednim siedzeniu jej starego samochodu i wyglądał przez okno z taką zadowoloną miną, jakby przez całe życie nie robił nic innego.

Nazajutrz Elfrida zapRowadziła swego nowego towarzysza do psiego salonu piękności, gdzie kazała go ostrzyc, wykapać i wysuszyć. Po tych zabiegach wrócił do niej puszysty i pach-

nący czymś przypominającym lemoniadę. Wydawał się szczerze wdzięczny za tak intensywną pielęgnację i rewanżował się ostentacyjnym wręcz przywiązaniem. Z czasem okazał się tyleż łękliwy, co odważny. Na przykład na dźwięk dzwonka u drzwi lub wtargnięcie kogoś obcego początkowo reagował wściekłym ujadaniem, aby po chwili wycofać się na swoje posłanie lub tulić się do nóg Elfridy.

Zastanawiała się przez jakiś czas nad wyborem imienia dla niego. W końcu zdecydowała się nazwać psa Horacy.

Elfrida zamknęła za sobą drzwi domku. Z koszykiem w jednej ręce, a drugą trzymając koniec smyczy Horacego, poszła wąską ścieżką do furtki, a potem ulicą wiodącą na pocztę i do sklepu spożywczego.

To ponure, szare październikowe popołudnie nie miało w sobie nic atrakcyjnego. Z drzew opadały resztki liści, a wiatr, zbyt ostryjak na tę porę roku, zniechęcał nawet najgorliwszych ogrodników do podejmowania jakichkolwiek prac. Ulice wioski ziały pustką, bo dzieci nie powychodziły jeszcze ze szkoły. Nisko nawisły pułap chmur nie rokował nadziei na przejaśnienie, toteż Elfrida szła szybkim krokiem. Horacy niechętnie nadażał za nią, jakby wiedząc, że to już ostatni spacer tego dnia, więc trzeba należycie go wykorzystać.

Osada nazywała się Dibton, w hrabstwie Hampshire. Elfrida przeniosła się tu półtora roku temu, kiedy postanowiła opuścić Londyn i rozpocząć nowe życie. Początkowo czuła się tu samotna, ale w chwili obecnej nie wyobrażała sobie, że mogłaby mieszkać gdzie indziej. Od czasu do czasu dawne koleżanki z teatru wpadały do niej z nie zapowiedzianą wizytą. Bywało, że zostawały na noc, a wtedy oddawała do ich dyspozycji zakleśniętą kanapę w małej, zapasowej sypialni, którą nazywała swoją pracownią. Trzymała tam bowiem maszynę do szycia, dzięki której mogła dorabiać, produkując ozdobne poduszki na zamówienie firmy wnątrarskiej przy Sloane Street.

Wszystkie przyjaciółki na odjezdnym zadawały jej te same pytania:

- U ciebie wszystko w porządku, prawda, Elfrido? Na nic

się nie uskarżasz? Czy nie wolałabyś wrócić do Londynu? Jesteś tu szczęśliwa?

Elfrida mogła z czystym sumieniem zaspokajać ich ciekawość, odpowiadając:

- Oczywiście, że jestem. Uwiłam tu sobie na starość przytulne gniazdko i tu pragnę dożyć końca swoich dni.

I rzeczywiście, czuła się już w tej wiosce jak u siebie w domu. Pamiętała, gdzie kto mieszka, a i przechodnie na ulicy życzliwie ją pozdrawiali: „Szanowanko, pani Elfrido!” albo „Piękny dzień dzisiaj mAmy, prawda?” Niektórzy spośród miejscowych dojeżdżali do pracy w Londynie, jak na przykład ten pan, który codziennie musiał wcześniej wstawać, aby zdążyć na pospieszny pociąg. Wracał późnym wieczorem, przesiadał się do samochodu, zostawianego na parkingu przy stacji kolejowej, i przebywał niewielką odległość dzielącą go od domu. Inni mieszkańcy tej miejscowości przez całe życie nie ruszyli się ze swoich małych domków odziedziczonych po ojcach i dziadkach. Nie brakło też elementu napływowego, zamieszkującego komunalne osiedle na peryferiach osady. Byli to pracownicy zakładów elektronicznych w pobliskim mieście, ludzie prości i bezpretensjonalni, i to Elfridzie właśnie odpowiadało.

Po drodze minęła bar, niedawno odnowiony, obecnie pod nazwą „Stara Wozownia”. Reklamowały go szyldy z kutego żelaza, a na samochody gości czekał obszerny parking. Elfrida przeszła też obok kościoła otoczonego krzewami cisu, brAmy cmentarnej i tablicy ogłoszeń, na której wiatr poruszał przypięte karteczki. Zawiadamiały one, między innymi, o koncercie muzyki gitaRowej i wycieczce dla matek z małymi dziećmi... Na dziedzińcu kościelnym ktoś akurat rozpałił ognisko i w powietrzu unosił się swąd palonych liści. Z góry dochodziło krakanie gawronów, a na jednym ze słupków brAmy siedział kot, którego Horacy, na szczęście, nie zauważył.

W tym miejscu uliczka zakręcała, a przy jej końcu, za ponurym budynkiem plebanii, znajdował się wiejski sklep. Powiewały przed nim chorągiewki z reklamami lodów, a do zewnętrznej ściany przyczepiono stelaże na gazety. Przy wejściu sterczało dwóch czy trzech nastolatków z Rowerami, a listonosz

nadjeżdżał właśnie czerwonym furgonem, aby opróżnić skrzynkę pocztową.

Okna wystawowe sklepu chroniła solidna krata, aby jacyś wandalie nie zbili szyb i nie wynieśli puszek z herbatnikami i fasolką, z których pani Jennings ustawiła wymyślne dekoracje. Elfrida postawiła koszyk na ziemi, aby przywiązać Horacego do prętów kraty. Niechętnie usiadł na chodniku, bo nie znoził, gdy pozostawiano go w miejscach, gdzie był narażony na zaczepki młodocianych. Pani Jennings nie zezwalała jednak na wpRowadzanie psów do sklepu, gdyż obawiała się, że mogą tam nasuszać albo nabrudzić.

Niski lokal sklepowy był dobrze ogrzany i rzęście oświetlony. Pani Jennings dokonała poważnych inwestycji, chcąc upodobnić swoją firmę do miniaturki supermarketu. Brzęczały tam lady chłodnicze i zamrażarki, a towar przemyślnie wyeksponowano na półkach w świetle lamp jarzeniowych. W tak ciasno zastawionym wnętrzu trudno było od razu zauważyć, kto się tu znajduje, toteż Elfrida musiała minąć dział „Kawa i herbata”, aby dostrzec znajomego przy kasie.

To Oskar Blundell płacił właśnie za swoje zakupy! Elfrida nie była już młodką, żeby skakać z radości, ale zawsze cieszyła się ze spotkań z Oskarem. Pozostał bowiem w jej pamięci jako pierwszy mieszkaniec Dibton, którego poznała osobiście, gdy się tam wpRowadziła.

Poszła wtedy w którąś niedzielę do kościoła, a po mszy pastor zatrzymał ją na słówko. Z rozwianymi na wietrze włosami i komżą trzepoczącą jak uprana bielizna susząca się na sznurze, wygłosił jakąś banalną, powitalną formułkę, bąknął coś o przybieraniu kościoła kwiatami i o parafialnym kółku pań, ale na szczęście zaraz zmienił temat.

- To nasz organista, Oskar Blundell - przedstawił. - To znaczy nie jest tu zatrudniony na stałe, ale w razie potrzeby zawsze nam pomaga.

Elfrida odwróciła się akurat w tym momencie, kiedy mężczyzna, o którym była mowa, wynurzył się z ciemnego wnętrza kościoła i dołączył do nich. W świetle słońca zobaczyła jego sympatyczną, uśmiechniętą twarz, przymrużone oczy i włosy kiedyś jasne, a teraz gęsto przyprószone siwizną. Najbardziej

jednak ucieszyło ją to, że mogła spojrzeć mu prosto w oczy, gdyż zwykle patrzyła na mężczyzn z góry - miała bowiem sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu. Przy niedzieli Oskar nosił tweedowy garnitur z gustownym krawatem, a uścisk jego dłoni był mocny i pewny.

- Chyba bardzo trudno jest grać na organach? - wyraziła swój pogląd Elfrida. - Czy to pana hobby?

- Nie, to moja praca i całe moje życie - odrzekł poważnie. Zaraz jednak zorientował się, że słowa te zabrzmiały strasznie pompatycznie, więc z uśmiechem poprawił: - To znaczy, chciałem powiedzieć, mój zawód.

Dzień lub dwa później w domu Elfridy zadzwonił telefon.

- Dzień dobry, tu mówi Gloria Blundell. W ostatnią niedzielę poznała pani w kościele mego męża, organistę. Może w czwartek wpadłaby pani do nas na kolację? Wie pani, mieszkaamy we „Dworze”, przy końcu wsi. To taki duży dom z czerwonej cegły, z wieżyczkami.

- Owszem, chętnie. To miło z pani strony.

- Zdażyła się pani już u nas zadomowić?

- Pomalutku.

- Świetnie. Zatem do czwartku. Około wpół do ósmej, dobrze?

- Dziękuję bardzo... - zaczęła Elfrida, ale zaraz się zorientowała, że jej interlokutorka już odłożyła słuchawkę. Najwyraźniej pani Blundell nie lubiła tracić czasu.

„Dwór” stanowił najokazalszy budynek w Dibton. Prowadził do niego podjazd poprzecinany bramami o wyjątkowo pretensjonalnej konstrukcji. Miejsce to niezbyt pasowało do Oskara Blundella, więc Elfrida tym bardziej pragnęła poznać jego żonę i środowisko rodzinne. Wyznawała bowiem zasadę, że nie można nikogo naprawdę poznać, dopóki nie zobaczy się go w domowych pieleszach. Na podstawie mebli, jakimi się otacza, i książek, jakie czyta, można wnioskować o jego stylu życia.

W czwartek rano Elfrida umyła włosy i, jak co miesiąc, odświeżyła ich kolor. Farba, której użyła, miała odcień nazywany złoty blond, ale zdarzało się, że końcowy efekt wychodził na kolor bardziej pomarańczowy niż złoty. Tym razem też się tak zdarzyło, ale Elfrida miała większe zmartwienia. Co ma na sie-

bie włożyć? Ostatecznie zdecydowała się na długą do kostek spódnicę w kwiaty, a do niej długi, rozpinany sweter z jasnozielonej włóczki. Jadowita zieleń swetra w połączeniu z pomarańczowym odcieniem włosów i jaskrawymi kwiatami na spódnicy dawała szokujący efekt wizualny, ale Elfrida lubiła wyglądać ekscentrycznie - czuła się wtedy pewniej.

Droga do „Dworu” zajęła jej zaledwie dziesięć minut. Przeszła przez całą wieś, potem przez wszystkie uduziwnione bramy, aż do wejścia. Pierwszy raz w życiu udało jej się dotrzeć na miejsce punktualnie w umówionym czasie. Ponieważ była to jej pierwsza wizyta w tym domu - nie zapowiedziała się gromkim okrzykiem, jak miała w zwyczaju, lecz nacisnęła guzik dzwonka. Słyszała jego dźwięk rozchodzący się na tyłach domu. Czekając na otwarcie drzwi, rozglądała się tymczasem wokół siebie. Podziwiała dobrze utrzymane trawniki, które wyglądały, jakby dopiero co skoszono je po raz pierwszy w tym roku. Nawet czuć było zapach świeżo skoszonej trawy, jak zwykle wiosną.

Nareszcie usłyszała kroki i drzwi otwarła tutejsza kobieta, ubrana w niebieską sukienkę i fartuszek w kwiatki. Widać było, że nie jest ona panią tego domu.

- Dobry wieczór. Pani Phipps, prawda? Proszę wejść, pani Blundell zaraz przyjdzie, tylko poszła poprawić włosy.

- Czyżbym przyszła pierwsza?

- Tak, ale bynajmniej nie za wcześnie, inni goście też zaraz się zjawiają. Czy pani się rozbierze?

- Nie, dziękuję, zostanę w swetrze. - Elfrida wolała nie rozwijać tego tematu, aby nie zdradzić, że jedwabna bluzka ma dziurę pod pachą.

- Proszę tędy, do salonu... - zaczęła służąca, ale przerwał jej inny głos dochodzący z góry.

- Ach, więc to pani Elfrida Phipps! Przepraszam, że nie wysłałam pani na spotkanie...

Elfrida spojrzała w kierunku, skąd dochodził głos, i zorientowała się, że musi to być gospodyni domu. Z podestu schodów schodziła właśnie wysoka, dobrze zbudowana dama, ubrana w czarne jedwabne spodnie i luźny, wyszywany kaftan w stylu

chińskim. W ręce trzymała szklanę do połowy napełnioną czymś, co wyglądało na whisky z wodą sodową.

- Nie mogłam od razu podejść, bo akurat zadzwonił telefon - usprawiedliwiała się, wyciągając rękę do przywitania. - Jestem Gloria Blundell. Miło mi, że pani zechciała mnie odwiedzić.

Miała szczerą, rumianą twarz z błękitnymi oczami i włosy chyba też farbowane, tyle że na bardziej stonowany odcień blond.

- Dziękuję za zaproszenie.

- Proszę bardzo, pani spokojnie. Może przy kominku... Dziękuję, pani Muswell. Mam nadzieję, że reszta zaraz dołączy. O, tędy proszę...

Elfrida poszła w ślad za gościnną panią domu, do przestronnego salonu urządzonego w stylu lat trzydziestych. Przed kominkiem z czerwonej cegły, w którym płonęły grube polana, stał fotel obity skórą. Ściany pokrywała boazeria, a wszystkie kanapy i fotele - wzorzyste obicia. Portiery z fiołkowego aksamitu podtrzymywane były złotą, plecioną taśmą, a podłogi osłonięte wykładziną i przyrzucone perskimi dywanami. Ani jeden element wyposażenia nie wyglądał na spłowiały czy zniszczony - wręcz przeciwnie, całość sprawiała wrażenie przytulnego, wygodnego wnętrza, raczej w guście męskim.

- Jak długo pani tu mieszka? - zagadnęła Elfrida, starając się nie okazywać zbytnej dociekliwości.

- Od pięciu lat. Odziedziczyłam ten dom po wujku. Jeszcze jako dziecko chętnie tu bywałam. - Gloria odstawiła swoją szklanę na podręczny stolik i dorzuciła do ognia kolejną masywną kłodę. - Nie ma pani pojęcia, w jakim stanie to przejąłam. Wszystko było powycierane i nadgryzione przez mole. Nie obeszło się bez generalnego remontu, a przy tym kazałam dorobić nową kuchnię i dwie dodatkowe łazienki.

- A gdzie pani mieszkała przedtem?

- Oczywiście w Londynie. Miałam dom przy Elm Park Gardens. - Sięgnęła po szklanę, aby pociągnąć orzeźwiający łyk napoju alkoholowego. Odstawiając drinka, wyjaśniła z uśmiechem: - Przed każdą imprezą muszę strzelić sobie jednego dla kurazu. Czego się pani napije, sherry czy ginu z tonikiem? To

był duży, wygodny dom i w dobrym punkcie. Oskar miał stamtąd tylko dziesięć minut spaceru do kościoła Świętego Bidulfa, gdzie pracował. Pewnie siedzielibyśmy tam do dziś, ale wujaszek wyciągnął nogi i musieliśmy przejąć ten dwór. Poza tym jest jeszcze Francesca, nasza córka. Ma już jedenaście lat, a ja zawsze uważałam, że dzieci lepiej się chowają na wsi... Nie wiem, gdzie się podział ten Oskar, przecież powinien nalewać drinki! Pewnie usiadł gdzieś z książką i zapomniał o bożym świecie, a przecież spodziewamy się także innych gości, z którymi chciałabym panią zapoznać. Mają przyjść McGeareyowie... wie pani, on pracuje w City... Jeszcze Joan i Tommy Millsowie. Tommy jest konsultantem w naszym szpitalu w Pedbury... Zaraz, czy w końcu pije pani sherry, czy gin z tonikiem?

Elfrida wybrała gin z tonikiem, więc Gloria Blundell przeszła na drugi koniec salonu, gdzie stał stół zastawiony różnymi trunkami. Sobie nalała drugiego drinka, nie żałując whisky.

- Chyba to wystarczająco mocne? Czy pani życzy sobie lodu? - Przyniosła napełnioną szklankę. - Proszę się rozgościć, kochana, i opowiedzieć mi o swoim domku.

- No cóż, jest dość mały...

- Aha, Poulton's Row, prawda? - roześmiała się Gloria. - To miały być domy dla pracowników kolei. Czy tam jest bardzo ciasno?

- E, nie jest aż tak źle. Nie mam zbyt dużo mebli, a zresztą mieszkamy tam tylko we dwoje z Horacym... Horacy to mój pies. Nie jest zbyt piękny, bo to mieszaniec.

- Ja mam dwa śliczne pekińczyki, ale zamknęłam je w kuchni z panią Muswell, bo atakują gości. A co skłoniło panią, żeby osiedlić się akurat w Dibton?

- Znalazłam w „Sunday Timesie” ogłoszenie ze zdjęciem tego domku. Wyglądał sympatycznie, no i nie żądali zbyt wysokiej ceny.

- Muszę tam kiedyś zajrzeć. Ostatni raz widziałam te domki w środku, kiedy jako dziecko odwiedzałam wdowę po pewnym bagażowym. A czym się pani zajmuje?

- Słucham?

- No, czy pani pracuje w ogródku, grywa w golfa, a może zajmuje się dobroczynnością?

Elfrida odpowiedziała raczej wymijająco, gdyż potrafiła od razu rozpoznać silną kobietę.

- Próbuję jakoś doprowadzić ogród do porządku, ale na razie głównie zgarniam śmiecie na kupki.

- A konno pani nie jeździ?

- Nigdy w życiu nie siedziałam na koniu.

- Przynajmniej szczerze! Ja jeździłam, kiedy moi synowie byli mali, ale to już dawno temu. Francesca ma własnego kuca, ale chyba nie pasjonuje się tym aż tak bardzo.

- Ach, więc ma pani także synów?

- Owszem, już dorosłych i pożenionych.

- Jak to, przecież...

- Widzi pani, byłam już raz zamężna. Oskar jest moim drugim mężem.

- Przepraszam, nie wiedziałam...

- Nie ma pani za co przepraszać. Jeden mój syn, Giles, pracuje w Bristolu, a drugi, Crawford, w londyńskim City przy komputerach lub czymś podobnym, nie znam się na tym. Oskara znaleźliśmy od dawna, bo zawsze chodziliśmy do kościoła Świętego Bidulfa, a na pogrzebie mojego męża zagrał tak pięknie, że w końcu za niego wyszłam! Wszyscy znajomi byli tym zbulwersowani, tłumaczyli mi, że to przecież stary kawaler, i pytali, czy wiem, w co się pakuję...

Zabrzmiało to intrygująco, więc Elfrida zaczęła dążyć ten temat.

- Czy Oskar jest zawodowym muzykiem?

- Tak, od zawsze. Ukończył szkołę śpiewu kościelnego przy opactwie westminsterskim, potem pracował w Glastonbury College jako nauczyciel muzyki, dyrygent chóru i organista. Po latach pracy zrezygnował z nauczania i przeniósł się do Londynu, gdzie przyjął posadę organisty u Świętego Bidulfa. Pewnie pozostałby tam do śmierci, gdyby los nie zdecydował inaczej.

Elfridzie zrobiło się trochę żal Oskara.

- I tak bez oporów zgodził się opuścić Londyn? - dopytywała.

- Oczywiście, że miało to w sobie coś z przesadzania stare-

go drzewa, ale Oskar starał się robić dobrą minę ze względu na Francescę. Tu zresztą ma specjalny pokój, gdzie może ćwiczyć, trzyma swoje książki i nuty. Od czasu do czasu udziela trochę prywatnych lekcji, aby nie wyjść z wprawy. A najbardziej cieszy się, kiedy proszą go, aby w czyimś zastępstwie zagrał na organach do porannej mszy. Muzyka jest jego całym życiem.

Za Gloria otworzyły się cicho drzwi do hallu, ale ona, pochłonięta konwersacją, nie zauważyła tego. Zorientowała się dopiero wtedy, kiedy Elfrida spojrzała w tamtą stronę. Odwróciła się więc w swoim fotelu i po chwili podążyła w ślad za jej wzrokiem.

- Ach, to ty, staruszkule! Właśnie mówiłyśmy o tobie.

Jak na zamówienie, jednocześnie zjawili się inni goście i dom wypełnił się ich głosami. Blundellowie wyszli im na spotkanie, więc Elfrida przez chwilę została sama. Przyszło jej do głowy, że mogłaby teraz dyskretnie się ulotnić, ale oczywiście nie wypadało tak postąpić. Zresztą jeszcze zanim uwolniła się od tej natrętnej myśli - wrócili już gospodarze, a z nimi ich goście. Przyjęcie mogło formalnie się rozpocząć.

Była to uroczysta kolacja z wystawnymi daniami i dużym wyborem win. Podano wędzonego łososia, „koronę” z baraniny, trzy rodzaje puddingów, a po deserze błękitno żyłkowy serek pleśniowy. Elfrida zauważyła, że gdy wniesiono porto - panie dawnym zwyczajem nie wstały od stołu, lecz delektowały się tym winem wspólnie z mężczyznami. Nieco ją to rozśmieszyło, gdyż szczególnie folgowała sobie Gloria. Sama wolała popijać wodę, którą nalewała sobie z kryształowego dzbanuszka.

Elfrida zauważyła też, że Gloria, która u szczytu stołu przydawała przyjęciu, stanowczo nadużywa alkoholu. Była ciekawa, czy gospodyni utrzyma się na nogach, kiedy przyjdzie pora na kawę. Okazało się jednak, że Gloria ma mocną głowę, bo gdy pani Muswell zajrzała, aby oznajmić, że kawa już gotowa - pewnym krokiem poprowadziła towarzystwo z jadalni przez hall do salonu.

Tam wszyscy rozsiedli się wokół kominka, tylko Elfrida wzięła sobie filiżankę kawy i wybrała miejsce w wykuszowym

oknie. Nie było w nim zasłon, więc mogła podziwiać szafirowy błękit wieczornego nieba. Przez cały dzień utrzymywało się zachmurzenie z przelotnymi opadami lub krótkimi przejaśnieniami. Natomiast podczas kolacji chmury rozwiały się i na czystym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy, widoczne ponad wierzchołkiem buka, który miał już pączki. Ten właśnie widok chciała podziwiać Elfrida, trzymając przed sobą filiżankę i spodeczek.

Przysiadł się do niej Oskar.

- Dobrze się pani czuje? - spytał. Dopiero teraz miała sposobność zwrócić się bezpośrednio do niego, przez cały wieczór był bowiem zajęty - nalewał wino, zbierał talerze czy porcjował puddingi.

- Pewnie, że dobrze, w taki piękny wieczór! - odpowiedziała. - Te żonkile już niedługo zawiążą pączki.

- Interesuje się pani ogrodami?

- Nie mam w tych sprawach zbyt wielkiego doświadczenia, ale wasz ogród wygląda bardzo zachęcająco.

- Może chciałaby pani dokładniej go obejrzeć? Jeszcze nie jest zupełnie ciemno.

Przed udzieleniem odpowiedzi Elfrida rzuciła okiem na resztę gości, porozsiadanych w fotelach przy kominku i zatopionych w rozmowie.

- Chętnie, ale czy nie będzie to niegrzecznie z mojej strony? - miała wątpliwości.

- Ależ skąd! - Odebrał z jej rąk filiżankę i odstawił na tacę. - Elfrida i ja idziemy przejść się po ogrodzie - zaanonsował.

- O tej porze? - oburzyła się Gloria. - Przecież jest już ciemno i zimno!

- Nie tak znów ciemno, zresztą za dziesięć minut wrócimy.

- Dobrze, ale niech pani ciepło się ubierze... taki ziąb i wilgoć na dworze... i proszę nie pozwalać mu zatrzymywać się tam zbyt długo!

- Nie mam takiego zamiaru.

Pozostali goście wrócili do przerwanej dyskusji na temat horrenalnych opłat za naukę w prywatnych szkołach. Elfrida z Oskarem wyszli więc spokojnie na zewnątrz. Oskar zamknął

za nimi drzwi, a z najbliższego fotela podniósł skórzaną kurtkę obramowaną barankiem.

- To Glorii, proszę to włożyć - wyjaśnił, narzucając kurtkę na ramiona Elfridy.

Dopiero wtedy otworzył przeszkłone do połowy drzwi od frontu i oboje wyszli na dwór w przejrzystość i chłód wiosennego wieczoru. W zmierzchowym świetle majaczyły zarysy krzewów i rabat, a trawa pod stopami była mokra od rosy.

Doszli do końca trawnika, gdzie wznosił się mur z cegieł, obrzeżony rabatami i przecięty łukowatą bramą z kutego żelaza. Oskar otworzył tę bramę, a za nią znajdował się pieczołowicie wypielęgnowany ogród, podzielony żywopłotami z bukszpanu na symetryczne kwatery. W jednej z nich mieściło się rosarium, w którym wszystkie krzewy robiły wrażenie obficie nawożonych i regularnie przycinanych. Można było wyobrazić sobie, jak będzie to wyglądać w lecie. W obliczu takiego profesjonalizmu Elfrida poczuła się mocno niezręcznie.

- Czy to wszystko dzieło pana rąk? - zagadnęła.

- Nie, ja to tylko projektowałem, a do wykonania prac najmowaliśmy robotników.

- Wie pan, nigdy nie miałam porządnego ogrodu, więc nawet nie wiem, jak się który kwiat nazywa.

- Na to najlepszy sposób miała moja matka. Gdy ktokolwiek zapytał ją o nazwę jakiegoś kwiatu, choćby nie miała o tym zielonego pojęcia, od razu z całą powagą rzucała coś w rodzaju *Inapeticum* albo *Forgetonomia*... To działało bez pudła!

- Muszę zapamiętać sobie tę metodę - zażartowała Elfrida.

Szli tak ramię w ramię, szeroką, żwirowaną ścieżką.

- Mam nadzieję, że nie nudziła się pani przy kolacji. - Oskar kontynuował rozmowę. - Widzi pani, my tu wszyscy z jednej parafii...

- Ależ było mi bardzo miło. Lubię słuchać, co mówią inni.

- Jak to na prowincji, wszyscy żyją głównie plotkami.

- Pewnie tęskni pan za Londynem?

- Od czasu do czasu rzeczywiście. Szczególnie brakuje mi opery, koncertów i mojego kościoła, Świętego Bidulfa.

- Jest pan wierzący? - spytała odruchowo Elfrida, choć za-

raz tego pożałowała. Chyba za krótko się znali, żeby zadawać tak osobiste pytania, jednak Oskar wcale się tym nie stropił.

- Bo ja wiem? W każdym razie całe życie spędziłem w atmosferze muzyki kościelnej, liturgii i hymnów anglikańskich. No i raczej nie pragnąłbym żyć w świecie, w którym nie miałbym komu dziękować za dary.

- Ma pan na myśli dary boże?

- Otóż to właśnie.

- Rozumiem pana, ale sama nie praktykuję żadnej religii. W tę niedzielę poszłam do kościoła tylko dlatego, że czułam się samotna i brakowało mi towarzystwa innych ludzi. Nie spodziewałam się, że usłyszę tak piękną muzykę. W życiu nie słyszałam *Te Deum* w takim wykonaniu.

- To dlatego, że mamy nowe organy. Trzeba było zorganizować wiele dobroczynnych kiermaszy, aby je kupić.

Po chwili ciszy Elfrida zadała następne pytanie.

- Czy nowe organy też uważa pan za dar boży?

- Ale pani dociekliwa! - roześmiał się. - Oczywiście, że uważam.

- A co jeszcze?

Nie odpowiedział od razu, więc Elfridzie przyszła na myśl jego żona, dostatnio urządzonej dom ze specjalnym pokojem do ćwiczeń muzycznych, grono przyjaciół i zabezpieczony byt materialny. Ciekawe, jak doszło do tego, że ożenił się z Glorią. Czyżby miał dość starokawalerskiej egzystencji, zakurzonych klas szkolnych i prób chóru za marne grosze? Pewnie uświadomił sobie, jaka przyszłość go czeka, i postanowił ułatwić sobie życie, w czym dopomogło mu małżeństwo z energiczną, zamożną wdówką, przy tym dobrą gospodynią i matką. A może to ona chciała za wszelką cenę złapać męża? Czy też po prostu oboje zakochali się w sobie? W każdym razie wyszło im to na dobre.

- Nie musi pan odpowiadać, jeśli wołałby pan o tym nie mówić. - Elfrida próbowała przerwać tę męczącą ciszę.

- Zastanawiam się tylko, jak pani najlepiej to wyjaśnić. Wdzi pani, ożeniłem się późno, a Gloria miała już synów z pierwszego małżeństwa. Nie myślałem nawet, że jeszcze mógłbym mieć własne dziecko, więc kiedy Francesca przyszła na świat,

wydała mi się prawdziwym cudem. Nie tylko dlatego, że w ogóle była, ale że taka śliczna i przy tym moja własna, jakbym ją miał od zawsze. Ma już jedenaście lat, ale nadal trudno mi uwierzyć, że mogło mnie spotkać takie szczęście.

- Czy ona jest tutaj?

- Nie, w szkole z internatem. Jutro przywiozę ją do domu na weekend.

- Chętnie ją poznam.

- Oczywiście, na pewno będzie pani zachwycona. Kiedy Gloria odziedziczyła tę posiadłość, nie chciałem nawet myśleć o wyjeździe z Londynu. Zgodziłem się tylko ze względu na Francescę. Ma tu swobodę, dużo przestrzeni, świeże powietrze i zieleń. To dobre warunki dla dziecka. Może trzymać króliki, morską świnkę i kucyka.

- Mnie najbardziej się tu podoba czyste niebo i śpiew ptaków o poranku - uzupełniła Elfrida.

- Domyślam się, że pani też uciekła z Londynu.

- Tak, bo uznałam, że najwyższy na to czas.

- Żeby coś zmienić w swoim życiu?

- W pewnym sensie. Mieszkałam tam, odkąd skończyłam szkołę i wyprowadziłam się z domu. Studiowałam w Szkole Dramatycznej i przez jakiś czas występowałam na scenie, choć moi rodzice byli temu przeciwni. Ja jednak nie zważałam na to.

- Była pani aktorką? Dziwne, że o tym nie wiedziałem.

- Mało tego, także piosenkarką i tancerką. Występowałam w rewiach i musicalach, tyle że zawsze stałam w ostatnim rzędzie chóru, przez ten mój tyczkowaty wzrost. Grywałam także w takiej trupie, która zmieniała repertuar co dwa tygodnie, zaliczyłam też małe rólki w telewizji. Nic rewelacyjnego.

- Czy nadal jeszcze pracuje pani w tym zawodzie?

- Och, nie, już dawno rzuciłam scenę. Wysłałam za aktora, co okazało się moim największym życiowym błędem. Wyjechał do Ameryki i tyle go widziałam, więc chwytalam się każdej pracy, jaka się trafiała, żeby mieć z czego żyć. Potem wysłałam za mąż po raz drugi, ale i tym razem źle wybrałam.

- Czy pani drugi mąż też był aktorem?

W głosie Oskara dała się słyszeć nuta wesołości i o to właś-

nie Elfridzie chodziło. Rzadko wspominała swoich byłych mężów, ale jeśli już, to wolała przykre sprawy obracać w żart.

- Skąd, był biznesmenem. Zajmował się luksusowymi wykładzinami podłogowymi. Wydawałoby się, że taki mąż zapewni mi bezpieczny i dostatni byt, ale ten człowiek wyznawał staroświeckie, wiktoriańskie poglądy. Według niego mąż, który daje kobiecie mieszkanie i utrzymanie, a jeszcze od czasu do czasu wydziela parę groszy na dom, tym samym wypełnia swoje małżeńskie zobowiązania.

- Cóż, to stara tradycja, sięgająca dawnych wieków. Tylko że wtedy nazywano to niewolnictwem...

- Jak dobrze, że pan to rozumie! Dlatego naprawdę szczęśliwa poczułam się, kiedy osiągnęłam wiek emerytalny. Mogłam wtedy nic nie robić, tylko zgłaszać się na poczcie po pieniądze. Nigdy przedtem nie dostawałam niczego za darmo, więc dopiero po sześćdziesiątce zaczęło się dla mnie nowe życie.

- A ma pani dzieci?

- Nie, nigdy nie miałam.

- To jednak nie wyjaśnia, dlaczego postanowiła pani osiedlić się akurat w tej wsi.

- Po prostu musiałam dokądś się ruszyć.

- No to uczyniła pani ważny, życiowy krok.

Dopiero teraz zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Elfrida obejrzała się w stronę domu swoich gospodarzy i stwierdziła, że rozświetlone okna salonu przeblaskują przez żelazną koronkę bramy, choć tymczasem ktoś zaciągnął w nich zasłony.

- Nigdy jeszcze z nikim o tym nie rozmawiałam - wyznała.

- Mnie też pani nie musi mówić, jeśli pani nie chce.

- Może już i bez tego powiedziałam za wiele? Chyba za dużo wina wypiałam przy kolacji.

- Nic na to nie wskazuje.

- Widzi pan, w moim życiu był jeszcze jeden mężczyzna, uroczy, kochający i doskonały w każdym calu. Też aktor, tak znany, że nie zdradzę jego nazwiska. Mieszkaliśmy razem przez trzy lata w jego domu w Barnes, ale potem złapał chorobę Parkinsona i przez następne dwa lata umierał. Dom był jego własnością, więc po pogrzebie musiałam się wyprowadzić.

Trzeba trafu, że już tydzień później znalazłam w „Sunday Timesie” ogłoszenie o sprzedaży domku na Poulton's Row. Nie żądali dużo, więc go kupiłam, choć nie dysponowałam większą gotówką. Do towarzystwa wzięłam sobie psa ze schroniska, mam swoją emeryturę, a dorabiam szyciem poduszek dla sklepu ze zbytkownym wyposażeniem mieszkań. Nie wymaga to dużego wysiłku, a daje mi zajęcie i dodatkowe pieniądze. Zawsze lubiłam szyć, a tu mam do czynienia z wykwintnymi materiałami i każdy projekt jest inny...

Nagle własne słowa nabrały dla niej pospolitego wydźwięku, więc dokończyła:

- Nie wiem, po co panu o tym wszystkim mówię. To chyba strasznie nudne.

- Przeciwnie, fascynujące!

- Miło, że pan tak uważa, chociaż naprawdę pan nie musi. - Tymczasem zrobiło się tak ciemno, że nie mogła nic rozeznaczyć z wyrazu jego twarzy ani oczu. - Chyba powinniśmy już wrócić do towarzystwa.

- Też tak uważam.

- Bardzo spodobał mi się pański ogród. Chciałabym kiedyś zobaczyć go przy świetle dziennym.

Tę rozmowę odbyli w czwartek, a już w najbliższą niedzielę padało od rana. I nie był to ożywczy wiosenny deszczyk, tylko strugi wody bębniły o szyby domku Elfridy, a chmury tak zasnuły niebo, że musiała włączyć sztuczne światło. Wypuściła więc tylko Horacego do ogrodu, aby załatwił swe potrzeby, a sama zaparzyła sobie filiżankę herbaty i miała szczerzy zamiar wracać do łóżka, aby spędzić deszczowe popołudnie na słodkim nieróbstwie, lekturze wczorajszych gazet i rozwiązywaniu krzyżówki.

Niestety, około jedenastej ten błogi spokój zmaćił jej dzwonek do drzwi. Uruchamiało się go przez pociągnięcie łańcuszka, co wydawało dźwięk równie przeraźliwy jak alarm przeciwpożarowy. Nic więc dziwnego, że Elfrida o mało nie wyskoczyła ze skóry, a Horacy, który leżał w nogach łóżka, usiadł i szczerknął może ze dwa razy. W ten sposób zmanifestował gotowość do obrony swej pani, gdyż miał zbyt bojaźliwą naturę, aby warczeć na nieproszonych gości bądź ich atakować.

Elfrida, bardziej zdziwiona niż przerażona, wstała z łóżka, nałożyła szlafrok i po wąskich, stromych schodkach zeszła na dół, wprost do salonu. Za drzwiami od frontu, wychodzącymi na mały ogródek, stała dziewczynka ubrana w dżinsy, tenisówki i ociekający wodą skafander. Okrycie to nie miało kaptura, więc włosy dziewczynki, złotokasztanowate i zaplecione w dwa warkoczyki, przypominały raczej sierść zmokłego psa. Piegowata buzia małej aż poróżowiała od chłodnego i wilgotnego powietrza.

- Przepraszam, czy pani Phipps? - spytała, a w jej otwartych ustach uwidoczniły się druty aparatu ortodontycznego.

- Tak.

- Jestem Francesca Blundell. Mamusia pyta, czy nie przyszłaby pani do nas na lunch. Taka dziś psia pogoda, a my mamy duży kawał wołowiny i masę...

- Przecież dopiero co byłam u was na kolacji! - przerwała jej Elfrida.

- Mama przypuszczała, że pani to powie.

- To miłe z waszej strony, ale sama widzisz, że nie zdążyłam się nawet ubrać, a co dopiero myśleć o lunchu!

- Mamusia chciała do pani zadzwonić, ale powiedziałam, że pojedę na Rowerze...

- Przyjechałaś tu Rowerem?

- Tak, zostawiłam go na chodniku. Nic mu się nie stanie.

W tym momencie mało brakowało, a chlusnęłaby na nią struga wody z przepełnionej rynny.

- Lepiej wejdź do środka, bo się tu utopisz - zaproponowała Elfrida.

- O, tak, dziękuję pani bardzo! - Francesca od razu przyjęła zaproszenie i weszła do mieszkania.

Horacy usłyszał głosy i dostojnym krokiem zszedł ze schodów, najwidoczniej uznając, że niczym mu to nie grozi. Elfrida zamknęła drzwi od wewnątrz.

- To mój pies, Horacy - zaprezentowała go swemu gościowi.

- Cześć, Horacy! Jaki on jest grzeczny! Nasze pekińczyki potrafią jazgotać godzinami, kiedy ktoś do nas przyjdzie. Mogę zdjąć kurtkę?

- Myślę, że to bardzo dobry pomysł.

Dziewczynka rozsunęła zamek błyskawiczny i powiesiła kurtkę na słupku poręczy schodów, skąd woda ściekała z niej na podłogę. Dopiero wtedy rozejrzała się wokół siebie.

- Zawsze podobały mi się te małe domki, ale nigdy nie widziałam żadnego w środku - zauważyła. Elfrida patrzyła w jej duże, szare oczy, obrzeżone gęstymi, jasnymi rzęsami. - Kiedy więc mamusia powiedziała mi, że pani tu mieszka, nie mogłam wytrzymać i przyjechałam na Rowerze. Chyba pani się nie gniewa?

- Ależ skąd! Obawiam się tylko, że mam u siebie bałagan.

- Och, tu jest cudownie!

Elfrida wiedziała, że to nieprawda, bo domek był ciasny i zagracony. Osobisty charakter nadawały wnętrzu sprzęty, które przywiozła z Londynu, takie jak zakłęśnięta kanapa, fotel w stylu wiktoriańskim, mosiężny ekran, zniszczone biurko, a wśród tego wszystkiego różne lampy, kiczowate obrazki i mnóstwo książek.

- Dziś jest taki ponury dzień, że chciałam napalić w kominiku, ale nie zdażyłam się do tego zabrać. Napijesz się może kawy, herbaty czy czegoś takiego?

- Nie, dziękuję, dopiero co piłam colę. A co jest za tymi drzwiami?

- Kuchnia. Chodź, pokażę ci.

Poszła przodem, otwierając zasuwkę drewnianych drzwi. Za nimi ukazała się kuchnia, nie większa niż okrętowy kambuz. Szumiał w niej piec centralnego ogrzewania, stał kredens wypełniony porcelaną, pod oknem kamionkowy zlew, a resztę wolnego miejsca wypełniał drewniany stół z dwoma krzesłami. Przy oknie mieściły się solidne drzwi prowadzące do ogrodu. Górna ich część była przeszklona małymi szybkami, przez które dało się widzieć wyłożone płytami podwórko i jedną małą grządkę kwiatów, co stanowiło szczyt umiejętności Elfridy w tym zakresie. Spomiędzy płyt wybijały się kępy paproci, a po granicznym murze pięła się róża jerychońska.

- Przy takiej pogodzie nie wygląda to zachęcająco, ale w letni wieczór przyjemnie jest posiedzieć tu na leżaku - objaśniała.

- Tu jest naprawdę ślicznie! - Francesca rozejrzała się wokoło gospodarskim okiem. - Ale nie ma pani lodówki ani pralki, ani zamrażarki...

- Zamrażarki rzeczywiście nie mam, ale pralka i lodówka stoją w szopie na podwórzu. Tylko naczynia zmywam w zlewie, bo nie mam tu miejsca na zmywarkę.

- Mamusia chyba umarłaby, gdyby musiała sama zmywać!

- Nie ma z tym dużo roboty, jeśli się mieszka samotnie.

- Bardzo mi się podoba pani porcelana. Szczególnie te niebieskie wzory na białym tle.

- Też lubię takie rzeczy, chociaż jedno nie pasuje do drugiego. Kupowałam je, ilekroć zobaczyłam w sklepach ze starzyzną. Tyle się tych skorup nazbierało, że ledwo starczy miejsca.

- A co jest na górze?

- To samo, co na dole. Dwa pokoiki i łazienka. Wanna jest tak mała, że muszę wywieszać nogi na zewnątrz. Jeden pokój to moja sypialnia, a drugi - pracownia, bo trochę szyję w domu. Tam też mogą spać moi goście, między maszyną do szycia, skrawkami materiału i bloczkami kwitów.

- Tatuś mówił mi, że pani szyje poduszki. Myślę, że dla jednej osoby... no, jeszcze z psem... wystarczy tu miejsca w sam raz. To zupełnie jak domek dla lalek.

- Masz może taki domek?

- Jeszcze mam, ale już się nim nie bawię. Wolę moje zwierzaki, na przykład morską świnkę, ale ona chyba jest chora. Będę musiała pójść z nią do weterynarza, bo zrobiły się jej jakieś łysinki na skórze. Mam jeszcze króliki i kucyka... - Zmarszczyła noskę na zakończenie tej wyliczanki. - Nazywa się Prince, ale czasem lubi się wygłupiać... O, właśnie, będę musiała już iść, bo mama kazała mi go wyczyścić jeszcze przed lunchem, a w taką pogodę to długo potrwa. Dziękuję, że mogłam zobaczyć pani dom.

- A ja ci dziękuję za takie miłe zaproszenie.

- Ale przyjdzie pani do nas, prawda?

- Z przyjemnością.

- Będzie pani szła piechotą?

- Nie, pojedę samochodem, bo strasznie pada. Parkuję go przed domem.

- To ten stary, niebieski ford fiesta?

- Ten sam. Może on i stary, ale grunt, że koła się kręca, a silnik zapala.

Francesca roześmiała się, bez skrępowania ukazując odrutowane zęby.

- No więc do zobaczenia później! - zaszcebiotała, sięgając po kurtkę. Założyła ją na siebie, i mimo że była nadal mokra, wyłożyła na wierzch warkocze. Elfrida otworzyła drzwi.

- Mamusia prosiła, żeby pani przysłała za kwadrans pierwsza - przypomniała dziewczynka.

- Dobrze, będę. Miło mi, że mnie odwiedziłaś.

- Jeszcze kiedyś do pani przyjdę! - obiecała Francesca. Elfrida patrzyła w ślad za nią, jak rozbryzgując błoto, szła do furtki. Odjeżdżając na Rowerze, jeszcze pomachała Elfridzie rączką, a potem pedałowiała żwawo, omijając kałuże, aż znikła z pola widzenia.

Oskar, Gloria i Francesca byli pierwszymi mieszkańcami Dibton, z którymi Elfrida się zaprzyjaźniła. Za ich pośrednictwem poznała innych czcigodnych obywateli tej miejscowości, nie tylko McGeareyów i Millsów, lecz nawet zasiedziałą rodzinę Foubisterów, którzy użyczali swojego parku na coroczny letni kościelny kiermasz. Poznała także emerytowanego kapitana Marynarki Wojennej, Bobby'ego Burtona-Jonesa, wdowca i prawdziwego tytana pracy. Oprócz tego, że z upodobaniem oddawał się pielęgnacji ogródka, pełnił także funkcję prezesa Stowarzyszenia Dróg Publicznych i dyrygenta chóru kościelnego. Przy tym wszystkim urządzał dość swobodne libacje alkoholowe, a swoją sypialnię nazywał kajutą. Do grona znajomych Elfridy dołączyli także małżonkowie Dunn, którzy wykupili starą plebanię i przerobili ją na luksusową rezydencję z krytym basenem.

Borykając się z trudnościami życia codziennego, Elfrida stopniowo poznawała także zwykłych, szarych ludzi, na przykład kieRowniczkę miejscowego sklepu i urzędu pocztowego - panią Jennings. Co tydzień przyjeżdżał do sklepu swym furgonem rzeźnik, pan Hodgkins, przywożąc najnowsze plotki i wymieniając poglądy w kwestiach politycznych. Wreszcie, gdy

Elfrida wywiesiła w oknie sklepu pani Jennings kartkę, anonującą, że poszukuje pracownika do pomocy w ogrodzie - zgłosił się Albert Meddows, który wywiózł połamane płyty i uporządkował ogródek na tyłach domu Elfridy.

Otrzymała także zaproszenie na zimną kolację do pastorstwa, którzy dyskretnie dali jej do zrozumienia, że powinna wstąpić do parafialnego kółka pań. Elfrida grzecznie się wymówiła, gdyż nie przepadała za autokarowymi wycieczkami i w życiu nie usmażyła ani jednego słoika konfitur. Zgodziła się jedynie na pomoc w przygotowaniu corocznych jasełek przez uczniów miejscowej szkółki niedzielnej.

Wszędzie przyjmowano ją ciepło i serdecznie, ale najlepiej czuła się u Blundellów. Gloria była osobą niezwykle gościnną i prawie co tydzień zapraszała ją jeśli nie na wystawny posiłek, to na piknik lub na partyjkę tenisa (Elfrida wprawdzie sama nie grywała, lecz lubiła obserwować rozgrywki). Z czasem Elfrida zaczęła uczestniczyć także w imprezach wyjazdowych, takich jak bieg myśliwski na pobliskiej farmie, zwiedzanie ogrodów należących do Zarządu Państwowych Dóbr lub wypad do teatru w Chichester. Spędziła w ich domu święta Bożego Narodzenia i sylwestra, a kiedy sama zdecydowała się wydać przyjęcie dla swoich nowych przyjaciół - oczywiście uprzednio Albert Meddows przywrócił do życia jej ogródek, przyciął różę jerychońską i odmalował szopę - Oskar pełnił funkcję barmana, a Gloria serwowała posiłki z własnej kuchni.

Elfrida musiała jednak pamiętać, aby przestrzegać pewnych ograniczeń, gdyż w przeciwnym razie zostałyby łatwo wchłonięta i zdominowana przez rodzinę Blundellów. Od razu zorientowała się, że Gloria jest kobietą energiczną i zaborczą, gotową na wszystko, byleby postawić na swoim. Groziło to samotnej, zubożałej kobiecie utratą własnej tożsamości i wegetacją w cieniu silnej indywidualności Glorii. A przecież opuściła Londyn po to, aby rozpocząć życie na własny rachunek.

Dlatego też Elfrida musiała nauczyć się od czasu do czasu odrzucać najbardziej kuszące propozycje i kontentować się własnym towarzystwem. Wymawiała się pilną pracą do wykonania czy też ważnym spotkaniem z kimś, kogo Gloria nie mogła znać. Kiedy się jej to udawało, sadzała Horacego obok

siebie w samochodzie i zapuszczała się w nieznaną okolice na terenie innego hrabstwa. Mogła tam razem z Horacym biegać po pagórkach, gdzie pasły się tylko owce, lub śledzić bieg strumienia w cienistej dolinie. Po takiej wycieczce szła na kawę i kanapkę do miejscowego baru, gdzie wśród obcych ludzi mogła rozkoszować się samotnością.

W bezpiecznej odległości od Dibton Elfrida mogła oceniać sytuację z pewnej perspektywy. Analizowała więc starannie stopień swego zaangażowania w życie rodziny Blundellów, zestawiając w jedną całość wyniki tych obserwacji.

Po pierwsze - odkryła, że bardzo polubiła Oskara, może aż zanadto. Dawno już przekroczyła wiek młodzieńczych, autentycznych porywów, ale przyjaźń to przecież zupełnie co innego. Po prostu coraz lepiej czuła się w jego towarzystwie, gdyż czas pokazał, że jej pierwsze wrażenie było trafne.

Elfrida miała jednak świadomość, iż stąpa po niepewnym gruncie. Nie była wprawdzie dewotką ani nie przestrzegała zbyt surowych zasad moralnych - w końcu przez kilka lat żyła z żonatym mężczyzną. Nie miała jednak z tego powodu wyrzutów sumienia, bo w momencie, kiedy go poznała, jego małżeństwo istniało już tylko na papierze. Nigdy zresztą nie widziała jego żony. Z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że w takim trójkącie mógł zaistnieć zupełnie inny układ - znała podobne przypadki. Nieraz bowiem bywało, że samotna kobieta podrywała męża przyjaciółki, która lekkomyślnie przyjęła ją pod swój dach. Taki scenariusz Elfrida uważała za moralnie naganany. W jej przypadku nie mogło do tego dojść. Na przeszkodzie stał jej wrodzony zdrowy rozsądek i trzeźwa ocena sytuacji.

Drugą przyczyną, dla której Elfrida lubiła przebywać w domu Blundellów, była ich jedenastoletnia córka Francesca. Elfrida żałowała, że to nie jej własne dziecko - dziewczynka była tak spontaniczna, szczerą i prostolinijną, a przy tym obdarzona poczuciem humoru i bujną wyobraźnią. Potrafiłaby każdego rozśmieszyć do łez, a książki dosłownie pochłaniała. Nawet czyjeś niespodziewane wtargnięcie, włączony telewizor czy burzliwa dyskusja nie były w stanie oderwać jej od lektury. Podczas szkolnych wakacji i ferii często wpadała na Poulton's Row, aby pobawić się z Horacym lub przyglądać się, jak Elfri-

da szyje swoje poduszki. Zarzucała ją przy tym gradem pytań dotyczących jej teatralnej przeszłości, co dziewczynkę najwyraźniej ciekawiło.

Przyjemnie było patrzeć na jej stosunki z ojcem. Według wieku mógłby być jej dziadkiem, ale miłość między nim a córką przekraczała ogólnie przyjęte ramy. Nieraz siadywali razem przy fortepianie, grywając utwory na cztery ręce. Nawet gdy Francesca fałszowała - Oskar nie ganił jej, lecz kwitował potknięcia salwami śmiechu. W zimowe wieczory przytulała się do niego, a on czytał jej na głos. Ona ze swej strony manifestowała swoje uczucia częstymi uściskami, zarzucaniem rąk na szyję i wyciskaniem pocałunków na czubku siwej głowy ojca.

Z kolei Gloria była raczej typem kobiety preferującej towarzystwo mężczyzn. Dlatego też bliższe kontakty utrzymywała ze swymi dwoma dorosłymi synami niż z późno poczętą córką. Elfrida poznała tych panów, Gilesa i Crawforda Bellamy, jak również ich atrakcyjne i dobrze ubrane żony, z którymi nieraz przyjeżdżali do „Dworu” na weekend lub na niedzielny obiad. Nie byli bliźniakami, ale reprezentowali zadziwiająco podobny sposób myślenia i poglądy. Elfrida od razu wyczuła, że obaj jej nie akceptują, lecz nie przejmowała się tym, gdyż i ona nie darzyła ich zbyt dużą sympatią. Natomiast Gloria szalała za nimi, toteż na odjezdnym bagażniku ich luksusowych limuzyn pękały od świeżych owoców i warzyw z jej ogrodu, a troskliwa mamuska czule machała im ręką na pożegnanie. Jasne było, że uważała swoich synów za chodzące ideały, a ich żony nie zarzałyby długo miejsca, gdyby nie zyskały jej aprobaty.

Z Francesca sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Pozostawała pod silnym wpływem Oskara, ale zdołała mimo to zachować własną indywidualność i pielęgnować swoje zainteresowania. Książki i muzyka pociągały ją o wiele bardziej niż zawody jeździeckie w miejscowym klubie, ale nigdy nie buntowała się i bez szemrania obrządzała swego na Rowistego kuca. Trenowała go na wybiegu, który Gloria specjalnie kazała wygrodzić, lub odbywała długie przejażdżki w terenie nad brzegiem rzeczki. Oskar często towarzyszył jej na Rowerze - starym

gruchocie jeszcze z czasów, kiedy pracował jako kieRownik szkoły.

Glorii ten stan rzeczy najwidoczniej nie przeszkadzał. Francesca niewiele dla niej znaczyła, gdyż nie angażowała jej tak dalece jak bujne życie towarzyskie. Swoją dbałością o pozycję społeczną przypominała Elfridzie dojeżdżacza, który gra na rogu i trzaskaniem z bata zwołuje sforę.

Tylko raz Elfrida zdołała się jej narazić. Do gafy doszło podczas wystawnej kolacji u Foubisterów, gdzie stary kamerdyner serwował wykwintne potrawy na srebrnej zastawie. Po tej uczcie towarzystwo zebrało się w chłodnym salonie, gdzie Oskar miał rozerwać gości gra na fortepianie. Po wykonaniu etiudy Chopina wpadł na pomysł, żeby Elfrida coś zaśpiewała.

Oczywiście poczuła się zaskoczona i zakłopotana tą propozycją. Wymawiała się, że przecież nie śpiewała od lat, a głos musi mieć już całkiem zdarty... Jednak do perswazji Oskara dołączył sir Edwin, dowodząc, że zawsze lubił słuchać ładnych piosenek.

Jego argumentacja sprawiła, że Elfrida zaczęła się wahać. Ostatecznie, cóż się stanie, jeśli nawet okaże się, że jej głos utracił już młodzieńczą świeżość i nie potrafi wziąć wysokich tonów? Najwyżej się wygłupi! W tym jednak momencie napotkała spojrzenie Glorii, która siedziała naburmuszona, a na jej zaciętej twarzy malował się wyraźny niesmak i dezaprobata. Elfrida od razu pojęła, że Gloria nie życzy sobie, aby śpiewała przy akompaniamencie Oskara dla rozrywki gości. Nie mogła ścierpieć, aby kto inny ściągał na siebie uwagę towarzystwa, która tylko jej się należała. Gloria manifestowała to uczucie ostentacyjnie - nie potrafiła go ukryć.

W innych okolicznościach Elfrida może próbowałaby uprzejmie się wymówić, ale rozgrzana sutym posiłkiem i dobrym winem poczuła się pewniej. Niby dlaczego miałyby dać się zastraszyć, jeśli nigdy dotąd nie ulegała niczyjej presji? Skwitowała więc uśmiechem groźną minę Glorii i skinęła głową w stronę pana domu.

- Chętnie, jeśli pan sobie życzy...
- Och, jak to miło! - Starszy pan zaklaskał w dłonie jak

dzieciak. Elfrida podeszła więc do Oskara siedzącego przy fortepianie.

- Co nam zaśpiewasz? - upewniał się, więc podała mu tytuł starego utworu kompozycji Rodgersa i Harta, dodając:

- Znasz to?

- Pewnie!

Wykonał krótką przygrywkę, która Elfridzie wydała się bardzo długa. Wyprostowała się i nabrała dużo powietrza w płuca.

*Zaledwie cię ujrzałem,
me serce bić przestało...*

zaczęła wysokim, starczym głosem, lecz nie pomyliła ani jednej nuty. Wykonując utwór z czasów swojej młodości, poczuła się od razu młodziej, co napełniło ją zupełnie irracjonalnym szczęściem. Natomiast Gloria przez resztę wieczoru wcale się nie odzywała, ale też nikt specjalnie nie próbował poprawić jej humoru. Podczas gdy obecni zachwycali się występem Elfridy i gratulowali jej - w milczeniu popijała koniak. Po skończeniu przyjęcia, kiedy towarzystwo udało się do wielomiejscowego samochodu Glorii, zaparkowanego na żwirowanym podjeździe, Elfrida pożegnała się z sir Edwinem i usiadła na jednym z tylnych siedzeń. Natomiast Oskar zajął miejsce za kierownicą, wskazując Glorii, choć to był jej samochód, siedzenie obok siebie.

- No i jak, dobrze się bawiłaś? - spytał żonę w drodze do domu.

- Głowa mnie boli! - zbyła go krótko Gloria i nie odezwała się więcej.

Nic dziwnego - pomyślała Elfrida, ale przez grzeczność nie powiedziała tego głośno. Prawda wyglądała bowiem tak, że Gloria, mimo iż słynęła ze swej mocnej głowy, najzwyczajniej w świecie piła za dużo. Nikt wprawdzie nie widział jej nigdy pijanej ani na kacu, ale stanowczo nadużywała trunków i Oskar wiedział o tym.

W to ponure październikowe popołudnie okazało się, że i Oskar był w sklepie pani Jennings. Wybierał akurat gazety i płacił za torbę suchej karmy dla psów. Miał na sobie sztruk-

sowę spodnie, gruby sweter z melanżowej włóczki i ciężkie bucior, co świadczyło, że oderwał się na chwilę od pracy w ogródku, bo przypomniał sobie o niezbędnych zakupach. Akurat pani Jennings podniosła oczy znad kasy i zauważyła:

- O, pani Phipps, dobry wieczór!

Oskar, trzymając w garści otrzymaną właśnie resztę, obejrzał się i zobaczył Elfridę.

- Dobry wieczór, Elfrido! - przywitał się z nią.

- Czyżbyś przyszedł piechotą? Nie widziałam twojego wozu - powiedziała.

- Zaparkowałem go za rogiem. Dziękuję, pani Jennings, to już wszystko.

Odsunął się, przepuszczając Elfridę do kasy, ale nie odchodził, jakby mu się nigdzie nie spieszyło.

- Od dawna u nas nie byłaś. Co się z tobą dzieje?

- Jakoś żyję, ale mam już po dziurki w nosie tej pogody.

- Rzeczywiście, w taką chlapę wszystkiego się odechciała! - wtrąciła się pani Jennings. - Co my tu mamy?

Elfrida wyłożyła na ladę zawartość swego koszyka, aby pani Jennings mogła zaksięgować należność w kasie fiskalnej. Nie było tego wiele - bochenek chleba, sześć jajek, bekon, masło, dwie puszki karmy dla psów i pismo ilustrowane „Mieszkać pięknie”.

- Zapisać to na pani rachunek?

- Tak, proszę. Nie wzięłam ze sobą portfela.

Oskar zwrócił uwagę na kupione przez nią pismo.

- Chcesz przemeblować dom? - zagadnął.

- Raczej nie, ale lubię czytać, jak inni to robią. To tak, jakbym usłyszała, że kto inny skosił trawnik.

Rozśmieszyło to panią Jennings.

- Mój stary też nie cierpi przycinania trawnika! Macie państwo pojęcie, że jeszcze we wrześnie cisnął kosiarkę w ką!

- Chcesz, to podwiozę cię do domu - zaproponował Oskar, kiedy Elfrida wkładała zakupy do swojego koszyka.

- Ależ chętnie się przejdę. Zresztą jestem z psem.

- Jego też mogę zabrać. Dziękuję, pani Jennings, do widzenia.

- Wszystkiego dobrego, panie Blundell. Ukłony dla małżonki!

Wyszli razem ze sklepu, przed którym nadal grupka młodzieży szlifowała chodnik. Teraz dołączyła do nich podejrzanie wyglądająca dziewczyna z papierosem w zębach i szopą czarnych włosów, ubrana w skórzaną minispódniczkę ledwie sięgającą krocza. Jej obecność spowodowała młodzieńców do rubasznych żartów, wulgarnych odzywek i nieartykułowanych pomruków. Horacy czuł się w tym towarzystwie mocno niepewnie, toteż z radością zamerdał ogonem, kiedy Elfrida odwiązała jego smycz. Samochód Oskara stał zaparkowany w wąskiej uliczce za rogiem. Elfrida usiadła na przednim siedzeniu, a Horacy na podłodze, trzymając głowę na kolanach swojej pani. Oskar zajął miejsce za kierownicą, zatrzasnął drzwi i zapalił silnik.

- Nie spodziewałem się spotkać kogokolwiek w sklepie o tej porze - zwierzyła się Elfrida. - Rano łatwiej jest z kimś pogadać, bo ludzie na ogół wtedy robią zakupy.

- Zgadza się, ale Gloria wyjechała do Londynu, a ja dopiero teraz przypomniałem sobie, że nie kupiłem gazet.

Skreślił w główną ulicę, na której chodnikach kłębił się rój brudnych i zmęczonych dzieci z tornistrami, bo w tutejszej szkole akurat skończyły się lekcje. Na dziedzińcu kościelnym ten sam człowiek nadal palił liście i dym z jego ogniska snuł się strużką w niebo.

- Kiedy ona wyjechała?

- Wczoraj, na jakieś zebranie, chyba Komitetu Pomocy Dzieciom lub czegoś w tym rodzaju. Pojechała pociągiem, a o wpół do siódmej mam odebrać ją na stacji.

- Może tymczasem wstąpiłbyś do mnie na herbatę? Chyba że masz jakąś pilną robotę w ogrodzie.

- Skąd wiesz, że pracowałem w ogrodzie?

- Dzięki kobiecej intuicji i śladom błota na twoich butach.

- Doskonale, drogi Holmesie! - parsknął śmiechem. - Owszem, chętnie napiję się herbaty, ogrodnikowi to się należy.

Minęli bar i wjechali w uliczkę opadającą ze stoku wzgórze w stronę linii kolejowej, zabudowaną szeregowymi domkami. Była to właśnie Poulton's Row. Oskar podjechał pod furtkę

domku Elfridy i wszyscy wysiedli z wozu. Horacy, spuszczone ze smyczy, w podskokach popędził naprzód, a za nim Elfrida, niosąc pełny koszyk, pospieszyła otworzyć drzwi.

- Nie zAmykasz domu na klucz? - zdziwił się Oskar.

- Nie, jeśli wychodzę tylko po zakupy. Zresztą tu nie ma co ukraść. Lepiej wejść do środka i zamknij te drzwi za sobą - poradziła Elfrida. Sama przeszła do kuchni i postawiła koszyk z zakupami na stole. - Czy mógłbyś być tak miły i rozpalic ogień pod kuchnią? W taką pogodę jak dziś czasem trudno złapać ciąg.

Nalała wody do czajnika i postawiła go na płycie kuchennej. Potem zdjęła żakiet, przewiesiła go przez oparcie krzesła i poszukała w miarę dobranych do siebie filiżanek i spodków.

- Pijesz w filiżance czy w kubku? - indagowała.

- Ogrodnicy zwykle piją z kubków.

- Siądziemy przy kominku czy zostaniemy tutaj?

- Ja tam zawsze wolę trzymać nogi pod stołem.

Elfrida zajrzała do puszek na ciastka, nie łudząc się zbyt, że tam coś znajdzie. I rzeczywiście, dwie były puste, dopiero w trzeciej zachowała się piętka piernika. Położyła ją na stole razem z nożem. Z lodówki wyjęła karton mleka i przelała jego zawartość do żółtego ceramicznego dzbanuszka. Postawiła na stole także cukierniczkę, a w tym czasie dobiegły ją z kuchni dźwięki trzaskającego w ogniu chrustu. Podeszła do drzwi i zatrzymała się w nich, oparłszy się o framugę. Przyglądała się Oskarowi, jak pieczołowicie dokłada bryłki węgla do płonących drewek. Zauważył Elfridę, więc wyprostował plecy i z uśmiechem odwrócił się do niej.

- Proszę, ładnie się hajcuje, bo nie żałowałem podpałki. Potrzebujesz może drew na zimę? Mogę przywieźć ci cały sąg.

- Przydałoby się, tylko gdzie miałabym je przechować?

- Można by złożyć je pod murem ogrodu od frontu.

- Byłoby cudownie, gdybyś mógł odpalic mi trochę drew.

- Och, mAmy tego pod dostatkiem. - Oskar wytarł ręce o nogawkę spodni i rozejrzał się wokół siebie. - Wiesz, że urządziłaś sobie bardzo miłutkie gniazdko?

- Coś ty, przecież tu jest straszny bałagan. Nie starczy miejsca na te wszystkie graty, a nie mam serca niczego wyrzucić.

Niektóre rzeczy jeszcze z czasów, kiedy występowałam na scenie, wożę wszędzie za sobą. Takie kwatery przy teatrach bywają strasznie bezosobowe, a wystarczy jedwabny szal czy jakiś śmieszny bibelot, żeby nadać im charakter.

- Szczególnie podobają mi się twoje porcelanowe pieski.
- Mnie też. Zawsze wożę je ze sobą, choć są nie od pary.
- Ten mały, podróżny budzik też jest uroczy.
- Rzeczywiście, sporo ze mną podróżował.
- Pewnie dlatego wygląda na mocno zużyty.
- Lepiej powiedz prawdę, że to zupełny grat! Mam go od niepamiętnych czasów, przypadł mi w spadku po ojcu chrzestnym. Najwyżej jedna rzecz w tym mieszkaniu może mieć jakąś wartość. O, ten obrazek.

Wzmiankowany przedmiot wisiał z boku kominka. Oskar nałożył okulary, aby lepiej mu się przyjrzeć.

- Skąd to masz?
- Dostałam w prezencie od jednego aktora. Graliśmy razem we wznowieniu sztuki *Katar sienny* w Chichester. Kiedy sztuka zesłała już z afisza, na pożegnanie podarował mi ten obraz. Kupił go w antykwariacie, pewnie za grosze, ale był święcie przekonany, że to David Wilkie.

- Oryginał Davida Wilkiego miałby wielką wartość! - zauważył Oskar. - Ciekawe, dlaczego ci to podarował.

- Pewnie z wdzięczności za to, że cełowałam mu skarpetki - ucieła krótko Elfrida, nie dając się sprowokować do dyskusji. Oskar ponownie zwrócił więc wzrok na malowidło.

Miało nieduże rozmiary, jednaście na osiem cali. Artysta przedstawił na nim dwoje starszych ludzi w osiemnastowiecznych strojach, mężczyznę i kobietę siedzących przy stole, na którym leżał gruby tom Biblii oprawny w skórę. Tak tło obrazu, jak i ubranie mężczyzny były utrzymane w ciemnych kolorach. Natomiast kobieta miała na sobie jaskrawoczerwoną suknię, kanarkowożółty szal i biały czepek zdobny falbankami, zawiązany pod brodą na kokardę.

- Wygląda, jakby się wybierała w gości - zauważyła Elfrida.
- Pewnie tak. Chyba jednak powinnaś lepiej zamknąć mieszkanie.
- Może i powinnam.

- Czy ten obraz jest ubezpieczony?

- To raczej on jest moim zabezpieczeniem na wypadek, gdybym miała znaleźć się na bruku z osobistymi rzeczami w dwóch reklamówkach i Horacym na sznurku. Tylko w takiej sytuacji zdecydowałabym się go sprzedać.

- Rozumiem, zabezpieczenie na czarną godzinę! - uśmiechnął się Oskar, zdejmując okulary. - W każdym razie twoje graty razem tworzą sympatyczną całość. Jestem pewien, że nie trzymałabyś w domu niczego, co nie byłoby albo piękne, albo pożyteczne.

- To cytat z Williama Morrisa?

- Nie tylko, także świadectwo dobrego gustu.

- Mówisz mi same miłe rzeczy, Oskarze.

W tym momencie zagwizdał czajnik, co oznaczało, że zago-towała się woda. Elfrida poszła do kuchni, gdzie zaparzyła herbatę w brązowym czajniczku. Postawiła go na stole i poradziła:

- Jeśli wolisz mocną herbatę, taką jaką piją budowlańcy, to lepiej poczekaj chwilkę. Możesz też dostać cytrynę zamiast mleka. I proszę, poczęstuj się piernikiem.

- To cała uczta! - Oskar rozsiadł się wygodnie, jakby chcąc odciążyć swoje nogi. Elfrida zajęła miejsce naprzeciw niego i zabrała się do krojenia piernika. Nagle niespodziewanie wy-paliła:

- Wyjeżdżam, Oskarze.

Nie odpowiedział od razu, a na jego twarzy odbiło się pełne zaskoczenie.

- Na zawsze? - spytał z lękiem w głosie.

- Ależ skąd!

- Chwała Bogu! - odetchnął z wyraźną ulgą. - Aleś mnie przestraszyła!

- Już ci mówiłam, że nie zamierzam opuścić Dibton na stałe, bo tu postanowiłam dożyć końca swoich dni. Chciałabym tylko zrobić sobie takie małe wakacje.

- Czyżbyś czuła się zmęczona?

- Nie, ale jesień zawsze działa na mnie przygnębiająco. To taki martwy sezon, jakby przepaść między latem a Bożym Narodzeniem. A jeszcze bardziej przygnębia mnie fakt, że nie-

długo skończę sześćdziesiąt dwa lata. Najwyższy więc czas na jakąś odmianę.

- Masz rację, to ci tylko dobrze zrobi. Dokąd się wybierasz?

- Na sam kraniec Kornwalii, wysunięty tak daleko na zachód, iż wystarczy kichnąć, żeby spaść z klifu prosto do Atlantyku.

- Dlaczego akurat Konwalia? - wystękał, oszołomiony.

- Mam tam kuzyna, Jeffreya Suttona, młodszego ode mnie o dwa lata. Zawsze żyliśmy w przyjaźni, bo to taki dusza-człowiek, że można bez uprzedzenia zadzwonić do niego i zapowiedzieć się z wizytą. I przy tym wiem na pewno, że on szczerze się z tego cieszy! Dlatego po prostu pakuję Horacego do samochodu i jadę.

Oskar wciąż nie mógł się otrząsnąć z zaskoczenia.

- Nie wiedziałem, że masz kuzyna czy w ogóle jakichś krewnych.

- A co, myślałeś, że przyniósł mnie bocian?

- Przesada, ale przyznaj, że to dosyć zaskakujące.

- Cóż w tym zaskakującego? Chyba to, że nie rozwodzę się bez przerwy na temat swojej rodziny! - Potem, łagodniejszym już głosem, dodała: - No, właściwie bardzo się nie pomyliłeś, bo mam naturę samotnicy. Jednak z Jeffreyem zawsze utrzymywałam kontakty, bo to wspaniały człowiek.

- Czy jest żonaty?

- Owszem, już po raz drugi. Z pierwszą żoną, Dodie, miał tylko krzyż pański. Myślę, że omotała go swoją urodą i tym, że była takim słodkim głuptaskiem. Dopiero po ślubie zorientował się, że wziął sobie na kark kobietę zapatrzoną w siebie, leniwą i niegospodarną. Co zarobił, to szło na płace kucharek, sprząta-czek i nianieek, bo chciał przynajmniej stworzyć dom dla swoich dwóch córek.

- I jak się dalej potoczyło to małżeństwo? - zaciekał się Oskar.

- Jeffrey znosił to cierpliwie, dopóki dziewczęta nie dorosły. Kiedy zdobyły wykształcenie i usamodzielniały się - postanowił odejść. I tak już od kilku lat związał się z taką młodą, miłą ogrodniczką, Sereną, która prowadziła firmę bukociarską. A że odchodząc od żony, Jeffrey rzucił także dotychczasową

pracę - razem z Sereną uciekł z Londynu, jak mógł najdalej. Wziął z nią ślub, kiedy tylko rozwód się uprawomocnił. Mają już syna i córkę, żyją z hodowli kur i wynajmowania kwater turystom.

- Długo i szczęśliwie?

- Można to i tak nazwać.

- A co się stało z jego córkami z pierwszego małżeństwa?

- Nie jestem pewna, bo straciłam z nimi kontakt. Pamiętam, że starsza nazywała się Nicole... Chyba wyszła za męża i ma dziecko, ale była wiecznie niezadowolona i narzekała, że krzywda jej się dzieje. Przypuszczam, że nie umiała ukryć zazdrości o Carrie.

- Carrie to jej siostra?

- Tak, i to urocza. Na szczęście wdała się w Jeffrey'ego. Mniej więcej dziesięć lat temu przeszłam jakąś babską operację... mniejsza o szczegóły. Opiekowała się mną wtedy przez całe sześć tygodni. Mieszkałam akurat sama w takiej parszywej norze w Putney, ale ona wprowadziła się do mnie i poradziła sobie ze wszystkim... - Elfrida zmarszczyła czoło, wykonując w pamięci jakieś obliczenia. - Boże, jak ten czas leci! Przecież ona musi mieć już około trzydziestki!

- Czy wyszła za męża?

- Nie przypuszczam, chociaż nie wiem na pewno, bo, jak mówiłam, prawie nie miałam z nimi kontaktu. Ostatnio słyszałam, że podjęła pracę w jakimś biurze podróży w Austrii. Pewnie uczy turystów jeździć na nartach albo sprawdza, czy zakwaterowano ich we właściwych hotelach. Zawsze uwielbiała narty, więc sądzę, że jej z tym dobrze... No, twoja herbata chyba musi być zupełnie czarna!

Nalała esencji do kubka Oskara, uznając, że jest dostatecznie mocna. Ukroiła mu kawałek piernika i z uśmiechem oznajmiła:

- Tak więc, jak widzisz, ja też mam rodzinę, choć może niezbyt bliską. A teraz kolej na ciebie. Masz jakichś zwariowanych krewnych, którymi mógłbyś się pochwalić?

Oskar potarł dłonią wierzch głowy.

- Bo ja wiem? Może i mam, ale tak jak ty, nie orientuję się, co się z nimi w tej chwili dzieje.

- Wszystko jedno, opowiedz coś o nich.
- Hm... - zastanowił się, pogryzając kęs piernika. - No więc zacznijmy od tego, że miałem babcie w Szkocji. Jak ci się to podoba?
- Ho, ho!
- Miała w Sutherland przestronny dwór i majątek ziemski.
- To prawdziwa pani na włościach!
- Kiedyś często spędzałem u niej wakacje letnie, ale umarła, gdy miałem szesnaście lat. Od tamtej pory nie pojąłem się tam więcej.
- Jak nazywał się ten majątek?
- Corrydale.
- Rzeczywiście taki wytworny?
- Nie tak bardzo, raczej wygodny. Zawsze można tam było dobrze zjeść, wszędzie walały się wędki i buty gumowe, a w całym domu pachniało kwiatami, woskiem do podłóg i piekącymi się pardwami.
- Och, to cudowne! Twoja babcia musiała być aniołem.
- W każdym razie była całkowicie bezpretensjonalna i bardzo utalentowana.
- W jakim kierunku?
- Miała chyba w ogóle „talent do życia”, a poza tym głównie do muzyki. Była naprawdę świetną pianistką, myślę, że w części odziedziczyłem to po niej. Ona też doradziła mi wybór zawodu. W Corrydale zawsze panowała atmosfera przyjazna muzyce, i to stało się częścią mojego życia.
- Tylko to?
- Nie rozumiem.
- Czym jeszcze się zajmowałaś?
- Już dobrze nie pamiętam. Chyba polowałem na króliki, łowiłem pstragi i grywałem w golfa. Babcia była w tym świetna i próbowała zarazić mnie swoimi pasjami, ale nigdy nie dorastałem jej do pięt. Poza tym przyjeżdżali do nas różni goście, z którymi graliśmy w tenisa. W razie gdyby zrobiło się ciepło, co się rzadko zdarzało, mogłem pojechać Rowerem na plażę i wypłuskać się w morzu. W Corrydale panował taki luz, że każdy robił to, co chciał, i wszyscy dobrze się bawili.
- A co się stało potem?

- Wybuchła wojna. Babcia umarła i wszystko odziedziczył wujek.

- I co, przestał zapraszać cię na wakacje?

- Nie, ale miałem już szesnaście lat, poznałem nowych ludzi i zmieniłem tryb życia. Poświęciłem się głównie muzyce.

- Czy ten wujek nadal tam mieszka?

- Nie, przeniósł się do Londynu. Wynajął mieszkanie przy Albert Hall.

- Jak on się nazywa?

- Hektor McLellan.

- To brzmi bardzo po szkocku. Pewnie nosi rudą brodę chodzi w spódniczce?

- Już nie. W tej chwili to stary człowiek.

- A co się stało z Corrydale?

- Przekazał je synowi, mojemu kuzynowi Hughiemu. Temu małemu snobowi zachciało się wystawnego, dworskiego życia. Nasprasał do Corrydale podobnych sobie lumpów, którzy wypijali jego whisky i wywoływali skandale jeden za drugim. Gorszyli tym starych oficjalistów, którzy przepracowali w majątku całe lata. Doszło w końcu do tego, że Hughie miał dość życia na północy, więc wyprzedał, co się dało, i prysnął na Barbados. O ile wiem, siedzi tam nadal i zadaje szyku z czwartą z kolei żoną.

- To brzmi interesująco! - zauważyła Elfrida z lekką nutą zazdrości.

- Bynajmniej, bo nie wymyślił niczego, czego nie dałoby się przewidzieć. Musieliśmy toleRować się nawzajem, ale nigdy nie zostaliśmy przyjaciółmi.

- Więc nie wrócisz już do Corrydale?

- Nie przypuszczam. - Oskar odchylił się do tyłu, krzyżując ręce przed sobą. - Właściwie mógłbym, bo babcia zapisała mnie i Hughiemu dom na spółkę. Tyle że jakiś czas temu wynajęliśmy go starszemu małżeństwu i co kwartał kapią mi jakieś grosze z agencji pośrednictwa mieszkaniowego. Pewnie Hughie też dostaje swoją dołę, choć to tyle co kot napłakał.

- Czy ten dom jest duży?

- Niespecjalnie. Leży w centrum miasteczka. Kiedyś mie-

ściły się tam biura majątku, ale adaptowano je na dom mieszkalny.

- Nadzwyczajnie! Sama chciałabym mieć dom w Szkocji.

- Pół domu.

- Lepsze pół niż nic. Mógłbyś zabierać tam Francescę na połowę wakacji.

- Prawdę mówiąc, nigdy o tym nie pomyślałem. Przypuszczam, że któregoś dnia Hughie zaproponuje mi, żebym odkupił jego połowę, albo sam zechce odkupić moją. Na razie jednak mam czas na to, aby się tym martwić. Im mniej mam do czynienia z Hughiem McLellanem, tym lepiej.

- Oj, chyba masz bardzo słaby charakter!

- Staram się tylko nie prowokować konfliktów. Wracając do ciebie, kiedy chciałabyś wyjechać?

- W przyszłą środę.

- Na jak długo?

- Na miesiąc.

- Ale napiszesz stamtąd do nas?

- Oczywiście.

- I odezwiesz się, kiedy wrócisz?

- Od razu.

- Będzie nam ciebie brakowało - powiedział Oskar, a Elfriedzie zrobiło się ciepło na sercu.

Dom nosił nazwę Emblo. Granitowy budynek zwrócony fasadą w stronę Atlantyku miał po tej stronie nieliczne, małe, głęboko osadzone okienka dla zabezpieczenia przed wiatrami z północy. Kiedyś mieszkał tu oboRowy, który potem przeszedł na emeryturę i umarł. Tymczasem mechanizacja wkroczyła do hal udojowych, a co za tym idzie - wzrosły wymagania płacowe robotników rolnych, więc właściciel farmy dla obniżenia kosztów własnych sprzedał domek pozostały po oboRowym. Obiekt ten trzy razy zmieniał właścicieli i trzeba trafić, że po raz kolejny został wystawiony na sprzedaż właśnie wtedy, kiedy Jeffrey postanowił zerwać z Dodie i swoim dotychczasowym stylem życia. Wystarczyło, że znalazł inserat w „Timesie”, a od razu wskoczył do samochodu i jechał przez całą noc, aby ktoś go nie ubiegł z ofertą. Na miejscu zastał wilgotną

i byle jak umeblowaną rudere w zaniedbanym ogrodzie, chronioną przed wiatrem przez skarłowaciałe sykomory. Tym natomiast, co ujęło Jeffreya, był widok na morze i klify; południowa ściana obrosnięta pnączem wistarii i krzew kamelii na ocienionym skrawku zieleni.

Czym prędzej skontaktował się więc ze swoim bankiem, zaciągnął pożyczkę i nabył nieruchomość. Kiedy sprowadził tam Serenę - w kominach gnieździły się ptaki, ze ścian obłaziły resztki tapet, a wszędzie czuć było stęchliznę. Nie przeszkadzało to jednak nowym lokatorom, którzy na początek otworzyli butelkę szampana, a do snu ułożyli się w śpiworach. Grunt, że mają już dom i mogli być razem.

Od tamtej pory upłynęło dziesięć lat. Z tego dwóch lat trzeba było, zanim Serena mogła rozłożyć na parapetach okien swoją kolekcję muszli i ustawić doniczki z pelargoniami. Najpierw małżonkowie musieli ciężko się napracować, znosić niewygody, brud i bałagan, spowodowany działalnością murarzy, instalatorów, glazurników i kamieniarzy, którzy szwendali się po domu w zabłoconych buciorach. Trzeba było częstować ich herbatą i prowadzić z nimi długie dyskusje o sensie życia. Jeffreya i Serenę nieraz wyprowadzała z równowagi ich opieśzałość i niesłowność, ale ulegali urokowi tych samorodnych filozofów, wyznających zasady: „Spiesz się powoli” oraz „Jutro też jest dzień”.

W końcu prace remontowe dobiegły końca i robotnicy wynieśli się, pozostawiając po sobie schludny kamienny domek z kuchnią i salonem na parterze. Na piętro prowadziły skrzyżujące drewniane schody. Na zapleczu kuchni znajdowała się dawna pralnia, gdzie obecnie przechowywano płaszcze od deszczu i brudne gumowce. Stała tam też pralka i zamrażarka, a przy ścianie zainstalowano kamionkowy zlewozmywak, który Jeffrey znalazł wyrzucony przez kogoś do Rowu. Po odnowieniu sprzęt ten okazał się wyjątkowo użyteczny, choćby do mycia jajek i zabłoconych łap psów czy też napełniania glinianych dzbapów, w których Serena z upodobaniem układała bukiety polnych kwiatów. Na piętrze mieściły się trzy mansardowe, czysto wybielone sypialnie i niewielka łazienka, z której okna roztaczał się najlepszy widok na południe. Miało się

stamtąd widok na panoramę pól należących do gospodarstwa, aż po skraj torfowiska.

Jeffrey i Serena nie mieszkali bynajmniej na uboczu, gdyż od domu właściciela farmy i jego budynków inwentarskich dzieliło ich nie więcej niż sto metrów. Toteż za ich płotem bezustannie kursowały ciągniki, cysterny z mlekiem i ciężarówka oraz dzieci wysiadające ze szkolnego autobusu. Farmer miał czworo dzieci, z którymi Ben i Amy szybko się zaprzyjaźnili. Razem jeździli na Rowerach, chodzili zbierać jeżyny lub obciążeni plecakami wyprawiali się na klify, gdzie urządzali pikniki i kapali się w morzu.

Elfrida nigdy nie widziała tego domu, bo nie zdążyła jeszcze odwiedzić tu swych krewnych. Tym silniej Jeffrey przeżywał perspektywę jej przyjazdu, bo obudziły się w nim dawne wspomnienia.

Miał już pięćdziesiąt osiem lat, a więc Elfrida, o dwa-trzy lata starsza, musiała już przekroczyć sześćdziesiątkę, ale czy to ważne? Jeszcze jako mały chłopiec podziwiał jej odwagę i poczucie humoru. Myśl o niej pomagała mu znosić surowe rygory szkoły z internatem, do której uczęszczał. Imponowała mu, gdyż odważyła się, wbrew zakazom rodziców, iść za głosem powołania i zostać aktorką. Podziwiał nie tylko jej wyrafinowaną urodę, lecz i determinację w dążeniu do celu. Raz czy drugi odwiedziła go w tej przeraźliwie nudnej szkole, aby zabrać Jeffreya do siebie na sobotę lub niedzielę. Celowo dał jej wtedy czekać na siebie pod pseudogotyckim portalem, aby koledzy zobaczyli, jaka to piękna, złotowłosa dama w ciemnych okularach przyjechała po niego czerwonym, sportowym samochodem. Z dumą, maskowaną udaną obojętnością, chwalił się innym chłopcom:

- Widzicie, to moja kuzynka. Przyjechała do Londynu na występy aż z Nowego Jorku!

Dopiero gdy wzbudził zazdrość kolegów, wychodził jej na spotkanie, przeproszał za spóźnienie i wskakiwał na przednie siedzenie wozu Elfridy, która ruszała z ostentacyjnym rykiem silnika, wyrzucając spod kół fontanny żwiru. Po powrocie do szkoły celowo zblazowanym tonem relacjonował:

- No, wiecie, wdepnęliśmy tylko do „Zajazdu”. Popływałem trochę w basenie i zjedliśmy lunch, nic wielkiego...

Nie tylko był dumny ze sławnej kuzynki, ale także trochę się w niej podkochiwał. Z czasem, kiedy obojgu przybyło lat, stracili ze sobą kontakt, gdyż każde poszło swoją drogą. Elfrida wyszła za jakiegoś aktora, potem się rozwiodła, poślubiła kolejnego wrednego typu, aż w końcu trafiła na odpowiedniego mężczyznę. Wszystko wskazywało, że ten romans będzie trwał długo i szczęśliwie, dopóki nie padł nań cień tragedii. Kochanek Elfridy długo zmagął się z chorobą Parkinsona i w rezultacie umarł.

Po raz ostatni Jeffrey widział się z Elfridą w okresie, kiedy właśnie zeszała się z tym cudownym człowiekiem. Nazywała go czułym spieszczeniem „Jimbo”.

- On naprawdę wcale tak się nie nazywa - tłumaczyła. - To ja wymyśliłam mu taki przydomek. Wiesz, że nie przypuszczałam, aby można było aż tak się różnić, a przy tym tak do siebie pasować. On jest tym, czym ja nigdy nie byłam, a mimo to kocham go jak nikogo na świecie!

- A co z twoją karierą? - nieśmiało zapytał Jeffrey.

- Pies drapał karierę! - palnęła Elfrida i zaniósła się niepowstrzymanym śmiechem. Wydawała mu się wtedy tyleż piękna, co szczęśliwa i w pełni usatysfakcjonowana.

W tym czasie jego własne małżeństwo się rozpadło, ale utrzymywał kontakt telefoniczny z Elfridą, która zawsze służyła mu radą i podtrzymywała na duchu. Kiedy przedstawił jej Serenę, już nazajutrz wieczorem zadzwoniła, żeby przekazać mu swoje zdanie w tej sprawie.

- Och, mój drogi, ona jest taka urocza... Trzymaj się jej, a z tamtą daj sobie spokój.

- Co wtedy się stanie z moimi córkami? - chciał wiedzieć.

- Są już dorosłe i samodzielne. Ty powinieneś teraz pomyśleć o sobie. Masz tylko jedno życie, więc nie trać czasu, tylko od razu łap byka za rogi.

- ADodie?

- Już ona da sobie radę. Na pewno wyciśnie z ciebie, ile się da, bo zasmakowało jej wygodne życie. Zostaw jej wszystko, niech się cieszy, a sam idź swoją drogą i bądź szczęśliwy.

Zapamiętał dobrze tę radę: „Idź swoją drogą i bądź szczęśliwy”. Tak właśnie postąpił.

Tego pochmurnego październikowego dnia już o piątej po południu wiatr przybrał na sile. Jeffrey nakarmił kury, pozbięrał jajka i pozamykał ptaki na noc w ich drewnianych budkach. Zaczynało się już dobrze ściemniać i w domu Serena zapaliła lampy - małe okienka jarzyły się żółto. Przypomniał sobie, że to przecież czwartek, a w czwartki zawsze wystawiał pojemnik ze śmieciami na drogę, gdyż w piątki rano kursowała tędy śmieciarka. Tymczasem wiatr jeszcze bardziej się nasilał, niosąc ze sobą sól morską i przyginając krzewy kolcolistu w żywopłotach. Przez wycie wichru przebijał się szmer strumyka spływającego ze wzgórza. Zrobiło się chłodno, więc Jeffrey wstąpił do domu po ciepłą kurtkę. W kuchni Serena mieszała coś w garnku, a dzieci odrabiały lekcje.

- Idę wystawić pojemnik ze śmieciami na drogę - zaanonsował.

- Och, dobrze, że pamiętałeś o tym.

- Zaraz wracam.

- Dobrze, tymczasem ja będę wyglądać Elfridy.

Jeffrey wystawił kontener na skraj wiejskiej drogi, gdzie zawsze go zostawiał. Po przeciwnej stronie drogi znajdowała się brama odgradzająca ziemię sąsiada. Jeffrey nagle poczuł potrzebę, aby wesprzeć się o niajak stary wieśniak. Stojąc tak, poszukał papierosów, wyciągnął jednego i przypalił go swoją starą metalową zapalniczką. Zapadał już zmierzch, a na pociemniałym niebie gęsto kłębiły się chmury. Morze także przybrało barwę łupku, na którego tle tu i ówdzie wzdymały się pienne grzywy. Nie wyglądało to na miły wieczór, tym bardziej że fale z hukiem rozbijały się u podnóża klifów, rozpylając w powietrzu wilgotną mgiełkę. Do głowy przyszedł mu dawno przeczytany i zapamiętany wiersz:

*Wokół mejjasnej, samotnej latarni
szaleją sztormy z wszystkich stron Kornwalii.
Gdy przyjdzie zima, poprzez biel torfowisk
zawieja śnieżna sunie jak żaglowiec.*

Jeffrey stał przy bramie, dopóki nie wypalił papierosa. Wyrzucił niedopałek i skierował się ku domowi. W tym momencie dostrzegł przednie światła samochodu wyłaniającego się zza zakrętu drogi od strony wschodniej. Oparł się więc znów o bramę i czekał, aż stara, niebieska fiesta pojawi się na ostatnim łuku szosy. Instynktownie wyczuł, że to może być Elfrida, więc wymachując rękami, wybiegł na drogę. Kiedy wóz się zatrzymał, Jeffrey z miejsca otworzył drzwiczki i usiadł obok kierowcy. Od razu owionął go dobrze znany zapach perfum, tych samych, jakich Elfrida zawsze używała, aż zrosły się z nią w jedną całość.

- Nie możesz tu zaparkować, bo to główna droga - przestrzegł. - Zaraz potrąciłby cię jakiś ciągnik albo autobus wycieczkowy. Musisz zjechać w naszą uliczkę.

Elfrida wykonała ten manewr i ponownie zatrzymała samochód.

- Cześć! - powiedziała.

- Szybko się wyrobiłaś.

- W pięć godzin.

- Trafiałaś tu łatwo?

- Owszem, narysowałam mi przecież taką dokładną mapkę!

- A kto tam siedzi z tyłu?

- Mój pies Horacy. Mówiłam ci, że muszę go zabrać ze sobą.

- Jak to dobrze, że przyjechałaś! Bałem się już, iż zaraz zadzwoni telefon i usłyszę, że zmieniłaś zdanie...

- Nigdy tego nie robię - uspokoiła go Elfrida, ale zaraz przeszła na bardziej przyziemne tematy: - Czy to jest twój wjazd od frontu?

- Tak.

- Diabelnie wąski, kochasiu.

- Ej, chyba dość szeroki.

- No to jazda!

- Ano, jazda!

Rozśmieszyła go ta wymiana zdań, ale Elfrida wrzuciła prawidłowy bieg i jakoś zmieściła się w wąskim tunelu, który stanowił drogę dojazdową do domu Jeffreya.

- Jak ci się jechało? - zapytał.

- Nieźle, ale trochę się denerwowałam. Już od lat nie prowadziłam z dudniącymi ciężarówkami. Tym bardziej że ten stary gruchot to nie żadne ferrari.

- Ale chyba też nieźle ciągnie.

W momencie, gdy zbliżyli się do domu, na zewnątrz rozbłysło światło. Najwidoczniej Serena usłyszała warkot silnika. W świetle lampy ukazała się połać otwartej przestrzeni z granitowym murem w tle. Droga prowadziła jeszcze w stronę dalej położonej farmy, ale Jeffrey poradził Elfridzie:

- O, tutaj możesz zaparkować.

Ledwo zahamowała - nie wiadomo skąd wyskoczyły dwa owczarki, obskakując i oszczekując przybyłych.

- Nie bój się - uspokoił ją Jeffrey. - To moje psy, Tarboy i Findus. One nie gryzą.

- Nawet Horacego?

- Jego tym mniej.

Oboje wyszli więc z samochodu i wypuścili Horacego. Oczywiście powstało przy tym małe zamieszanie, jak zwykle, gdy spotkają się trzy obce sobie psy. Najpierw musiały się ze wszystkich stron obwąchać, aż wreszcie Horacy, usatysfakcjonowany, odbiegł na stronę i triumfalnie obsikał krzak.

- Jaka to rasa? - spytał ze śmiechem Jeffrey.

- Nieznana, ale jest bardzo wierny, schludny i niekłopotliwy. Może spać tam, gdzie ja. Przywiozłam jego koszyk.

Jeffrey otworzył bagażnik samochodu i wyciągnął stamtąd podniszczoną walizkę oraz pękata papierową reklamówkę.

- Co to, przyjechałaś z własnym prowadzikiem?

- Nie, to tylko karma dla Horacego, jego miska i inne takie rzeczy... - Z tylnego siedzenia zdjęła psi koszyk do spania i jeszcze jedną wypchaną torbę. Zatrzasnęła drzwiczki za sobą i poszła śladem Jeffrey, który poprowadził po ścieżce wyłożonej łupkiem za narożnik domu. Tam skierował się na nich podmuch wiatru od morza i żółte kwadraty światła padającego z okien. Jeffrey postawił na ziemi walizkę Elfridy, aby otworzyć drzwi. Wtedy weszła wprost do kuchni, gdzie dwoje dzieci podniosło głowy znad stołu. Serena, przepasana fartuszkami, oderwała się od kuchni i wylewnie powitała gościa.

- Popatrz, Elfrido, co za cudowny zbieg okoliczności! Akurat Jeffrey wyszedł wystawić kontener na drogę, a trafił na ciebie! Jak ci się jechało? Napijesz się herbaty albo może coś zjesz? Ach, nie poznałaś jeszcze naszych maluchów. To Ben, a to Amy. Dzieciaki, to jest Elfrida.

- Wiemy, przecież ostatnio mówicie tylko o niej - odparł re-zolutnie ciemnowłosy chłopiec.

Wyszedł zza stołu, aby uścisnąć wyciągniętą rękę Elfridy. Taksował przy tym badawczym spojrzeniem jej bagaż. Spodziewał się bowiem prezentu, ale miał zawczasu zapowiedziane, aby się go nie dopominać. Po ojcu odziedziczył oliwkowy odcień cery, ciemne oczy i strzechę czarnych włosów. Elfrida przypuszczała, że to tylko kwestia czasu, kiedy zacznie podbi-jać serca dziewcząt z sąsiedztwa.

Akurat w tym momencie wkroczył Jeffrey z walizką Elfridy.

- Cześć, tato! - przywitał go chłopak.

- Cześć, Ben. Odrobiłeś już lekcje?

- Aha.

- A ty, Amy?

- Phi, dawno już skończyłam! - pochwaliła się Amy, ale że była nieśmiała, zaraz wtuliła buzię w nogawkę spodni ojca. Wskutek tego Elfrida widziała tylko jej długie, jasne jak len włosy i wyblakły, niebieski materiał jej ogrodniczków. Od dawna już słyszała o istnieniu Bena i Amy, ale na własne oczy zobaczyła dzieci po raz pierwszy.

Z trudnością docierało do niej, że to dzieci Jeffrey'a, gdyż z racji wieku mogłyby być jego wnukami. Zachwyciła się ich urodą, ale i Serena była na swój sposób ładna. Jasnoblond włosy nosiła ściągnięte do tyłu w kok, spięty sztyldkretową kłamarą. Miała żywe, niebieskie oczy i szczupłą twarz, usianą piegami. W obcisłych dżinsach jej nogi zdawały się nie mieć końca, a z niebieskim swetrem dobrze harmonizowała jedwabna apaszka wokół szyi. Wciąż nie zdejmowała fartuszką w pas-ki i nic nie wskazywało, że ma zamiar to zrobić.

- No i jak stoją sprawy? - spytał Jeffrey.

- Gdyby Elfrida chciała napić się herbaty, to zaraz zrobię. Chyba że wolałaby najpierw się ogrzać czy pójść na górę, by

się rozpakować... A może chciałyby się wykapać? Na co ma ochotę? .

- Kiedy będzie kolacja?

- Myślę, że o ósmej, tylko najpierw muszę dać jeść dzieciom.

- Kiełbaski! - podsunęła Amy, wychylając się zza nóg ojca.

- Słucham? - nie zrozumiała Elfrida.

- Chcemy na kolację kiełbaski, a do tego tłuczone kartofle i duszoną fasolkę.

- Uch, same dobre rzeczy!

- Ale dla pani mamusia szykuje coś lepszego.

- Lepiej nie mów mi, co to takiego, żebym miała miłą niespodziankę.

- Kurczak z grzybkami! - wyznała dziewczynka, ale brat zaraz na nią krzyknął:

- Cicho, głupia, popsułaś wszystko!

- Och, nic się nie stało - roześmiała się Elfrida. - Jestem pewna, że to będzie pyszne.

- No więc jak? - Serena musiała podnieść głos, aby przekrzyczeć dziecięcą paplaninę. - Napijesz się teraz herbaty?

Prawdę mówiąc, Elfrida miała większą ochotę na te wszystkie pyszności, o których zdążyła usłyszeć.

- Raczej wolałabym najpierw się rozpakować i wziąć kąpiel - odpowiedziała szczerze. - Chyba że sprawiłabym wam duży kłopot...

- Ależ skąd, ciepłej wody nam nie brakuje. Wprawdzie mamy tylko jedną łazienkę, ale dzieci będą mogły wykapać się później.

- Chwała Bogu! Tego mi właśnie potrzeba.

- A może Horacy chciałby coś zjeść? - przypomniał sobie Jeffrey.

- Pewnie, że tak. Może byś go tymczasem nakarmił? Na jedno posiedzenie zjada dwie miarki suchej karmy i pół puszki konserwy, wszystko to rozrobione ciepłą wodą.

- Czy Horacy to pies? - zapytał Ben.

- Jasne, że nie mój mąż!

- Gdzie on jest?

- Na dworze. Pewnie zaprzyjaźnia się z waszymi psami.

- Muszę go zobaczyć!
- Ja też!
- Poczekaj na mnie...

Przekrzykując się jedno przez drugie, dzieci wybiegły na dwór, nie zadając sobie trudu założenia dodatkowych swetrów czy kaloszy. O dziwo, ich matka nawet nie protestowała z tego powodu. Drzwi zostawiły otwarte na oścież, więc Jeffrey szybko podszedł, aby je zamknąć, gdyż do wnętrza od razu wtargnął chłodny podmuch. Potem znów schylił się po walizkę Elfridy.

- No to chodźmy - zaproponował i poszedł pierwszy po skrzypiących schodach. Pokazał Elfridzie jej pokój i zostawił ją samą ze słowami: - Spotkamy się gdzieś za godzinę. Wtedy się czegoś napijemy.

Wychodząc, zamknął za sobą drzwi, zaopatrzone w drewnianą zasuwkę. Elfrida usiadła na podwójnym, małżeńskim łóżu i dopiero teraz poczuła ogarniające ją zmęczenie. Ziewnęła szeroko i rozejrzała się po pokoju. Znajdowały się tam tylko niezbędne sprzęty, ale całość sprawiała wrażenie czegoś bardzo miłego i spokojnego, podobnie jak sama Serena. Ściany były zwyczajnie pobielone, zasłony też białe, a na podłodze trzciniowe maty. Szafę zastępowała sosnowa komódka przykryta białą koronkową serwetką, drewniane kołki w ścianie i pęk kolorowych wieszaków. Całości dopełniała kapa na łóżko z niebieskiego perkalu, kilka książek i nowych ilustrowanych czasopism na szafce nocnej oraz różowa hortensja w niebieskim glinianym kubku.

Znów ziewnęła, myśląc, jak to dobrze, że już dojechała na miejsce, a po drodze nie zabłądziła ani nie miała wypadku. Mało tego - Jeffrey wybiegł jej na spotkanie. Wyskoczył tak gwałtownie na szosę, że umarłaby ze strachu, gdyby go od razu nie poznała. Trudno byłoby się pomylić - nadal pozostał wysoki i szczupły, a mimo upływu lat żywy i ruchliwy. Najwyraźniej starał się dotrzymać kroku znacznie od siebie młodszej żonie i stosunkowo małym dzieciom. Wyglądał jednak na zadowolonego z tego stanu rzeczy. Oznaczało to, że postąpił słusznie, układając sobie życie według własnego upodobania. Zawsze pragnęła, aby mu się to udało.

Zdecydowała się w końcu wstać z łóżka i rozpakowała swoje

rzeczy, przez co od razu nadała pokojowi bardziej osobisty charakter. Przebrała się w szlafrok i przeszła do łazienki, gdzie z rozkoszą zażyła gorącej kąpieli w wannie. Wyszła z wody zupełnie odświeżona - uczucie zmęczenia ustąpiło miejsca energii i aktywności. Ubrała się więc w aksamitne spodnie i jedwabną bluzkę, wzięła wypchaną prezentami torbę i zeszła na dół, jakby schodziła na dolny pokład statku.

W kuchni dzieci kończyły jeść swoje kiełbaski, podczas gdy ich matka ubijała mikserem pianę z białek. Podniosła oczy na widok Elfridy i z uśmiechem zaproponowała:

- Przejdź lepiej do salonu, tam Jeffrey czeka na ciebie przy kominku.

- Może ci w czymś pomóc? Nie znam się wprawdzie na gotowaniu, ale mogłabym wyszoRować patelnię.

- Nie mam akurat żadnej patelni do szoRowania! - roześmiała się Serena.

- Czy Ben i Amy jeszcze tu wrócą?

- Oczywiście, po kąpieli przyjdą życzyć nam dobrej nocy.

- Mnie kąpiel świetnie zrobiła. To było takie regenerujące...

- Co to znaczy „re-ge-coś-tam”? - zainteresował się Ben.

- Tyle, co „odmładzające” - wyjaśniła Serena.

- Ale ona wcale nie wygląda młodziej niż przedtem!

- Pewnie dlatego, że już jestem dość stara! - uśmiechnęła się Elfrida. - Pamiętaj, przyjdź tu jeszcze przed spaniem, bo mam coś dla was.

- Czy moglibyśmy teraz zobaczyć?

- Nie, potem, przy kominku. To będzie coś takiego jak odpakowywanie prezentów gwiazdkowych.

Przy kominku siedział już Jeffrey, wygrzewając się w ciepłe ognia jak starszy pan. Czytał „Timesa”, ale na widok Elfridy odrzucił gazetę i ostrożnie się wyprostował. Ostrożnie, gdyż sufit w tym pokoju był niski, więc nie chciał uderzyć głową w belkowanie. Musiał szczególnie chronić czubek głowy, gdzie uformowała się łysina o skórze spalonej słońcem na brąz. Pozostałe nad karkiem włosy miały ten sam odcień czerni, co zawsze. Oczy miał tak samo ciemne, z rozchodzącymi się wachlarzowato mimicznymi zmarszczkami. Ubrany był w granatowy sweter z czerwoną apaszką zamiast krawata. Elfrida za-

wsze lubiła przystojnych panów, więc z przyjemnością skonstataowała, że jej kuzyn nadal trzyma fason.

- No proszę, jaka odświeżona! - zauważył.
- Przynajmniej czysta. Kąpiel świetnie mi zrobiła.

Elfrida postawiła torbę na podłodze i rozsiadła się w drugim fotelu. Rozejrzała się wokoło, z aprobatą oceniając płonący na kominku ogień, bukiety suchych traw w dzbankach, zdjęcia rodzinne w srebrnych ramkach i stare, lecz gustowne meble. Prawdę mówiąc, mało co dałoby się jeszcze zmieścić w tym wnętrzu i Elfrida zauważyła:

- Stworzyłeś tu uroczy dom.
- To nie moja zasługa, tylko Sereny. Napijesz się wina?
- Owszem, chętnie. Najlepsze, że znalazłeś się teraz jakby w zupełnie innym świecie. Pamiętasz tamten dom na Camden, codzienne wypady do miasta, uroczyste przyjęcia i „poznawanie właściwych ludzi”?

Jeffrey akurat w drugim końcu pokoju nalewał wino. Musiał słyszeć jej uwagę, ale nie odpowiedział od razu. Wrócił z pełnym kieliszkiem, który podał Elfridzie, i znów usiadł w swoim fotelu, wymieniając z nią tylko spojrzenia.

- Och, przepraszam! - zreflektowała się.
- Za co przepraszasz?
- Za to, że nie pomyślałam zawczasu, zanim chlapnęłam coś nietaktownego.

- Bynajmniej, byłaś po prostu szczerą. Zresztą masz rację, tam był zupełnie inny świat, którego wcale mi nie żal. Ta ciągła pogoń za pieniędzem, żeby móc umieścić dziewczęta w odpowiedniej... to znaczy odpowiednio drogiej szkole! Wydawanie proszonych kolacji z najętymi lokajami, przemeblowywanie kuchni tylko dlatego, że Wrightowie z przeciwka przemeblowali swoją, więc Dodie nie mogła być gorsza... Żyłem w wiecznym strachu przed nadmiernymi wydatkami, spadkiem kursu akcji, wzrostem stopy procentowej w banku, możliwością utraty pracy... Czasem przez całą noc nie zmrzyłem oka, a przecież to wszystko nie miało sensu! Musiałem dopiero odejść, aby się o tym przekonać.

- No, a jak sobie teraz radzisz?
- Pod jakim względem?

- Finansowym.
- Zupełnie dobrze. To znaczy nie mamy zbyt wiele, ale i nie trzeba nam więcej.
- A z czego się właściwie utrzymujecie, z hodowli drobiu?
- O tyle o ile - roześmiał się. - Pewnie, że mamy przy nim zajęcie, a czasem i parę groszy. W lecie można trochę zarobić na kwaterach dla turystów, ale możemy wynajmować tylko jeden pokój, ten, który teraz oddaliśmy tobie. Łazienka jest wspólna, więc dużo się za to nie weźmie. Między naszym domem a farmą stoi taka opuszczona chałupa. Nieraz myśleliśmy, żeby urządzić w niej pokoje gościnne, ale to poważna inwestycja, więc wiecznie odkładamy ją na później. Serena dorabia układaniem kwiatowych kompozycji na śluby i przyjęcia, a Ben i Amy z powodzeniem uczą się w tutejszej szkole. Nie miałem dotąd pojęcia, jak mało człowiekowi potrzeba do życia.
- Do szczęścia też?
- Jesteśmy szczęśliwsi, niż mogłem to sobie wyobrazić.
- A co porabia Dodie?
- Mieszka w luksusowym apartamencie pod Hurlingham, z widokiem na rzekę. Wprowadziła się do niej Nicola, bo jej małżeństwo też się rozpadło. Mieszkają więc razem, choć pewnie działają sobie na nerwy.
- A co z dzieckiem Nicoli?
- Z moją wnuczką, Lucy? Ma już czternaście lat, ale też mieszka z nimi. Nie ma tam lekkiego życia, ale nie mogę zbyt wiele jej pomóc. Chciałem ją kiedyś zaprosić do nas, ale Nicole przedstawiła jej nas w najczarniejszych barwach i za nic nie chce jej puścić.
- Elfrida tylko westchnęła, bo sytuacja rzeczywiście wyglądała beznadziejnie. Zmieniła więc temat.
- Co słyhać u Carrie?
- Chyba nadal siedzi w tej Austrii. Ma dobrą posadę w biurze podróży, pracuje na odpowiedzialnym stanowisku.
- Widujesz się z nią?
- Na ogół rzadko, choć kiedy ostatni raz byłem w Londynie, zjedliśmy razem lunch.
- Jeszcze nie wyszła za mąż?
- Jakoś nie.

- A czy przynajmniej ona do ciebie przyjeżdża?

- Nie, bo twierdzi, że nie chce sprawiać przykrości Serenie, Benowi i Amy, i chyba ma rację. Zresztą jest już dorosła, ma przeszło trzydzieści lat i sama potrafi ułożyć sobie życie. Gdyby chciała odwiedzić nas w Emblo, to wie, że wystarczyłoby zadzwonić.

Przerwał, aby odstawić kieliszek i sięgnąć po papierosa.

- Widzę, że nie rezygnujesz - podsumowała Elfrida.

- Ano nie i mało tego, nawet nie zamierzam. Czy cię to razi?

- Och, Jeffrey, przecież mnie znasz i wiesz, że nic nie jest w stanie mnie urazić.

- Wyglądasz wspaniale, a jak się czujesz?

- Chyba też wspaniale.

- Nie jest ci smutno samej?

- Coraz mniej.

- Spotkało cię straszne nieszczęście.

- Masz na myśli Jimba? Jego spotkało coś jeszcze gorszego. Taki cudowny człowiek po prostu powoli się wykańczał! Nie ma co o tym mówić, grunt, że przeżyliśmy razem piękne chwile. Mało kto zaznał takiego szczęścia, choćby tylko przez rok czy dwa.

- Opowiedz mi teraz o twoim przytulnym gniazdku w Hampshire.

- Wieś nazywa się Dibton, raczej przeciętna i nieciekawa. Domek jest szeregowy, blisko stacji kolejowej. Tego właśnie potrzebowałam.

- Przynajmniej ludzie są tam mili?

- Prości, ale serdeczni i uprzejmi. Okazali mi wiele sympatii, bo w Londynie już nie mogłam wytrzymać.

- Zaprzyjaźniłaś się z kimś szczególnym?

Opowiedziała mu o małżeństwie Foubisterów, Bobbym Burtonie-Jonesie, pastorze i jego małżonce, pantomimie wystawianej przez uczniów szkoły niedzielnej... Opisała także panią Jennings, Alberta Meddowsa i miejscowego bogacza, pana Dunna, który miał w domu kryty basen i oranżerię, a w niej czerwone pelargonie i drzewka gumowe.

W końcu doszła do Blundellów - Oskara, Glorii i Franceski.

- Okazali mi naprawdę dużo serca, po prostu się mną opiekowali. Gloria to kobieta majątna i szlachetna, a jedno z drugim nieczęsto idzie w parze. Była już przedtem mężatką i ma dwóch dorosłych synów z pierwszego małżeństwa, ale Francesca jest najmilszym dzieckiem. Gloria to urodzona organizatorka, prawie nie ma dnia, żeby nie urządziła przyjęcia lub pikniku albo nie uczestniczyła w jakimś spotkaniu towarzyskim. Najbardziej lubi zawody jeździeckie, szczególnie biegi przeszkodowe. Pakuje wtedy do samochodu całą paczkę przyjaciół, w bagażniku urządza barek, a do zderzaka przywiązuje swoje dwa pekińczyki, które obszczekują wszystko, co się rusza.

- Oskar też lubi takie imprezy? - podpytywał Jeffrey, wyraźnie rozbawiony.

- Nie wiem dokładnie, ale to taki miły, łagodny człowiek. Zwykle jeździ wszędzie z Francesca, a na zawodach kupują sobie lody i obstawiają najmniej faworyzowane konie.

- A czym on się zajmuje? Chyba że może jest już na emeryturze?

- Z zawodu jest muzykiem, czasem gra na organach w kościele lub uczy gry na fortepianie.

- Dobrze, że zaprzyjaźniłaś się z takimi ciekawymi ludźmi. Na pewno cię uwielbiają, bo wnosisz wszędzie ożywczy powiew.

Elfrida jednak miała wątpliwości.

- Muszę się pilnować, żeby nie dać się omotać.
- A ktoś by cię nie chciał omotać?
- Nie bądź stronniczy.
- Czy to źle, że zawsze stałem po twojej stronie?

Jeszcze po latach Elfrida uświadamiała sobie, że z całego pobytu w Emblo najmocniej utkwiał jej w pamięci szum wiatru. Wiało tam stale, słabiej lub mocniej, od ożywczej bryzy do sztormu, który tłukł w klify, świszczwał w przewodach kominiowych, wyrwał z framugi drzwi i okna. Elfrida po jakimś czasie zdażyła się do tego przyzwyczaić, ale wycie wiatru najbardziej dawało się we znaki nocą, kiedy trudno było udać, że się go nie słyszy. Leżała wtedy po ciemku, nasłuchując, jak po-

dmuch zrywa się nad Atlantykiem, przelatuje przez bagna i wali gałęziami starej jabłoni w jej okno.

Tak wietrzna pogoda świadczyła o nieuchronnie zbliżającej się jesieni. Październik przeszedł w listopad, a dni stawały się coraz krótsze. KRowy na farmie, zadbane mlecznice rasy Guernsey, dwa razy dziennie schodziły z pastwiska na dój poranny i wieczorny. Zryły przy tym dokładnie błotnistą drogę między Emblo a zabudowaniami farmy. Po wieczornym dojeździe wyganiano je znów na pastwisko, gdzie chroniły się przed wiatrem w załomie muru lub za kępą krzewów kolcolistu. Zdążyły się już do tego przyzwyczać.

- Dlaczego na noc nie spędza się ich pod dach? - chciała wiedzieć Elfrida.

- Nie ma takiej potrzeby. Przecież nie ma tutaj mrozów i kRowy całą noc mogą korzystać z pastwiska.

- Biedactwa! - westchnęła, choć musiała przyznać, że kRowy były w do-

Elfrida szybko dostosowała się do rozkładu dnia swoich gospodarzy. W takim domku na wsi nigdy nie brakowało roboty - trzeba było rozwieszać upraną bieliznę, prasować koszule, kopać kartofle, karmić kury, myć jajka i wykonywać inne prace. Gdy minął pierwszy tydzień, Elfrida stwierdziła ze zdziwieniem, że przez całe siedem dni nie zajrzała do gazety ani nie zerknęła w telewizor. Choćby świat się walił - ją w tym momencie interesowało bardziej, czy zdąży zdjąć bieliznę ze sznurka przed następnym deszczem.

Wieczorami czasem przejmowała ster kuchni i przygotowywała posiłek dla Bena i Amy, aby w tym czasie Jeffrey i Serena mogli zjeść kolacyjkę we dwoje lub wypuścić się do pobliskiego kina. Nauczyła także dzieci grać w remika i czaRowała je opowieściami z dawnych lat, kiedy występowała w teatrze.

Podczas któregoś weekendu nagle nastąpiła ciepła, nieomal wiosenna pogoda. Wiatr ucichł, a na bezchmurnym niebie zaświeciło słońce. Serena postanowiła jak najlepiej wykorzystać ten dar natury i zaprosiła czworo dzieci farmera, aby urządzić piknik na klifach. Zapakowała pRowiant i pomaszeRowali przez pola grupą złożoną z sześciorga dzieci, trojga dorosłych i trzech psów. Pochód zAmykały Amy z Elfrida. Ścieżka pRowa-

dziła przez kamienne przełazy, wiła się wśród zarośli jeżyn i kolcolistu.

- O, jeżyny! - wypatrzyła je Elfrida. - Mogłybyśmy ich zbierać na galaretkę.

Okazało się jednak, że Amy wie coś więcej na ten temat.

- Teraz nie możemy - oświadczyła stanowczo. - W Kornwalii nie można zbierać jeżyn w październiku, bo wtedy wiemy na nie sikają!

- Ciekawa historia. Kto ci o tym powiedział?

- Nasza pani. To znaczy ona nie mówiła, że sikają, tylko że oddają mocz!

Tymczasem wycieczkowicze dotarli już do krawędzi klifu. Przed nimi rozciągał się przestwór oceanu, tego dnia wyjątkowo błękitny i rozświetlony słońcem. Ścieżka w tym miejscu rozplątywała się, znikając w jakiejś niewidocznej jaskini. Trwał akurat odpływ, odsłaniając wąski, sierpowaty skrawek plaży, a pozostałe w zagłębieniach skał oczka wodne lśniły jak klejnoty.

Całe towarzystwo powoli zeszło w dół po zboczu. Oczywiście wszystkich wyprzedziły psy, zbiegając na łeb na szyję. Na skałkach Amy zostawiła Elfridę samą, bo wolała dołączyć do grupy budującej pod przewodnictwem Jeffreya ogromny zamek z piasku. Serena zbierała muszle i kamyki do ozdobienia tej budowli.

W promieniach południowego słońca zrobiło się naprawdę ciepło, tak że Elfrida zdjęła kurtkę i zawinęła rękawy swetra. Usiadła na płaskiej, wygładzonej skałce, gdzie uprzednio złożono wszystkie koce, koszyki i plecaki. Niespokojne morze przyciągało jej wzrok swoim ogromem, a kląrowność wody i przybierane przez morską toń odcienie zapierały dech w piersiach. Tafla wody składała się z niebieskich, zielonych, turkusowych i liliowych smug, obrzeżonych białą koronką piany. Fale wzbierały z dala od brzegu, a im dalej - tym bardziej rosły, zanim rozprysły się o wystrzępioną granitową linię brzegową, wzbijając fontanny rozpylonej wody. Na tle nieba kołowały mewy, a w stronę horyzontu zmierzała łódź rybacka, prując wzburzoną toń.

Elfrida tak napawała oczy tym widokiem, że zatraciła poczu-

cie czasu. Na ziemię ściągnęła ją dopiero Serena, kiedy przyszła rozpakować pRowiant na piknik. Z plecaków powyciągała różne butelki, plastikowe kubki, papieRowe serwetki i torbę jabłek. W powietrzu rozszedł się również smakowity zapach gorących pasztecików.

- Bój się Boga, Sereno, kiedy znalazłaś na to czas? - wyraziła głośno swe zdziwienie. - Paszteciki są takie pracowite!

- Zawsze trzymam trochę w zamrażarce, bo dzieci je uwielbiają- wyjaśniła Serena.

- Ja też - wyznała Elfrida.

- Rozmroziłam je wczoraj, bo coś mi mówiło, że dziś będzie ładna pogoda, i miałam nosa! Napijesz się czegoś? MAMY tu piwo i wino, a dla abstynentów lemoniadę.

- Może być wino.

Serena wydobyła z chłodziarki butelkę i nalała wina do plastikowego kubeczka. Elfridzie napój ten smakował jak nigdy przedtem.

- Co za piękne miejsce! - zachwyciła się, wskazując na morze.

- W lecie często spędzamy tu weekendy. Teraz jest łatwiej, odkąd dzieci urosły na tyle, że mogą nam towarzyszyć.

- Musicie być bardzo szczęśliwą rodziną.

- Żebyś wiedziała! - uśmiechnęła się Serena. - MAMY to szczęście. Wiem o tym i codziennie dziękuję Bogu za to.

Od czasu do czasu Elfrida wymykała się z Emblo na samotne wypadki po okolicy. Zostawiała Horacego w towarzystwie owczarków Jeffreya i zwiedzała teren swoim małym samochodem. Nie mogła się nadziwić, że zachowało się tu tak dzikie i nieskażone oraz tak urozmaicone środowisko. Drogi wolne od ruchu turystycznego były wąskie i kręte. Co najwyżej trafiał się tam przypadkowy autobus, furgon rzeźnika lub traktor. Za którymś razem minęła odludne wrzosowisko i zjechała ze zbocza w urokliwą dolinę gęsto porośniętą różanecznikami, gdzie rozpoczynały się tarasy kipiące zielenią kwitnących krzewów hortensji i fuksji...

Innym razem wybrała się na wycieczkę do pobliskiego miasteczka. Zostawiła samochód na parkingu i pograżyła się w za-

wiłym labiryncie wąskich uliczek wiodących do portu. Wzdłuż głównej ulicy portu rozciągały się liczne restauracje, sklepy z upominkami i galerie sztuki. Elfrida wstąpiła do księgarni, gdzie wybrała dwie książki na prezenty dla Bena i Amy, co zajęło jej trochę czasu. Przerzucając kartki, przypomniała sobie Francescę i uznała, że powinna kupić książkę także i dla niej. W dziale antykwarycznym znalazła powieść Johna Buchana *Wyspy Owcze*, którą czytała jeszcze za swoich szkolnych czasów. Pamiętała, jak zafascynowała ją wtedy ta lektura, więc była pewna, że Oskar i Francesca będą czytać ją razem, przytuleni do siebie w głębokim fotelu przed kominkiem.

Kazała zapakować sobie wybrane książki, zapłaciła za nie i kontynuowała swój spacer. W sklepie z wyrobami rękodzieła artystycznego natknęła się na dwa robione na drutach wzorzyste swetry. Kupiła je dla Jeffreya i Sereny. Zaopatrzyła się jeszcze w pocztówki i butelkę wina. Obładowana coraz cięższymi paczkami, tym razem skierowała się w stronę przeciwną niż port. Udała się do tej części miasta, gdzie nad brukowanymi uliczkami wisiała uprana bielizna, a w okiennych skrzynkach kwitły nasturcje i różowe petunie. Minęła kolejną galerię sztuki i nie mogła się oprzeć pokusie zajrzenia do środka. Wzrok jej zatrzymał się na niewielkim malowidle abstrakcyjnym, oprawnym w ramkę z surowego drewna. Wyobrażone na nim figury pyszniły się wszystkimi kolorami Kornwalii, takimi, jak sobie wyobrażała.

Elfrida nagle zapragnęła kupić ten obraz, nie dla siebie, lecz na prezent. Gdyby żył Jimbo - właśnie jemu ofiarowałyby podarunek, gdyż wiedziała, że uwielbiał taką sztukę. Wyobraziła już sobie, jak stopniowo odwijająby papier, a na jego twarzy malowałyby się niebiańska rozkosz...

Oglądany obraz nagle rozmył się, jakby przesłoniła go ściana wody. To łzy zaszkliły się w oczach Elfridy, chociaż dotychczas ani razu nie płakała po stracie Jimba. Nosiła w sercu żal po nim i próbowała nauczyć się żyć samotnie. Była pewna, że jej się to udało, ale okazało się, że nie. Zastanawiała się, czy nie należy do tego rodzaju kobiet, które nie potrafią żyć bez mężczyzny. Nawet jeśli tak było, nie mogła nic na to poradzić.

Opanowała łzy, bo to przecież śmieszne, by sześćdziesięcio-

dwuletnia kobieta chlipała jak nastolatka, którą rzucił chłopak. Nie mogła się jednak opędnąć od chęci kupna obrazu, aby sprawić tym komuś radość. Olśniła ją nagła myśl, żeby zrobić taki prezent Oskara Rowi Blundellowi. Tyle tylko że adresatką podarunku byłaby wtedy i Gloria, a mogła sobie wyobrazić jej reakcję.

Cóż ci strzeliło do głowy, żeby wydawać duże pieniądze na taki bohomaz? - wydziwiałaaby na pewno Gloria. Gdzie tu góra, a gdzie dół? Toż to same bezkształtne plamy, czteroletnie dziecko namalowałoby lepiej. Musiałaś z byka spaść, żeby dać się tak nabrać!

Po namyśle doszła więc do wniosku, że da sobie spokój z kupnem obrazu. Niechętnie odeszła od okna galerii i wybrała uliczkę, która pięła się zakosami na przylądek rozdzielający dwie piaszczyste plaże. Gdy doszła do samego cypla, poczuła się jakby zawieszona między niebem a morzem. Wiatr przybierał na sile, więc szczelnie otuliła się kożuszkim i przysiadła na ławeczce, jak emerytka zmęczona zakupami.

Nie czuła się jednak starą emerytką, tylko przede wszystkim sobą, Elfridą, która ciągle gdzieś dążyła. Dokąd tym razem? U jej stóp wylądowała pikującym lotem mewa, poszukująca jadalnych okruchów. Elfridą z uśmiechem zaobserwowała chłodne wyrachowanie w spojrzeniu ptaka. Już wiedziała, czego jej brak - towarzystwa Oskara! Chciała znaleźć się przy nim, aby podzielić się z nim wrażeniami na temat wiatru, morza i mewy.

Okazało się, że najgorsze, co może spotkać człowieka, to nie mieć z kim razem wspominać!

Kiedy nadszedł czas powrotu do Dibton - Elfridą nie chciała wierzyć, że minął już miesiąc, tak szybko upływał tydzień za tygodniem jej pobytu w Emblo. Oczywiście gospodarze próbowali ją zatrzymać.

- Możesz zostać u nas, jak długo zechcesz! - przekonywała Serena i Elfridą wyczuła, że brzmiało to całkiem szczerze. - Byłaś dla nas taka dobra jak matka, siostra i przyjaciółka jednocześnie. Będzie nam ciebie brakować.

- Jesteście wszyscy bardzo mili, ale naprawdę muszę już wracać.

- Ale przyjedziesz do nas znowu?
- Spróbowalibyście mi zabronić!

Zamierzała wyruszyć w drogę powrotną wczesnym rankiem, aby dojechać do Dibton przed zapadnięciem zmroku. O ósmej była już gotowa do podróży, podczas gdy Jeffrey prznosił bagaże do samochodu. Wokół niej zgromadziła się cała rodzina. Amy zawodziła:

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżała! Zostań z nami!
- Amy, kochanie, goście nigdy nie zostają na zawsze, a na mnie już czas.

Horacy też nie był zachwycony perspektywą wyjazdu. Już wielokrotnie próbowano go zwabić do samochodu, ale za każdym razem wyskakiwał. W końcu trzeba było siłą, za obrożę, wciągnąć go na tylne siedzenie wozu i zatrzasnąć drzwiczki. Wtedy poprzestał na wyglądaniu przez okno, z wyraźnym smutkiem w spojrzeniu i wyrazie pyska.

- On chyba też zaraz się rozpłacze - zauważył Ben, na co Amy powtórnie rozpląnęła się we łzach. Matka, aby ją uspokoić, podniosła dziewczynkę i posadziła sobie na biodrze. Nawiasem mówiąc, dzieci nie zdążyły się jeszcze ubrać, więc wyglądały zabawnie w kurtkach i gumowcach nałożonych na piżAmy.

- Nie płacz, Amy, Horacemu na pewno w drodze poprawi się humor - pocieszała ją Serena.

- Ale ja bym chciała, żeby nikt od nas nie odjeżdżał!

W końcu Elfrida doszła do wniosku, że pożegnanie trwa już zbyt długo.

- Bardzo, bardzo ci dziękuję, kochany - zwróciła się do Jeffrey'a i cmoknęła go w szorstki, nie ogolony jeszcze policzek. - I tobie, Sereno...

Ucałowała ją, pogładziła Amy po jasnych włosach i zdecydowanym ruchem zasiadła za kierownicą. Zatrzasnęła drzwiczki, włączyła silnik i odjechała, żegnana łzawymi spojrzeniami i wymachiwaniem rąk. Była pewna, że nikt z tej sympatycznej rodzinki nie wróci pod dach, dopóki mała fiesta nie zniknie za skrzyżowaniem z główną szosą. Dopiero wtedy zyskają pewność, że tak ona, jak i Horacy naprawdę już odjechali.

Elfrida nie poczuła się ponownie samotna i opuszczona,

gdyż wiedziała, że nie pożegnała się na wieki. Zawsze będzie mogła odwiedzić Jeffreya i Serenę, powiedzmy: za rok... Tyle tylko, że oni przez ten czas prawie się nie zmieniają, natomiast Ben i Amy urosną, nabiorą ciała, trochę zmadrzeją i zaczną gubić mleczone zęby... Nigdy już nie będą takimi sAmymi dziećkami jak te, które zdążyła pokochać na określonym etapie ich życia. Ten okres, jak minione wakacje, więcej nie powróci.

Elfrida postanowiła spróbować myśleć pozytywnie. Zawsze gdy coś traciła, pocieszała się, wynajdując dobre strony sytuacji. Wracała przecież do domu, do małego, przytulnego gniazdka, które umeblowała swoimi ulubionymi przedmiotami, aby stworzyć bezpieczną przystań sobie i Horacemu. Zaraz po przyjeździe pootwiera na oścież drzwi i okna, żeby napuścić świeżego powietrza. Zbada, w jakim stanie jest ogród, rozпали w kominku...

Pewnie dopiero jutro zadzwoni do Blundellów. Na pewno Gloria ucieszy się z jej powrotu i zaraz zaprosi ją do „Dworu”. Elfrida przyniesie wtedy książkę, którą kupiła specjalnie dla Franceski - *Wyspy Owcze*. Powie, że wybrała ten tytuł, gdyż była to ulubiona lektura jej młodości, więc sądzi, że i Francesce powieść się spodoba.

Jeszcze zanim dojedzie do domu, w pierwszej kolejności musi poczynić niezbędne zakupy. Zostawiła przecież lodówkę opróżnioną i wymyta! Trzeba więc będzie wstąpić do mini-marketu pani Jennings. Elfrida zaczęła w myśli zestawiać listę sprawunków: chleb, mleko, kiełbaski, jaja, masło... Kawa, karma dla Horacego i puszka zupy, żeby miała co zjeść dziś na kolację. Może jeszcze coś z wędlin...

Po półgodzinie wjechała na główną szosę prowadzącą w głąb kraju. Włączyła radio, gdyż czekała ją jeszcze długa jazda.

Zegar na wieży kościelnej w Dibton wskazywał wpół do drugiej, gdy Elfrida pojawiła się na wioskowej ulicy. Pod sklepem pani Jennings snuła się leniwie grupka rozlazłych nastolatków, a nieco dalej Bobby Burton-Jones przycinał żywopłot.

Elfrida zaparkowała samochód i weszła do sklepu, który robił wrażenie pustego. Wzięła sobie koszyk i zaczęła obchodzić regały, biorąc to, czego potrzebowała. Z pełnym koszem

podeszła do kasy, gdzie pani Jennings podliczała coś na odwrocie starej koperty.

Nie słyszała wejścia Elfridy, ale kiedy uniosła głowę znad obliczeń - dostrzegła ją, więc odłożyła długopis i zdjęła okulary.

- Ach, pani Phipps, co za niespodzianka! Tyle tygodni pani nie widziałam. Udał się wyjazd?

- Wspaniale. Właśnie wróciłam i nie zdążyłam jeszcze dojechać do domu, bo chciałam najpierw zrobić trochę zakupów. - Postawiła koszyk na ładzie i dołożyła do niego „Daily Telegraph”. - Nie uwierzy pani, ale przez cały miesiąc nie miałam w ręku gazety i jakoś mi tego nie brakowało!

Pani Jennings nie skomentowała tych słów, lecz Elfrida zauważyła, że kupcowa jakoś dziwnie na nią patrzy i przygryza wargę. Spytała więc:

- Czy coś się stało?

- To pani nic nie wie? - zdziwiła się właścicielka sklepu.

- Co takiego mam wiedzieć?

- O niczym pani nie słyszała?

- Nie. - Elfrida nagle poczuła, że zaschło jej w gardle.

- Przecież pani Blundell...

- Co z nią?

- Ona nie żyje! Miała straszny wypadek na rondzie w Padstone, kiedy odwoziła swoją córeczkę z dziecięcej zabawy na piątego listopada. Wielka ciężarówka z przyczepą napatoczyła się nie wiadomo skąd, a ona nie mogła jej widzieć, bo była czarna noc i lało jak z cebra! - Elfrida była tak zaszokowana, że nie wymówiła ani słowa, więc pani Jennings dorzuciła tonem usprawiedliwienia: - Przepraszam, myślałam, że pani jakoś się o tym dowiedziała.

- Niby skąd, skoro ani razu nie miałam w ręku gazety, a nikt nie znał adresu, pod którym się zatrzymałam, więc nie mógł mi o tym napisać.

- To naprawdę tragedia! Nikt u nas nie chciał w to uwierzyć!

- A co z Francescą?

Elfrida zmusiła się do zadania tego pytania, choć bała się usłyszeć odpowiedź.

- Ona także zginęła, nawet te dwa małe pieski, które siedziały z tyłu! Na zdjęciu w gazecie widać było ten ich wielki samochód kompletnie zmiążdżony. Nikt nie miał szansy przeżycia, dobrze choć, że wszyscy zginęli na miejscu, jak podała policja. To się stało tak szybko, że sami nie wiedzieli, kiedy. - Głos pani Jennings załamał się, jakby nie mogła mówić o tym spokojnie. - Wiadomo, że takie rzeczy się zdarzają, ale jeśli to się przytrafia komuś znajomemu...

- Wiem, wiem.

- Ależ pani zbladła! Proszę do mnie na zaplecze, napije się pani herbaty...

- Dziękuję, czuję się zupełnie dobrze. - To akurat nie było prawdą, gdyż pod wpływem szoku całkiem odrętwiała. - Czy odbył się już pogrzeb?

- Tak, dwa dni temu, na naszym cmentarzu. A co się zeszło narodu! Każdy chciał oddać im ostatnią posługę.

A więc Elfridę ominęła także i ta szansa!

- A co z Oskarem... to znaczy z panem Blundellem? - zapytała.

- Rzadko się go teraz widuje. Oczywiście był na pogrzebie, ale od tamtej pory jakby zamknął się w sobie. Strach pomyśleć, co ten biedny człowiek przeszedł i co wciąż jeszcze przeżywa!

W tym momencie Elfrida pomyślała o Francesce, jak to razem z ojcem śmiali się, żartowali, grali na cztery ręce lub czytali na głos. Szybko jednak wyrzuciła z pamięci te wspomnienia. Nie mogła tego znieść.

- Czy on przebywa u siebie w domu? - dążyła dalej.

- Z tego, co wiem, to tak, przecież mój chłopak dostarcza mu mleko i gazety. Podobno nie chce nikogo widzieć, nawet naszego pastora. Pani Muswell chodzi tam na posługi, jak przedtem, więc wie, że przez większą część dnia pan Blundell przesiaduje w tym swoim pokoju do grania. Zostawia mu kolację na kuchennym stole, ale on rzadko kiedy coś z niej tknie.

- Czy uważa pani, że ze mną zechciałby się widzieć?

- Naprawdę nie wiem, ale pamiętam, że państwo się przyjaźnili.

- Nie powinnam była go wtedy zostawiać.

- Przecież to nie pani wina, skąd pani mogła wiedzieć? -

Do sklepu akurat wszedł klient, więc pani Jennings z powrotem nałożyła okulary, aby dodać sobie powagi. - Niech no ja zaksięguję to wszystko... Dobrze, że pani znów jest z nami. Tak mi przykro, że popsułam pani powrót do domu...

- Przeciwnie, dziękuję, że mi pani o tym powiedziała. Lepiej, że to była pani niż ktokolwiek inny.

Wyszła ze sklepu i wsiadła do samochodu. Posiedziała chwilę, zanim ruszyła w dalszą drogę. Miała wrażenie, że nie tylko dzisiejszy dzień, ale całe jej dotychczasowe życie rozpadło się na dwie części. Za sobą zostawiła radość i szczęście rodzinne w Emblo, a wróciła do miejsca, gdzie rozegrał się niewypowiedziany dramat. Najgorsze w tym wszystkim było to, że spędzając mile czas z rodziną Jeffreya, nie miała najmniejszego pojęcia, nawet przecucia tego, co się zdarzyło. Poczuła się winna, jakby opuściła przyjaciół w potrzebie. Czuła, że jej miejsce w tych tragicznych chwilach było tu, w Dibton, przy Oskarze.

Z ciężkim sercem zapaliła silnik i ruszyła. Na szczęście Bobby Burton-Jones skończył już przycinanie żywopłotu i wycofał się do domu. Dobrze, bo nie miała w tej chwili ochoty na rozmowę z nikim. Przejechała przez główną ulicę, mijając przecznicę prowadzącą do jej domu. Zamiast tam skrócić skręciła się w stronę „Dworu”, który kiedyś należał do Glorii. Minęła cedrowe drzewa na zakręcie i oczom jej ukazała się pretensjonalna fasada budynku oraz czarna limuzyna stojąca na żwirowanym

Zaparkowała więc swój samochód w pewnej odległości. Wsiadając, zauważyła, że za kierownicą eleganckiego pojazdu siedzi umundurowany szofer i czyta gazetę. Kiwnął Elfridzie głową i wrócił do lektury sprawozdań z wyścigów. Najwyraźniej nie był w nastroju do rozmowy, więc minęła go i weszła po schodkach na dobrze sobie znaną werandę. Drzwi przeszkłone do połowy były przymknięte, lecz nie dzwoniła, tylko otworzyła sobie sama.

W całym domu panowała cisza, przerywana tylko tykaniem szafkowego zegara. Przystanęła na chwilę, nasłuchując, w nadziei, że dotrą do niej jakieś swojskie, domowe dźwięki z kuch-

ni lub muzyka z pokoju na piętrze. Nic takiego nie było sły-
chać - wszędzie zalegała cisza obezwładniająca jak gęsta mgła.

Zauważyła otwarte drzwi do salonu, więc przemierzyła hall
zasłany grubym dywanem, tłumiącym kroki. Początkowo salon
wydał się jej pusty, dopiero po chwili dostrzegła mężczyznę
siedzącego w „uszatym” fotelu przy wygasłym kominku. Od
wejścia widać było tylko nogawki tweedowych spodni i wy-
czyszczone do połysku półbuty.

- Oskar! - wymówiła ściszym głosem, ale kiedy podeszła
bliżej - doznała kolejnego wstrząsu w tym dniu. Na fotelu sie-
dział bowiem rzeczywiście Oskar, ale jakby gwałtownie posta-
rzały, w okularach, pomarszczony i zgarbiony, zaciskając sę-
kątką dłoń na kościanej ręczce hebanowej laski. Elfrida od-
ruchowo podniosła dłoń do ust, by stłumić krzyk rozpaczny.
W tym momencie nieznajomy podniósł na nią wzrok.

- O, niech ja skonam! - wyrwało mu się, a Elfrida na te
słowa poczuła nieopisaną ulgę. Szybko usiadła, zanim nogi
ugięły się pod nią, podczas gdy starszy pan mówił dalej: — Nie
słyszałem, kiedy pani weszła. Czy pani dzwoniła? Jestem tro-
chę przygłuchy, ale dzwonek usłyszałbym i otworzyłbym
pani...

Teraz miała pewność, że to nie Oskar, dziwnym trafem star-
szy o jakieś dwadzieścia lat, ale ktoś do niego podobny. Sym-
patyczny staruszek musiał dawno przekroczyć osiemdziesiątkę,
a mówił z silnym szkockim akcentem. Przypominał Elfridzie
pocziwego, starego lekarza, który opiekował się nią w dzie-
ciństwie. Nie wiadomo dlaczego, ale poczuła się przez to bez-
pieczniej.

- Nie dzwoniłam, po prostu weszłam - przyznała.

- Przepraszam, że nie wstałem, ale ostatnio coraz trudniej
mi się poruszać. Myślę, że powinniśmy się poznać. Nazywam
się Hektor McLellan, a Oskar to mój siostrzeniec.

A więc był to ten Hektor McLellan, do którego przedtem na-
leżało Corrydale, a potem przeniósł się do Londynu! Majątek
zaś pozostawił synowi Hughiemu, który opuścił Anglię i wy-
pRowadził się gdzieś na Barbados...

- Kiedyś Oskar opowiadał mi o panu - przypomniała sobie.

- Dobrze, ale z kim mam przyjemność?

- Jestem Elfrida Phipps. Mieszkam w Dibton, mam tu swój dom, ale Gloria i Oskar byli dla mnie zawsze tacy mili... Przepraszam, że tak tu weszłam bez pukania, ale początkowo wzięłam pana za Oskara.

- Pewnie myślała pani, że on z żalu tak się postarzał?

- Właśnie, tym bardziej że nie widziałam Oskara od mojego powrotu z Kornwalii. Przebywałam tam miesiąc u kuzynostwa i wracając, wstąpiłam do sklepu, żeby kupić coś do zjedzenia. Dopiero pani Jennings powiedziała mi o tym strasznym wypadku.

- Tak, to rzeczywiście było straszne.

- Jak to właściwie się stało?

- Gloria wjechała na rondo i wpakowała się prosto na tę wielką landarę - wruszył ramionami starszy pan.

- Sądzi pan, że jej nie zauważyła?

- Było już całkiem ciemno i jeszcze zaczynało padać.

- Pani Jennings powiedziała, że one wracały z jakiejś dziecięcej zabawy.

- Tak, z pokazu fajerwerków.

Elfrida przygryzła wargę. Po chwili milczenia wypowiedziała zdanie, które chętnie cofnęłaby z powrotem:

- Ona nieraz lubiła na odjeźdym wypijać strzeziennego...

- Wiem, moja droga, wszyscy o tym wiedzieliśmy. - Starszy pan bynajmniej nie poczuł się urażony. - Czasem zdarzało się jej wypić o ten jeden kieliszek za dużo. Szczególnie na imprezie, kiedy nie potrafiła odmówić, ale najgorsze, że potem siadała za kółkiem. Oskar wiedział o tym i miał wyrzuty sumienia, że sam nie odwiózł Franceski, ale pewnie sądził, że to tylko dziecięca zabawa i nic więcej. Widocznie rodzice innych dzieci sami też chcieli się zabawić. Jeszcze do tego zaczęło padać, więc wystarczyła chwila nieuwagi, może tamten wóz oslepił ją światłami albo wpadła w poślizg na mokrej jezdni... - Wymowę tych słów wzmocnił gest wyciągniętej ręki. - I już po wszystkim. Niewiele trzeba, aby stracić życie.

- Nie byłam nawet na ich pogrzebie.

- Ja też nie, bo akurat złapałem grypę i lekarz mi zabronił. Oczywiście napisałem list kondolencyjny i rozmawiałem z Oskarem przez telefon, ale jestem tu po raz pierwszy od tego

czasu. Kiedy zorientowałem się, jaka jest sytuacja, postarałem się przyjechać z Londynu jak najprędzej. W końcu jestem jego wujkiem! Na pewno widziała pani mój samochód i kierowcę.

- Widziałam, ale o jakiej sytuacji pan mówi? Czy to coś poważnego?

- Nawet bardzo.

- A czy mogę wiedzieć, o co chodzi?

- To żadna tajemnica. Po prostu Gloria zapisała cały swój majątek, łącznie z tym domem, swoim synom. Pojawili się tu nazajutrz po pogrzebie i oświadczyli Oskarowi, że nie będzie mógł dłużej tu mieszkać, gdyż mają zamiar sprzedać ten obiekt.

- A gdzie, według nich, miałyby mieszkać?

- Radzili mu, aby przeniósł się do domu starców. Nawet zostawili mu ulotki informacyjne. Rzeczywiście pomyśleli o wszystkim! - dodał z lekką ironią.

- To znaczy, że chcą wysiudzić stąd Oskara do domu starców?! Chyba zwariowali!

- Nie wyglądają mi na wariatów, raczej na ludzi chciwych i bez serca. Pewnie mają też podobne do nich żony, które podpuszczają ich, aby wydarli, ile się da.

- W takim razie Oskar musi kupić sobie inny dom.

- Nie bardzo ma na to środki - odparł Hektor McLellan, mierząc Elfridę wzrokiem znad okularów.

- To znaczy, że nie ma pieniędzy?

- No oczywiście ma swoją rentę i jakieś drobne oszczędności, ale to za mało, żeby kupić porządny dom, zwłaszcza przy tej stopie inflacji.

- Pewnie synowie Glorii, Giles i Crawford, też o tym wiedzą. - W tym momencie przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl. - Prawda, przecież i Gloria musiała o tym wiedzieć? Czy nie mogła go w jakiś sposób zabezpieczyć? Zawsze była taka hojna i chętnie rozdawała to, co miała.

- Pewnie chciała dla niego jak najlepiej, ale była znacznie młodsza, więc nawet nie brała pod uwagę ewentualności, że mogłaby umrzeć przed Oskarem. Możliwe też, że po prostu nie wpadła na pomysł zmiany testamentu lub tylko dodania do niego kodycyłu. Tego się już nigdy nie dowiemy.

- Ależ on nie może pójść do domu starców! - Całkowicie

nie do przyjęcia wydała się jej wizja Oskara wśród starszków żywiących się kaszką na mleku i wyplatających koszyki dla zabicia czasu. Tak wyobrażała sobie życie w domu opieki, gdy nigdy nie odwiedziła podobnej instytucji. - Nie pozwolę na to!

- Cóż więc pani zrobi?

- Mógłby na przykład wprowadzić się do mnie! - palnęła bez zastanowienia, ale od razu zreflektowała się, że to raczej nierealny pomysł. W jej domku na Poulton's Row ledwie starczyło miejsca dla jednej osoby, a co dopiero dla dwóch! A gdzie zmieściłby się fortepian Oskara? Może na dachu czy w ogrodowej szopie? Zaraz więc się poprawiła: - No nie, to niemożliwe. Głupstwa gadam.

- W każdym razie uważam, że Oskar powinien się stąd wprowadzić - podsumował starszy pan. - Ten dom i cała ta wioska zanadto wiążą się z przykrymi wspomnieniami. Najlepiej byłoby, gdyby odciął się od tego wszystkiego. Specjalnie przyjechałem po to, aby mu podsunąć ten pomysł. Przy lunchu przedstawiłem mu, jak to widzę, ale nie wygląda mi na zdolnego do podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Sprawia raczej wrażenie, jakby nie dbał o to, co się stanie.

- Gdzie on jest teraz?

- W szklarni, bo nawaliło ogrzewanie. Powiedziałem mu, że poczekam, aż stamtąd wróci, i dopiero wtedy zacznę się zbierać. Dlatego właśnie siedzę w jego fotelu i straszę tu jak upiór.

- Wcale nie przypomina pan upióra, ale czy mogłabym dowiedzieć się, co mu pan radził?

- Żeby wrócił do Sutherland. Połowa domu w Creagan wciąż należy do niego, a mój Hughie, który jest współwłaścicielem, siedzi na Barbados i chyba już tam zostanie.

- Zdawało mi się, że ktoś wynajął ten dom.

- Nie, w tej chwili stoi pusty. Kiedyś mieszkało tam starsze małżeństwo, państwo Cochrane, ale on umarł, a jego żona przeniosła się do córki. Dowiedziałem się o tym od naszego dawnego rządcy, majora Billicliffe'a. Przeszedł już na emeryturę, ale nadal mieszka w majątku, bo kupił na własność dom Hughiego. Zadzwoniłem więc do niego i odbyliśmy długą rozmowę. Twierdzi, że dom Zarządu Majątku w Creagan jest w dobrym stanie, wymaga najwyżej odmalowania.

- A czy jest umeblowany?
- Cóż, nie ma tam luksusów, ale są wszystkie niezbędne sprzęty.

Elfrida przemyślała tę propozycję. Wyobraziła sobie odludne torfowiska gdzieś na północy, gdzie pasły się tylko stada owiec. Biedny Oskar czułby się pewnie tam tak samotnie jak na księżycu.

- Miałby wyjechać tak daleko, i to całkiem sam? - Nie sprawiała wrażenia zachwyconej tym pomysłem.

- Przecież nie byłby tam sam, bo należy do naszej rodziny i ludzie w Creagan go znają. Zawsze przyjmą go życzliwie, choćby po pięćdziesięcioletniej nieobecności.

- Ale czy on sam chciałby dokonać takiej zmiany w swoim życiu? Przecież podobno starych drzew się nie przesadza. Może wolałby wrócić do Londynu i zamieszkać przy tym samym kościele

- Nie bardzo, bo to byłby dla niego krok wstecz, zwłaszcza że dręczą go wciąż wspomnienia o dziecku.

- Rzeczywiście, ma pan rację.

- Najsmutniejsze jednak jest to, że Oskar stracił zainteresowanie dla muzyki, jakby coś w nim umarło, jego najlepsza część.

- Jak mogłabym mu pomóc?

- To już w pani rękach. Może łagodna perswazja poskutkuje?

- Spróbuję - obiecała, zastanawiając się w duchu, skąd weźmie na to siłę.

Na tym konwersacja się urwała, więc obydwójce tylko popatrzyli smutno po sobie. Ciszę zmaćcił tylko dźwięk zbliżających się kroków, najpierw na zwirowanym podjeździe przed domem. Kiedy Elfrida podniosła głowę - ujrzała przez okno nadchodzącego Oskara. Odruchowo zerwała się z fotela.

- O, idzie już Oskar - oznajmiła.

Usłyszeli, jak drzwi frontowe najpierw się otworzyły, a potem zamknęły. Długa chwila ciszy ciągnęła się w nieskończoność, aż w końcu klamka drgnęła i drzwi od salonu rozwarły się na oścież. Stanął w nich Oskar, od progu mierząc gości spojrzeniem. Miał na sobie stare sztruksowe spodnie i gruby,

wzorzysty sweter o żakardowym splocie. Gęste, siwe włosy opadały mu na czoło, więc odgarnął je na bok. Elfrida spodziewała się zobaczyć mężczyznę zdruzgotanego nieszczęściem, ale Oskar był człowiekiem powściągliwym, a złamanego boleścią serca nie da się zobaczyć.

- Wiedziałem, Elfrido, że to ty, bo poznałem twój samochód - przywitał ją. Wyszła mu naprzeciw, a on ujął jej dłonie w swoje i nachylił się, aby ucałować ją w policzek. Poczwała na swojej skórze dotknięcie jego lodowatych warg i spojrzała mu w oczy.

- Widzisz, Oskarze, wróciłam już do domu - odpowiedziała.

- Długo już tu jesteś?

- Około piętnastu minut. Wyjechałam z Kornwalii dziś rano, ale po drodze wstąpiłam do sklepu i dopiero od pani Jennings dowiedziałam się o wszystkim. Przez cały miesiąc nie miałam w ręku żadnej gazety, więc nie miałam też pojęcia, co tu się stało. Oczywiście, kiedy otrzymałam tę wiadomość, ruszyłam od razu do ciebie i tu natknęłam się na twojego wujka.

- Aha, rozumiem. - Puścił jej ręce i obrócił się w stronę Hektora, który ze swego fotela przyglądał się przywitaniu. - Przepraszam, że dałem ci czekać, Hektorze, ale to jakaś poważniejsza awaria. Dobrze choć, że Elfrida dotrzymywała ci towarzystwa.

- I było to bardzo miłe, ale muszę już się zbierać - podsumował Hektor, próbując wstać z fotela za pomocą laski. Sprawilo mu to niejaką trudność, dopiero Oskar podał wujowi rękę, pomagając oprzeć się na lasce.

Dostosowując tempo marszu do możliwości starszego pana, wszyscy przeszli przez salon do hallu. Oskar podał wujkowi jego staromodny płaszcz i miękki filcowy kapelusz, który Hektor nałożył na bakier.

- Dobrze, że mnie odwiedziłeś - podziękował. - Miło mi było cię widzieć.

- To mnie sprawiło przyjemność twoje towarzystwo, drogi chłopcze. Wpadnij do mnie, gdybyś kiedyś był w mieście.

- Chętnie, dziękuję bardzo.

- I proszę cię, przemyśl to, co ci poradziłem. Może brzmi to

dziwnie, ale przynajmniej odsapnąłbyś trochę po tym wszystkim. Tutaj, tak czy owak, zostać nie możesz. - Nagle, jakby coś sobie przypomniał, zaczął gorączkowo grzebać w kieszeni płaszcza. - Byłbym zapomniał! Zapisałem tu numer telefonu do majora Billicliffe'a, który ma klucz od tego domu. Wystarczy zadzwonić.

Wyciągnął z kieszeni złożoną karteczkę i podał Oskarowi z komentarzem:

- Tylko pamiętaj, nie dzwoń za późno, bo on lubi wypić. Pod wieczór może już nie kontaktować.

Elfrida zastanawiała się jednak w tej chwili nad bardziej przyziemnymi sprawami.

- Jak długo ten dom stał pusty? - zadała pytanie.

- Przez dwa miesiące, ale pani Snead od czasu do czasu przychodziła posprzątać i wywietrzyć, żeby posiadłość nie niszczała. Major Billicliffe to załatwił, a ja płaciłem.

- Pomyślał pan o wszystkim! - zauważyła Elfrida.

- A o czym innym miałbym teraz myśleć? Dobrze już, muszę jechać. Miło mi było poznać panią i mam nadzieję, że jeszcze kiedyś odnowimy tę znajomość.

- Daj Boże! Odprowadzimy pana do samochodu, dobrze?

Oskar ujął wujka pod ramię i razem przeszli do drzwi frontowych, a stamtąd po schodkach w dół, na żwirowany podjazd. Tymczasem pochłodziło i zaczął mżyć drobny deszczyk. KieRowca zauważył szefa z daleka, więc wyszedł z wozu, obszedł go naokoło i otworzył przednie drzwi z przeciwnej strony. Z pewnym wysiłkiem Hektor wcisnął się na przednie siedzenie i zapiął pas.

- Do widzenia, drogi chłopcze! Myślami będę przy tobie - obiecał wuj. Oskar uściskał starszego krewniaka.

- Jeszcze raz dziękuję ci, że przyjechałeś.

- Mam nadzieję, że zdołałem cię choć trochę pocieszyć.

- I owszem. - Oskar cofnął się i zatrzasnął drzwiczki samochodu. KieRowca zapalił silnik, a Hektor pomachał im ręką przez okno. Oskar i Elfrida odprowadzali wzrokiem samochód zdrażający w stronę Londynu i nie ruszyli się z miejsca, dopóki nie stracili go z oczu. Dopiero kiedy ucichł warkot silnika,

a pozostała po nim ciszą wypełniło krakanie gawronów - Elfrida zadrżała z zimna.

- Chodźmy do środka - zaproponował Oskar.
- Na pewno nie wolałbyś, żebym też sobie poszła?
- Przeciwnie, chciałbym, żebyś została ze mną.
- Czy pani Muswell jeszcze tu jest?
- Nie, zawsze po lunchu idzie do domu.
- W takim razie zrobią herbatę.
- Świetny pomysł!
- Czy mogłabym zwołać tu Horacego, bo przez cały dzień siedział zamknięty w samochodzie?
- Oczywiście, przynajmniej teraz nie rzuca się na niego żadne pekińczyki.

Elfridzie ścisnęło się serce, ale nic nie powiedziała, tylko poszła do swojego samochodu i wypuściła Horacego. Pies wyskoczył z radością i na skróty przez trawnik pobiegł do upatrzonego krzaczka, aby tam wreszcie sobie ulżyć. Kiedy już zadośćuczynił swoim potrzebom, kilka razy grzebnął nogami za sobą i wrócił do swojej pani. Oskar pogłaskał go po głowie i dopiero wtedy wraz z Elfridą skierowali się ku domowi. Oskar zamknął drzwi od wewnątrz i poprowadził w stronę kuchni, ciepłej i przestronnej, w której nigdy nie brakło obfitych posiłków, gdyż Gloria zawsze gościnnie podejmowała swych licznych krewnych i znajomych.

W tej chwili kuchnia wprawdzie lśniła czystością, ale też świeciła pustkami. Na szczęście pani Muswell zostawiła na tacy dzbanuszek mleka i puszkę biszkoptów. Widać było, że starała się dbać o swego nagle osieroconego pracodawcę.

Elfrida znalazła czajnik, napełniła go wodą i postawiła na gazie, podczas gdy Oskar wygrzewał się w miłym ciepłe kuchenki.

- Szkoda, że nie jestem bardziej elokwentna - zagaiła. - Powiem ci tylko, Oskarze, że bardzo mi przykro. Gdybym dowiedziała się o tym w porę, zaraz wróciłabym z Konwalii, żeby przynajmniej wziąć udział w pogrzebie.

Tymczasem Oskar odsunął od stołu krzesło i usiadł, ale gdy to mówiła - oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach, jakby płakał. Mimo to Elfrida nadal drażyła ten temat.

- Tak się jakoś złożyło, że przez cały miesiąc nie przeczytałam ani jednej gazety. Po prostu nie czułam takiej potrzeby. Dopiero dziś...

Oskar odjął dłonie od twarzy, więc widać było, że nie płacze, lecz jego spojrzenie zdradzało nieopisaną udrękę, chyba gorszą od łez.

- Dałbym ci znać, gdybym wiedział, gdzie cię szukać.

- A ja znów nie przypuszczałam, że będzie ci to do czegośkolwiek potrzebne. - Przerwała, wzięła głęboki oddech i mówiła dalej: - Oskarze, ja dobrze wiem, co to znaczy utracić kogoś bliskiego. Przez cały czas choroby Jimba wiedziałam, że on już z tego nie wyjdzie, a mimo to jego śmierć była dla mnie szokiem. Okazało się, że nie zdążyłam przygotować się ani na ból z powodu jego utraty, ani na pozostałą po nim pustkę. Zdaję też sobie sprawę, że to, co wtedy przeszłam, to jeszcze nic w porównaniu z tym, co teraz przeżywasz. Do tego nie mogę ci w żaden sposób pomóc!

- Możesz przez to, że tu jesteś.

- Owszem, gdybyś chciał o tym porozmawiać, chętnie cię wysłucham.

- Jeszcze nie teraz.

- Rozumiem, za wcześnie na to.

- Wkrótce po wypadku, gdy tylko dowiedziałem się, że Gloria i Francesca nie żyją, odwiedził mnie nasz pastor. Próbował mnie pocieszać, wspominał coś o Bogu, a ja przez cały czas zastanawiałem się, czy on czasem nie zwariował. Pytałaś mnie kiedyś, czy jestem wierzący, ale wtedy nie potrafiłem udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Wiedziałem tylko, że moja muzyka i praca z chórem znaczą dla mnie więcej niż kościelne dogmaty. Pamiętasz, jak podobało ci się wykonanie hymnu *Ciebie, Boga, wystawiAmy*, kiedy pierwszy raz spotkaliśmy się przed kościołem? Grałem wtedy na organach, a chór śpiewał:

*Ciebie, Boga, wystawiAmy,
Tobie, Panu, wieczna chwala.
Ciebie, Ojca, niebios brAmy,
Ciebie wielbi ziemia cała.*

Słyszałem, jak głosy chłopców z chóru wzbijają się pod niebo, i wydawało mi się, że mojej wiary nic nie jest w stanie zachwiać...

W tym miejscu urwał, więc Elfrida odczekała chwilę, a potem zapytała wprost:

- A teraz, Oskarze?

- Pastor ciągle mówił o Bogu, ale czy mogę wierzyć w takiego Boga, który zabrał mi Francescę? Pokazałem księżulce wi drzwi. Pewnie się obraził!

- Biedny człowiek! - uzaliła się Elfrida.

- Myślę, że nic mu nie będzie. Patrz, woda się już gotuje!

Elfrida chętnie oderwała się od ponurych rozważań, aby zająć się czymkolwiek - odszukiwaniem czajniczka, wsypywaniem listków herbacianych, zalewaniem ich wrzątkiem... Znalazła kubek dla siebie, postawiła to wszystko na stole i usiadła naprzeciw Oskara, tak samo jak przed jej wyjazdem do Kornwalii, czyli bardzo dawno. Przyszedł wtedy do niej w ubłoconych butach po pracy w ogródku.

- Pijesz taką herbatę jak budowlańcy, prawda?

- Tak, czarną i mocną.

Elfrida opłukała kubek i odstawiła czajniczek, by napać naciągnął.

- Hektor wspomniał mi o zamiarach twoich pasierbów. To znaczy, że chcą sprzedać ten dom...

- Tak, najchętniej wyprawiliby mnie do tych zasuszonych dziadków w wiktoriańskim dworzyszczu adaptowanym na dom opieki.

- Ale ty tam nie pójdziesz, prawda?

- Rzeczywiście, wolałbym nie.

- A co chciałbyś robić?

- Najchętniej zamknąłbym się gdzieś, żeby w samotności liżać swoje rany. Nie mogę jednak zamknąć się w tym domu, bo Giles i Crawford chcieliby jak najszybciej wystawić go na sprzedaż, a w tym celu muszą się mnie pozbyć.

- Co za dranie! - Elfrida nalała Oskarowi mocnej, smolistej herbaty i pchnęła kubek w jego stronę. Dolał trochę mleka z dzbanuszka i pociągnął łyk. - Hektor McLellan przedstawił mi...

- Przypuszczałem, że to zrobi.
- Czy to zły pomysł?
- Ależ to kompletne szaleństwo!
- Nie rozumiem, dlaczego.
- Chętnie ci wyjaśnię. Przecież Sutherland to drugi koniec kraju, gdzie nie zaglądałem od pięćdziesięciu lat. Przy całym optymizmie Hektora nie mogę przypomnieć sobie, abym tam kogokolwiek znał. Dom jest prawie pusty i od dawna pies z kulawą nogą w nim nie mieszkał, a ja sam z siebie nie mam instynktu gniazdowania. Nie wiedziałbym, od czego zacząć ani do kogo się w tej sprawie zwrócić.

- Może do pani Snead?

- No wiesz, Elfrido!

Ona jednak nie przejęła się tym karcącym tonem, tylko zadawała dalsze pytania.

- Czy ten dom leży na zupełnym odludziu?

- Skąd, w samym centrum Creagan, takiego małego miasteczka.

Dla Elfridy brzmiało to raczej zachęcająco.

- Czy rzeczywiście jest taki okropny?

- Po co od razu takie mocne słowa? To po prostu wielkie, niegustowne gmaszysko w stylu wiktoriańskim. Nie jest specjalnie brzydki, ale i nie ma w nim nic chwytającego za serce. Jest tam wprawdzie ogród, ale w środku zimy jakie to ma znaczenie?

- Zima nie potrwa wiecznie.

- Tak, ale nadal nie mam pojęcia, co ze sobą począć.

- Jedno jest pewne, że nie możesz tu zostać, a do tego jakiegoś domu opieki pójdziesz chyba po moim trupie. Musisz więc rozważyć inne możliwości. Oczywiście mógłbyś wprowadzić się dla mnie i Horacego... - Oskar nie skomentował tej szokującej propozycji. - Myślałam, żebyś ewentualnie przeniósł się z powrotem do Londynu, ale Hektor uprzedził, że się na to nie zgodzisz.

- I miał rację!

- No, a w takiej Szkocji, czy raczej w Sutherland - rozmarzyła się - można by wszystko zacząć od początku...

- Tak, tylko że mam już sześćdziesiąt siedem lat i nie czują się na siłach, by zaczynać cokolwiek od początku. Z jednej strony nie bardzo mam ochotę na rozmowę z kimkolwiek, a z drugiej - panicznie się boję samotności. Najgorsze, co mogłoby mnie spotkać, to mieszkanie w pustym domu. Jeszcze zanim ożeniłem się z Głorią, zawsze wokół mnie kręcili się moi koledzy, chórzyści czy uczniowie. Żyłem wtedy pełnią życia.

- Możesz znów tak żyć.

- Ależ gdzie tam!

- Owszem, możesz. Wiadomo, że życie już nigdy nie będzie całkiem takie samo, ale masz wciąż dużo do ofiarowania innym, choćby swoją szlachetną duszę. Nie wolno nam tego zmarnować.

- Chyba się przesłyszałem - uniósł brew Oskar. - Powiedziałaś „nam”?

- Przejęczyłam się. Chciałam powiedzieć, że nie wolno ci tego zmarnować.

Oskar wypił swoją herbatę do dna i dolał sobie esencji z czajniczka, jeszcze czarniejszej i mniej apetycznej.

- Dajmy na 10, że zdecydowałam się pojechać do tej Szkoły. Czym miałbym się tam dostać?

- Są przecież pociągi i samoloty.

- Wolałbym jechać samochodem.

- Możesz jechać powoli, etapami. W końcu nie musisz się spieszyć...

Elfrida nie dokończyła zdania, bo głos zamarł na jej ustach. Wizja Oskara wyruszającego samotnie w nieznaną napełniła ją głębokim smutkiem. Co innego, gdyby przy nim siedziała Gloria, a na tylnym siedzeniu Francesca grała w gry komputerowe lub bawiła rodziców swoim niewinnym szczebiotem! Do bagażnika wsadziliby dwa jazgotliwe pekińczyki, a także kije golfowe i wędki... Nie, tak już nigdy nie będzie, bo to wszystko odeszło na zawsze!

Oskar dostrzegł zmianę jej nastroju, więc położył rękę na dłoni Elfridy.

- No nie, przynajmniej ty bądź dzielna, bo inaczej całkiem się rozsypię.

- Próbuję, ale właśnie ze względu na ciebie trudno mi się z tym pogodzić.

- To wiesz co? Spróbujmy przemyśleć ten twój pomysł. Dajmy na to, że zdecydowałam się jechać samochodem do tego Sutherland. Czy wtedy pojechałabyś tam ze mną?

Elfridzie nie przyszła na myśl żadna sensowna odpowiedź, więc przez chwilę milczała. Zastanawiała się, czy Oskar rzeczywiście wystąpił z tak niecodzienną propozycją, czy może przesłuszała się lub wyobraźnia spłatała jej figla.

- Ja miałabym jechać z tobą?

- Właściwie dlaczego nie? To wcale nie taki głupi pomysł. Razem łatwiej się tam dostaniemy. Będziemy mogli wziąć klucz od majora Billicliffe'a, znaleźć ten dom, objąć go w posiadanie i spędzić tam zimę.

- Boże Narodzenie też?

- No, może jeszcze w tym roku nie urządzalibyśmy świąt, ale czy to tak źle? Tam na północy zimą dni pewnie są jeszcze krótsze, a noce dłuższe, no i na razie kiepski byłby ze mnie kompan, ale na wiosnę może nabiorę sił. Tu, jak sama mówisz, nie ma dla mnie miejsca, bo Giłes i Crawford chcieliby, żebym się wyniósł jak najszybciej.

- Dobrze, ale co w takim razie mam zrobić z moim domem?

- Wynajmij go albo po prostu zamknij na klucz i poproś sąsiadów, żeby się nim zaopiekowali.

A więc mówił serio, rzeczywiście chciał, żeby towarzyszyła mu w tej podróży! Widocznie potrzebował jej - takiej ekscentrycznej i roztrzepanej starszej dAmy.

- Oskarze, ale ja wcale nie jestem pewna, czy dobrze się spiszę.

- Zbyt nisko się cenisz. Proszę, Elfrido, pomóż mi!

Jeszcze przed chwilą pytała Hektora, jak mogłaby pomóc Oskarowi, a teraz on bezpośrednio prosił ją o to! Przez całe swe życie była impulsywna i podejmowała decyzje bez głębszego namysłu, ale też nigdy nie żałowała żadnej z nich, choćby najbardziej szalonej. Żałowała raczej utraconych szans, których nie wykorzystała z lęku lub dlatego, że nadarzyły się w niewłaściwym momencie. Odetchnęła więc głęboko i postanowiła:

- Zgoda, pojedę z tobą.

- Jesteś kochana!
 - Robią to przede wszystkim dla ciebie, ale także ze względu na pamięć Glorii. Nie zapomną, ile serca mi okazała, choć byłam dla niej obcą osobą. Ty, Gloria i Francesca zostaliście moimi pierwszymi przyjaciółmi w Dibton...
 - Mów, mów dalej!
 - Kiedy mi wstyd, że tyle czasu już rozmawiamy, a dopiero teraz wspomniałam ich imiona! W Konwalii bez przerwy opowiadałam Jeffreyowi o was, jacy byliście dla mnie dobrzy. Przywiozłam książkę w prezencie dla Franceski i o mało nie kupiłam obrazu dla was obojga, ale miałam wątpliwości, czy spodoba się Glorii.
 - Może spodobałby się mnie?
 - Nie wiem...
- Więcej powiedzieć nie mogła, bo dławił ją wzbierający ucisk w gardle. Usta jej drżały i nie potrafiła już opanować łez cisnących się do oczu. Ciekawe, ale kiedy ciepłe i słone strużki pociekły po policzkach - przyniosło jej to ulgę. Pomyślała jednak, że starsze osoby płacz bardzo szpeci, więc próbowała ścierać łzy palcami.
- Byłam... w Szkocji tylko raz w życiu... Dawno temu, na tournée w Glasgow, gdzie publiczność reagowała bardzo emocjonalnie, ale deszcz wciąż nie chciał przestać padać... - Z rękawa wyciągnęła chusteczkę i wysiąknęła nos. - I do tego nie rozumiałam ani słowa z tego, co do mnie mówili!
 - Chętnie zapoznam cię z pewnym Szkotem rodem z Glasgow.
 - Wtedy to nie było wcale śmieszne!
 - Teraz też nie, ale ty zawsze potrafisz mnie rozweselić.
 - Czyżbym przypominała kłowna?
 - Kłowna nie, ale miłą, wesołą osobkę!

Sam

O siódmej rano w pierwszy piątek grudnia Sam Howard wtoczył już swój wózek z bagażem do hali przylotów lotniska HeathRow. Za przegrodą tłoczyli się oczekujący - ludzie różne-

go pokroju. Trafiały się wśród nich zarówno starsze małżeństwa, jak młodzież w sportowym obuwiu i matki z małymi dziećmi, ale także umundurowani szoferzy ważnych osobistości (do których Sam nie należał) i dziwni ludzie trzymający tabliczki z tajemniczymi napisami. Na jednej dużymi literami wydrukowano: „P. Wilson”, a na innej: „Spółka Handlowa Abdul Aziz”.

Na Sama nie czekała ani żona, ani KieRowca. Nie spodziewał się żadnego powitania, natomiast miał świadomość, że gdy tylko wyjdzie z ogrzewanej hali przylotów - owionie go chłodne powietrze. Jeszcze w samolocie odczytano komunikat o niskiej temperaturze w Londynie, a zresztą mógł się tego domyślić, patrząc na oczekujących, ubranych w ciepłe kurtki, czapki, szaliki i rękawiczki. Chłód towarzyszył mu od Nowego Jorku, gdzie ostry wiatr wiejący od East River wydymał sztywno flagi na masztach.

Wózek bagażowy był nieporęczny, gdyż spoczywały na nim dwie walizy, torba golfowa i teczka. Sam zdołał jakoś dotrzeć z nim do wyjścia, aby ustawić się w kolejce do taksówek. Wystarczyło zaledwie pięć minut oczekiwania na zimnie, aby przemarznął do szpiku kości. Trafiła mu się taksówka pomalowana we wzór udający zadrukowane szpalty gazet. KieRowca miał ponurą minę i najeżone wąsy, więc Sam miał nadzieję, że nie okaże się on zbyt gadatliwy. Stanowczo nie miał teraz nastroju na rozmowę!

- Dokąd jedziemy, szefie? - zagadnął taksówkarz.

- Proszę na Beaulieu Road czternaście, Wandsworth, SW siedemnaście.

- Wsiadaj pan!

KieRowca nie zamierzał bynajmniej pomóc mu w przeładowaniu bagażu z wózka do samochodu. Najwidoczniej uznał, że Sam jest wystarczająco młody i sprawny, aby zrobić to samemu. Tak też postąpił, upychając kije golfowe na podłodze pojazdu. Odstawił wózek bagażowy tak, by nie tamował ruchu, po czym wsiadł do taksówki, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. KieRowca włączył wycieraczki i dodał gazu.

Podczas krótkiego oczekiwania Sam zdążył już zmarznąć, więc podniósł kołnierz granatowego płaszcza i odchylił się do

tyłu na oparcie tracącego stęchliżną siedzenia. Ziewnął, gdyż czuł się zmęczony i zmiętoszony. Leciał w klasie Biznes. Jego towarzysze podróży jeszcze podczas lotu zdążyli udać się do łazienki, aby się umyć, ogolić i zawiązać krawaty. Pewnie musieli wcześniej stawić się na ważne spotkania, podczas gdy Sam, na szczęście, nie musiał się tak spieszyć. Umówiony był dopiero na poniedziałek o wpół do pierwszej na lunch ze swoim przełożonym, sir Davidem Swinfieldem, prezesem spółki Sturrock i Swinfield. Do tej pory miał czas tylko dla siebie.

Znów ziewnął i potarł dłonią swój szorstki, nie ogolony podbródek. Może jednak powinien się ogolić, wtedy nie czułby się jak ostatni niechluj? Niewiele by to jednak zmieniło, gdyż i tak ubrany był niedbale, w gruby sweter, znoszone dżinsy i ciężkie, żeglarskie buciory. Oczy piekły go z niewyspania, bo całą noc spędził na lekturze książki, poza tym lekko go mdliło od obfitego posiłku spożytego - według czasu brytyjskiego - o drugiej nad ranem.

Taksówka zatrzymała się pod czerwonym światłem i wtedy kieRowca rzucił mu przez ramię pytanie:

- Wraca pan z wakacji?
- Nie - odpowiedział krótko Sam.
- No bo, wie pan, zauważyłem te kije golfowe...
- Nie byłem na wakacjach.
- A więc służbowo?
- Można to i tak nazwać. Pracowałem przez sześć lat w Nowym Jorku.
- Dajcie spokój, jak pan mógł znieść życie w takim tempie?
- Jakoś szło. Człowiek się szybko do tego przyzwyczaja.

Tymczasem znów zaczęło padać, więc kieRowca przeszedł na temat pogody.

- Kiepski dzień się panu trafił na powrót do domu! - zdążył jeszcze powiedzieć, zanim ruszył, bo zapaliło się zielone światło.

- Ano tak - rzucił zdawkowo Sam. Wolał nie dodawać, że wcale nie wraca do domu, bo prawda wyglądała tak, że nie miał domu. W tych starych łachach wyglądał nawet na bezdomnego! Po raz pierwszy w swoim trzydziestoosmioletnim życiu nie miał własnego kąta.

Skulił się więc na tylnym siedzeniu taksówki, owijając płaszczem i przywołując na pamięć wszystkie domy, jakie miał poprzednio. Pierwszym był Radley Hill w Yorkshire, jego dom rodzinny, gdzie się urodził i wychował. Było tam ciepło, przestronnie i przytulnie, pachniało dymem palących się drew, wiosennymi kwiatami i upieczonym ciastem. Dom stał na czteroakrowej działce z kortem tenisowym i kawałkiem lasu, gdzie jesienią polowało się na gołębie. Do tego miejsca wracał ze wszystkich kolejnych szkół, nieraz zapraszając kolegów na wakacje. Wydawało mu się, że z tym domem, jak z wygodną, starą marynarką, nigdy się nie rozstanie, co oczywiście okazało się nieprawdą. Kończył już studia uniwersyteckie w Newcastle, gdy umarła jego matka. Od tego czasu nic już nie było takie jak przedtem.

Rodzice jego mieli małą fabryczkę sukna w Yorkshire. Sam początkowo mierzył wyżej, planował nawet podjęcie pracy za granicą, ale po śmierci matki nie miał serca pozostawić ojca samego. Wrócił więc do domu z dyplomem inżyniera w kieszeni i przez kilka lat prowadzili wspólnie rodzinny interes. Odnosili nawet sukcesy, przynajmniej dopóki nie nastąpiła recesja. Zakład ich, nastawiony na produkcję delikatnych kamgarnów i mocnych tweedów, nie sprostał konkurencji z tkaninami importowanymi z kontynentu europejskiego, co powodowało odpływ pieniądza. W końcu fabryczkę przejął potężny koncern włókienniczy Sturrocka i Swinfielda. Sam został zatrudniony przez nowych właścicieli, ale jego ojciec, za stary, aby się przystosować do zmienionych warunków, wolał przejść na wcześniejszą emeryturę. Okazało się jednak, że praca w ogródku i gra w golfa nie rekompensuje stresu wywołanego wymuszoną bezczynnością i ledwo minął rok, a starszy pan zmarł wskutek rozległego zawału.

Sam odziedziczył Radley Hill, ale z bólem serca zdecydował się wystawić dom na sprzedaż. Uważał, że postąpił słusznie, gdyż pracował teraz w Londynie u Sturrocka i Swinfielda. Czuł się już związany z tą pracą i zdobył sporą wiedzę na temat zmian zachodzących na rynku tkanin wełnianych. Za pieniądze otrzymane ze sprzedaży Radley Hill kupił sobie domek z ogródkiem na Eel Park Common - tak blisko od stacji metra,

że nocami słyszał turkot wagoników kolejki. Ten mały skrawek własnej ziemi, jak i stare meble przywiezione z Yorkshire powodowały, że i tu poczuł się jak u siebie w domu. Odpowiadało mu beztroskie kawalerskie życie w gronie przyjaciół i tłumy gości przewijające się przez jego przytulne, małe mieszkanie. Zdażył się także uwikłać w kilka spektakularnych romansów.

Ledwo uporał się z jednym z nich, kiedy jak grom z jasnego nieba spadło nań wezwanie na rozmowę z samym prezesem spółki, sir Davidem Swinfeldem. W jego gabinecie Sam dowiedział się, że zostaje przeniesiony do Nowego Jorku. Okazało się bowiem, że potrzebował go dyrektor nowojorskiego oddziału firmy, Mikę Passano, a to oznaczało awans, zwiększony zakres odpowiedzialności, a także podwyżkę uposażenia.

- Chyba nie masz żadnych powodów, aby odmówić? - zagadnął go szef.

- Skądże znowu, panie dyrektorze! - zaprzeczył zgodnie z prawdą. Nie miał przecież żony, dzieci ani innych powiązań rodzinnych, które trzymałyby go na miejscu. Od ukończenia studiów tylko czekał na taką okazję. Mógł rozpocząć zupełnie nowe życie w nie znanym sobie kraju.

Zaprosił więc swoją aktualną kochankę na kolację i spróbował jej wyjaśnić, jak sprawy stoją. Rozpłakała się i oświadczyła, że może udać się wraz z nim do Nowego Jorku, jeśli tylko tego chce. On jednak wcale tego nie pragnął i powiedział jej o tym wprost, na co rozpłakała się jeszcze bardziej. Kiedy się rozstawali, spowodził dla niej taksówkę i od tego czasu nie widział się z nią więcej.

Równie bezwzględnie postąpił ze swoim dobytkiem, gdyż nie miał pojęcia, kiedy wróci do Londynu, jeśli w ogóle wróci. Sprzedał więc dom i samochód, a tylko nieliczne ulubione sprzęty oddał na przechowanie. Uprzątnął starannie swoje biurko w zakładzie i wziął udział w pożegnalnym przyjęciu, które ktoś z kolegów wydał na jego cześć.

- Nie siedź tam długo, wracaj prędko do nas! - prosili go przyjaciele.

Okazało się jednak, że w Nowym Jorku od razu poczuł się jak ryba w wodzie. Początkowo zamieszkał w rotacyjnym lokalu na Greenwich Village, ale po ślubie z Deborahą szybko prze-

niósł się do luksusowego, dwupoziomowego apartamentu na ulicy E70. Zawsze lubił przeprowadzkę, malowanie ścian, przedstawianie mebli i wieszanie obrazów, ale Debora nie życzyła sobie żadnych starych gratów z Greenwich Village w ich nowym, eleganckim mieszkaniu. Urządzenie domu zleciła dekoratorowi wewnątrz, który umarłby chyba, gdyby miał dopasować zakłęśniętą, obitą skórą kanapę do wytwornego wnętrza utrzymanego w tonacji surowego włókna! Trochę się nawet o to kłócili, lecz Sam zwykle ustępował. Wolał postawić starą kanapę w swojej sypialni, razem z komputerem i faksem. Czuł się tam najlepiej, więc nieraz oszukiwał Deborę, że zostaje po godzinach w pracy, a tymczasem oglądał w telewizji mecze piłkarskie, leżąc na swojej ulubionej kanapie.

Mieszkanie na ulicy E70 okazało się jego ostatnim domem. Została tam także Debora. Oświadczyła mu bowiem otwarcie, że odchodzi. Miała już dosyć małżeństwa z pracoholikiem, który stawiał ją na drugim miejscu po firmie Sturrock i Swinfield. Oczywiście w grę wchodził inny mężczyzna i Debora wymieniła jego nazwisko. Przeraziło to Sama i napełniło niepokojem o jej przyszłość, ale nie udało mu się skłonić żony do zmiany decyzji. Wpadł więc we wściekłość, ale poczuł się też zraniony i upokorzony. Nieodparcie nasuwało mu się na myśl staroświeckie słowo „rogacz”. Zwyczajnie przyprawiła mu rogi, ale częściowo ją rozumiał.

Kiedy następnego dnia po jej odejściu przyszedł do biura - przywitały go ukradkowe spojrzenia i współczujące miny kolegów. Jedni wylewnie klepali go po plecach, zapewniając o swojej przyjaźni i o gotowości do przyjścia z pomocą w razie potrzeby. Ci zaś, którzy nigdy nie lubili Sama, gdyż uważali go za lizusa, nie ukrywali zbyt swojej satysfakcji. Pewnie przez cały czas orientowali się w sytuacji lepiej od Sama, który dowiedział się o wszystkim ostatni.

Zjawił się także sam Mike Passano. Oparł się o krawędź biurka Sama, przez chwilę pogadał o sprawach zawodowych, aż w końcu wypalił otwarcie:

- Chciałem ci powiedzieć, że bardzo mi przykro. Wiesz, chodzi o Debbie.

- Dziękuję bardzo.

- Wiem, że to słaba pociecha, ale dobrze choć, że nie macie dzieci. To skomplikowałoby sprawę.

- Aha.

- Może wpadłbyś kiedyś do mnie na kolację?

- Ależ dziękuję, Mike, świetnie daję sobie radę.

- Rozumiem cię, ale pamiętaj, że zawsze jesteś u mnie mile widziany.

Sam starał się trzymać fason przez jakieś sześć tygodni. Pod byle pozorem zostawał w pracy po godzinach, byleby jak najpóźniej wracać do pustego mieszkania, gdzie nie miał nawet nic na ząb. Najwyżej czasem wpadał do baru na kanapkę i jedną lub dwie szklaneczki whisky. Pierwszy raz w życiu zaczęła go dręczyć bezsenność, a w ciągu dnia jakiś dziwny niepokój. Mike Passano namawiał go, aby wziął urlop, ale była to ostatnia rzecz, jakiej Sam potrzebował. Coraz częściej natomiast przytąpywał się na tym, że po prostu ma dość Nowego Jorku. Tęsknił za Anglią, jej mgłami, wiecznie zielonymi polami, czerwonymi londyńskimi autobusami, a nawet za ciepłym piwem!

Któregoś wieczoru, kiedy już popadł w najgłębszą otchłań rozpacz, w jego mieszkaniu rozległ się dzwonek telefonu. Dzwonił z Londynu sam sir David Swinfield.

- Możemy porozmawiać, Samie?

- Czemu nie, panie dyrektorze.

- Słyszałem, że masz kłopoty.

- Złe wiadomości zawsze szybko się rozchodzą.

- Mike Passano dziś mi o tym powiedział. Bardzo mi przykro.

- Dziękuję panu bardzo.

- Może przydałaby ci się jakaś mała odmiana?

Zaniepokoiło to Sama.

- Co pan dyrektor ma na myśli?

- Coś, co mogłoby cię zainteresować. Udział w nowym projekcie.

- Gdzie to ma być?

- W Anglii.

- Czy to znaczy, że miałbym opuścić Nowy Jork?

- Przepracowałeś tam już sześć lat. Uzgodnię to z Mikiem.

- A kto zajmie moje miejsce?
- Lowell Oldberg.
- Ależ on nie ma żadnego doświadczenia!
- Ty na początku też nie miałeś.
- Czy to ma być degradacja? - zapytał beznamiętnym głosem Sam.

- Nie, tylko przesunięcie. Raz tam, raz z powrotem. - Po przerwie dodał: - Będziesz musiał wrócić tu, Samie, bo jesteś mi potrzebny. Wszystko pozostałe to kwestia czasu.

Dom na Beaulieu Road był trzypiętrową willą w stylu wiktoriańskim, oddzieloną od chodnika skrawkiem dawnego ogrodu przerobionego na wybrukowany parking. I tak zresztą samochody parkowały po obu stronach ulicy, stanowiąc widomy znak zamożności mieszkańców. Oczywiście rosły tam także drzewa, o tej porze bezlistne, ale w lecie stwarzały miłe złudzenie przedmieścia oddalonego od miejskiego gwaru.

Na razie wskutek pochmurnej pogody na dworze panowały wciąż ciemności, ale z otwierających się drzwi od frontu buchnęła struga światła. Podczas gdy Sam płacił taksówkarzowi, na jego spotkanie wyszedł potężnie zbudowany mężczyzna, Neil Philip. Sam zauważył, że był on tylko połowicznie przygotowany do spędzenia dnia w City, bo wprawdzie miał na sobie spodnie od garnituru, ale całości dopełniał luźny, granatowy sweter z zapięciem polo.

- O, Sam, jak to dobrze, że przyjechałeś! - wołał już od furtki.

Uściskał go wylewnie, gdyż nie miał zwyczaju ukrywać swych uczuć. Taksówkarz, nie zmieniając wyrazu twarzy, odjechał, więc Neil podniósł z ziemi dwie ciężkie walizy Sama, pozostawiając go tylko z kijami golfowymi i teczką.

- Janey jeszcze zajmuje się dziećmi, ale zaraz zejdzie. Jak ci się leciało? Musisz być bardzo zmęczony! - zagadywał, stawiając walizki u podnóża schodów. - Nastawiłem wodę, może napijesz się kawy?

- Z przyjemnością.
- No to chodź do środka.

Sam zdjął płaszcz i przewiesił go przez poręcz schodów.

Z góry dochodził rozkapryszony dziecięcy głosik, z którym od razu skojarzył stojące na schodku małe kalosze i ciężarówkę - zabawkę. Wszedł za Neilem do przestronnej kuchni z przeszklonym sufitem i oknami umieszczonymi nad zlewem. Z tych ostatnich nie odsunięto jeszcze zasłon, a przez okno sufitowe widać było ciemne chmury z odblaskami światła od wewnątrz. W świetle tym dał się zauważyć kredens z sosnowego drzewa, lodówka i stół nakryty do śniadania, z kraciastą serwetą, paczuszkami płatków, dzbanuszkami na mleko i pucharami na jajka.

Neil nasypał kawy do dzbanka i zalał ją wrzątkiem. Wokoło rozszedł się świeży, apetyczny zapach.

- Może byś coś zjadł?
- Nie, dziękuję, napiję się tylko kawy.

Sam podsunął sobie krzesło i z ulgą odciążył swoje nogi. Właściwie nie rozumiał, czym się tak zmęczył, skoro przez ostatnie siedem godzin siedział.

- Wyglądasz wspaniale, Neil - powiedział.

- Bez przesady, zwyczajnie, jak to w rodzinie. - Mówiąc to, wsadził tymczasem dwie kromki chleba do opiekacza. - Prawda, jeszcze nie widziałeś tego domu! Kupiliśmy go dwa lata po twoim wyjeździe do Nowego Jorku. Janey mówi, że pniemy się w górę. Zresztą chcieliśmy mieć ogród ze względu na dzieci.

- A wiesz, że zupełnie zapomniałem!

- O czym?

- Ile one już mają lat. Od razu widać, że straciłem z wami kontakt.

- Daisy ma dziesięć lat, a Leo sześć. Bardzo przeżywają, że zostaniesz trochę u nas. Od twojego telefonu wprost nie mówią o niczym innym. Długo się będziesz mógł zatrzymać?

- Nie jestem na urlopie, Neil. Przyjechałem tu służbowo. Szef mnie wezwał, w sprawie jakiegoś nowego projektu.

- To znaczy, że nie wrócisz już do Nowego Jorku?

- Na razie nie.

- Słuchaj, tak mi przykro z powodu Debory i tego wszystkiego...

- Jeszcze o tym porozmawiamy, ale nie teraz. Za dużo trzeba by mówić.

- Najlepiej będzie, jeśli pogadamy wieczorem przy piwie. Wtedy łatwiej ci będzie wyrzucić to z siebie. W każdym razie możesz tu zostać, jak długo zechcesz.

- To ładnie z twojej strony.

- Cóż, stary, taka już moja natura.

Tymczasem grzanki wyskoczyły z opiekacza, więc Neil włożył dwie następne. Sam obserwował jego precyzyjne ruchy, choć tak potężny mężczyzna sprawiał wrażenie niezgrabnego. Wciąż miał gęstą, ciemną czuprynę, choć z widocznymi nitkami siwizny. Nabrał także więcej ciała, co nie dziwiło przy jego muskulaturze. Poza tym prawie się nie zmienił.

Z Samem znali się prawie od zawsze. Zetknęli się w pierwszych dniach nauki szkolnej, obaj tak samo zalęknieni i próbujący przystosować się do nowych rygorów. Wszystkie wolne od nauki dni Neil spędzał w domu Sama w Radley Hill, tak że w końcu matka Sama zaczęła nazywać go drugim synem. Dopiero na studiach drogi ich rozeszły się, Sam podjął bowiem dalszą naukę w Newcastle, a Neil wstąpił na uniwersytet w Edynburgu, gdzie z zapałem oddawał się grze w rugby - zakwalifikował się nawet do reprezentacji Szkocji. Okres studiów stanowił jednak tylko krótką przerwę w ich znajomości, gdyż w Londynie wkrótce odnowili serdeczne stosunki. Sam był świadkiem na ślubie Neila z Janey w katedrze św. Pawła, a Neil odwzajemnił mu tę przysługę, kiedy Sam i Debora brali ślub w ogrodzie domu jej dziadków. Sam był mu za to szczególnie wdzięczny, gdyż w przeciwnym razie nie miałyby w tak ważnej chwili przy sobie nikogo bliskiego.

Neil nalał mu kawy i wrzucił jajka do wrzącej wody. Na piętrze zrobiło się jeszcze głośniejsze, potem dał się słyszeć tupot nóg po schodach i do kuchni wpadło dwoje dzieci. Daisy miała na sobie mundurek szkolny, a Leo džinsy i sweter. W milczeniu przyglądali się gościowi.

- Cześć! - odezwał się pierwszy Sam, ale dzieci nic, tylko wlepiły w niego oczy.

- No, przywitajcie się! - ponaglił ich Neil.

- A ja myślałem, że będziesz miał na głowie kowbojski kapelusz! - nie wytrzymał Leo.

- Głuptasie, w Nowym Jorku nikt nie nosi takich kapeluszy! - uciszyła go siostra.
- Co w takim razie noszą?
- Pewnie nic.
- Jakie nic? - wtrąciła się Janey, która akurat pojawiła się w drzwiach kuchennych. Ubrana podobnie jak jej młodszy syn, szła już z otwartymi ramionami na powitanie Sama. - Och, jak dawno się nie widzieliśmy! Wspaniale, że przyjechałeś. Ale mogłeś się ogolić, ty łobuzie!
- Wybacz, po prostu byłem zbyt leniwy.
- Wiele lat cię tu nie było. Żebyś tak mógł zostać na zawsze... Daisy, przecież nie zjesz wszystkich chrupek, zostaw trochę dla Leo.

W całym domu zapanowała cisza, gdyż jego mieszkańcy wyszli do swoich zajęć - Neil do pracy, a Janey odwiozła dzieci do szkoły. Uprzednio pokazali Samowi jego pokój i łazienkę, więc wykapał się i ogolił. Nałożył frotowy szlafrok, który znalazł na drzwiach od łazienki, i położył się do łóżka. Na dworze zrobiło już się jasno i przez okno przeświecały nagie gałęzie płatanu. Ulicą przemykały coraz liczniejsze pojazdy, po niebie przesuwał się odrzutowiec, ale Sam nie słyszał tego, bo już spał.

Prawie przez cały weekend padało, natomiast w poniedziałek pogoda się poprawiła, spomiędzy chmur wyjrzały nawet skrawki błękitnego nieba. Neil nie był tym zachwycony, gdyż w sobotę w strugach deszczu oglądał mecz piłkarski, w niedzielę odbył równie deszczowy spacer do Richmond Park, a po południu całą rodziną grali w monopol, więc gdy wreszcie zrobiło się ładnie - musiał wracać do pracy.

Dzieci do szkoły podwiózł sąsiad, w domu zjawiła się czarna jak heban sprzątaczką rodem z Jamajki, a Janey udała się po zakupy.

- Zostawić ci klucz? - spytała Sama. - Będę z powrotem około czwartej.
- W takim razie nie potrzebuję klucza.
- A ty kiedy wracasz?

- Trudno mi powiedzieć.
- W każdym razie powodzenia! - Z uśmiechem cmoknęła go w policzek.

Sam wyszedł niedługo po niej, przedtem ubrawszy się stosownie do okoliczności. Zapiął szczelnie płaszcz, a na wypadek niespodziewanego deszczu pożyczył od Neila parasol. Zamknął za sobą drzwi frontowe, pozostawiając w domu tylko Murzynkę z Jamajki, umilającą sobie szorowanie wanny śpiewaniem. Było już dwadzieścia pięć po dwunastej, kiedy przeszedł całą St. James's Street i zameldował się w firmie. Portier zapytany o sir Davida Swinfielda poinformował go, że dyrektor czeka w barze na swego gościa.

Z klubu wyszli około wpół do czwartej. Przy krawężniku czekał już na sir Davida samochód z kierowcą. SzeF kurtuazyjnie zaproponował podwładnemu podwiezienie, lecz Sam grzecznie się wymówił. Odczekał, aż wytworna, czarna limuzyna oddali się na odpowiednią odległość w kierunku Piccadilly, i postanowił przynajmniej część drogi powrotnej odbyć piechotą.

Minął Green Park, Belgrave Square, Sloane Street i King's Road. Tymczasem zaczęło się ściemniać i na ulicach zapłonęły latarnie. Wystawy sklepowe wabiły świątecznymi dekoracjami i Sam przyłapał się na tym, że w ogóle zapomniał o zbliżających się świętach Bożego Narodzenia. Nie miał bladego pojęcia, gdzie i jak je w tym roku spędzi, ani też nie przychodził mu na myśl nikt, komu mógłby ofiarować jakiś prezent... Nagle wpadł na pomysł, by kupić jakieś podarunki swoim gospodarzom.

Wstąpił więc do kwiaciarni i kupił duży bukiet białych lilii dla Janey. Następnie zatrzymał się przed sklepem monopolowym, gdzie nabył butelkę szampana i koniak dla Neila. W dalszej kolejności pomyślał o dzieciach. Im też wypadało coś przynieść, ale nie wiedział, co mogłoby sprawić im radość. Najlepiej będzie, jeśli sam ich o to zapyta. Był pewien, że po dwóch dniach spędzonych w ich towarzystwie otrzyma szczerą odpowiedź.

Jednak na wysokości Wbrld's End zabrakło mu energii, a w dodatku zaczęło padać. Dochodziła piąta, a więc godzina

szczytowego spiętrzenia ruchu ulicznego, ale po jakichś pięciu minutach udało mu się złapać taksówkę. Potrwało dłuższy czas, zanim przebrnęli przez korki drogowe, ale dojeżdżając do znajomego domu na Beaulieu Road, Sam dojrzał z daleka oświetlone okna, dzięki czemu poczuł się jak u siebie.

Zadzwonił do drzwi. Otworzyła mu Janey. Była w dżinsach i czerwonym swetrze, a ciemne włosy spięła w kok sztyldkretową klamrą.

- Chwała Bogu, że już jesteś! Myślałam, że gdzieś zaginałeś.

- Chciałem zażyć trochę ruchu, dla zdrowia.

- Myślałby kto, że taka deszczowa niedziela, jak ostatnio, trwała cały tydzień! - dogadała Janey, zamykając drzwi. - Powiedz lepiej, jak ci poszło. Jadłeś lunch z szefem, prawda?

- Wszystko w porządku, ale opowiem ci o tym później. To dla ciebie, jako dowód wdzięczności za miłą gościnę. - Wręczył jej kwiaty.

- Och, dziękuję, ale naprawdę nie musiałeś... I to lilie! Cały dom będzie cudownie pachniał. Chodź do kuchni, napijesz się herbaty.

Sam zatrzymał się tylko na chwilę, aby zdjąć płaszcz i powiesić go na wieszaku wśród dziecięcych płaszczyków i kurtek. Ważąc w rękę torbę z butelkami, podążył za Janey do kuchni, gdzie schował koniak do kredensu, a szampana do lodówki.

- O, szampan! - zauważyła Janey, nastawiając wodę na herbatę. - Czy to jakieś święto?

- Może... - Zawiesił głos, siadając z łokciami opartymi na stole. - A gdzie są dzieci?

- U siebie. Pewnie oglądają telewizję lub grają na komputerze. Pozwoliłam im, bo odrobiły już lekcje.

- Coś tu wspaniale pachnie!

- To będzie na kolację, ale mam także przykrą nowinę. Spodziewamy się jeszcze jednego gościa.

- Co w tym przykrego?

- To mocno nieciekawy facet.

- Więc po co go zaprosiliście?

- Sam się wprosił. To dawny znajomy moich rodziców, któ-

ry akurat przyjechał do Londynu i nie ma co z sobą zrobić. Zadzwoił dziś do nas i mówił tak smutnym głosem, że zrobiło mi się żal i pomyślałam, iż wypada go zaprosić. Tak mi przykro, bo miałam nadzieję, że spędzimy we trójkę miły wieczór. Neil o mało się nie wściekł, kiedy zadzwoniłam do niego do pracy i uprzedziłam go o tym, ale obiecał, że wróci wcześniej, aby przygotować drinki, nakryć do stołu i rozpalic w kominku.

- Ja też mogłem to zrobić.

- Ty jesteś gościem. Powinieneś wziąć prysznic, odpocząć i zrobić się na bóstwo.

- Żeby zaimponować twemu niechcianemu gościowi? A właściwie dlaczego on jest taki antypatyczny?

Janey znalazła tymczasem duży dzban malowany w kwiaty. Napełniła go wodą i zaczęła układać w nim lilie.

- Może jest nie tyle antypatyczny, ile raczej nudny. Ma ambicję, aby uchodzić za wielkiego uwodziciela. W jego towarzystwie każdy instynktownie usuwa się poza zasięg jego rąk.

- Ach, więc to jeden z tych... - roześmiał się Sam.

- Można to i tak nazwać. Był żonaty już trzy razy, ale znów jest w stanie wolnym.

- A skąd on się w ogóle wziął?

- Chyba chodził do szkoły razem z moim ojcem, a teraz mieszka na Barbados czy może wyspach Bahama... Przeniósł się tam już dawno.

- W takim razie co robi w Londynie?

- Nie jestem pewna, ale chyba jest tu przejazdem, w drodze do Francji. Ma zamiar spędzić święta w Nicei.

- To brzmi interesująco!

- Może brzmi, ale nie jest... O, tak będzie dobrze! Jeszcze raz ci dziękuję. Postawię je w salonie jako główną dekorację.

W tym momencie zagotowała się woda, więc Janey sięgnęła po czajniczek.

- Umieram z ciekawości, żeby usłyszeć, co dziś załatwiłeś, ale muszę jeszcze przygotować pudding, a to wymaga skupienia.

- To może poczekać.

- Ale dobrze ci poszło, prawda? Wszystko się udało?

- Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Och, jak się cieszę! To naprawdę podniecające.

Sam wypił herbatę i udał się na górę, bo Janey wyprosiła go z kuchni. W pokoju dzieciennym zastał Daisy i Leo. Wyłączyli już telewizor i siedzieli przy stole zarzuconym skrawkami papieru. Wyglądało to, jakby coś wycinali, ale oprócz nożyczek na stole znajdowały się także tubki kleju, flamastry, kłębek kolorowego sznureczka i kawałki tiulowej wstążki. Na dźwięk jego kroków dzieci podniosły głowy znad swego rękodzieła.

- Cześć, Samie!

- Cześć, dzieciaki. Co wy tu robicie?

- Kartki świąteczne. Nasza pani pokazała nam dziś na zajęciach praktycznych, jak się to robi, a teraz uczę Leo. Trzeba najpierw rozsmarować klej na kartoniku, a potem posypać to brokatem. Oczywiście obrazek trzeba najpierw narysować.

- Co na przykład?

- No, choinkę albo pończochę na prezenty czy domek z podświetlonymi oknami... Patrz, Leo, teraz trzeba złożyć papier, ale porządnie, to nie może być tak na skos...

Najwidoczniej dzieci nie potrzebowały pomocy w tym, co robiły. Sam przeszedł więc do swego pokoju, rozebrał się i wziął prysznic, zgodnie z radą Janey: „Weź prysznic, odpocznij i zrób się na bóstwo”. Umył się, przebrał we frotowy szlafrok i położył na łóżku z zamiarem przeczytania „Timesa”, którego uprzednio zabrał ze sobą na górę. Nie potrafił jednak skupić się na lekturze, więc tylko leżał i patrzył w sufit. Przez zamknięte drzwi dochodziły różne dźwięki, na przykład szczebiot dzieci, dzwonki telefonu i kroki Janey, kiedy szła podnieść słuchawkę. Z dołu docierał także smakowity zapach potraw szykowanych na kolację i słychać było odkręcanie kurków od wanny, w której dzieci brały kąpiel.

Sam od dawna nie doświadczał prawdziwego życia rodzinnego ani nie spotkał się z tak serdecznym powitaniem. Zdał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy Debora opuściła go znacznie wcześniej, zanim oficjalnie zapowiedziała swoje odejście, tylko był za bardzo pochłonięty pracą, aby zorientować się w stopniowym rozkładzie ich pożycia małżeńskiego. Wiedział, że wina nigdy nie leży po jednej ze stron - zawsze przynajmniej część winy spada na drugą stronę.

Atmosfera panująca w ciepłym i serdecznym domu jego londyńskich przyjaciół przypominała mu jego własny dom rodziny w Radley Hill. Tak samo był tam zawsze przyjmowany z otwartymi ramionami, na kominku płonął suty ogień, a z kuchni dochodziły apetyczne zapachy prostych, lecz smacznych potraw. Na werandzie stały rzędem buty, w hallu walały się rakiety tenisowe, a w całym domu rozlegały się wesołe głosy młodych ludzi i ich kroki na schodach. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek doczeka się takiego spokojnego, szczęśliwego życia na łonie rodziny, bo jak na razie nic na to nie wskazywało. Może powinien mieć dzieci z Deborą, ale ona niezbyt się do tego kwapiła, a on nie chciał zanadto nalegać. Z czasem okazało się zresztą, że tak było lepiej, ale przez to ich luksusowy apartament przy ulicy E70 nigdy nie stał się prawdziwym domem dla ich dwojga. Prawda, że wszyscy znajomi zazdrościli mu gustownego wystroju salonu w tonacji kremowobeżowej, nowoczesnych rzeźb i abstrakcyjnych malowideł, a kuchnia stanowiła szczyt funkcjonalności - ale też w tej kuchni rzadko serwowano coś więcej niż plaster melona czy kupną pizzę, bo Debora wolała urządzać przyjęcia w restauracjach.

W porównaniu z obłądnym tempem życia w miejskim gwarze, wiecznym napięciu i smrodzie spalin jego prosty kamienny dom w Yorkshire, z tarasem, trawnikami i grządkami róż, wydał mu się rajem na ziemi. Z rozrzewnieniem wspominał miasteczko, gdzie mieściło się rodzinne przedsiębiorstwo, snuły się dymy z jego kominów, a ocienione drzewami uliczki przecinała rzeka spływająca z gór pod łukami mostów. Jakby jeszcze dziś słyszał plusk tej wody... A te długie niedzielne wyprawy z ojcem na ryby? Łowili je w małych górskich jeziorach, gdzie powietrze było czyste i chłodne, a ciszę mącił tylko krzyk kulików...

Tymczasem tu za oknem słyhać było tylko przejeżdżające samochody, a potem drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły. Usłyszał głos Janey mówiącej: „Cześć, kochanie!”, co znaczyło, że jego przyjaciel wrócił już do domu.

Sam zwlókł się z łóżka, zrzucił szlafrok i ubrał się stosownie do rangi wieczoru, który go czekał. Włożył czystą koszulę, zaprasowane na kant spodnie i granatowy kaszmirowy sweter,

bez krawata. Do tego kremowe skarpetki i wypucowane do połysku pantofle. Jeszcze przyczesał włosy, spryskał się płynem po goleniu i zszedł na dół. W salonie zastał Neila, który, tylko w samej koszuli, wycierał szklanki, aby je ustawić na stole z napojami.

Salon był posprzątany i odświeżenie przystrojony. Książki i pisma schludnie poukładano, poduszki odświeżono, a na kominku płonął ogień. Lilie, które przyniósł Sam, stały w dzbanku na okrągłym, politurowanym stole. W ogrzanym powietrzu lepiej rozchodził się ich zapach. Zegar na parapecie kominka wskazywał kwadrans po siódmej.

- Cześć! - odezwał się Sam.

- Ach, to ty! - Neil odwrócił się od swojej roboty. - Jak ci się spało?

- Powinienem raczej pomóc ci przy tym wszystkim.

- A niby po co? Wyrwałem się z pracy dostatecznie wcześniej, aby pełnić honory pana domu.

- Obawiam się, że będziemy mieli gościa na kolacji.

- Nie musieliśmy zapraszać tego starego durnia, ale Janey ma za miękkie serce! - Neil zrobił żalostną minę. Jeszcze raz przetarł ostatnią szklankę i zawyrokował: - No to by było na tyle. Usiądźmy na chwilę i napijmy się czegoś. Może dowiem się, co jest grane, zanim zostaniemy skazani na wysłuchiwanie wypocin naszego gościa. Chcesz whisky z wodą sodową czy zwykłą, z lodem czy bez? Widzisz, pamiętam, jak się co nazywa, na wypadek, gdybyś zapomniał naszej mowy.

- Chyba z wodą sodową, to brzmi najlepiej. Gdzie jest Janey?

- Ubija śmietankę.

- A dzieci?

- Mam nadzieję, że już w łóżkach. Nawet jeśli nie śpią, to niech przynajmniej coś sobie poczytają, żeby nam nie przeszkadzały. - Ponalewał drinki, dodał lodu i podał Samowi pełną szklankę, po czym z westchnieniem ulgi rozsiadł się w jednym z miękkich foteli ustawionych przy kominku. - Powiedz mi teraz, jak ci się udał ten lunch z szefem.

- Myślę, że wszystko w porządku - rzekł Sam, zasiadając w drugim fotelu.

- Chyba nie dał ci dyskretnie do zrozumienia, że zamierza cię wylać?

- Wręcz przeciwnie - roześmiał się Sam. Miło mu było mieć przy sobie kogoś, kogo znał od tak dawna, że nie musiał nic przed nim ukrywać.

- Więc co, czyżby oferował ci posadę?

- I owszem.

- W Stanach?

- Nie, w Anglii.

- Co to ma być?

Sam nie odpowiedział od razu, tylko najpierw pociągnął długi łyk chłodnego i orzeźwiającego drinka, delektując się jego smakiem. Dopiero gdy odstawił szklanę, przeszedł do konkretów.

- Słyszałeś kiedyś o firmie McTaggartów w Buckley?

- To ci producenci tweedu w Sutherland?

- Zgadza się.

- Oczywiście, przecież każdy szanujący się ziemianin wkłada na polowanie ubranie z tweedu wyprodukowanego w Buckley! Mój ojciec też miał takie, czy może jeszcze ma... Pamiętam, że wyglądało to jak prawdziwa zbroja. - Zachichotał na samo wspomnienie tego stroju. - Tylko mi nie mów, że ta firma ma kłopoty!

- Raczej miała. Kilka miesięcy temu wykupił ją koncern Sturrock i Swinfield. Dziwię się, że o tym nie wiedziałaś, ale pewnie nie czytujesz „Financial Timesa”.

- Zazwyczaj czytam, ale musiałem przepuścić akurat ten numer. Przemysł tekstylny to nie moja działka. Coś podobnego, żeby McTaggartowie splajtowali! - Usta wykrzywił mu smutny uśmiech. - Rzeczywiście, jak mogli myśleć, że zrobią pieniądze na towarze, który jest nie do zdarcia!

- To był rzeczywiście problem. Pewnie mieli staroświecki sprzęt i nie widzieli potrzeby zmiany profilu. Zresztą w ogóle rynek na klasyczne tweedy kurczy się w zastraszającym tempie, pewnie dlatego, że wielkie majątki ziemskie idą pod młotek i tereny łowieckie świecą pustkami, a leśnicy i gajowi nie noszą już tweedowych ubrań. Poza tym ta firma miała też inne trudności. Stary McTaggart umarł dwa lata temu, a jego

dwaj synowie nie kwapili się do przejścia interesu. Jeden pracował w branży komputerowej, a drugi prowadził salon samochodowy na przedmieściach Glasgow i żaden nie chciał nawet myśleć o powrocie w domowe pielesze. Sądzę, że życie na północy straciło już swój urok.

- Coś nadzwyczajnego! - westchnął Neil. - No cóż, każdy ma swoje aspiracje. Więc co tam dalej się działo?

- Ano, synowie próbowali wydrzeć, co się dało. Najpierw wyprzedali młyny foluszowe, a potem wystawili cały obiekt na sprzedaż. Nie znaleźli jednak zbyt wielu chętnych do kupna, więc oddali sprawę w ręce Agencji Przedsiębiorczości Lokalnej, która ustanowiła tymczasowy zarząd komisaryczny nad zakładami. Rozumiesz chyba, że w tamtych stronach nie mieli do dyspozycji niewyczerpanego źródła siły roboczej, ale pracownicy tych zakładów siedzieli w branży od pokoleń - zawód tkacza, przędzacza czy farbiarza przechodził tam z ojca na syna. - Sam wysączył ostatnie krople ze swej szklanki. - Początkowo więc jakoś sobie radzili, zdobywali nowe zamówienia, zawarli nawet kontrakt na eksport do Stanów... Aż tu trach, i katastrofa. Przez dwa miesiące lało bez przerwy, aż rzeka wystąpiła z brzegów. Wskutek powodzi stracili wszystkie zapasy, sprzęt i urządzenia, a wtedy bank odmówił im kredytów, agencja umyła ręce, a pracownicy znaleźli się na bruku.

- A to pech! - westchnął Neil, wstając, żeby zabrać od Sama pustą szklankę.

- Rzeczywiście. Nie mieli więc innego wyjścia, jak tylko zwrócić się do Sturrocka i Swinfielda. David Swinfield przeprowadził symulację opłacalności i zdecydował, że podjęcie się ratowania przedsiębiorstwa. Oczywiście zakłady są jeszcze w strasznym stanie, bo nie pracują od czasu powodzi. Zwolniono wszystkich pracowników z wyjątkiem trzech.

- A jaka ma być twoja rola w tym wszystkim? - zagadnął Neil, podsuwając Samowi napełnioną szklankę.

- Mam tam pojechać i postawić zakład z powrotem na nogi.

- Tylko tyle i nic więcej?

- To wcale nie tak mało. Park maszynowy zakładu był już mocno zdekapitalizowany jeszcze przed powodzią. Większość

urządzeń pochodziła chyba jeszcze z czasów króla Ćwieczka. Ponowne uruchomienie produkcji zajmie nam najmarniej rok.

- Nie rozumiem, jakim sposobem Swinfield mógł wykazać opłacalność podobnej inwestycji. Sądziś, że na takim odludziu ma to szanse powodzenia? Wydaje mi się, że nie opłaci mu się skórka za wyprawkę.

- Czy ja wiem? Oczywiście będziemy musieli wykazać większą elastyczność, ale marka McTaggart wciąż cieszy się światową renomą. Jeśli uda nam się wejść na rynek towarów luksusowych, możemy zbić duży szmal.

- Czyżby? Myślisz, że popyt na stare, pocziwe, niezniszczalne tweedy będzie trwał wiecznie? Jeśli tak, to musisz ich się trzymać.

- Pewnie, że będziemy je produkować, lecz także szkockie tartany, bo to należy do tradycji firmy. Rozszerzymy znacznie zakres produkcji o lżejsze, kolorowe materiały, na przykład na marynarki, które dobrze idą na rynku włoskim. Będziemy robić szaliki, chustki, swetry, narzuty - to, co modne, drogie, a przy tym nietrwałe.

- Na przykład wyroby z kaszmiru?

- O, właśnie.

- No to pewnie planujecie już wyprawy w najbliższe zakątki Chin?

- Owszem, David Swinfield ma swoich przedstawicieli w Mandżurii.

- A skąd weźmiecie wyposażenie?

- Prawdopodobnie sprowadzimy je ze Szwajcarii.

- W takim wypadku pracowników trzeba będzie gruntownie przeszkolić.

- Tym już zajmą się nasi zaopatrzeniowcy, ale nie obejdzie się bez redukcji personelu.

Neil w milczeniu przetrwał usłyszane przed chwilą wiadomości. Sprawiał wrażenie kompletnie zaszokowanego.

- To brzmi intrygująco - pokręcił głową - ale nie wyobrażam sobie, jak po latach pobytu w Londynie i Nowym Jorku miałbyś osiąść wśród torfowisk. To tak jakby nagle mianowano cię wicekonsulem brytyjskim na Andamanach lub czymś podobnym.

- Wiem o tym i jestem na to przygotowany.
- A co z poborami?
- Dostanę podwyżkę.
- Ach, więc po prostu cię przekupili?
- Raczej zaproponowali zwiększony udział w zyskach.
- Dobrze, ale co ty tam zamierzasz robić w czasie wolnym od pracy? Przecież nie będziesz spędzał całej doby na hali fabrycznej lub w dziale księgowości? O ile wiem, w Buckley nie ma zbyt wielu rozrywek, chyba że nauczysz się grać w bingo.

- No, mogę także powrócić do wędkowania. Pamiętasz, jak zawsze jeździliśmy z ojcem na ryby? Mogę jeszcze grać w golfa, bo słyszałem, że są tam fajne tereny. Pewnie zapiszę się do różnych klubów i zaprzyjaźnię się z ekscentrycznymi starszymi panami.

- A nie uważasz, że się tym sposobem uwstecznisz?

- Czy powrót do korzeni to uwstecznienie? Zresztą nawet podoba mi się perspektywa wyciągania tej firmy z dołka. W końcu zdążyłem sporo nauczyć się od ojca o prowadzeniu takiego interesu, a pamiętasz, jak on kochał tę pracę? Mniej więcej tak, jak niektórzy faceci kochają swoje samochody. Wystarczyło spojrzeć, jak dotykał beli wełny, takim gestem, jak gdyby je pieścił! Chyba to po nim odziedziczyłem, a zresztą mam już dosyć marketingu. Marzę, aby znów wrócić na halę fabryczną, tak jak na samym początku. Chyba tego właśnie mi było trzeba!

Neil mierzył go wzrokiem przez całą szerokość kominka. W końcu wyrzucił z siebie:

- Nie obraż się, ale czy nie sądzisz, że twój szef traktuje cię cokolwiek paternalistycznie?

- Myślisz, że to z powodu moich kłopotów w życiu prywatnym?

- Szczerze mówiąc, tak.

- Bądź spokojny, bo jeszcze przy serach pytałem go o to samo. Okazało się, że wyznaczył mnie na tę posadę na długo przedtem, nim usłyszał o moich problemach z Deborahą.

- Rzeczywiście, to było głupie pytanie. Sir David Swinfield nie zaszedłby tak wysoko, gdyby kierował się tylko miękkim sercem. Od kiedy masz zamiar zacząć?

- Jak najszybciej, tylko najpierw trzeba wszystko dokładnie rozplanować i uporządkować. Najutro wyznaczone jest spotkanie ze specjalistami od spraw finansowych, restrukturyzacji i innych takich rzeczy.

- Ciekawe, gdzie ty tam będziesz mieszkał. Chyba sam powiedziałaś, że synowie McTaggartów wyprzedali wszystkie mieszkania zakładowe.

- Rzeczywiście, ale to drobiazg. Mogę zatrzymać się w jakimś zajeździe lub wynająć domek. Właściwie wystarczyłby mi nawet szałas, byle z ładną dziewczyną w środku.

- Ach, ty stary łobuzie! - roześmiał się Neil. Przeciagnał się w fotelu, przecesał włosy palcami i spojrział na zegarek. - No cóż, mogę tylko życzyć ci powodzenia.

- Wydaje mi się, że wystarczy dobry kopniak na rozruch tego interesu.

- Na wszelki wypadek lepiej od razu kup sobie dobre buty futbolowe! - zażartował Neil. Dalej już nie mógł rozwijać tego tematu, bo właśnie w tej chwili zadzwonił dzwonek przy drzwiach. - O kurczę, to na pewno ten stary nudziarz!

Odstawił szklanę i wstał, ale jednocześnie otworzyły się drzwi kuchni i Janey wyszła na powitanie gościa.

- Cześć, jak miło cię widzieć! - W jej głosie przebijał szczerzy zachwyt, więc Sam, nie po raz pierwszy zresztą, podziwiał jej życzliwość i dobre maniery. - Proszę, wejdz. O, czekoladki, jak to ładnie z twojej strony... Żeby tylko dzieci się do nich nie dobrały... Szedłeś tu od stacji metra czy wzięłaś tak-sówkę? Daj, powieszę twój płaszcz... Neil jest w salonie...

Przez otwarte drzwi do tego pomieszczenia widać było, że obaj znajdujący się tam mężczyźni wstali. Neil postąpił krok naprzód, aby przywitać gościa wprowadzanego przez Janey.

- O, jak się masz...

- Niech ja skonom, Neil! Kopę lat! Jak to miło z twojej strony...

- Ależ to nic takiego...

- Popatrz, co dostałam! - wtrąciła się Janey. Zdażyła się przebrać do kolacji w czarne aksamitne spodnie i białą atłasową bluzkę, ale nie zdjęła jeszcze fartuszka w czerwone i białe

pasy. Z dumą zaprezentowała pudełko miętowych czekoladek. - Takie, jakie lubię!

- To tylko taki symboliczny prezencik, aby przypomnieć, jak dawno już nie widziałem was obojga. Zaraz, kiedyśmy to się ostatnio spotkali? Na lunchu u twoich rodziców, Janey? Kopę lat temu...

Sam stanął przy gzymsie kominka, opierając się o niego plecami. Z tej pozycji obserwował nowego gościa. Musiał być dobrze po sześćdziesiątce, ale zachowywał się, jakby miał o czterdzieści lat mniej. Kiedyś musiał być przystojny, w typie Davida Nivena, ale od tamtego czasu jego rysy rozlały się, na policzkach wystąpiły czerwone żyłki, a na wąsikach i palcach u rąk - trwałe plamy po tytoniu. Siwe, znacznie już przerzedzone włosy opadały z tyłu na kołnierzyk, niebieskie oczy wyblakły, choć zachowały dawny błysk, a na opalonej skórze twarzy i dłoni pojawiły się plamy wątrobiane. Ubrany był w szare flanelowe spodnie, pantofle z brązowego zamszu, granatowy blezer zapinany na mosiężne guziki i biało-niebieską koszulę w paseczki. Pod wysokim, sztywnym kołnierzykiem zawiązał jedwabny krawat w rażąco jaskrawe, czerwone, żółte i turkusowe wzory. Do tego nosił złoty zegarek na bransoletce i złote spinki do mankietów. Jasne, że musiał sporo popracować nad swoim wyglądem, a jeszcze skropił się obficie wodą toaletową Eau Savage.

- A żebyś wiedział, że kopę lat - podchwyciła Janey. - Dokładnie siedem, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Wiltshire... Zaraz, niech was sobie przedstawię: to jest Sam Howard, który zatrzyma się u nas przez kilka dni. Samie, to jest Hughie McLellan.

- Bardzo mi przyjemnie.

- Miło mi pana poznać. - Obaj panowie wymienili uściski dłoni.

- Sam i Neil przyjaźnili się chyba od zawsze, jeszcze od czasów szkolnych - wyjaśniła Janey.

- Nie ma to jak stary kumpel. Ależ w tym Londynie straszny ruch! Szpilki nie ma gdzie wetknąć. Potrzebowałem piętnastu minut, aby złapać taksówkę.

- Gdzie się zatrzymałeś? - spytał Neil.

- Oczywiście w moim klubie, ale nie jest tam już tak jak dawniej. Dałem w łapę portieRowi, ale mogłem równie dobrze oszczędzić sobie wydatku i fatygi.

- Napijesz się czegoś, Hughie?

Twarz gościa wyraźnie się rozjaśniła.

- To jest myśl! - odparł, taksując wzrokiem stół z butelkami i szklankami. - Może być gin z tonikiem. Janey, nie masz nic przeciwko temu, że zapalę?

- Nie, skądże! Gdzieś tu powinna być popielniczka.

Janey poszukała na biurku, znalazła popielniczkę, opróżniła ją ze ścinków papieru i postawiła na stoliku przy kanapie.

- Co za czasy, prawie nikt nie pali. A najgorzej w Nowym Jorku. Spróbuj puścić dymka, to zaraz chcą cię zlinczować.

Z kieszeni blezera wyciągnął srebrną papierośnicę, wyjął z niej papierosa i przypalił złotą zapalniczką. Wypuścił kłęb dymu i od razu poczuł się bardziej odprężony. Wyciągnął rękę po szklankę, którą podawał mu Neil.

- Dziękuję, drogi chłopcze. Wszystkiego dobrego!

- A ty nie napijesz się, Janey?

- Dziękuję, nalałam już sobie szklaneczkę wina w kuchni. A propos wina, Neil, czy mógłbyś otworzyć butelkę czegoś dobrego do kolacji?

- Oczywiście. Przepraszam, powinienem zrobić to wcześniej. Zostawię was na chwilę sAmych. Rozgość się, Hughie, Sam dotrzyma ci towarzystwa.

Hughie zastosował się do sugestii pana domu. Rozsiadł się wygodnie na kanapie, z drinkiem i popielniczką w zasięgu ręki.

- Ale mają uroczy dom! Jeszcze tu nie byłem. Kiedy ich ostatni raz odwiedziłem, mieszkali jeszcze w Fulham. Znam Janey od dziecka, bo od dawna przyjaźniłem się z jej rodzicami.

- Mówiła mi, że pan przyjechał tu z Barbados.

- Tak, mam tam dom w Speightstown, ale co jakiś czas wpadam do Londynu, aby, jak to mówią, trzymać rękę na pulsie. Spotykam się wtedy z moim maklerem giełdowym, odwiedzam fryzjera i krawca... Przykro mówić, ale za każdym razem ubywa starych przyjaciół. Coraz to ktoś kopnie w kalendarz. Nie da się ukryć, po prostu się starzejemy!

Zdusił papierosa, pociągnął długi łyk ginu z tonikiem, świdrując przy tym Sama podejrzliwym wzrokiem.

- Pan przyjechał tu na urlop?

- Można to i tak nazwać, ale tylko na kilka dni.

- W jakiej branży pan robi?

- W handlu wełną. - Sam nie chciał jednak mówić o sobie, więc szybko zmienił temat: - A długo już pan mieszka na Barbados?

- Około trzydziestu lat. Z tego przez piętnaście lat prezesowałem w Klubie Plażowym, ale rzuciłem to, aby nie popaść w alkoholizm. Przedtem mieszkałem w Szkocji, gdzie mam majątek ziemski. Ojciec przepisał go na mnie, żeby nie płacić podatku spadkowego.

Wzbudził tym zainteresowanie Sama, który zapytał:

- Co to za majątek?

- No, duża posiadłość, gospodarstwo rolne, wielki dwór w stylu wiktoriańskim. Są tam dobre tereny łowieckie i rybne wody.

- Próbował pan zamieszkać tam na stałe?

- Owszem, ale przetrzymać zimy w tamtejszej strefie klimatycznej to nie takie proste! Poza tym, jeśli ktoś zdecydowałby się na życie na takim odludziu, musiałby zapewnić sobie odpowiednie zaplecze. Nasi dziadkowie dysponowali całą armią taniej siły roboczej, a ile kosztowało mnie samo tylko ogrzanie tego piekielnego domiska! Mało tego, moja pierwsza małżonka miała bzika na punkcie przyjmowania gości. Gromadziła takie ilości żarcia i picia, że starczyłoby na pułk wojska! Rzeczywiście, tego się nie da zapomnieć!

Wspominając dawne czasy, Hughie machinalnie bawił się swoim jedwabnym krawatem.

- Oczywiście to nie mogło trwać wiecznie - kontynuował wspomnienia. - Któregoś dnia Elaine uciekła z handlarzem używanych mebli, a bez niej utrzymywanie tego majątku w ogóle straciło sens. Do tego jeszcze połowa służby odeszła, a bank zaczął dopominać się o spłaty...

Sam słuchał tej przemowy z mieszanymi uczuciami. Trudne mu było współczuć człowiekowi, który otrzymał tak cenn

spadek i zmarnował go, a jego żałosna fanfaronada budziła tylko politowanie.

- Sprzedałem więc to wszystko i wyniosłem się na Barbados. To było jeszcze najlepsze, co mogłem zrobić - zakończył Hughie.

- Tak zwyczajnie pan to sprzedał? Ze wszystkim?

- No, powiedzmy, prawie wszystko. Rozprzedawałem tę posiadłość partiami. Farmę nabył jej dotychczasowy dzierżawca. Domki odstąpiłem dawnym pracownikom, obecnie na emeryturze. Resztę, to znaczy dwór, stajnie i tereny łowieckie, sprzedałem miejscowej agencji turystycznej, organizującej wycieczki z wędką czy ze strzelbą.

Hughie wysączył do dna swojego drinka i wpatrywał się tęsknym wzrokiem w pustą szklanekę.

- Nalać panu jeszcze? - zaproponował Sam.

- Świetny pomysł, tylko nie za dużo toniku.

Hughie wyraźnie się rozpromienił, więc Sam wyjął z jego ręki pustą szklanekę, a on tymczasem sięgnął po papierosy. Mieszając drinka, Sam spytał:

- Jak długo pan zostaje w Londynie?

- Jak najkrócej. Przyleciałem tu jakieś cztery dni temu, a w środę odlatuję do Nicei. Mam tam starą znajomą, Maudie Peabody, może ją znasz? - Hughie już zupełnie zarzucił konwenanse. - O, dziękuję ci, stary. Fajny z ciebie chłop. ZnAmy się z Maudie, odkąd przybyłem na Barbados. To Amerykanka. Nadziana jak nie wiem co. Ma wspaniałą willę w pobliżu Cannes. Chcę spędzić z nią święta i Nowy Rok, a potem wracam do Barbados.

- Musisz być cholernie dobrze zorganizowany! - Sam przejął jego styl.

- Nie najgorzej. Robię, co mogę, aby nie odczuwać samotności. Widzisz, moje małżeństwa okazały się nieudane, a do tego cholernie kosztowne. Wszystkie moje były żony chciałyby mnie oskubać, z czego się da.

- A dzieci masz?

- Niestety nie, bo w czasie studiów przechodziłem świnkę i okazało się, że nie będę mógł mieć dzieci. A szkoda, bo wolałbym, żeby miał się kto mną zająć na starość. Krewnych

też nie mam za wielu. Z ojcem ledwo rozmawiamy, bo wściekł się, kiedy sprzedałem ten majątek, ale nie mógł mi w tym przeszkodzić. Mam jeszcze kuzyna, takiego nudnego faceta, który mieszka w Hampshire. Próbowaliśmy niedawno do niego dzwonić, ale nikt nie odebrał telefonu.

- Gdzie mieszka twój ojciec?

- Ma wygodne, samodzielne mieszkanie blisko Albert Hall. Jeszcze się z nim nie skontaktowałem, bo odkładałem to z dnia na dzień. Może kiedy będę wracał z Francji, wdepnę do niego z kurtuazyjną wizytą. Prawdę mówiąc, nie bardzo mam o czym gadać...

Sam odczuł wyraźną ulgę, kiedy wrócili Neil i Janey. Ta ostatnia najwidoczniej uporała się już z gotowaniem, gdyż zdjęła fartuszek. Wyglądała na mocno z czegoś zadowoloną, bo bez uprzedzenia zarzuciła Samowi ręce na szyję i wylewnie go ucałowała.

- Neil powiedział mi o twojej nowej pracy - wyjaśniła. - Chyba nie gniewasz się za to na niego? To takie podniecające! Naprawdę bardzo się cieszę, że masz taką szansę.

Ponad jej głową Sam złowił spojrzenie Neila, lekko zmieszane.

- Masz coś przeciwko temu, że jej powiedziałem? - upewniał się.

- Ależ skąd! Przeciwnie, cieszę się, że oszczędziłeś mi kłopotu.

- A mnie też powiecie? - zainteresował się Hughie.

- Chodzi o nową posadę Sama - wyjaśniła Janey. - Dziś się dowiedział, że ma jechać do północnej Szkocji i tam uruchomić stary zakład.

- Naprawdę? - Po raz pierwszy Hughie zwrócił uwagę na coś, co nie dotyczyło jego samego. - Gdzie to ma być?

- Buckly, Sutherland - poinformował go Sam.

- O rany! - rozdziawił usta Hughie. - Buckly? Czy to czasem nie firma McTaggartów?

- Znasz ich?

- Jak własną kieszeń. Przecież to zaledwie kilka mil od Corrydale. Odkąd pamiętam, zawsze zamawiałem stroje myśliwskie z tweedu produkcji McTaggartów, a moja niania robiła mi

na drutach skarpety z włóczki tej samej firmy. To takie stare, rodzinne przedsiębiorstwo, istnieje chyba od stu pięćdziesięciu lat. Co tam się dzieje?

- Stary McTaggart zmarł, a synowie nie chcieli przejąć po nim firmy. Przepuścili wszystkie pieniądze, a powódź całkiem ich zrujnowała.

- Coś podobnego! To tak, jakbym dowiedział się o śmierci starego przyjaciela. I teraz ty masz się tym zająć? Kiedy tam jedziesz?

- Wkrótce.

- Masz gdzie mieszkać?

- Na razie nie, bo wszystkie mieszkania zakładowe rozprzedano. Będę musiał zatrzymać się w zajeździe i rozejrzeć za czymś do wynajęcia lub kupna.

- To ciekawe - powiedział Hughie, ale nie rozwinął tego tematu, choć od razu wszyscy zwrócili oczy na niego. Tymczasem skupił się na gaszeniu papierosa.

- Co w tym ciekawego? - indagowała Janey.

- A to, że mam tam dom.

- Gdzie konkretnie?

- Nie w sAmym Corrydale, ale w Creagan, nawet bliżej do Buckly.

- Dlaczego akurat tam?

- Kiedyś mieścił się tam zarząd majątku i mieszkała rodzina rządcy. To solidny, wiktoriański budynek z ogrodem, ale moja babcia uznała, że to za daleko od Corrydale. Przeniosła więc rządcę do nowego mieszkania, a stary dom zapisała mnie i kuzynowi do spółki.

- Kto więc teraz tam mieszka? - Neil uniósł brew.

- W tej chwili nikt. Przez dwadzieścia lat wynajmowali go małżonkowie Cochrane, ale jedno z nich zmarło, a drugie przeniosło się do swojej rodziny. Tak naprawdę przyjechałem do Londynu specjalnie po to, aby wystawić ten obiekt na sprzedaż. Próbowałem dodzwonić się do Oskara, który jest współwłaścicielem, ale nie mogłem go złapać. Może zmarł, bo ten człowiek potrafiłby sam siebie zanudzić na śmierć.

Janey puściła mimo uszu ten złośliwy przytyk.

- Czy on zgodzi się sprzedać swoją połowę domu? - zapytała.

- A niby dlaczego nie miałyby się zgodzić? Po cholere mu ta chałupa? Umówiłem się już na jutro z przedstawicielem agencji Hurst i Fieldmore, bo chcę mieć jasność, czy oni podjęliby się przeprowadzenia tej transakcji.

- A co na to twój kuzyn?

- Jakoś to z nim załatwię, kiedy będę wracał z Francji.

- Po co więc mówisz nam to wszystko?

- Ponieważ tak się składa, że wasz przyjaciel Sam potrzebuje domu, a ja właśnie coś takiego mam. Miałyby stamtąd blisko do pracy, na miejscu sklepy i wspaniałe pole golfowe... Czegoż trzeba więcej? - Patrząc na Neila, dodał jeszcze: - Co szkodzi rzucić okiem i sprawdzić na miejscu? Na pewno się dogadamy.

- A ile byś chciał za to? - podpytywał ostrożnie Sam.

- Cóż, nikt tego jeszcze oficjalnie nie wycenił, ale... - Hughie zrobił przerwę, spuszczać oczy i strząsając popiół z papiosa. - Powiedzmy: sto pięćdziesiąt tysięcy.

- Razem dla ciebie i kuzyna?

- Tak, po siedemdziesiąt pięć na głowę.

- Jak szybko mógłbyś się z nim skontaktować?

- Nie mam pojęcia, bo on potrafi być nieuchwytny, ale to nie przeszkadza, abyś mógł tam pojechać i się rozejrzeć.

- A czy na miejscu zastanę jakiegoś agenta czy kogoś w tym rodzaju, z kim mógłbym się skontaktować?

- Po co? - Hughie sięgnął do kieszeni spodni i wyjął stamtąd masywny, staroświecki klucz opatrzony czerwoną tabliczką z napisem wielkimi literami: „Zarząd Majątku”. Triumfalnym gestem podniósł go w górę.

- Przez cały czas nosisz to przy sobie? - Janey nie posiadała się ze zdziwienia.

- Skądże, głuptasku. Wziąłem go ze sobą na jutrzejsze spotkanie w agencji Hurst i Fieldmore, bo chciałem go im przekazać.

Sam wziął z jego rąk klucz.

- Jak będę mógł dać ci znać, co postanowiłem?

- Masz moją wizytówkę, żebyś mógł wysłać mi faks na

Barbados. A tu jest numer telefonu do Maudie, w razie gdybyś podjął decyzję nie cierpiącą zwłoki.

- Dziękuję, z przyjemnością obejrzę ten dom, ale oczywiście nie będziemy mogli nic postanowić bez zgody twojego kuzyna.

- Pewnie, że nie będziemy nic knuć poza jego plecami, ale myślę, że to jest rozsądna propozycja.

Przez chwilę zapanowała cisza, którą przerwała Janey.

- Co za nadzwyczajny zbieg okoliczności! Myślę, że w tym jest palec boży. Na pewno wszystko pójdzie jak z płatka. Właściwie powinniśmy to oblać. Otwórzmy tego szampana, którego dostaliśmy od Sama, i wypijmy za jego zdrowie, pomysłność w nowej pracy i w nowym domu!

- Świetny pomysł! - zgodził się Hughie. - Ja bym jednak raczej poprosił o jeszcze trochę ginu z tonikiem.

Carrie

Tej nocy śniła jej się Austria, a dokładnie Oberbeuren. Niebo w tym śnie było lazurowe, a śnieg tak oślepiająco biały, że każdy płatek z osobna lśnił jak klejnot. Carrie widziała siebie na nartach, jak zjeżdżała z ośnieżonego zbocza, które zdawało się nie mieć końca. Trasa zjazdu wiodła między sosnami, aż w którymś momencie Carrie zdała sobie sprawę, że nie jest sama. Daleko przed sobą widziała czarną sylwetkę innego samotnego narciarza szusującego po śniegu. Wiedziała, że to Andreas, i chciała dać mu znać, że jest tutaj, aby na nią zaczekał. Krzyczała nawet za nim: „Andreas, zatrzymaj się, chcę być z tobą! Zjeżdżajmy razem!” Słyszała własny głos niesiony wiatrem i skrzyp własnych nart po stoku, ale Andreas znikł. Dopiero gdy dotarła na szczyt następnego pagórka - zobaczyła, że stoi na wzgórzu i czeka na nią. Głowę miał uniesioną, gogle podsunięte nad czoło...

Widziała, że się uśmiechał, bo w jego opalonej na brąz twarzy widać było białe zęby. Pewnie tylko udawał, że od niej ucieka, aby ją postraszyć... Kiedy jednak podjechała bliżej,

stwierdziła, że to nie Andreas, ale jakiś obcy mężczyzna, z dra-
pieźnie wyszczerzonymi zębami i twardym, bezlitosnym spoj-
rzeniem. Nawet niebo utraciło swój błękit i pociemniało, jakby
zbierało się na burzę...

Z tego strachu Carrie obudziła się i skonstatowała, że patrzy
otwartymi oczyma w ciemność nocy, w której słychać jedynie
bicie jej własnego serca. Za szybami nie zasłoniętego okna
świeciły uliczne latarnie. Znajdowała się bowiem w Londynie,
a nie w żadnej Austrii. Spała nie w swoim przesyconym zapa-
chem sosen mieszkaniu z balkonem, ale w zapasowej sypialni
u swoich przyjaciół, Sary i Davida Lumleyów w Putney. Za
oknem nie lśniło wygwieżdżone zimowe niebo, tylko siał deszcz.
Sen przysł, a wraz z nim zniknął Andreas, który i tak
nigdy do niej w pełni nie należał. Wszystko się skończyło.

Wyciągnęła rękę i namacała budzik na nocnym stoliku. Była
dopiero szósta rano, a o tej porze w początkach grudnia jeszcze
panowały ciemności.

Sama w pustym łóżku poczuła gwałtowny przypływ pożą-
dania. Tak pragnęła, aby leżał przy niej Andreas i przytulał ją
do swego gładkiego, muskularnego ciała. Chciała w tej chwili
znajdować się razem z nim w rzeźbionym drewnianym łożu
pod pochyłymi krokiewmi facjatki, by wspólnie nurzać się
w puchu i rozkoszy. Przewróciła się na bok i zwinęła w kłębek,
aby choć w ten sposób ogrzać się i pocieszyć. Wmawiała sobie,
że złe dni miną jak choroba, po której wszystko wróci do nor-
my. Pokrzepiona tą myślą, wtuliła twarz w poduszkę i ponow-
nie zasnęła.

O dziewiątej, kiedy znów się obudziła, było już jasno. Da-
vid i Sara wyszli już do pracy, co oznaczało, że została sama
w pustym domu. Przebywała tu od tygodnia, a jeszcze nie
zdażyła nic załatwić - nie widziała się z nikim ani nie poczy-
niła żadnych kroków w kierunku znalezienia nowego zajęcia,
korzystając z niewyczerpanej wyrozumiałości Davida i Sary.
Jedynym, co zrobiła w dziedzinie nawiązania kontaktów z ro-
dziną, był telefon do ojca w Kornwalii. Rozmawiała z nim chy-
ba przez godzinę, co znacznie poprawiło jej nastrój. Jednak oj-
ciec prosił ją, aby odezwała się także do matki, a ona, mimo iż
obiecała, że to zrobi, odkładała ten moment w nieskończoność.

Teraz zaś wiedziała, że dłużej nie da się odwlekać tej konfrontacji. Jeszcze dziś rano musi zadzwonić do Dodie. Już wyobrażała sobie, jak zaszczębiocze z udawaną radością: „Dzień dobry! Niespodzianka! Zgadnij, gdzie jestem? W Londynie!”

Na pewno matka najpierw się zdziwi, a potem nastąpi ławina usprawiedliwień i wymówek. W końcu obie umówią się na spotkanie. Carrie nie odczuwała przed tym lęku, ale też zbyt nie kwapiła się do kontaktów z matką i siostrą, Nicolą. Wiedziała, że nie mają jej nic przyjemnego do powiedzenia, ale jednak były rodziną, więc im szybciej będzie to miała z głowy, tym lepiej.

Wstała z łóżka, nałożyła szlafrok i zeszła na dół. Kuchnia lśniła czystością, gdyż Sara świetnie umiała łączyć pracę zawodową z obowiązkami domowymi. Znalazła nawet czas, aby zostawić Carrie wiadomość na karteczce opartej o doniczkę z kwiatami na środku stołu.

W lodówce jest bekon i sok pomarańczowy. David dzisiaj ma ważne spotkanie, więc później wróci, aleja normalnie. Gdybyś była u Safeway a, możesz kupić jakieś warzywa na kolację, na przykład kalafior. Aha, i jeszcze herbatę ekspresową Lapsang Souchong. Miłego dnia! Sara.

Carrie nastawiła wodę, zrobiła sobie kawę i włożyła kromkę chleba do opiekacza, ale nie zjadła przygotowanej grzanki, bo stojący na komodzie telefon nie dawał jej spokoju jak wyrzut sumienia. Zanim jednak zdecydowała się z niego skorzystać, wypłała trzy filiżanki kawy. Tymczasem dochodziła za piętnaście dziesiąta - pora, o której nawet Dodie Sutton już nie spała. Carrie podniosła więc słuchawkę i wybrała numer. Przez odgłos kropli deszczu dzwoniących o szyby przebił się dźwięk dzwonka.

- Słucham? - odezwał się głos z tamtej strony.
- Mama?
- A kto mówi?
- Carrie.
- Dzwonisz z Austrii?
- Nie, jestem tutaj, w Londynie.
- Na Ranfurly Road?
- Skąd, przecież wiesz, że tamto mieszkanie zostało wynaj-

jęte na trzy lata i z trzymiesięcznym okresem wypowiedzenia. W tej chwili nie mam gdzie mieszkać.

- Gdzie więc się zatrzymałaś?

- U moich przyjaciół w Putney, akurat po drugiej stronie rzeki.

- Od dawna już tu jesteś?

- Od tygodnia, ale miałam masę spraw do załatwienia, inaczej zadzwoniłabym wcześniej.

- Od tygodnia? Co to, masz urlop? - Głos Dodie zabrzmiał opryskliwie, jakby podejrzewała, że córka chce ją nabrać.

- Nie, po prostu rzuciłam pracę. Zdażyła mi się już znudzić.

- Coś podobnego, myślałam, że już zostaniesz tam na zawsze. Nie było cię tyle lat... Czy coś się stało?

- Nic, zwyczajnie miałam taki kaprys.

- A masz szansę na inną pracę?

- Muszę mieć. Słuchaj, mamusiu, może bym wpadła do ciebie? Będziesz dziś w domu?

- Przed południem tak, ale po obiedzie umówiłam się na brydża z tą starą Leilą Maxwell. Biedaczka ma taką zaćmę, że ledwo rozróżnia karty, ale przynajmniej to mogę dla niej zrobić.

- To może zjadłybyśmy razem lunch? - naciskała Carrie.

- U mnie?

- Możemy zjeść na mieście, jeśli tak wolisz.

- To już lepiej przyjdź, coś zawsze znajdę. Na przykład zupę i jakiś pasztet, może być?

- Oczywiście. Co słyhać u Nicoli?

- Och, kochanie, takie nieszczęście...

- Cóż tam się znowu stało? - zaniepokoiła się Carrie.

- Ona chyba całkiem zwariowała. Zresztą powiem ci wszystko, kiedy przyjdiesz - W tym momencie nastąpiła krótka przerwa, po której Dodie jakby coś sobie przypomniała. - Co za zbieg okoliczności, że akurat teraz wróciłaś do domu! Nicola będzie na lunchu, więc postaraj się przyjść wcześniej, żebyśmy mogły swobodnie porozmawiać.

Carrie pożałowała, że w ogóle zadzwoniła do matki.

- A co z Lucy? - chciała wiedzieć.

- Ona też jest u mnie. Dziś ma akurat wolne przedpołudnie,

bo w szkole mają jakąś awarię ogrzewania czy coś podobnego. Nie będzie nam przeszkadzać, bo zamknęła się w swoim pokoju i wkuwa do egzaminu. Zresztą ostatnio przeważnie przesiaduje w swoim pokoju.

- Chciałabym ją zobaczyć.

- Oczywiście, że będziesz mogła. Więc o której przyjdiesz?

- Mogę o wpół do dwunastej? Pewnie będę szła piechotą.

- A co, nie wzięłaś samochodu?

- Mam go, ale trochę ruchu dobrze mi zrobi.

- W taką pogodę?

- Jakoś to przeżyję. No to na razie, mamó.

- Będę na ciebie czekać! - Dodie rozłączyła się, więc i Carrie po chwili odłożyła słuchawkę. W którymś momencie przyłapała się na tym, że zanosi się śmiechem. Nie był to jednak śmiech radosny, lecz raczej ironiczny, gdyż tyleż obawiała się, co spodziewała takiego przywitania ze strony matki.

Stosunki między nimi zawsze mniej więcej tak wyglądały. Miejsce zrozumienia zajmowało coś w rodzaju antypatii, z czym Carrie bardzo wczesnie musiała się pogodzić. Świadomość tego pogłębiała jeszcze obserwacja atmosfery panującej w innych rodzinach. Gdyby nie ojciec, pewnie zdążyłaby dorosnąć, nie wiedząc, co to miłość.

Właściwie nigdy nie zdołała rozgryźć, co skłoniło Jeffrey'a Suttona do ożenku z Dodie. Może przyczyniła się do tego jej uroda, kokieteria i zdolność przystosowawcza, dzięki której umiała zaspokoić oczekiwania potencjalnego męża. Ten zaś za późno zorientował się, że była to dokładnie ukartowana taktika. Dodie widziała w Jeffreyu nie tylko jego męski wdzięk, lecz i zabezpieczenie dla siebie. Miał dobrą pracę maklera giełdowego, regularnie awansował i obracał się w wyższych sferach, do których Dodie zawsze pragnęła się wkręcić.

Pierwszym ich dzieckiem była Nicola, natomiast Carrie urodziła się pięć lat później. Siostry różniły się od siebie tak znacznie, jakby każda z nich pochodziła po innym z rodziców. Można by sądzić, że Dodie spłodziła Nicole, a Jeffrey Carrie, na przykład przez pączkowanie!

Ojciec zawsze trzymał jej stronę, a w swoim dziwnym

małżeństwie, które należałoby właściwie nazwać mezaliansem, dźwigał cały ciężar odpowiedzialności. To on odwoził dziewczęta do szkoły, podczas gdy ich matka jeszcze popijała herbatkę w łóżku i czytała romanse. Carrie pamiętała jego kroki na schodach i zgrzyt klucza w zamku, kiedy wracał z pracy. Sama wybiegała mu wtedy na spotkanie, bo Dodie jeszcze nie wróciła z kolejnej partyjki brydża, a w kuchni rezydowała tylko gosposia. Mimo iż był zmęczony i brudny po ciężkim dniu w pracy - rzucał tylko byle gdzie teczkę i płaszcz, aby pomóc córce w lekcjach lub skontrolować jej wprawki na fortepianie. To Jeffrey starał się urozmaicać, jak mógł, ich życie rodzinne, występując z różnymi zabawnymi propozycjami - a to urządzenia pikniku, a to wycieczki bądź niebanalnego spędzenia wakacji. To właśnie on po raz pierwszy zabrał Carrie na narty do Val dTsere, kiedy miała zaledwie dziesięć lat. Wynajęli tam willę wspólnie z dwiema sympatycznymi rodzinami i Carrie uznała spędzone tam dni za najlepsze wakacje w swoim życiu. Wtedy też narodziła się jej pasja do nart, która przetrwała po dziś dzień. Natomiast Nicola nie chciała im tam towarzyszyć, ponieważ w ogóle nie paliła się do sportów, a poza tym wolała zostać sama z Dodie. Miała z matką wiele wspólnych zainteresowań - lubiła chodzić z nią po zakupy, aby wybierać nowe kreacje na przyjęcia, których nie zamierzała opuścić.

Zważywszy, że Nicola interesowała się głównie chłopcami, strojami i imprezami, nikt się nie zdziwił, że już w dwudziestym pierwszym roku życia zaręczyła się, a następnie wyszła za mąż. Jej wybranym okazał się Miles Wesley, w oczach Dodie wymarzony kandydat na zięcia. Babką jego była niejaka lady Burfield, rodzice posiadali imponujący majątek ziemski w Hampshire, on sam ukończył HarRow, a pracował w renomowanej agencji pośrednictwa obrotu nieruchomościami Hurst i Fieldmore, której filie mieściły się w całym kraju. Miles urzędował w centralnym biurze firmy na Davies Street, a specjalizował się w handlu terenami łowieckimi, wędkarskimi i obiektami sportowymi. Każda matka życzyłaby sobie takiego męża dla swojej córki, toteż Dodie czuła się jak ryba w wodzie, planując takie wesele, aby wszyscy znajomi jej pozazdrościli i przez najbliższe lata mieli o czym plotkować.

Tylko Carrie sprawiła jej zawód, gdyż nie chciała zostać druhną. Była wtedy wyrośniętą, chudą piętnastolatką, która pilnie się uczyła, „gdyż marzyła o studiach uniwersyteckich. Nie przykładała natomiast wagi do wyglądu zewnętrznego i wystarczały jej wytarte dżinsy, powyciągane koszulki i toporne buciorry, czym doprowadzała matkę do szału. Kiedyś kupiła sobie w sklepie z używaną odzieżą kurtkę z czegoś przypominającego skórę zdechłej owcy, na widok której Dodie o mało nie zemdląła.

Odmowa druźbowania na ślubie siostry dostarczyła powodu do nowych kłótni, gdyż Carrie stanowczo powiedziała: „Nie”.

- Jak możesz być taką egoistką? - naciskała Dodie.

- Widać mogę.

- Masz tylko jedną siostrę, więc powinnaś przynajmniej zrobić to dla niej.

- Ależ, mam, nie zrobiłabym tego nawet dla królowej! Przecież ja zupełnie nie nadaję się na druhnę. Mam prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, więc w sukni z różowej tafty wyglądałabym jak wieża!

- A kto tu mówi o różowej tafcie? Dobrze wiesz, że z Nicolą wybrałyśmy piękny, poziomkowy szyfon!

- To jeszcze gorzej.

- Czy ty zawsze musisz myśleć tylko o sobie?

- Nicola nie będzie miała nic przeciwko temu, bo ma wiele przyjaciółek, które tylko marzą, aby być jej druhnami. Zresztą wiesz, że nigdy nie lubiłam tych wystawnych ślubów kościelnych. - Carrie celowo drażniła matkę, bo z jakiegoś powodu ją to bawiło. - Czy oni nie mogliby zwyczajnie pójść do urzędu stanu cywilnego, tu zaraz za rogiem? Pomyśl, o ile taniej by to wypadło, a ile zaoszczędzilibyście na prezentach ślubnych i kopertówkach!

- To, co mówisz, jest bardzo niegrzeczne.

- Ale jakie praktyczne!

Dodie wciągnęła powietrze w płuca i starała się nie podnosić głosu.

- Nicola na pewno się ucieszy, jeśli dostanie w prezencie kopertę z czekiem. Przecież będą mieli mnóstwo wydatków na umeblowanie nowego mieszkania. Potrzebują lodówek, lamp,

dywanów i innych takich rzeczy, a wiesz, jakie wszystko jest drogie...

- Lepiej niech odłożą ten szmal na specjalne konto, żeby w razie czego mieli na koszt rozwodu!

Dodie opuściła pokój, trzaskając drzwiami. Od tej pory nie rozmawiała więcej z Carrie o ślubach i druhnach.

Carrie była pierwszą osobą, którą Jeffrey uczynił swą powiernicą. Miała wtedy już dziewiętnaście lat, studiowała w Oksfordzie filologię angielską i filozofię i rozkoszowała się życiem studenckim, kiedy którejś niedzieli ojciec zadzwonił do niej z Londynu.

- Co dziś robisz?

- Nic specjalnego.

- Chciałbym zaprosić cię na lunch.

- Co za miła niespodzianka!

- Mama pojechała do Nicoli, bo Lucy dostała nagle gorączki, więc jestem sam. Przyjadę po ciebie około dwunastej.

- Będę gotowa - obiecała Carrie, czując dreszczyk emocji.

W ten pogodny październikowy dzień panowała prawdziwa złota jesień. Jeffrey zabrał więc Carrie za miasto, do wykwintnego zajazdu „Cztery Pory Roku”, gdzie postawił jej wykwintny lunch. Po tym posiłku poszli przejść się do ogrodu, a że było ciepło - usiedli na ławce, rozkoszując się śpiewem ptaków i podziwiając opadające złociste liście. Wtedy właśnie opowiedział Carrie o Serenie, jak ją poznał, spotykał się z nią, aż w końcu się w niej zakochał.

- Jestem z nią już od pięciu lat - wyznał. - Ze względu na wiek mogłaby być moją córką, ale znaczy dla mnie tyle, że nie wyobrażam sobie życia bez niej.

A więc ojciec miał kochankę! I pomyśleć, że Carrie nigdy niczego nie podejrzewała! W takiej sytuacji trudno jej było cokolwiek sensownego powiedzieć.

- Czy cię to szokuje? - chciał wiedzieć ojciec.

- Bynajmniej. Jestem tylko trochę zaskoczona.

- Właściwie chcę zrobić coś strasznego. - W tym momencie Carrie dojrzała w jego oczach wyraz bólu. - Mam zamiar opuścić was i zostać z nią.

- Dobrze, że powiedziałeś mi prawdę.

- Mogłem już wcześniej z nią odejść, ale czekałem, aż obie z Nicolą się usamodzielnicie, bo wolałem być w pobliżu, w razie gdybyście mnie potrzebowały. Teraz to co innego. Ty świetnie sobie radzisz, a Nicola jest mężatką i ma dziecko. Mam nadzieję, że jest szczęśliwa, bo Miles zawsze mi wyglądał na porządnego człowieka, choć czasem lubi wypić. Pewnie owinęła go sobie wokół palca, ale to już jego zmartwienie.

- Biedak! - Nie wytrzymała Carrie, ale pomyślała także o małżeństwie ojca i dodała: - A ty przez cały czas byłeś nie-szczęśliwy?

- No, nie mogę powiedzieć, że cały czas! - Pokręcił głową Jeffrey. - Największą radość dawało mi przebywanie z wami. Teraz jednak mam już dość zachowywania pozorów i robienia dobrej miny do złej gry, wiecznej pogoni za pieniądzem i walki o utrzymanie się na powierzchni. Potrzebuję przede wszystkim miłości, radości i przyjaźni, a Dodie nigdy nie potrafiła mi tego dać. Pewnie się domyślałaś, że od lat już nie żyliśmy ze sobą. Chciałbym mieć ciepły, przytulny dom, gdzie pachniałoby kawą i jajkami na bekonie, gdzie mógłbym przesiadywać z przyjaciółmi przy kuchennym stole ze spaghetti i butelką wina. Nie myśl, że mi nagle odbiło albo że przechodzę męskie klimakterium, bo to dojrzewało we mnie już od lat.

- Wcale tak nie myślę.

- Wiem, ty nie jesteś taka.

Akurat do zajazdu przybyli nowi goście - rodzina złożona z młodej matki, ojca i małego synka. Chłopczyk znalazł kij krykietowy i piłeczkę, którą usiłował prawidłowo wybić. Po trzech nieudanych próbach ojciec stanął za malcem i pokazywał mu, jak właściwie ułożyć ręce.

- Zrobiłeś dla nas, co mogłeś - powiedziała Carrie. - Żadnego mężczyzny nie byłoby stać na więcej. Jeśli czujesz, że musisz odejść, zrób to!

- A co uczyni wtedy twoja matka?

- Na pewno zranisz jej dumę, ale w gruncie rzeczy ona nigdy nie przykładła wielkiej wagi do waszego małżeństwa. Należy do osób, które lepiej czują się same, ale prawda jest taka, że zaangażuje dobrego adwokata i puści cię w skarpetkach.

- Liczę się z tym. To cena, jaką będę musiał zapłacić.
- A co z twoją pracą?
- Rzucę ją w diabły!
- Nie będzie ci brakowało walki o byt?
- Wręcz przeciwnie. Zdobyłem wszystko, co chciałem mieć, i wystarczy. Może nigdy nie byłem zbyt ambitny, ale jestem już zmęczony wyścigiem szczurów. Najwyższy czas pomyśleć o sobie, ale może sądzisz, że jestem już za stary, aby pragnąć szczęścia?

- Dobrze wiesz, co o tym myślę.

Przez chwilę panowało milczenie, co nie psuło wzajemnej harmonii między ojcem i córką.

- Dobrze więc, teraz pomówmy o tobie - zmienił temat Jeffrey. - Kiedy tylko się urodziłaś, założyłem ci konto, na razie pod zarządem powierniczym. Nicoli też, ale większość jej pieniędzy rozeszła się na to pretensjonalne wesele. Natomiast twoje leżą sobie spokojnie w banku, ale myślę, że najwyższy czas, abys je podjęła i kupiła sobie za to dom w Londynie czy gdzie indziej. Nieruchomości to dobra lokata, a ja chciałbym zapewnić ci niezależność. Nie ma tam Bóg wie jakich kroczi, ale wystarczy na skromny, porządny domek. Co ty na to?

- Myślę, że to świetny pomysł. - Carrie ucałowała ojca w policzek. - Jesteś kochany. Dziękuję ci, ale chyba nie rozstaniemy się na zawsze? Będziemy pisać do siebie i dzwonić, gdziekolwiek się przeniesiesz. Pozostaniemy w kontakcie.

Jeffrey uśmiechnął się i chyba nieco odprężył, zważywszy na to, ile musiał mieć problemów.

- A gdybym w przyszłą niedzielę przywiózł tu Serenę, czy chciałabyś ją poznać? - zaryzykował.

- Oczywiście, tylko niech ona nie myśli, że chcę stanąć na waszej drodze. Nie chciałabym, żeby Serena czuła się choć trochę winna. Po prostu wywiązałeś się ze starych obowiązków i zaczynasz nowe życie. Bylebyś tylko był pewien, że da ci to szczęście.

- A co u ciebie w tych sprawach? Kochałaś się już w kimś?

- Bo to w jednym? - zażartowała. - Miałam facetów na pęczki!

- Ale nie zanosi się na następne huczne wesele?

- Jeszcze długo nie. Na razie mam inne rzeczy do roboty. Przede wszystkim będę musiała kupić sobie ten dom. Widzisz, ile spraw załatwiliśmy za jednym zamachem?

- Nie ciesz się zawczasu, bo czekają nas jeszcze ciężkie chwile.

- Ale wtedy będziemy się nawzajem wspierać.

Jeffrey miał rację - oboje mieli przed sobą ciężkie przeprawy. Rozstaniu z Dodie towarzyszyła lawina wzajemnych oskarżeń, ale w końcu to ona wyszła z sytuacji obronną ręką. Carrie słusznie przewidziała, że uda się jej zatrzymać dla siebie dom w Campden Hill, samochód oraz lwią część majątku ruchomego i pieniędzy Jeffreya. On jednak nawet nie próbował się z nią spierać.

Zaledwie Dodie dowiedziała się, że Carrie nabyła dla siebie mały, szeregowy domek na Ranfurly Road - zaraz wystawiła na sprzedaż dom w Campden Hill, tłumacząc ten krok nieprzyjemnymi wspomnieniami związanymi z tym miejscem. Oczywiście sprzedała go z zyskiem, a za otrzymane pieniądze kupiła urocze, staroświeckie mieszkanie w Fulham, z widokiem na południe i ogrodem graniczącym z Hurlingham.

Na użytek znajomych nazywała to miejsce swoim przytulnym gniazdkiem, co brzmiało bardzo romantycznie, ale sytuacja ta odpowiadała jej jak nigdy dotąd. Mogła spokojnie zapraszać koleżanki na brydża lub drinka, wyżywać się, robiąc zakupy i jeździć na wycieczki zagraniczne, gdzie miała okazję demonstrować nowe ciuchy. Na jednym z rejsów śródziemnomorskich poznała emerytowanego majora lotnictwa, Johniego Struthersa, wdowca, który ją najwyraźniej adorował. Podczas każdej swojej bytności w Londynie dzwonił do Dodie i umawiał się z nią na kolację.

Była więc najzupełniej szczęśliwa, dopóki, po siedmiu latach od jej rozvodu, Nicola Wesley nie przyłapała poczciwego Milesa na skoku w bok. Skorzystała z tego pretekstu, aby wyzwoić się z nudnego związku z nim i uciec do matki, która miała przestronne i wygodne mieszkanie. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie przywozła ze sobą dziewięciolet-

niej córki Lucy. Wtedy Dodie zrozumiała, że dobre czasy się skończyły.

Resztką kawy w filiżance Carrie wystygła zupełnie, a dzbanek był już pusty. Wstała więc od stołu, wyrzuciła nie dojeżdżoną grzanekę do śmieci, opłukała dzbanek, a filiżankę i spodek wstawiła do zmywarki. Poszła na górę, wzięła prysznic i ubrała się. Normalnie włożyłyby pewnie jakieś wytarte dżinsy i nie zadałyby sobie trudu zrobienia makijażu, ale tego dnia musiała trochę zadbać o siebie, choćby dla dodania sobie odwagi.

Założyła więc obcisłe spodnie z wielbłądziej wełny, kaszmirowy sweter z zapięciem polo i dobrze wyczyszczone kozaczki. Jeszcze złote kolczyki i łańcuszek na szyję, potem spryskała się perfumami, wzięła na ramię skórzaną torebkę i płaszcz z szafy...W końcu udała się do wyjścia...

Klucz od drzwi frontowych leżał w mosiężnej misie na komodzie w hallu obok niebieskiej donicy z hiacyntami. Nad komodą wisiało lustro, w którym Carrie przejrzała się, zapinając guziki płaszcza. Otaksowała wzrokiem swoje odbicie, wysokiej, szczupłej, ciemnowłosej dziewczyny... czy raczej kobiety, bo przecież zbliżała się już do trzydziestki. Nie mogła jednak nic sobie zarzucić. Krótkie, kasztanowate włosy były świeżo umyte, a na czoło spadał puszysty kosmyk. Głębokie, czarne oczy bardzo zyskały w obramowaniu tuszu do rzęs i cienia do powiek, a opalenizna przywodziła na myśl ośnieżone wierchy. Odpowiedni strój dodawał jej pewności siebie - stanowczo nie wyglądała na osobę godną politowania.

Płaszcz z ciemnoszarego lodenu z zieloną nitką kupiła w zeszłym roku w Wiedniu. To Andreas pomógł jej go wybrać i uparł się, że za niego zapłaci. „Będziesz go nosić przez całe życie i zawsze ślicznie wyglądać” - zapewniał.

Pamiętała, że tamten dzień był mroźny i śnieżny, a kiedy już kupili płaszcz - poszli spacerkiem, trzymając się pod rękę, do Sachera na uroczysty lunch... Nie, lepiej o tym nie myśleć!

Zabrała klucze, włączyła alarm i wyszła z domu. Poszła piechotą przez ruchliwą Putney High Street w kierunku rzeki. Na moście owiał ją chłodny wiatr, a na drugim brzegu miała już

niedaleko do Farnham Court. W tej luksusowej kamieniczce z czasów edwardiańskich na czwartym piętrze mieszkała Dodie. Carrie weszła więc po schodkach do głównego wejścia, przez nie do hallu, tam wsiadła do windy i nacisnęła odpowiedni przycisk. Na właściwym piętrze winda zatrzymała się z charakterystycznym dźwiękiem, Carrie wysiadła i zadzwoniła do drzwi mieszkania Dodie.

Matka musiały już na nią czekać, bo od razu zjawiła się przy drzwiach i błyskawicznie uporała się z dwoma zamkami.

- Carrie! - powitała córkę, która skonstatowała, że matka ani się nie postarzała, ani schudła, ani utyła.

Dodie wyglądała tak jak zawsze, niewysoka i schludna, ze starannie uczesanymi ciemnymi włosami, w których wcale nie raziło pasemko siwizny. Miała na sobie kostiumik z modną, krótką spódniczką i czółenka ozdobione złotymi klamrami. Wskutek sprzyjających okoliczności zachowała dawną urodę, zdradzały ją tylko usta, skrzywione w wiecznym grymasie. Carrie nieraz słyszała sentencję, że oczy są zwierciadłem duszy, sama jednak dawno doszła do wniosku, że o prawdziwym charakterze człowieka świadczą raczej jego usta.

Ledwo Carrie przekroczyła próg, matka zaraz zamknęła za nią drzwi. Obyło się natomiast bez uścisków i głośnego wyrażania zachwyty.

- Cześć, mamo, jak żyjesz? - zapytała więc chłodno, zdejmując płaszcz. - Świetnie wyglądasz!

- Dziękuję, kochanie. Ty też, jesteś tak ślicznie opalona, jakbyś właśnie wróciła ze wspaniałych wakacji. Możesz położyć ten płaszcz na krześle. Napijesz się kawy czy czegoś innego?

- Dziękuję, jestem właśnie po śniadaniu. Wstałam dziś dopiero około dziewiątej.

Dopiero teraz zamarkowały pocałunek, muskając się policzkami. Carrie stwierdziła przy tym, że policzek Dodie był miękki i pachnący perfumami.

- Dobrze móc tak sobie poleniuchować! Proszę, wejdz dalej.

Dodie poszła przodem, wskazując kierunek. Tymczasem wiatr musiał rozegnać chmury, bo do salonu wtargnęło oślepiające światło zimowego słońca. Pokój prezentował się przy-

jemnie, bo miał duże okna balkonowe, wychodzące na południe. Podwójne drzwi, które Dodie zawsze trzymała otwarte, pRowadziły do jadalni. Stał w niej ten sam mahoniowy stół i elegancki kredens, które Carrie pamiętała jeszcze z dzieciństwa w Campden Hill. Dodie zadbała o przystrojenie domu kwiatami, toteż w powietrzu unosił się ciężki zapach lilii.

- Gdzie reszta? - spytała Carrie.
- Mówiłam ci, że Lucy zwykle przesiaduje w swoim pokoju.
- Czyżby była aż tak nietowarzyska?
- Rzeczywiście nie bardzo, ale tam jej dobrze, ma swój komputer i mały telewizorek...

W marmurowym kominku zarzyły się podświetlone elektrycznie atrapy brył węgla. Usadowiła się przy nim Dodie, w swoim fotelu, gdzie czytała gazetę, zanim Carrie zadzwoniła do drzwi. Teraz sięgnęła po tę gazetę i delikatną rączką o różowych paznokciach odłożyła ją na stolik do kawy. Tymczasem kolejna chmura znów przysłoniła słońce.

- Dobrze, że przyszedłaś wcześniej, bo chciałam ci dokładnie opowiedzieć o tym wszystkim, co się zdarzyło.

- Coś z Nicolą?
- Ona zaraz przyjdzie.

Carrie usadowiła się w drugim fotelu, po przeciwnej stronie białego barankowego futrzaka przed kominkiem.

- A dokąd poszła?
- Do biura podróży.
- Czyżby się gdzieś wybierała?
- Dlatego właśnie mówiłam ci, że chyba jej całkiem odbiło.

Chodzi o to, że na imprezie poznała faceta, Amerykanina, i od jakichś kilku tygodni się z nim spotyka.

Dla Carrie zabrzmiało to raczej obiecująco i wcale nie oznaczało, że jej starszej siostrze padło na mózg.

- Cóż to za Amerykanin? - spytała ostrożnie.

- Trzeba przyznać, że dosyć reprezentacyjny. Nazywa się Randall Fischer. To biznesmen, robi w branży kolejowej czy stalowej, nie wiem dokładnie, gdzieś w Cleveland, w stanie Ohio. Teraz jest już z powrotem w Ameryce i zaprasza Nicole, żeby do niego przyjechała na święta.

- Do tego Cleveland?

- Nie, ma posiadłość na Florydzie i pewnie zazwyczaj spędza tam święta.

Brzmiało to dosyć logicznie, więc Carrie nie rozumiała, co w tym takiego dramatycznego.

- Czy on jest żonaty? - wypytywała o szczegóły.

- Twierdzi, że jest rozwiedziony.

- Więc pewnie jest. Czy już go widziałaś?

- Oczywiście, raz czy drugi przyprowadziła go tu na drinka, a kiedyś on nas zaprosił na kolację do Claridge'a, bo tam się zatrzymał.

- W takim razie musi być diabelnie nadziany. Nie podoba ci się?

- Dlaczego, wygląda na porządnego człowieka, gdzieś około pięćdziesiątki. Tyle tylko, że nie jest specjalnie atrakcyjny.

- A dla Nicoli jest?

- Myślę, że tak.

- Więc cóż w tym złego?

- Ona jest zbyt lekkomyślna! Przecież właściwie nic o nim nie wie.

- Mamo, to trzydziestopięcioletnia kobieta, ma więc prawo popełniać błędy, bo w razie czego sama poniesie ich konsekwencje.

- Nie w tym rzecz.

- Więc w czym? Oświeć mnie!

- Jeszcze nie rozumiesz, że chodzi o Lucy?

- Jak to? Czyżby Lucy nie była zaproszona?

- Idzie właśnie o to, że ten gość ją też zaprosił na Florydę, ale ona za nic nie chce jechać. Twierdzi, że nie będzie tam miała co robić, przecież nie zna nikogo, a tak naprawdę Randall wcale nie pragnie jej towarzystwa, tylko zaproponował to z grzeczności.

Carrie próbowała wczuć się w sytuację.

- No cóż, dobrze ją rozumiem. Ma dopiero czternaście lat, więc w takim miejscu czułaby się obco. Zresztą przyznaj, że to krepujące być świadkiem romansu własnej matki.

Na szyję Dodie wpełzł lekki rumieniec, co oznaczało zderowanie. Carrie wiedziała, że jej matka nie znosi jakiego-

kolwiek sprzeciwu, a tym bardziej sytuacji, kiedy musi bronić swojego stanowiska.

- Ależ dla Lucy to taka wspaniała okazja! Miałyby szansę zobaczyć kawał świata.

- Co z tego, skoro ona tego nie chce.

- No więc co ma zrobić?

- Ze świętami? - zapytała niewinnie Carrie, wyczuwając, że w tym tkwi sedno rzeczy. - Przecież może zostać z tobą. W końcu od czasu rozwodu rodziców tu jest jej dom. Nie widzę dla niej lepszej możliwości.

Dodie nie odpowiedziała od razu, tylko wstała i zaczęła niespokojnie się przechadzać od Carrie do okna, udając, że patrzy przez nie na rzekę. Carrie czekała cierpliwie, aż matka odwróci się ku niej.

- Nie mogę brać sobie jej na głowę, przecież mam własne życie! - wyrzucała z siebie potok słów. - Mam już zaplanowany ten czas, bo Freemanowie zaprosili mnie, żebym pojechała z nimi do Bournemouth. Co roku spędzają święta w hotelu „Pałac” i chcieli, żebym im towarzyszyła.

Z tonu jej głosu jasno wynikało, że Lucy nie była przewidziana w tym szczegółowym planie.

• - Nie jestem już młoda i coraz mniej nadaję się do niańczenia dzieci, a dla jednej upartej dziewczyny nie zrezygnuję z udanych świąt - tłumaczyła się, choć i tak Carrie nie przypuszczała, żeby Dodie brała pod uwagę taką ewentualność. Spytała tylko:

- A nie mogłaby spędzić świąt ze swoim ojcem i jego nową żoną? Czy może nie widuje się z nim?

Okazało się jednak, że się widuje.

- Odwiedza ich co niedziela, ale bez szczególnego entuzjizmu - mówiła Dodie, wracając na swój fotel. Siedziała jednak na nim spięta i wychylona do przodu.

- Czy oni mają jeszcze inne dzieci? - drażyła dalej Carrie.

- Nie mają i chyba nie zamierzają mieć. Ona ma zbyt duże ambicje zawodowe. - Dodie wymówiła te ostatnie słowa ze znaczącym grymasem. - Dzieci tylko przeszkadzałyby jej w karierze.

- Więc pewnie i Lucy mogłaby im przeszkadzać?

- Byłam już tak zdesperowana, że sama zadzwoniłam do Milesa - wyznała Dodie. - Musiałam to zrobić, bo Nicola nie chce nawet wymawiać jego imienia. Okazało się jednak, że Miles z żoną wybierają się na narty do St. Moritz w towarzystwie sAmych dorosłych. Lucy nie umie jeździć na nartach, a w obecności obcych osób zachowuje się niezręcznie, więc Miles boi się, że popsułaby im cały pobyt.

Carrie ze współczuciem myślała o sytuacji dziecka zawieszzonego w próżni między skłóconymi i antypatycznymi rodzicami. Starając się nie przybierać zbyt chłodnego tonu, ironizowała:

- A więc tak źle i tak niedobrze, prawda? Można powiedzieć, że postawiła cię pod ścianą!

- Nicola nie chce nawet myśleć o rezygnacji z wyjazdu na Florydę - tłumaczyła się Dodie. - Wiesz, jaka z niej egoistka, po tym wszystkim, co dla niej zrobiłam...

- Może po prostu też chce mieć coś z życia?

- Mieć coś z życia! - powtórzyła Dodie z taką intonacją, że słowa te zabrzmiały wręcz nieprzyzwoicie. Carrie zauważyła, że Dodie stara się uciec przed jej wzrokiem, bawiąc się guziczkiem od mankietu bluzki. - Właśnie to miałam na myśli, kiedy powiedziałam ci przez telefon, że twój nagły przyjazd to zrządzenie losu.

- Aha, rozumiem! Liczysz na to, że uwolnię cię od Lucy?

- A co, masz już inne plany? - Dodie podniosła na nią oczy.

- Mamo, właśnie wróciłam z Austrii, więc nawet nie miałam czasu nic zaplanować. Nie mam nawet gdzie mieszkać, bo moja chałupa na Ranfurly Road nie zwolni się przed końcem lutego. Sama siedzę na walizkach, więc nie mam warunków, aby kogokolwiek wziąć do siebie.

- Nie miałam na myśli ciebie - płątała się Dodie. - Może twój ojciec...

- Jeffrey?

- Czyżbyś już mówiła mu po imieniu?

- Zwracam się tak do niego, odkąd się rozwiedliście. Zdaję sobie sprawę, że jest moim ojcem, ale również mężem Sereny i moim przyjacielem. - Dodie wzdrygnęła się na dźwięk tych

imion, ale Carrie nie zważała na to, choć czuła, że postępuje okrutnie. - Zresztą nie wydaje mi się, aby to był dobry pomysł.

- Jak to, przecież Lucy jest jego wnuczką..

- Mamo, ja już z nim rozmawiałam, bo zadzwoniłam do niego zaraz po moim powrocie. Stąd wiem, że spodziewa się przyjazdu na święta brata Sereny z żoną i dzieckiem. Emblo będzie tak zapchane, że szpilki nie wciśniesz!

- A gdybyś spróbowała go przekonać...

- To nie byłoby w porządku wobec Sereny. Mało tego, że i tak nie mogłaby nas gościć, to jeszcze miałyby z tego powodu wyrzuty sumienia. Nawet im o tym nie wspomnę.

Dodie opadła na fotel z takim westchnieniem, jakby opadły z niej resztki sił. Siedziała skurczona i nagle postarzała, jak balonik przekłuty szpilką.

- To już nie na moje nerwy! - wydyszała. - Żeby nie można było na nikogo liczyć, nawet we własnej rodzinie...

- Ależ, mamo... - zaczęła Carrie, lecz nie skończyła, bo oto dał się słyszeć zgrzyt klucza w zamku oraz odgłos otwieranych i zamykanych drzwi od frontu.

- Nicola już przyszła - wyjaśniła Dodie. Od razu wzięła się w garść, przyczesła włosy dłonią i przybrała wyczekujący wyraz twarzy.

- Cześć! - odezwała się po prostu Carrie, wstając z fotela. Nicoli z wrażenia aż opadła szczęka.

- Carrie? Co ty tu, na miłość boską, robisz? Sądziłam, że jesteś w Austrii.

- Byłam tam, ale już jestem z powrotem.

Siostry przez chwilę mierzyły się wzrokiem. Właściwie nigdy się nie przyjaźniły ani nie zwierzały sobie, bo Nicola z wiekiem stawała się coraz bardziej podobna do matki. Odziedziczyła po niej wzrost, figurę, gęste, ciemne włosy, a nawet małe, zacięte usta. Ktoś postronny mógłby wziąć obie panie za bliźniaczki.

Carrie nigdy nie potrafiłaby wyobrazić sobie Nicoli ubranej inaczej niż w bezbłędnie zestawiony komplet. Zawsze miała sweterki dobrane do spódniczek, pantofle do torebek, a nawet szminkę zharmonizowaną z odcieniem jedwabnej apaszki. Przypominała kartonowe lalki do wycinania, które ubierało się

w gotowe stroje, mocując je za pomocą zaginanych skrzydełek. Raz był to kostium plażowy, kiedy indziej palto z futrzanym kołnierzykiem, innym razem znowu krynolina zestawiona z fantazyjnym kapelusikiem na bal kostiumowy... Tym razem także Nicola nie zawiodła jej wyobrażeń, bo miała na sobie perfekcyjnie skrojony spodnium, kurtkę z imitacji lamparciego futerka i torebkę w kształcie woreczka z brązowego zamszu, takiego samego jak kozaczki na wysokich obcasach. Położyła tę torebkę na fotelu stojącym przy ścianie i zaczęła rozpinać futerko.

- Wróciłaś na stałe? - zapytała.

- Jeszcze nie wiem, zobaczę. - Ucałowała siostrę, która, acz niechętnie, odwzajemniła się jej tym samym.

- Kiedy przyjechałaś? - chciała wiedzieć Nicola, zrzucając z siebie kurtkę.

- Jakiś tydzień temu, ale byłam tak zajęta, że dopiero dziś rano znalazłam czas, aby zadzwonić do mamy.

- Ja też nie miałam na to czasu. - Nicola rzuciła matce chłodne spojrzenie. - Pewnie mama próbowała przeciwnie cię na swoją stronę? Nagadała ci na mnie niestworzonych rzeczy?

Nie dało się ukryć, że stosunki między Nicola a Dodie przybrały teraz jak najgorszy obrót. Carrie wyobraziła sobie, jakie męki musiała przeżywać Lucy, miotając się między matką a babcią. Dodie też zrobiło się przykro.

- Nicola, to nie jest w porządku! - usiłowała protestować.

- A co, nie powiedziałam prawdy? - Nicola z głośnym tapnięciem usiadła w fotelu. - Zresztą i tak już za późno na zmiany. Zarezerwowałam sobie lot na osiemnasty grudnia i wracam dopiero za dwa tygodnie.

Po tym oświadczeniu zapanowała cisza. Dodie udawała, że wpatruje się w sztuczne węgielki w palenisku kominka, ale nie próbowała ukryć dezaprobaty. Nicola złowiła wzrokiem spojrzenie Carrie i zrobiła do niej porozumiewawczą minę, jakby chcąc sprzymierzyć się z nią przeciwko matce, ale Carrie nie miała zamiaru udzielić jej poparcia. W tej chwili nie czuła sympatii do żadnej z nich, ale i nie chciała angażować się w spór. Rzuciła więc najbardziej obojętnym tonem, na jaki mogła się zdobyć:

- Macie chyba jakiś problem z Lucy?
- Tak, mogłaby jechać ze mną na Florydę, ale uparła się, że nie pojedzie.
- Częściowo ją rozumiem.
- Czyżby?
- Mama liczyła, że będę mogła zająć się nią pod waszą nieobecność.
- Tyyy? - To słowo w ustach Nicoli zabrzmiało jak obelga, jednak kiedy przemyślała ten problem, powtórzyła jeszcze raz to samo, ale już innym tonem, jakby doznała nagłego olśnienia:
- Ach, ty?
- Niestety nie mogę.
- Dlaczego?
- Sama nie mam gdzie mieszkać.
- Jak to, przecież masz ten dom na Ranfurly Road.
- Na razie wciąż mieszkają tam lokatorzy.

W tym momencie wtrąciła się Dodie:

- Myślałam, że Carrie będzie mogła zabrać ją do Kornwalii, do waszego ojca, ale okazuje się, że nic z tego.
- Czemu? - Nicola domagała się odpowiedzi.
- Bo tam nie ma miejsca - odpowiedziała sama Carrie.
- Kurczę, każdy znajduje jakąś wymówkę! - Nicola przygryzła paznokieć wielkiego palca. - Ten drań Miles i ta jego dziwka też nie chcą brać jej sobie na kark, ale mam to gdzieś. Jadę na Florydę z Randallem i niech się dzieje, co chce. Nigdy w życiu nie miałam prawdziwych wakacji, więc będę je miała i kropka!

Carrie po części jej współczuła, ale ze względu na Lucy próbowała przekonywać:

- Ależ, Nicola, zastanów się...
- Dobrze ci mówić! - Nicola wpadła jej w słowo, a Carrie przypominała sobie, ile razy w życiu słyszała już tę odzywkę. - Nie miałaś nigdy własnej rodziny, więc nie wiesz, jaka to niewola. Świątek czy piątek dbaj o rozrywki tej smarkuli, to znów rozwiązuj jej problemy... Twoje życie to jedne wielkie wakacje, narty, imprezy, flirty z młodymi ludźmi... I jakoś nie kwapiłaś się do powrotu, przez tyle lat nic cię nie obchodziło!

Carrie, choć z trudem, starała się panować nad sobą.

- Widzę, że nie masz bladego pojęcia o specyfice mojej pracy. Jestem rzecznikiem prasowym renomowanego biura podróży, podlega mi dziewięć osób. Mam swój gabinet, sekretarkę, a w szczytce sezonu bywa, że pracuję i siedem dni w tygodniu. Nie zarzucaj mi więc nieodpowiedzialności!

- To nie jest to samo, co wychowywanie dziecka! - Nicola upierała się przy swoich zarzutach. Carrie zaś nie chciała podsycać tego sporu, gdyż wiedziała, że to do niczego nie prowadzi. Nicola zwróciła się więc bezpośrednio do matki:

- No więc chyba ty będziesz musiała na razie zrezygnować z Bournemouth...

- Ani myślę! - zaperzyła się Dodie.

- Przecież nie zostawisz Lucy samej?

- A niby dlaczego właśnie ja mam się dla niej poświęcać?

Carrie doszła do wniosku, że nie zniesie dłużej tej bezsensownej wymiany zdań. Widać było, że obie strony zawzięły się w sporze i nie trafiał do nich żaden rozsądny argument.

- Dajcie spokój! - krzyknęła wreszcie.

O dziwo, ostry ton jej głosu odniósł pewien skutek, bo skłócone kobiety zamilkły. Po chwili Nicola zwróciła się bezpośrednio do Carrie:

- A co, może ty masz lepszy pomysł?

- Nie wiem, czy lepszy, ale wiem jedno, że mówimy o twojej córce, a nie o psie, którego można zostawić w przechowalni. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym z nią porozmawiać, może od niej usłyszę coś sensownego.

- Bardzo jesteś miła!

- Gdzie jest jej pokój?

- Zaraz za kuchnią. - Nicola zasygnalizowała kierunek ruchem głowy.

Carrie podeszła do drzwi, ale matka jeszcze zawołała za nią:

- Spróbuj, może uda ci się ją przekonać, żeby nie sprawiała nam kłopotu...

Na to jednak Carrie już nic nie odpowiedziała, tylko po prostu wyszła i delikatnie zamknęła drzwi za sobą.

Lucy

Farnham Court zbudowano w czasach, kiedy przedstawiciele klasy średniej zatrudniali na stałe pokojówki, kucharki bądź tzw. dziewczyny do wszystkiego. Dlatego mieszkania były wyposażone w skromne pokoiki przewidziane dla służby. Taką służbówkę zajęła Lucy, kiedy przeniosła się do babci po rozwodzie rodziców. Wtedy nie zważała na to, że pokoiik był ciasny i bez dostępu światła słonecznego - grunt, że miała go tylko dla siebie!

Okienko wychodziło na podwórko studnię, wybrukowane i zaopatrzone w kilka donic, gdzie rosły krzewy i rośliny cebulkowe powierzone opiece portiera. Poza nimi na podwórzu nie znajdowało się nic godnego uwagi, więc Lucy nie musiała odsuwać białych tiulowych firanek z okna. Zasłony w żółte i białe paski dobrze harmonizowały ze ścianami, pomalowanymi na żółto, aby pozornie ocieplić wnętrze. Na łóżku Lucy trzymała całą kolekcję swoich misiów, duży stół z szufladami dobrze nadawał się do odrabiania lekcji, a na półkach miała dość miejsca na książki. Własny komputer, mały telewizorek, gustowne lampy i futrzak na niebieskiej wykładzinie były przedmiotem podziwu koleżanek, które ją czasem odwiedzały. Najbardziej jednak zazdrościły jej samodzielnego pokoju, którego nie musiała dzielić z bardziej lub mniej uprzykrzonym rodzeństwem.

Lucy była z natury schludną dziewczynką, toteż w swym pokoiku utrzymywała wroRowy porządek. Książki na półkach stały w równym szeregu, łóżko było zawsze starannie zasłane, a ubrania złożone w kostkę. W podobnym porządku utrzymywała także swoją szkolną ławkę. Raz w tygodniu do domu jej babci przychodziła sprzątaczką, pani Burgess, która odkurzała pokój i poleRowała meble sprayem o zapachu lawendy, ale i Lucy od czasu do czasu czuła potrzebę dodatkowych czynności gospodarskich. Czyściła wtedy lustro na swojej toalecie i srebrną ramkę, w której stało zdjęcie jej ojca.

Odczuwała mocno jego brak, może nie jego osobiście, ale jako niezbędnego elementu, bez którego cała wspólnota rodzinna rozsypała się w drzazgi. Lucy wiedziała, że nic już nie bę-

dzie takie samo jak przed jego odejściem. W chwili rozvodu rodziców miała dziewięć lat - zdaniem niektórych wiek zupełnie nieodpowiedni, ale czy jakiś wiek mógł do tego nadawać się lepiej? Niby wciąż jeszcze była małą dziewczynką, ale na tyle dużą, że doskonale zdawała sobie sprawę, co się święci. Podstawy jej bezpieczeństwa legły w gruzach, a ona z matką zostały same, aby ten gruz pozbierać. Przeprowadziły się wtedy do babci i na początku Lucy miała nadzieję, że to sytuacja tylko przejściowa, ale powoli zaczęła przyzwyczajać się do myśli, że tak już zostanie. Widać było, że obu kobietom, mimo iż czasem się kłóciły, tak naprawdę to nie przeszkadza, a Lucy nikt nie pytał o zdanie, więc zachowała je dla siebie.

Od czasu do czasu widywała się z ojcem, ale jego nowa żona, Marilyn, nie interesowała się ani swą pasierbicą, ani żadnymi innymi dziećmi. Gdyby było inaczej, na pewno miałyby własne! Ona jednak żyła tylko swoją pracą zawodową, która pochłaniała ją do tego stopnia, że nie utrzymywała normalnego domu z ogrodem, tylko mieszkanie w bloku. Miało ono taką lokalizację, że w dniach, kiedy nie chciało jej się gotować, mogła przez telefon zamówić posiłek z restauracji, który natychmiast dostarczano ręcznym wózkiem.

Lucy wkrótce odkryła, że Marilyn absolutnie nie nadaje się na powiernicę, a i ojcu nie mogła tak ufać jak dawniej, gdyż rozumiała, że on musi być lojalny wobec obu stron. Nieraz jednak czuła przemożną potrzebę szczerzej rozmowy z kimś dorosłym. Świetnie nadawałaby się do tej roli dyrektorka szkoły, panna Maxwell-Brown, która zresztą przy wielu okazjach dawała Lucy do zrozumienia, że chętnie jej wysłucha. Na przeszkodzie stanęła jednak nieufność Lucy, a także jej poczucie lojalności. Dziewczynka nie chciała ponadto, aby się nad nią litowano, jakby była sierotką! Odpowiadała więc zdawkowo: „Dziękuję, u mnie wszystko w porządku”, aż panna Maxwell-Brown, acz niechętnie, dała za wygraną.

Za piętnaście dwunasta miała już odrobione lekcje, nad którymi pracowała od śniadania, toteż swobodnie mogła się poświęcić zapiskom w swoim pamiętniku. Była to gruba księga, oprawna w skórę jak Biblia, zamknięta na zameczek z kluczykiem, o grubych, gładkich kartkach, na których aż chciało się

pisać. Lucy otrzymała taki prezent na Gwiazdkę aż z Konwalii. Dedykacja na stronie tytułowej głosiła: *Dla Lucy z najlepszymi życzeniami od dziadka, Sereny, Amy i Bena.*

Jeffrey Sutton i jego nowa rodzina nigdy nie zapominali o świętach ani o jej urodzinach. Lucy uważała, że to bardzo ładnie z ich strony, bo przecież wcale go nie pamiętała - była małym dzieckiem, kiedy jego małżeństwo się rozpadło, a już Sereny, czy tym bardziej Amy i Bena, nie widziała nigdy w życiu. Czasem, gdy miała chandrę, wyobrażała sobie, że zaprosili ją do siebie i że - co było jeszcze mniej prawdopodobne - mama i babcia pozwoliły jej, aby ich odwiedziła. Miała już w głowie gotowy scenariusz takiego spotkania - jak to wzięłyby taksówkę, kazała się zawieźć na dworzec Paddington, a stamtąd pojechałaby pociągiem w jakieś piękne miejsce nad błękitnym morzem, gdzie ktoś czekałby na nią pod palmą i zabrał do domu z dużym ogrodem. Być może dom ten leżałby tak blisko plaży, że wiatr od morza wpadałby przez okno do jej sypialni, a Ben i Amy zastąpiliby jej własne rodzeństwo...

Lucy prowadziła pamiętnik od dnia, kiedy go dostała. Właściwie był to bardziej notatnik niż dziennik, bo nie wydrukowano w nim gotowych dat, tylko czyste kartki sugerowały, że należy samej napisać datę, a pod nią - to, co się w tym dniu wydarzyło. Czasem nie bardzo miała co pisać, ale zdarzały się dni, kiedy na przykład ze swoją klasą była w kinie lub na koncercie, i wtedy wrażenia zajmowały dwie lub trzy strony. Przyjemność sprawiało jej zapełnianie sztywnych, kremowych kartek za pomocą najlepszego długopisu, zwłaszcza że kolekcjonowanie materiałów piśmiennych stanowiło jej hobby. Chętnie odwiedzała sklepy papiernicze i zawsze przynosiła stamtąd przynajmniej pudełeczko kolorowych spinaczy, plik pocztówek lub nowe wieczne pióro.

A tak wyglądał jej zapis dnia dzisiejszego:

Dziś Mama zaraz po śniadaniu poszła do biura podróży. Z Babcią prawie nie rozmawiają, bo pokłóciły się o wyjazdy świąteczne do Bournemouth i na Florydę. Żeby tak mogły zrozumieć, że nie chcą jechać na żadną Florydę! Nie przepadam za Randallem Fischerem, jedzeniem lodów ani oglądaniem kaset, a ileż w końcu można wytrzymać w basenie!

Wolała zwierzać się na kartach pamiętnika niż nie mieć przed kim otworzyć serca, ale jeszcze lepiej byłoby mieć żywego powiernika. Odłożyła długopis i pomyślała o swojej ukochanej ciotce Carrie, młodszej siostrze mamy. Uwielbiała ją, bo Carrie zawsze traktowała ją jak dorosłą osobę, a jednocześnie gotowa była do najdziwniejszych szaleństw. Szkoda, że wyjechała do tej Austrii, bo dla dziewczynki była darem niebios - to zabrała ją do opery na balet komiczny *Córka źle strzeżona*, to do Kew Gardens, z nią nawet wizyta w Muzeum Narodowym przestawała być drętwa. Raz wybrały się na wycieczkę stateczkiem po Tamizie. Z jego pokładu Londyn, widziany od strony rzeki, prezentował się całkiem inaczej, jak obce miasto.

Lucy kontynuowała kronikę dnia dzisiejszego:

Wolałabym już spędzić święta z ojcem i Marilyn, ale oni wybierają się na narty. Marilyn twierdzi, że już dawno zarezerwowała ten wyjazd, choć jestem pewna, że Tatusz chętnie by go odwołał, ale ona mu nie pozwoli. Nie wiem, co takiego jest w tych świętach, że ludzie robią wokół tego tyle zamieszania. Dobrze, że przynajmniej dziś idę z Emmą Forbes do kina, a potem na podwieczorek.

Za zamkniętymi drzwiami pokoju Lucy jej babcia, podczas gdy ona odrabiała lekcje lub pisała w swoim pamiętniku, żyła własnym życiem. Przez cały ranek dzwoniły telefony i babcia prowadziła rozmowy przyciszonym głosem. Natomiast jakąś godzinę temu ktoś przyszedł z wizytą. Akurat Lucy skończyła odrabiać francuski, kiedy doszedł ją szmer rozmowy zza drzwi salonu. Nie wiedziała, kto to mógł być, a zresztą mało ją to obchodziło, pewnie któraś z nudnych znajomych babci. Tymczasem usłyszała jeszcze łoskot windy wjeżdżającej na piętro i zgrzyt klucza w zamku. Wtedy była już pewna, że to jej matka wraca z biura podróży.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że Lucy nie mogła przewidzieć, czy matka wbrew jej woli nie wykupi jednak dwóch biletów na Florydę. W wieku czternastu lat nie ma się zbyt wiele do gadania, mogłaby najwyżej przez całe dwa tygodnie marudzić i wybrzydzać, czym skutecznie zepsułaby wszystkim pobyt. Na to było ją stać i matka wiedziała o tym, ale nie wiadomo, czy jednak nie zdecydowałyby się na despe-

racki krok... Lucy nastawiła więc uszu jak czujny pies, ale usłyszała tylko kroki, które minęły jej pokój i skierowały się do salonu. Doszedł stamtąd odgłos otwieranych i zamkniętych drzwi, a potem następne głosy. Zaciśnęła powieki, życząc sobie, żeby mogły się jej zatkać także uszy.

Pewną, choć słabą pociechę stanowił fakt, że obecność trzeciej osoby, kimkolwiek by ona była, mogła zapobiec kolejnej kłótni, przynajmniej na pewien czas. W ciągu najbliższych pięciu minut nic się nie działo, ale potem znów otworzyły się drzwi salonu i czyjeś kroki zaczęły zbliżać się do jej pokoju. Lucy poczuła ucisk w dołku, bo pewno to jej matka przynosiła najnowsze wieści na temat wyjazdu na Florydę... Tymczasem zamiast tego rozległo się delikatne stukanie do drzwi. To nie mogła być mama, bo ta zawsze wpadała bez pukania, zakłócając prywatność Lucy.

Panna Maxwell-Brown w takiej sytuacji zawsze wołała: „Proszę wejść!”, ale tym razem drzwi uchyliły się, nie czekając na zaproszenie. Ukazała się w nich głowa nie mamy, nie babci ani żadnej z jej nudnych przyjaciółek, ale...

- Nie przeszkadzam? - zapytała z uśmiechem. Była to Carrie, o której Lucy akurat myślała! Nie w Austrii, gdzie przebywała na narciarskich stokach lub w luksusowych hotelach, ale tu, w drzwiach jej pokoju! Przedtem nosiła długie włosy, które teraz skróciła, była też znacznie chudsza i mocno opalona, ale tak samo wysoka, jaką pamiętała ją Lucy.

Kompletnie ją zatkało, bo nie spodziewała się tak przyjemnego obrotu spraw. Takie przypadki nie zdarzały się często, więc na początek zapomniała języka. Instynktownie pragnęłaby rzucić się Carrie na szyję, ale obawiała się, że ciotce takie zachowanie wyda się dziecinne.

- No, co się tak gapisz? To naprawdę ja! - ośmieliła ją Carrie.

- O rany! - wyszeptała Lucy, powoli wstając.

Carrie weszła do środka i delikatnie zamknęła drzwi za sobą.

- Zrobiłam ci niespodziankę, co?

- W życiu bym nie przypuszczała. Długo już tu jesteś?

- Mniej więcej od godziny. Musiałam porozmawiać z mamą.

- Ale w ogóle, w Londynie?

- Od tygodnia.

- Nie wiedziałam...
- Nikt o tym nie wiedział, ale teraz już wiesz! - roześmiała się i pocałowała Lucy w policzek, mile łechzcząc jej nos zapachem swoich perfum. - Aleś urosła! I jak masz ładnie w pokoju! Pamiętam, że kiedyś była to ponura klitka. Zrobiłaś generalne porządki?
- Dziś akurat nie, ale to babcia urządziła dla mnie ten pokój. Pozwoliła mi nawet samej wybrać kolory.
- Pewnie dlatego tak tu teraz słonecznie - zgodziła się Carrie. Usiadła wygodnie w niebieskim fotelu przy łóżku, wyciągając przed siebie nogi w eleganckich kozaczkach. - Byłaś może zajęta?
- Tak, odrabiałam lekcje - bąknęła niepewnie Lucy, chwytając pospiesznie swój pamiętnik do szuflady. Okręciła się na obrotowym krześle, aby siedzieć twarzą do ciotki. - Kiedy wróciłaś z Austrii?
- Przecież już mówiłam, że tydzień temu. Uprzedziłabym was zawczasu, ale to wszystko stało się tak nagle...
- A jak długo u nas zostajesz?
- Nie wiem, bo rzuciłam tę pracę z narciarzami. Chwilowo jestem bezrobotna i bezdomna, ale się tym nie przejmuję. A co tam u was?
- Wszystko w porządku - wzruszyła ramionami Lucy.
- Oj, chyba nie bardzo, bo czuję, że coś wisi w powietrzu. Pewnie się zamartwiasz, co jeszcze się może przydarzyć?
- Lucy odetchnęła z ulgą, że sprawy przybrały taki, a nie inny obrót. Znała bezpośredni charakter Carrie, która nigdy nie unikała kłopotliwych pytań i zawsze dążyła wprost do celu. To dodało jej odwagi, aby zapytać:
- Mama nie wykupiła dwóch biletów na Florydę, prawda?
- A ty nie chciałybyś tam jechać?
- Za nic w świecie!
- No więc nie martw się, bo jedzie sama. To znaczy, że postawiłaś na swoim. A więc jednak miałyście jakieś przeprawy?
- Uważasz, że to głupie z mojej strony nie chcieć tam jechać?
- Wręcz przeciwnie, masz absolutną rację, bo czułabyś się

jak piąte koło u wozu. Tylko że z tego wynikły następne problemy...

- Chodzi o święta?

- Przede wszystkim chodzi mi o ciebie, co ty sama chciałabyś robić. Założę się, że nikt dotąd ciebie o to nie zapytał.

- Rzeczywiście nie - przyznała Lucy.

- Sugerowałam, żebyś pojechała do ojca, ale okazało się, że wyjeżdża z Mariżyn i znajomymi na narty.

- Wcale nie chciałabym z nimi jechać, bo Mariżyn niezbyt mnie lubi, a poza tym nie jeżdżę na nartach, więc tylko popsułabym im całą przyjemność.

- A nie masz żadnej koleżanki, u której w domu byłaby miła atmosfera?

Lucy zrobiło się trochę wstyd, bo choć miała wiele koleżanek, to jednak wśród nich nie było takiej, której matka emanowałaby nadmiarem macierzyńskich uczuć. Najlepszą jej przyjaciółką była Emma Forbes, ale jej matka była redaktorką poczytnego pisma, wiecznie w drodze z jednego spotkania na drugie, toteż Emma wychowywała się z kluczem na szyi, pod opieką jedynie szwedzkiej gosposi. Lucy spędzała z nią wprawdzie dużo czasu, ale Emma dotąd ani razu nie wspomniała o świętach.

Carrie czekała na odpowiedź, a jej piwne oczy patrzyły życzliwie i współczująco, więc Lucy zebrała się na odwagę.

- Myślałam, że mogłabym pojechać do Konwalii, do dziadka Jeffreya, bo przecież jeszcze u niego nie byłam. Już go nawet nie pamiętam, a Sereny, Bena ani Amy w życiu nie widziałam. Babcia jest ciągle na niego zła i nie chce nawet mówić o nim, ale gdyby nie miała innego wyjścia, to może by mi pozwoliła?

- Naprawdę chciałabyś tego?

- Myślę, że tak, chociaż... jeszcze nigdy u nich nie byłam... - Tu głos jej się załamał. - Może oni wcale nie chcieliby, żebym do nich przyjechała?

- Ależ skąd! - obruszyła się Carrie. - To świetny pomysł i nie tylko możesz, ale nawet powinnaś tam pojechać. Tylko że nie na te święta, bo kiedy po powrocie z Austrii dzwoniłam do Jeffreya, mówił mi, że będą mieli dom pełen gości.

- Och, mniejsza o to! - rzuciła Lucy z udaną obojętnością, choć czuła, jak umiera w niej ostatnia nadzieja.

- Oczywiście, że pojedziesz do nich kiedy indziej, na przykład na wiosnę - pocieszała Carrie. - Na pewno bardzo się ucieszą, ale na razie musimy wymyślić coś innego.

- Musimy? - powtórzyła Lucy z naciskiem na ostatnią sylabę.

- Tak, bo obie zostałyśmy na lodzie. Co robimy?

- W święta?

- Tak, właśnie w święta.

- Może zostaniemy w Londynie?

- Myślę, że byłoby to raczej nudne. Lepiej gdzieś wyjedźmy.

- Ale dokąd?

Na to pytanie na razie nie znalazły odpowiedzi. Przez chwilę popatrzyły po sobie, potem Carrie wstała i wyjrzała przez okno na beznadziejnie ponure podwórko studni. Nagle, jakby olśniona, odwróciła się, zapuściła z powrotem firankę i przysiadła na brzegu biurka Lucy.

- Mam pomysł! - obwieściła. - Właśnie mi przyszedł do głowy. Słyszałaś kiedyś o Elfridzie Phipps?

Lucy tylko pokręciła głową, ciekawa, czym ją ciotka jeszcze zaskoczy.

- To kuzynka Jeffreya, cudowna osoba, chociaż twoja babcia nigdy jej nie znosiła. Pewnie gorszyła się, bo Elfrida była aktorką, a do tego prowadziła się dość swobodnie i lekceważyła wszelkie konwenanse. Ja jednak ją uwielbiałam, a szczególnie zbliżyłyśmy się do siebie, kiedy studiowałam w Oksfordzie. Myślę, że zostałyśmy dobrymi przyjaciółkami.

- Ile ona ma lat?

- No, to już mocno starsza pani, dobrze po sześćdziesiątce, ale bardzo rozrywkowa.

- Gdzie ona mieszka?

- Do niedawna w Londynie, ale odkąd jej... no, powiedzmy, człowiek, którego kochała... zmarł, postanowiła przenieść się na wieś. Wiem o tym, bo byłam z nią w kontakcie, kiedy choRowała po prze-mały domek w małej wiosce w Hampshire, ale nie taki znów

mały, bo dla nas wystarczy miejsca, a jeśli nawet nie starczy, to Elfrida je zrobi. Nie uważasz, że warto spróbować?

- Ty i ja?
- No, i jeszcze Elfrida.
- Na dwa tygodnie?
- Owszem!
- Ale czy ona się zgodzi?
- Idę o duży zakład, że tak.
- Tylko jak jej dAmy znać?
- Zadzwonię do niej.
- Teraz?

- Nie, kiedy będę w Putney. Lepiej, żeby twoje panie nic nie wiedziały o naszych planach, dopóki wszystko nie będzie dopięte na ostatni guzik. Wtedy postawimy je przed faktem dokonanym.

- A jeśli ona nie zechce z nami spędzić świąt?

- Po co od razu nastawiać się na najgorsze? Musimy myśleć pozytywnie. Tylko na razie nikomu ani słówka. Niech to będzie nasza słodka tajemnica! - Carrie odsunęła mankiet kaszmiRowego swetera pierwsza! Nie wiem, jak ty, ale ja umieram z głodu. Babcia obiecała nam zupę i pasztet, ale to chyba trochę mało. A gdybym tak zaprosiła was na lunch? Jest tu gdzieś blisko jakaś miła i niedroga knajpka?

- Jest, jakieś pięć minut drogi stąd, „U Rosettiego”.

- Pewnie z włoską kuchnią? Co tam dają?

- Spaghetti i inne takie rzeczy.

- No proszę, moje ulubione żarcie! To co, powiemy mamie i babci, że zapraszamy je na wyzerkę?

W tym momencie Lucy przypomniała sobie o Emmie.

- Tak, tylko umówiłam się z koleżanką na wpół do trzeciej, bo miałyśmy pójść do kina.

- Czym chcesz się tam dostać?

- Metrem.

- To żaden problem. Zjemy lunch, a potem zamówię ci taksówkę. Na pewno się nie spóźnisz.

Z minuty na minutę rysowały się coraz lepsze perspektywy - najpierw posiłek w restauracji, a potem taksówka... Lucy

zastanawiała się, czy Carrie wróciła z tej Austrii z pieniędzmi. Wyglądała na dobrze sytuowaną, bo miała piękne rzeczy, była elegancko uczesana i umalowana jak modelki z „Vogue”, ulubionego pisma babci. Lucy poczuła taką ulgę, jakby wyszła z ciemnego kąta prosto w płamę promieni słonecznych. Obecność Carrie sprawiała, że wszystko musiało się udać, tylko czemu te nieposłuszne łzy tak się cisnęły do oczu? Twarz Lucy ściągnęła się jak buzia zapłakanego dziecka.

- Och, Carrie...

- Dobrze już, nie płacz, przecież nie masz powodu. Zobaczysz, jak nam będzie fajnie.

Otworzyła ramiona, a Lucy przywarła twarzą do miękkiego kaszmirowego swetra ciotki, upojnie pachnącego jej perfumami. Zdołała powstrzymać łzy, znalazła chusteczkę i w porę wydmuchała nos.

- Przepraszam... - wyjąkała.

- Nie masz za co przepraszać, lepiej umyj buzię i włóż coś na siebie, a ja tymczasem podzielę się z naszymi paniami dobrą nowiną.

- Oczywiście tylko o lunchu?

- Pewnie, że tylko o lunchu, bo o innych planach nie piśniemy ani słówka, dopóki nie będziemy miały pewności, że wszystko gra. Na razie niech to zostanie między nami.

Carrie zastała Dodie w niewielkiej kuchni, jak bez zbytniego przekonania próbowała przygotować obiecany posiłek. Nakryła stół i zabrała się do otwierania puszkę z zupą.

- Zostaw tę puszkę! - powstrzymała ją Carrie.

Dodie odwróciła się, zaskoczona.

- Nie rozumiem, dlaczego.

Ubrana i uczesana elegancko jak zawsze, w kuchni wydawała się zupełnie nie na miejscu. Nie nałożyła nawet fartuszka, a puszkę trzymała na odległość wyciągniętej ręki, jakby otwierał ją ugrzyźć.

- Zdecydowałam, że postawię nam wszystkim lunch w restauracji „U Rosettiego”. Lucy i ja uważamy, że czasem trzeba podać sobie odrobinę luksusu. Co ty na to?

- No, dobrze... - wahała się Dodie. - Ale umówiliśmy się przecież, że zjemy u mnie zupę i pasztet.

- Zgadza się, ale tymczasem zmieniliśmy zdanie.

- A czy znajdziemy jeszcze wolny stolik? Jest już prawie pierwsza.

- Przecież możemy tam zadzwonić. Znasz numer?

- Chyba tak.

- Więc zrób to teraz, a tę puszkę zupy schowaj sobie na kocią. Gdzie jest Nicola?

- W salonie.

- Sfrustrowana?

- Raczej zadowolona z siebie.

- Wiesz co? Umówmy się, że przy lunchu nie będziemy poruszać tematu Florydy. Lucy dosyć się już o tym nasłuchiwała.

- Ja też.

Carrie odszukała Nicole pograżoną w głębokim fotelu, zatopioną w lekturze kobiecego pisma, które kupiła, wracając z biura podróży.

- Kompletujesz już garderobę na wyjazd? - zagadnęła.

Nicola ze złością rzuciła żurnal na podłogę.

- Wiem, co o tym myślisz, i gównu mnie to obchodzi! - wy-paliła.

- Niby dlaczego miałyby cię to obchodzić? Jeśli chcesz, to jedź!

- Mówisz serio?

- Pewnie, lepsze to niż siedzieć tutaj i zatruwać innym życie.

- Miła jesteś!

- Dobrze już, zawrzyjmy pokój - zaproponowała Carrie. - Zabieram was na lunch, to nam wszystkim poprawi humor. Tylko, proszę cię, nie mówmy już o Florydzie, Boumemouth ani innych planach na świąteczne wyjazdy.

- Czy to pomysł Lucy?

- Nie, mój, ale muszę pogratulować ci jej wychowania. Rzadko się zdarza, aby czternastoletnia dziewczyna była tak miła i subtelna. Zrobiłaś kawał dobrej roboty.

Nicola, rozbrojona, zdobyła się nawet na kwaśny uśmiezek.

- Dziękuję ci, ale nie myśl, że łatwo mi to przyszło.

- Wiadomo, że wychowanie dzieci to trudna sztuka, nawet

nie przypuszczałam, jak bardzo. Ubieraj się, bo mama już rezerwuje nam stolik, a my z Lucy marzymy o wielkiej pizzie!

Nad kominkiem wisało weneckie lustro w złotych ramach, odbijające wnętrze salonu. Nicola przejrzała się w nim, poprawiła fryzurę i powiodła czubkiem palca po uszminkowanych wargach. Jej odbite w lustrze oczy napotkały spojrzenie Carrie. Podchwyciła je i zaznaczyła:

- Ale problem pozostał, prawda?
- Spróbuję znaleźć jakieś wyjście.
- A po coś ty właściwie wróciła z tej Austrii?
- Bo ja wiem? - Carrie wzruszyła ramionami. - Podjęłam

błyskawiczną decyzję.

- Wszystko jedno, grunt, że dobrze zrobiłaś. - Nicola sięgnęła po swoje futerko i dopowiedziała jeszcze coś, czym popsuła efekt słów poprzednich: - Przynajmniej zdjęłaś mi kłopot z głowy!

Lunch udał się nad podziw. Dodie i Nicola w ogóle lubiły jadać w restauracjach, więc już w drodze do „Rosettiego” wyraźnie poprawił im się nastrój. Dodie skorzystała z okazji chłodnej grudniowej pogody, aby pokazać się w swoim nowym, czarnym palcie z futrzanym przybraniem. Ledwie weszła do przesyconego smakowitymi zapachami wnętrza lokalu, zaraz kilku uśmiechniętych Włochów rzuciło się, by wyłuskać ją z tego okrycia, co znacznie polepszyło jej samopoczucie. W sali restauracyjnej przebywali już jacyś konsumenci, ale na nie czekał zamówiony stolik w rogu. Carrie od razu zadysponowała drinki dla wszystkich - gin z tonikiem dla Dodie i Nicoli, colę dla Lucy i sherry Tio Pepe dla siebie. Wybrała także odpowiednie wino do głównego dania. Alkohol i przytulna atmosfera restauracyjki sprawiły, że z wolna ustąpiło napięcie, a konwersacja przy stole nie stała się może błyskotliwa, ale znacznie łatwiejsza.

W końcu wszystkie kobiety były krewnymi, które nie wdziały się od dłuższego czasu, więc miały o czym pogadać. Dodie opowiedziała Carrie o rejsie wycieczkowym po Morzu Śródziemnym i pewnej greckiej wyspie, którą się tak zachwycała, że zapragnęła wybudować tam kiedyś dom. Carrie ze swej

strony podzieliła się wrażeniami z Oberbeuren i opisała, jak urokliwie wyglądają góry w lecie, kiedy ośnieżone stoki zamieniają się w zielone pastwiska, na których kRowy podzwaniają dzwonekami.

Dodie i Nicola dotrzymały słowa - nikt nie wspomniał o świętach, Florydzie ani Bournemouth. Wypito kawę, Carrie regulowała rachunek, a Lucy musiała się zbierać, aby zdążyć do kina. Któryś z uczynnych kelnerów wyszedł na dwór w sAmym i trzymać ją kiwnięciem ręki. Carrie dała Lucy pieniądze na przejazd i odpRowadziła ją do samochodu. Już siedząc w środku, Lucy otworzyła okno.

- Jeszcze ci nie podziękowałam, Carrie. Było tak fajnie!
- Cała przyjemność po mojej stronie. Baw się dobrze. Jeszcze zadzwonię do ciebie.
- Tylko niech to nie trwa za długo!
- Postaram się załatwić sprawę jak najszybciej. Nicola wykazała bardziej praktyczne podejście.
- Kiedy wrócisz do domu?
- Około siódmej.
- Uważaj na siebie!
- No pewnie!

Taksówka odjechała, a panie stały trochę na rogu i skieRowały aby się pożegnać.

- No, sprawiłaś nam dużą frajdę! - przyznała Dodie, rozgrzana winem i dobrym jedzeniem. - Cieszę się, że jesteś znowu z nami. Odezwij się, kiedy już będziesz miała jakieś konkretne plany.

- Oczywiście. Cześć, mamó! - Cmoknęła matkę w policzek i zwróciła się do Nicoli: - No, bywaj. Zobaczymy się jeszcze przed twoim odlotem?

- Myślę, że tak. Dziękuję za lunch.
- W razie gdybyśmy się już nie widziały, baw się dobrze.
- Staram się, jak mogę.

Carrie jeszcze przez chwilę śledziła wzrokiem te dwie kobiety, tak zabawnie do siebie podobne, a jednocześnie pochłonięte swoimi problemami. Pod tym względem nic się nie zmieniły

W połowie mostu Putney Bridge zorientowała się, że nie zrobiła jeszcze zakupów, o które prosiła ją Sara. Wstąpiła więc do sklepu spożywczego prowadzonego przez Pakistańczyków, gdzie kupiła kalafior, pory i trochę drobnych, młodych kartofelków. Dołożyła do tego herbatę ekspresową Lapsang Sou-chong, bochenek ciemnego chleba i dwie butelki wina Jacobs Creek. Przystojny, młody ekspedient zapakował jej to wszystko do reklamówki, przyjął pieniądze i zrobił uwagę na temat pogody:

- Ależ dziś musi być ziąb! Dobrze, że pani już wraca do domu!

Carrie przyznała mu rację, podziękowała i wyszła ze sklepu. Na dworze zaczynało się już ściemniać, jak to zimą. Samochodyjechały z włączonymi światłami, na chodnikach odbijały się kwadraciki oświetlonych okien. Zanim doszła do domu Lumleyów, ręce jej tak zmarzły, że bolesne stało się nawet zdjęcie rękawiczki czy obrót klucza w zamku. Już wewnątrz zapaliła światło w hallu, wyłączyła alarm i z rozkoszą odtajała z zimna. Przeszła do kuchni, postawiła na stole reklamówkę z zakupami i jeszcze w płaszczu nastawiła wodę na herbatę. Potem zapuściła zasłonki w niebiesko-białą kratkę, wypakowała zawartość torby, a że tymczasem zagotowała się woda - mogła zaparzyć herbatę. Dopiero wtedy zdjęła płaszcz, przewiesiła go przez oparcie krzesła, wyciągnęła z torebki kalendarzyk i usiadła przy telefonie.

Znalazła numer Elfridy Phipps, zamieszkałej na Poulton's Row, w Dibton. Wybrała go i czekała, ale po tamtej stronie nikt nie podnosił słuchawki, a Elfrida jeszcze nie zdobyła się na zainstalowanie automatycznej sekretarki. Najwidoczniej gdzieś wyszła. Carrie na razie dała sobie z tym spokój, wypiła herbatę i poszła na górę odwiesić płaszcz do szafy i zmienić obuwie. Schodząc na dół, zapuściła zasłony w salonie i rozpałała w kominku. Po powrocie do kuchni znów spróbowała połączyć się z Elfrida, ale nadal bez skutku. Obrwała więc tymczasem kartofle, oczyściła kalafiora i zalała piersi kurczaka marynatą. Dopiero po trzeciej próbie dodzwonienia się zaczęła się poważniej niepokoić. Przecież już dawno się nie widziały i choć Elfrida nie lubiła pisać listów - zawsze mogła zadzwonić. A jeśli

umarła? Carrie zatrzęsła się na samą myśl, ale zaraz zdrowy rozsądek podpowiedział jej, że gdyby cokolwiek stało się Elfridzie, Jeffrey na pewno powiadomiłby ją o tym.

Właśnie, Jeffrey! Zadzwoń do ojca, a on już na pewno wie, co się dzieje z kuzynką. Numer telefonu do Emblo Carrie znała na pamięć, więc ponownie podniosła słuchawkę i spróbowała go wybrać. Tym razem się udało, bo odbiorca zgłosił się natychmiast.

- Tu Jeffrey Sutton, słucham?

- Cześć, Jeffrey, z tej strony Carrie.

- O, cześć, kochanie, jak się masz?

- Dziękuję, w porządku, tylko że jest strasznie zimno.

- Rzeczywiście, psia pogoda. O mało nas nie zdmuchnie z klifów.

- Co słyszeć u Sereny, Bena i Amy?

- Wszystko dobrze, akurat Serena odwiozła dzieci samochodem do szkoły. Ja tymczasem wypisuję czeki i reguluję zaległe rachunki. Czy mogę w czymś ci pomóc?

- A znalazłbyś może dla mnie chwilę czasu?

- To zależy, jak długa ma być ta chwila.

- Około godziny...

- Rany boskie, co się stało?

- Poszukuję Elfridy. Dzwoniłam już kilka razy pod numer w Dibton, ale nikt się nie odzywa.

- Jej tam nie ma.

- Jak to nie ma? W takim razie gdzie jest?

- W Szkocji.

- A cóż ona, do jasnej cholery, tam robi?

- Wyjechała jeszcze w zeszłym miesiącu i jest tam do tej pory.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym, kiedy dzwoniłam do ciebie w zeszłym tygodniu?

- Bo miałem ważniejsze sprawy do omówienia. Przede wszystkim chciałem rozmawiać o tobie.

- Rzeczywiście - zawstydziła się Carrie. - Przepraszam cię.

- Nie przypuszczałem, że zamiary Elfridy są dla ciebie ważne.

- Powiedzmy raczej, że stały się ważne. Po co ona pojechała do tej Szkocji?

- To długa historia... - zaczął Jeffrey i opowiedział jej, jak to Elfrida zaprzyjaźniła się w Dibton z rodziną Blundellów, jacy oni byli dla niej serdeczni i mili, aż tu nagle, jak grom z jasnego nieba, przyszło nieszczęście - żona i córka pana Blundella zginęły w wypadku samochodowym. Wdowiec wyjechał szukać ukojenia do Szkocji, gdzie ma, jak się zdaje, majątek ziemski, a Elfrida podążyła tam z nim.

- Czy ona go kocha? - palnęła bez zastanowienia Carrie.

- Wiem tylko tyle, co powiedziała mi przez telefon, a w jej głosie brzmiał raczej smutek niż entuzjazm.

- W takim razie raczej go żałuje, niż kocha.

- Zwierzyła mi się, że on prosił ją, aby mu dotrzymywała towarzystwa i pocieszała.

- Osobliwy rodzaj pociechy!

- Wyruszyli w drogę już następnego dnia. Mieli podróżować etapami.

- Znasz adres w Szkocji, pod który się udali?

- To jest gdzieś w Sutherland, na dalekiej północy. Zapiisałem sobie adres i telefon, bo nie chciałem, aby Elfrida znikła bez wieści.

- A czy odezwała się stamtąd do ciebie?

- Nie, bo pewnie była zaafektowana czym innym.

- O, kurczę! - nie wytrzymała Carrie.

- O co chodzi?

- Naprawdę bardzo jej potrzebuję. Muszę z nią pomówić.

- Masz jakiś problem?

- Można to i tak nazwać.

- Coś z tobą?

- Nie, z twoją wnuczką, Lucy Wesley.

- Możesz mi powiedzieć, co to takiego?

Nareszcie Carrie dorwała się do głosu. Spróbowała skrótowo opisać ojcu sytuację panującą w Farnham Court. Oto Nicola zamierzała spędzić święta na Florydzie w towarzystwie swego nowego, amerykańskiego adoratora. Chciała zabrać ze sobą Lucy, ale dziewczynka kategorycznie odmówiła. Z kolei Dodie nie miała ochoty zostać z wnuczką, bo planowała rozrywkowe wakacje w Boumemouth. Przy tym ani Nicola, ani Dodie nie

godziły się na żaden kompromis, ani też nie chciały zrewidować swoich stanowisk.

- I tak powstała sytuacja bez wyjścia - zakończyła.

- A co na to ojciec Lucy?

- Drań nie chce jej wziąć do siebie, bo woli jechać na narty. To naprawdę nie w porządku, taka miła dziewczynka zasługiwałaby na coś lepszego. Chętnie sama zaprosiłabym ją na święta, ale chwilowo nie mam ani pracy, ani mieszkania. Dlatego przyszła mi na myśl Elfrida.

- Mogłybyście przecież przyjechać do nas! - Jeffrey najwyraźniej czuł się winny, więc Carrie musiała zwalczyć jego skrupuły-

- Ależ, Jeffrey, dobrze wiem, że u was nie ma miejsca. Zresztą to nie byłoby w porządku wobec Sereny.

- Więc zadzwoń bezpośrednio do Elfridy. Chyba cię nie ugryzie, najwyżej odmówi, a przynajmniej sobie z nią pogadasz. Usłyszysz z pierwszej ręki sagę rodziny Blundellów i będziesz lepiej poinformowana niż ja.

- Ale czy to nie będzie wścibstwo z mojej strony? - wahała się Carrie.

- Nie przypuszczam.

- Tak dawno już nie rozmawiałam z Elfridą...

- Tym lepszy masz pretekst, aby do niej zadzwonić. Czekaj, nie rozłączaj się, znajdę ci jej adres i telefon. Gdzieś tu go miałem...

Carrie czekała przy aparacie, słysząc w tle odgłosy otwieranych szuflad i szelest papieru. W myśli powtarzała sobie: „Ależ to niedorzeczny pomysł! Jechać tak daleko tylko na święta?” Przeciwwstawiał się temu inny głos wewnętrzny, argumentując: „Dlaczego nie?”

- Carrie? - ponownie odezwał się Jeffrey. - Masz coś do pisania?

Carrie w pośpiechu złapała kartkę z listą zakupów Sary i długopis wetknięty do kubeczka.

- To jest jej telefon - dyktował Jeffrey, podczas gdy Carrie notowała. - A to adres. Zarząd Majątku, Creagan, Sutherland.

- Brzmi to bardzo pompatycznie.

- To się tylko tak wydaje.

- Jak się pisze Creagan?
- Jeffrey przeliterateRował ten wyraz.
- Może raczej napiszę do niej... - Carrie zaczynała tracić kontenans.
- Co, już się wycofujesz? Przecież to zajęłoby sporo czasu! Lepiej od razu do niej zadzwoń. Aha, i wiesz co?
- Co takiego?
- Pozdrów ją ode mnie!

Oskar

Strony te w środku zimy wyglądały zupełnie inaczej - obco i nieprzyjaźnie. Z bladym niebem wysmaganym przez wiatr zlewały się ośnieżone szczyty wzgórz, jakby wtapiające się w chmury. Oskar nie pamiętał, aby to kiedyś tak wyglądało, bo jako mały chłopiec zawsze przyjeżdżał do babci latem. Na tej szerokości geograficznej letnie wieczory przeciągały się do dziesiątej lub jedenastej w nocy, a na rozświetlone słońcem trawniki kładły się długie cienie drzew.

Wyrwał się dziś z domu zaraz po lunchu pod pozorem spaceru z Horacym. Wziął ze sobą mocną laskę, aby czuć się pewniej, a od zimna chroniła go puchowa kurtka i tweedowy kapelusz głęboko nasunięty na oczy. Buty miał solidne, jakby stworzone do pieszych wycieczek, więc ledwo opuścił miasteczko i wspiał się na pagórek za polem golfowym, mógł przyspieszyć kroku, dzięki czemu rozgrzewała go nie tylko ciepła odzież, ale i bicie własnego serca.

Horacy radośnie wysfoRował się naprzód i pRowadził swego przyjaciela krętą ścieżką wijącą się wśród krzewów kolcolistu. Po przejściu mniej więcej mili natrafili na przełaz, a za nim podążali wzdłuż nie używanej obecnie bocznicy kolejowej, na której kiedyś Oskar wysiadał, wracając z Londynu.

Po prawej ręce, poniżej pola golfowego i wydm, rozciągało się morze. Tafla morska miała ten sam smętny, stalowoszary kolor co zimowe niebo, a przypływ dopiero się zaczynał. Oskar przystanął, aby wsłuchać się w pisk mew i łoskot fal rozbi-

jających się o plażę. Mile zaskoczony, zauważył przy tym, że najbardziej wytrwałych graczy w golfa nie odstraszyła pogoda. Pojedyncze figurki w jaskrawych strojach przemierzały trasę, ciągnąc za sobą wózki z kijami. Przypomniał sobie, że jego babka też lubiła grać w golfa, ale zawsze najmowała chłopaka do noszenia sprzętu. Był to stale ten sam człowiek - miejscowy pijaczyna imieniem Sandy, stary wyga, który dobrze znał każdy zakręt toru i doradzał jej skuteczne uderzenia. Rzecz ciekawa, że zwykle nie wylewał za kołnierz, ale gdy pracował dla pani McLellan - starał się zachować trzeźwość.

Stara bocznica kolejowa kończyła się w zaroślach szczydrzewicy miotlastej. Oskar zauważył, że w tym miejscu kończyło się również boisko golfowe, a przy dziewiątym wzniesieniu tor brał zakręt. Widać stąd było dalszy odcinek wybrzeża, szeroką i płytką zatokę, stare molo i osadę rybacką, złożoną z parterowych, ciasno skupionych chałup, jakby przycupniętych dla ochrony przed wiatrem.

W tym momencie usłyszał szmer rozmowy kilku ludzi i jeden męski głos wołający na kogoś. Spojrzał w tamtą stronę i dojrzał czterech mężczyzn zmierzających w kierunku wzgórka. Obawiał się, że jednym z nich może być major Billicliffe, a nie chciał dać się wciągnąć w pogaduszkę z nim i jego kumplami. Stał więc bez ruchu, licząc, że nie zostanie zauważony. Na szczęście jego obawy okazały się płonne, gdyż żaden z czterech przechodniów nie był majorem Billicliffe'em, wysokim chudzielcem w tweedowych pumpach na patykowatych nogach. Zamiast niego Oskar zobaczył czterech krzepkich dżentelmenów odzianych w koloRowe kurtki, wodoodporne spodnie, białe golfowe buty i czapki baseballowe z długimi daszkami. Billicliffe nie ubrałby się nigdy tak awangardowo.

Właśnie ze względu na majora Billicliffe'a Oskar w pierwszych dniach pobytu w Creagan starał się nadmiernie nie afiszować. Najwyżej od czasu do czasu, na wyraźną prośbę Elfridy, wyskakiwał na drugą stronę ulicy do supermarketu, na piwo lub do piekarni po chleb. Najdalszymi jego wyprawami były spacerunki do kiosku z gazetami, gdzie zaopatrywał się w „Timesa” i „Telegraph”, a i wtedy rozglądał się bacznie, czy Billi-

cliffę nie śledzi go z za węglą, aby wylewnie się z nim przywitać i natarczywie zapraszać do swego okropnego domu.

Elfrida uważała to za przejaw tchórzostwa.

- Przecież to tylko nieszkodliwy, stary dziadyga! - przekonywała. - Musisz po prostu być wobec niego uprzejmy, ale stanowczy.

- Ale to okropny nudziarz!

- Co wcale nie znaczy, że masz ukrywać się przed nim przez resztę życia. To po prostu śmieszne!

- W taką parszywą pogodę wolę siedzieć w domu.

- Akurat! Przez całą sobotę grabiłeś liście w ogrodzie, mimo że lało jak z cebra.

- Przynajmniej Billicliffe nie wedrze się do naszego ogrodu.

- Jest na tyle wysoki, że może zajrzeć do środka przez mur.

- Żebyś nie wymówiła w złą godzinę!

Przy okazji spaceru z Horacym Oskar po raz pierwszy odważył się ruszyć dalej od domu. Zdecydował się na to dlatego, że nagle poczuł dziwny niepokój. Rozsadzała go energia, którą musiał jakoś wyładować, a wiedział, że dobrze mu zrobi, jeśli trochę rozprostuje nogi. Nie zniechęciła go nawet perspektywa ewentualnego spotkania z majorem Billicliffe'em. W końcu Elfrida słusznie stwierdziła, że nie może do końca swoich dni zamykać się w drzwi.

Tak się bowiem nieszczęśliwie złożyło, że Billicliffe, emerytowany rządcą Corrydale, przechowywał klucz od budynku Zarządu Majątku, a więc, chcąc odzyskać ten klucz, musieli go odwiedzić. Nie była to korzystna okoliczność, bo po trwającej dwa dni podróży samochodem z Hampshire, szczególnie o tej porze roku, Oskar i Elfrida gonili resztkami sił. Jazdę po szosie A-1 utrudniał im padający deszcz, dalekobieżne ciężarówki i nieostrożni kierowcy prowadzący w wariackim tempie. Na wysokości granicy ze Szkocją deszcz przeszedł w marznącą mżawkę, a potem śnieg, co znacznie pogorszyło warunki jazdy.

Elfrida proponowała, aby zatrzymali się gdzieś na nocleg. Oskar jednak uparł się, że chce jak najszybciej dotrzeć na miejsce. Posuwali się więc coraz dalej na północ, a na szczycie Drumochter, aby przedostać się przez szesciocalową warstwę

śniegu, musieli wlec się za potężną, przegubową ciężarówką. Pocięszali się jedynie tym, że w razie kraksy ciężarówka pierwsza uderzy w przeszkodę.

Zmrok zapadł wcześniej, toteż ostatnie kilometry jechali w ciemnościach. Na dodatek Oskar stwierdził, że pamięć go zawodzi, gdyż gubił się w labiryncie rozwiązań drogowych, które zaplanowano po upływie wielu lat od czasów, kiedy jako chłopiec odwiedzał te strony.

- Czemu wszystko musiało się aż tak zmienić? - narzekał, studiując mapę w świetle latarki.

- Jeśli się zmieniło, to na lepsze! - zaproponowała Elfrida. - Ciesz się, że nie musimy brnąć przez wąską, jednokierunkową uliczkę.

Dotarli w końcu do nowego mostu przerzuconego przez zatokę Firth.

- Za moich czasów - wspomniał Oskar - trzeba było objeżdżać te wzgórza i zbaczać około pięciu mil w głąb łądu.

- A widzisz, że się poprawiło! Jak teraz jedziemy?

- Musimy skręcić w lewo, z powrotem na starą szosę, a potem na zachód.

- Tylko czy ta stara szosa wciąż jeszcze tam jest?

- Jeśli jej nie ma, to leżymy.

Na szczęście szosa była na swoim miejscu, więc po ciemku zdołali zjechać z drogi szybkiego ruchu na tereny wiejskie. Elfrida zdążyła się już tym wszystkim zmęczyć, a tymczasem najgorsze dopiero ich czekało - odnalezienie domu Billicliffe'a przypominało poszukiwanie igły w stogu siana. Hektor udzielił Oskarowi dosyć ogólnikowych wskazówek:

- Mieszka w domu po starym leśniczym Fergusonie, na pewno go znałeś. Orientuj się na główną bramę majątku i jedź prosto. Uprzedziłem go już, że przyjedziesz.

W ciemnościach jednak wszystko nabierało innych kształtów, toteż Oskar stracił orientację i minął bramę majątku. W ostatniej chwili zauważył szyld czterogwiazdkowego hotelu „Dworek Ziemiański” w Corrydale. Oznaczało to, że muszą zawrócić i zacząć poszukiwania od początku. Po długim błędzeniu wjechali na błotniste podwórze czyjegoś gospodarstwa, gdzie wściekle ujadął pies. Dopiero następna próba została uwieńczo-

na sukcesem. Po wjeździe za bramę Oskar rozglądał się na wszystkie strony, szukając jakichś znaków orientacyjnych, ale w efekcie całkiem się pogubił.

- Niczego mi to nie przypomina! - narzekał, jakby chciał obciążyć Elfridę winą za luki w swojej pamięci.

- No cóż, wszystko się zmienia.

- Nie widzę tu żadnego domu!

- To co, mAmy tak kręcić się w kółko do rana? - W głosie Elfridy pobrzmiwało przerażenie. Oskar miał nadzieję, że przynajmniej ona nie straci zimnej krwi, za co ją tak podziwiał przez ostatnie dwa dni. Chyba nie zniósłby, gdyby jeszcze i ona miała wpaść w popłoch... - Czy jesteś pewien, że jedziemy właściwą szosą?

Sęk w tym, że Oskar nie był już niczego pewien. Westchnął więc ze smutkiem:

- Może oboje jesteśmy za starzy na szukanie wiatru w polu?

- Nie bądź śmieszny. Przede wszystkim nie szukamy żadnego wiatru, tylko klucza, a w tym celu musimy znaleźć tę przekłętą chałupę.

Udało się im to właściwie dzięki szczęśliwemu trafowi. Skręcili w lewo, w zrytą koleinami wiejską drogę, która zdawała się prowadzić donikąd. Tymczasem u jej końca ujrzeli światło przeświecające przez drzewa, otwartą bramę i krótki podjazd wiodący do małego kamiennego domku z jednym oknem od frontu. To właśnie zza jego firanek padało światło.

- Czy to to? - spytała niepewnie Elfrida. Oskar jednak w tej chwili wszystko sobie przypomniał i poznał dom, którego szukał.

- To to! - oznajmił z westchnieniem ulgi.

- Chwała Bogu!

Wjechał przez otwartą bramę i z piskiem opon na żwirze zatrzymał samochód przed drewnianym gankiem domu. Wyłączył silnik i niemal w tym samym momencie ciszę zmaćniło tubalne ujadanie, przerywane seriami upiornego wycia.

- Chryste, cóż to takiego? - przeraziła się Elfrida.

- Pies - oznajmił trzeźwo Oskar.

- Pewnie jakiś mastyf czy rottweiler albo coś jeszcze gor-

szego, jak pies Baskerville'ów? Za nic w świecie nie wysiądę, jeszcze mi życie miłe!

Jednocześnie jednak dał się słyszeć podniesiony męski głos i trzaśnięcie drzwiami. Szczekanie ustało, ale skulony na tylnym siedzeniu Horacy z lękiem wyglądał przez okno. Najwyraźniej jemu też było życie miłe.

- Nie musimy się gościć, zabieramy klucz i jedziemy dalej! - zapowiedział Oskar.

- Jak sobie życzysz.

Tymczasem otworzyły się drzwi domku i ukazała się w nich, na tle słabo oświetlonej sionki, tyczkowata sylwetka mężczyzny, który ugiął kolana, aby nie uderzyć głową o niską framugę, i osłaniał ręką oczy, bo raziły go światła samochodu. Oskar przez grzeczność je wyłączył.

- Ach, to ty, Blundell? Czekam na ciebie...

Nie dokończył zdania, które zawisło w próżni. Oskar i Elfrida wysiedli z wozu, czując w kościach zmęczenie długą jazdą. Na dworze owionęło ich przejmujące zimno.

- Przepraszam... - zaczął Oskar, czując potrzebę usprawiedliwienia się, chociaż prawie niemożliwe było, aby dotarli wcześniej. - Po ciemku trudno trafić, a właściwie nie znam tych stron. Chcielibyśmy tylko wziąć klucz i zaraz...

Chciał dodać: „...pojedziemy dalej”, ale major nie dał mu dokończyć.

- Oczywiście, mam go tutaj. Proszę, wejdźcie, napijemy się po kieliszeczku. Tędy, proszę.

- Ależ...

- Świetnie, żeście przyjechali. Tak was wyglądałem! Chodźcie już, nie stójcie na tym mrozie.

Gościnnie gospodarz usunął się na bok, zachęcającym gestem przytrzymując drzwi. Po krótkim wahaniu Oskar ustąpił, choć początkowo nie chciał tracić czasu, tylko jak najszybciej objąć swój dom w posiadanie. Okazało się jednak, że nie da się uniknąć imprezy towarzyskiej.

- Dziękuję - bąknął i przepuścił Elfridę przodem. - To moja dobra znajoma, Elfrida Phipps. Zmieniała mnie za kółkiem.

- Boże, taki kawał drogi! Miło mi panią poznać! - oświadczył, ujmując jej rękę z taką staroświecką galanterią, jakby

chciał ją pocałować. Oskar nawet przez chwilę obawiał się, że stary dziwak rzeczywiście to zrobi.

- Dobry wieczór - przywitała się Elfrida.

- Proszę zamykać drzwi, żeby nie napuszczać zimna.

Przeszli za nim do niewielkiego saloniku o niskim suficie, gdzie w palenisku kominka tlił się wątyły ogieniek, zbyt słaby, aby ogrzać pomieszczenie. Panował tam straszny bałagan - fotele były wgniecione, dywan pomarszczony i osypany psią sierścią, a popielniczki pełne niedopałków. Drzwi w przeciwnym końcu salonu prowadziły do następnego pokoju. Za nimi najwidoczniej zamknięto psa, gdyż dochodziło stamtąd sapanie i piski, aż rozległ się łomot i uwięzione zwierzę mało nie wypchnęło swoim ciężarem drzwi.

- Jaka to rasa? - spytała Elfrida ze zrozumiałym niepokojem.

- Labrador. To poczciwa, stara suka, nie ukrzywdziłaby muchy! - uspokoił ją major.

Na gzymsie kominka mieściła się cała graciarnia - wytarte kubki, piłeczka golfowa, zepsuty zegar wskazujący kwadrans po dwunastej, pozaginane pocztówki i druczki zaproszeń, wreszcie skórzane etui, w którym major Billicliffe trzymał swój aparat słuchowy. Teraz przede wszystkim sięgnął po niego i powtykał końcówki w swoje duże, czerwone uszy. Dopasowywaniu ich towarzyszyły skrzypiące dźwięki, aż w końcu usatysfakcjonowany major odwrócił się w stronę gości z miną człowieka, który wykonał kawał dobrej roboty.

- No, tak już lepiej. Przeważnie go nie noszę, więc kiedy trzeba, zapominam, gdzie go wsadziłem. Czym mogę państwu służyć?

Przeszedł w drugi koniec pokoju, gdzie stał stolik na kółkach, zastawiony butelkami, z dwiema brudnymi szklankami na dolnej, cółce.

- Mój barek jest do państwa dyspozycji - zaanonsował.

Oskar chętniej napiłby się herbaty, ale wiedział, że przygotowanie jej zajęłoby więcej czasu.

- Może być whisky, ale dobrze rozcieńczona - poprosił.

- A co dla pani?

Wprawił tym Elfridę w lekkie zakłopotanie, bo w gruncie rzeczy też marzyła o filiżance gorącej herbaty.

- Poproszę sherry - zdecydowała.

- Jeszcze gdzieś miałem trochę... O, tu jest! - Podniósł w górę butelkę z niewielką ilością płynu na dnie. - Wystarczy w sam raz dla jednej osoby.

Nalewając drinki, nie przestawał tokować. Oskar i Elfrida nie przerywali mu, próbując ogrzać się przy wątłym ogniu.

- Wybaczcie państwo, że to moje gospodarstwo jest trochę zaniedbane. Widzicie, dwa lata temu żona mi umarła. Bardzo mi jej brak, ale co mogę na to poradzić? Tylko od czasu do czasu przychodzi tu sprzątaczką...

Oskar śledził jego niezręczne ruchy, bo rozlewał płyn przy nalewaniu drinków, a szklanek trzymał drżącą ręką. Nogi miał koślawe, a chude łydki obleczone pończochami tkwiły w monstrualnie wielkich, zdeptanych buciorach. Spod nielicznych pasemek rzadkich, siwych włosów przeświecała łysina, a poplamione tytoniem wąsy nie przykrywały krzywych zębów. Trudno było wyobrazić sobie, że kiedyś mógł być szykownym, prostym jak trzcina oficerem armii brytyjskiej.

- Byłem zachwycony, kiedy Hektor powiedział mi, że się do nas wybieracie - opowiadał dalej. - Przyda się tu w końcu trochę świeżej krwi. A co tam u niego? Pomyśleć, że nigdy przedtem was nie widziałem, ale to już tyle lat... Zaraz po wyjściu z wojska musiałem ukończyć kurs rolniczy w Cirencester, żeby zdobyć kwalifikacje rzadcy majątku. Wiadomo, że byle komu nie powierzono by takiego stanowiska... Tu były zawsze świetne tereny wędkarskie, ale żona się nudziła, bo nie lubiła chodzić na ryby. Gdyby nie telewizor i spacer z psami, chyba by zwariowała...

Tymczasem nalał gościom drinki i przyniósł je, trzymając po jednej szklance trzęsącymi się rękami.

- Nie za słaba ta whisky? - upewniał się.

- Ależ akurat w sam raz - uspokoił go Oskar.

Major wrócił do barku, aby zaspokoić również swoje pragnienie. Widać było, że sam potrzebował mocniejszej whisky.

- Przydałoby się do tego coś na ząb, na przykład chipsy... Proszę, usiądźcie i rozgośćcie się.

- Nie możemy tu zbyt długo siedzieć.
- Niby dlaczego nie? Do Creagan dojedziecie w ciągu pięciu minut.

W takiej sytuacji Oskar i Elfrida, chcąc nie chcąc, usiedli na kanapie śmierdzącej zmokłym psem. Major umieścił się w jedynym fotelu przy kominku. Kiedy siedział, jego kościste kolana omal nie przebijały wytartego tweedu jego pumpów.

- Teraz, oczywiście, jestem już na emeryturze. To ładnie ze strony Hektora, że umożliwił mi kupno tego domku, który i tak stał pusty. Hughie w ogóle nie dbał o załogę, zresztą teraz i tak już nie ma stałych pracowników związanych z majątkiem. Gdziekolwiek popatrzeć, tylko najemni robotnicy i maszyny. Wolałem pracować dla Hektora, bo kiedy Hughie przejął majątek, nic, tylko siał zgorszenie i dawał zły przykład. Macie pojęcie, że wciąż urządzał tu jakieś orgie? Nie szło z nim wytrzymać... Może być ten drink czy nalać ci coś lepszego?... Miałem już tego powyżej uszu, na szczęście Hughie też nie wytrzymał i wywiązał na Barbados, tylko przedtem wszystko wyprzedził... Ten, kto to kupił, postawił ten hotel, który na pewno widzieliście. Wszystko przeszklone, same pokoje z łazienkami, ale ceny w barze to rozbój na równej drodze! Nawet się tam nie zbliżam. Resztę gruntów dokupił do swego gospodarstwa młody Thomson, którego ojciec był u nas dzierżawcą. Chyba mu nawet dobrze idzie... Już wam mówiłem, że nawet nie zbliżam się do tego ich hotelu. Wolę chodzić do klubu golfowego. Grywasz w golfa? MAMY tu fajną paczkę, powinieneś się do nas przyłączyć. Stamtąd już tylko kawałek do Zarządu Majątku. Przedtem mieszkali tam sympatyczni, starsi ludzie, Cochrane'owie, ale on zmarł, a ona wyprorowadziła się do córki na południe. Dla was to lepiej. Przychodzi tylko pani Snead, żeby zadbać o wszystko. Myślę, że Hektor za to jej płaci. Nie mówił ci?

Oskar przytaknął ruchem głowy.

- To bardzo miła osoba... Spotkałem ją dziś u rzeźnika i powiedziała, że bojler jest w porządku. Dobrze, że nie muszę się o niego więcej martwić, bo inaczej musiałbym tu sprowadzić ekipę remontową...

- Gdzie jest klucz? - ponaglił go zdesperowany Oskar.

- Słucham? - Major zdziwił się, jakby nie rozumiał, o co chodzi.

- No, przecież pan ma klucz od dawnych biur majątku. Jeśli pan go nam da, zaraz sobie pojedziemy.

- Tak, rzeczywiście... Gdzieś go tutaj włożyłem... - Opróżnił do dna swoją szklankę, odstawił pustą i przeszedł do starego biurka z zasuwanyim blatem. Oczywiście blat był odsunięty i panował tam nieopisany bałagan. Major zaczął chaotycznie przerzucać zawartość przegródek i szufladek, aż z okrzykiem: „Eureka!” wyciągnął wielki, staroświecki klucz z pogiętą tabliczką. - Wiedziałem, że musi gdzieś tu być! Na stare lata już mnie pamięć zawodzi.

Oskar i Elfrida wysączyli swoje drinki i zdecydowanym gestem podnieśli się z kanapy. Oskar wziął klucz z ręki majora.

- Dziękujemy bardzo i przepraszamy za kłopot.

- Ależ to żaden kłopot. Cieszę się, że miałem do kogo gębę otworzyć. Zwykle całymi dniami przesiaduję w klubie. Nie gram już tak często jak kiedyś, ale dobrze przynajmniej pogawędzić ze starymi kumplami czy przekąsić jakąś kanapkę w barze.

Już szli ku drzwiom, a major jeszcze wołał za nimi:

- Musicie mnie znów kiedyś odwiedzić. Albo może ja do was wpadnę zobaczyć, jak się urządziliście?

- Ależ proszę bardzo! - uśmiechnęła się Elfrida. - Tylko może jeszcze nie teraz. Oskar ostatnio nie czuł się zbyt dobrze i potrzebuje czasu, aby dojść do siebie.

- Oczywiście, ale i tak niedługo znów się zobaczymy.

Oskar przerwał swój spacer w połowie, aby przyjrzeć się grającym w golfa. Mógł to zrobić bez obawy, wiedząc, że Billicliffe nie jest jednym z nich. Gracze ustawiali się na swoich miejscach i wybierali kije, nie chcąc, by cokolwiek ich rozprasało, więc Oskar stał bez ruchu, dopóki ostatni zawodnik nie wybił piłki gdzieś daleko, chyba na orbitę wokółziemską. Zaczynało się już ściemniać, więc Oskar zorientował się, że i oni będą musieli niebawem kończyć, jeśli chcą wrócić do klubu przed zmrokiem. Któryś z graczy schylił się, aby podnieść

podkładkę pod piłkę, i przy tej czynności napotkał spojrzenie Oskara.

Spojrzenia ich skrzyżowały się ponad torem golfowym i wtedy obcy mężczyzna uniósł rękę w geście pozdrowienia lub może dlatego, że wyczuł zainteresowanie Oskara. Ten zaś odwzajemnił przyjazny gest. Gracz schował kij do torby i ruszył w ślad za kolegami. Oskar odprowadził wzrokiem jego krępą sylwetkę w jaskrawoczerwonej kurtce i niebieskich spodniach. Zastanawiał się, czy ten pan jest turystą - na przykład ze Stanów Zjednoczonych - czy mieszkańcem Creagan. Szybko jednak stracił go z oczu, więc kontynuował spacer z psem.

Zaczął już odczuwać zmęczenie, gdy między wydmami a polem golfowym zauważył kamienistą drogę, używaną przez konserwatorów terenów zielonych, kiedy ciągnikami wracali do miasta. Poniżej rozciągał się sierp plaży, a daleko w przodzie widać było sylwetki rozrzuconych pojedynczych dachów domostw i wieży kościelnej na tle chmur. Wyglądało to równie ponuro jak stara akwaforta, do tego stopnia, że Oskar już zaczął rozważać, czy nie porwał się na zbyt wiele, planując tak długi spacer. Na szczęście dostrzegł niewielką drewnianą budkę, która służyła graczom za schronienie w razie deszczu lub do chwilowego odpoczynku w czasie przerw w grze. Kiedy podszedł bliżej, zauważył, że budka podzielona jest od wewnątrz na cztery przedziały, a w każdym z nich znajduje się ławeczka. Wybrał więc sobie jeden z tych przedziałów, najbardziej osłonięty od wiatru, i z ulgą usiadł.

Myślał z zazdrością o grupce przyjaciół, którzy rozgrywali po południu partyjkę golfa, rozmawiając, żartując i rywalizując ze sobą. Teraz pewnie wpadną do klubu na drinka, a potem pożegnają się i rozejdą do swoich domów jak normalni ludzie. Oskar był ciekaw, czy kiedyś jeszcze zdoła powrócić do takiej normalności.

W młodości też grywał w golfa, choć nigdy nie osiągał zbyt dobrych wyników. Może teraz powinien znowu zacząć? Kupiłby sobie kosztowny komplet kijów i zadziwił wszystkich umiejętnością celnego wpędzania piłki do dołka? Ta perspektywa wcale go jednak nie rozśmieszyła, bo mało co było teraz w stanie przywołać uśmiech na jego usta.

Wiedział już, co to znaczy rozpaczać, choć nieraz używał tego zwrotu w listach kondolencyjnych do przyjaciół, którzy dopiero co utracili żonę, rodziców lub dziecko. Wtedy nie zdawał sobie sprawy, ile treści kryje to na pozór niewinne słowo. Czymś podobnym było współczucie. Ile razy kończył takie listy formułą: „Z wyrazami najgłębszego współczucia”, po czym zwyczajnie podpisywał je i wysyłał w przekonaniu dobrze spełnionego obowiązku.

Teraz dopiero zrozumiał, że nie miał pojęcia, o czym właściwie pisał. Okazało się, że rozpacz nie jest stanem ducha, lecz sensacją czysto fizyczną. Wiązało się to z poczuciem obezładniającej pustki i przemożnego bólu, który nie dawał się uśmierzyć. Chronił się przed tym w ten sposób, że zamykał się w sobie. Tu, w Creagan, nie groziły mu przynajmniej wścibskie spojrzenia, zdawkowe kondolencje ze strony przypadkowo spotkanych znajomych ani natarczywy pastor ze swą pociechą religijną.

Zwykle podczas spaceru Oskar lubił obserwować niebo, ptaki, chmury i otaczający krajobraz. Chętnie nastawiał policzki na powiew wiatru, wsłuchiwał się w uderzenia fal o brzeg, wdychał słodki, acz przenikliwy zapach mchu i wrzosu... Tym razem jednak żadne z tych odczuć nie wywierało na nim najmniejszego wrażenia. Niczemu się nie dziwił, nic go nie cieszyło ani nie pobudzało do działania. Czuł się tak, jakby oglądał martwy pejzaż, namalowany poprawnie, lecz pozbawiony duszy.

Nigdy nie znosił uzalania się nad sobą, więc nawet podczas chwilowego odpoczynku w małej drewnianej budce próbował odkryć dobre strony sytuacji, w jakiej się znalazł. Pocieszający mógł już być fakt, że miał na własność przynajmniej część siedziby Zarządu Majątku Corrydale. Dobrze, że w odpowiednim momencie ten obiekt stał pusty, dzięki czemu mógł tam się schronić. Drugą pociechę stanowiła dla niego Elfrida, która dopomogła mu pozostać przy zdrowych zmysłach i przetrwać najtrudniejszy okres. Wystarczyło przy tym, że tylko dotrzyzymała mu towarzystwa i akceptowała jego dziwactwa. Taktownie usuwała się w cień, gdy chciał pozostać sam, a kiedy czuł chęć do zwierzeń - po prostu go słuchała.

Ukojenie niosła mu też świadomość, że gdyby nawet nie chciał pozostać na zawsze w tych dzikich, północnych stroinach, gdzie spędził szczęśliwe dzieciństwo - to nie tylko nie musiał, ale nawet już nie mógł wrócić do domu Glorii, gdzie z każdego kąta wzywały bolesne wspomnienia. Tymczasem jej dwaj synowie wystawili „Dwór” na sprzedaż. W pewnym sensie Oskar był im za to wdzięczny, bo choć nie postąpili fair, to przynajmniej oszczędzili mu koszmaru wegetacji w upiornej ciszy tych murów.

Raz za razem powtarzał sobie, że musi się wyrwać z tego obezwładniającego marazmu. W wieku sześćdziesięciu siedmiu lat trudno mu jednak było zmobilizować się w takim stopniu, aby otrząsnąć się z szoku wywołanego utratą tych, których kochał. Każdy nerw jego ciała ogarniało coś w rodzaju paraliżu.

- Muszę się wreszcie ruszyć! - przykazał sobie głośno.

Na dźwięk jego słów Horacy, leżący dotąd u jego stóp, podniósł się do pozycji siedzącej i zrobił wesołą minę. Oskar lubił tego psa, bo przynajmniej trochę poprawiał mu nastrój. Wstał więc i zagadał do Horacego:

- No, chodźmy, stary. Czas już do domu!

Zanim doszedł do klubu, zrobiło się już zupełnie ciemno i zdążył się nieźle zmęczyć. Podszedł pod górę stromą trasą między dwoma torami golfowymi i trafił wprost na rześkie oświetlony budynek o dużych oknach. Wewnątrz, jak w barze, siedzieli przy stolikach i jedli kanapki ci sami ludzie, którzy przed chwilą rozgrywali partie golfa. Na pewno w dalszym ciągu dyskutowali o niedawno zakończonej grze. Plac przed lokalem klubowym był wyłożony płytami, ale znalazło się też miejsce na kilka grządek, gdzie latem begonie i pelargonie olśniewały feerią jaskrawych barw. Na oświetlonym parkingu stało około dwunastu samochodów, z których jeden, wielomiejscowy, miał opuszczoną tylną klapę. Przysiadł na niej mężczyzna, który akurat zmieniał golfowe buty na kołkach na zwykłe, wygodne trzewiki. Oskar poznał po czerwonej kurtce i szafiRowych ortal przednio, choć tymczasem zdjął on baseballową czapkę, obnażając gęste, siwiejące włosy.

Oskar znalazł się przy nim w momencie, kiedy nieznajomy zawiązał właśnie ostatnią sznurówkę i wstał. Zastanawiał się, czy nie powinien nawiązać przyjaznej rozmowy, na przykład na temat przebiegu rozegranej właśnie partii, ale zanim podjął decyzję - kto inny zdecydował za niego.

- Dobry wieczór. Jak się panu udał spacer?

Oskar odwrócił się w jego stronę.

- Chyba zapaściłem się trochę za daleko. Ostatnio brak mi kondycji. A pan kiedy zdążył tu się dostać?

- Po piętnastym dołku daliśmy sobie spokój, bo zrobiło się już za ciemno i zimno. To nie jest odpowiednia pogoda do gry. - Wrzucił swoje buty golfowe do bagażnika i zatrzasnął klapę. Postąpił o krok naprzód, dzięki czemu Oskar mógł zobaczyć czerstwą twarz wieśniaka, przyozdobioną parą przenikliwych, niebieskich oczu. - Przepraszam, ale pan jest Oskar Blundell, prawda?

Oskar poczuł się niezręcznie, że go tak łatwo zdemaskowano. Bąknął tylko: „Tak”, co zabrzmiało jak przyznanie się do winy.

- Wiedziałem, że pan w końcu wróci do Creagan - mówił dalej nieznajomy. Ciekawe, co jeszcze wiedział? - Mieszkam tu dopiero od dwudziestu lat, więc nie miałem zaszczytu znać pańskiej babki, pani McLellan. Dobrze natomiast znałem Hektora, choć przebywał tu tylko do czasu, kiedy przekazał Corrydale Hughiemu, a sam przeniósł się na południe. Nazywam się Peter Kennedy i witam pana w Creagan!

- Bardzo mi miło.

- Na pewno pan zmęczony i zziębnięty, taki dziś wiatr... Idę właśnie napić się herbaty, może napiłby się pan ze mną?

Oskar na chwilę zamilkł, targany sprzecznymi uczuciami. Rzeczywiście był zmęczony i chętnie posiedziałyby w ciepłym miejscu przy filiżance gorącej herbaty. Z drugiej strony jednak nie był pewien, czy starczy mu odwagi, aby nagle znaleźć się w towarzystwie zupełnie obcych ludzi, którym pewnie zostałyby przedstawiony, i musiałby wziąć udział w rozmowie.

Nowy znajomy emanował jednak takim ciepłem i życzliwością, że Oskar nie miał serca odmówić mu wprost. Próbował więc jakoś się wykręcić.

- Jestem z psem...

- Możemy przecież zamknąć go w moim samochodzie. Przez tak krótki czas nie zdąży chyba nic zbroić.

- Ale... wolałbym nie spotkać się z majorem Billiclif'em! - Oskar w końcu musiał wyrzucić to z siebie.

Szczera twarz Petera Kennedy'ego rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. Dobrotliwie poklepał Oskara po ramieniu.

- Niech się pan nie boi, on już pojechał do domu. Dopiero co widziałem, jak odjeżdżał.

- Pewnie pan myśli, że jestem bez serca?

- Wcale tak nie uważam. To co, idziemy?

- Z przyjemnością. Dziękuję panu.

- Będzie mi bardzo miło.

Udało się im zamknąć Horacego w bagażniku samochodu Petera, razem z jego butami i kijami golfowymi. Pies patrzył na nich z wyraźnym wyrzutem przez tylną szybę, dopiero Oskar go pocieszył:

- Poczekaj, zaraz przyjdę.

Obaj mężczyźni weszli po niskich schodkach przez główne wejście do hallu wyłożonego dywanami, gdzie w oszklonych szafkach pyszniły się puchary i inne nagrody zdobyte w turniejach golfa. Nad nimi wisały portrety kolejnych kapitanów miejscowej drużyny. Stamtąd przeszklone drzwi prowadziły do głównej sali klubowej, zastawionej stolikami i krzesłami, z bufetem w rogu. Zaledwie jedna czy dwie osoby podniosły oczy znad stolików, reszta nie zauważyła nawet wejścia Petera i Oskara.

- Usiądźmy tutaj - zaproponował Peter. - Tu jest wolny stolik i nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Zanim jednak zdążyli usiąść, rozchyliły się skrzydła drzwi obok bufetu i wyszła z nich kelnerka - starsza niewiasta w białej bluzce i czarnej spódnicy, o elegancko ondulowanych siwych włosach, rozpluwająca się w uśmiechach.

- Dobry wieczór, myśleliśmy, że dziś pan do nas nie przyjdzie!

- A co, Jessie, uważasz, że już za późno na herbatę?

- Na to nigdy nie jest za późno, zwłaszcza w taką psią pogodę jak dziś. Na pewno panowie zmarzli! Pan też z nimi grał?

To ostatnie pytanie było skierowane do Oskara, który zdjął tweedowy kapelusz, ale pozostał w kurtce i kilku warstwach swetrów.

- Nie, ja tylko spacerowałem.

- Jessie, to pan Oskar Blundell, który ma zamieszkać w Zarządzie Majątku.

- Ach, więc to pan! Słyszałam, że pan do nas przyjechał, ale jeszcze tu pana nie widziałam. Pan też gra w golfa?

- Przykro mi, ale nie.

- To nic, jakoś to nadrobimy. Gdzie panowie chcą usiąść?

Zanim któryś z nich zdążył odpowiedzieć - w przeciwnym końcu długiej sali rozległ się głośny okrzyk, dźwięczny jak wojskowa trąbka sygnałowa. Przestraszyło to wszystkich gości, a szczególnie zirykowało tych, którzy oglądali telewizję.

- Peter! Chodź tu, pogadamy. Nie widziałem cię już chyba z tydzień!

Peter Kennedy błyskawicznie się odwrócił, a Oskar, podążając za jego wzrokiem, namierzył w rogu sali krępego, starszego pana siedzącego w wózku inwalidzkim. Przed nim na stoliku stała szklanka whisky.

- Peter! - nie przestawał wołać, wymachując sękatą laską, jakby zakładał z całą pewnością, że nikt go nie usłyszał ani nie zauważył. - Chodź tu i opowiadaj, co słysząc!

- Mogę pana przeprosić na chwilę? - sumitował się Peter. - Muszę się przywitać z tym starszym panem, bo on tego bardzo potrzebuje.

- Ależ naturalnie, proszę bardzo.

- Zaraz wrócę. Jessie tymczasem zajmie się panem.

Przemaszerował na drugą stronę sali, zagadując w marszu:

- No proszę, co za niespodzianka! Masz dziś wychodne, Charlie?

Starszek na wózku powitał Petera tak wylewnie, że Oskar poczuł się intruzem, więc usunął się na bok.

- Proszę, niech pan się rozgości - zachęcała Jessie. - Niech pan lepiej zdejmie kurtkę, bo nie poczuje pan różnicy, kiedy wyjdzie na dwór. Woli pan herbatę chińską czy indyjską? A może podać gorącą bułeczkę?

- Przepraszam, ale kim jest ten pan? - przerwał jej Oskar.

- Charlie Beith? O, to ciekawy człowiek! Domyśliłby się pan, że on już przekroczył dziewięćdziesiątkę? Przedtem gospodarował na farmie w Toshlands, którą teraz przejął jego wnuk. Dziadek zamieszkał w domu starców i wszystko było w porządku, dopóki dwa lata temu nie dostał wylewu. Pan Kennedy regularnie go odwiedza. Dziś przywiozła go tu córka, żeby się staruszek trochę rozerwał. Aż dziw, jak on się trzyma!

- Tak, ale nie miałem na myśli tego starszego pana - wyjaśnił Oskar. - Chodzi mi o pana Kennedy'ego, bo spotkałem go dziś po raz pierwszy w życiu. Powiedział, że znał mojego wujka, ale nie wiem, kim on właściwie jest.

- Nie wie pan? Rany boskie, jest pan chyba jedynym człowiekiem w Creagan, który nie zna pana Kennedy'ego. Przecież to pastor, nasz proboszcz!

Proboszcz, pastor, wszystko jedno, w każdym razie człowiek, który profesjonalnie zajmuje się udzielaniem pociechy duchowej! Dotychczasowa życzliwość Petera, która początkowo wydawała mu się autentyczna, teraz stała się podejrzana. Czyżby już wiedział, dlaczego Oskar wrócił do Creagan? A zatem wiedzieliby także o tragicznej śmierci jego żony i dziecka. Ciekawe, skąd się o tym dowiedział? Zaraz, przecież sam wspomniał, że dobrze znał Hektora! A więc to on, oczywiście w dobrej wierze, poinformował Petera Kennedy'ego, jaka jest sytuacja. Może nawet podsunął mu, aby złożył Oskarowi wizytę duszpasterską, w trakcie której podniósłby go na duchu, a przy tym dyskretnie skłonił do powrotu na łono Kościoła?

- Dobrze się pan czuje? - zaniepokoiła się Jessie.

Patrząc w jej poczciwą, zatroskaną twarz, Oskar zdał sobie sprawę, że jest zgrzany, a po czole ścieka mu pot. Nie spowodowało tego jednak ciepło panujące w lokalu ani jego gruby ubiór, lecz wewnętrzny niepokój niebezpiecznie zbliżony do panicznego strachu. Czuł, że się udusi, jeśli natychmiast stąd nie wyjdzie.

- Przepraszam, tu jest bardzo gorąco, a ja akurat sobie coś przypomniałem... - wystękał z wysiłkiem. - Niestety, nie będę mógł tu zostać, bo czekam na pilny telefon!

- A co z pańską herbatą?

- Może innym razem. Proszę łaskawie przeprosić ode mnie pana Kennedy'ego.

Dyskretnie wycofał się w stronę drzwi, zbyt ciężkich, aby dały się otworzyć bezszelestnie. Pozostała mu do pokonania cała szerokość hallu oraz druga para drzwi, po czym już bez przeszkód wydostał się na świeże powietrze. Na dworze uderzył w niego podmuch lodowatego wiatru, więc zatrzymał się, aby ochłoniąć i przewentylować płuca. Czuł na czole strużki ściekającego potu, więc nacisnął kapelusz głęboko na oczy. Dobrze, że udało mu się wyjść z tej opresji obronną ręką. Teraz musiał jeszcze dostać się do domu, aby zostać sam na sam z Elfridą. Szybko przeciął parking, uwolnił Horacego z bagażnika samochodu Petera i ciągnąc go za sobą, nienaturalnie szybkim krokiem pomaszerował do domu, jakby przed czymś uciekał.

Elfrida

Parafialne kółko pań w Dibton specjalizowało się w urządzeniu wycieczek pod nazwą: „Podróże w nieznane”. Odbywały się one tak, że w sobotnie popołudnie panie wsiadały do autobusu, który odjeżdżał w nieujawnionym kierunku. Na miejscu przeważnie przewidziano zwiedzanie ogrodów jakiejś ważnej instytucji oraz - obowiązkowo - sklepu z pamiątkami, gdzie uczestniczki wycieczki nabywały ozdobne serwetki, ekslibrisy lub paczuszki czekoladowych ciasteczek domowej roboty. Po zakupach na panie czekał solidny podwieczorek w miejscowym hotelu, po którym ten sam autobus odwoził je do domu. Wyjazdy takie cieszyły się dużym powodzeniem.

Elfrida uznała swój niespodziewany wypad na północ kraju za szczególnie rodzaj takiej wycieczki w nieznane. Odkąd wraz z Oskarem opuścili Dibton - nie miała pojęcia, co jeszcze los dla niej szykuje, ani też okazji, żeby o to zapytać. Wyjeżdżali w takim pośpiechu, że szczegóły nie miały już żadnego znaczenia. Po prostu musieli zniknąć i tyle!

Oczywiście przedtem poczynili pewne przygotowania. Oskar musiał oddać samochód do przeglądu oraz zatankować

bak do pełna. Swoich pasierbów poinformował, że musi gdzieś pilnie wyjechać, a agentowi bankowemu podał nowy adres kontaktowy. Natomiast Elfrida zostawiła klucz od swego domu na Poulton's Row u sąsiadki, starając się ograniczyć wszelkie wyjaśnienia do minimum. Poprosiła ją również, żeby przynajmniej od czasu do czasu rzuciła okiem na jej forda fiestę, zaparkowanego „pod chmurką” na chodniku.

- Kiedy pani spodziewa się wrócić? - wypytywała uczynna sąsiadka.

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, ale będę z panią w kontakcie. Proszę, tu są kluczyki od wozu, może pani nim jeździć, to mu tylko dobrze zrobi. Poza tym zamknęłam wszystkie okna i zakreśliłam główny dopływ wody.

- A można wiedzieć, dokąd pani się wybiera?

- Myślę, że do Szkocji.

Oskar musiał jeszcze skontaktować się z Hektorem McLellanem, aby poinformować go o sytuacji. Elfrida w tym samym celu zadzwoniła do swego kuzyna Jeffrey'a w Konwalii. Nie od razu jednak zdołała mu wytłumaczyć, co ma zamiar zrobić i dlaczego. Kiedy w końcu pojawił się, w czym rzecz, wykrztusił tylko: „Powodzenia!”, więc zdążyła zaledwie podać mu adres, pod którym powinna być uchwytana.

Nie miała pojęcia, jakiej odzieży może tam potrzebować, ale na wszelki wypadek zapakowała do walizki ciepłe rzeczy i mocne buty. Do oddzielnej torby, zapinanej na suwak, włożyła przedmioty, które uważała za szczególnie cenne i wszędzie wozila ze sobą. Należały do nich obrazek pędzla sir Davida Wilkiego owinięty w jedwabny szal, porcelanowe pieśki z gzymsu kominka, zabytkowy zegar i rozpoczęty aktualnie haft. Na wierzch torby dołożyła kilka książek i zdjęć w srebrnych ramkach. To było wszystko, natomiast Oskar zabrał ze sobą o wiele cięższy bagaż. Oprócz skózanego kufra, który spakowała mu pani Muswell, miał jeszcze wypchaną teczkę i cały swój sprzęt wędkarski.

- Czyżbyś wybierał się na ryby? - zaciekała się Elfrida.

- Bo ja wiem? W każdym razie nigdzie nie ruszę się bez mojej wędkarki, bo to dla mnie przedmiot kultowy.

Na szczęście w bagażniku obszernego volvo znalazło się

miejsce na to wszystko i jeszcze starczyło dla Horacego, na jego kocyk, zapas suchej karmy i miskę do wody. On też, podobnie jak jego pani, nie wiedział, co go czeka, ale z radością wskoczył do wozu i ułożył się tam wygodnie, zadowolony, że nie zostawią go samego. Widok spakowanych walizek zawsze wydawał mu się podejrzany.

- Nie mamy zbyt wiele bagażu - zauważyła Elfrida, ale Oskar nie ustosunkował się do tej uwagi, bo zanadto był pochłonięty wydawaniem ostatnich poleceń wiernej pani Muswell, która nie odstępowała go w ciężkich chwilach, a i teraz lada moment gotowa była wybuchnąć płaczem.

- No, pani Muswell... - próbował pocieszyć ją Oskar.

- Niech pan do mnie napisze! - poprosiła załamującym się głosem.

- Oczywiście. Dziękuję pani za wszystko, i do widzenia! - Cmoknął panią Muswell w policzek, przez co zacna niewiasta zupełnie się roztkliwiła. Odjechali już daleko, a jeszcze Elfrida widziała przez tylne okno sylwetkę kobiety w fartuchu, ocierającej oczy chusteczką.

- Co ona teraz robi z sobą? - zatroskała się Elfrida.

- Giles obiecał, że się nią zajmie. Taka wspaniała kobieta nie będzie miała trudności ze znalezieniem innej pracy.

Na tym rozmowa się urwała. Przez większą część drogi prowadzącej z Oskara do Oskara. Tablice na poboczach drogi straszły przecież kierowców hasłami: „Zmęczenie zabija” i „Zrób przerwę”. Zjeżdżała wtedy do najbliższej zatoczki na poboczu szosy i zamieniała się z Oskarem na miejsca.

W pierwszym dniu Oskar prawie się nie odzywał, a ona szanowała jego pragnienie spokoju i nawet nie proponowała włączenia radia. Od czasu do czasu przystawali, aby wypuścić Horacego, rozprostować nogi, coś zjeść lub napić się herbaty. Było chłodno i pochmurno, wcześniej zapadał zmrok, a prowadzenie pojazdu po ciemku stawało się jeszcze bardziej stresujące. Z tego powodu Oskar postanowił zjechać z głównej szosy i zatrzymać się w małym miasteczku w Northumberland, które pamiętał z dawnych czasów. Tak wtedy, jak i teraz przy głównym rynku znajdował się zajazd, który nawet się bardzo

nie zmienił. Przenocowali tam, tym bardziej że uprzejmy właściciel pozwolił zabrać Horacego do pokoju.

Następnego ranka, zaraz po otwarciu sklepów, Elfrida wybrała się po zakupy. Znalazła supermarket, gdzie nabyła puszkę zupy, chleb, masło, jajka, bekon, paczkę kawy i karton mleka. W ostatniej chwili, kiedy już sprzedawca pakował jej to wszystko w duże pudło, wypatrzyła jeszcze whisky i dokupiła butelkę z uwagi na jej lecznicze właściwości.

W drugim dniu podróży warunki jazdy nieco się poprawiły. Wprawdzie pogoda pozostała kiepska, ale przynajmniej Oskar miał lepszy nastrój. Obserwował mijany krajobraz, zwracał uwagę na punkty orientacyjne i na podstawie wyglądu nieba próbował przepowiedzieć spodziewane kaprysy aury. Wciąż jednak było za wcześnie, aby zadać mu te wszystkie pytania, które Elfrida miała na końcu języka. Na przykład: „Czy ten dom jest duży? Czy jest tam ogrzewanie i ciepła woda? Czy na miejscu zastaniemy posprzątane pokoje i zmienioną pościel? Czy tamtejsi mieszkańcy poznają cię i będą wobec nas przyjaźni, czy też przeciwnie, będą nas unikać?”

Odpowiedzi na te pytania nadal pozostawały nieodgadnione, ale Elfrida, forsując na drugim biegu śliskie zbocze masywu Soutra z wycieraczkami pracującymi pełną parą, wmawiała sobie, że przeżywa właśnie przygodę swego życia.

Jako młoda aktorka przemierzyła nieraz całą Wielką Brytanię wzdłuż i wszerz z różnymi wędrownymi trupami. Też wtedy nie wiedziała, co ją czeka u kresu podróży - czy będą to występy w podrzędnych teatrzykach na głuchej prowincji, połączone z noclegami w obskurnych kwaterach, gdzie czuć było gotującą się kapustę? Dla Elfridy jednak wtedy liczyło się głównie to, że jest młoda, wykonuje pracę, którą lubi, i jest jej z tym dobrze. To, że musiała tłuc się rozklekotanymi pociągami, było dla niej wyzwaniem, a byle jaki prowincjonalny teatrzyk - nowym odkryciem. Trochę z tej cygańskiej natury zostało jej do dziś i coraz to musiała przypominać samej sobie, że nie jest już dziewczęciem, tylko damą po sześćdziesiątce. Zaraz jednak przekornie temu zaprzeczała: „W każdym razie nie jestem samotna, nie nudzę się i jeszcze nie umarłam!”

Ostatnią przeszkodą do pokonania na trasie była nieuniknio-

na konfrontacja z majorem Billicliffe'em. Dopiero kiedy Oskar miał już klucz w kieszeni - zyskali pewność, że najgorsze za nimi. Ostatnie mile drogi przejechali już w lepszym nastroju. Oskar pRowadził, a Elfrida wyglądała przez otwarte okno. Było wprawdzie zimno, lecz przynajmniej deszcz przestał padać. Pachniało sosnowym igliwem i solą morską. Kiedy skończyły się drzewa - zaczęły się wydmy porośnięte karłowatymi sosenkami, a za nimi srebrzysta linia horyzontu wyznaczała brzeg morza. W wodzie odbijało się światło oddalanej latarni morskiej, a latarnie uliczne i światła padające z okien sygnalizowały, któredy biegła ulica zabudowana szeregowymi domkami, różniącymi się jednak od siebie kształtem i wysokością. Nad nimi wyrastała wieża kościelna z podświetloną tarczą zegarową, a bardziej luksusowe wille kryły się za kamiennymi murami.

Całe miasteczko wyglądało jak wymarłe, ani żywej duszy na ulicach, ani jednego samochodu, nie słychać było nawet pisku mew. Jeszcze jeden zakręt, następna ulica, aż wreszcie Oskar podjechał do krawężnika, zahamował i wyłączył silnik. Widząc wyczekujący wyraz twarzy Elfridy, położył na jej dłoni swoją rękę.

- Jesteśmy na miejscu, kochanie - oświadczył.

A więc to był budynek Zarządu Majątku! Elfrida widziała go po raz pierwszy w życiu. W świetle lamp ulicznych mogła dostrzec, że ten kwadratowy, solidny gmach, oddzielony od ulicy ogrodzeniem z kutego żelaza i podjazdem wysypanym kAmyczkami i pięciorgiem okien. Dalsze dwa mansardowe okienka wystawały ze spadzistej płaszczyzny łupkowego dachu. Oboje z Oskarem wysiedli z wozu i wypuścili Horacego. Ten początkowo bał się wyjść i musieli go łagodnie zachęcić, bo pamiętał groźne dźwięki wydawane przez psa majora Billicliffe'a. Kiedy się wreszcie odważył - zaczął ostrożnie wywąchiwać nieznanne zapachy.

Oskar otworzył bramę i pierwszy popRowadził ścieżką wiodącą w kierunku domu. Elfrida z Horacym podążyli za nim. Kluczem otrzymanym od majora otworzył drzwi, których

skrzydło odchyliło się do wewnątrz. Namacał wyłącznik i zapalił światło.

Elfrida od wejścia przekonała się, że jej obawy były pŁonne, bo wnętrze owionęŁo ich miŁym ciepŁem i lśniŁo czystoścŁą. Z hallu schody pRowadziły do podestu na pÓŁpiętrze, zaopatrzonego w okno bez zasŁon. Po obu ich stronach znajdowały się liczne drzwi, w większości zamknięte. Oskar zauważyŁ, że otwarte sŁ trzecie drzwi, przy końcu hallu. PrzeszedŁ tam i zapalił światŁo w pomieszczeniu, do ktŁrego wszedŁ.

Elfrida przede wszystkim zamknięta za sobŁ gŁówne wejście, aby zostawić na zewnŁtrz przenikliwe zimno wieczoru. Potem odszukaŁa Oskara i zastaŁa go w kuchni, gdzie znajdowaŁ się staromodny kredens i drewniany stÓŁ, kamionkowy zlew pod oknem, a obok niego toporna kuchenka gazowa, liczaŁa na oko ze czterdzieści lat.

- CÓŁ, luksusów tu nie ma - powiedziaŁ Oskar, jak gdyby się usprawiedliwiaŁ.

- AleŁ to wyglŁda zupeŁnie przyzwoicie! - uspokoiŁa go Elfrida. - Popatrz, ktÓs nam zostawiŁ liścik!

Rzeczywiście, na srodku stoŁu leżaŁ arkusik poliniowanego papieru, przyciśnięty sŁoikiem po dŹemie. Oskar odstawiŁ sŁoik i podaŁ notatkę Elfridzie, ktÓra przeczytaŁa jŁ na gŁos.

WŁĄczyŁam bojler, ale będziecie musieli dokupić ropy. W dwÓch pokojach sŁ zasiane łÓŁka. Woda na kŁpiel jest nagrzana, a węgiew i drwa sŁ w szopie. NiektÓre okna nie dajŁ się otworzyć. Mleko jest w lodÓwce, ktÓra stoi w zmywalni. Wpadnę tu jutro, Źeby sprawdzić, czy wszystko w porzŁdku.

Wasza J. Snead

- Ach, więć to ta pani Snead! - rzekŁ Oskar.
- Tak.
- CÓŁ to, Elfrido, czyŹbyś chciaŁa się rozpŁakać?
- Chyba tak.
- Ale dlaczego?
- Z radości!

Dotarli tu przed trzema tygodniami. Teraz zaś byŁ juŹ piątek i piŁta po poŁudniu, a w grudniu o tej porze jest juŹ ciemno.

Tymczasem Oskar, choć wyszedł z domu zaraz po lunchu, jeszcze do tej pory nie wrócił. Elfrida próbowała opędzać się od wytworów własnej wyobraźni, podsuwającej jej wizje nagłej śmierci Oskara wskutek ataku serca podczas forsowania piaszczystej wydmy... Nie, to niemożliwe! Pewnie Oskar po prostu nie spieszył się z powrotem, bo czuł się dobrze na świeżym powietrzu. Była to przecież pierwsza jego samodzielna wyprawa tak daleko od domu, więc przyda mu się trochę ruchu. Chciał zrobić samotną wycieczkę w teren, a Elfrida musiała pilnować się, aby nie okazać zbytniego entuzjazmu. Inaczej Oskar mógłby pomyśleć, że miała dość jego towarzystwa!

Postawiła czajnik na gazie, a kiedy woda się zagotowała - zalała wrzątkiem torebkę ekspresowej herbaty, dołała mleka i zabrała filiżankę na górę do salonu. Pomieszczenie to było przestronne, gdyż znajdowały się w nim tylko najpotrzebniejsze meble. Duże, wykuszowe okno wychodziło na ten odcinek ulicy, gdzie znajdował się kościół. Można było godzinami wysiadywać przy nim i śledzić życie toczące się na zewnątrz. Tam i z powrotem przemykały samochody osobowe, wozy dostawcze i ciężarówki ze zwirem. Przechodnie zatrzymywali się na chodniku, aby uciąć sobie pogawędkę, a do szkoły lub ze szkoły pędziły gromadki rozszczebiotanych dzieci.

W salonie na podłodze leżał gruby turecki dywan, na nim stała kanapa i dwa fotele, pod ścianą stół, oszklona biblioteczka, gdzie pozostało kilka starych książek... i to było wszystko. Brakowało jakichkolwiek elementów dekoracyjnych bądź przedmiotów związanych z zainteresowaniami i życiem osobistym poprzednich właścicieli. Dla Elfridy miało to także swoje zalety. Dzięki temu żadne bibeloty, obrazy czy srebra nie odwracały uwagi od idealnych proporcji pokoju, ozdobnego fryzu na suficie ani stiukowej róży, z której zwisał wytworny żyrandol w stylu wiktoriańskim.

Po rozpakowaniu swoich rzeczy Elfrida sama nadała wnętrzu nieco bardziej osobisty charakter. Obrazek Davida Wilkiego powiesiła po przeciwnej stronie kominka, nad masywnym dębowym stołem, którego Oskar używał jako biurka. Na marmurowym parapecie kominka postawiła swoje porcelanowe pieski i zegar. W sklepie owocowo-warzywnym Artura Sneada

kupiła bukiet chryzantem, który - niezbyt artystycznie - ułożyła w żółtym dzbanku. Na siedzeniu fotela leżał nie dokończony haft, a wcześniej Elfrida rozpałała w kominku. Dołożyła jeszcze drew i węgla, aby następnie usiąść w wykuszowym oknie i czekać na Oskara. Ledwie jednak rozsiała się wygodnie z filiżanką herbaty, a prawie natychmiast zadzwonił telefon. Aparat stał na podeście pierwszego piętra, więc musiała wyjść z salonu, aby go odebrać.

- Słucham?
- Elfrida?
- Tak, to ja.
- Z tej strony Carrie. Carrie Sutton!
- Carrie? Skąd dzwoniisz, na miłość boską?
- Z Londynu. Co tam u ciebie?
- Wszystko w porządku.
- Jeffrey powiedział mi, że jesteś w Szkocji, i dał mi ten numer. Szukałam cię, bo mam do ciebie wielką prośbę.
- No więc mów, co to ma być.
- Widzisz, chodzi o święta...

Rozmowa telefoniczna trwała dość długo. Elfrida odłożyła słuchawkę akurat w momencie, kiedy na dole drzwi frontowe najpierw otworzyły się, a potem zamknęły. Oznaczało to, że Oskar z Horacym wrócili ze spaceru. Przechyliła się więc przez poręcz schodów i zawołała:

- Wróciliście szczęśliwie?
- Ano, jakoś żyjemy!

Kiedy zeszła na dół, Oskar akurat wieszał kurtkę i kapelusz na wieszaku z giętego drzewa. Horacy od razu skierował się do kuchni, gdzie miał swoją miskę z wodą i ciepły koszyk.

- Bardzo długo was nie było!
- Żebyś wiedziała, jaki kawał drogi uszliśmy! Aż do końca pola golfowego i z powrotem. Zdażyłem już zapomnieć, jak to daleko.

Powiódł ręką po włosach. Elfrida zauważyła, że wygląda na zmęczonego.

- Może napijesz się herbaty? - zaproponowała.
- Wolałbym raczej coś mocniejszego.

- Może być whisky. Idź na górę i ogrzej się przy kominku, a ja ci przyniosę.

W kuchni nalała Oskarowi drinka, a sobie zaparzyła świeżej herbaty, bo ta, którą zrobiła wcześniej, dawno już wystygła. Horacy tymczasem zasnął, więc zostawiła go samego i poszła na górę, niosąc w jednej ręce filiżankę, a w drugiej szklanę. Zastała Oskara, jak stał oparty jedną ręką o gzyms kominka i wpatrywał się w płomień. Słyszając jej kroki, zwrócił głowę w stronę drzwi i przywitał Elfridę uśmiechem.

- Jak to miło z twojej strony...

Wziął z jej ręki drinka i usiadł wygodnie w fotelu, wyciągając nogi przed siebie. Tymczasem Elfrida zaciągnęła zasłony, jakby chcąc się odgradzić od panujących na zewnątrz ciemności.

- Wcześniej nie zasłaniałam okna, bo cały czas cię wyglądałam, jak ta siostra z bajki!

- Czyżbyś myślała, że coś mi się stało?

- Wiesz, że wyobraźnia nieraz podsuwa najdziwsze pomysły.

- Widzisz, to potrwało dłużej, niż myślałem, bo koło klubu golfowego poznałem takiego ciekawego faceta. Zaprosił mnie na herbatę i już się zgodziłem, ale on jeszcze musiał porozmawiać z jakimś staruszką na wózku. Ja tymczasem spytałem kelnerkę, co to za jeden, i dowiedziałem się, że to pastor, Peter Kennedy.

Elfrida poczekała, czy będzie kontynuował ten temat, ale ponieważ milczał - ponagliła go:

- No i co dalej?

- Pomyślałem, że pewnie wie, co się stało z Głorią i Francescą, bo wygadał się, że zna Hektora. Owszem, facet był sympatyczny, ale bałem się, że zacznie się nade mną litować czy na siłę narzucać się z jakąś pomocą. A ja jeszcze nie chcę z nikim o tym rozmawiać, potrzebuję tylko spokoju! Dlatego po prostu wycofałem się stamtąd.

- No wiesz, Oskarze!

- Wiem, postąpiłem bardzo niegrzecznie, prawda?

- Tak, ale on na pewno zrozumie twoje motywy.

- Też na to liczę, bo dobrze mu z oczu patrzyło.

- Po prostu potrzebujesz czasu. Nie musisz się nigdzie spieszyć.

Oskar ze świstem wciągnął i wypuścił powietrze, co zabrzmiało jak głębokie westchnienie.

- Och, jak ja nienawidzę samego siebie! -jęknął.

- Widzisz, tego właśnie nie wolno ci robić.

- Potępiasz mnie?

- Skąd, raczej cię rozumiem.

Upiła łyk herbaty, co nie tylko ją rozgrzało, ale i pokrzepiło. Usiadła naprzeciw niego w głębokim, wiktoriańskim fotelu obitym materiałem w szkocką kratę. Płonący na kominku ogień mile ogrzewał jej nogi.

- Może to nie jest odpowiedni moment - zagaiła - ale muszę cię o coś zapytać. Mam ci też coś do powiedzenia.

- Byleby nie to, że chcesz mnie opuścić.

- Skąd, nic podobnego. Po prostu miałam telefon od Carrie Sutton, córki mojego kuzyna Jeffreya. Właśnie wróciła z Austrii i chciałaby spędzić z nami święta.

- Przecież nie będziemy urządzali żadnych świąt!

- Powiedziałam jej, że się umówiliśmy, iż w tym roku chcemy daRować sobie wszystkie świąteczne tradycje. Na to ona odpowiedziała, że jej to też nie interesuje.

- No więc niech przyjeżdża.

- Tak, tylko... - Elfrida zawahała się przez chwilę - jest pewna trudność.

- Czyżby w grę wchodził jeszcze jakiś chłopak?

- Jeśli już, to raczej dziewczynka. Siostrzenica Carrie, wnuczka Jeffreya. Nazywa się Lucy i Carrie nie chce słyszeć o przyjeździe bez niej.

Teraz cisza zapanowała na dłużej. Oskar odwrócił wzrok od twarzy Elfridy i wpatrzył się w płomienie. Nagle jakby się gwałtownie postarzał i przez chwilę wyglądał jak własny wuj, Hektor, kiedy Elfrida przez pomyłkę wzięła go za niego.

- Uprzedziłam ją, że muszę przedyskutować to z tobą - dodała szybko Elfrida. - Zwłaszcza jeśli chodzi o to dziecko.

- Ile ta mała ma lat?

- Czternaście.

- A dlaczego koniecznie musi przyjechać razem z Carrie?

- Nie wiem dokładnie - wzruszyła ramionami Elfrida. - Carrie coś wspominała, że jej matka wybiera się ze swoim przyjacielem na Florydę, a dziewczyna za żadne skarby nie chce im towarzyszyć. Z kolei Dodie, matka Carrie, nie ma ochoty zająć się wnuczką. W tej rodzinie wszyscy zawsze myśleli tylko o sobie.

Oskar nie odezwał się ani słowem, więc Elfrida tylko przygryzła wargę i szybko uzupełniła:

- Najwyżej zadzwonię do Carrie i powiem jej, że to niemożliwe. Że jeszcze na to za wcześnie, bo obecność takiej dziewczynki mogłaby tylko sprawić ci przykrość. To zupełnie zrozumiałe i wcale się nie pogniewam na ciebie, jeśli się nie zgodzisz.

- Och, Elfrido, za to cię właśnie lubię, że mówisz tak szczerze! - wyznał z czułością w głosie.

- Nie umiem inaczej.

- Gdyby one miały tu przyjechać...

Dokończyła za niego.

- Powiem im, że nie urządzamy żadnych świąt.

- Ale ta mała ..

- Carrie będzie z nią, więc mogą razem robić, co zechcą. Niech idą do kościoła, śpiewają kolędy, wręczą sobie nawzajem prezenty... bo ja wiem, co jeszcze?

- Nie jest to zbyt atrakcyjna perspektywa dla takiej nastolatki.

- A dla ciebie jest?

- Mnie bez różnicy, bo i tak to nic nie zmieni. Widzę, że chciałybyś, aby one przyjechały, więc niech przyjeżdżają.

- Mówisz serio? Jesteś tego pewien? - A gdy przytaknął, dodała: - Jaki ty jesteś kochany! Taki dobry i dzielny, prawdziwy mężczyzna.

- A znajdzie się tu dla nich miejsce?

- Całe poddasze stoi puste. Lucy mogłaby tam spać, gdybyśmy dokupili jakieś łóżko.

- Będziemy musieli dokupić nie tylko łóżko.

- Niewiele więcej.

- Najważniejsze, że ty chcesz tego. Powiedz im więc, że będą u nas mile widziane. Niech przyjadą, kiedy im wygodnie,

przynajmniej dotrzymają ci towarzystwa, bo ze mnie kiepski kompan.

- Przecież przyjechaliśmy tu nie dlatego, żebym miała towarzystwo...

Oskar upił łyczek whisky, najwyraźniej pogrążony w rozmyślaniach. W końcu postanowił:

- Zadzwoń do Carrie, nawet zaraz. Jeśli zdecydują się na pociąg lub samolot do Inverness, wyślemy po nich taksówkę. Gdyby wolały jechać samochodem, uprzedź je, że drogi mogą być zasypane.

Elfrida podziwiała jego szlachetne serce. Od razu poczuła się lepiej, gdy stwierdziła, że Oskar ma już nastrój do zajmowania się tak przyziemnymi sprawami. Zapalił się do tego pomysłu, jakby wyszedł on od niego samego, a nie został mu narzucony. Wypiła więc swoją herbatę i wstała z fotela.

- Masz rację, lepiej od razu do niej zadzwonię - zdecydowała. Zrobiła już parę kroków w stronę drzwi, lecz jeszcze zawróciła i dodała: - Dziękuję ci, Oskarze!

Lucy

Kolejne kartki z jej pamiętnika:

Ciągle ten sam piątek, 8 grudnia.

Napisałam już o tych wszystkich wspaniałych rzeczach, które wydarzyły się dzisiaj. O tym, że Carrie wróciła, że zaprosiła nas na lunch i że obiecała zabrać mnie gdzieś na święta. Film też był bardzo fajny, a teraz idę spać, bo już jest wpół do jedenastej. Najważniejsze jednak wydarzyło się, kiedy wykapałam się, umyłam włosy, a zanim wyschły — poszłam do kuchni zrobić sobie gorącej czekolady. Akurat zadzwonił telefon i mama zawołała mnie, mówiąc, że Carrie chce ze mną rozmawiać. Sądziłam, że najpierw rozmówiła się z nią, ale na wszelki wypadek odczekałam, aż mama odłoży swoją słuchawkę, bo wiem, że czasem lubi podsłuchiwać.

Wtedy Carrie powiedziała mi, że pojedziemy na święta do Szkocji. Przebywa tam ze swym przyjacielem kuzynka mojego

dziadka, Elfrida, i oni oboje chętnie będą nas gościć. Miejscowość nazywa się Creagan i mają tam duży dom. Brzmi to tak intrygująco, że o mało nie pęknę! Carrie powiedziała jeszcze, że w środku zimy to za długa droga na jazdę samochodem, więc polecimy samolotem do Inverness, a tam będzie czekać na nas taksówka. Zarezerwowała już lot na czternasty grudnia.

Przyjaciel Elfridy nazywa się Oskar, ale Carrie nie wie, jaki on jest, ponieważ nigdy go nie widziała.

Spytałam jej, czy mówiła już o tym mamie i babci. Okazało się, że nie, więc jeszcze spytałam, czyja mam to zrobić. Powiedziała, że nie, bo babcia nigdy nie lubiła Elfridy, a ona sama lepiej ją przekona, żeby nie robiła trudności. Mama na pewno się nie sprzeciwi, bo w tej chwili myśli tylko o Randallu i Florydzie.

Pytałam Carrie, co mam zabrać ze sobą. Poradziła, żebym spakowała futra i rakiety śnieżne, ale oczywiście żartowała. Po prostu nie mogę uwierzyć, że naprawdę jadę do Szkocji. Zaczęłam już liczyć dni...

Carrie uprzedziła, żebym nie spodziewała się tradycyjnych świąt, bo Oskar i Elfrida mogą być na to za starzy. Ale wszystko to nic wobec faktu, że wyjeżdżam sama tylko z Carrie. I tak nigdy nie przepadałam za świątecznym puddingiem! Za to miejscowość, do której jedziemy, leży nad Morzem Północnym i jest tam nawet plaża!

Nie mogę już się doczekać dnia wyjazdu...

Elfrida

W sobotę rano Elfrida obudziła się pierwsza. Ubrała się w grube sztruksowe spodnie i dwa swetry jeden na drugi. Doceniła ten ciepły ubiór, kiedy otworzyła tylne drzwi, aby wypuścić Horacego do ogrodu. W nocy chwycił bowiem tęgi mróz i ściał lodem wszystko wokół - jej stopy pozostawiły ślady na przemarzniętej, oszronionej trawie. Było jeszcze ciemno, więc weszła razem z psem w płamę światła latarni ulicznej. Horacy nie znosił zimna, więc Elfrida musiała zostać z nim na

dworze, dopóki nie obwąchał interesujących go śladów, nie pogniął tropem królika w górę ogrodu i nie znalazł odpowiedniego miejsca, aby załatwić swe potrzeby. Potrwało to dosyć długo, więc zdążyła solidnie zmarznąć. Starła się uzbroić w cierpliwość i dla zabicia czasu obserwowała niebo. Zauważyła, że zrobiło się czyste i niebieskie, nawet nad linią horyzontu, na wschodzie, pokazało się różowawe obrzeże. Zapowiadał się piękny dzień i bardzo dobrze - miała już dość ołowianoszarych chmur, wycia wiatru i deszczu.

W końcu Horacy zrobił to, co trzeba, i oboje mogli wracać do ciepłego wnętrza domu. W kuchni Elfrida postawiła czajnik na gazie, znalazła patelnię, nakryła stół kraciatą serwetą, ustawiła filiżanki i spodeczki... Z lodówki wyjęła jajka i bekon. Sama nie jadała tych rzeczy, ale Oskar lubił gorące śniadania, więc z rozkoszą wdychała zapach smażącego się bekonu.

Chciała przygotować grzanki, ale przy tak staroświeckim sprzęcie, jakim dysponowała, czynność ta wiązała się z nie małym ryzykiem. Czasem z opiekacza wypadały dwie prawidłowo zrumienione grzanki, czasem zupełnie surowe, a bywało, że nie wyskakiwały wcale. Wtedy kuchnia wypełniała się czarnym dymem, a zwęglonymi kromkami chleba gardziły nawet mewy.

Elfrida za każdym razem zarzekała się, że musi kupić nowy opiekacz. Na High Street mieścił się sklep z elektrycznym sprzętem gospodarstwa domowego, należący do Williama G. Crofta. Na wystawie stały tam kuchenki mikrofalowe, suszarki do włosów, żelazka na parę, gofrownice i inne urządzenia, bez których Elfrida mogła świetnie się obejść. Natomiast bardzo przydałby jej się toster, więc któregoś dnia zapytała pana Crofta o cenę najtańszego egzemplarza. Nawet i ten okazał się jednak za drogi i Elfrida zrezygnowała z zakupu.

Szkopuł tkwił w tym, że wiecznie brakowało jej pieniędzy. Straciła zarobek uzyskiwany za szycie poduszek, a do poniedziałku, kiedy mogła zgłosić się na pocztę po odbiór renty, brakowało jeszcze kilku dni. Wpadła na pomysł, aby wynająć swój dom na Poulton's Row, co zapewniłoby jej stały dopływ gotówki, ale techniczna strona realizacji tego przedsięwzięcia, biorąc poprawkę na odległość między Sutherland a Hampshire,

okazała się raczej trudno wykonalna. Nie orientowała się w sytuacji finansowej Oskara, ale i nie miała zamiaru go o to pytać. Pewnie miał jakieś drobne oszczędności ulokowane w akcjach lub obligacjach, ale Elfrida pamiętała, że rachunki za wydatki związane z wystawnym trybem życia w „Dworze” regulowała zawsze Gloria.

Na razie więc musiała borykać się z wysłużonym tosterem, gdyż doszła do wniosku, że nawet gdyby wygosporaRowała jakieś pieniądze - wolałaby przeznaczyć je na książki lub kwiaty. Dziś jednak urządzenie działało dobrze, a z zapachem zrumienionego bekonu zmieszał się aromat świeżo zaparzonej, gorącej kawy.

O tej porze dla Elfridy najważniejsza była właśnie kawa. Piła już pierwszą filiżankę, kiedy do kuchni zszedł Oskar. Od razu zauważyła, że wygląda dziś inaczej niż zwykle. Na co dzień bowiem ubierał się sportowo, w grubą koszulę i sweter. Tym razem założył nie tylko jedną ze swoich najlepszych koszul, ale także krawat, kamizelkę i prawie nową tweedową marynarkę.

- Coś ty dziś taki elegancki? - spytała ze zdziwieniem.
- Miło mi, że to zauważyłaś.
- A co to za okazja?

Oskar nałożył sobie na talerz jajka na bekonie, które Elfrida po usmażeniu trzymała w ciepłe.

- Może dlatego, że dziś sobota?
- To słaby powód.
- Może po prostu nie chcę wyglądać jak zaniedbany starszek?

- Krawat nie zmieniłby tu wiele.

Oskar usiadł przy stole, a Elfrida nalała mu kawy.

- Dziękuję. Masz rację, ale musiałem ubrać się porządniej, bo idę w gości.

Elfrida z trudem ukrywała zaskoczenie, ale niespodziewane oświadczenie Oskara wzbudziło w niej ciekawość.

- I do kogo to się wybierasz?
- Muszę odwiedzić Rosę Miller.
- Któż to taki?
- Stara znajoma.

- Nigdy o niej nie wspominałeś. Czy mam urządzić ci scenę zazdrości?

- Nie przypuszczam, żeby to miało sens, bo ona pewnie ma jakieś osiemdziesiąt pięć lat. Służyła kiedyś u mojej babci jako pokojówka, a teraz mieszka w nędznej chałupinie na terenie majątku Corrydale. Chyba wypada, żebym do niej zajrzał.

- Dobrze, ale dlaczego tak nagle zebrało ci się na wizytę u dawnej służącej twojej babci? Dopiero co nie wyścibiałeś nosa z domu, a tu raptem zrobiłeś się taki towarzyski?

- Przeszkadza ci to?

- Przeciwnie, drogi Oskarze, jestem raczej zachwycona. Nie rozumiem tylko, skąd się wzięła ta zmiana nastroju.

Oskar odstawił filiżankę. Tym razem przemówił zupełnie poważnie.

- Widzisz, to stało się wczoraj, kiedy natknąłem się na tego pastora, Petera Kennedy'ego, i zachowałem się wobec niego jak ostatni idiota. Po spotkaniu z nim doszedłem do wniosku, że skoro on wie o moim przyjeździe, to prawdopodobnie wie już o tym więcej osób. W takiej małej miejscowości nic się nie da ukryć. A zatem także i Rosę Miller wie, że tu jestem. Wyrządziłbym jej dużą przykrość, gdybym nie spróbował się z nią skontaktować, więc kupię jej bukiet kwiatów u Artura Sneada, pojedę do niej samochodem i zabiorę ją na przejażdżkę po Alei Pamięci. Ty dziś nie będziesz potrzebowała samochodu, prawda?

- Na szczęście stąd jest wszędzie blisko. Chętnie przejdę się spacerkiem do supermarketu i rzeźnika, a w drodze powrotnej wstąpię jeszcze do księgarni. Jeśli będę miała taką zachciankę, wpadnę do sklepu ze starzyzną i przyniosę stamtąd na przykład jakiś wiktoriański czajnik. Mogę także zrobić sobie trwałą.

- Czyżbyś już wypatrzyła, gdzie tu jest fryzjer?

- Owszem, i damski, i męski.

- To dobrze, bo już myślałem, że będę musiał wieźć cię aż do Inverness.

- Nawet o tym nie myśl!

Przechyliła się przez stół, żeby sprzątnąć nakrycie, a sobie nalać drugą filiżankę kawy. Rozsunęła perkalowe firanki, aby wpuścić do środka blask słoneczny. Podniosło ją to na duchu

bardziej niż cokolwiek innego w ostatnim czasie. A więc zapowiadał się piękny dzień, wprawdzie chłodny, ale za to pogodny. Oskar zaczął składać ludziom wizyty, a w przyszłym tygodniu miały tu zawitać Carrie i Lucy Wesley. Najwidoczniej dzień wczorajszy był pod jakimś względem przełomowy, choć Elfrida nie od razu zdała sobie z tego sprawę.

- Teraz idę się przejść - obwieścił Oskar. - Muszę trochę się dotlenić i rozprostować nogi. Zabieram ze sobą Horacego.

Najwyraźniej nie chciał, aby Elfrida towarzyszyła mu w tym spacerze. Wcale jej to nie martwiło, gdyż nie miała ochoty wychodzić na takie zimno. Starła się tylko nie uzewnętrzniać zdziwienia, napominając Oskara, aby ciepło się ubrał.

Może to był przypadek, że Oskar spotkał tego pastora i wdał się z nim w rozmowę. Trzeba trafu, że nie odwdzieczył się jak należy za jego życzliwość, bo wpadł w panikę i zareagował nieuzasadnioną nerwowością. Bardziej jednak od Petera Kennedyego przejął się tym on sam, gdyż wstydził się swojego zachowania. Może nawet wyrzuty sumienia nie dały mu spać? Przypuszczalnie odwiedziny u starej służącej miały stanowić rodzaj ekspiacji, a zarazem pierwszy krok w kierunku wyjścia do ludzi.

- O której wybierasz się na tę randkę z Rose? - zagadnęła, stawiając swoją filiżankę na stole.

- Cóż to za randka, jeśli ona się mnie wcale nie spodziewa?

- Wiem, ale to brzmi bardziej intrygująco.

- Sądzisz, że wpół do jedenastej to dobra pora?

- W sam raz. Ona akurat będzie w szczytowej formie, więc na pewno poczęstuje cię herbatą, a może i ciastkami. - Dopiła swoją kawę i jeszcze coś sobie przypomniała. - A właściwie, skoro będziesz w Corrydale, mógłbyś zajrzeć do majora Billicliffe'a.

- Miałem nadzieję, że tego nie powiesz!

- No, chyba nie boisz się tego nieszkodliwego, starego wariatka! Przecież on musi czuć się bardzo samotnie i to nawet nieładnie zachowywać się tak, jakby go tu nie było! W końcu czekał na nas nie tylko z kluczem, ale i z kielichem!

Oskar nie przejawiał zbytniego entuzjazmu do tej idei, więc Elfrida przekonywała dalej:

- Wystarczy, jeśli wpadniesz do niego na chwilę, tak mimochodem. Ewentualnie możesz zaprosić go na drinka, kiedy będą tu Carrie i Lucy, że niby urządzą przyjęcie...

Oskar próbował dyskretnie zvekslować rozmowę na inny temat.

- A propos, kiedy one mają przyjechać?

- Przecież mówiłam ci, że w piątek. Wylatują rano samolotem do Inverness, a stamtąd już zamówiłam taksówkarza, żeby je odebrał.

- Nawet nie wiedziałem, że ktoś tu ma taksówkę.

- Alec Dobbs.

- Jak to, myślałem, że on jest przedsiębiorcą pogrzebowym?

- Owszem, ale świadczy także usługi jako taksówkarz.

- Jakiś wszechstronny facet!

Elfrida zdążyła tymczasem zapomnieć o majorze Billicliffie i popijając kawę, zaczęła rozważać temat przylotu Carrie i Lucy.

- Właściwie nie mam już zbyt wiele czasu. Muszę wreszcie rozejrzeć się za meblami na to poddasze. Rozpytam się, gdzie tu jest jakiś sklep ze starzyzną.

- Ciekawe, kogo o to zapytasz.

- Bo ja wiem? Może rzeźnika?

- Prędzej kioskarza.

- A najlepiej przedsiębiorcę pogrzebowego!

- No, nie, oczywiście spytam najpierw panią Snead. Ona zawsze wie wszystko...

PRowadziliby tę szermierkę słowną w nieskończoność, gdyby nie przeszkodził im przeraźliwy dźwięk dzwonka do drzwi. Zbudził on Horacego, który usiadł w swoim koszyku i zaczął gniewnie szczekać. Elfrida nakazała mu ciszę i wyszła do hallu. Okazało się, że do drzwi dzwonił listonosz, który tymczasem zostawił na wycieraczce dwa listy. Elfrida uznała to za dobry znak, gdyż rzadko kiedy przychodziła tu do nich jakaś korespondencja. Zabrała listy i zaniosiła je do kuchni, aby pokazać OskaraRowi.

- Ten bardziej oficjalny jest do ciebie - droczyła się z nim. - Wygląda na urzędowe pismo, pewnie od twojego agenta bankowego. Natomiast ten drugi jest do mnie!

- Czy teraz ja mam być zazdrosny?

- Nie przypuszczam, abyś miał powody. - Poszukała okularów, nałożyła je i przyjrzała się kopercie. - Takie dziwne, spiczaste, staroświeckie pismo...

Rozcięła kopertę i od razu przebiegła wzrokiem na koniec listu, aby odcyfrować podpis. Uśmiechnęła się przy tej lekturze.

- Popatrz, to poczciwy, stary Hektor do nas napisał! - Z zaciekawieniem rozkładała arkusz grubego, niebieskiego papieru. - I czek! Słuchaj, tu jest czek na pięćset funtów!

Oskar otworzył usta ze zdziwienia.

- Pięćset funtów? Na pewno?

- Zobacz sam. Wystawiony na ciebie. - Wręczyła mu przesyłkę. Oskar przyglądał się temu z zamętem w głowie.

- Może ty prędzej się połapiesz, o co w tym chodzi? - Oddał jej list. Elfrida przeczytała go na głos.

Drodzy Oskarze i Elfrido!

Nie pisałem wcześniej, bo chciałem dać Wam trochę czasu, żebyście się jakoś urządzili. Mam nadzieję, że dobrze się Wam jechało i że zastaliście Zarząd Majątku w dobrym stanie.

Muszę się przyznać, że zaraz po Waszym wyjeździe skrobnałem liścik do Petera Kennedy 'ego, proboszcza tamtejszej parafii. Wiedziałem oczywiście, że wolelibyście zachować anonimowość, aby skryć się przed ludzką ciekawością, ale zwyczajnie martwiłem się o Was. Peter Kennedy jest na tyle porządnym człowiekiem i moim dobrym przyjacielem, że mogłem mu ufać, iż to, czego się ode mnie dowie, zachowa dla siebie. Zanim przekazałem Corrydale Hughiemu, bywał u mnie regularnie, więc zdążyłem dobrze go poznać. Liczyłem, że będzie w pobliżu, aby w razie czego służyć Wam radą i pociechą. Mam nadzieję, że nie gniewacie się za to na mnie.

Obawiałem się także, czy Zarząd Majątku nie uległ dewastacji wskutek upływu czasu. Nie byłem tam już dawno, ale po wyprawie do Cochrane 'ów zadbałem o regularną konserwację tego obiektu. Czuję się odpowiedzialny za Wasz pobyt, bo to przecież ja namówiłem Was do wyjazdu z Hampshire, więc chciałbym, aby Wam niczego nie brakowało. W tym celu załączam czek na pięćset funtów w nadziei, że pokryje to Wasze potrzeby.

W Londynie nadal jest Modno i pochmurno, więc staram się jak najrzadziej wychodzić z domu. Obserwuję tylko przez okno, co się dzieje na zewnątrz.

Mam nadzieję, że czujecie się dobrze, ale spokój duszy odzyskam dopiero wtedy, kiedy do mnie o tym napiszecie lub zadzwonicie.

Przeczytałem w „Timesie”, że „Dwór” został już wystawiony na sprzedaż. Nasi dzielni chłopcy nie tracą czasu!

Z serdecznymi pozdrowieniami

Wasz Hektor

Bez dalszych komentarzy Elfrida złożyła list w kostkę i włożyła z powrotem do koperty.

- Jeszcze dziś mu odpiszę - obiecała.

- Jaki to szlachetny człowiek! Przecież nam właściwie nie trzeba.

- No, trzeba niejednego - sprostowała stanowczo Elfrida.

- Na przykład czego?

- Chociażby nowego tostera, żeby nie palił grzanek, nie wybuchał ani nie narażał mnie na porażenie prądem, jak ten stary grat. Będzie jeszcze potrzebne łóżko dla Lucy i przydałyby się zasłony na to okno nad schodami.

- No, proszę, a ja niczego takiego nie zauważyłem! - wyznał ze wstydem Oskar.

- Mężczyźni takich rzeczy nie dostrzegają.

- Może zechcesz kupić jeszcze zmywarkę?

- Nigdy nie miałam zmywarki i żyję.

- To może mikrofalówkę?

- Tego też nie potrzebuję.

- Ale na pewno chciałabyś mieć telewizor.

- W ogóle nie oglądam telewizji, a ty?

- Ja tylko wiadomości i koncerty.

- Popatrz, jak mało nam brakuje do szczęścia!

- Rzeczywiście mamy szczęście, i to pod wieloma względami - oświadczył Oskar, oglądając dokładnie czek. - Zanim pojedę do Rosę, wstąpię do miejscowego banku i otworzę dla nas wspólne konto. Teraz już możesz zaszaleć z tymi meblami!

- Jak to, przecież te pieniądze nie są przeznaczone dla mnie.

- Są dla nas obojga.
- A czy w tym banku pójda nam na rękę?
- Myślę, że tak, ponieważ korzystałem z ich usług jeszcze za mojej młodości.
- Widzę, że nie tracisz czasu! Bylebyś tylko nie zapomniał o kwiatkach dla Rose.
- Na pewno nie zapomnę.

Dzień okazał się pogodny nad podziw. Na błękitnym niebie czerwone słońce podnosiło się coraz wyżej, przy tym nie wiał nawet najłżejszy wiaterek. Chodniki jednak musiały być śliskie, bo gospodynie robiące zakupy, ciepło opatulone, posuwały się ostrożnie, krok za krokiem. Zimno nie przeszkadzało im jednak w plotkowaniu, co można było poznać po unoszących się nad nimi obłoczkach pary.

Wieża kościelna, widoczna ponad czarną koronką bezlistnych gałęzi, w promieniach słońca lśniła złociście. Nad nią unosiły się mewy, a kawki przysiadły na chorągiewce. Trawę na starym cmentarzu ściał mróz, a warstewka śniegu pokryła zaparkowane samochody. Z otwartego bagażnika jednego z nich wyglądała choinka.

Elfrida wykonała rutynowe prace domowe - zasłała łóżka, rozpałała w kominku i przyniosła w koszyku trochę drewna z szopy. Potem usiadła w wykuszowym oknie, obserwując ruch na dworze. Oskar już odjechał, choć nieco czasu zabrało mu odmrożenie przedniej szyby i uruchomienie wycieraczek. Elfrida miała nadzieję, że Rose Miller będzie zadowolona z jego wizyty - więcej, była tego pewna!

Usiadła przy stole, plecami do słońca grzejącego przez szybę, i zabrała się do pisania listu do Hektora.

Zarząd Majątku Corrydale, 9 grudnia

Drogi Hektorze!

Jak to ładnie z Twojej strony, że do nas napisałeś! W imieniu własnym i Oskara dziękuję Ci za tak hojny prezent. Bardzo nam się przyda, bo pewnych rzeczy nam brakuje, choć doskonale obywaliliśmy się i bez nich. Teraz jednak sytuacja nieco się zmieniła, bo na święta przyjedzie do nas moja kuzynka Carrie Sut-

ton ze swoją siostrzenicą. Lucy ma dopiero czternaście lat, ale to dobrze, bo wniesie w ten dom trochę życia. Najbardziej potrzebowaliśmy właściwie tylko nowego toster, ale teraz muszę jeszcze dokupić trochę mebli do pokoju Lucy, który urządzię dla niej na poddaszu. Do tego właśnie będzie mi potrzebny Twój czek. Oczywiście kupię używane meble.

Oskar doszedł już trochę do siebie, bo na początku naszego pobytu był wciąż przygnębiony i zamknięty w sobie. Obawiałam się nawet o niego, czy kiedykolwiek zechce wyjść z tej „otchłani rozpacz” i wrócić do normalnego życia. Nie chciał nikogo widzieć, dopiero wczoraj wybrał się na długi spacer z Horacym (to mój pies). Masz pojęcie, że przy klubie golfowym spotkał akurat Petera Kennedy 'ego? Nawet przypadli sobie do gustu i dał się zaprosić na herbatę, ale gdy dowiedział się, że Peter jest pastorem - wystraszył się i uciekł.

Miał potem z tego powodu wyrzuty sumienia, ale myślę, iż ten incydent uświadomił mu, że musi w końcu wyjść do ludzi, bo nie będzie się wечно ukrywał. Pewnie dlatego dziś odważył się na dalszy krok i sam ofiarował się, że odwiedzi starą Rosę Miller w Corrydale. Bardzo się z tego cieszę, ale wiem, że niczego tu nie da się przyspieszyć. Oskar musi sam przyjąć takie tempo, jakie mu odpowiada.

Widzisz więc, że jakoś sobie radzimy. To bardzo spokojne miejsce, tempo życia jest wolne, więc i my nie bierzemy zbyt ostrego tempa. Chodzę na długie spacer, wieczorami gramy z Oskarem w kanastę lub słuchamy muzyki klasycznej. Oskar przywiózł ze sobą małe radjko i to nam wystarczy - nie mamy nawet telewizora, ale nie czujemy takiej potrzeby.

Jazda z Hampshire trwała długo i była...

Elfrida była tak zaabsorbowana pisaniem, że nawet nie usłyszała dźwięku otwieranej i zamkniętej drzwi ani kroków po schodkach przed głównym wejściem. Nic więc dziwnego, że nagły dzwonek do drzwi tak ją przestraszył, aż upuściła długopis. Na dole Horacy czekał jak oszalały, bardziej ze strachu niż z prawdziwej czujności. Chcąc nie chcąc, Elfrida musiała więc zejść na parter, uciszając po drodze Horacego. Otworzyła ciężkie drzwi na całą szerokość, aby wpuścić trochę

słońca, lecz przy tym i zimna. W progu stała jakaś nieznamą kobieta.

- Przepraszam za mojego psa... - bąknęła Elfrida, aby od czegoś zacząć.

- Och, nic nie szkodzi!

Nowo przybyła kobieta mogła mieć dobrze ponad trzydziestkę, była wysoka, szczupła i rozbijającą nieporządnie ubrana. Czarne włosy nosiła rozpuszczone na ramiona, z przodu przycięte w grzywkę. Znoszony skafander niezbyt dobrze harmonizował z długą, czerwoną wełnianą spódnicą i ciężkimi buciorami w stylu młodzieżowych martensów. Szyję okryła szalikiem w szkocką kratę, tworzącym wdzięczne tło dla twarzy o regularnych rysach, lecz bez żadnego makijażu. Zastępowała go opalenizna w połączeniu ze świeżym rumieńcem od mrozu, a głęboko osadzone oczy były czarne jak ziarna kawy. W jednej ręce trzymała plastikową reklamówkę, a w drugiej rustykalny w stylu koszyk z jajami.

- Dzień dobry! Pani Elfrida Phipps, prawda? Nie przeszkadzam? Jestem Tabitha. - Na twarzy Elfridy odbiło się takie zdumienie, że meznajoma szybko dodała: - Tabitha Kennedy, żona Petera Kennedy'ego.

- Ach, tak! - Elfrida starała się nie okazywać zdziwienia. Zawsze zupełnie inaczej wyobrażała sobie żonę pastora! - Miło mi panią poznać. Proszę, niech pani wejdzie.

- Może pani jest zajęta... - wahała się Tabitha. - Przyniosłam tylko trochę jajek od moich kur.

- Wcale nie jestem zajęta i bardzo lubię jajka. Proszę wejść, napijemy się kawy.

Ledwo Tabitha przekroczyła próg, Elfrida natychmiast zamknęła za nią drzwi.

- Nie robi pani różnicy, jeśli najpierw wejdziemy do kuchni? - upewniała się. - Zagotuję wodę, a potem zabierzemy sobie kawę na górę. Czy może pani woli herbatę?

- O nie, oddałabym duszę za filiżankę kawy, tak prze-marzałam. Peter zabrał samochód, więc musiałam iść pieszo. Po drodze było tak ślisko, że o mało nie upadłam.

Poszła do kuchni w ślad za Elfrida i postawiła koszyk z jajkami na stole, a reklamówkę przewiesiła przez poręcz krzesła.

- Akurat Oskar też dziś zabrał samochód. Pojechał odwiedzić niejaką Rosę Miller.

- Coś takiego, po tylu latach! Ma pani pojęcie, jak ona zawsze uwielbiała Oskara? Potrafi o nim mówić bez końca. Dotychczas, ilekroć bywałam w Zarządzie Majątku, zawsze przyjmowano mnie bardzo oficjalnie i zapraszano do salonu, a w tej kuchni jeszcze nigdy nie byłam. Ci Cochrane'owie byli takimi zabawnymi starszami, strasznie sztywnymi. Raz do roku zapraszali nas na herbatkę i prowadzili salonową konwersację, co było ciężką pańszczyzną. A wy jak się urządziliście?

- Całkiem niezłe. - Elfrida postawiła czajnik na gaz, a sama zaczęła ustawiać na tacy filiżanki i spodki. Tabitha tymczasem rozglądała się po kuchni.

- Podobnie urządzoną kuchnię widziałam w Muzeum Kultury Narodowej - zauważyła. - Moja babcia też miała taką. Cochrane'owie raczej nie przykładali wagi do wyposażenia, a to, co zdołali zgromadzić, pewnie pani Cochrane zabrała ze sobą. Ma pani tu zmywarke?

- Nie mam i nigdy nie miałam, więc nawet nie odczuwam jej braku.

- A pralkę?

- Jest tu taka, mocno staroświecka, ale działa, chociaż pranie trwa wieki. Za suszarkę służy mi sznur w ogródku.

- Za to pewnie macie zmywalnię. Można tam zajrzeć?

- Proszę bardzo, to te drzwi.

- Chryste, posadzka z kafelków, kamionkowe zlewy i drewniane osączarki! Dobrze, że choć macie lodówkę.

- W taką pogodę moglibyśmy obejść się bez niej.

Tabitha zakończyła inspekcję zmywalni, wróciła do kuchni, odsunęła sobie krzesło i usiadła.

- Używacie tego dużego salonu na gorze? - wypytywała dalej.

- Owszem, przez cały czas biegamy po schodach w górę i w dół.

- A w jakim stanie są pokoje na parterze?

- Jadalnia jest urządzona w stylu wiktoriańskim i bardzo ponura - ciężkie mahoniowe meble, pluszowe portiere i pianino z profitkami pod świece. W drugim pokoju musiało kiedyś

mieścić się biuro gospodarstwa, bo do dziś stoi tam biurko z zasuwany­m blatem i stół ze specjalnymi szufladami na czynsze dzierżawne. Wątpię, aby Cochrane'owie kiedykolwiek go używali. My w każdym razie w ogóle nie otwieramy tych drzwi. Jadamy albo tutaj, w kuchni, albo na górze przy kominku.

- Pewnie, to znacznie prostsze.

- Oskarowi też to odpowiada.

Tabitha podchwyciła ten wątek.

- To nawet lepiej, że w tej chwili nie ma go w domu. Właściwie to ja przyszedłam tu z przeprosinami.

- Za co?

- Przysłał mnie tu Peter, bo obawiał się, że wczoraj zachował się nietaktownie. Ma nadzieję, że nie sprawił Oskarowi przykrości.

- To raczej Oskarowi wydaje się, że powinien przeprosić Petera. Postąpił niegrzecznie, znikając tak bez uprzedzenia, ale po prostu się wystraszył.

- Hektor uprzedził nas o tym strasznym wypadku, w którym zginęły jego żona i córka. Rozumiemy, że trzeba czasu, aby się otrząsnąć z takiego koszmaru.

- On po prostu jest pogrążony w rozpacz.

- Pani też na pewno niełatwo z tym żyć.

- Mało tego, że niełatwo, to zupełny koszmar!

Elfrida dziwiła się sama sobie, słysząc własne słowa, gdyż nie przypuszczała, że kiedykolwiek je wypowie na głos. Dotychczas bowiem nie uświadamiała sobie ogromu tego koszmaru ani nie przyznawała się do tego przed sobą.

- Widzi pani, najgorsza jest frustracja, że nie można mu w żaden sposób pomóc. Poza tym człowiek nieraz traci cierpliwość, a potem jest zły sam na siebie, że nie umiał zapanować nad sobą. Ile razy w ostatniej chwili zdążyłam ugryźć się w język! Inną sprawą jest to, że mam naturę towarzyską, lubię poznawać nowych ludzi i zyskiwać przyjaciół, a ze względu na Oskara musiałam z tym pohamować. Pewnie wszyscy sądzą, że jestem zarozumiała?

- Jestem pewna, że nie.

- Jedna pani Snead trzyma mnie przy życiu, bo przynajmniej można z nią pogadać przy herbacie.

- Cieszą się, że ona u was pracuje.
- Dopiero dziś odniosłam wrażenie, że najgorsze już za nami. Chciałabym, żeby tak było, ze względu na Oskara. On naprawdę nie zasłużył na to, co go spotkało! Może wizyta u Rosę Miller sprawi, że znów otworzy się na innych ludzi.
- My z Peterem wiemy, że trzeba wam czasu, ale czasem trudno jest utrafić na właściwy moment.
- Proszę, niech pani już o tym nie myśli.
- Może lepiej byłoby, gdyby Peter odwiedził Oskara? Załatwiliby wtedy sprawy między sobą.
- Myślę, że tak, ale dla pewności niech najpierw zadzwoni.
- Powiem mu to.

Tymczasem Elfrida zaparzyła kawę, postawiła dzbanek na tacy i zaproponowała:

- Chodźmy na górę. Tam będzie nam wygodniej.

Poszła pierwsza, a Tabitha za nią, nie przerywając konwersacji.

- Zawsze podobały mi się te schody, już od samego wejścia robią takie dostojne wrażenie. Peter mówi, że poręcze zrobiono z sosny bałtyckiej, której pnie służyły jako balast na łodziach poławiaczy śledzi.

Przystanąła na półpiętrze, aby przez okno spojrzeć na ogród. Grządki, obecnie pokryte szronem i ścięte mrozem, wznosiły się tarasowato po stoku wzgórza, rozdzielone ścieżką i ciągami schodków. Na wierzchołku pagórka rosła kępa sosen, na których kawki wiły gniazda.

- Zapomniałam już, jaka to wielka przestrzeń - ciągnęła dalej Tabitha. - Z góry widać lepiej, co jest za tym murem. Uwielbiam ogrody otoczone murami, to takie tajemnicze! Pan Cochrane był doskonałym ogrodnikiem, zawsze przysyłał nam na plebanię świeżą sałatę.

- Oskar też lubi zajmować się ogródkiem, ale na razie zdążył tylko zgrabić trochę liści.

- Wiosną kwitną tu żonkile, purpurowa obriecja i krzewy bzu.

Elfrida szła naprzód z tacą, a Tabitha nadal komentowała z marszu:

- To wygląda nie tylko dostojnie, ale nawet imponująco.

Ten dom jest większy, niż się wydaje... - Tymczasem przez otwarte drzwi salonu wpadł promień słońca. - Zawsze najbardziej podobał mi się ten salon. Nawet zostawili wam żyrandol? Na pewno pochodzi z dworu Corrydale.

Powiodła wzrokiem po pustych ścianach, aż wypatrzyła obrazek, który Elfrida przywiozła z Dibton.

- Ależ to чудо! - Podeszła, aby mu się przyjrzeć bliżej. - Przedtem tu tego chyba nie było.

- Nie, to moje. - Elfrida postawiła tacę na stole przy oknie.

- To musi być David Wilkie, prawda?

- Zgadza się. Mam to już od lat i wożę ze sobą wszędzie.

- A skąd pani go ma?

- Dostałam w prezencie.

- Ktoś musiał panią bardzo lubić! - zaśmiała się Tabitha.

- Wydaje mi się, że na tak dużą ścianę jest to o wiele za małe.

- Ale i tak urocze.

Elfrida przytknęła zapałkę do podpałki nagromadzonej w kominku.

- Czy musimy palić? - zdziwiła się Tabitha. - Tu jest tak ciepło!

- Tak, to w tym domu jest najlepsze - bojler opalany ropą i centralne ogrzewanie. Kiedy tu przyjechaliśmy, obawiałam się, że w takim starym gmaszysku będzie zimno jak w psiarni, a tymczasem jest ciepło i przytulnie. Bojler grzeje także wodę na kąpiel.

- Te wiktoriańskie domy są tak solidnie zbudowane, żadnych przeciągów - dodała Tabitha.

Podpałka zajęła się i drwa zaczęły trzaskać w ogniu. Elfrida dołożyła do paleniska bryłkę węgla i jeszcze jedno polano.

- Może usiądziemy przy oknie? - zaproponowała.

- Pewnie, słońce grzeje tak przyjemnie!

Tabitha odwinęła z szyi szalik, zdjęła kurtkę i rzuciła na fotel. Sama usadowiła się wygodnie na ławie przy wykuszowym oknie.

- Lubi pani siadać tutaj i obserwować ludzi, jak chodzą za swoimi sprawami? Pewnie starczyłoby już pani materiału, żeby napisać książkę o tubylcach?

- To jest rzeczywiście zajmujące - przyznała Elfrida, odsuwając na bok rozpoczęty list do Hektora. - Długo już państwo tu mieszkacie?

- Mniej więcej od dwudziestu lat. Pobraliśmy się niedługo przed objęciem przez Petera tej parafii.

- Musiała pani wtedy być bardzo młoda.

- Tak, miałam dopiero dwadzieścia lat. Niektórzy parafianie gorszyli się tym, ale w końcu mnie zaakceptowali. Dwójka naszych dzieci urodziła się na tej plebanii.

- W jakim one są wieku?

- Rory ma osiemnaście lat, właśnie skończył szkołę średnią i ma rok przerwy przed rozpoczęciem studiów. Nie wiem, co będzie przez ten czas robił, ale Peter się nie martwi, bo wie, że chłopak albo się uczy, albo stara się zarabiać. Natomiast Clodagh ma dwanaście lat i bzika na punkcie koni. Musiała akurat wybrać sobie tak kosztowne hobby!

- Mogło być gorzej - pocieszyła ją Elfrida. - Co by było, gdyby zainteresowała się lotniarstwem?

Obie parsknęły śmiechem, jakby znały się od lat i nieraz plotkowały przy kawie. Elfrida z zainteresowaniem taksowała wzrokiem szczupłą figurę Tabithy, jej czarny sweter i młodzieżowe uczesanie. Nie mogła powstrzymać się od zadania pytania:

- Jak się pani czuje w roli żony pastora?

- Och, w małżeństwie z Peterem czuję się bardzo dobrze. Nie jestem zresztą typową pastorkową, bo pracuję w tutejszej szkole jako nauczycielka rysunku i rzemiosł artystycznych. Mam zajęcia pięć razy w tygodniu.

- Jest pani plastyczką?

- Tak, mam wszelkie niezbędne kwalifikacje, sama też rysuję i maluję. Uczę także haftu i wyrobu ceramiki. Starsze dziewczynki pod moim kierunkiem wyszyły pokrowce na wszystkie kłęczniki w kościele, a chyba każda tutejsza gospodyni hoduje begonie w donicze naszej roboty.

- A ja byłam aktorką - przyznała się Elfrida, ale zaraz pożałowała, że się z tym zdradziła, gdyż wyglądało to, jakby chciała przelicytować Tabithę. Ta jednak nie poczuła się ani trochę urażona, raczej zachwycona.

- Naprawdę? Wcale mnie to nie dziwi, bo świetnie mogę wyobrazić sobie panią na scenie.

- No, nie grywałam w sztukach dramatycznych. Miałam raczej lżejszy repertuar, jak farsy czy musicale, ale za to potrafiłam zagrać każdą rolę, od młodej dziewczyny po staruszkę.

- Była pani znaną aktorką?

- Niespecjalnie, ale zawsze miałam angaż, choćby kiepski.

- I to się właśnie liczy! Robić to, co się lubi, i jeszcze dostawać za to pieniądze. Peter też to rozumie i dlatego jest taki kochany. Nie mogę się doczekać, kiedy się poznacie. Zaprosiłabym was na plebanię nawet zaraz, ale najpierw niech on i Oskar dogadają się między sobą.

- Będzie mi bardzo przyjemnie.

- A jakie macie plany na święta?

- Nawet nie próbowałam układać żadnych planów, bo wątpię, aby Oskarowi chciało się cokolwiek robić. W tym okresie i bez tego będziemy mieli dosyć wrażeń. W przyszłą sobotę przyjeżdża do nas moja kuzynka ze swoją siostrzenicą. Uprowadzałam je, że nie mają co liczyć na świąteczną atmosferę, ale ich to nie zraziło.

- W jakim one są wieku?

- Carrie ma trzydzieści lat, ale jej siostrzenica, Lucy, dopiero czternaście. Mam nadzieję, że nie okaże się zbyt nieśmiała ani - przeciwnie - bezczelna. Może nie będzie się tu nudzić...

- Tutaj w okresie Bożego Narodzenia dzieje się tyle ciekawych rzeczy, że na pewno będzie miała co robić. Wszystkie tu tejsze dzieci świetnie się bawią.

- Przecież ona nie zna tutejszych dzieci!

- To nic, wystarczy, jeśli na początek pozna mojego Rorry'ego i Clodagh, a już oni przedstawiają innym.

- Tylko czy zechcą? - Elfrida miała wątpliwości.

- Niby dlaczego nie mieliby zechcieć?

- Może dla nich będzie tylko miejskim wymoczkim?

- Tym większy powód, aby się nią zająć - nauczyła Tabitha z nauczycielską surowością. Obudziła się w niej także pastora, która w duchu zasad chrześcijańskich. Jasne było, że Tabitha Kennedy, mimo młodzieżowego sposobu bycia i ostentacyjnej nie-

dbałości w ubiorze, sprawiała wrażenie osoby godnej szacunku. Za to Elfrida polubiła ją jeszcze bardziej.

W tym momencie przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- Wie pani co? Muszę dokupić trochę mebli, bo tu są tylko najniezbędniejsze sprzęty, a chciałabym urządzić na poddaszu sypialnię dla Lucy. Może obejrzałaby pani ze mną ten pokój i doradziła mi, czego tam trzeba?

- Z przyjemnością, lubię doradzać ludziom! - Tabitha wypiła już kawę i podwinęła mankiet swetra, aby spojrzeć na zegarek. - Tylko że wkrótce będę musiała iść, bo Peter ma zaraz po obiedzie ważne spotkanie, więc muszę dopilnować, żeby zjadł przynajmniej zupę.

- No cóż, jeśli pani nie ma czasu...

- Ależ mam, tyle to zawsze się znajdzie! Chodźmy tam zaraz, bo przepadam za urządzaniem wnętrza.

- Pewnie potrafi pani wyczerować coś z niczego?

- Oczywiście, jak przystało na żonę pastora.

Powędrowały razem na poddasze, gdzie udało się wygospodarować dwa pokoiki. W jednym nie było okien, za to stały trzy stare kufry, krawiecki manekin i roło się od pajęczyn. Drugi natomiast, zupełnie pusty, miał belkowany sufit, a w nim okno zapewniające górne oświetlenie. Teraz wpadało przez nie światło bladego zimowego słońca.

- O takim pokoju marzyłaby każda dorastająca panienka! - zachwycała się Tabitha. - Chyba nie trzeba tu dywanu, bo te deski podłogowe mają takie piękne słoje! Jest tu grzejnik, więc na pewno będzie ciepło. Oczywiście potrzebne będzie łóżko i jakaś komódka albo toaletka, a może i telewizor...

- My sami nie mamy telewizora.

- Przydałby się, bo nastolatki lubią się stale w coś gapić. Mój Rory ma stary odbiornik, którego już nie używa, więc go poproszę, żeby wam odstąpił. Trzeba też będzie kupić jakieś lampy i chyba żaluzję na to okno sufitowe, żeby jej światło nie raziło.

- Mam trochę pieniędzy, bo Hektor nam przysłał, ale nie-
zbyt dużo, więc wolałabym kupić rzeczy używane.

- W Buckley jest taki „pchli targ”, gdzie można dostać
wszystko.

- Nie byłam nigdy w Buckly.
- Mogę tam panią zawieźć.
- Łóżka też tam są?
- Nie tylko łóżka, także pościel, dzieła sztuki, stare ciuchy, dywany, szafy i inne meble. Może wybierzemy się tam w przyszłym tygodniu, na przykład we wtorek po południu, dobrze?

Elfrida nie miała żadnych konkretnych planów na najbliższą przyszłość, więc tylko przytaknęła.

- Będziemy mogły wziąć wasz samochód? - wypytywała dalej Tabitha. - Peter może potrzebować naszego.

Elfrida nie miała nic przeciwko temu.

- Zobaczysz pani, jak będzie fajnie! Wprost nie mogę doczekać się wtorku! - gorączkowała się Tabitha. - No, to jesteśmy umówione. Teraz to już naprawdę muszę lecieć, bo Peter będzie marudził!

Po wyjściu Tabithy Elfrida wróciła do rozpoczętego listu do Hektora.

...bardzo trudna z powodu fatalnej pogody. Dotarliśmy na miejsce dopiero o siódmej wieczorem następnego dnia. Akurat gdy zaczęłam pisać ten list, przyszła do mnie Tabitha Kennedy. Ona jest taka miła, że i z Peterem Oskar na pewno szybko się dogada! Obiecała, że zabierze mnie na pchli targ, gdzie będę mogła kupić różne rzeczy do wyposażenia domu.

Jeszcze raz dziękuję Ci za hojność. Mam nadzieję, że wkrótce pogoda się poprawi, a zdRowie będzie Ci dopisywać na tyle, żebyś mógł sam gdzieś się ruszyć.

Z najlepszymi życzeniami od nas obojga

Elfrida

Przeczytała list jeszcze raz, włożyła go do koperty, zaadresowała ją i nakleiła znaczek. Potem zeszła do kuchni i przejrzała zawartość lodówki. Stwierdziła, że musi dokupić tylko warzywa i ewentualnie jakieś owoce. Horacy spał spokojnie w swoim koszyku, więc go nie budziła, tylko ubrała się ciepło i wyszła na dwór. Nie zamykała drzwi frontowych na klucz, gdyż w tym małym miasteczku nikt tego nie robił.

Mróz był silny, ale mdłe zimowe słońce roztopiło wierzchnią

warstwę szronu na chodnikach. Mimo to Elfrida szła ostrożnie, żeby nie złamać nogi.

Wrzuciła swój list do skrzynki pocztowej i przeszła na drugą stronę ulicy do sklepu owocowo-warzywnego należącego do Artura Sneada. O tej porze sklepik był pusty, a za ladą siedział sam właściciel, przeglądając sprawozdania z wyścigów. Na powitanie Elfridy wstał i odłożył gazetę.

- Szanowanko, pani Phipps! Co robimy z tak pięknie rozpoczętym porankiem?

Artur był mężem pani Snead, która sprzątała w biurach majątku. Elfrida bardzo ceniła sobie znajomość z nimi, nie tylko ze względu na usługi pani Snead i dostarczane przez nią plotki, ale i dlatego, że małżonkowie pochodzili z przedmieść Londynu i mówili tamtejszą charakterystyczną gwara. Elfridzie przypominało to miasto, w którym spędziła szmat życia, więc słysząc ten swojski akcent, czuła się mniej samotna w nowym miejscu.

Sneadowie przybyli do Creagan pięć lat temu. Przedtem mieszkali w Hackney, o czym Elfrida dowiedziała się przy którejś z rzędu filiżance herbaty wypitej w towarzystwie pani Snead. Gadatliwa dama opowiedziała jej wtedy, jak to Artur zaczął swoją karierę zawodową od obwoźnego handlu na North End Road, zanim dorobił się własnego sklepiku. Niestety, miejskie przedsiębiorstwo budowlane narzuciło mu tak wysoki czynsz, że zupełnie się zniechęcił. Na szczęście znalazł w czasopiśmie ogrodniczym - które przenieśli, bo był zapalonym działkowcem - ogłoszenie o sprzedaży tego sklepu, który w tej chwili posiadał. Pani Snead wspominała, jak to radził się jej, czy zdecydować się na tę inwestycję („To jak, stara, pójdziem na to?”) i jak to ona, zawsze lojalna wobec małżonka, nie protestowała. Kupili wtedy sklep i znajdujące się nad nim mieszkanie, czego nigdy nie żałowali. A jakich tu mieli eleganckich klientów, same wyższe sfery! Artur zaczął uczęszczać do kręgielni i wypływać na morskie połowy ryb, ona zaś została członkinią Rady Parafialnej, wyjeżdżała na organizowane przez parafię wycieczki, a czasem nawet śpiewała w chórze kościelnym! Oznaczało to, że miejscowa społeczność ich zaak-

ceptowała, chociaż w żartach przezywano ich białymi osadnikami.

- Musi paniusia lepiej pilnować swojego chłopa! - wdał się w pogawędkę Artur. - Dziś rano kupował u mnie kwiaty, pewnie dla jakiejś kobitki!

- Chyba jednak nie będę zazdrosna, bo to dla biednej, starej Rosę Miller. Ma pan może brukselkę?

- Nie, ale mam za to pyszne brokuły, świeżutki, dziś przywiezione. Ledwo się ta ciężarówka wyrobiła na naszej górcie, podobnie napadało aż sześć cali śniegu. Mam też młode kartofelki, sprowadzone z Cypru.

Elfrida zdecydowała się na brokuły i ziemniaki, a oprócz tego dokupiła siateczkę mandarynek i dwa lekko przywędłe grejpferty, które Artur sprzedał jej za pół ceny.

- Tera szybko do domciu, prawda? - zagadnął. W tym momencie Elfrida podjęła szybką decyzję.

- Nie, muszę jeszcze kupić nowy toster, bo ten, co mamy, lada chwila może wybuchnąć.

- To proszę zostawić tu te torby. Podrzucę je paniusi pod samiotkie drzwi.

- Dziękuję, bardzo pan uprzejmy. Czy kartofle muszą być takie ciężkie?

Uwolniona od ciężaru, mogła spokojnie przejść do sklepu z elektrycznym sprzętem gospodarstwa domowego, własności Williama G. Crofta. Otwierając drzwi, potrąciła dzwonek, na którego dźwięk pan Croft, w kombinezonie koloru khaki, wynurzył się z zaplecza, gdzie naprawiał odkurzacze i telewizory. Poznał od razu Elfridę, gdyż raz już u niego była.

- Dzień dobry, pani Phipps, miło mi, że pani mnie znów odwiedziła.

- Tak, ale tym razem naprawdę chcę kupić toster.

- A co, czyżby ten stary już wybuchł?

- Jeszcze nie, ale może w każdej chwili.

- Jaki model pani wtedy oglądała?

- Ten najtańszy, ale może jednak zdecyduję się na coś... nowocześniejszego.

- Mam coś w sam raz dla pani.

Pan Croft przyniósł opiekacz jeszcze w opakowaniu i na

oczach Elfridy wyjął z pudełka. Urządzenie było gustowne, o opływowych kształtach i w żywym niebieskim kolorze, a przy tym proste w obsłudze. Miało nawet, co pan Croft z dumą zademonstrował, specjalny regulator, za pomocą którego można było nastawiać pożądaną stopień zrumienienia grzanek.

- I jeszcze ma roczną gwarancję! - zachwalał właściciel, jakby to była największa zaleta prezentowanego opiekacza. Najwidoczniej to poskutkowało, gdyż Elfrida zdecydowała, że weźmie ten sprzęt.

- Jeden problem, że nie mam przy sobie dość pieniędzy - uprzedziła. - Mógłby pan przetrzymać go dla mnie, na przykład do jutra?

- A po co? - obruszył się pan Croft. - Niech go pani teraz zabierze, a pieniądze przyniesie mi innym razem, kiedy pani będzie tędy przechodziła.

- Nie boi się pan?

- Nie przypuszczam, aby mi pani z tym uciekła.

Elfrida zabrała opiekacz do domu, włączyła go i przygotowała dwie idealnie zrumienione grzanki. Z lubością posmażowała je mały. W tym momencie usłyszała odgłos otwierania i zamykania drzwi wejściowych, co oznaczało, że powrócił Oskar.

- No, dobrze, że już jesteś. Jak się czuje Rosę Miller?

- Och, jest w życiowej formie. - Oskar zdjął kapelusz i powiesił go na słupku u podnóża schodów. - Nagadaliśmy się do syta i poczęstowała mnie nawet szklaneczką wina z czarnego bzu.

- Zamiast herbaty?

- A jak udało ci się zrobić takie świetne grzanki?

- Kupiłam nowy toster. Chodź, zobacz, jaki elegancki! - Zaciągnęła go do kuchni. - Mówiłeś, że będę mogła teraz zaszaleć z zakupami, więc już zaczęłam! Tylko że jeszcze za niego nie zapłaciłam. Obiecałam Croftowi, że jutro mu przyniosę pieniądze.

- Jutro pójdę tam z tobą - zapewnił, zdejmując grubą kurtkę. Odsunął sobie krzesło i usiadł. Elfrida przyglądała mu się

bacznie i zauważyła, że wyglądał na dziwnie zmęczonego. Czyżby to wino z czarnego bzu okazało się zbyt mocne?

- Dobrze się czujesz, Oskarze?

- Ja tak, ale zrobiłem to, co mi kazałaś, i odwiedziłem majora Billicliffe'a.

- To ładnie z twojej strony.

- Bynajmniej, okazało się, że wcale nie postępowalem ładnie.

- Dlaczego? Nie rozumiem, co się stało.

Oskar pokrótce objaśnił Elfridzie sytuację. Jadąc do domku Rosę Miller, przejeżdżał obok domu byłego rządcy majątku, ale początkowo chciał odłożyć wizytę u majora na inny dzień. Jednak w drodze powrotnej usłyszał wycie jego psa, tak rozdzierające jak wołanie o pomoc. Nie zastanawiał się już więcej, czy zatrzymać się, czy nie. Zajechał pod werandę małego kamiennego domku i wyłączył silnik, gdy tymczasem skowyt nie ustał.

Elfrida słuchała z przerażeniem, przewidując dramatyczne zakończenie.

- I co wtedy zrobiłeś? - dopytywała.

- Wsiadłem z wozu i zadzwoniłem do drzwi. Nikt nie otwierał, tylko pies przestał wyc, a zaczął szczekać. Spróbowałem sam otworzyć drzwi, ale okazało się, że nie są zamknięte. Wszedłem do środka i zawołałem, ale nikt mi nie odpowiedział.

- Może dziadek zapomniał założyć aparat słuchowy?

- Też tak myślałem, ale nie widziałem nigdzie żywej duszy. Tylko pies siedział zamknięty w drugim pokoju i łomotał w drzwi od środka, tak samo jak wtedy, kiedy tam byliśmy.

- Wypuściłeś go?

- Wtedy jeszcze nie.

- A zastałeś tam kogoś?

- Szukałem we wszystkich pomieszczeniach na parterze. W innych pokojach panował jeszcze gorszy bałagan, koszule suszące się na krzesłach, sterta papierów na stole i porozrzucane wszędzie kije golfowe... Odkryłem za to schody prowadzące na piętro, więc tam wszedłem i znalazłem naszego staruszka leżącego w łóżku.

- Chryste, nie żył?

- Przez chwilę myślałem, że rzeczywiście umarł, ale gdy przemówiłem do niego, poruszył się.

- Chwała Bogu!

Major wprawdzie żył, ale widać było, że musi być poważnie chory. Zorientował się jednak, że ma gościa, więc uniósł się na poduszkach i próbował grać zuchą. Oskar przysunął sobie krzesło do jego wezgłowia i spytał majora, co mu dolega. Okazało się, że starszy pan już od miesiąca czy dwóch czuł się źle. Cierpiał na bóle żołądka i brak apetytu, dopiero dochodząca sprzątaczką, przerażona jego wyglądem, zadzwoniła do rejonowego lekarza, doktora Sinclaira. Ten przyjechał natychmiast, obejrzał chorego i zalecił mu, aby położył się na kilka dni do szpitala w Inverness, celem przeprowadzenia bardziej szczegółowych badań. Tymczasem zostawił mu środki uspokajające i przeciwbólowe, zlecając rejonowej pielęgniarkie codzienne kontrole stanu zdrowia pacjenta.

- Kiedy on ma jechać do tego Inverness?

- Doktor Sinclair zarezerwował dla niego łóżko na poniedziałek.

- Tylko czym on się tam dostanie?

- W tym właśnie problem. Można by, oczywiście, przewieźć go karetką, choć to kawał drogi, ale szosy mogą być nieprzejezdne z powodu śniegu. Pozostawałby helikopter, ale starymu robi się słabo na sam dźwięk tego słowa.

Nietrudno było się domyślić, że stary żołnierz zwyczajnie bał się, nie tyle transportu helikopterem, ile wizji pobytu w szpitalu, badań, bolesnych zabiegów czy zagrażającej operacji. To właśnie wtedy Oskar poczuł się za niego odpowiedzialny i zaproponował, że zawiezie go swoim samochodem do Inverness i osobiście dopilnuje, aby zajęto się nim jak należy.

Major zareagował na tę propozycję bardzo emocjonalnie.

- Chce się panu zawracać sobie głowę takim starym dzieckiem jak ja? - łkał, ocierając łzy.

- Owszem, chce mi się, choćby ze względu na moją babcie i Hektora! - oświadczył stanowczo Oskar, a ponieważ major wciąż nie dowierzał, dodał jeszcze: - I dlatego, że pan jest moim przyjacielem!

Wzruszył tym Elfridę.

- Jaki ty jesteś dobry! To było najwłaściwsze, co mogłeś zrobić. Przy tobie nie będzie się tak bał.

- Byleby tylko po drodze nie złapała nas zamieć śnieżna!

- Może z boską pomocą do tego nie dojdzie. A co zrobiłeś z psem?

- Zszedłem na dół i wypuściłem ją do ogrodu. Okazało się, że po prostu bardzo jej się chciało sikać, a poza tym wcale nie jest agresywna. To stara, poczciwa suka, którą ktoś powinien się zająć. Chyba nieprzypadkowo nazywa się Brandy.

- To rzeczywiście ciekawe!

- Kiedy już załatwiła swoje potrzeby, wsadziłem ją do samochodu, wróciłem do Rosę Miller i przedstawiłem jej sytuację. Było jej bardzo przykro, że nie miała pojęcia, co się działo tak blisko od jej domu. Jeszcze zanim od niej wyszedłem, już się zbierała, żeby pójść do niego posprzątać i coś ugotować. Wprawdzie ma osiemdziesiąt pięć lat, ale uwielbia brać na siebie jakieś zadania do wykonania. Najśmieszniejsze, że ona przepada za starym Billicliffe'em. Ciągłe powtarza: „Choć to pijaczyna, ale porządny człowiek, zbyt dumny, aby prosić o pomoc”.

- A co dalej będzie z tej biedną suką?

- Rosę ma poprosić swojego bratanka, Charliego Millera, żeby zabrał ją do siebie, dopóki Billicliffe nie wyjdzie ze szpitala. Pracuje w majątku, więc może trzymać ją w stróżówce, karmić i zabierać ze sobą do pracy.

- Widzę, że już wszystko zorganizowałaś.

- Myślę, że przez te dwa dni staremu nie stanie się krzywda, a potem będzie już w szpitalu.

- No to niezbyt mile spędziłeś przedpołudnie.

- Mimo to jestem zadowolony, że tam pojechałem. A ty czym się zajmowałaś poza kupnem tosterów?

- Ja spędziłam rano znacznie przyjemniej niż ty. Napisałam list do Hektora i przyszła do mnie Tabitha Kennedy... Nie masz pojęcia, ile mam ci do opowiedzenia!

- Powiesz mi to po lunchu. Myślę, że powinniśmy jakoś się rozerwać i uczcić zarówno to, że mAmy czyste sumienie, jak i hojność Hektora. Chodźmy do baru, zjemy kanapki lub pasz-

teciki, a potem postawię ci gin z tonikiem i wypijemy zdrowie... - tu zaw...

- Mówisz serio? - Elfrida nie wierzyła własnym uszom.
- Jak najbardziej.
- Och, Oskarze! - Zabawne, że przez chwilę Elfridzie zbierało się na płacz. Zamiast tego przeszła na drugą stronę stołu i zarzuciła mu ramiona na szyję. - To był naprawdę dobry dzień!

Oskar

W niedzielę rano, po późnym śniadaniu, Oskar ubrał się ciepło i poszedł do kiosku z prasą odebrać niedzielne wydania gazet. Miasteczko wydawało się wymarłe, bo o tak wczesnej porze nie wyjechał jeszcze ani jeden samochód, a jedynym dźwiękiem, jaki dał się słyszeć, był pisk mew i skrzek kawek, które stale krążyły wokół wieży kościelnej. Dzień był pogodny i bezwietrzny, ale mroźny, i kroki Oskara odbijały się echem od pokrytych szronem chodników. Dzięki temu czuł się jak zdobywca Arktyki.

W drodze powrotnej spotkał Elfridę, która wybierała się z Horacym na długi spacer po plaży. Miała na sobie grubą włóczkową czapkę, nasuniętą głęboko i przypominającą pokrowiec na szwach.

- Chodź z nami! - zaproponowała, ale Oskar odmówił, gdyż wolał przejrzeć rubryki kulturalne w czasopiśmie. Był ciekaw, jakie aktualnie odbywają się w Londynie wystawy, koncerty i przedstawienia. Interesowały go także kąciki porad ogrodniczych, natomiast nie obchodziły go zupełnie wiadomości ze świata.

- Kiedy masz zamiar wrócić? - zagadnął.
- W samą porę, aby zdążyć wstawić pieczeń na ruszt. Pudding ryżowy jest już w piekarniku.

Elfrida wiedziała, że Oskar lubi taki pudding, ponieważ bardzo mu smakował, kiedy ostatnio go przyrządziła. Miał kre-

nową konsystencję, a dzięki dodatkowi skórki cytrynowej pięknie pachniał.

- Któreś będziesz szła? - chciał wiedzieć Oskar.
- Przez wydmy, a bo co?
- Jeśli nie wrócisz do zmroku, zorganizuję poszukiwania.
- Przecież ci obiecałam, że będę szła ostrożnie.
- No, pamiętaj!

Rozeszli się, każde w swoją stronę. Oskar wrócił do domu i skierował się prosto do salonu na piętrze. Elfrida zostawiła tam drwa na podpałkę, więc rozpałił w kominku i zaraz zbiegł na dół, aby przynieść z szopy następny koszyk drewek. Jasne było, że jeśli w kominku ma się palić przez cały dzień, to jeden koszyk nie wystarczy. Tymczasem polana zajęty się czystym, równym płomieniem, więc otworzył przyniesione pisma na działach poświęconych kulturze i rozsiadł się wygodnie.

Dzwony kościelne rozproszyły jego uwagę. Zegar na wieży wybił wpół do jedenastej. Oskar odłożył więc gazetę, wstał, podszedł do okna i usiadł przy nim, tak aby obserwować ulicę. W niedzielne ranki zawsze fascynowało go zjawisko stopniowego ożywiania się opustoszałych ulic miasta.

Także kościół stopniowo budził się do życia, przygotowując się do przyjęcia rzesz wiernych zdążających na niedzielne nabożeństwo. Najpierw pojawiali się zasłużeni działacze rady parafialnej, w uroczystych, ciemnych garniturach lub szkockich spódniczkach. Oskar rozpoznał wśród nich W. G. Crofta, od którego Elfrida kupiła toster. Potem rozległy się tłumione przez grube ściany kościoła dźwięki psalmu *Pan jest moim pastorem*. Oskar swoim wyczulonym uchem wychwycił, że utwór grany jest profesjonalnie, a organy są w dobrym stanie. Zdarzało to się nader rzadko w wiejskich kościółkach, gdzie zwykle organista robił, co mógł, aby z rozklekotanego instrumentu wycisnąć coś, co choćby w przybliżeniu przypominało właściwą melodię.

Początkowo tak bliskie sąsiedztwo kościoła wydawało się Oskarowi krępujące. To tak, jakby coś ciągle przypominało mu,

co stracił. Kiedy jednak obserwował z okna coraz liczniejszą rzeszę ludzi schodzących się z różnych stron - miał świadomość, że wystarczy mu przejść na drugą stronę ulicy, aby dać się ponieść ludzkiej fali i wraz z innymi przekroczyć próg świątyni.

Kościół miał wysmukłe, łukowato zakończone okna w stylu gotyckim. Witraże od zewnątrz wydawały się ciemne i niewyraźne, ale Oskar wiedział, że ich prawdziwą urodę można ocenić jedynie od środka. Wtedy, podświetlone światłem dziennym, rzucały na płyty posadzki wiązki rubinowych, szafirowych i szmaragdowych wydzźwięk symboliczny? Może sugerowało mu, że przez swą dobrowolną izolację od kościoła sam pozbawił się tyłu radości i uciech?

Była to hipoteza tyleż intrygująca, co denerwująca, więc nie zamierzał poświęcać jej więcej czasu. Na wszelki wypadek wolał odejść od okna i wrócić do lektury gazety przy kominku. Jednak gdy wierni w kościele podjęli pieśń adwentową, której dźwięki słychać było po przeciwnej stronie ulicy - podniósł głowę znad gazety i wpatrzony w płomień, wsłuchiwał się w melodię.

*Spuście nam na ziemskie niwy
Zbawcą z niebios, obłoki!
Świat przez grzechy nieszczęśliwy
Wołał w nocy głębokiej...*

Pamiętał, jak ćwiczył tę pieśń z chórem szkolnym, który prowadził. Na próbach kładł nacisk na takie wykonanie, jakby chórzyci szczerze wierzyli w to, co śpiewają.

Pomyślał Oskar doszedł do wniosku, że jednak musi nawiązać kontakt z Peterem Kennedym. Tylko chyba już nie dziś, bo wiadomo, że proboszcz w niedzielę jest najbardziej zajęty. Może jutro albo pojutrze?

Tymczasem poprawił okulary i usiłował się skupić na lekturze zamieszczonej w „Sunday Timesie” recenzji opery *Fidelio*, wystawionej przez Jonathana Millera w Covent Garden.

Poniedziałek, 11 grudnia

Pani Snead przychodziła w poniedziałki i czwartki o godzinie dziewiątej rano. Była to pora, kiedy Elfrida i Oskar zwykle dopijali ostatnie krople swojej porannej kawy. Dawało się wtedy słyszeć potężne trzaśnięcie tylnych drzwi. Potem na krótko następowała cisza, co oznaczało, że pani Snead rozbiera się z kurtki, chustki i botów. Wierzchnie okrycia wieszła następnie zawsze na tym samym haku w zmywalni, po czym przebiegała się w robocze łachy, fartuch i adidasy, które przynosiła ze sobą w plastikowej reklamówce. Oskar i Elfrida czekali tylko, kiedy otworzy drzwi na oścież i gromko zaanonsuje:

- Dzień dobry państwu!

Oskar uważał, że było to „wejście” godne najlepszej aktorki. Zawsze ktoś z nich odpowiadał na jej powitanie:

- Dzień dobry, pani Snead.

- Ależ dzisiaj wietrzysko, niech ja skonam! - narzekała, zacierając ręce, podczas gdy nogą zamknęła drzwi za sobą. - Zaczyna jak nożem!

- Może napije się pani herbaty? - proponowała Elfrida, odstawiając swoją filiżankę.

- Chętnie, zanim zabiorę się do roboty. Woda gotowała się, prawda? - Zwróciła przy tym uwagę na nowy toster. - No proszę, co my tu mamy? Widzę, że pani zrobiła dobry zakup. Najwyższy czas, bo tamten gruchot chybaby w końcu kogoś zabił. Mam nadzieję, że wyrzuciła go pani do śmieci.

Zakręciła się po kuchni, dopóki nie znalazła dla siebie filiżanki, torebki ekspresowej herbaty i kartonu mleka. Z gotową herbatą przysunęła sobie krzesło i przysiadła się do stołu.

- Cóż to się stało z majorem Billicliffe'em? - zaczęła od razu z grubej rury. Oskar i Elfrida zrobili wielkie oczy.

- Chryste, ależ się tu wszystko roznosi! - jęknął Oskar.

- Mój Artur dowiedział się od Charliego Millera, który kupował u niego kapustę. Charlie mówił, że będzie teraz musiał zająć się psem majora, bo biorą go do szpitala. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Też mamy taką nadzieję. Oskar ma go tam zawieźć.

- Charlie mówił o tym mojemu Arturowi, ale nie bardzo

wierzyłam. Podjąłby się pan czegoś takiego? Toż to kawał drogi!

- Myślę, że dam sobie radę.

- Byleby tylko nie sypało. Kiedy musi pan wyjechać?

- Zaraz, jak tylko zjem.

- Ma pan komórkę? Przydałaby się panu!

- Nie mam, ale myślę, że i bez niej sobie jakoś poradzę.

- Miejmy nadzieję. Aha, żebym nie zapomniała! Artur kazał spytać, czy państwo życzyte sobie, żeby odłożył dla was choinkę.

- Choinkę? A boja wiem... - wyjąkała niepewnie Elfrida.

- Jakże, przecież musicie mieć choinkę. Co warte święta bez choinki?

- No tak, ale nie chcielibyśmy robić kłopotu...

- Choinka to żaden kłopot, tylko fajna zabawa przy ubieraniu.

- Co ty na to? - Elfrida zwróciła się do Oskara. Ten zaś zdecydował nie trzymać jej dłużej w niepewności.

- Dziękujemy pani za pamięć, ale choinkę bierzemy z majątku.

Elfrida zrobiła wielkie oczy. Chyba po raz pierwszy w życiu była na niego zwyczajnie zła.

- Czemu od razu nie powiedziałaś, że bierzemy jakąś choinkę? Ja tu mówię pani Snead, że nie potrzebujemy żadnej, a tymczasem ty już coś zarezerwowałaś i wychodzę na idiotkę. Jesteś naprawdę niemożliwy!

- Och, przepraszam!

- Kiedy zdążyłaś to wszystko załatwić?

- Jeszcze w sobotę, kiedy byłem u Rose. Przecież jej Charles jest ogrodnikiem, a w majątku mają całą plantację choinek. Rose ma mu powiedzieć, żeby wyciął nam jakąś ładną.

- W porządku, ale mogłaś mi o tym powiedzieć.

- Miałem ci tyle do powiedzenia, że zapomniałem. Sądziłem, że zrobię tym przyjemność Carrie i Lucy.

Elfrida już się nie gniewała.

- Wspaniale to wymyśliłaś. Kiedy będziemy ją mieli?

- Wystarczy zadzwonić do Charliego i pojechać po nią.

Pani Snead - drobna, szczupła kobietka z siwymi włosami,

mocno skręconymi trwałą ondulacją - ciekawie nadstawiła uszu. Z zadartą głową i bystrymi, przenikliwymi oczkami przypominała Oskę Rowi czupurnego wróbla.

- O, spodziewacie się państwo gości?

- Tak, nie mieliśmy kiedy powiedzieć pani o tym. Na święta przyjeżdża do nas moja kuzynka ze swoją siostrzenicą Lucy. Ta mała ma czternaście lat.

- Och, to cudownie! - zachwyciła się pani Snead. - Z takimi młodymi osobami od razu robi się weselej. Kiedy one mają przyjechać? I gdzie będą spać? Trzeba przygotować dla nich pokoje i porządnie tam wysprzątać.

- Lucy mogłaby spać na poddaszu...

- Ależ tam nie ma żadnych sprzętów!

- Pojutrze już będą. Wybieram się z Tabithą Kennedy na jarmark w Buckly.

- Też coś! - prychnęła pani Snead. - Tam handlują sAmymi starymi gratami.

- Myślę, że będą wystarczająco dobre.

Pani Snead była wyraźnie zde gustowana skromnymi wymaganiami Elfridy.

- A nie wolałaby pani jakiegoś eleganckiego kompletu? - kusiała. - Widziałam w Inverness taką piękną sypialnię. Wysoki połysk, orzech z mosiężnymi klamkami, a łóżko ma zagłówek i ramę wybite brzoskwinowym atłasem!

- Rzeczywiście brzmi to ładnie, ale chyba zbyt wykwintnie. Poza tym nie chce mi się wieźć tego aż z Inverness.

Pani Snead popijała herbatę, rozważając nową sytuację, jaka się wytworzyła u jej chlebowców.

- Pościeli też nie mAmymy za dużo - uznała. - Nie będzie pani przecież kupować używanej bielizny! Znam taki zakład krawiecki w Buckly, który nastawił się właśnie na pościelówkę. Niech pani poprosi Tabithę Kennedy, żeby panią tam zabrała.

- Chyba rzeczywiście tak zrobię.

- No i dobrze. - Pani Snead dopiła herbatę i wstała, żeby wylać fusy do zlewu. - My tu gadu-gadu, a robota stoi. Od czego zaczynAmymy, proszę pani?

- Myślę, że od poddasza. Jeżeli zamieciemy i wyszorujemy

podłogi, a okno sufitowe wymyjemy, będzie można od razu wstawić tam meble, kiedy tylko sieje przywiezie.

- Ciekawam tylko, kto to wszystko wtaszczy na górę. Chyba nie pani z panem, bobyście się podźwignęli!

- Będę musiała wynająć meblowóz w firmie organizującej przepRowadzkę.

- Mój Artur też może pani pomóc.

- To byłoby bardzo ładnie z jego strony.

- Muszę powiedzieć, że prawdziwa z niego „złota rączka”.

Tą konkluzją pani Snead zakończyła swoje rozważania, pobierała swoje szczotki, ścierki oraz puszkę z pastą do podłóg i przeszła z tym wszystkim na górę. Po chwili dobiegło stamtąd brzęczenie starego odkurzacza przy akompaniamencie jej śpiewu. Pani Snead wykonywała właśnie piosenkę *Chcę mieć chłopca...* Elfrida stłumiła chichot.

- No proszę, co za wspaniała kobieta! - zauważył Oskar. - Nie tylko sprząta u nas, lecz jeszcze wnosi w ten dom muzykę, która przypomina mi lata młodości!

- Z czym ci się kojarzy ta piosenka? - chciała wiedzieć Elfrida.

- Z pokojami moich uczniów, gdzie śmierdziało przepocnymi tenisówkami, a w uszach wibRowało od muzyki młodzieżowej.

- Nie brzmi to zbyt romantycznie.

- Byłem wtedy samotnym nauczycielem i nie myślałem o romansach... - Przerwał i spojrzął na zegarek. - Przepraszam cię, ale muszę już jechać.

- Będiesz uważał, prawda?

- Przynajmniej będę się starał.

- Ty chyba musisz być świętym!

- Jeśli chcesz, poproszę panią Snead, żeby mi wyczyściła aureolę.

- Oskarze...

- Co tam jeszcze?

- Trzymaj się!

W nocy wiatr zmienił kierunek na wschodni, a nad ranem Oskara obudziło bębnienie deszczu o szyby i wycie nadcho-

dzącej nawałnicy. Jeszcze przez dłuższy czas nie mógł zasnąć, gdyż myślał o Godfreyu Billicliffie. Poznał jego imię, gdyż pomagał siostrze oddziałowej wypełniać niezliczone formularze potrzebne do pozostawienia starego, chorego człowieka w szpitalu.

Podróż odbyła się bez problemów. Szosa była przejezdna, a Billicliffe nadzwyczaj ożywiony i rozmowny. Przy okazji Oskar dowiedział się wielu szczegółów z jego życia - o karierze wojskowej, przebiegu misji w Niemczech, gdzie poznał swoją żonę, a także o tym, że nie doczekał się dzieci... Na szczęście nie oczekiwał od Oskara odpowiedzi na te wynurzenia - wystarczyło, jeśli od czasu do czasu potakująco kiwnął głową lub wydał jakiś aprobowany pomruk.

Dopiero kiedy minęli Black Isle i na horyzoncie ukazało się Inverness - major nagle umilkł. Oskar zastanawiał się, czy nie zasnął, ale stwierdził, że nie - może najwyżej rozmyślał. Po chwili znów zainicjował rozmowę, ale tym razem nie o przeszłości, tylko terażniejszości i przyszłości.

- Tak sobie myślałem, Oskarze...

- O czym?

- O tym, co się stanie, kiedy wyciągnę kopyta.

- A niby dlaczego miałbyś je wyciągnąć? - Oskar silił się na udawaną wesołość.

- Kto może wiedzieć... Nie jestem już taki młody... Trzeba być przygotowanym na wszystko... W wojsku nauczyłem się, że trzeba przygotowywać się na najgorsze, a liczyć na najlepsze! - Znów zrobił dłuższą przerwę. - Tak sobie myślałem... to, oczywiście, zależy od ciebie... czy zgodziłbyś się zostać... wykonawcą mojej ostatniej woli? Chciałbym... przekazać to w odpowiednie ręce...

- Nie jestem pewien, czy moje ręce są odpowiednie.

- Głupstwa pleciesz, przecież jesteś siostrzeńcem Hektora McLellana... Jego syn to nic dobrego, ale ty jesteś zupełnie inny... Wszyscy moi kumple dawno wykitowali, myślałem, że chociaż ty...

Te niedokończone zdania doprowadzały Oskara do szału. Próbując za wszelką cenę zachować spokój, odpowiedział:

- Jeśli to ma poprawić ci humor, chętnie zostanę twoim pełnomocnikiem, ale...

- No to umowa stoi! - nie dał mu dokończyć major. - Zawiadomię mojego adwokata. To równy gość, załatwiał wszystkie formalności związane z wykupem mego domu od zarządu majątku. A jaki z niego wędkarz...

- Chyba ma jakieś nazwisko?

Major Billicliffe parsknął, co miało zapewne oznaczać wybuch śmiechu.

- Pewnie, że ma. Murdo McKenzie. Zespół adwokacki McKenzie i Stout, South Street, Inverness.

- Aha, Murdo McKenzie - powtórzył Oskar.

- Powiem mu, że powierzyłem ci wykonawstwo mojego testamentu... Muszę do niego zadzwonić. - Przemyślał tę sprawę i dokończył: - Może nawet jeszcze ze szpitala? Chyba mają tu telefony?

- Na pewno mają. Jeśli poprosisz, pielęgniarka przyniesie ci aparat do łóżka.

- To zupełnie inaczej niż kiedyś - odparł major, choć jego doświadczenia ograniczały się do szpitala wojskowego w Scutari. - Przedtem lekarze wojskowi robili obchody, a pielęgniarki podawały baseny... Siostra przełożona jak żandarm w spódnicy, a telefonów żadnych nie było...

Pograżony we wspomnieniach, zamilkł i nie odezwał się więcej, dopóki nie dotarli do celu podróży - szpitala Royal Western. Oskar trafił tam bez trudności, a po przybyciu na miejsce nie musiał się już o nic troszczyć, tylko dotrzymać towarzystwa majorowi. Sanitariusz posadził go na wózku, a Oskar szedł obok, niosąc podręczną walizeczkę chorego - pękata i ciężka. Trzeba było wjechać windą kilka pięter w górę, a potem pokonać długie metry korytarza wyłożonego śliskim linoleum, by dotrzeć na oddział czternasty. Czekala już tu siostra oddziałowa z przygotowanym notatnikiem i druczkami formularzy do wypełnienia. Wszystko szło gładko, dopóki nie doszło do rubryki: „Najbliższa rodzina”.

- Czy mógłby pan podać nazwiska swoich najbliższych krewnych?

Major wydawał się zmieszany tym pytaniem.

- Słucham?

- No, wie pan, najbliżsi krewni, na przykład żona, dzieci czy rodzeństwo...

- Nie mam nikogo takiego - potrząsnął głową.

- Jak to, musi pan mieć kogoś bliskiego...

Oskar nie mógł dłużej znieść tej wymiany zdań.

- Proszę zapisać mnie - nie wytrzymał. - Ja jestem najbliższym krewnym majora Billicliffe'a. Nazywam się Oskar Blundell, Zarząd Majątku w Creagan.

Siostra zapisała te dane.

- Ma pan telefon? - spytała jeszcze. Oskar podał jej numer.

Nareszcie formalności zostały załatwione i Oskar mógł wracać do domu. Pożegnał się z majorem.

- Ale przyjedziesz znowu? - upewniał się chory.

- Oczywiście, jeśli nas tylko nie zasypie.

- Dziękuję ci, że mnie tu przywiozłeś.

- Nie ma za co.

Oskar zostawił wtedy starszego pana samego z jego walizką, wmawiając sobie, że nie opuszcza go w potrzebie i nie ma powodu odczuwać wyrzutów sumienia.

Nie mógł przecież zrobić już dla niego nic więcej. Może innym razem, kiedy ze szpitala dotrą jakieś wieści o stanie zdrowia Goz z Elfridą. Ona lepiej niż ktokolwiek inny potrafi go podnieść na duchu, a jeszcze przywiezie mu winogron lub czegoś podobnego...

Następny podmuch wiatru zatrzęsł całym domem. Oskar wtulił twarz w poduszkę i zamknął oczy, lecz wtedy przyszła mu na myśl Francesca. Nieraz pojawiała się w jego wyobraźni podczas bezsennych nocy, więc z lękiem oczekiwał kolejnego nawrotu bolesnych wspomnień. Bezdźwięcznie, samymi wargami wymawiał jej imię. Wsunął dłoń pod poduszkę w poszukiwaniu chusteczki, bo przewidywał, że lada chwila zbierze mu się na płacz. Jednak zamiast tego poczuł się dziwnie uspokojony, jakby nagle zrobiło mu się lżej na sercu. Oczami duszy zobaczył znów Francescę, jak biegnie ku niemu po zalanej słońcem łące, ale ta wizja nie sprawiła mu bólu, lecz wyjątkową

przyjemność. Zapragnął zatrzymać na zawsze ten widok przed oczami i w tym momencie zasnął.

Następny ranek wróżył raczej kiepską pogodę. Strugi deszczu rozmyły pozostałości mrozu, a na ulicach zaroiło się od podskakujących, mokrych parasolek. Około południa ciężarówka wożąca żwir wróciła z trasy z wycieraczkami pracującymi pełną parą i śniegiem oblepiającym błotniki.

Elfrida już wcześniej kupiła sobie notatnik, więc po lunchu, złożonym z zupy i sera Stilton, przystąpiła do sporządzania listy zakupów.

- Muszę pomyśleć o wszystkim, bo mamy już bardzo mało czasu - z przejęciem tłumaczyła Oskarowi. - Nie możemy o niczym zapomnieć, bo one przyjeżdżają w ten piątek. Jak myślisz, czy Lucy będzie potrzebowała toaletki?

Oskar rozwiązywał właśnie krzyżówkę w „Timesie”, ale przez grzeczność odsunął ją na bok i zdjął okulary, niby dla wspomagania procesu myślowego. Nie zdobył się jednak na inteligentniejszą odpowiedź niż:

- Nie mam pojęcia.
- No, ale na pewno będzie potrzebowała łóżka...

Oskar, acz z wysiłkiem, próbował nadażyć za jej tokiem myśli.

- To pewnie i szafy?
- Żadna szafa nie zmieści się pod tym belkowanym sufitem. Muszą wystarczyć haki w ścianach, na których się powiesi wieszaki.

Elfrida zapisała w notatniku: „Haki i wieszaki”. Oskar przyglądał się jej z rozbawieniem, bo nigdy jeszcze nie widział Elfridy tak zorganizowanej i skupionej na jednym zadaniu. W pewnym sensie przypominała mu Głorię - jej najmocniejszą stroną było właśnie planowanie i realizacja planów.

- A kiedy ma przyjść pani Kennedy?
- Obiecała, że będzie tutaj o wpół do trzeciej. Mamy jechać twoim samochodem. Mam nadzieję, że go nie potrzebujesz.
- Nie.
- Gdyby rozpierała cię energia, możesz zabrać Horacego na spacer.

- Zobaczymy - odpowiedział wymijająco, ponownie zabierając się do swojej krzyżówki.

Kiedy przysłała Tabitha, Elfrida akurat wyszła do ogrodu, aby pozdejmować ze sznura mokrą bieliznę, której właściwie w ogóle nie powinna była rozwieszać. Dlatego Oskar otworzył drzwi, kiedy zadzwonił dzwonek.

Za drzwiami zobaczył kobietę w płaszczu przeciwdeszczowym i kaloszach, lecz bez nakrycia głowy. Wiatr rozwiewał jej czarne włosy, więc podniosła rękę, aby odgarnąć z czoła kosmyk, i przywitała się:

- Dzień dobry, jestem Tabitha.

- Miło mi, jestem Oskar Blundell. Proszę wejść, Elfrida zaraz przyjdzie, tylko zdejmie pranie ze sznura.

- Tak, słyszałam już o panu. - Uścisnęli sobie ręce, przy czym Oskar zauważył, że Tabitha ma piękny uśmiech. - Chyba nie przysłałam za wcześnie?

- Ależ skąd! Chodźmy na górę, tam będzie nam wygodniej.

Tabitha poszła za nim na górę, rozprawiając z takim ożywieniem, jakby go znała od dawna:

- Jakie to przykre, po takiej pięknej zimowej pogodzie od razu chlapa! W całym mieście rury popękały i hydraulicy mają masę roboty!

W salonie na kominku płonął ogień, a hiacynty pieczolowicie wyhodowane przez Artura Sneada rozsiewały dookoła słodką woń. Tabitha od razu zwróciła na nie uwagę.

- One pachną wiosną, czy to nie cudowne? Prosiłam Elfridę, żeby zabrała nas waszym wozem, ale Peter dziś został w domu, więc pozwolił mi wziąć nasz. Zgodziłby się na wszystko, byleby nie musiał jeździć ze mną po zakupy. On nie cierpi zakupów!

- Doskonale go rozumiem, ale dobrze, że pani chce pomóc Elfridzie.

- Och, ja wprost uwielbiam pomagać innym ludziom w wydawaniu ich pieniędzy! Obawiam się, że nieprędko wrócimy, bo targ jest otwarty do piątej, a potem pewnie zechcemy napić się herbaty.

Na dole dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi wejściowych, a potem kroki Elfridy na schodach. Po chwili pojawiła się

w drzwiach, ubrana w palto z koca i czapkę w kształcie pokrowca na czajnik.

- Och, Tabitho, przepraszam, że dałam ci czekać! W takie dni jak ten przydałaby mi się suszarka do bielizny, ale tylko w takie dni. Jeszcze chwileczkę, niech wezmę listę zakupów, torebkę i kluczyki od samochodu...

- Tego akurat nie potrzebujesz, bo pojedziemy moim.

Odjechały nareszcie, obie w nastroju radosnego podniecenia jak młode dziewczęta. Oskar przyglądał się z okna, jak sadowiły się w staroświeckim, wielomiejscowym samochodzie, zatrzaśkiwały drzwi i zapinały pasy, aż wreszcie ruszyły i znikły z pola widzenia.

Oskar został sam, tylko z psem śpiącym przy kominku. Zdawał sobie sprawę, że usiłuje odwlec to, co nieuniknione, ale spróbował skończyć krzyżówkę. Szybko jednak się zniechęcił i odłożył gazetę. Wiedział dobrze, co powinien zrobić. Przeszedł na drugą stronę pokoju, gdzie stał masywny dębowy stół, którego używał jako biurka. Odsunął na bok leżące tam papiery i przystąpił do napisania dwóch długich odkładanych listów.

Jeden, skierowany do Hektora McLellana, zawierał podziękowania za jego hojność i w założeniu miał być utrzymany w optymistycznym nastroju. Drugi był adresowany do pani Muswell, która pozostała przy Oskarze w najcięższych chwilach, a którą on tak niespodziewanie opuścił. Do dziś nie zapomniał, jak stała zapłakana w drzwiach „Dworu”, odprowadzając wzrokiem jego i Elfridę. Miał z tego powodu wyrzuty sumienia, więc spieszył zawiadomić ją, że powodzi mu się dobrze, podziękować jej za wierność i wyrazić nadzieję, że znalazła już sobie odpowiednią pracę. Dodał jeszcze najlepsze życzenia i podpisał się pod spodem.

Powkladał listy do kopert, zaadresował je, nakleił znaczki i dopiero wtedy przypomniał sobie słowa Tabithy: „Peter dziś został w domu”. Oznaczało to, że teraz jest najlepszy moment, aby zrobić to, co zamierzał. Zszedł na półpiętro, gdzie na podście stał aparat telefoniczny. Odszukał w książce telefonicznej numer, zapamiętał go i zaraz wybrał. Najwidoczniej na drugim końcu linii aparat stał na biurku, w zasięgu ręki użytkownika,

bo rozległ się tylko jeden sygnał. W słuchawce odezwał się znajomy głos o ciepłym brzmieniu:

- Tu plebania w Creagan. Peter Kennedy z tej strony.

O wpół do szóstej Oskar ubrał się ciepło, nałożył kapelusz i skierował się wydeptaną ścieżką pod górę. Elfrida i Tabitha jeszcze nie wróciły, z myślą o nich zostawił więc zapalone światło w hallu i notatkę na kuchennym stole: *Wyszedłem na chwilę, niedługo wrócę*. Horacego zostawił w domu, wyprowadził go już bowiem na obowiązkowy spacer i podał mu posiłek złożony z suchej karmy i baranich serc. Horacy uwielbiał baranie serca, więc najadł się po uszy i ułożył się do snu w koszyku.

Ścieżka wiała się pomiędzy drzewami i ogrodowymi murami. Zrobiło się już całkiem ciemno, ale wiatr ustał, za to mżył gęsty deszcz. Oskar wspiął się na samą górę i przystanął dla złapania tchu. U jego stóp rozciągało się miasteczko - widać było inne ogrody, dachy domów i oświetlone latarniami ulice. Tarcza zegara na wieży kościelnej świeciła jak księżyc w pełni. Chwilę później, kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, Oskar mógł dojrzeć także linię brzegową i światło latarni morskiej, z tej odległości nie większe od główki szpilki. Nie było natomiast widać ani jednej gwiazdy.

Przez bramę wydostał się na szeroką ulicę, zabudowaną po prawej stronie masywnymi, wiktoriańskimi domami w dużych ogrodach. Pierwszym z nich był budynek plebanii. Oskar zapamiętał go z dzieciństwa, gdyż babcia często zabierała go tu na herbatkę i dla zabawy z dziećmi ówczesnego pastora. Przypominał sobie twarze mieszkańców tego domu, ale nie ich nazwiska.

Nad pomalowanymi na niebiesko drzwiami wejściowymi paliło się światło. Oskar otworzył bramę i zamknął ją za sobą, a pod drzwiami zaprowadziła go ścieżka wysypana kamyczkami morskimi. Nacisnął dzwonek, ale przy tym zadrżał, choć zaraz wmówił sobie, że to z zimna.

Usłyszał, jak wewnątrz otworzyły się inne drzwi. Z wnętrza domu buchnęło jaskrawe światło i w progu stanął życzliwie uśmiechnięty Peter Kennedy. Nie wyglądał zupełnie na osobę

duchowną, gdyż miał na sobie gruby sweter z zapięciem polo i wytarte sztruksowe spodnie.

- Oskar? Wchodź, wchodź! - zaprosił go kordialnie, bez wstępnych formalności. - Przyjechałeś samochodem?

- Nie, przyszedłem piechotą.

- I dobrze zrobiłeś.

Oskar wszedł do hallu wyłożonego tureckim dywanem, z boazerią z czarnego dębu. Zauważył, że stosik biuletynów parafialnych leży na antycznym kufrze, a na słupek poręczy schodów nasadzono jeździecki toczek. Na najniższym stopniu tych smy schodów pozostawiono zarówno parę butów futbolowych, jak i stertę upranej i uprasowanej bielizny. Wszystko to najwidoczniej czekało, aż jakaś miłosierna osoba zlituje się i zanieśie je na górę.

- Proszę, rozbierz się. Dzieci nie ma w domu, więc nikt nie będzie nam przeszkadzał. Napaliłem w kominku w gabinecie, bo przez całe popołudnie pracowałem dziś nad zaległym artykułem do „Sutherland Timesa”

Oskar zdjął rękawiczki, kurtkę i kapelusz, które Peter Kennedy zaraz odebrał od niego i położył na antycznym dębowym krześle, które mogło kiedyś służyć jako tron dla biskupa.

- No, chodź już...

Zaprowadził swego gościa do gabinetu, który - sądząc po dużych, łukowatych oknach - u poprzednich właścicieli mógł pełnić funkcję jadalni. Okna te były zasłonięte grubymi portierami, chroniącymi przed wieczornym chłodem, a nastrojowe oświetlenie dawały trzy lampy - jedna na zagraconym biurku, a dwie po obu stronach kominka. Stały tam także dwa obite skórą fotele. Ściany zastawione półkami na książki stwarzały wrażenie przytulności, przeciwnie niż przestronne wnętrza Zarządu Majątku. Tu panował półmrok, ciepło i bezpieczeństwo, prawie jak w łonie matki, a jeszcze do tego czymś bardzo przyjemnie pachniało. Oskar dostrzegł źródło tego zapachu - wydzielały go palące się brykiety torfu, nagromadzone na zapas w koszyku przy kominku.

- Palicie torfem? - zauważył. - Rzeczywiście, zupełnie zapomniałem, że tu jest torf. Teraz już wiem, co tak pachnie, kie-

dy wieczorem wychodzą z psem. Muszę sam spróbować tym napalić.

- Mam szczęście, że jeden z moich parafian ma własne wyrobisko torfu i dostarcza mi go. Rozgość się, proszę. Może napijesz się kawy?

Oskar nie odpowiedział od razu, więc Peter spojrzał na zegarek.

- Którą tam mAmy? Za piętnaście szósta? No to możemy trochę przyspieszyć porę wieczornego drinka. Mam tu butelkę laphroaig, którą trzymam tylko na specjalne okazje.

Tej pokusie rzeczywiście trudno było się oprzeć, gdyż pod nazwą Laphroaig kryła się oryginalna, słodowa whisky.

- Owszem, chętnie się napiję - przyznał Oskar. - Czuję, że tego mi właśnie trzeba.

- Tak też przypuszczałem. - Peter wskazał na biurko, na którym, oprócz komputera, sterty książek, porozrzucanych papierów i aparatu telefonicznego, stała tacka z butelką, dwiema szklankami i dzbanuszkim wody. O kawie nie było więcej mowy. - Naszych pań jeszcze nie ma?

- Nie - odpowiedział Oskar, siadając na jednym z foteli, wyjątkowo miękkim i wygodnym. Nad nim, na sAmym środku parapetu kominka, tykał zegar z rodzaju takich, jakie zwykle otrzymuje w prezencie pożegnalnym zasłużony nauczyciel czy katecheta w momencie przejścia na emeryturę. - Pewnie po udanych zakupach zechcą jeszcze zaszaleć i wstąpić na małe co nieco.

- Pewien jestem, że zakupy będą udane.

Peter podał OskaraRowi nalaną szklankę i sam usiadł w drugim fotelu.

- Zdrówko! - podniósł szklankę do góry.

- Na zdRowie!

Rzeczywiście ta whisky, kłaRowna i szlachetna w smaku, wywarła zbawienne działanie. Spływała do gardła, a rozgrzewała cały organizm.

- W Buckley panuje teraz niezbyt miła atmosfera - nadmienił Peter. - Upadły tamtejsze zakłady tekstylne i wielu robotników zostało bez pracy. Wykwalifikowanym przedzarczom czy tkaczom trudno znaleźć inne zatrudnienie.

- Chyba nie mówisz o zakładach McTaggartów? - Oskar nie posiadał się ze zdziwienia.

- Oczywiście, że chodzi o McTaggartów.

- Zbankrutowali? Prędzej bym śmierci się spodziewał! Cóż tam mogło się stać?

Peter opowiedział mu całą historię.

- ...właściciel umarł, a jego synowie nie byli zainteresowani w przejęciu zakładów. Rada pracownicza zdecydowała, że podejmie się samodzielnego prowadzenia produkcji, i nawet otrzymała na ten cel dotację. Interes zaczynał już się rozkręcać, kiedy nastał długi okres deszczów, rzeka wystąpiła z brzegów i powódź wszystko zniszczyła.

- I nikt już więcej nie próbował tego ratować? - dopytywał się Oskar, zdruzgotany tą wiadomością.

- Chodziły słuchy, jakoby miał to przejąć kombinat tekstylny z Londynu, firma Sturrock i Swinfield. Pewnie jednak skończyło się na gadaniu, bo jak dotąd nic się nie dzieje, a ludzie w Buckley nie wierzą już, że cokolwiek zacznie się dziać.

- To rzeczywiście straszne - zmarszczył czoło Oskar. - Nie rozumiem, jak mogłem o tym nie wiedzieć. Chociaż... ostatnio nie czytałem gazet zbyt dokładnie, a już na pewno nie wiadomości polityczne i gospodarcze. Poza tym kupuję głównie „Timesa” i „Telegraph”, a nie prasę lokalną. No i nie rozmawiam zbyt wiele z ludźmi poza panią Snead. Między innymi przyszedłem tu po to, aby ciebie przeprosić, że się dopiero teraz odezwałem.

- Ależ nie masz powodu czuć się winnym! To raczej ja wyskoczyłem z tym za wcześnie, zamiast poczekać na sposobniejszy moment. Chyba się na mnie nie obraziłeś?

- Przeciwnie, tylko się wygłupiłem. Nie wiem, co mnie naszło.

- Nie myśl więcej o tym, nic takiego się nie stało. Najwyżej kiedy indziej wstąpimy do klubu na herbatę albo drinka. A może chciałbyś zapisać się do klubu? Wtedy moglibyśmy czasem razem pograć, jeśli będzie ładna pogoda. Grywasz w ogóle w golfa?

- Kiedy byłem małym chłopcem, grałem trochę z babcią, ale nie szło mi to zbyt dobrze.

- Mimo to chętnie zagrałbym z tobą partyjkę.
- Nie mam kijów.
- To nic, zawsze można je pożyczyć. Mamy tu tak wspaniały tor, że grzechem byłoby nie skorzystać z okazji. Podobno twoja babcia świetnie grała w golfa. Słyszałem, że przez dwa lata pod rząd utrzymywała tytuł mistrzowski pośród pań. Szkoda, że nie zdążyłem już jej poznać, ale umarła, zanim się tu wprowadziliśmy. Musiała chyba być wyjątkową kobietą!
- Rzeczywiście była.
- Podobno interesowała się także muzyką?
- Owszem, i ogrodnictwem! Miała bardzo szerokie horyzonty pod każdym względem. - Oskar wypił jeszcze łyk znakomitej whisky Laphroaig, po czym odstawił szklanke, w której odbiło się nastrojowe światło lampy. - Godfrey Billcliffe też próbował wciągnąć mnie do tego klubu. Tyle że wystąpił z tym w nieodpowiednim momencie, bo byliśmy z Elfridą zmęczeni po długiej podróży i marzyliśmy tylko o tym, żeby zabrać klucz od domu i uciekać. Przypuszczam, że zachowaliśmy się wtedy dość odstręczające
- Wiem, że on czasami potrafi być męczący, ale wiem też, że odwiozłeś go wczoraj do szpitala własnym samochodem.
- Skąd się o tym dowiedziałeś?
- W takiej małej mieścinie nic się nie ukryje! - uśmiechnął się Peter. - To nie znaczy, że usłyszałem jakąś plotkę, ale doktor Sinclair zadzwonił do mnie, żeby mnie poinformować, jak sprawy się mają. Muszę ci powiedzieć, że postąpiłeś bardzo szlachetnie.
- Wiedziałeś, że on był chory?
- Chyba nikt o tym nie wiedział. Wiadomo było tylko, że od śmierci żony zaniedbywał się coraz bardziej. Z pewnością czuł się samotnie, ale był zbyt dumny, aby się do tego przyznać, a nie było chętnych, aby zasugerować mu, że powinien sprzedać dom i przenieść się do zakładu opiekuńczego.
- Moi pasierbowie też próbowali wypchnąć mnie do takiego zakładu, bo odziedziczyli dom po matce i chcieli mnie się pozbyć, aby go sprzedać. Tylko że dla mnie oznaczałoby to początek końca.

- A jakim cudem domyśliłeś się, że z majorem jest coś nie tak?

- Wybrałem się akurat w odwiedziny do Rose Miller. W drodze powrotnej przejeżdżałem obok jego domu i usłyszałem, że jego pies wyje wniebogłosy. Dla spokoju ducha wdepnąłem tam, żeby sprawdzić, co się dzieje, tym bardziej że oboje z Elfridą czuliśmy się winni wobec niego. Zastałem go w łóżku i w fatalnym stanie, bo przerażała go perspektywa transportu karetką lub helikopterem bez żadnej bliskiej osoby przy boku. Mogłem więc zrobić przynajmniej to, że zaofiarowałem się z oc

- Wybieram się tam w piątek, więc mogę wpaść do szpitala i zajrzeć do niego.

- Podałem się za jego najbliższego krewniaka, więc pewnie, gdyby się coś działo, daliby mi znać.

- W razie czego daj znać mnie.

- Oczywiście.

- A teraz opowiedz mi, co porabia twój wujek Hektor.

- No cóż, nie robi się młodszy. Mieszka w Londynie, ale po pogrzebie Glorii i Franceski wpadł do mnie. Na smutnym pogrzebie nie był, bo chorował na gripę i lekarz mu zabronił, bardzo słusznie zresztą. To właśnie Hektor namówił mnie, żebym wyjechał z Hampshire i przeniósł się tutaj.

- Wiem o tym, bo napisał do mnie długi list. Było mi bardzo przykro i chciałem od razu biec, aby cię spytać, co mógłbym dla ciebie zrobić. Jednak instynkt podpowiedział mi, że przez pewien czas będziesz wolał być sam. Mam nadzieję, że nie odebrałeś tego jako braku zainteresowania z mojej strony.

- Na pewno niczego takiego nie myślałem.

- Ale, wiesz, czasem warto porozmawiać na te tematy z kimś obcym, niezaangażowanym w sprawę.

- To tak, jakby zwierzyć się nieznajomemu z pociągu, którego nie spotkamy już nigdy w życiu?

- No, nie całkiem! - roześmiał się Peter. - Mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze nieraz.

- Nie bardzo wiem, od czego zacząć. Musiałbym się cofnąć bardzo daleko wstecz.

- Takie już jest życie.

- Prawdę mówiąc, nie przypuszczałem, że kiedykolwiek się ożenię... - zaczął Oskar. - Przyzwyczaiłem się do myśli, że zostanę starym kawalerem. Żyłem tylko pracą, nauczaniem muzyki i ćwiczeniami chóru. Muzyka była moją pasją a w szkole Glastonbury, gdzie uczyłem, czułem się świetnie, przynajmniej dopóki pracował tam stary dyrektor, mój dobry przyjaciel. Kiedy został zmuszony do przejścia na emeryturę - postanowiłem, że i na mnie już czas, abym odszedł. Akurat zwolniła się posada organisty i dyrygenta chóru przy kościele Świętego Bidulfa. Nie zastanawiałem się zbyt długo, gdyż muzyka w tym kościele zawsze utrzymywała się na wysokim poziomie, a chór egzystował dzięki fundacji założonej przez wdzięcznego parafianina. ZaofeRowano mi też komfortowe mieszkanie w szeregowych domkach zaledwie o pięć minut drogi od kościoła, a parafialne kółko pań dbało, abym zawsze miał dobrą gospodynię...

To były najlepsze lata w moim życiu, można powiedzieć: szczytowy okres mojej kariery! Miałem w chórze dwóch zawodowych śpiewaków, więc mogliśmy pokusić się o ambitniejszy repertuar i dawać występy przed publicznością. Wykonywaliśmy takie utwory, jak *Sahete flores martyrum* Haydna, Psalm dwudziesty trzeci z muzyką Schuberta czy *Requiem* Faurego...

BellAmych poznałem wkrótce po podjęciu pracy u Świętego Bidulfa. Utrzymywali na wysokim poziomie dom w Elm Park Gardens i zawsze gościnnie mnie przyjmowali. Kiedy George BellAmy zachoRował - odwiedzałem go w domu i grałem z nim w trik-traka, żeby się rozerwał. Kiedy umarł - przygotowałem oprawę muzyczną jego uroczystego pogrzebu...

Po pogrzebie wydawało mi się, że Gloria nie zechce mnie więcej przyjmować, tymczasem coraz to zapraszała mnie na różne drobne imprezy towarzyskie - to na drinka, to na lunch, kolacyjkę, do kina lub na spacer. Nie traktowałem tego zbyt poważnie, ale dobrze się czułem w jej towarzystwie. Jednak któregoś dnia oświadczyła mi całkiem serio, że dobrze by było, gdybyśmy się pobrali. Ona bowiem nie wyobrażała sobie życia bez mężczyzny, a i mnie na stare lata przydałaby się kobieca opieka... Zabrzmiało to cokolwiek cynicznie, ale w gruncie rzeczy darzyliśmy się nawzajem sympatią, a wyrosliśmy już

z młodzieńczych porywów miłosnych, czyli że nadawaliśmy się w sam raz do małżeństwa z rozsądku...

Gloria okazała się wspaniałą żoną, łagodną, wyrozumiałą i opiekuńczą. Nikt od czasów mojego dzieciństwa nie stworzył mi tak luksusowych warunków życia. Miała wprawdzie dwóch synów z pierwszego małżeństwa, ale Giles i Crawford byli już dorośli i założyli własne rodziny. Gloria była kobietą stosunkowo młodą i pełną energii, ale kiedy oświadczyła mi, że jest w ciąży - nie chciałem wierzyć! Nigdy bowiem nie widziałem się w roli ojca. Narodziny Franceski wydały mi się cudem i takim cudem pozostała ona dla mnie przez całe swoje życie...

Mała rosła, biegała po domu i szczebiotała, jak wszystkie dzieci, a ja wciąż nie mogłem uwierzyć, że ona jest naprawdę moja i że to ja spłodziłem taką uroczą istotkę ludzką... Potem Gloria odziedziczyła dom w Dibton, więc przeprowadziliśmy się z Londynu na prowincję. Trochę brakowało mi kościoła Świętego Bidulfa, ale nie rozstałem się z muzyką. Udzielałem lekcji gry na fortepianie, a od czasu do czasu grywałem na organach do porannej mszy w miejscowym kościółku...

Tu Oskar przerwał, aby pociągnąć następny łyk laphroaig. Tymczasem rozżarzona bryłka torfu obsunęła się z sykiem w płomień, a zegar rytmicznie tykał.

Peter zachęcił go do dalszych zwierzeń:

- Od dawna znasz Elfridę?

- Nie, spotkaliśmy się po raz pierwszy, kiedy wprowadziła się do naszej wioski. Gloria od razu się z nią zaprzyjaźniła i otoczyła ją opieką, tym bardziej że była wesoła, pełna życia i umiała każdego rozbawić. Francesca wiecznie przesiadywała u niej, bo dobrze się czuła w jej towarzystwie. Kiedy wydarzył się ten okropny wypadek, Elfrida przebywała akurat w Kornwalii, z wizytą u swojego kuzyna. Wróciła zaraz po pogrzebie, nie wiedząc, co się stało. Kiedy Hektor zaproponował mi powrót do Creagan, początkowo nie chciałem się na to zgodzić, bo bałem się trudów samotnej podróży i adaptacji na nowym miejscu. To, że tu jestem, zawdzięczam szlachetności Elfridy, która zgodziła się mi towarzyszyć. Jest przy mnie w najtrudniejszych chwilach i potrafi przywrócić mi uśmiech. Na samym początku naszej znajomości spytała mnie, czy jestem wierzący.

Odpowiedziałem jej wtedy, że trudno byłoby nie wierzyć, kiedy przez całe życie miało się do czynienia z liturgią i obrzędami kościoła anglikańskiego. No i że trzeba mieć komu dziękować za wszystko dobre, co nas spotkało... Rzeczywiście miałem za co dziękować Bogu! Małżeństwo z rozsądku okazało się udane, a jeszcze do tego miałem przecież Francescę. Musiałem jednak liczyć się z silnym charakterem Glorii, zwłaszcza że cały majątek należał do niej. Była osobą szalenie towarzyską, co wiązało się z tym, że nieraz przekraczała miarę w picciu. Nie, żeby była alkoholiczką - broń Boże - ale będąc w towarzystwie, nie potrafiła odmówić kolejnego kieliszka. Potem dała się na mnie, że w drodze powrotnej siadałem za kierownicą, choć to był jej samochód... Czułem się wtedy nieojajny wobec niej, bo znałem jej słabość...

Tamtego dnia Gloria oświadczyła, że zawiezie Francescę na dziecięcą zabawę połączoną z paleniem kukły Guy Fawkesa z okazji święta Piątego Listopada. Właściwie powinienem pojechać tam z nimi, ale akurat na ten dzień umówiłem się z cieślą, który miał grodzić wybieg dla kuca. Wolałem osobiście go dopilnować, a poza tym wmawiałem sobie, że przecież to ma być tylko impreza dla dzieci. Ognisko, fajerwerki, podwieczorek i najpóźniej o siódmej będzie po wszystkim... Wszystko to była prawda, ale na tę imprezę oprócz dzieci przybyli także ich rodzice, a wśród nich znajomi Glorii. Po pokazie fajerwerków podekscytowane dzieci długo jeszcze biegały po ogrodzie, podczas gdy starsi udali się pod dach na drinka... Nie wiem, ile Gloria wypijała, i już się tego nie dowiem, bo nie przeprowadzono sekcji zwłok i chwała Bogu za to. W drodze powrotnej warunki do jazdy były fatalne, lunął gwałtowny deszcz i szosą płynęły potoki wody. Mało tego, na rondzie przeprowadzano właśnie roboty drogowe i migające światła awaryjne mogły ją oślepić. Kierowca ciężarówki zeznał, że wjechała mu z dużą szybkością na jego pas ruchu, tak że nie mógł dosłownie nic

zrobić. W ciągu ułamka sekundy z samochodu Glorii została kupa złomu, a ona sama i Francesca zginęły na miejscu... Wiadomość o tym przyniósł mi policjant, zresztą sympatyczny, młody sierżant. Nie pamiętam, jak zareagowałem, bo nie czułem absolutnie nic, jakbym zdrętwiał. Początkowo miałem w sobie totalną pustkę, ale z czasem jej miejsce zajęło rozgoryczenie. Zdażyłem już się przyzwyczać, że świat współczesny jest pełen gwałtu i przemocy, toteż nawet telewizyjne reportaże o wojnach i klęskach żywiołowych nie robiły na mnie wrażenia. To jednak dotyczyło bezpośrednio mnie, bo ugodziło w moją żonę i dziecko. Jeżeli Bóg miał z tym coś wspólnego, to ja nie chciałem już mieć nic wspólnego z takim Bogiem!... Pastor z Dibton, który przyszedł mnie pocieszyć, próbował mi wmówić, że Bóg zsyła na ludzi tylko takie nieszczęścia, jakie są w stanie znieść. Odpowiedziałem mu wtedy, że wolałbym być słaby jak mucha, ale zachować swoje dziecko. Skończyło się na tym, że pokazałem mu drzwi, ale do dziś nie mogę pozbyć się poczucia winy. Gdybym wtedy nie pozwolił Glorii pRowadzić... Przecież wiedziałem ojej skłonności do alkoholu. To ja powinienem usiąść za kieRownicą! Gdybym wtedy...

- Tylko niepotrzebnie się zadręczasz! - przerwał mu Peter. - Kto dziś może wiedzieć, co by było, gdyby...? A gdybyś ty także zginął, czy nie sprawiłbyś większego bólu tym wszystkim, którzy cię znali i lubili? Natomiast jeśli chodzi o Boga, to z dwojga złego wolę już te odwieczne ludzkie pytania na temat sensu cierpienia niż różne uproszczone lub pseudoreligijne próby ich wyjaśnienia. W moim pojmowaniu niektóre z nich graniczą z bluźnierstwem. Mam nadzieję, że nikt nie próbował pocieszać cię argumentem, że Francesca była bardziej potrzebna Bogu niż tobie. Za nic w świecie nie oddawałbym czci Bogu, który celowo odebrałby mi dziecko. Przecież taki Bóg byłby moralnym potworem!

Oskar osłupiał.

- Ty naprawdę w to wierzysz? - wyjąkał.

- Na tym właśnie polega moja wiara - potwierdził Peter. - Trzydzieści lat w kapłaństwie nauczyło mnie, że gdy umiera młoda osoba - nie mamy prawa orzekać, że „Bóg tak chciał”. Po prostu wiemy zbyt mało, aby wypowiadać się w tej materii.

Osobiście jestem przekonany, że za Francescą Bóg rozpacział najbardziej.

- Chciałbym nauczyć się jakoś z tym żyć i zacząć znowu dawać coś z siebie, nie tylko przyjmować współczucie od innych. Nigdy nie byłem skłonny do użalania się nad sobą.

- Ręczę ci, że wszystko będzie dobrze. W twojej pracy byłeś zawsze tak związany z kościołem, że znasz, równie dobrze jak ja, obietnice zawarte w Piśmie Świętym. Tyle tylko, że kto przeżyje osobistą tragedię, czasem nie jest już w stanie w nie uwierzyć. Dlatego i tobie nie są w tej chwili potrzebne cytaty z Pisma Świętego, ale przyjaciele gotowi życzliwie cię wysłuchać, kiedy będziesz chciał porozmawiać o Francesce.

Oskar pomyślał w tym momencie o Elfridzie, a Peter umilkł, aby dać mu czas na przetrwanie tej idei. Oskar jednak nie skomentował jego słów, więc Peter mówił dalej:

- Życie mimo wszystko jest piękne. Nadal można zachwycać się urokiem świata, dobrego jedzenia, przyjaźni i miłości. Może jeszcze nie teraz, ale kiedyś na pewno będziesz potrzebował kogoś, kto pomoże ci zacząć wszystko od początku. Nie odrzucaj tej pomocy, bo dzięki temu będziesz mógł przeciwstawić bolesnym wspomnieniom także i radosne.

Oskar przypomniał sobie ostatnią noc, kiedy znów przed oczami stanęła mu postać Franceski, ale tym razem, zamiast bólu, przyniosła mu ukojenie. Może to oznaczało, że zaczął już dochodzić do siebie, a obecna rozmowa z pastorem stanowi tylko kontynuację tego procesu?

Na razie wiedział tyle, że poczuł się silniejszy i bardziej pewny siebie. W końcu nie zrobił przecież niczego złego. Na głos powiedział jednak tylko:

- Dziękuję ci!
- Och, nie ma za co. Gdybym tylko mógł dać ci więcej...
- Ależ wcale nie musisz. Dałeś mi wystarczająco dużo.

Lucy

Jak dotąd Lucy leciała samolotem tylko dwa razy w życiu. Raz do Francji, gdzie spędzała letnie wakacje u rodziny koleżanki. Drugi raz poleciała z matką i babcią na Wyspy Normandzkie. Działo się to w okresie Wielkiejnocy i pamiętała, że zatrzymały się w jakimś hotelu, w którym trzeba było przebierać się do kolacji.

Każda taka podróż była dla niej silnym przeżyciem, ale tym razem starała się udawać, że nic sobie z tego nie robi. Dzięki temu mogła sprawiać wrażenie zblazowanej globtroterki. Wrażenie to potęgował jeszcze jej strój, gdyż jej matka, najwidoczniej dla stłumienia poczucia winy, zabrała Lucy do centrum handlowego i wyekwipowała ją od stóp do głów.

Dostała więc nowe, ocieplane džinsy, zamszowe półbuty na grubej słoninie i czerwoną puchową kurtkę. Do tego jeszcze dwa grube swetry (granatowy i biały), czarną minispódniczkę i dwie pary grubych, czarnych rajstop. Całości dopełniał plecak z granatowego brezentu, wykończony czerwonymi wypustkami. Lucy zapakowała do niego książkę, portmonetkę, grzebień i szczotkę do włosów oraz tabliczkę czekolady. Wieczorem umyła włosy, a rano szesała je do tyłu i związała frotką w koński ogon. Wiedziała, że wygląda schludnie i świeżo. A wszystko to dzięki Carrie!

Jej młoda ciotka wyglądała jak zawsze elegancko w wysokich kozaczkach, płaszczu z lodenu i czapie z czarnego lisa. Lucy zauważyła, jak oglądali się za nią inni podróżni, kiedy pchała swój wózek bagażowy. Szkoda tylko, że zdążyła się tymczasem przeziębici. Nie była to żadna poważna niedyspozycja, która wpływałaby negatywnie na jej wygląd. Carrie obawiała się, czy nie złapała grypy, kiedy na jakiś dzień przedtem poczuła się źle - na szczęście okazało się, że to tylko przeziębienie. NafaszeRowała się więc przeróżnymi medykamentami i liczyła, że czyste szkockie powietrze szybko przywróci jej zdrowie.

Lucy poczuła się jednak naprawdę pewnie dopiero wtedy, gdy przeszły przez bramkę wykrywającą metale i znalazły się

w hali odlotów, czekając, aż wywołają ich lot. Przedtem bowiem nie tylko liczyła dni do świąt, ale i zamartwiała się na zapas, przewidując najgorsze scenariusze. Była pewna, że musi wydarzyć się coś takiego, co uniemożliwi jej wyjazd z Carrie. Może ktoś zachoruje albo babcia w ostatniej chwili uzna, że jednak towarzystwo Elfridy Phipps nie jest odpowiednie dla jej wnuczki. Albo Randall Fischer dostanie ataku serca czy nawet umrze i Nicola dostanie telefon z Ameryki, że nie ma już po co tam jechać.

Na szczęście nie nastąpił żaden kataklizm i obie z Carrie znalazły się na pokładzie samolotu, który miał lecieć na północ. Dopiero kiedy maszyna wzbiła się w niebo, Lucy naprawdę uwierzyła, że teraz nic już nie stanie na przeszkodzie jej wyjazdowi do Szkocji. Miała miejsce przy oknie i przycisnęła czoło do szyby, aby nie uronić nic z krajobrazu Anglii widzianej z lotu ptaka. Wyglądało to jak szarozielona kołdra, na którą cień rzucały przesuwające się chmury.

Pogoda zapowiadała się piękna, choć chłodna, za to bez wiatru i deszczu. Ponad chmurami widać było bładoniebieskie niebo, a horyzont skrył się za lekką mgiełką. Lucy wyobrażała sobie, jak to ludzie na dole śledzą smugę dymu pozostawioną przez ich odrzutowiec i zastanawiają się, dokąd ten samolot może lecieć. Trzeba trafu, że akurat przelatywali nad nie zamieszkanym terenem i jedynym śladem jakiegokolwiek aktywności ludzkiej był obłoczek dymu z komina. Lucy rozmyślała więc, czy prawdziwe życie i prawdziwi ludzie są tam, gdzie ona, czy na dole.

Stewardesa roznosiła już śniadanie - na lilipucich tacuszkach podano bułeczki, masło, marmoladę, dla każdego po plasterku bekonu i niedużej kiści zielonych winogron. Do wyboru oferowano kawę lub herbatę, ale obie z Carrie wybrały kawę. Porcyjki też były malutkie jak dla lalek, stosownie do wymiarów tacki. Lucy zdążyła już zgłodnieć, więc zjadła do końca nie tylko swoją porcję, ale i bułeczkę, której nie chciała Carrie. Po posiłku, kiedy stewardesa sprzątnęła tacki, Carrie zagłębiła się w lekturze gazety, a Lucy powróciła do wyglądanania przez okno. Nie chciała przepuścić widoku Szkocji z lotu ptaka.

Spodziewała się, że będzie tam padał deszcz lub śnieg, ale

niebo pozostawało czyste. W miarę jak samolot wytracał wysokość - krajobraz zaczął nabierać konkretnych kształtów. Najpierw ukazały się ośnieżone szczyty gór i coś, co wyglądało jak ciemne futerko, a z bliższej odległości dało się poznać jako plantacja choinek. Następnie coraz bardziej przybliżała się błękitna tafla morska, a na niej łódzie i most przerzucony nad zatoką Firth. Samolot zaczął kołować przed schodzeniem do lądowania i wtedy od strony zachodniej stał się widoczny masyw górski pokryty błyszczącym w słońcu śniegiem. Lucy próbowała sobie wmówić, że to dobry znak.

Carrie złożyła gazetę i schowała ją. Wymieniły z Lucy uśmiechy.

- Wszystko w porządku? - spytała Carrie, na co Lucy przytaknęła.

Tymczasem samolot wylądował i koła jego podwozia zadudniły o płytę lotniska. Widać stąd już było budynek dworca lotniczego, który przypominał klub golfowy udekorowany flagami powiewającymi na wietrze.

- Ktoś ma tu na nas czekać - zapewniła Carrie.
- Kto taki?
- Taksówkarz z Creagan. Nazywa się Alec Dobbs.
- Tylko jak my go poznamy?
- Ma trzymać tabliczkę z wypisanym nazwiskiem Sutton.

Rzeczywiście, ledwie odebrały swoje bagaże, dostrzegły w hali przylotów mocno zbudowanego mężczyznę w watowanej kurtce i spłowiełej czapce z tweedu, nasuniętej nisko na czoło. Niezależnie od niego znajdowało się tam wiele innych oryginalnych typów, na przykład tykowany starszy pan w czapce z dwoma daszkami czy siwowłosa dama w spodniach, z policzkami wysmaganymi wiatrem. Szczytem wszystkiego jednak okazał się dżentelmen w prawdziwej, choć wytartej i wystrzępionej, szkockiej spódniczce. Lucy nie mogła oderwać od niego oczu, bo jego obnażone kolana były sine z zimna.

- Dobrze, że już jesteście - przywitał się z nimi Alec. - Jak się wam leciało?

Nie zachowywał się jak profesjonalny taksówkarz, tylko jak stary kumpel wymienił z dziewczynami uściski dłoni, zanim odebrał od nich walizki. Podniósł je z taką łatwością, jakby nic

nie ważyły, i od razu zaczął toRować sobie drogę do wyjścia. Na dworze, mimo iż jasno świeciło słońce, było wyraźnie chłodniej niż w Londynie, a na obrzeżach parkingu utrzymywał się jeszcze stary śnieg. Kiedy Lucy wciągnęła w płuca powietrze przesycone zapachem sosen - jej nozdrza z miejsca oziębiły się tak, że kichnęła. Nigdy w życiu nie była w Szwajcarii, ale wyobrażała sobie, że pewnie tam też musi być takie czyste niebo, śnieg i sosny.

Na parkingu czekał terenowy samochód subaru z napędem na cztery koła.

- Mam drugi, wygodniejszy wóz, rover - tłumaczył taksówkarz, ładując ich rzeczy do bagażnika - ale na Black Isle jeszcze leży śnieg, więc bałem się, że nie przejedziemy.

Carrie usiadła z tyłu, a Lucy obok kierowcy.

- Dużo tam u was śniegu? - spytała go, bo zawsze marzyła o białym Bożym Narodzeniu, ale nigdy dotąd nie miała takiej okazji.

- Trochę, ale wciąż się utrzymuje, a to oznacza, że napada więcej. - Lucy zafascynował jego głos, cichy, lecz wyraźny. Po raz pierwszy w życiu słyszała kogoś mówiącego ze szkockim akcentem.

- A jak długo się jedzie do Creagan?

- Najwyżej godzinę i piętnaście minut.

Lucy spojrzała na zegarek. Pokazywał piętnaście po jedenastej, a zatem powinni dotrzeć na miejsce około wpół do pierwszej, czyli w porze lunchu. Miała nadzieję, że dostanie coś gorącego i pożywnego, bo mimo dwóch zjedzonych bułeczek zdążyła porządnie zgłodnieć.

- Pierwszy raz jesteś w Creagan? - dopytywał taksówkarz.

- Jeszcze nigdy w życiu nie byłam w Szkocji.

- No, to cię tu czeka mnóstwo atrakcji. I będziesz mieszkała w fajnym domu. Zbyt długo już stał pusty, dobrze, że wpRowadzili się do niego porządni ludzie.

Na dźwięk tych słów Carrie przechyliła się w stronę kierowcy.

- Jak się ma Elfrida... to znaczy pani Phipps? - zapytała.

- Myślę, że dobrze, bo widziałem, jak krząta się po domu, robi zakupy, chodzi na spacer z psem i tak dalej. To właśnie

ona mnie zamówiła, żebym po was wyjechał. Jeszcze dziś dzwoniła, żeby sprawdzić, czy nie zapomniałem.

- Pan mieszka stale w Creagan? - chciała wiedzieć Lucy.

- Od urodzenia. Mój ojciec też przemieszkał tu całe życie. Teraz przeszedł na emeryturę, a ja przejąłem po nim interes.

- Taksówkę?

- No, nie zajmuję się tylko taksówkami.

- A czym jeszcze? - Lucy uniosła brwi ze zdziwienia.

- Przeważnie karawanami. - W jego głosie zabrzmiała nieco żartobliwa nuta. - Jestem przedsiębiorcą pogrzebowym.

Lucy już więcej nie zadała żadnego pytania.

Droga wiodła wśród pól i przez mosty, przez tereny wyżynne, na których koła subaru grzęzły w śniegu, i wzdłuż brzegów jezior zalewowych. Przejeżdżali przez wioski z szarymi kamiennymi domkami przy samej ulicy; mijali sklepy i gospody, toporne kościółki otoczone starymi cmentarzami z nagrobkami obrosłymi mchem. Jeszcze jeden most przerzucony nad odnogą morską wcinającą się między wzgórza...

- Jeszcze dziesięć minut i będziemy na miejscu - zaanonsował Alec.

Radosne podniecenie Lucy ustąpiło miejsca pewnemu zderzeniu. Mało tego, że przybywała w obce miejsce, do jakiegoś nieznanego domu, to jeszcze lękiem przejmowała ją perspektywa spotkania z gospodarzami tego domu. Nie obawiała się zbytnio Elfridy, gdyż Carrie uprzedziła ją, że to osoba o młodzieńczym usposobieniu i niewyczerpanym poczuciu humoru. Natomiast przyjaciel Elfridy, Oskar Blundell, onieśmielał ją przede wszystkim dlatego, że dotąd mało miała do czynienia z mężczyznami. Wychowywała się wśród samych kobiet, uczęszczała do szkoły żeńskiej, ojca widywała rzadko, a dziadka - w ogóle nigdy, więc nie umiała nawet rozmawiać na tematy męskie.

Mało tego, Carrie opowiedziała jej, po co Oskar tu przyjechał, dlaczego Elfrida dotrzymywała mu towarzystwa i co się stało z żoną i córką Oskara, Francescą. Obie zginęły w tragicznym wypadku samochodowym. Carrie nie wyolbrzymiała rozmiarów tej tragedii, a na rozpaczliwe pytania Lucy odpowiadała, że był to po prostu nieszczęśliwy wypadek, za który niko-

go nie można winić, ale Oskar wciąż jeszcze potrzebował czasu, aby pogodzić się z losem.

Lucy najbardziej obawiała się, czy Oskar nie znienawidzi jej przez to, że będąc w zbliżonym wieku do Franceski, mogłaby wzbudzać w nim przykre wspomnienia.

Carrie uśmiechnęła się i uściśnęła dziewczynkę.

- Spytałam o to Elfridę, kiedy rozmawiałam z nią przez telefon, a ona przedyskutowała ten problem z Oskarem. Powiedziała jej, że nie ma o czym mówić - musimy przyjechać, a on chętnie będzie nas gościł. No i chyba jeszcze się taki nie narodził, kto by mógł ciebie znienawidzić.

Wszystko to jednak wyglądało na dosyć skomplikowaną sytuację, a Lucy nie miała ochoty borykać się z komplikacjami jeszcze i tutaj. Miała ich wystarczająco dużo w swoim londyńskim mieszkaniu.

Niespodziewanie wszystkim dała się odczuć bliskość morza. Po obu stronach szosy pojawiły się wydmy, na których rosły karłowate sosenki i kępy wrzosu, a światło słoneczne odbite od tafli morskiej w znacznym stopniu rozjaśniło otoczenie. Lucy opuściła okno w samochodzie i poczuła charakterystyczny zapach soli morskiej. Szosa schodziła teraz w dół, niepostrzeżenie przechodząc w główną ulicę małego miasteczka. Zabudowa nie była tam jednak szara i ponura jak w mijanych wioskach, ale wszystkie domy postawiono ze złocistego piaskowca, który zdawał się odbijać mdłe zimowe promienie słońca. Od ulicy oddzielały je otoczone murem ogrody, co stwarzało wrażenie większego dostatku i przestronności.

Carrie przez całą drogę prawie się nie odzywała. Dopiero teraz zabrała głos:

- Nadzwyczajne!

- Wielu turystów tak mówi - uśmiechnął się Alec. - Ale co w tym takiego nadzwyczajnego?

- No, to złotokamienne miasto. I szerokie ulice, i ogrody...

- Mało kto o tym wie, ale mamy podobny klimat do Eastbourne, bo koło nas przepływa Golfstrom. W górach może lać jak z cebra, a my na plaży opalamy się lub gramy w golfa.

- Macie własny mikroklimat? - uściśliła Lucy.

- Otóż to właśnie.

W tym miejscu ulica rozszerzała się, tworząc plac, na którym mieścił się kościół i cmentarz otoczony kamiennym murem. Na wieży kościelnej kręcił się złocony kurek, a wokół niego kołowały mewy i kawki. Pisk mew skojarzył się Lucy od razu z wakacjami nad morzem. Wieżowy zegar wskazywał dwadzieścia pięć po dwunastej.

- Wyrobiliśmy się o czasie - zauważył Alec. Powoli objechał dookoła dziedziniec kościelny i zahamował przy krawężniku.

- To tu? - zapytała Lucy. Alec wyłączył silnik.

- Tak, to tu.

Wszyscy wysiedli z wozu, ale jeszcze zanim Alec zdążył otworzyć bramę - rozległo się donośne szczekanie. Po chwili w drzwiach od frontu ukazał się pies, a razem z nim Elfrida Phipps.

- Carrie, kochanie! - wykrzyknęła, szeroko otwierając ramiona. Wylewnie uściśnęła kuzynkę. - Jesteś nareszcie! Tak cię wyglądałam, już nie mogłam się doczekać!

Lucy przyglądała się tej scenie z boku i zauważyła, że Elfrida jest niewiarygodnie wysoka i szczupła, na głowie ma szopę gęstych włosów w odcieniu pomarańczowej marmolady, a na sobie spodnie z materiału w jaskrawą kratę i obszerny, szary sweter. Miała przy tym umalowane na niebiesko powieki i uszmińkowane usta. Nietrudno było domyślić się, czemu taka osoba nie mogła zyskać aprobaty babci. Kiedy ucałowała Carrie w policzek, zostawiła na nim ślady szminki.

- Wspaniale wyglądasz, Elfrido, widać, że Szkocja ci służy! - zachwycała się Carrie.

- Żebyś wiedziała, że tu jest bosko, chociaż zimno jak sto diabłów.

- Poznaj Lucy.

- Powiedz, Lucy, czy to nie zabawne? - ze śmiechem zwróciła się wprost do niej. - Jesteśmy krewnymi, a do tej pory nie widziałyśmy się nawzajem na oczy! Ale żebyś wiedziała, że twój dziadek był moim ulubionym kuzynem i nieraz świetnie się bawiliśmy razem.

Położyła dłonie na ramionach Lucy.

- Niech no ci się przyjrzę... Tak jak myślałam, śliczna jesteś

jak obrazek. Popatrz, to mój pies, Horacy. Widzisz, nawet przestał szczekać, pewnie już wie, że będziesz chodziła z nim na długie spacerunki po plaży... O, jest już i Alec z waszymi walizkami! Słuchaj, Alec, mógłbyś być tak dobry i zanieść je na górę? Chodźmy do środka, bo tu zmarzniemy, a przecież musicie jeszcze poznać Oskara...

Elfrida poszła pierwsza, za nią pies, a potem, gęsiego, Carrie, Lucy i Alec z bagażem. Jako ostatni zamknął za sobą drzwi frontowe za pomocą nogi. Lucy spodobało się wnętrze domu, bo nawet schody wyglądały solidnie, przykryte grubym dywanem i z poręczą opartą na mocnych słupkach. Już w hallu pachniało politurowanym drewnem i starymi meblami, a do tego dołączał się smakowity zapach dochodzący z kuchni.

Elfridzie nie zamykały się usta.

- Jak wam się leciało? Nie za bardzo bujało? Chwała Bogu, że nie ma dziś sztormu...

Tymczasem doszli już na pierwsze piętro, ale schody prowadziły jeszcze wyżej. Drzwi na podeście były otwarte i wpadały przez nie promienie słońca.

- Oskarże, one już są! - zawołała Elfrida, a potem, normalnym głosem, dodała: - On jest w salonie. Idźcie tam i przywitajcie się z nim, a ja tymczasem pokażę Alecowi, gdzie ma zostawić walizki. O, ta idzie do pokoju Carrie, ale pokój Lucy jest na górze. Dasz radę wspiąć się tak wysoko?

Carrie uśmiechnęła się porozumiewawczo do Lucy, wzięła ją za rękę i razem weszły przez otwarte drzwi. Znajdowały się w salonie o bielonych ścianach, nie zatłoczonym meblami, jasnym i przestronnym. Na kominku tlił się niewielki ogieniek, a przez wykuszowe okno, wychodzące na ulicę, widać było kościół, który wydawał się nieomal w zasięgu ręki.

Oskar stał tyłem do paleniska, czekając na gości. Był równie wysoki jak Elfrida, tylko mocniej zbudowany. Miał srebrnawe włosy. Jego twarz, z przymrużonymi oczami i opuszczonymi kącikami powiek, była bez zmarszczek. Nosił koszulę w kratkę, dziany krawat i niebieski sweter z szetlandzkiej wełny.

- Dzień dobry, jestem Carrie Sutton - przywitała się Carrie bez zbędnych wstępów.

- Ach, kochanie... - zaczął, wychodząc im naprzeciw. Lucy pomyślała, że obecność tak atrakcyjnej kobiety jak Carrie musi być dla niego krępująca, ale jednocześnie sprawia mu przyjemność. - Jak to miło, że jesteś z nami. Mielicie dobrą podróż?

- Nawet bardzo - pospieszyła z odpowiedzią Carrie.

- Alec bez trudu was poznał? Elfrida od rana nie mogła sobie znaleźć miejsca, tylko raz po raz latała do okna, żeby zobaczyć, czy już nie przyjechaliście.

- Jak to miło z waszej strony, żeście nas tu zaprosili! - Carrie rozejrzała się wokół siebie i dodała jeszcze: - I jaki macie wspaniały dom!

- Właściwie mam tylko połowę. Jestem współwłaścicielem.

- Przez to ten dom nie przestaje być wspaniały. - Puściła rękę Lucy i otoczyła ją ramieniem. - To moja siostrzenica, Lucy Wesley.

Lucy nerwowo przełknęła ślinę. Wykrztusiła: „Dzień dobry!” i zmusiła się do wytrzymania jego spojrzenia. Oskar przez dłuższą chwilę nie zabierał głosu, a Lucy miała świadomość, że w tej chwili myśli on o swojej zmarłej dwunastoletniej córeczce. Z pewnością porównywał ją w duchu do Francuski i przeżywał mieszane uczucia, w tym także i ból. Mogła tylko mieć nadzieję, że porównanie wypadło na jej korzyść. I chyba tak było, bo w tym momencie Oskar uśmiechnął się do niej i ujął jej rękę w swoje dłonie. Ciepły i mocny uścisk jego ręki sprawił, że Lucy przestała się bać.

- Więc to ty jesteś Lucy?

- Tak.

- I masz spać na poddaszu?

- Brzmi to, jakbyś ją chciał zniechęcić! - zachichotała Carrie.

- Poddasza rzadko wyglądają zachęcająco. Zwykle pełno tam starych kufrow i poroży ustrzelonych łosi, ale ty się nie bój. Elfrida urządziła ci tam uroczy pokój.

Puścił rękę Lucy i wyjrzał przez okno, skąd widoczna była tarcza zegara na wieży kościelnej.

- No, mAmy już wpół do pierwszej! - zauważył. - Idźcie i rozgoście się, a potem napijemy się czegoś i zjedziemy na

lunch. Elfrida upiekła dla was pierog z mięsem, bo uważała, że po takiej długiej podróży chętnie zjecie coś pożywnego.

Lucy od razu poprawił się humor. Wstępne formalności miała już za sobą, Elfrida okazała się wesoła, Oskar miły, a jeszcze do tego Elfrida powiedziała jej, że jest śliczna jak obrazek, i przygotowała na lunch pierog z mięsem!

Lunch zjedli w kuchni.

- Jest tu jadalnia, ale tak ciemna i ponura, że nigdy tam nie jadamy - wyjaśniła Elfrida. - Poza tym jest stamtąd daleko do kuchni, więc przez cały dzień nic, tylko latałabym w tę i z powrotem z talerzami.

- Tu jest znacznie przyjemniej - poparła ją Carrie, a Lucy zgodziła się z nią w całej pełni. Długi stół przykryty perkalową serwetą, z niedobranymi do siebie krzesłami, stwarzał atmosferę wygody i luzu. Jasne, że nie była to komfortowo wyposażona kuchnia i Dodie chyba by umarła, gdyby miała w tak prymitywnych warunkach prowadzić gospodarstwo domowe. Także i tu nie było zbyt dobrego oświetlenia, bo okna wychodziły prosto na mur ogrodu sąsiada. W oknach tkwiły kraty, pewnie dla zabezpieczenia przed złodziejami albo gdyby któraś kucharka zbuntowała się i chciała uciec... Mimo to jednak panowała tam, podobnie jak w całym domu, atmosfera ciepła i bezpieczeństwa. Wrażenie przytulności potęgował jeszcze pękaty kredens pomalowany na kolor ciemnozielony, eksponowany w nim porcelanowy serwis i porozwieszane na haczykach rozmaite dzbanuszki i kubki.

Pierog z mięsem okazał się pyszny, a na deser podano pudding z duszonych jabłek i ubitych na pianę białek, który można było polać sobie śmietanką z dzbanuszka. Potem Carrie i Elfrida napiły się kawy, ale Oskar nie przyłączył się do nich. Zamiast tego popatrzył na zegarek i zauważył:

- Jeśli zaraz nie wyjdę z psem, to nie uda nam się wrócić przed zmrokiem.

Spojrzał ponad stołem w stronę Lucy i dodał:

- Może chciałabyś pójść z nami?
- Na spacer z Horacym?
- Tak, na plażę. Od razu zobaczysz, gdzie z nim się chodzi.

- Och, bardzo chętnie! - To zaproszenie sprawiło jej dużą przyjemność.

- Może najpierw przeszlibyście się po mieście, żeby Lucy zobaczyła, gdzie tu są sklepy? - wtrąciła się Elfrida. - Nie zajmie wam to więcej niż pięć minut, a potem będziecie mieli czas; by pójść na wydmy.

- Oczywiście, jeżeli Lucy zechce. Tylko ubierz się ciepło!

- Wezmę moją nową puchową kurtkę.

- I jakąś ciepłą czapkę, bo odmroziś sobie uszy.

- Mam także czapkę.

- No więc ubieraj się i ruszamy w drogę.

- Może najpierw pomogłabym sprzątnąć ze stołu? - zaproponowała Lucy.

- Proszę, jaka dobrze wychowana dziewczynka! - roześmiała się Elfrida. - Daj spokój, my to z Carrie zrobimy, a wy z Oskarem idźcie, póki nie zrobi się całkiem zimno.

Nie minęło pięć minut, a starszy pan, młoda dziewczyna i pies wyruszyli na spacer. Lucy prowadziła Horacego na smyczy. Nałożyła grubą włóczkową czapkę, naciągając ją głęboko na uszy, i zapięła szczelnie swoją puchową kurtkę. Oskar włożył wiatrówkę na podpince z kraciastego materiału i tweedowy kapelusz, w którym, zdaniem Lucy, wyglądał bardzo szykownie.

- Najpierw skoczmy do miasta - zapowiedział Oskar, kiedy wyszli poza bramę. Zrobili rundkę ulicą biegnącą wzdłuż kościelnego muru. Mieścił się tam sklep z pamiątkami, apteka, księgarnia, jatka i kiosk z prasą.

- Tu zawsze kupuję gazety - pokazał jej Oskar. - Gdyby kiedyś nie chciało mi się wyjść z domu, będziesz mogła mi je przynieść.

Na tej samej ulicy znajdowała się jeszcze stacja benzynowa, sklep z wyrobami dziewiarskimi, zajazd, sklepik z zabawkami plażowymi i supermarket. Pod bezlistnym drzewem Lucy przystanąła, żeby zajrzeć przez bramę z kutego żelaza. Zauważyła bowiem, że boczne drzwi kościoła są otwarte. Widać było przez nie przedsionek i zamknięte wewnętrzne drzwi. Z jakiegoś powodu nagle zapragnęła wejść do środka.

- Czy ten kościół jest teraz otwarty? - zapytała.

- Te boczne drzwi zawsze, z myślą o zwiedzających.

- Jak on wygląda w środku?
- Prawdę mówiąc, nie wiem, bo nigdy tam nie byłem.
- A moglibyśmy wejść, przynajmniej na chwilkę?

Oskar zawahał się, więc Lucy naciskała:

- Proszę, wejdźmy, kościoły wyglądają tak ładnie, kiedy są puste! To coś takiego jak puste ulice - widać dokładnie, jak wyglądają. Tylko na chwileczkę!

Obawiała się, że Oskar powie coś w rodzaju: „Teraz nie mamy czasu” albo „Może kiedy indziej”. On jednak nabrał dużo powietrza w płuca, a wraz z wydechem, który zabrzmiał jak głębokie westchnienie, wyrzucił z siebie tylko:

- No dobrze. ,

Lucy otworzyła furtkę osadzoną na skrzypiących zawiasach i oboje przeszli ścieżką wyłożoną płytami aż do przedsionka kruchty. Po wewnętrznej stronie drzwi znajdowała się tabliczka z napisem: „Prosimy nie wprowadzać psów”. Przywiązała więc smycz Horacego do klamki, zostawiając go na wycieracze, co nie ucieszyło zbytnio psa.

W kościele nie _ było ani żywej duszy, toteż ich kroki na posadzce odbijały się echem. Przez witrażowe okna wpadały promienie bladego zimowego słońca, oświetlając ławki ustawione w kształt krzyża. Ściany były kamienne, a gips między belkami sufitu pomalowany na niebiesko, co miało symbolizować letnie niebo.

Lucy obchodziła główną nawę dookoła, oglądając tablice nagrobne, upamiętniające dawniejszych zasłużonych parafian. Znalazły się pośród nich nazwiska zarówno ludzi utytułowanych, jak i prostych. Kościół okazał się większy, niż myślała, toteż zanim obejrzała wszystko, od chrzcielnicy do kłęczników z poduszkami pokrytymi haftem gobelinowym - Oskar zmęczył się staniem i usiadł w ławce. Lucy poczuła się winna i zaraz przysiadła przy nim.

- Przepraszam...
- Za co?
- Że cię tu tak długo przetrzymałam.
- Cieszę się, że interesujesz się takimi rzeczami.
- Carrie powiedziała mi, że przedtem byłeś organistą i uczyłeś muzyki.

- Zgadza się, byłem także dyrygentem chóru. - Spróbował zmienić temat. - A ty umiesz grać na pianinie?

- Nie, nigdy się tego nie uczyłam. Mama uważała, że to zajęłoby mi za dużo czasu i nie miałabym kiedy się uczyć. Poza tym w mieszkaniu babci nie ma pianina.

- A chciałybyś nauczyć się grać?

- Myślę, że tak.

- Nigdy nie jest za późno, żeby zacząć... A słuchasz czasem muzyki?

- Niby tak, ale tylko takiej rozrywkowej - wzruszyła ramionami, ale po namyśle dodała jeszcze: - Czasem chodzimy na koncerty ze szkołą. Tego lata zawieźli nas na koncert w Regent's Parku, na wolnym powietrzu, gdzie grała prawdziwa orkiestra.

- A nie padało? - uśmiechnął się Oskar.

- Przeciwnie, to był piękny wieczór. Koncert połączony był z pokazem fajerwerków. Kiedy tylko znów słyszę taką muzykę, zaraz przypominają mi się rakiety strzelające w wygwieżdżone niebo.

- Rzeczywiście, to musiało być wspaniałe przeżycie.

Lucy wsunęła podbródek w kołnierz kurtki i spojrzała w górę, na witrażowe okno znajdujące się akurat nad nią i przedstawiające Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus. Widok ten pobudził ją do zupełnie innych refleksji:

- Nie chciałabym mieć urodzin w środku zimy. A już urodzić się w Boże Narodzenie to zupełny koszmar!

- Dlaczego tak sądzisz? - spytał łagodnie Oskar.

- No bo pewnie dostałabym jeden prezent na obie okazje, a poza tym wtedy jest zimno i dni są takie krótkie...

- A kiedy ty obchodzisz urodziny?

- W lipcu. To już znacznie lepiej, tylko że zwykle chodzę jeszcze do szkoły.

- W każdym razie to już lato.

- No, tak.

Oskar przez chwilę myślał nad tym, co może jeszcze powiedzieć na ten temat.

- Wydaje mi się, że Pan Jezus też nie mógł urodzić się

zimą. - Nawiązał do tego tematu. - Musiała już wtedy być wiosna!

- Naprawdę? Skąd wiesz?

- Przecież w Piśmie Świętym napisano, że pastuszkowie strzegli swoich stad, co oznacza, że był to okres, kiedy rodziły się jagnięta. Pasterze musieli bronić ich przed wilkami. Poza tym naukowo udowodniono, że dwa tysiące lat temu w tym miejscu i w tym właśnie okresie pojawiła się nadnaturalnie jasno świecąca gwiazda.

- No więc dlaczego nie obchodzimy Bożego Narodzenia na wiosnę?

- Myślę, że pierwsi chrześcijanie przyswajali sobie pozostałości dawnych, pogańskich zwyczajów, a w wielu pierwotnych społecznościach przyjęło się uroczyste świętowanie Przesilenia Zimowego, czyli najkrótszego dnia w roku. Pewnie na pocieszenie ich przodkowie w tym dniu palili ogniska, urządzali przyjęcia, wieszali nad stołami jemiółę, pili, hulali i oddawali się rozpuście.

- I pierwsi chrześcijanie przejęli to od nich?

- Myślę, że tak.

- Ale dodali jeszcze coś od siebie, prawda?

- Przede wszystkim wiarę w Syna Bożego.

Rzeczywiście, ta interpretacja brzmiała sensownie.

- W takim razie skąd się wzięły choinki? - pytała dalej Lucy.

- Sprowadził je z Niemiec książę Albert, mążnek królowej Wiktorii.

- A indyki?

- Z Ameryki. Przedtem tradycyjną potrawą była gęś.

- A kolędy?

- Niektóre są już bardzo stare, inne ułożono niedawno.

- A ten zwyczaj wkładania prezentów do pończoch?

- Prawdę mówiąc, sam nie wiem, skąd to się wzięło.

Lucy umilkła na chwilę. Potem zadała inne pytanie:

- Lubisz Boże Narodzenie?

- Trochę tak, trochę nie - odpowiedział ostrożnie Oskar.

- Bo ja nie bardzo. Zawsze przedtem robi się tyle przygotowań, a potem człowiek jest rozczarowany.

- Stąd wniosek, że nie należy spodziewać się zbyt wiele - podsumował Oskar. Wysoko nad nimi zegar na wieży kościelnej wybił wpół do trzeciej. Jego uderzenia były dźwięczne, ale jakby słyszane z oddali. - Czy my tu czasem nie za długo siedzimy?

W kościele panowała kompletna cisza, a docierające z zewnątrz dźwięki - warkot przejeżdżającego samochodu, męski głos wołający kogoś, pisk mewy kołującej nad wieżą kościelną - przebijały się jakby z dużej odległości. Lucy dopiero teraz zauważyła na suficie świetlówki dyskretnie schowane pod rzeźbionym z kamienia gzymsem. Przedtem nie widziała ich, bo były zgaszone.

- Ależ tu musi być pięknie, kiedy palą się te wszystkie światła! - westchnęła Lucy z rozmarzeniem w głosie. - Na tym niebieskim suficie wyglądają jak reflektory albo małe słoneczka...

- Myślę, że zapala się podczas niedzielnej mszy.

- Tak bym chciała to zobaczyć!

- Jeśli zechcesz, możesz pójść w niedzielę do kościoła - zgodził się Oskar, jednocześnie wstając z ławki. - No, chodźmy już. Mielіśmy przecież pójść z psem na plażę, a niedługo się ściemni.

Carrie

Oskar i Lucy wyszli z Horacym na spacer, a za zamkniętymi drzwiami Carrie i Elfrida zostały same. Wciąż jeszcze siedziały przy kuchennym stole nad nie zjedzonymi resztkami lunchu i nie wypitą kawą. Uśmiechały się do siebie, bo chociaż reprezentowały różne pokolenia - były od dawna przyjaciółkami, tylko nie widziały się przez dłuższy czas, więc teraz mogły swobodnie nacieszyć się swoim towarzystwem.

- Cóż to za uroczy człowiek! - odezwała się Carrie, mając na myśli Oskara. W duchu zaś dopowiedziała, że i Elfrida, mimo sześćdziesięciu dwóch lat, wygląda rześko i energicznie jak młoda dziewczyna. Jej szczupła sylwetka, wyzywający ko-

lor włosów, ekscentryczne stroje i jaskrawy makijaż kłóciły się z jej kalendarzowym wiekiem.

- Prawda? - podchwyciła z satysfakcją Elfrida.

- Tak się cieszą, że od razu zaprzyjaźnili się z Lucy. Przedtem opowiedziałam jej, co się stało z jego żoną i dzieckiem, więc obawiała się, że Oskar nie zniesie jej obecności tutaj, bo będzie przypominać mu Francescę. Bała się nawet, że ją nienawidzi.

- Biedactwo, jaka wrażliwa! - Elfrida pokiwała głową ze współczuciem. - Nie ma powodu do obaw, bo wątpię, aby Oskar potrafił nienawidzić kogokolwiek. A gdyby nawet tak było, nigdy nie dałby tego po sobie poznać. Zaraz po naszym przyjeździe tutaj nacięliśmy się na takiego żalosnego, starego nudziarza, od którego musieliśmy odebrać klucz od tego domu. Ledwośmy się od niego uwolnili, bo na siłę wciskał Oskara, że wciągnie go do swego klubu golfowego. Biedny Oskar tak się tego wystraszył, że przez dwa tygodnie bał się wychylić nosa z domu. Tymczasem okazało się, że staruszek jest poważnie chory, więc Oskar podjął się zawieźć go do szpitala w Inverness, bo zrobiło mu się żal samotnego wdowca, którym nie miał się kto zająć. Sama powiedz: czy taki człowiek w ogóle potrafiłby nienawidzić?

- Widzę, że ma dobre serce, obawiam się tylko, czy go nie nadużywamy.

- Ależ bardzo cieszymy się, że tu jesteście. Naprawdę, potrzebowaliśmy tego!

- I nie musicie urządzać wystawnych świąt, bo my z Lucy wcale tego nie oczekujemy.

- To tak jak my, chociaż kiedy Oskar dowiedział się, że macie przyjechać, po cichu zamówił choinkę.

- Lucy na pewno się ucieszy i chętnie ją ubierze. Biedactwo, nigdy w domu nie było prawdziwej świątecznej atmosfery, bo moja matka nie umiała jej stworzyć, a Nicola też jest na to za leniwa. Dzięki tobie przynajmniej mama spędzi upojny tydzień w Bournemouth bez wyrzutów sumienia. Na pewno jest ci za to wdzięczna.

- A co tam słyszeć u niej?

- To, co zawsze. - To stwierdzenie nie wymagało komentarza.

- A u Nicoli?

- To samo. Inaczej niż wino, z wiekiem nie robią się lepsze.

- A co porabia twój ojciec?

- Rozmawiałam z nim przez telefon, ale nie widziałam się z nim.

- W październiku spędziłam wspaniały miesiąc u nich w Emblo, a ledwo stamtąd wróciłam - w domu czekała na mnie wiadomość o nieszczęściu Oskara. To dowód na to, jak nagle życie może przyjąć zupełnie inny obrót - jakby się wpadło z jednego świata w drugi.

- Wiem, wiem - pokiwała głową Carrie. Pomyślała o Andreasie, ale zaraz odpędziła od siebie tę myśl.

Przez chwilę zapanowała cisza. Carrie dopiła resztę kawy i odstawiła filiżankę. Wiedziała, co teraz nastąpi, i nie myliła się.

- A co u ciebie, Carrie?

- U mnie? Wszystko w porządku.

- Oj, chyba nie bardzo. Jesteś blada, chuda i wyglądasz na zmęczoną.

- I kto to mówi! Dobrze wiesz, że w konkursie obzartuchów żadna z nas nie miałyby szans.

- W takim razie dlaczego tak nagle wyjechałaś z Austrii?

Carrie wzruszyła ramionami.

- Bo ja wiem? Tak sobie, dla kaprysu.

- Nie wierzę.

- Kiedyś powiem ci wszystko, obiecuję. Tylko, proszę, nie teraz!

- Źle się czujesz?

- Jestem trochę przeziębiona i zmęczona, ale nic mi nie dolega.

- Ale rzuciłaś pracę, prawda?

- Tak.

- Myślisz, że dostaniesz inną?

- Mam nadzieję. Któregoś dnia zadzwonili do mnie z tego biura podróży, w którym kiedyś pracowałam. Umówiłam się z nimi na rozmowę i zaofiarowali mi dobrą posadę w ich agen-

cji w Londynie. Jeszcze nie udzieliłam im ostatecznej odpowiedzi, ale chyba przyjmą tę propozycję. Kiedy po świętach wrócę do Londynu, powiem im, że się zgadzam.

- A co się dzieje z twoim domem?

- Zajęty do lutego. Do tego czasu będę koczować u znajomych albo coś sobie wynajmę.

- Chyba jednak nie jesteś szczęśliwa. Chciałabym ci jakoś pomóc.

- Już mi pomogłaś przez to, że nas tu zaprosiłaś.

- Przyznasz, że nie jest to zbyt atrakcyjny sposób na spędzenie świąt.

- Ja nie gonię za atrakcjami.

Elfrida umilkła, dopiła swoją kawę i z westchnieniem przeczesła palcami swoje rozwichrzone rude włosy.

- Dobrze już, nic więcej nie powiem. - Zmieniła ton głosu na przesadnie ożywiony. - No więc co chcesz zrobić z tak mile rozpoczętym popołudniem? Może byś się zdrzemnęła? Przyniosę ci termofor...

Boże, łóżko i butelka z gorącą wodą! Carrie zapomniała już, kiedy ostatni raz ktoś troszczył się o nią, zauważył, że wygląda na zmęczoną, i zaproponował drzemkę. Zawsze to ona musiała być dzielna, silna i martwiła się o innych. Odwołane rezerwacje, zepsute wyciągi narciarskie, opóźnione pociągi i autobusy, brak śniegu lub, przeciwnie, jego nadmiar, zbyt głośno grająca kapela, zgubione pieniądze, paszporty czy suszarki do włosów - to były jej problemy. Po powrocie do Londynu musiała się z kolei uporać z problemami rodzinnymi...

Najbardziej męczące było właśnie to, że przez cały czas musiała nadrabiać miną i stanowić oparcie dla innych. Jeszcze przed lunchem, kiedy wstąpiła do swego pokoju, aby zostawić tam płaszcz i przyczesać włosy, zauważyła z zadowoleniem, że znajduje się tam podwójne, małżeńskie łóżko z puchową pościelą, białą kapą i mosiężną ramą. Już wtedy pomyślała, że z rozkoszą zanurzyłaby się w te miękkie puchy i porządnie się wyspała. Tym większą wdzięcznością napełniła ją propozycja Elfridy.

- Och, wręcz marzę o tym! - oświadczyła. - Może jednak najpierw pokażałabyś mi dom, żebym potem mogła wszędzie

trafić? Wyobrażałam sobie, że osiedliliście się z Oskarem w jakiejś przytulnej chatce, a tu masz ci los, toż to prawdziwy dwór! Można się tu zgubić.

- Oczywiście, chętnie cię oprowadzę. - Elfrida wstała ze swego miejsca.

- A kto pozmywa?

- Zrobię to później. Wprawdzie nie mam tu zmywarki, ale nigdy czegoś takiego nie miałam, więc potrafię się doskonale bez niej obejść. Nawet lubię tak pochlapać się w pianie i narobić mnóstwo bąbelków... No, to chodźmy.

Najpierw zaprowadziła Carrie do dwóch pokoi na parterze.

- To wszystko kiedyś należało do majątku Corrydale - wyjaśniała tonem przewodnika oprowadzającego wycieczkę. - Mieszkał tu rządcą wraz z rodziną, więc potrzebował dużo miejsca. Zostały po nim tylko najbardziej niezbędne meble, ale to i lepiej, bo nie znoszę zagraconych mieszkań. A tam mieściło się biuro gospodarstwa, ale tyle tam rupieci, że nie nadaje się do zamieszkania. To natomiast jest ta ponura jadalnia, o której mówiłam.

Rzeczywiście, panowała w niej zatęchła atmosfera, jakby wciąż celebrowano tu długie, nudne posiłki z dużym udziałem gotowanej kapusty.

- Dlaczego, ten stół mi się podoba! - zaprotestowała Carrie. - I taki fajny kredens, na którym mieściłyby się chyba całe ćwierci dziczyzny... O rany, tu jest jeszcze fortepian! Moglibyśmy urządzać sobie koncerty!

- Nie przypuszczam. Diabli wiedzą, kiedy był ostatnio nastrojony.

- Ale przecież Oskar umie grać na fortepianie.

- Ostatnio już nie grywa, najwyżej słucha muzyki.

Z parteru przeszły na piętro.

- Dla Lucy urządziłam pokój na poddaszu, ale pewnie sama zechce ci go pokazać. Salon i twój pokój już widziałas, tam są dwie łazienki, a tu... - otworzyła jeszcze jedne drzwi - jest zapasowa sypialnia.

Came zajrzała do środka i zauważyła, że mały, nie wyróżniający się niczym pokój został prawie całkowicie zdomino-

wany przez kolejne monstrualne łożko. Widać było, że nikt tam nie śpi, więc po raz pierwszy w umyśle Carrie zrodziło się nie nazwane jeszcze podejrzenie. Jej chęć zwiedzenia domu poddyktowana była zainteresowaniem, nie jakąś niezdrówą ciekawością, ale teraz okazało się, że niechcący uchyliła wieczko puszek Pandory.

- Elfrido... - zaczęła.

Jednak Elfrida albo nie dosłyszała, albo puściła jej słowa mimo uszu. Otworzyła ostatnie drzwi i z wyzywającą wręcz ostentacją zaanonsowała:

- A tu jest nasza sypialnia.

Widać było, że w tym pomieszczeniu znajdowała się najważniejsza sypialnia tego oryginalnego domu. Wysokie okna wychodziły na ulicę i kościół, do wyposażenia należały szafa, toaletka i komoda w stylu wiktoriańskim, a łożko było jeszcze wyższe i szersze niż widziane poprzednio. Osobisty charakter nadawał mu czerwony jedwabny szal Elfridy, która zabierała go do wszystkich swoich miejsc zamieszkania. Haft na nim spłowiął, frędzle się wystrzępiły, ale Carrie przypomniała sobie, że widziała go jeszcze w Putney, kiedy pielęgnowała Elfridę po operacji.

W sypialni znajdowały się przedmioty wyraźnie świadczące o obecności mężczyzny. Na komodzie leżały szczotki w oprawie z kości słoniowej, pod krzesłem stała para butów, a na poduszce złożona w kostkę ciemnobłękitna piżama. W powietrzu unosił się też charakterystyczny „męski” zapach, będący mieszanką skóry i wody fryzjerskiej.

Po słowach Elfridy nastąpiła chwila ciszy, ale Carrie ze zdziwieniem dostrzegła na jej twarzy wyraz lekkiego zmieszania. Rozśmieszyło ją to, gdyż Elfrida zwykle bez skrupowania przyznawała się do swych licznych romansów.

- Widzę, że wcale cię to nie szokuje - zauważyła teraz Elfrida.

- Przecież mnie znasz. Ja nie jestem taka jak Dodie.

- Wiem, że nie jesteś.

- Śpicie razem?

Elfrida przytaknęła.

- A więc żyjecie ze sobą?

- Tak.
- No, to świetnie. - Carrie życzliwie pomyślała o tym sympatycznym, siwowłosym panu o miłej twarzy.
- Cieszę się, że to aprobujesz. Zaraz ci wszystko wyjaśnię.
- Ależ nie musisz mi nic wyjaśniać!
- Nie muszę, ale chcę.

- Widzisz, jechaliśmy razem z Dibton szosą A-1, w fatalnych warunkach i ja prawie przez cały czas pRowadziłam. Jeszcze przed wyjazdem byliśmy dostatecznie zmęczeni, bo przeżywaliśmy ciężkie dni, a Oskar prawie wcale się nie odzywał. Toteż kiedy zrobiło się ciemno, mieliśmy już tak dość tej szosy, że na wysokości Northumberland postanowiliśmy z niej zjechać. Oskar przypomniał sobie, że znał w tej okolicy mały hotelik, i jakimś cudem rzeczywiście ten hotel tam był. Zostałam w wozie z Horacym, a Oskar poszedł zapytać, czy mają wolne pokoje i czy przyjmą nas z psem. Kiedy wrócił, okazało się, że wprawdzie właściciele nie mają nic przeciwko psom, ale wolny jest tylko jeden pokój z podwójnym łóżkiem. Byłam jednak tak zmęczona, że położyłabym się spać gdziekolwiek, więc powiedziałam Oskarowi, żeby wziął ten pokój. Zameldowaliśmy się jako państwo Blundell, a ja czułam się jak młoda dziewczyna, która wyrwała się z domu na weekend ze swoim chłopakiem. Wzięliśmy kąpiel, zamówiliśmy drinki, potem kolację, ale że chcieliśmy następnego dnia wcześniej wyruszyć w drogę - udaliśmy się na spoczynek. Na górze zaczęliśmy się przekomarzać, bo Oskar zaofeRował się spać na kanapie, a ja mu na to, że w takim razie ja mogę położyć się z Horacym na podłodze... i tak dalej w tym duchu. W końcu jednak zmorzyło nas takie zmęczenie, że padliśmy oboje na łóżko i zasnęliśmy jak zabici. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że Oskar od czasu wypadku miewał lęki nocne i krzyczał przez sen. Tamtej nocy także obudziły mnie jego krzyki. Przeraziłam się, ale wiedziałam, że muszę go zbudzić. Wtedy zaczął płakać, dopóki nie przyniosłam mu szklanki wody i nie objęłam go ciasno ramionami. Trzymałam go tak i uspokajałam, aż po chwili zasnął znowu. Od tej pory starałam się każdej nocy być przy nim. Na początku, kiedy się tu pRowadziliśmy, Oskar obawiał się, że nasza

sprzątaczką, pani Snead, zresztą bardzo miła, rozgada to i ludzie zaczną plotkować, ale mu wytłumaczyłam, że nie dbam o to i w żadnym razie nie zostawię go samego. Pewnie to wszystko wydaje ci się podejrzane. Może myślisz, że wykorzystałam śmierć Glorii, aby zająć jej miejsce przy boku Oskara? Wiem, że trudno ci będzie w to uwierzyć, ale wcale tak nie było. Dopóki był mężem Glorii, lubiłam i jego, i ją, choć przyznam, że jego bardziej. Po jej stracie sam mnie poprosił, żebym towarzyszyła mu w drodze do Szkocji, a ja zgodziłam się, aby uchronić go przed popadnięciem w skrajną rozpacz. Uniknęliśmy tego nieszczęścia, a w zamian za to wytworzyła się między nami więź, która daje nam dużo radości. Po raz pierwszy zbliżyliśmy się do siebie mniej więcej po tygodniu od przyjazdu tutaj, co zresztą było do przewidzenia. Oskar jest wciąż bardzo przystojny i we mnie też coś go pociąga, chociaż nie wiem, co, ale najwidoczniej to mu pomogło, bo coraz rzadziej miewa koszmary senne. Czasem przesypia spokojnie całą noc aż do rana, ale jeśli kiedyś usłyszysz jakieś krzyki, to nie bój się, bo ja zawsze jestem przy nim. Nie chciałam tego ukrywać, więc powiedziałam pani Snead prawdę przy pierwszej okazji. Ona pochodzi z Londynu, więc mało co jest w stanie ją zaskoczyć. I wiesz, jak zareagowała? Powiedziała mi: „Myślę, proszę pani, że to byłoby okrutne pozwolić temu człowiekowi cierpieć, jeśli potrafi pani ulżyć mu w potrzebie”. Więc teraz ty też już wiesz.

Przez chwilę panowała zupełna cisza.

- Biedny Oskar! - westchnęła Carrie. - Dobrze, że na ciebie trafił, bo inaczej byłoby mu jeszcze gorzej.

- Tak, tylko co zrobimy z Lucy? Przecież nie jest głupia, no i nie jest już dzieckiem. Może powinnaś powiedzieć jej, jak sprawy stoją?

- Nie ma sensu robić z tego sensacji. Jeśli sama zapyta, wtedy zwyczajnie powiem jej prawdę.

- Może być zgorzozna, że w naszym wieku jeszcze nam w głowie „te rzeczy”.

- Nie przypuszczam, żeby cokolwiek było w stanie ją zaszokować. W końcu jej własny dziadek ożenił się z kobietą znacznie młodszą od siebie i dochował się małych dzieci. Naj-

wyżej wzruszyłaby się tą historią podobnie jak ja, bo już oszałała na punkcie Oskara.

Carrie otoczyła Elfridę ramionami i serdecznie uścisnęła.

- Jakie to miłe, kiedy spotyka się dwoje ludzi, którzy potrzebują siebie nawzajem! - powiedziała.

- To nie znaczy, że Oskar już całkowicie doszedł do siebie. Sporo mu jeszcze brakuje do odzyskania pełnej równowagi, bo czasem taka go opanowuje zgryzota, że potrafi przez cały dzień się nie odzywać. Nauczyłam się już, żeby mu wtedy nie przeszkadzać. Musi sam się uporać ze swoim smutkiem.

- To nie jest zbyt łatwe!

- A co jest? Dobrze już, kochanie, nie traćmy czasu, bo zaczyna się ściemniać. Znajdę ci termofor, żebyś się porządnie wyspała.

Lucy

Piątek, 15 grudnia

Jest już godzina dziesiąta wieczorem. Dzisiejszy dzień trwał wyjątkowo długo. Carrie przysłała po mnie o wpół do dziewiątej rano. Na dole czekała już taksówka, którą miałyśmy pojechać na HeathRow. Mama i babcia były jeszcze w domu, bo mama leci na Florydę nie wcześniej niż we wtorek. Obie z babcią nie zdążyły nawet się ubrać, ale pożegnały się z nami bardzo miło. Przypuszczam, że czuły się trochę winne z powodu tamtej kłótni. Dały mi prezenty gwiazdkowe, zapakowane, żebym je odwinęła dopiero pod choinką. Mamusia dała mi jeszcze pięćdziesiąt funtów, a babcia dwadzieścia, na drobne wydatki. Nigdy w życiu nie miałam tylu pieniędzy i boję się, żebym ich nie zgubiła, ale portmonetka leży bezpiecznie schowana w plecaku.

Lot był bardzo przyjemny — nic a nic nie bujało! Na pokładzie samolotu podano nam śniadanie, a w Inverness na lotnisku czekał na nas taki miły pan, który się nazywał Alec. Zawiózł nas na miejsce, ale drogę zasypał śnieg, więc jechaliśmy godzinę i kwadrans.

Creagan to bardzo ładne, stare miasteczko. Jest tam duży

kościół, a ten dom, w którym mieszkamy, jest większy niż wygląda, bo ma aż trzy piętra. Kiedyś był wynajęty, a większość mebli pochodzi z majątku Corrydale, gdzie mieszkała babcia Oskara. Na pierwszym piętrze są sypialnie i salon, ale mój pokój znajduje się na poddaszu. Elfrida urządziła go specjalnie dla mnie. Nie trzeba było go malować, bo miał ściany białe i czyste, ale musiała dokupić mebli. To chyba ładnie z jej strony, prawda?

Mój pokój ma pochyły sufit, a w nim okno. Można zasłonić je specjalną żaluzją, ale nie sądzę, abym ją kiedykolwiek zapuściła. To tak zabawnie leżeć w łóżku i patrzeć w gwiazdy, jakby się spało na dworze!

Łóżko jest zrobione z ciemnego drewna, ma narzutę w niebieskie i białe pasy, a także dodatkowy koc na wypadek zimna. Jest tu także biała toaletka z obrotowym lustrem i małymi szufladkami. Mam jeszcze komodę i nocny stolik z lampą, a pod jedną z prostych ścian stoi bardzo praktyczny stół. Jest trochę zniszczony, bo chyba przedtem stał w kuchni, ale w sam raz wystarczy do pisania listów albo mojego pamiętnika. Do tego są dwa krzesła, a na ścianach wieszaki na rzeczy. Na szczęście nie przywiozłam ich dużo. Podłoga jest z wyszoRowanych do czysta desek z koloRowym dywanikiem na środku i barankowym futrzakiem przy moim łóżku, żeby nie musiała stawać bosą nogą na zimne deski. To wszystko jest takie romantyczne i takie inne niż zwykle!

Elfrida i Oskar są bardzo mili. Wiem, że są starzy, ale nie wyglądają na to ani nie zachowują się jak staruszkowie. Elfrida jest wysoka i chuda, a włosy ma farbowane na pomarańczowo. Oskar też jest wysoki, ale tęższy i włosy ma siwe, ale bardzo przyjemne spojrzenie i łagodny głos. Jeszcze przed wyjazdem Carrie opowiedziała mi o jego żonie i córce, które zginęły w wypadku samochodowym razem z ich dwoma psami. Bałam się spotkania z nim, bo nie wiadomo, co powiedzieć komuś, kto tyle wycierpiał. Wydaje się jednak, że nasz przyjazd nie sprawił mu przykrości. Zjedliśmy razem lunch, a potem Oskar zabrał mnie na spacer z Horacym. Horacy to pies Elfridy. Najpierw połąziliśmy po sklepach i zajrzeliśmy do kościoła, a potem przeszliśmy przez pole golfowe na plażę. Piasek był czysty i nie

leżały tam plastikowe butelki ani inne śmiecie, było natomiast pełno muszli. Znalazłam nawet dwa przegrzebki. Chętnie pójdę tam znowu na spacer z Horacym.

Czuję się tu naprawdę szczęśliwa. Nigdy jeszcze nie mieszkałam w takim dużym domu, w którym panuje atmosfera, jakby zawsze mieszkali w nim ludzie zamożni i zadowoleni z życia. Na tyłach tego domu jest także duży ogród, ale o tej porze roku nic tam nie rośnie. Jutro obejrzę go dokładniej.

Oskar

Oskar sam się nie spodziewał, że przyjdzie mu palić ognisko!

U siebie w Dibton chętnie pracował w ogródku, bo był już na emeryturze i poza sporadycznymi lekcjami muzyki czy przygrywaniem na organach do niedzielnych mszy w wiejskim kościółku nie miał nic lepszego do roboty. Nigdy przedtem nie miał do czynienia z ogrodnictwem, nawet w tak szczątkowej formie jak podlewanie kwiatów w skrzynce na oknie. Z czasem jednak przypomniał sobie wiadomości zasłyszane od babci, której ogród w Corrydale zdobył rozgłos daleko poza granicami majątku.

Praktycznego ogrodnictwa uczył się metodą prób i błędów oraz studiując fachowe podręczniki. Do pomocy wynajął dwóch miejscowych mężczyzn, którym płacił za koszenie trawników, prace leśne i grubsze roboty ziemne. W niedługim czasie nowe hobby pochłonęło go ze względu na satysfakcję, jaką dawało mu planowanie upraw, ruch fizyczny czy samo tylko przebywanie na świeżym powietrzu.

W środku zimy niewiele dało się zrobić w ogrodzie usytuowanym na zboczach pagórka na tyłach domu. Mógł najwyżej zgrabić uschłe liście czy przepchać Rowki drenowe. Jednak tego dnia przy śniadaniu Elfrida narzekała na przerośnięty krzak bzu, który przeszkadza jej, kiedy idzie wieszać upraną bieliznę. Oskar obiecał jej, że coś z tym zrobi.

Ze swojego dawnego domu nie zabrał sekatorów, postanowił więc, że poszuka odpowiedniego sprzętu w szopie. Po śniada-

niu zdjął z haczyka klucz i udał się na poszukiwania. Dzień był pochmurny, ale chłodnego powietrza nie poruszał nawet lekki powiew. Od czasu do czasu spomiędzy chmur prześwitywał skrawek błękitu, ale śnieg utrzymujący się na wzgórzach oznaczał, że niebawem napada go więcej.

Oskar z wysiłkiem otworzył wypaczone drewniane drzwi zardzewiałym kluczem. Za nimi ukazało się mroczne, zatęchłe wnętrze, słabo oświetlone przez zasnutę pajęczyną okienko. Wewnątrz znajdował się stół garncarski, a na nim kupki ziemi, potłuczone doniczki, stosik pożółkłych arkuszy papieru, kilka starych sierpaków i znaczników. Daremne byłoby poszukiwanie tam nowoczesnych maszyn ogrodniczych, takich jak na przykład kosiarki, natomiast na hakach murarskich wbitych w ściany wisiały przedpotopowe widły, szpadle, grabie, motyka, zardzewiała piła i przerażająca kosa. Wszystkie te narzędzia wymagały konserwacji i Oskar chciał nawet zaraz zabrać się do ich czyszczenia i oliwienia, ale w całym tym bałaganie nigdzie nie mógł znaleźć oliwiarki, więc na razie dał sobie spokój z tą robotą.

Natomiast w pudle pełnym śrub, nakrętek i zardzewiałych kluczy do ich odkręcania znalazł stary, lecz jeszcze nadający się do użytku sekator. Za jego pomocą szybko uporał się z bzem, z którego została kupa gałęzi. Trzeba je było jakoś usunąć, ale nigdzie w pobliżu nie było taczki, zresztą w tym miejscu nie zdałaby się na nic. Oskar poradził więc sobie w ten sposób, że poupychał gałęzie do podartego worka po kartoflach i zaciągnął go na szczyt ogrodu, gdzie pod starą śliwą wypatrzył ślady po dawnym ognisku. Od razu podjął błyskawiczną decyzję, że zrobi porządek w szopie i korzystając z suchej, bezwietrznej pogody spali wszystkie niepotrzebne rupiecie. Miał akurat ku temu odpowiedni nastrój.

Niepotrzebnych gratów nagromadziło się dużo, więc musiał wielokrotnie kursować tam i z powrotem, zanim zwałił wszystko na jedną kupę. Na podpałkę użył gazety i porąbanych skrzynek na rozsądę, które zajęły się szybko. Wkrótce rozgorzał jasny płomień, a wtedy Oskar zaczął zgarniać do ogniska nagrabione uprzednio suche liście. Przy ogniu rozgrzał się tak, że zdjął kurtkę, powiesił ją na gałęzi śliwy i pracował w samym

swetrze. Gęsty dym rozszedł się wokoło, przesycając powietrze zapachem charakterystycznym dla jesieni. Oskar zapalił się tak do tej roboty, że z rozpędu zaczął obrywać z kamiennego muru tłące się pędy bluszczu. W zapamiętaniu nie usłyszał nawet, że tylna furka ogrodu najpierw otworzyła się, a potem zamknęła. Nie dostrzegł też, kto przez nią wszedł.

- Cześć, Oskarze!

Zaskoczony, odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Peterem Kennedym, ubranym jak do gry w golfa, w czerwoną kurtkę i baseballową czapkę nasuniętą głęboko na oczy.

- O rany, nie słyszałem, jak wszedłeś.

- Nie to, żebym się skradał, ale idę do klubu i po drodze chciałem wstąpić do ciebie. Zobaczyłem dym i domyśliłem się, że cię tu znajduję.

- W czym mogę ci pomóc?

- Nie o to mi chodzi, tylko chciałem ci powiedzieć, że byłem wczoraj w Inverness i przy okazji wpadłem do szpitala odwiedzić Godfrey'a Billicliffe'a.

- To ładnie z twojej strony. Jak on się czuje?

- Nie za dobrze. Obawiam się, że to ciężka sprawa. On ma raka.

- O Boże... - wyszeptał zaszokowany Oskar.

- Podejrzewam, że już od dawna musiał wiedzieć, iż coś z nim nie w porządku, ale nie pisał nikomu ani słówka. Kiedy czuł się źle, nie szedł do lekarza, tylko na własną rękę szpikował się środkami przeciwbólowymi i alkoholem. Pewnie bał się usłyszeć prawdę.

- Chyba tak, bo tego dnia, kiedy znalazłem go w łóżku, też był wystraszony.

- Wiem o tym.

Oskar przypomniał sobie, jak stary wiarus chyłkiem ocierał załzawione oczy.

- A czy teraz on już zna prawdę?

- Tak, bo poprosił doktora, żeby mu powiedział.

- Ile czasu mu jeszcze zostało?

- Niedużo. Właściwie już umiera, ale jest spokojny i pod dobrą opieką. Wydaje mi się, że nawet mu się podoba, kiedy pielęgniarki skaczą koło niego.

- No, to muszę do niego zajrzeć.

- Lepiej nie, bo prosił mnie, żebym ci to wyperswadował. Jest już bardzo słaby, oszołomiony środkami przeciwbólowymi i wygląda, jakby już jedną nogą był na tamtym świecie. Kazał cię tylko pozdrowić i powtórzyć, że jest ci wdzięczny za to, co dla niego zrobiłeś.

- Przecież nic takiego nie zrobiłem!

- Wystarczy, że byłeś przy nim, kiedy potrzebował kogoś bliskiego.

Oskar nogą podsunął do ognia tłącą się gałązkę. Przez chwilę czuł odrazę do samego siebie, kiedy wspomniął, jak ukradkiem przemykał się ulicami w obawie, by nie musieć zamienić choć słowa z biednym, starym Billicliffe'em...

- Rozmawiałeś z lekarzem? - spytał jeszcze pastora.

- Tak. Kiedy już pożegnałem się z majorem, zszedłem do gabinetu lekarskiego i konsultant potwierdził to, co już wiedziałem.

- Co mogę jeszcze dla niego zrobić?

- Raczej niewiele. Możesz najwyżej napisać do niego liścik czy kartkę, to go ucieszy.

- To rzeczywiście dość skromnie.

- Bo i jemu już wiele nie trzeba. Przez większą część dnia śpi. Kiedy się obudził, poznał mnie i rozmawialiśmy całkiem sensownie. Myślę, że po prostu pogodził się z losem.

- No cóż - westchnął Oskar. - W takim razie rzeczywiście nic tu więcej nie zrobimy... Ale zaraz, przecież podałem się za jego najbliższego krewniaka!

- Gdyby coś się działo, na pewno dadzą ci znać. Albo mnie. Będziemy w kontakcie.

- Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś.

- Przypuszczałem, że będziesz chciał wiedzieć. Teraz pilnuj swojego ogniska, bo ja muszę już lecieć.

Oskar odłożył grabie.

- Odprowadzę cię do furtki.

Szli ścieżką gęsiego, aż przy samej furcie Peter coś sobie przypomniał.

- Aha, jeszcze jedno! Pomyślałem, że może stęskniłeś się już za muzyką... - Z kieszeni czerwonej kurtki wyjął mały mo-

siężny klucz. - Kościół jest stale otwarty, ale drzwi na chór, gdzie są organy, zwykle zamknięte. Dlatego uzgodniłem z naszym organistą, Alistairem Heggimem, że będziesz miał do nich dostęp, kiedy ci przyjdzie ochota. On nie ma nic przeciwko temu, więc proszę!

Zanim Oskar zdążył zaproponować, Peter wsunął mu klucz do ręki i zacisnął jego palce wokół niego.

- Ależ nie... - słabo protestował Oskar.

- Nie musisz z niego korzystać, bo przecież możesz nawet nie mieć na to ochoty. Myślę jednak, iż przyjemnie ci będzie mieć świadomość, że w każdej chwili będziesz mógł zagrać, jeśli poczujesz taką potrzebę.

- Och, to naprawdę miłe z twojej strony...

- Dobra, dobra. Tylko go nie zgub, bo to nasz jedyny zapasowy klucz! - żartobliwie przestrzegł go Peter. Już skierował się ku wyjściu, gdy nagle zawrócił ponownie. - Oj, mało brakowało, a byłbym zapomniawszy. Czyżby to już skleroza? Tabitha prosiła, żebym cię spytał, czy nie przyslibyście do nas we wtorek wieczorem na drinka i coś słodkiego? Oczywiście twoi goście też są zaproszeni. Nie ubierajcie się odświętnie, bo to nie żadne oficjalne przyjęcie. Nasze dzieci chyba też już będą w domu...

- Wtorek? - powtórzył Oskar, chcąc dobrze to zapamiętać, aby przekazać Elfridzie. - Powiedzmy: wtorek o szóstej. Przyjdziemy bardzo chętnie.

- No to świetnie. - Peter zamknął furtkę za sobą. - W takim razie do zobaczenia!

- Miłej gry! I dziękuję ci za to, że przyszedłeś.

Lucy

W poniedziałek rano Lucy, schodząc na śniadanie, zauważyła, że drzwi od pokoju Carrie są jeszcze zamknięte. Początkowo sądziła, że ciotka po prostu zasnęła. Zastanawiała się, czy powinna ją zbudzić, ale po namyśle zdecydowała, że lepiej nie.

Przy śniadaniu zastała tylko Oskara i Elfridę. Oskar akurat jadł kiełbaski, więc Lucy miała nadzieję, że i dla niej trochę zostanie, gdyż bardzo je lubiła.

- Cześć, Lucy! - przywitał ją Oskar. Odłożył nóż i widelec, przyciągnął ją do siebie i uściśnął. - Jak się dziś czujesz?

- Ja świetnie, ale co się dzieje z Carrie?

- Ona, widzisz, nie czuje się dziś dobrze. - Elfrida wstała, żeby nałożyć Lucy kiełbasek. - Mam nadzieję, że to nie grypa, tylko ciągle jeszcze męczy ją to przeziębienie. Zjesz dwie czy trzy?

- Jeśli można, to poproszę trzy. Czy ona została w łóżku?

- Tak, bo przez całą noc kaszlała i nie mogła zasnąć, więc nic dziwnego, że opadła z sił. Zniosłam jej herbatę, ale nie chciała nic jeść. O dziewiątej otwierają przychodnię, więc zadzwonię do doktora Sinclaira i poproszę, żeby ją zbadał.

- Czy on odwiedza pacjentów w domach?

- Przecież ośrodek zdrRowia jest po drugiej stronie ulicy.

- W Londynie lekarze nie chcą przychodzić do chorych - opowiadała Lucy, zabierając się do konsumpcji kiełbasek. - Zawsze trzeba odsiedzieć swoje w poczekalni. Babcia mówi, że wychodzi się stamtąd bardziej chorym, niż się przyszło. Jak myślisz, czyjej to przejdzie? Do świąt Carrie musi być zdrRowa.

- Zobaczymy, co powie doktor.

- Czy będę mogła pójść do niej?

- Ja bym ci nie radziła, dopóki nie dowiemy się, co jej jest. A nuż to coś zaraźliwego? Jeszcze dostaniesz wysypki albo takich wrzodów, jakie miał Hiob!

Kiełbaski okazały się rzeczywiście pyszne, a Elfrida nalała jej jeszcze kawy.

- To rzeczywiście szkoda, bo myślałam, że pójdziemy dziś z Horacym na długi spacer.

- A niby dlaczego nie miałybyś z nim pójść?

- Może Oskar poszedłby z nami...

- Dziś akurat nie mogę. Mam masę listów do napisania, wybieram się także do fryzjera, do księgarni zamówić dwie książki i do rzeźnika po mięso.

- Aha, rozumiem. - Lucy starała się nie okazać rozczarowania.

- Przecież możesz doskonale iść sama - uśmiechnął się Oskar. - Weźmiesz Horacego jako obstawę, on cię w razie czego obroni.

- Mogłabym, naprawdę? - rozpromieniła się Lucy.

- No pewnie!

Jedząc smaczne kiełbaski, Lucy napawała się perspektywą wolności, o jakiej dotąd się jej nie śniło. W Londynie, z oczywistych powodów, nie wolno jej było samej spacerować po mieście. Nawet gdy umówiła się z Emmą, matka zawsze chciała wiedzieć, dokąd idzie i kiedy wróci. Najwidoczniej jednak w Creagan takie środki ostrożności były zbędne, bo Elfrida i Oskar nie zamykali nawet drzwi wejściowych na klucz. Samochody na terenie miasteczka jechały wolno, a piesi szli spokojnie samym środkiem jezdni, zatrzymując się od czasu do czasu na pogawędkę. Zarówno w mieście, jak i na plaży pełno było dzieci i młodzieży jeżdżących na Rowerach, rolkach lub wspinających się na skałki bez opieki osób dorosłych. Tutejszy klimat zdawał się nie sprzyjać zbrodcom w obszernych płaszczach, pijakom i narkomanom - może, podobnie jak bakterie i pleśń, źle znosili niskie temperatury?

Tymczasem dał się słyszeć odgłos otwierania i zamknięcia tylnych drzwi.

- O, to pani Snead! - zaanonsował Oskar.

I rzeczywiście, w jednej chwili do kuchni wpadła jak burza szczupła starsza dama w różowym kombinezonie i adidasach.

- Znowu pogoda się psuje! - zaczęła rozmowę. - Takie czarne chmury, jakby miało sypnąć śniegiem.

W tym momencie zauważyła Lucy i dalszą przemowę skierowaną do niej.

- Patrzcie państwo, kto to do nas przyjechał! Trochę u nas posiedzisz, prawda? A gdzie twoja ciocia?

Z kolei Lucy zauważyła, że sprzątaczką ma fryzurę złożoną z mocno skręconych siwych loczków, a w uszach różowe szklane kolczyki, dobrane kolorem do kombinezonu.

- Źle się poczuła i musiała położyć się do łóżka - wyjaśniła.

- Oj, to niedobrze. Wołaliście już doktora?

- Elfrida zadzwoni do przychodni i zamówi wizytę.

- A to ci dopiero pech! - Pani Snead rozgadała się na do-

bre. - Ledwo co przyjechała, a już się pochoRowała! Ty jesteś Lucy, prawda? Pani Phipps mówiła mi o tobie. Podoba ci się pokoik, cośmy go dla ciebie wyszykowały? Przedtem tam były tylko gołe ściany!

- Proszę, może pani napije się herbaty - wtrąciła się Elfrida.

Pani Snead skwapliwie skorzystała z zaproszenia, sama załała sobie wrzątkiem torebkę herbaty ekspresowej i usiadła z nią przy stole. Lucy wiedziała, że jej babcia uznałaby to za niedopuszczalne spoufalanie się pracownicy domowej z państwem, ale, jak na złość, tym bardziej polubiła panią Snead.

Po śniadaniu rozmowna dama zabrała się do odkurzania, Lucy z Oskarem - do zmywania, a Elfrida poszła zadzwonić po lekarza. O dziesiątej dzwonił już do drzwi frontowych, a kiedy Lucy zeszła otworzyć - okazało się, że sam już wszedł do środka i wycierał nogi o słomiankę.

- Dzień dobry! - przywitał się. Był to jeszcze stosunkowo młody człowiek, który mówił z silnym szkockim akcentem, miał cerę wysmaganą wiatrem i rudawe, krzaczaste brwi. - Z kim mam przyjemność?

- Nazywam się Lucy Wesley. Przyjechałam tutaj na święta.

- Miło mi, aie gdzie jest pacjentka?

- W sypialni na górze... - zaczęła Lucy, ale Elfrida już przechyliła się przez poręcz schodów i przejęła inicjatywę. - Och, panie doktorze, jak to ładnie, że pan do nas przyszedł!

Doktor Sinclair udał się za nią do sypialni Carrie, ale Lucy nie poszła jego śladem. Wróciła do kuchni, gdzie pani Snead sortowała rzeczy przeznaczone do prania.

- To już doktor przyszedł? - zainteresowała się. - Żeby to choć nie było nic poważnego!

- Myślę, że to tylko przeziębienie. Ciocia już w samolocie nie czuła się najlepiej. Że też musiała mieć takiego pecha!

- No, uszy do góry, na pewno wszystko będzie dobrze. Słuchaj, mogłabyś mi trochę pomóc? Skocz no na górę i przynieś brudne ręczniki z łazienki pani Phipps. Ja ci wtedy dam czyste, żebyś zaniósła je na miejsce tamtych.

Doktor Sinclair nie zabawił długo u Carrie. Wszedł do niej razem z Elfrida, bo Lucy, zbierając ręczniki, słyszała ich głosy przez zamknięte drzwi. Miała nadzieję, że lekarz nie wykryje

u ciotki jakiegoś szczególnie groźnego wirusa, który wymagałby zastosowania antybiotyków i dwutygodniowego leżenia w łóżku! Jednak gdy zakończył badanie chorej, nie zszedł od razu na dół, tylko skierował się do salonu, aby zamienić kilka słów z Oskarem.

Lucy zrobiła to, o co prosiła ją pani Snead, a potem pokręciła się trochę po hallu, dopóki nie zdecydowała dołączyć do reszty. Zastała trójkę dorosłych na ławie pod oknem, pogrążonych w rozmowie na temat jakiegoś majora Billicliffe'a, który podobno był ciężko chory i leżał w szpitalu w Inverness. Wszyscy mieli poważne miny, ale Elfrida uśmiechnęła się, kiedy zauważyła Lucy stojącą w drzwiach.

- No, Lucy, co tak spuściłaś nos na kwintę?

- Co jest Carrie? - Dziewczynka zaatakowała frontalnie doktora, który już zbierał się do wyjścia.

- Och, nic jej nie będzie. Potrzebuje tylko trochę odpoczynku. Zapisałem jej coś na ten kaszel, a poza tym niech dużo śpi i pije dużo płynów, to za jakieś dwa dni będzie zdrowa.

Lucy od razu poczuła ulgę.

- Czy mogłabym teraz do niej wejść?

- Może raczej na razie zostaw ją w spokoju.

- Miałaś przecież zabrać Horacego na spacer! - wtrąciła się Elfrida.

- A dokąd pójdziecie? - zainteresował się doktor.

- Chyba na plażę.

- Lubisz obserwować ptaki?

- Tak, ale nie wiem, jak które się nazywają.

- Na tej plaży można zobaczyć różne oryginalne gatunki. Mam w domu atlas ptaków, przyniosę ci go jutro, kiedy wpadnę odwiedzić twoją ciocię.

- Dziękuję panu bardzo.

- Nie ma za co. No, muszę już iść. Będę z panem w kontakcie, panie Blundell. Do widzenia pani!

Zbiegł po schodach, zatraskując drzwi za sobą. Lucy obserwowała z okna, jak wsiadał do samochodu i odjeżdżał, pewnie do następnego wezwania. Na siedzeniu obok kierowcy leżał pies, duży Springer spaniel z kłapciastymi uszami. Lucy uznała,

że fajnie jest być takim wiejskim lekarzem, który jeździ do pacjentów z psem.

Pani Snead miała rację, że zapowiadała się nie najlepsza pogoda, chociaż nie padało. Kontrast był tym większy, że podczas weekendu utrzymywała się pogoda tak łagodna i bezwietrzna, że Oskar mógł nawet palić ognisko! Lucy wzięła więc Horacego na smycz i przeszła z nim na drugą stronę placu, a stamtąd drogą wiodącą w kierunku klubu golfowego. Przy takiej pogodzie nie było tam zbyt wielu graczy, co dało się poznać po małej liczbie samochodów zostawionych na parkingu. Tor golfowy wznosił się i opadał zgodnie z naturalną rzeźbą terenu. Z niewielkiego wzniesienia Lucy mogła zobaczyć taflę morską aż po linię horyzontu, a nad nią ołowianoszare sklepienie nieba. Dopiero zaczynał się przypływ, więc małe falki łagodnie pluskały o mokry piasek. Z daleka majaczył zarys latarni morskiej. Kiedy Lucy doszła do parkingu przed klubem, zastała tam stadko gawii trójpalczastych, żerujących przy pojemnikach na śmieci. Horacy też je dostrzegł i zaszczekał. Ptaki na krótko się rozproszyły, aby po chwili wrócić do przerwane go żeRowania.

Lucy spuściła Horacego ze smyczy, więc pobiegł naprzód. W cieniu wydm piach był tak sypki i grząski, że utrudniał chodzenie. Przeszła więc na pas mokrego piasku, który był twardszy. Pozostały na nim ślady jej stóp i łap Horacego.

Zanim doszła do plaży, musiała przejść między skałkami i utworzonymi przez nie oczkami wodnymi. Daleko przed sobą widziała szare zbocza wzgórz pokrytych śniegiem. Niebo nad nimi przybrało odcień sinofioletowy, a lekki powiew wiatru chłodził jej twarz, jakby stała przed otwartym zamrażalnikiem.

Dopiero teraz Lucy zdała sobie sprawę, że jest na plaży zupełnie sama. Wokół nie było ani żywej duszy, tylko mewy kwiliły nad powierzchnią wody, pokrytą płytkimi zmarszczkami. Na tle tej olbrzymiej, pustej przestrzeni wydała się sama sobie mała jak mrówka, przytłoczona ciężarem wszechświata. Jednocześnie dobrze się czuła w roli takiej anonimowej drobinki, której nikt tu nie znał ani nie potrafił dokładnie namierzyć, gdzie się w tej chwili znajduje. Tak jakby nie należała do nikogo oprócz siebie samej!

Od szybkiego marszu zgrzała się, bo przystawała jedynie po to, aby podnieść jakąś specjalnie atrakcyjną muszlę, kamyk lub nawet oszlifowane przez wodę szkiełko. Chowała takie „skarby” do kieszeni, a Horacy, jakby jej pozazdrościł, znalazł długi strzęp wodorostów i obnosił się z nim w pysku. Lucy próbowała mu go zabrać, co przerodziło się w wesołą zabawę - Horacy uciekał, a ona goniła. Aby odwrócić jego uwagę, podniosła patyk i rzuciła do wody, a wtedy pies zapomniał o poprzednim znalezisku i pobiegł w ślad za nim. Zaraz jednak przekonał się, że woda jest zbyt zimna, toteż szybko się wycofał.

Plaża kończyła się następnym pasmem skałek, wśród których, tak samo jak wcześniej, tworzyły się oczka wodne i zagłębienia pełne kamyków przesyconych silnym odorem wodorostów. Lucy zatrzymała się tam, aby ustalić, gdzie się znajduje, i zdecydować, dokąd iść dalej. Kiedy nad tym się zastanawiała, zza wydm oddzielających plażę od pola golfowego rozległ się warkot motoru. Ponad skałkami pojawił się ciągnik z przyczepką, zdażający w jej kierunku. Oznaczało to, że musi się tam znajdować jakaś droga, a zatem będzie mogła wrócić tamtędy do domu. Zaczęła więc mozolnie torować sobie drogę w górę piaszczystej skarpy, w stronę wydm. Horacy wysfoRował się napierzo dopiero gdy dotarła do szczytu wydmy, porośniętej ostrą trawą i krzewami, dojrzała dalszy odcinek ścieżki.

Horacy czekał na nią na dole, ale nie patrzył w jej stronę, tylko w kierunku, skąd najwidoczniej wyczuł jakiś obcy zapach. Nastawił w tamtą stronę uszu, a ogon nastroszył jak pióropusz. Lucy spojrzała tam, gdzie on, i dostrzegła, że od strony miasteczka zbliża się do nich jeszcze jedna osoba spacerująca z psem. Była to kobieta, ubrana w długie buty, ocieplane spodnie i kozuch. Na głowie miała płaski szkocki beret, zawiadacko nałożony na krótkie, szpakowate włosy, i poruszała się z wyraźną ostentacją. Jej pies, puszczone luzem, na widok Horacego stanął jak wryty. Przez dłuższą chwilę oba zwierzaki taksowały się wzrokiem, a Lucy drętwiała ze strachu, bo ten drugi był rottweilerem.

- Horacy...! - chciała przywołać psa, ale tak zaschło jej w gardle, że wydała z siebie tylko ledwo dosłyszalny szept. Do

Horacego to nie dotarło albo udawał, że nie słyszy. Zachował się natomiast jak ostatni idiota, bo zaczął szczekać. Rottweiler sztywnym krokiem posunął się do przodu i stanął w postawie bojowej, napinając mięśnie. Z jego gardła dobyło się głucho warczenie, a czarne wargi rozciągnęły się, obnażając zęby. Horacy usiłował trzymać fason i jeszcze raz nieśmiało zaszczekał. Wtedy rottweiler zaatakował.

Lucy krzyknęła, a Horacy zaskowyczał żałośnie, jakby wzywał pomocy. Napastnik rozciągnął go na ziemi, gryzł i tarmosił. Biedak nie miał szansy ucieczki.

Właścicielka rottweilera nawet nie próbowała interweniować. Trzymała wprawdzie w ręku łańcuszkową smycz, ale wolała nie ryzykować przywoływania do porządku swego ulubieńca. Wyciągnęła tylko gwizdek, dmuchnęła weń i na odległość wydawała komendy:

- Brutus! Waruj! Do nogi!

Rottweiler ignoRował te rozkazy, a Lucy była bliska hysterii. Przecież ta rozszalała bestia mogła zamordować ulubionego psa Elfridy!

- Niech pani go trzyma! - krzyczała. - Niech pani coś zrobi!

W zamieszaniu przestała zwracać uwagę na zbliżający się ciągnik. Tymczasem właśnie stamtąd przyszła pomoc, jak w starych westernach, kiedy szarża kawalerii w ostatniej chwili ratowała sytuację. Traktorzysta otworzył kabinę, wyskoczył ze swego pojazdu, ostatnie metry przebył biegiem i bez wahania przystąpił do akcji. Ciężkim butem wymierzył rottweilera w kopniaka w jego muskularny zadek, a dodatkowo napędził mu stracha okrzykiem:

- Poszedł precz, łobuzie!

Zaskoczony rottweiler puścił Horacego i zwrócił się ku nowemu przeciwnikowi, ale młody mężczyzna złapał go za nabijaną ćwiekami obrozę i siłą odciągnął od ofiary. Lucy nie mogła się nadziwić jego zimnej krwi.

- Co pani sobie, do jasnej cholery, wyobraża? - wsiadł ostro na właścicielkę rottweilera. Wyrwał jej z ręki smycz i przypiął ją do obroży warczącego i szarpiącego się psa. Przyciągnął go do jego pani, a ta oburącz wczepiła się w pętlę na końcu smyczy.

- Niech pan na mnie nie krzyczy! - próbowała protestować.
- Dlaczego nie trzymała pani psa na tym łańcuchu?
- Tamten pies go zaatakował!

Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, dama odzyskała zaczepny nastrój. W jej głosie wyczuwało się inny akcent niż u ludzi pochodzących z Sutherland. Może przyjechała z Liverpoolu czy Manchesteru?

- Niech pani nie opowiada bzdur. Widziałem całe zajście.
 - Brutus nigdy nie atakuje pierwszy! - Paniusia aż poczerwieniała na twarzy, usiłując utrzymać na smyczy swego psa.

- Akurat, to wściekła bestia!

- Nieprawda!

- Gdzie pani mieszka?

- A co to pana obchodzi?

- Bo gdyby pani tutaj mieszkała, wiedziałyby pani, że nie wolno tak agresywnych psów puszczać luzem w publicznym miejscu.

- Ja nie jestem stąd - oświadczyła z taką dumą, jakby miała ku temu powody. - Przyjechałam w gości do mojej siostry. Mieszkam w przyczepie campingowej.

- No więc niech pani wraca do swojej przyczepy i zamknie tam tego psa.

- Proszę nie mówić do mnie takim tonem!

- Będę mówił tak, jak mi się spodoba. Jestem pracownikiem klubu golfowego.

- Myślałby kto, wielkie co...

- Proszę zabrać tego psa i wynosić się stąd. Jeśli jeszcze raz zobaczę go biegającego luzem, zawiadomię policję.

- A ja oskarżę pana o zniesławienie!

W tym momencie jednak Brutus przejął inicjatywę. Zauważył na torze golfowym dwóch Bogu ducha winnych graczy, a że wciąż kipiał żądzą zatopienia kłów w czyimś gardle - ruszył do ataku. Pociągnął przy tym za sobą właścicielkę, która na swych krótkich nogach ledwo za nim nadążała.

- Jak żyje, nikt mnie tak nie obraził...! - krzyczała jeszcze w biegu. - Ja panu tego nie daruję!

Dalszej przemowy nie było już słychać, bo zagłuszył ją szum wiatru. Nareszcie zniknęła z pola widzenia, a Lucy sie-

działa na mokrej trawie, tuląc do siebie Horacego. Młody człowiek przykląkł obok niej. Zauważyła, że jest opalony, ma niebieskie oczy i krótko przyszczyżone włosy o tak złocistym odcieniu, jakby były farbowane. W lewym uchu miał złote kółeczko.

- Dobrze się czujesz? - spytał, a Lucy, o wstydzie, wybuchnęła płaczem.

- Ja tak... ale Horacy...

- Zaraz zobaczymy. - Delikatnie wyswobodził psa z jej objęć i obmacał go ze wszystkich stron. Odgarnął mu przy tym długie kudły z oczu, głaskał i uspokajał łagodnymi słowami. - Myślę, że nic mu nie będzie. To tylko powierzchowne zadraśnięcia i stłuczenia.

- Przecież on tylko szczekał! - łkała Lucy. - On jest taki głupi, że zawsze szczeka na obce psy. Myślałam, że tamten go zabije!

- Na szczęście tego nie zrobił.

Lucy pociągnęła nosem. Nie mogła znaleźć chusteczki, więc wytarła nos grzbietem dłoni.

- I to nawet nie jest mój pies, tylko Elfridy! - tłumaczyła. - Wzięłam go tylko na spacer.

- Skąd szliście?

- Z Creagan.

- Mogę podwieźć cię kawałek ciągnikiem. Do klubu golfowego, dalej już pójdziesz sama.

- Oczywiście, że pójdę.

- No, to wskakuj.

Pomógł jej wstać, a Horacego wziął na ręce i zaniósł do swego ciągnika, który zostawił z otwartymi drzwiami kabiny i włączonym silnikiem. Lucy usiadła na siedzeniu dla pasażera, a Horacego posadziła przy swoich nogach, aby mógł oprzeć się o jej kolana. Młody człowiek wskoczył na swoje miejsce, zatrzasnął drzwi i wrzucił bieg. Traktor ruszył, podskakując na wybojach, z grzechoczącym wózkiem z tyłu.

Lucy przestała płakać i próbowała nawiązać rozmowę.

- Myślisz, że nic mu się nie stało?

- Najlepiej w domu wykapać go w wodzie z jakimś środkiem dezynfekcyjnym, aby odkażić drobne skaleczenia. Gdybyś zna-

lazła jakieś większe rany, zawieź go do weterynarza, żeby założył szwy. Oczywiście jest potłuczony, więc przez kilka dni będzie chodził sztywno.

- Tak mi przykro! Powinnam była lepiej go pilnować.

- A co tu mogłabyś poradzić? Ta baba to chyba zupełna wariatka. Niech no ja jeszcze dorwę tego jej kundla, to go zastrzelę!

- On się nazywał Brutus! - przypomniała Lucy.

- Powinien raczej nazywać się Brutal!

Lucy, mimo tych wszystkich przeżyć, zdobyła się na uśmiech.

- Dziękuję ci, że mi pomogłeś - oświadczyła.

- Nie ma za co. Mieszkasz w Zarządzie Majątku, u Oskara Blundella, prawda?

- Tak, znasz go?

- Ja nie, ale mój ojciec go zna. Jestem Rory Kennedy, mój ojciec jest tu pastorem.

- A ja się nazywam Lucy Wesley.

- Jakie masz ładne imię!

- Gdzie tam, koszmarnie! - Zaprzeczyła dla formy, choć miło jej było siedzieć w bezpośredniej bliskości tak dzielnego i uprzejmego młodego mężczyzny. Czowała przyjemną twardość jego muskularnego ciała, zapach smarów, którymi była przesycona jego kurtka, i miłe ciepło fizycznego kontaktu - czegoś dotąd nieznanego. - Byłoby dobre dla jakiejś zakonnicy!

- Bywają gorsze przypadki. Moja młodsza siostra nazywa się Clodagh, ale nie cierpi tego imienia. Wolałaby, aby ją wołać Tracey Charlene.

Teraz Lucy nie mogła już powstrzymać śmiechu.

- Czy nie widziałem cię czasem wczoraj w kościele? - upewniał się Rory.

- Zgadza się, byłam tam, ale nie widziałam ciebie. Trudno byłoby zauważyć kogokolwiek w takim tłumie! Byłam z Elfridą i zachwycałam się tymi lampami, które podświetlają sufit. Carrie też chciała pójść z nami, ale przeziębila się i musiała zostać w domu. Rano był doktor i kazał jej leżeć w łóżku, ale to nic poważnego, tylko musi odpocząć. Gdyby była tu ze mną, może nie doszłoby do tej walki psów.

- Rzeczywiście nie ma nic gorszego od walki psów, ale nikt nie mógł temu zapobiec.

To zabrzmiało pocieszająco!

- Pracujesz w klubie golfowym? - chciała wiedzieć.

- Tak, dorywczco. Mam teraz rok przerwy, bo skończyłem szkołę średnią, a dopiero w przyszłym roku rozpoczynam studia na uniwersytecie Durham. Przez całe lato zatrudniałem się jako pomocnik przy amerykańskich turystach i zarobiłem sporo szmalu, ale oni rozjechali się do domów, więc teraz tylko pomagam konserwatorowi zieleni.

- A co chcesz robić później?

- Wybieram się do Nepalu. Mam tam obiecaną posadę nauczyciela.

Zaimponował tym Lucy.

- Czego będziesz uczył?

- Czytania, pisania, rachunków i gry w piłkę, bo to mają być zupełnie małe dzieci.

- Nie chcę nawet myśleć, co zrobię, kiedy będę miała taką przerwę - wyznała po namyśle.

- A ile ty masz lat?

- Czternaście.

- To masz jeszcze sporo czasu, żeby coś planować.

- Na pewno nie chciałabym pojechać sama w jakieś dzikie kraje.

- Dzikie, to znaczy jakie?

- No, wiesz, tam, gdzie są krokodyle albo wybuchają rewolucje.

- Chyba za dużo naoglądałaś się telewizji! - roześmiał się szeroko.

- Najpewniej po prostu zostanę w domu.

- A gdzie stale mieszkasz?

- W Londynie.

- Chodzisz tam do szkoły?

- Tak, jako dochodząca.

- A tu przyjechałaś na święta?

- Tak, z Carrie. Właściwie to moja ciotka. Stale mieszkam z mamą i babcią, ale mama chce spędzić święta w Ameryce, a babcia w Bournemouth.

- A co robi twój tatuś?
- Oni z mamą się rozwiedli. Rzadko go widuję.
- To przykre.
- Nic takiego. - Wzruszyła ramionami.
- Mama prosiła, żebym pożyczył ci mój stary telewizor.

Chcesz?

- A masz drugi?
- Pewnie.
- No, to by było miłe z twojej strony, ale jakoś obchodzę się bez telewizora.

- Dobra, pomyślimy. - Na jakiś czas rozmowa się urwała, tylko traktor podskakiwał na wybojach. - Ale jutro przyjdziecie wszyscy do nas, prawda? W naszej szkole o siódmej wieczorem będzie impreza. Wybieramy się z Clodagh, może poszłabyś z nami?

- A jaka to będzie impreza?
- No, trochę potańczymy.

Lucy od razu odczuła pewien niepokój, gdyż żywiła głęboką awersję do tańców. Myliły jej się kroki, nie mogła zapamiętać, co się robi lewą nogą, a co prawą. Owszem, bywała na przyjęciach, ale bez tańców, a tam, gdzie ją zabierano, tak zżerała ją nieśmiałość, że bała się odezwać.

- No, nie wiem... - wyjąkała w końcu.
- Czego znów nie wiesz?
- Czy mam ochotę na tańce.

- A niby dlaczego nie? Tam będą tylko dzieciaki ze szkoły, bo chcą przećwiczyć stare szkockie tańce przed sylwestrem. Zobaczysz, jak będzie fajnie.

- Ale ja nie umiem tańczyć szkockich tańców! Nie znam żadnych kroków.

- No więc najwyższy czas się nauczyć - orzekł Rory.

Lucy jeszcze się wahała, ale uśmiechał się do niej tak zachęcająco, że zaskoczyła ją własna reakcja:

- No dobrze. Ale... tam pewnie trzeba ładnie się ubrać?
- Broń Boże! Wystarczą dzinsy i adidasy.

Tak rozmawiali, że nie zauważyli, kiedy zrobiło się ciemno. Do tego zaczął padać śnieg, wielkimi płatkami. Osadały one na szybie kabiny, więc Rory włączył wycieraczki.

- Tylko czekałem, kiedy zacznie sypać - powiedział. - Widzisz te czarne chmury, które napływają z północy? Słyszałem dziś rano prognozą pogody, w której zapowiadali obfite opady śniegu.

- No, to będziemy mieć białe święta.

- Chciałabyś, żeby tak było?

- Nie wiem, bo nie widziałam jeszcze Bożego Narodzenia w śniegu.

- Przyjemnie wtedy jeździć na sankach, ale służby drogowe mają ciężką robotę.

Tymczasem dojechali już do stóp pagórka, na którym mieścił się klub golfowy. Rory zajechał na parking, wyłączył silnik, otworzył drzwi kabiny i wysiadł.

- Tak będzie dobrze? - spytał.

Na jego włosach i na grubej kurtce osiadły płatki śniegu. Lucy wygramoliła się z kabiny zaraz za nim, a Rory podniósł Horacego i postawił go na ziemi. Pies otrząsnął się i nawet zamerdzał puszystym ogonem. Śnieg sypał coraz intensywniej, a pod nogami utworzyła się już śliska błonka. Jeden płatek śniegu wylądował na nosie Lucy, więc starła go ręką. Z kieszeni wyciągnęła smycz Horacego, a Rory przypiął ją do jego obroży.

- No to na razie - uśmiechnął się szeroko. - Teraz leć do domu.

- Dziękuję ci bardzo!

- Widzimy się jutro, prawda?

- Tak.

Powoli schodziła z pagórka, a Horacy dzielnie kuśtykał przy jej nodze. Lucy powtarzała sobie, że teraz trzeba będzie wykapać go w środku odkażającym, a w razie potrzeby zabrać psa do weterynarza. Miała nadzieję, że Elfrida nie będzie się gniewać - była nawet tego pewna. Niewątpliwie zrozumie, że to, co zaszło, nie stało się z winy Lucy... Tymczasem usłyszała za sobą odgłos zapalnego silnika i odwróciła się, aby pomachać Rory'emu ręką. Śnieg padał jednak tak intensywnie, że przypuszczalnie Rory nie mógł tego widzieć.

Stanowczo miała dziś za dużo mocnych wrażeń jak na jeden dzień! Zdażyła „zaliczyć” i długi spacer, i walkę psów,

przejażdżkę traktorem i jeszcze zaproszenie na tańce! Nie mogła się wprost doczekać, kiedy opowie o wszystkim Elfridzie i Oskarowi.

Elfrida

Elfrida odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała dźwięk otwieranych drzwi frontowych i głos Lucy. Zaczęła się już niepokoić, bo mimo południowej pory zrobiło się ciemno jak w nocy, a za oknem kuchni padający śnieg przyćmił całą widoczność. Zresztą jeszcze zanim z ołowianego nieba zaczął sypać śnieg, Elfrida wyrzucała sobie, że lekkomyślnie pozwoliła małej dziewczynce na samodzielną wyprawę. Oczami duszy widziała już wszelkie możliwe nieszczęścia, jakie mogły się zdarzyć. Oskar nie przejmował się aż tak dalece. Siedział przy kominku i za każdym razem, kiedy Elfrida nerwowo podbiegała do okna, uspokajał ją, że przecież Lucy jest rozsądną dziewczyną, ma ze sobą dużego psa, a zresztą nie można jej przez całe życie trzymać pod kloszem!

Elfrida wiedziała, że wszystko to jest prawdą, więc poszła do kuchni obrać kartofle na lunch, ale przez cały czas nastawiała uszu jak czujny pies. Kiedy usłyszała głos Lucy - zostawiła kartofle i popędziła ku drzwiom, w biegu wycierając ręce w fartuch. Na progu rzeczywiście stała Lucy z Horacym, oboje zaśniewani. Lucy miała do opowiedzenia mrozącą krew w żyłach historię.

Już w ciepłej kuchni, zdejmując kurtkę, czapkę i buty, dzieliła się z Elfridą swoimi przeżyciami:

- ...i tam biegał luzem taki groźny pies... to był rottweiler... rzucił się na Horacego i pogryzł go... Na szczęście Rory Kennedy przyjechał traktorem... On był taki odważny... nakrzyczał na tę panią od rottweilera... Podwiózł nas traktorem do klubu golfowego i dopiero wtedy zaczęło padać... Tak mi przykro, Elfrido, ale naprawdę nie mogłam nic zrobić! Biedny Horacy jest cały pokaleczony! Rory mówił, żeby wykopać go w jakimś środku odkażającym... MAMY coś takiego? Bo jeśli nie, to zaraz

polecę do apteki i przyniosę... Tak się przestraszyłam... Przecież on mógł go zabić!

Widać było, że jest zdenerwowana, ale na swój sposób także podniecona - w końcu przeżyła fascynującą przygodę, z której wyszła obronną ręką. Policzki miała zaróżowione, a oczy błyszczące i wyglądała na bardziej ożywioną niż kiedykolwiek. Dotychczas sprawiała wrażenie nadmiernie poważnej i posłusznej jak na swój wiek, toteż ta przemiana ucieszyła Elfridę. Teraz była pewna, że dobrze zrobiła, pozwalając Lucy na trochę samodzielności.

Tymczasem Horacy siedział na podłodze i wyglądał na skruszonego.

- Co z tobą, Horacy? - zagadała do niego Elfrida. - Pogryzłeś się z jakimś groźnym psem?

- On kilka razy szczeknął na niego - musiała przyznać Lucy.

- Tylko bardzo głupie psy szczekają na rottweilery! - poczyła psa Elfrida.

Przyniosła z łazienki butlę dettolu, a Lucy napełniła ciepłą wodą zlew w zmywalni. Wsadziły tam Horacego, przy czym stopniał śnieg pozostały na jego futrze. W kuchni nie było prysznicu, ale Elfrida znalazła stary dzbanek i za jego pomocą polewała dezynfekującym roztworem grzbiet, łapy i szyję psa.

Horacy znosił ten zabieg nadspodziewanie spokojnie. W czasie kąpieli Elfrida nie znalazła na jego ciele żadnych poważniejszych obrażeń poza drobnymi skaleczeniami, które z czasem goją się same. Miał wprawdzie lekko naderwane jedno ucho, a na brzuchu spory krwiak, ale generalnie rzecz biorąc, wyszedł z tej opresji bez większego szwanku.

- To nie będzie trzeba jechać z nim do weterynarza? - z ulgą upewniała się Lucy.

- Chyba nie, i dobrze, bo nawet nie wiem, gdzie tu przyjmuje najbliższy weterynarz, a przy takiej śnieżycy i tak nie dołalibyśmy nigdzie dojechać.

Elfrida spuściła wodę ze zlewu, owinęła Horacego w gruby ręcznik i zaniósła go do kuchni. Tam delikatnie osuszyła jego sierść.

- No, to mamy dwoje pacjentów - zauważyła. - Może powinniśmy zmienić szyld i zamiast „Zarząd” napisać „Szpital Majątku”?

Lucy z miejsca poczuła wyrzuty sumienia.

- A to wstyd, zupełnie zapomniałam o Carrie! Czy ona jeszcze śpi?

- Myślę, że tak, bo coś mi tu za bardzo cicho.

- A gdzie jest Oskar?

- W salonie.

- Muszę zaraz mu o wszystkim opowiedzieć!

- Na pewno go zaszokujesz, ale masz zupełnie przemoczone dzinsy. Radziłabym ci najpierw się przebrać, a te mokre rzeczy przynieś tutaj, to rozwiesimy je na suszarce.

- Dobrze. - Lucy już znikła za drzwiami, ale jeszcze zawróciła. - Elfrido...

- Co, kochanie?

- Rory Kennedy jest taki miły... I wiesz, on chyba farbuję włosy!

- No wiesz! - Elfrida udała zgorzzenie. - Co na to powiedziałaaby twoja babcia?

- Że to „nieeleganckie”! - Lucy udanie sparodiowała głos Dodie. Parsknęła śmiechem i pobiegła do swego pokoju na górze, skacząc po dwa stopnie naraz.

Okolo trzeciej po południu Elfrida poszła sprawdzić, co się dzieje z Carrie. Śnieg tymczasem przestał padać, ale zapadł już zmierzch, więc musiała zaciągnąć zasłony i zapalić światło.

Delikatnie zastukała do drzwi pokoju Carrie i otworzyła je.

- Carrie?

- Wchodź, już nie śpię.

W przyćmionym świetle widać było głowę Carrie na tle białej poduszki. Elfrida postąpiła szybko naprzód, aby zapalić małą lampkę przy łóżku. Carrie przeciągnęła się, a potem uśmiechnęła do niej.

- Która to godzina?

- Trzecia.

- A ciemno już jak w nocy!

- Bo się zachmurzyło i spadł śnieg. Napadało ze cztery cale, ale już przestało.

Podeszła do okna, żeby zaciągnąć portiery. W sypialni momentalnie zrobiło się bardziej przytulnie, bo mała lampka dawała nastrojowe światło, a po kątach kryły się cienie. Elfrida przysiadła na brzegu małżeńskiego łóżka.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Jestem jeszcze bardzo ociężała. Jak mogłam spać tak długo?

- Byłaś po prostu przemęczona. Może zjadłabyś coś albo przynajmniej napiła się herbaty?

- Z przyjemnością napiję się herbaty - odpowiedziała Carrie po namyśle. - Ale najpierw muszę pójść do ubikacji.

Kiedy wstała z łóżka, spod batystowej koszuli nocnej widać było jej chude ramiona i nogi. Założyła szlafrok, mocno przewiązując się paskiem w wąskiej talii. Tymczasem Elfrida zeszła na dół, aby nastawić wodę na herbatę. Ustawiła na tacy dwie filiżanki, dla siebie i Carrie, a do tego znalazła ciasteczka, które kiedyś kupił Oskar, bo skusiła go ich wyjątkowo dobrą jakością. Zanim zaniósła tacę na górę, Carrie zdążyła już wrócić do łóżka, lecz przedtem umyła twarz i zęby, przyczesła włosy, a nawet się uperfumowała. Od razu prezentowała się lepiej.

- Och, Elfrido, jesteś aniołem. Przykro mi, że sprawiłam wam tyle kłopotu...

- To żaden kłopot, raczej cieszę się, że nareszcie mogłam porządnie odpocząć.

- Tak tu cicho. Gdzie są wszyscy?

- Zaraz gdy tylko śnieg przestał padać, Oskar i Lucy wybrali się na zakupy. Chcą poszukać jakichś ozdób choinkowych.

- Gdzie spodziewają się je znaleźć?

- Bo ja wiem? Może w sklepie żelaznym? Jeszcze przedtem Lucy wyszła z Horacym na spacer i miała taką straszną przygodę...

Opowiedziała o starciu Horacego z rottweilerem. Oczywiście Carrie struchlała, ale i podziwiała opanowanie Lucy.

- No, to rzeczywiście przygoda, ale chyba tego najbardziej potrzebowała. Jakie życie ona może mieć w Londynie z Dodie i Nicola? Przecież to egoistki bez cienia wyobraźni! Nie wiem,

co działałoby się ze mną, gdyby nie Jeffrey, a ona nie ma kontaktu ani z nim, ani ze swoim rodzonym ojcem. Dodie i Nicola są takie ograniczone, umieją tylko plotkować o swoich znajomych albo o ciuchach!

- Więc co to biedne dziecko robi przez cały dzień?

- Większość czasu spędza w szkole. Ma też dobrą przyjaciółkę, Emmę, a w mieszkaniu Dodie ma przynajmniej oddzielny pokój.

- To pewnie na oczy nie widzi żywego mężczyzny ani chłopca.

- Oczywiście, bo chodzi do szkoły żeńskiej, a jeśli nawet czasem odwiedzi ojca, to zawsze ta wredna Marilyn kręci się w pobliżu. Pewnie ta idiotka jest zazdrosna!

- Za to teraz Rory Kennedy chyba wpadł naszej Lucy w oko. Mało tego, że wykazał się odwagą, to jeszcze ma farbowane włosy i kolczyk w uchu!

- To rzeczywiście musi być fascynujące!

- Na jutro jesteśmy zaproszeni do Kennedych na drinka. Chciałabym, żebyś poznała Tabithę, ale nie wiem, czy będziesz się czuła na tyle dobrze.

- Zobaczmy.

- Trzeba trafu, że akurat w szkole szykuje się impreza dla dzieciaków, ze szkockimi tańcami. Rory zaproponował Lucy, żeby z nim poszła, a ona aż się rwie do tego. Już zapowiedziała, że wieczorem umyje włosy.

Carrie piła gorącą herbatę o dymnym zapachu, bo Elfrida wrzuciła do filiżanek torebki lapsang souchong.

- Obawiam się, że nie obejdzie się bez łez, kiedy będziemy musiały wracać do Londynu - powiedziała ze smutkiem.

- Nie chcę nawet myśleć o tym!

- Ja natomiast przemyślałam już kwestię mojej pracy w biurze podróży. Zdecydowałam, że przyjmę tę posadę, przynajmniej na rok. Będę wtedy mogła przebywać blisko Lucy i zmuszę Dodie, żeby pozwoliła mi zabrać ją do Kornwalii, do Jeffreya i Sereny. Masz pojęcie, że ona w ogóle nie zna Jeffreya? Była niemowlęciem, kiedy się rozwiódł z Dodie, a ta wciąż nie może mu tego zapomnieć.

- Biedna kobieta!

- Dlaczego tak uważasz?
- Bo widać nie ma o czym myśleć. Chcesz jeszcze herbaty?
Carrie podstawiła pustą filiżankę, aby Elfrida mogła ją powtórnie napełnić.

- Nicola nie dzwoniła?

- A miała dzwonić?

- Odlatuje dzisiaj na Florydę, więc spodziewałam się, że przynajmniej pożegna się z Lucy. Ale oczywiście nie zdobyła się na to.

- Lucy nawet o tym nie wspominała. Myślę, że w tej chwili bardziej ją obchodzą przejścia Horacego, Rory Kennedy i kupowanie ozdób na choinkę.

- To i lepiej dla niej.

Na tym rozmowa się urwała i obie panie w milczeniu popijały herbatę. Panowała cisza, bo w domu nie było nikogo poza nimi dwoma. W końcu Elfrida nie wytrzymała i siląc się na maksymalnie obojętny ton głosu, zadała to pytanie, które przez cały czas chciała zadać.

- Czy nie uważasz, że teraz jest dobry moment, abyśmy porozmawiały?

Carrie podniosła głowę i wlepiła w Elfridę zdziwiony wzrok swoich pięknych, piwnych oczu.

- Jak to rozmawiały?

- No, przecież sama obiecałaś, że innym razem opowiesz mi, dlaczego tak nagle opuściłaś Austrię i zdecydowałaś się przyjąć tę pracę w Londynie. Teraz masz możliwość mówić zupełnie swobodnie, bo nikt nas nie podsłucha. Nie myśl, że wtrącam się w nie swoje sprawy, po prostu chciałabym wiedzieć, dlaczego jesteś taka smutna i zmęczona.

- A co, widać to po mnie?

- Tak, choć nie jesteś przez to mniej piękna.

- Miła jesteś, ale w tej chwili wcale nie wydaję się sobie piękną. Jestem już po trzydziestce i czuję się tak, jakbym przekraczała jakiś próg, nie wiedząc, co mnie czeka po drugiej stronie. Odkąd widziałyśmy się po raz ostatni, czas zaczął jakby szybciej mijać. Kiedyś wydawało mi się, że do trzydziestki brakuje mi jeszcze sporo lat, a tymczasem ani się obejrzę, a będę już miała czterdzieści albo i pięćdziesiąt lat. To oznacza, że

najwyższa pora, abym coś zrobiła ze swoim życiem, ale sama świadomość, iż trzeba będzie podejmować decyzje, poznawać nowych ludzi i odnajdywać starych przyjaciół, odbiera mi siły.

- Aha, to pewnie dlatego byle wirus tak łatwo dał ci radę!

- Myślisz, że mój stan psychiczny miał wpływ na mój stan zdrowia?

- Chodziło mi raczej o to, że jesteś w ogóle wrażliwa.

- Ja wrażliwa? Jeszcze nikt mnie tak nie nazwał.

- Każdy jest w jakiś sposób wrażliwy.

- Przysięgłabym, że raczej jestem silna.

Elfrida poczekała, aż Carrie dopije swoją herbatę, a wtedy wzięła od niej filiżankę i odstawiła razem z tacą na podłogę. Potem wróciła do łóżka Carrie i rozsiadła się wygodnie, opierając się plecami o jego mosiężną ramę.

- No więc opowiadaj, co się stało.

- Pracowałam już wtedy w Oberbeuren mniej więcej od roku. Zarabiałam dobrze, miałam do dyspozycji samodzielne mieszkanie, a przede wszystkim robiłam to, co lubię najbardziej. W tym korzystnym dla mnie okresie poznałam Andreasa. Przyjechał zaraz po pierwszym śniegu, z grupą kolegów, na doroczny zjazd absolwentów swojej uczelni i zatrzymał się w wielkim hotelu. Jak się potem dowiedziałam, był bankowcem zatrudnionym w przedsiębiorstwie rodzinnym, którym kierował jego ojciec. Nie ukrywał, że jest żonaty i ma dwoje dzieci, ale nie przeszkadzało mi to, bo też już nie byłam niewinną panienką. Nie przypuszczałam, że się w nim zakocham, ani on tego nie przewidywał, ale tak jakoś wyszło.

Nigdy dotąd nie spotkałam takiego przystojniaka, który byłby jednocześnie duszą towarzystwa, świetnym narciarzem i niezrównanym kochankiem! Nie wyglądał na typowego Niemca, bo nie był blondynem ani nie miał niebieskich oczu. Przeciwnie, taki wysoki, chudy i czarniawy facet wyglądał raczej na pisarza lub profesora niż na bankowca.

Tamtej zimy przyjeżdżał do Oberbeuren dość często. Do Monachium przylatywał firmowym samolotem, a dalej już samochodem. Tylko że potem nie zatrzymywał się w hotelu, tylko od razu u mnie. Stworzyliśmy sobie własny świat, do którego nikt inny nie miał dostępu. Obawiałam się, że gdy śnieg

stopnieje, to i on wyjedzie, ale oświadczył mi, że lubi góry tak samo latem jak i zimą. Całymi dniami włóczyliśmy się więc po okolicy, kąpaliśmy w lodowatych jeziorach, a nocowaliśmy w górskich zajazdach, gdzie rano budził nas dźwięk kRowich dzwoneków...

Andreas podróżował w interesach po całej Europie i czasem zabierał mnie ze sobą. Dzięki niemu zwiedziłam Wiedeń, Luksemburg i Monachium. W Wiedniu byliśmy zimą. Odbывał się tam wtedy gwiazdkowy jarmark, gdzie kupowaliśmy sobie pierniczki i ozdoby choinkowe z malowanego drewna. Wieczorem poszliśmy do opery na *Kawalera srebrnej róży*, a potem na kolację do restauracji „Pod Trzema Huzarami”. Jakies pół roku temu znów przyjechał do Oberbeuren, ale tym razem robił wrażenie zmęczonego i zatroskanego. Kiedy spytałam go, co się z nim dzieje, odpowiedział mi, że poprosił swoją żonę o rozwód, gdyż chciałby ożenić się ze mną. Nie wiedziałam, jak zareagować, gdyż z jednej strony wiedziałam, ile szczęścia dało Jeffreyowi małżeństwo z Sereną, ale też pamiętałam, w jakiej atmosferze przebiegał jego proces rozwodowy. O żonie Andreasa nie wiedziałam nic poza tym, że na imię miała Inga, ale nie wyobrażałam sobie, że jakakolwiek kobieta mogłaby nie być w nim zakochana. Tak więc tyleż czułam się winna, co zachwycona. Starałam się nie wybiegać myślami w przyszłość - z Andreasem żyliśmy z dnia na dzień. Nie mogłam sobie przypomnieć dnia, kiedy nie byłoby go przy mnie.

Od tamtej rozmowy nie poruszał już więcej tematu rozwodu. Pojechaliśmy razem w góry i najwyżej od czasu do czasu rzucał luźne uwagi w rodzaju: „Kiedy się pobierzemy, zbudujemy tu domek weekendowy. Przywiozę tu kiedyś moje dzieci, żebyś je poznała”. Nie próbowałam rozwijać tego tematu, bo wydawało mi się to kuszeniem losu.

Po jakimś czasie wspomniał, że skontaktował się już z adwokatem, a znowu kiedy indziej - że odbył rozmowę ze swymi rodzicami. Miał ich podobno poinformować, że jego małżeństwo się rozpadło i ma zamiar się rozwieść.

Podejrzewam, że musiało wtedy dojść do kłótni. Pochodził z zamożnej, katolickiej rodziny, powszechnie szanowanej we Frankfurcie. Mogłam sobie wyobrazić, jakim szokiem mu-

siała być dla nich ta wiadomość. Nie miałam jednak tyle odwagi, aby jako pierwsza zerwać nasz związek. Pozostawiłam to decyzji Andreasa.

On zaś przeciągał sytuację jeszcze przez jakieś trzy miesiące. Był tak pewny siebie, aż sama uwierzyłam, że potrafi pokonać trudności i odzyskać wolność. Teraz jednak myślę, że po prostu nie zdołał przeciwstawić się zbyt silnej presji otoczenia. Mimo wszystko był jednak przywiązany do żony, kochał dzieci, szanował rodziców i przyzwyczaił się do określonego stylu życia. Pewnie też zagrożono mu, że jeśli rozbiję swoje małżeństwo - puszcza go w skarpetkach.

Na pewno słyszałaś już nieraz takie banalne historie, jak z brukowego melodramatu. Potem Andreas oświadczył mi, że między nami wszystko skończone i że wraca do Frankfurtu, do Ingi i dzieci. Próbowałam odważnie znieść tę decyzję, ale gdy nadszedł czas rozstania - poczułam się, jakby życie ze mnie uciekało.

Miałam nadzieję, że uda mi się kontynuować moją pracę w Oberbeuren, ale okazało się, że nie potrafię na niczym skupić uwagi, a to przecież zbyt odpowiedzialna praca, aby ją wykonywać byle jak. Oświadczyłam więc szefowi, że muszę wracać do Londynu. Zostałam jeszcze tylko dopóty, dopóki nie znalazłam kogoś innego na moje miejsce.

Wciąż jeszcze Andreas prześladowuje mnie w snach. Czasem są to koszmarne sny, a innym razem zjawia się, aby mi oświadczyć, że to wszystko było pomyłką, bo naprawdę Inga już go nie chce, a więc wraca do mnie. Budzę się wtedy taka szczęśliwa... No więc tak to wyglądało - zakończyła Carrie po krótkiej pauzie.

- Dziękuję ci, kochanie, że mi o tym opowiedziałaś.
- To chyba musiała być strasznie nudna historia. Tak jak mówiłam, banalna.
- Ani trochę.
- Myślę, że wyleczę się z Andreasa tak samo, jak i z tego przeziębienia. W końcu życie toczy się naprzód. Na razie postaram się pozbierać i robić dobrą minę do złej gry.
- Przy mnie nie musisz niczego udawać.
- Powtórzysz Oskarowi to, co ci powiedziałam?

- Tylko jeśli zechcesz.

- Możesz krótko mu o tym napomknąć. Lepiej, żeby między nami nie było żadnych niedomówień.

- No dobrze - zgodziła się Elfrida z westchnieniem. - Tylko pamiętaj, że życie się na tym nie kończy. Jeszcze nie wiesz, jakie niespodzianki szykuje ci w zanadrzu. Spójrz tylko na mnie! Dopiero co myślałam, że będę do końca swoich dni samotnie wegetować w tej dziurze w Hampshire, a tu proszę, raptem znalazłam się z Oskarem Blundellem na północy Szkocji.

- Tylko że Oskar nie jest żonaty.

- Ano nie. - Elfrida przez chwilę pomyślała o Jimbie i zadumała się nad przewrotnością losu. - Ale świat jest pełen żonatych facetów.

- Już nie dla mnie. Więcej nie dam się na coś takiego nabrać.

Z dołu dobiegły odgłosy otwierania i zamykania drzwi frontowych, połączone z radosnym śmiechem Lucy i Oskara, zadowolonych z udanych zakupów. Elfrida zsunęła się z wysokiego łóżka Carrie.

- No, muszę już iść, bo Oskar na pewno będzie chciał napić się herbaty. Mam poprosić Lucy, żeby do ciebie przyszła?

- O, tak, koniecznie! Muszę usłyszeć o tej drace z psami bezpośrednio od niej. No i może dowiem się czegoś ojej nowej sympatii.

- Ale nie będziesz jej dokuczać?

- Jakżebym mogła? Jeszcze nie zapomniałam, jak to jest, kiedy się ma czternaście lat.

Sam

Bar „Pod Książęcymi Sztandarami” w Buckly nie mógł poszczycić się eleganckim wnętrzem ani nadmiarem wygód dla turystów. Ściany były ze smolnych sosnowych desek łączonych na pióro i wpust, oświetlenie słabe, a podłoga pokryta wytartym, ciemnobrązowym linoleum. Za kontuarem stał sam właściciel.

ciciel, który nie wyglądał na zadowolonego ze swojej pracy. Małe, okrągłe stoliki i niewygodne krzeselka też nie zachęcały do zajmowania miejsc. W niewielkim kominku tliły się torfowe brykiety, nad jego gzymsem straszyla szklanym wzrokiem wypchana ryba w gablocie, a w powietrzu unosił się zapach zwiętrzałego piwa i whisky.

- Czego się napijesz? - spytał Fergus Skinner.
- Może być piwo.
- A nie wolałbyś kielicha?
- Nie mogę, pRowadzę.

Fergus zaprosił Sama do tego lokalu zaraz po spotkaniu w sali parafialnej. Zwierzył się Samowi, że chętnie tu przychodzi, gdyż jest to miejsce, gdzie nie naprzykrzają się panienki lekkich obyczajów i można spokojnie posiedzieć przy kieliszku, bez obawy, że ktoś będzie próbował na siłę wciągnąć go do rozmowy.

- No cóż, rozumiem, nic na to nie poradzimy. Ja za to przyszedłem piechotą - ocenił sytuację Sama i kazał sobie podać dużą whisky. Usiłował być dowcipny, ale wcale nie miał wesołego nastroju.

Był to wysoki mężczyzna, który niedawno przekroczył czterdziestkę, lecz wyglądał na starszego. Może przyczyniły się do tego rysi i wygląd typowy dla szkockiego górala - czarne włosy przy jasnej cerze, głęboko osadzone oczy, orli nos, wpadnięte policzki i ponury wyraz twarzy.

Pozory jednak okazały się mylące. Fergus Skinner pracował kiedyś jako brygadzysta w zakładach McTaggarta, a po bankructwie właściciela zebrał rozproszoną załogę i zwrócił się do miejscowej fundacji wspierania przedsiębiorczości o wyznaczenie komisarycznego zarządu fabryki. Nic więc dziwnego, że po uruchomieniu zakładów został jednomyślnie obwołany przez pracowników kieRownikiem produkcji, toteż klęskę powodzi potraktował jako swoją osobistą tragedię.

Nie miał jednak zamiaru się poddać. Kiedy Sam zadzwonił do niego z biura firmy Sturrock i Swinfield, aby poprosić go o zorganizowanie zebrania załogi - Fergus Skinner wzoRowo wywiązał się z tego zadania. Rozesłał zawiadomienia, zamieścił nawet odpowiednie ogłoszenia w prasie, skutkiem czego

zebranie osiągnęło tak wysoką frekwencję, że dla spóźnialskich zabrakło miejsc siedzących.

Tymczasem zaś Sam i Fergus przenieśli swoje drinki do rozchwieranego stołu przy kominku. Oprócz nich w lokalu znajdował się tylko jeden konsument, starszy pan przy narożnym stoliku drzemiący nad nie dopitą szklanką i nie dopalonym papierosem, który nie zdradzał zainteresowania tematem ich rozmowy. Zegar ścienny, wskazujący wpół do piątej, tykał bardzo głośno, natomiast mały, czarno-biały telewizor, którego program oglądał barman, był wyciszony do ledwo słyszalnego dźwięku. Rozżarzona bryła torfu osunęła się w płomień, wydając charakterystyczny syk.

- Twoje zdRowie! - Fergus wznosił szklankę.
- I za naszą przyszłość - uzupełnił Sam. Nie schłodzone piwo miało dziwny smak.
- Racja, za przyszłość.

Zebranie odbywało się w sali parafialnej, gdyż w zniszczonych budynkach zakładów nie dało się wygospodarować odpowiedniego pomieszczenia. Sam i Fergus zajęli miejsca na podwyższeniu. Na sali widać było nie tylko mężczyzn, ale i kobiety, a nawet dzieci, zbyt małe, aby je zostawić same w domu.

Na początku zebrani odnieśli się do mówców raczej podejrzliwie niż przyjaźnie. Nic dziwnego, zbyt długo pozostawali bez pracy, aby od razu dawać wiarę nawet najbardziej optymistycznym zapewnieniom. Sam zaczął od tego, że przedstawił się jako nowy dyrektor firmy McTaggart i oświadczył, iż bierze na siebie odpowiedzialność za odbudowę zakładu i wznowienie produkcji. Odpowiedziało mu niechętne milczenie, co świadczyło, że pracownicy wzięli go za jakiegoś wydrwigrosza napuszczonego przez Sturrocka i Swinfielda. Dla rozładowania atmosfery opowiedział im więc o swoich koligacjach rodzinnych, o tym, że pochodzi z Yorkshire i wzrastał w cieniu zakładów włókienniczych podobnych do firmy McTaggart, które także borykały się z trudnościami finansowymi, ale Sturrock i Swinfield dopomogli im wyjść na prostą. Dlatego właśnie znalazł się dziś tutaj.

Doprowadził do tego, że napięcie nieco osłabło, ludzie zaczęli poprawiać się na swoich krzesłach i rozsiadać wygodniej.

Wtedy mówił dalej. Zapoznał zebranych z analizą opłacalności restrukturyzacji zakładów. Przedstawił im perspektywy przedsiębiorstwa opartego na tradycjach i woli działania, ale wykorzystującego nowoczesne technologie, nowy asortyment produkcji i zdobywającego rynki.

Na początku zebrania musiał zachęcać jego uczestników do zadawania pytań. Teraz w górę uniósł się las rąk.

- Czy to znaczy, że będziemy musieli się przekwalifikować?

Odpowiedział, że tak. Zaraz posypały się następne pytania.

- Czy będą zwolnienia?

Na to pytanie również odpowiedział twierdząco, ale pospieszył z zapewnieniem, że to tylko na początku, bo kiedy produkcja ruszy i opanuje nowe rynki, powstaną też nowe miejsca pracy.

Jakaś kobieta wstała, aby zapytać, czy przy zastosowaniu nowych technologii będzie jeszcze zapotrzebowanie na pracę wykańczarek ręcznych, bo taka właśnie była jej specjalność. Sam uspokoił ją, że wyroby o wyższym standardzie zawsze będą potrzebowały ręcznego wykończenia.

Przede wszystkim jednak robotnicy pytali, kiedy będą mogli wrócić do pracy. Mógł im udzielić przybliżonej odpowiedzi, że w najlepszym razie za dziewięć miesięcy, a w najgorszym mniej więcej za rok. Na pytanie, dlaczego to ma trwać tak długo, odpowiedział, że jest jeszcze wiele do zrobienia, a na dowód tego powołał się na mapki geodezyjne wywieszane na tablicy ogłoszeń. Wynikało z nich, że zewnętrzna konstrukcja budynków zakładu zostanie zachowana, ale wewnątrz niezbędna będzie gruntowna przebudowa połączona z wymianą wszelkich instalacji. Przewidziano także założenie sklepu z wyrobami zakładu, co przyciągnęłoby turystów, jak również herbaciarni i baru przekąskowego, co stworzyłoby możliwość dodatkowego zatrudnienia.

Pracownicy chcieli jeszcze wiedzieć, kto miałby być wykonawcą robót budowlanych. Sam zapewnił, że sir David Swinfield jest osobiście zainteresowany w tym, aby zatrudnić wyłącznie miejscowych fachowców, takich jak murarze, hydraulicy, elektrycy i cieśle. Już po Nowym Roku zostaną rozpi-

sane przetargi i będzie oszacowane zapotrzebowanie na siłę roboczą.

Pod koniec zebrania wywiązała się ogólna dyskusja i o to właśnie Samowi chodziło. Zszedł z podium, aby zmieszać się z tłumem i osobiście wyjaśniać ludziom ich problemy. Doszedł do wniosku, że może nie zdażył się z nimi zaprzyjaźnić, ale na pewno zyskał ich zaufanie i chęć do współpracy. W sumie więc poszło mu lepiej, niż się spodziewał, i nie gorzej, niż się obawiał.

- No więc kiedy sprowadzasz się na stałe do Buckly? - zagadnął Fergus, dorzucając do wygasającego ognia następny brykiet torfu.

- Przecież już jestem w Buckly.

- Ale jeszcze wrócisz do Londynu?

- Na razie tak. Obawiam się, że będę musiał kursować ruchem wahadłowym w tę i z powrotem.

- Gdzie się zatrzymałeś?

- W hotelu w Inverness.

- Świeta pewnie spędzisz w domu?

Sam zawahał się przez chwilę, zanim odpowiedział. Postanowił jednak być wobec tego człowieka całkiem szczerzy, bo skoro mieli pracować razem, lepiej, aby nie było między nimi żadnych niedomówień ani nieporozumień.

- Widzisz, w tej chwili właściwie nie mam domu ani rodziny - wyznał. - To znaczy miałem mieszkanie w Nowym Jorku, ale żona mnie opuściła i ona tam została.

- Brrr, to musi być straszne: nie mieć domu! - wzdrynął się Fergus.

- Eee, to nic takiego - roześmiał się Sam. - Teraz to nawet lepiej, bo muszę poświęcać tyle czasu sprawom firmy, że nie mam kiedy pomyśleć o świętach. Mógłbym oczywiście zatrzymać się u znajomych w Londynie, ale wolę zająć się pracą.

- Nie możesz przecież codziennie dojeżdżać z Inverness, bo to kawał drogi, nawet przez te nowe mosty.

- Pewnie, postaram się raczej coś tu wynająć.

- Tymczasem mógłbyś zatrzymać się u mnie. Mam duży dom, a moja żona byłaby zachwycona.

- To miłe z twojej strony, ale wolałbym mieszkać sam. -

Skończył drinka i spojrzał na zegarek. - Chyba już będę leciał, bo sam mówisz, że to kawał drogi.

- Nie na taką fajną brykę. Land-rover discovery, i to nówka, o ile mnie wzrok nie myli!

- Rzeczywiście jest nowy. Kupiłem go, kiedy się dowiedziałem, że mam przenieść się tutaj. To dobry wóz.

- Wiem, bo mój syn ma taki.

- A czym się twój syn zajmuje?

- Jest gajowym. Nigdy nie chciał pracować w branży tekstylnej, bo zawsze miał bzika na punkcie przyrody. Kiedy był mały, przynosił do domu ranne lub chore ptaszki czy wiewiórki, trzymał je w klatkach i pielęgnował, póki nie wyzdrowiały. Po naszej kuchni wiecznie pętały się jakieś nieszczęśliwe zwierzaki. Moja żona mówiła, że to łaska boska, iż nie mieszkamy w Kenii!

Wypowiedział te słowa tak poważnym tonem, że Sam nie od razu wyczuł żart. Kiedy wyszli na dwór, okazało się, że znowu zaczął padać śnieg i na ciemnozielonym discovery Sama utworzyła się całowa warstwa śniegu.

- Może lepiej najpierw zadzwoń do informacji drogowej i dowiedz się, czy szosa do Inverness jest przejezdna - poradził Fergus. - Na Black Isle może być niebezpiecznie.

- Dobra, zobaczę, jak mi się będzie jechało.

- Zobaczymy się jeszcze przed Nowym Rokiem?

- Oczywiście, zadzwonię do ciebie. Będziemy w kontakcie.

- Miło mi było ciebie poznać.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Na pożegnanie uścisnęli sobie dłonie. Fergus odszedł w swoją stronę, pozostawiając za sobą ślad na świeżym śniegu. Sam przez chwilę odprowadzał go wzrokiem, a potem wsiadł do swojego dużego samochodu i zamknął za sobą drzwi. Sięgnął do kieszeni po kluczyki, ale razem z nimi wyciągnął także duży, staroświecki klucz opatrzony tabliczką przywiązaną sznurkiem. To był klucz, który otrzymał od Hughiego McLellana.

To podsunęło mu inny pomysł. Dobrze, że to denerwujące zebranie już się skończyło, ale nie czuł zmęczenia. Powinien teraz wrócić do swojej bazy wypadowej, tam wziąć kąpiel, na-

pić się czegoś mocniejszego i zjeść kolację. Z drugiej strony jednak mógłby skorzystać z okazji, że znajdował się tak blisko Creagan, i rzucić okiem na ten dom, który tak mu zachwalał Hughie. Nie musiałyby nawet wchodzić do środka. Wystarczyłoby zobaczyć, jak to wygląda, i ocenić, czy warto przyjeżdżać tu jeszcze raz, aby podjąć ewentualną decyzję kupna.

Po chwili namysłu zdecydował się powierzyć losowi rozstrzygnięcie tej sprawy. Rzucił monetę i jeśli wypadnie orzeł, skieruje się prosto do Inverness, a jeśli reszka - wstąpi do Creagan. Miał w kieszeni monetę dziesięciopensową, więc podrzucił ją do góry. Wypadła reszka, więc wsadził do schowka przy desce rozdzielczej zarówno pieniądze, jak i klucz od Zarządu Majątku, włączył silnik i zapalił światła.

W snopach światła widział tańczące płatki śniegu. Udzielił mu się nastrój wielkiej przygody. Tyle się nasłuchał o tym Creagan i oto za chwilę miał się tam znaleźć.

Dziwne, ale nawet przy takiej pogodzie na szosie panował stosunkowo duży ruch. Ciężkie samochody dostawcze, dłuższe do przewozu drewna, cysterny z ropą, transporty bydła na północ, samochody osobowe, których kierowcy wracali z pracy do domu, a nawet jeden traktor przebijały się przez śnieg z włączonymi wycieraczkami. Sam włókł się za kolumną takich pojazdów przez milę lub więcej, dopóki traktor nie zjechał w boczną drogę. Dopiero wtedy mógł rozwinąć większą szybkość.

Śnieg nagle przestał padać, spod chmur ukazał się nawet skrawek czystego nieba z sierpem księżyca. Sam przejechał przez most na zatoce morskiej, potem jeszcze dwie mile, aż w przednich światłach zobaczył podświetloną tablicę informującą: „Trasa turystyczna. Creagan. 2 mile”.

Skreślił w oznakowaną w ten sposób drogę, która okazała się jednokierunkową, podporządkowaną szosą wijącą się wzdłuż brzegów morskiego jeziora zalewowego. Zaczynał się właśnie przypływ, więc widoczne było czarne lustro wody, z którym kontrastowały pokryte białym śniegiem łachy przybrzeżne. Krajobraz ten zdawał się tak nierealny, jakby wyjęty ze snu. Punktik światła wskazywał miejsce, gdzie na dalszym odcinku brzegu znajdował się mały domek. Jeszcze kawałek i szosa

skręcała w prawo, na wzgórzu porośnięte sosnowym młodnikiem. Za nim następował kawałek pustej przestrzeni, a w pewnej odległości ukazały się światła miasteczka.

Niebo powtórnie zaciągnęło się chmurami i zaczął sypać śnieg. Sam wjechał do miasta pomiędzy szpalerami drzew i rzędami ulicznych latarni. Główny rynek, z kościołem i murem starego cmentarza, nieodparcie kojarzył mu się z widoczkami często reprodukowanymi na kartach świątecznych - brakowało tylko dAmy w krynolinie, objuczonej paczkami gwiazdkowych prezentów! Powoli okrążył kościół, przestrzegając wskazówek udzielonych mu przez Hughiego - miał szukać niezamieszkanego domu. Kiedy jednak zatoczył pełne koło, nie osiągając pożądanego efektu - zdecydował się zasięgnąć języka. Podjechał więc do krawężnika i zagadnął obładowane paczkami małżeństwo, trzymające się pod rękę:

- Przepraszam państwa, jak mam dojechać do Zarządu Majątku?

- Przecież stoi pan przed nim! - roześmiał się ubawiony przechodzień.

- Ach, to to? Dziękuję panu bardzo.

- Nie ma za co. Dobranoc!

- Wszystkiego dobrego!

Sam nie wysiadał z wozu, bo widział już przedtem ten dom, ale minął go, gdyż według słów Hughiego miał on stać pusty. Natomiast budynek, przed którym teraz zaparkował, miał okna, za szczelnie zaciągniętymi zasłonami, rzęsiście oświetlone.

A więc ktoś tam mieszkał! Sam powtarzał sobie, że w takim razie powinien pojechać dalej. Nie lubił jednak zagadek, bo wiedział, że ta nie dałaby mu spokoju, dopóki by jej nie rozwiązał. Sięgnął więc do schowka po klucz otrzymany od Hughiego, wyłączył światła i wyszedł prosto w padający śnieg. Otworzył bramę z kutego żelaza, potem zamknął ją za sobą i pomaszerował do frontowych drzwi. Znalazł tam przycisk dzwonka, więc nacisnął go i czekał, aż dźwięk rozejdzie się we wnętrzu domu.

Odczekał trochę, lecz ponieważ śnieg sypał mu się za kołnierz, zadzwonił powtórnie. Tym razem natychmiast zapaliło

się światło na dworze, potem dały się słyszeć kroki na schodach i ktoś otworzył drzwi.

Nie wiedział, kogo spodziewał się zobaczyć. Czy starszą panią w fartuszku? Czy może faceta w kapciach, wściekłego, że nieproszony gość oderwał go od ulubionego programu telewizyjnego? Natomiast na pewno nie spodziewał się, że drzwi otworzy mu wysoka, szczupła brunetka w dżinsach i grubym swetrze, tak atrakcyjna, że oglądaliby się za nią przechodnie na Piątej Alei.

Przez chwilę nawzajem mierzyli się wzrokiem, aż w końcu dziewczyna, bez specjalnego entuzjazmu, spytała:

- Słucham pana?
- Przepraszam, czy to Zarząd Majątku?
- Tak.
- Własność Hughiego McLellana?
- Nie, Oskara Blundella.

Stojąc w świetle lampy nad drzwiami, osypany płatkami śniegu, mokry i zmarznięty, Sam wyciągnął przed siebie klucz opatrzony tabliczką.

- W takim razie chyba się pomyliłem... - zaczął. Dziewczyna zdziwionym wzrokiem spojrzała na klucz, ale cofnęła się i gestem zaprosiła go do środka.

- Pewnie tak, ale na razie niech pan wejdzie.

Carrie

Doktor Sinclair, tak jak obiecał, wpadł rano, aby odwiedzić pacjentkę. Przyniósł Lucy atlas ptaków i tak jak stał, z twarzą zaczerwienioną od mrozu i w tweedowym płaszczu osypanym śniegiem i przesyconym torfowym dymem, sadząc po dwa stopnie naraz, wtargnął do pokoju Carrie. Ta oświadczyła mu, że w nocy spała dobrze i czuje się już znacznie lepiej, jak nowo narodzona. Doktor jednak, z typowo szkocką ostrożnością, poradził jej, aby jeszcze dziś nie wstawała z łóżka i naprawdę dobrze wypoczęła. Carrie nie protestowała, bo wiedziała, że oznaczałoby to kłótnię z Elfridą.

Kiedy lekarz wyszedł, w takim samym pośpiechu, jak przyszedł, do pokoju zjrzała Elfrida.

- No i co powiedział?

- Przykro mi, ale kazał mi jeszcze jeden dzień przeleżeć, chociaż czuję się już dobrze.

- Niby dlaczego ma ci być przykro?

- Bo sprawiam wam kłopot.

- Nie bądź głupia, to żaden kłopot. Dać ci butelkę z gorącą wodą?

- Nie trzeba, tu i tak jest ciepło.

- Szkoda tylko, że nie będziesz mogła pójść z nami do Kennedych, ale jeszcze zdążysz ich poznać. Ja się cieszę jak głupia, bo po raz pierwszy Oskar zgodził się gdzieś ze mną wyjść. To znaczy nie, raz poszliśmy na lunch do baru i tyle wszystkiego.

- Mogę tymczasem przypilnować twojej kolacji.

- Nie bardzo jest czego pilnować, bo przygotowałam taką indyjską potrawę *kedgeriee*, którą wystarczy tylko wstawić do piekarnika. Jeśli nie zjemy jej dzisiaj, będziemy mogli zjeść ją jutro na lunch. *Kedgeriee* to bardzo praktyczne danie.

- Czy ty nie naczytała się za dużo książek kucharskich?

- Uchowaj Boże!

W ciągu dnia Carrie wcale nie żałowała, że nie musi wychodzić na dwór, bo widziała przez okno, jak jedna za drugą szalały śnieżyce. Niebo miało kolor ołowiu, a wiatr świszczął. Natomiast wewnątrz starego domu sprawiało bardzo przytulne wrażenie. Przypominało to Carrie lata dzieciństwa. Wtedy też, kiedy była chora i leżała w łóżku, obserwowała, jak życie codzienne toczyło się bez jej udziału. Kto inny odbierał telefony, otwierał i zamykał drzwi, zadawał pytania i odpowiadał na nie. Także i tu słyszała kroki Oskara na schodach, czuła zapach smażonej cebuli czy gotującej się zupy, a towarzyszyła temu rozkoszna świadomość, że nie odpowiada za nic i nikt od niej niczego nie wymaga. Dawno już nie mogła pozwolić sobie na taki luksus!

Często zaglądała do niej Lucy.

- No powiedz, Carrie, czy ten doktor nie jest uroczy? Pożytył mi atlas ptaków, więc kiedy znowu pójde na plażę, będę wiedziała, jak się który nazywa!

- To ładnie z jego strony.

- Szkoda, że nie mamy takiego doktora w Londynie. Nasz nie jest ani trochę tak miły i trzeba u niego bardzo długo czekać! - Odłożyła książkę i zmieniła temat. - Słuchaj, nie wiem, co mam na siebie włożyć na te tańce!

W tej chwili bardziej zajmowało ją to niż nazwy ptaków morskich.

- A jaki masz wybór?

- Mogłabym włożyć moje nowe dżinsy, ale one są za grube do tańca. Moje stare też są czyste i Elfrida nawet je uprasowała, ale może lepiej będzie, jeśli włożę czarne rajstopy i minispódniczkę?

- Czy Rory nie sugerował ci niczego?

- Owszem, mówił, że wystarczą dżinsy i adidasy.

- No więc włóż dżinsy i adidasy. Dżinsy weź te uprane, a do tego bawełniany sweter w czerwone i białe pasy. To ładnie wygląda, jak francuskie barwy narodowe, a zawsze lepiej ubrać się skromnie niż przesadnie się wystroić. Miniowe schowaj sobie na święta!

- Rzeczywiście, to już tylko sześć dni do świąt! Nawet o tym nie pomyślałam, bo tu nikt nie biega jak w ukropie i nie robi żadnych przygotowań. Babcia dawno dostałaby migreny, tyle miałyby problemów.

- Jak to, przecież Oskar zamówił choinkę i razem kupiliście ozdoby.

- Tak, ale muszę jeszcze kupić dla wszystkich prezenty, a nie mogę się zdecydować, co wybrać. Aha, i trzeba przecież coś przygotować na świąteczny obiad, prawda?

- Myślę, że tak, tylko Elfrida wszystko zawsze odkłada na ostatnią chwilę.

- A co z pończochami na prezenty?

- Przeszkadzałyby ci, gdybyśmy je sobie darowali? Chyba już nie wierzysz, że Święty Mikołaj wrzuca do nich prezenty przez komin?

- Ależ skąd! Może rzeczywiście te pończochy to głupi zwyczaj... Chyba że są w nich mandarynki i czekoladowe dukaty w pozłotku!

- Powieszę ci je na choince, zgoda?

- Naprawdę, Carrie? Wiesz, że to fajnie mieć takie inne święta niż zawsze? Wtedy do końca nie wiadomo, co się jeszcze wydarzy.

- Mam nadzieję, że mile je spędzisz, chociaż w towarzystwie sAmych dorosłych.

- Wielkie mi coś! Przecież ja kiedyś też będę dorosła.

Oskar, Elfrida i Lucy wyszli z domu za kwadrans szósta. Śnieg padał przez cały dzień i leżał grubą warstwą na ulicach, co czyniło jazdę niebezpieczną. Oskar też wolał nie ryzykować i dlatego zdecydował, że na plebanię pójda piechotą. Wszyscy ciepło się ubrali i zajrzeli jeszcze do Carrie, aby się z nią pożegnać. Ona zaś życzyła im, aby dobrze się bawili, i wyraziła nadzieję, że po powrocie opowiedzą jej, jak tam było.

- Nie przypuszczam, żeby zebrało się dużo do opowiadania - wątpiła Elfrida. - Chyba że przyjdą jeszcze inni goście i ktoś z nich się upije.

- Zawsze można mieć nadzieję.

Ostatnia przyszła Lucy. Carrie zachwyciła się jej urodą, błyskiem w oku i wyraźnym ożywieniem. Zauważyła, że dziewczyna, oprócz nowej kurtki, ciepłej czapki i kozaczków, miała także przerzucony przez ramię plecak.

- Co ty tam masz w tym plecaku? - zaciekała się.

- Adidasy, grzebień i tabliczkę czekolady.

- Na pewno będziesz miała fajną zabawę.

- Tylko że nie wiem, kiedy wrócę.

- To nieważne. Rory na pewno cię odpRowadzi. Jeśli chcesz, możesz zaprosić go potem do domu. Ktoś tu na pewno będzie.

- Naprawdę mogę? No... - NAmyślała się przez chwilę. - Jeszcze się zastanowię.

- Zrób to, a teraz leć już.

- Cześć, Carrie.

- Baw się dobrze, kochanie! - Carrie uścisnęła ją i ucałowała.

Nareszcie wszyscy wyszli. Carrie odczekała jeszcze pięć minut na wypadek, gdyby ktoś czegoś zapomniał i wrócił się po to. Nic takiego nie nastąpiło, więc wstała z łóżka, napuściła wody do wanny i wymoczyła się w gorącej kąpieli. Potem

ubrała się w dżinsy i gruby sweter, przyczesła włosy, spryskała się perfumami i od razu poczuła się lepiej. Chyba doszłam już do siebie - tą refleksją podzieliła się ze swoim odbiciem w lustrze.

Zeszła do kuchni, aby sprawdzić, co dzieje się z potrawką w piecyku i z Horacym. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, chociaż Horacy leżał nadspodziewanie spokojnie, gdyż jeszcze dokuczały mu skaleczenia i potłuczenia. Z uwagi na te obrażenia dostawał swoją ulubioną potrawę - baranie serca - i nie wypuszczano go dalej niż za próg.

Carrie schyliła się, aby go pogłaskać po głowie.

- Może chciałbyś położyć się przy kominku? - zapytała, ale pies nie reagował. Przymknął oczy i wolał dalej spać w ciepłe swego koszyka i koca w kratę.

Znalazła butelkę sherry, nalała sobie szklaneczkę i przeszła z nią do salonu. Zaciągnięte zasłony, płonący w kominku ogień i lampa zapalona przy jednym z foteli nadawały temu wnętrzu przytulny charakter. Carrie dołożyła dodatkowe polano do ognia i rozsiadła się wygodnie, zabierając się do lektury porannej gazety Oskara.

Za oknami przemykały nieliczne samochody, ale śnieg zagłuszał wszystkie dźwięki. Na pewno o tej porze większość mieszkańców miasteczka przebywała już w domach. Carrie akurat zdążyła doczytać do połowy sensacyjny artykuł o znanej, choć już podstarzałej, angielskiej aktorce, która występowała w popularnym obecnie serialu telewizyjnym. Doszła właśnie do hollywoodzkiego epizodu w jej życiu, kiedy odezwał się dzwonek do drzwi. Dźwięk był tak przeraźliwy, że omal nie wyskoczyła ze skóry.

W normalnych warunkach odpowiedziałoby mu wściekle ujadanie Horacego. Tym razem jednak pies, nauczony wczorajszym doświadczeniem z rottweilerem, ani się odezwał.

- O, kurczę! - nie wytrzymała Carrie. Opuściła gazetę i czekała. Może kieRowca, któremu niespodziewanie zepsuł się samochód, chciał skorzystać z telefonu? Ewentualnie mógł to być także posłaniec z rachunkiem, domokrażca z życzeniami świątecznymi lub dzieci, które przyszły zaśpiewać kolędę *Pójdźmy wszyscy do stajenki*.

Ktokolwiek by to był, może sobie pójdzie, jeśli nie doczeka się reakcji?

Niestety, dzwonek zabrzmiał znów, więc nie było innej rady. Carrie musiała podejść do drzwi. Ze złością rzuciła gazetę i zbiegła na dół, po drodze włączając światło. Drzwi frontowe nie były zamknięte na zamek, więc jednym ruchem otworzyła je na oścież. W świetle lampy umieszczonej nad drzwiami zobaczyła samotnego mężczyznę stojącego na zimnie, osypanego śniegiem jak ciastko cukrem pudrem. Miał ciemne, krótko przystrzyżone włosy i granatowy płaszcz z podniesionym kołnierzem.

Spojrzała ponad jego ramieniem i zauważyła duży, luksusowy samochód zaparkowany przy krawężniku. Wskazywało to, że jego posiadacz nie był kołędnikiem, domokrażcą ani nie poszukiwał pomocy.

- Słucham pana? - zachęciła.
- Przepraszam, czy to Zarząd Majątku?

Miał miły głos, ale mówił z jakimś dziwnym akcentem, czy może z intonacją, która nie była jej obca. Czyżby to był Amerykanin?

- Tak.
- Własność Hughiego McLellana?

Carrie ze zdziwieniem uniosła brwi. Nie znała nikogo o tym nazwisku.

- Nie, Oskara Blundella - poprawiła.

Teraz on zdębiał, ale zaraz wyciągnął przed siebie masywny klucz z przywiązaną sznurkiem tabliczką, wypisaną wyraźnie, wodoodpornym markerem: Zarząd Majątku. Wyglądało to jak dowód rzeczowy w starym filmie kryminalnym. Ale jak mógł się tak pomylić?

Na pewno istniało jakieś wytłumaczenie, ale za zimno było, aby tłumaczyć się na progu domu. Dlatego Carrie otworzyła drzwi szerzej i cofnęła się, zapraszając nieznajomego do środka.

- Na razie niech pan wejdzie.
- Czy jest pani pewna... - wahał się jeszcze.
- Ależ oczywiście. Proszę wejść.

Wszedł więc za nią do domu, a ona szybko zamknęła drzwi, aby nie napuszczać zimna.

- Tak mi przykro... - jękał się, wyraźnie zakłopotany. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Ani trochę. Może lepiej pan się rozbierze? Powiesimy płaszcz przy grzejniku, to szybciej wyschnie.

Obcy mężczyzna schował klucz z powrotem do kieszeni, zdjął rękawiczki, rozpiął płaszcz i zrzucił go z siebie. Carrie zauważyła, że był ubrany oficjalnie, w szary flanelowy garnitur i krawat. Odebrała od niego ciężki, przemoknięty płaszcz i powiesiła go na giętym wieszaku.

- Chyba powinienem się przedstawić - zdecydował. - Nazywam się Sam Howard.

- Carrie Sutton - odwzajemniła mu się, ale bez podania ręki. - Chodźmy do salonu, tam jest wygodniej i pali się w kominku.

Poprowadziła pierwsza po schodach na górę. Kiedy weszli do salonu, przybysz zauważył, jak każdy gość:

- Ależ to zachwycające pomieszczenie!

- Nie spodziewał się pan zobaczyć czegoś takiego, prawda? - pochyliła się, aby podnieść upuszczoną uprzednio gazetę. - Szczególnie ładnie wygląda tu w dzień, bo te okna wpuszczają dużo światła. Może się pan czegoś napije?

- Pani jest bardzo miła. Napiłbym się z przyjemnością, ale jestem samochodem.

- I dokąd pan chce dojechać?

- Do Inverness.

- Taki kawał drogi w taką pogodę?

- Jakoś dam sobie radę.

Carrie nie byłaby tego taka pewna, ale w końcu nie musiało jej to obchodzić. Powiedziała więc tylko:

- No więc usiądźmy i powie mi pan, skąd ma klucz od domu Oskara.

- Prawdę mówiąc, nie jestem pewien - wyznał z rozbrajającą szczerością. Umieścił się jednak wygodnie w głębokim fotelu Oskara i od razu poczuł się swobodniej. Carrie zwróciła uwagę na jego interesującą twarz. Właśnie interesującą, gdyż nie był ani specjalnie przystojny, ani pospolity. Zafrapowało ją

zwłaszcza spojrzenie jego głęboko osadzonych oczu. - Ale myślę, że jakoś wyjaśnimy to nieporozumienie. Czy pan Blundell kiedyś mieszkał w Hampshire?

- Tak.

- A czy ma starego wuja, który mieszka w Londynie?

- Tego już nie wiem.

- A kuzyna o nazwisku Hughie McLellan?

- Obawiam się, że pan pyta niewłaściwą osobę. Ja tu przyjechałam tylko w gości i nie znam dobrze rodziny Oskara. Na dodatek złapałam grypę i dopiero co wstałam z łóżka, więc nie miałam sposobności zorientować się, kto jest kim.

- Aha, rozumiem.

- Oskar i Elfrida... to znaczy ona jest moją kuzynką, a on jej przyjacielem - wyszli na drinka do znajomych. Obawiam się, że nie wrócą przed ósmą. - Spojrzała na mały zegar stojący na gzymsie kominka. - W tej chwili dochodzi siódma. Gdyby pan zechciał poczekać...

- Nie, nie mogę czekać. Muszę jechać.

- Nadal jednak nie dowiedziałam się, skąd pan ma klucz od naszego domu.

- Dostałem go od Hughiego, który chciałby sprzedać ten obiekt.

- Sprzedać? - Carrie zrobiła oczy jak spodki. - Przecież ten dom należy do Oskara!

- O ile dobrze się orientuję, to do nich obydwóch.

- Jak to, więc Oskar nie jest jego właścicielem?

- Jest właścicielem połowy domu.

- To jak może ten jakiś Hughie McLellan wystawiać na sprzedaż coś, co nie jest jego wyłączną własnością?

- Mnie też wydało się to podejrzane.

- Więc dlaczego pan go jednak oglądał? Chce go pan kupić?

- Myślałem, że mógłbym - odpowiedział ostrożnie.

- Po co on panu?

- Żeby w nim mieszkać. Podjąłem właśnie pracę w Buckly. Mam za zadanie reaktywować zakłady tekstylne McTaggarta, więc muszę mieć blisko do pracy.

- Gdzie jest to Buckly?

- Około dwunastu mil stąd na północ. Właśnie stamtąd wracam, bo miałem spotkanie z pracownikami.

- A nie wolałby pan mieszkać w sAmym Buckley?

- Na pewno byłoby to wygodniejsze, ale zakłady wyprzedały całe swoje zasoby mieszkaniowe. Poza tym Hughie powiedział mi o tej posesji, więc chciałem przy okazji rzucić okiem, jak to wygląda. Prawdę mówiąc, spodziewałem się zobaczyć pusty dom, więc kiedy zauważyłem światło, postanowiłem rozwiązać tę zagadkę.

- Ciągle jeszcze jej nie rozwiązaliśmy.

- I nie rozwiążemy, dopóki nie rozmówię się z panem Blundellem. Teraz już nie będzie na to czasu, ale może kiedy indziej... Chyba naprawdę będę się zbierał.

- Wydaje mi się jednak, że powinien pan zobaczyć się z Oskarem. Byłoby uczciwie wobec niego, gdyby dowiedział się, co się święci.

- Ale naprawdę muszę...

Rzeczywiście szykował się do wyjścia, więc Carrie podeszła do okna i zobaczyła tam zimowy pejzaż. Padający śnieg zdążył tymczasem pokryć wszystko, nawet terenowy samochód niespodziewanego gościa. Na ulicach nie było widać ani pieszych, ani samochodów. Carrie pomyślała o długiej drodze do Inverness, szczególnie na odcinku między mostem na Cromarty Firth a Black Isle. Sama, w przeciwieństwie do Elfridy i Oskara, nie bała się pRowadzenia samochodu w warunkach zimowych, gdyż przyzwyczajona była do austriackich gór. Teraz jednak była noc, a ten śnieg nie zamierzał przestać padać. Zwróciła się więc bezpośrednio do gościa, który wciąż jeszcze stał przy kominku:

- Nie wydaje mi się, że powinien pan teraz jechać.

- Dlaczego się pani nie wydaje?

- Niech pan sam popatrzy.

Podszedł do okna i oszacował sytuację na dworze. Na początku nie wiedział, co powiedzieć, więc Carrie postanowiła mu pomóc.

- To naprawdę wygląda fatalnie - podsunęła.

- Rzeczywiście. Ferguson Skinner... to znaczy mój kieRownik produkcji... radził mi, żebym zadzwonił do informacji o stanie

dróg. Nie sądziłem, aby to było konieczne, ale chyba się myliłem.

- Mnie się też wydaje, że to dobry pomysł.

- Mam przy sobie telefon komórkowy, tylko nie znam ich numeru.

- Zaraz go panu znajdę.

Carrie zeszła na półpiętro i przyniosła stamtąd książkę telefoniczną.

- O, proszę, tu jest informacja o stanie dróg. Może pan zanotuje sobie ten numer?

Sam wyjął długopis, a Carrie przeczytała na głos numer informacji. Zapisał go na marginesie książki i wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Usiadł z nim na parapecie odsłoniętego okna, podczas gdy Carrie, nie chcąc mu przeszkadzać, dołożyła do ognia.

Od razu uzyskał połączenie i wypytał się, jak wygląda sytuacja na szosie A-9 prowadzącej do Inverness. Długa chwila ciszy świadczyła, że wysłuchiwał raportu. Następnie spytał: „A jak może to wyglądać jutro?” i wysłuchiwał dalszej informacji. W końcu podsumował: „Dziękuję, mam już pełny obraz. Do widzenia!”

Przez chwilę nikt nic nie mówił, tylko oboje spoglądali po sobie. Carrie domyślała się, że Sam usłyszał złe wiadomości. Potwierdziły to jego słowa:

- Miała pani rację, szosa jest nieprzejezdna. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że sytuacja wygląda aż tak źle.

- Bardzo mi przykro.

- No to... - mówił powoli, chowając telefon - pewnie już pojedę.

- Dokąd?

- Nie rozumiem.

- Dokąd pan się wybiera, jeśli szosa jest nieprzejezdna?

- Chyba musi tu być jakiś hotel czy zajazd!

- O tej porze roku w Creagan wszystko jest pozaAmerykanę.

- To niemożliwe, na pewno...

Nie dała mu skończyć.

- Nie ma innej rady, będzie pan musiał zostać u nas.

- Ależ nie mogę tego zrobić!

- Dlaczego?

- Przecież pani mnie nie zna. Wpuściłaby pani obcego człowieka pod swój dach?

- Chyba nie mamy innego wyjścia. Jest jeden wolny pokój, więc czemu nie miałyby pan z niego skorzystać?

- Ale...

W tym momencie Carrie miała nad nim przewagę, więc tylko uśmiechnęła się pobłaźliwie, gdyż bawiło ją jego zakłopotanie.

- Jak to mówią? W czasie sztormu każdy port dobry!

- Przecież pan Blundell...

- On przede wszystkim będzie chciał wysłuchać tego, co pan ma do powiedzenia, a poza tym lubi przyjmować gości. Elfrida też czuje się w swoim żywiole, jeśli może na poczekaniu improwizować przyjęcia. W piekarniku grzeje się taka dziwna potrawka, woda do kąpieli jest gorąca... Czego jeszcze może potrzebować mężczyzna?

Sam, kompletnie rozbrojony, tylko potrząsnął głową.

- Rzeczywiście, chyba niczego więcej.

- Ma pan szczoteczkę do zębów?

- Tak, w samochodzie. Maszynkę do golenia też.

- Nie wygląda pan na kogoś, kto używa piżam, więc chyba nie ma już żadnych problemów?

- Nie, ale chciałbym jeszcze raz zadzwonić, jeśli to pani nie przeszkadza.

Ponownie wyciągnął telefon, a Carrie zastanawiała się, czy nie powinna wyjść, aby nie podsłuchiwać prywatnej rozmowy, bo pewnie facet chciał wymienić jakieś czułe słówka z żoną i dziećmi... Okazało się jednak, że dzwonił tylko do recepcjonistki hotelu w Inverness.

- ...chciałem tylko zawiadomić, że nie wrócę dziś na noc. Utknąłem w zawiei śnieżnej, w Creagan... Nie, wszystko jest w porządku, zatrzymałem się u znajomych... Jutro może już wrócę. Proszę zatrzymać dla mnie pokój. Dziękuję, do widzenia.

Na tym rozmowa się skończyła.

- Załatwił pan sprawę? - chciała wiedzieć Carrie.

- Tak.

- Nie będzie pan już nigdzie dzwonić?

- Nie, to już wszystko na dziś. - Schował telefon do kieszeni marynarki..

- No więc teraz może pan spokojnie się czegoś napić.

- Z przyjemnością.

- Zaraz zejść do kuchni i coś przyniosę. Tutaj nie trzymamy napojów, bo nie mamy odpowiedniego barku.

- Może pomogę pani?

- Nie, niech pan lepiej usiądzie sobie wygodnie i poczeka.

Co mam przynieść?

- Może być szkocka.

- Z wodą sodową, zwykłą czy z lodem?

- Z lodem, jeśli można.

- Chwileczkę, to długo nie potrwa.

Zbiegła do zmywalni, skąd wzięła tacę. Postawiła na niej butelkę whisky, kubełek z lodem, szklankę i napoczętą butelkę wina. Kiedy wróciła z tym do salonu, zauważyła, że jej gość w drugim końcu pomieszczenia przygląda się ulubionemu obrazkowi Elfridy. Nałożył przy tym okulary w rogowej oprawie, w których wyglądał jak profesor.

- Co za uroczy obrazek! - zauważył, zdejmując je na widok Carrie.

- To Elfridy, przywiozła go z Hampshire. Podobno to oryginał Davida Wilkiego. Elfrida zawsze mówi, że to jej zabezpieczenie na starość, żeby nie poszła z torbami. Szkoda, że tu nie ma innych obrazów, bo on się gubi na tej ścianie.

- To rzeczywiście prawdziwy skarb... Zaraz, proszę mi to dać! - Odebrał od Carrie tacę i przytrzymał, dopóki nie zrobiła miejsca na stole, odsuwając na bok papiery i gazety.

- Przyniosłam składniki, żeby pan sam sobie nalał takiego drinka, jak pan lubi.

- A czego pani się napije?

- Ja mam wino.

- Można pani dolać?

- Jeśli pan taki miły...

Wróciła na swój fotel, z lubością obserwując precyzyjne ruchy jego rąk. Zaistniała sytuacja intrygowała ją, gdyż sprawiała wrażenie sprytnie obmyślanego scenariusza filmowego. Nie spodziewane pojawienie się tego człowieka, powód jego przy-

jazdu i zła pogoda, która zmusiła go do pozostania, stanowiły wyjątkowy zbieg okoliczności, a dalszy rozwój wydarzeń trudno było przewidzieć.

Tymczasem dziwny przybysz przyniósł napełnione szklanki, wręczył jej wino i wrócił na swój fotel.

- Pani zdRowie! - wznósł toast.

- I pańskie!

- Pani, zdaje się, wspomniała, że miała gripę?

- Tak, ale niezbyt ciężką. Chyba ją przespałam.

- Nie mieszka pani tu stale?

- Przecież mówiłam, że jestem tu gościem. Na stałe mieszkam w Londynie, a tu przywiozłam na święta moją młodą siostrzenicę.

- Ona też poszła na tego drinka?

- Tak, a potem jeszcze wybiera się na tańce, więc nie wiadomo, kiedy wróci. Pan zna dobrze te strony?

- Skąd, nigdy w życiu tu nie byłem. Pochodzę z Yorkshire, w tej chwili zatrzymałem się w Londynie, ale od sześciu lat • mieszkam w Nowym Jorku.

Carrie pomyślała z satysfakcją, że nie pomyliła się co do jego akcentu!

- To dlatego pija pan whisky z lodem?

- Pewnie tak.

- A czym się pan zajmuje?

- Pracuję w przemyśle wełnianym, w firmie Sturrock i Swinfield.

- Coś podobnego! -jęknęła Carrie.

- Ta firma wykupiła tkalnię mojego ojca w Yorkshire. Od tamtej pory pracuję u nich.

- Czyżby mieli filię także w Nowym Jorku?

- Właśnie mają.

- No, to dla pana chyba duża różnica kultur.

- Na pewno trochę.

- Jak się nazywa ten zakład, w którym pan podjął pracę?

- McTaggart, w Buckly.

- Czy to w tej chwili działa?

- Niestety, nie - odrzekł obojętnie, ale zaraz rozwinął ten temat. Opowiedział o okolicznościach upadku firmy, którą,

mimo heroicznych wysiłków załogi, ostatecznie wykończyła powódź.

- ...stracili wszystko, suRowce, książki zamówień, komputery i tak dalej.

- A maszyny? Czy coś z nich się zachowało?

- Częściowo. Ledwie woda opadła, cała załoga rzuciła się do osuszania budynków i ratowania, co tylko było możliwe. Greplarkę udało się rozebrać na części, wymyć i zakonserwować, zanim zżarła ją rdza. Jedno czy dwa krosna mogą jeszcze nadawać się do użytku, ale reszta poszła do kasacji.

- A pan ma postawić to wszystko na nogi?

- No, oczywiście nie sam.

- Stoi za panem firma Sturrock i Swinfield?

- Tak, z całym swoim doświadczeniem, kapitałem i sztabem fachowców.

- A co będziecie produkować, kiedy już to uruchomicie?

- Nastawiemy się na szeroki asortyment. Zarówno tradycyjne tweedy i tartany, jak luksusowe wyroby zgodnie z najnowszą modą.

- Kiedy to może ruszyć?

- Przebudowa hali fabrycznej zajmie około dziewięciu miesięcy, może rok.

- Nie lepiej byłoby zburzyć to do fundamentów i zacząć od nowa?

- Szkoda byłoby takiego pięknego, zabytkowego budynku. To ma już ponad sto pięćdziesiąt lat, kamienne ściany, łukowe okna, masę facjatek i dobrze harmonizuje z całym miasteczkiem. Burzyć coś takiego to prawdziwy wandalizm!

- No, a pan też musi gdzieś mieszkać.

- Tak, ale nie mogę niczego planować, dopóki się nie rozmówię z panem Blundellem.

- A czy ten... jak mu tam... Hughie McLellan? Wymienił jakąś konkretną cenę?

- Tak.

- Można wiedzieć, jaką?

- Sto pięćdziesiąt tysięcy na dwóch współwłaścicieli.

- To znaczy, że za siedemdziesiąt pięć tysięcy Oskar mógłby go spłacić?

- Owszem, mógłby.
- Chyba to nawet nie jest tak drogo.
- Według aktualnych cen nie.
- Tylko że nie wydaje mi się, aby Oskar mógł mieć te siedemdziesiąt pięć tysięcy. Nawet jestem pewna, że nie ma. On jest taki niezyciowy, że nie wiedziałby, co zrobić z taką ilością pieniędzy. Zresztą to nie mój interes, ale wolałabym, żeby mógł tu zostać.
- Zapewniam panią, że nie będę próbował go stąd wysiadać.
- Nawet nie mógłby pan, bo ten dom jest jego.
- W połowie.
- Ma prawo do całości na zasadach zasiedzenia. Sam próbował śmiechem rozładować atmosferę.
- Oczywiście, ma pani rację. Pamiętam, jakie to było uczucie, kiedy kupowałem moje pierwsze mieszkanie w Londynie.
- Gdzie było to mieszkanie?
- Na Eel Park Common.
- A to heca!
- Co w tym takiego zabawnego?
- Niedaleko stamtąd, najwyżej o pół mili, mam domek na Ranfurly Road.
- Czy tam pani obecnie mieszka?
- Będę mieszkać od lutego, kiedy lokatorzy się wyprowadzą.

Sam nieco się zmieszał, aż Carrie zrobiło się go żal. Może nie była zbyt wylewna, ale w tej chwili nie miała ochoty mówić o sobie.

- Wynajęłam ten dom, bo przez ostatnie trzy lata pracowałam w Austrii - wyjaśniła. - W Oberbeuren, jako przedstawicielka biura podróży. Teraz wróciłam do Londynu, ale dalej będę pracować w tej samej firmie, tylko w centrali, na Bruton Street.

- A nie będzie pani brakować Austrii i gór?
- Pewnie tak - odpowiedziała krótko, ale widać było, że nie dopowiedziała wszystkiego. Zamiast tego poruszyła się niespokojnie w fotelu i zmieniła temat: - O, pana szklanka jest już pusta! Dolać panu?

Elfrida

Oskar i Elfrida ostrożnie, trzymając się pod rękę, wracali do domu. Dochodziła ósma wieczorem, a obfite opady śniegu sprawiały, że wydawało się jeszcze ciemniej. Na szczęście drogę oświetlały latarnie uliczne, więc Oskar nie potrzebował latarki, którą przeczornie zabrał ze sobą. Idąc na skrótą ścieżką wiodącą przez szczyt wzgórza, widzieli z lotu ptaka całe miasteczko, nawet okrągłą tarczę zegara na wieży kościelnej poprzez bezlistne gałęzie drzew rosnących w ogrodach. O tej porze jednak wszystko wyglądało jakoś inaczej, jak z początku, że aż Elfrida musiała się zatrzymać.

- Och, gdybym tak umiała malować... - westchnęła.

Oskar też musiał stanąć, bo Elfrida ścisnęła go mocno za rękę, ale nie był tym zachwycony.

- To chyba nie jest najlepsza pora na „gdybanie” - wyraził się z przekąsem.

- Dlaczego nie?

- Bo śnieg pada mi prosto za kołnierz.

- Ale pomyśl, czy nie wspaniale byłoby móc uwiecznić taką scenę? Padający śnieg w świetle lamp, podświetlone okna domów, a na tym tle tarcza zegara jak księżyc w pełni. Jedyne, czego nie można by namalować, to zapach palącego się torfu.

- Rzeczywiście, to mogłoby być interesujące, ale lepiej chodźmy już do domu.

Schodzili ze stromego zbocza ścieżką wiodącą aż pod bramę ich ogrodu. Była zabezpieczona poręczą, więc szli jedno za drugim, trzymając się jej jak pasażerowie opuszczający samolot. Doszli tak do tylnych drzwi ich domu, nad którymi paliło się światło. Nareszcie byli z powrotem u siebie!

W zmywalni pozrzucali mokre płaszcze, zaśnieżone buty i czapki, podobnie jak to robiła pani Snead. Elfrida wspomniała coś o kolacji, ale Oskar radził nie spieszyć się z tym. U pastorstwa najadł się do syta kanapek z łososiem i ciasta z owocami, ale z uwagi na czekający go marsz powstrzymał się od mocniejszych napitków, więc teraz przede wszystkim miał ochotę na dużą whisky.

Elfrida weszła do kuchni pierwsza, zagadała czule do Horacego i zajrzała najpierw do piekarnika, aby sprawdzić, w jakim stanie jest potrawka. Tymczasem Oskar podniósł alarm:

- Hej, gdzie się podziała moja butelka whisky? Tu jej nie ma!

Elfrida zamykała właśnie drzwiczki piekarnika. Zauważyła, że Oskar wyglądał na rozdrażnionego, chociaż nie potrafił się porządnie rozżłościć.

- Gdzieś mi wcięło moją whisky! - narzekał.

- Może Carrie miała na nią ochotę?

- Przecież doktor kazał jej zostać w łóżku!

- Można leżeć w łóżku i mieć ochotę na whisky. Jedno drugiemu nie przeszkadza. Nie masz gdzieś drugiej butelki?

- Mam, ale ta była już napoczęta.

- No więc poszukajmy.

Wyszli z kuchni i skierowali się po schodach na górę, ale na półpiętrze Elfrida zatrzymała się, bo zza zamkniętych drzwi salonu dobiegł ją szmer ściszonych głosów. Oskar też je usłyszał i oboje wymienili zaintrygowane spojrzenia.

- Zdaje się, że wiem, gdzie jest moja butelka - szepnął Oskar.

- Pssst! - Elfrida na paluszkach podkradła się pod wpółotwarte drzwi sypialni Carrie. Zajrzała tam i syknęła scenicznym szeptem: - Tu jej nie ma!

- Bo ma gościa! - odszepnął Oskar.

- Kto to może być?

- Najlepiej chodźmy i sprawdźmy to sami.

W salonie zastali idylliczny obrazek. Przy zaciągniętych zasłonach, nastrojowym świetle lamp i płonącym w kominku ogniu siedziała Carrie w towarzystwie zupełnie obcego człowieka, patrząc na niego tak, jakby się znali od urodzenia. Elfrida od razu zaczęła w myślach rozważać różne warianty - może to stary znajomy Carrie albo jej dawny wielbiciel, który dochował jej wierności...

Dopiero teraz Carrie odwróciła się i zobaczyła, kto przyszedł. Natychmiast zerwała się na nogi.

- O, Elfrido, już wróciłaś? Nie zauważyłam, kiedy weszliście. Udała się impreza?

- Owszem, nadzwyczajnie. Ale ty nie powinnaś jeszcze wstawać.

- Kiedy tak mi się nudziło...

Tymczasem nieznamy stał przy kominku i czekał, kiedy zostanie przedstawiony. Elfrida od razu zauważyła, że wygląda na biznesmena, gdyż miał na sobie nienagannie skrojony, ciemnoszary garnitur z eleganckim krawatem, a włosy krótko przystrzyżone. Był przy tym wysoki, miał długie nogi i opaloną cerę, na której tle korzystnie prezentowały się orzechowe oczy. Stwierdziła nawet, że działa jej na zmysły, choć nie miało to żadnego wpływu na jej uczucia do Oskara. Potraktowała to raczej jako rodzaj przypomnienia o czasach, kiedy inaczej podchodziła do tych spraw.

- Elfrido, to jest Sam Howard. To Elfrida Phipps, a to nasz gospodarz, Oskar Blundell. - Carrie dokonała prezentacji. Wszyscy zainteresowani uścisnęli sobie dłonie.

- Przepraszam za to najście - usprawiedliwił się Sam.

- Co pan rozumie przez najście?

- No to, że nieproszony wtargnąłem do waszego domu...

W tym momencie Oskar wypatrzył na stole swoją butelkę whisky.

- Tu jest! Zastanawiałem się już, gdzie się podziała.

- Myślałeś, że po cichu popijam do lustra? - parsknęła śmiechem Carrie. - Przepraszam cię, ale przyniosłam ją tu, aby poczęstować Sama. Ty się też napijesz?

- No pewnie! Celowo nie piłem u Kennedych, żeby mieć pewność, iż będę mógł bezpiecznie doprowadzić Elfridę do domu.

- Zaraz ci naleję, tylko zejdę na dół i przyniosę więcej szklanek. A ty, Elfrido, co pijesz? Ja mam wino.

- To ja też. - Elfrida nagle poczuła się zmęczona. Usiadła więc z ulgą na kanapie, wyciągając przed siebie swe długie nogi. - Przez całe dwie godziny jadłam kanapki i szarlotkę na stojąco!

- Był tam jeszcze ktoś?

- Oczywiście, trzy małżeństwa, wszyscy bardzo mili i rozmowni.

- A co robiła Lucy?

- Dzieci Kennedych zaraz wywabiły ją do drugiego pokoju i od tej pory jej nie widzieliśmy. Kiedy zbieraliśmy się do wyjścia, oni akurat wychodzili na tańce. Czyli wszystko odbyło się jak należy.

- To i dobrze. Przyniosę te szklanki, jeszcze jedną butelkę wina i wodę sodową dla Oskara.

Carrie zbiegła na dół, dzięki czemu Oskar mógł usiąść na swoim ulubionym fotelu. Jednocześnie jednak oboje z Elfridą zostali sam na sam z obcym mężczyzną. Elfrida wiedziała, że Oskar nie wie, co powinien w takiej sytuacji powiedzieć, więc postanowiła mu pomóc. Uśmiechnęła się promiennie i zagała:

- Teraz niech pan nam powie, kim pan jest i czemu zawdzięczamy pańską wizytę. Pewnie jest pan dawnym znajomym Carrie?

- Prawdę mówiąc, to nie - wyznał szczerze. Przyniósł sobie krzesło i usiadł bliżej Elfridy, splatając ręce na kolanach. - Dziś wieczór zobaczyłem japo raz pierwszy.

- Chryste! - jęknęła słabym głosem Elfrida.

Niespeszony tym przybysz przystąpił do składania wyjaśnień. Nazywał się Sam Howard i pracował w firmie Sturrock i Swinfield, koncernie przemysłu tekstylnego, który przejął podupadłe zakłady wełniane McTaggarta w Buckly. Powierzono mu właśnie stanowisko dyrektora tego zakładu.

Elfrida niewiele z tego zrozumiała, ale Oskar od razu zorientował się w sytuacji.

- Rzeczywiście, Peter Kennedy wspomniał, że ktoś przejął firmę po McTaggartach, ale nie wiedziałem, że to już ruszyło.

- Jeszcze nie ruszyło, ale jesteśmy na najlepszej drodze.

- To bardzo dobra wiadomość.

- Też na to liczę.

- Więc kiedy uruchomicie produkcję?

- Najpierw musimy odbudować halę.

W tym momencie wtrąciła się Elfrida.

- Co się tam właściwie stało?

- Mieli same kłopoty - wyjaśnił krótko Oskar. - A do tego jeszcze powódź zniszczyła to, co zostało.

Ponownie zwrócił się do Sama:

- Od dawna pan pracuje w tej branży?

- Odkąd pamiętam. Mój ojciec był właścicielem niedużej tkalni w Yorkshire.

- Niech mnie gęś kopnie! Ale na stałe mieszka pan w Londynie?

- Kiedyś mieszkałem, ale przez ostatnie sześć lat pracowałem w Nowym Jorku. W listopadzie prezes spółki wezwał mnie do Londynu, aby powierzyć mi to przedsięwzięcie.

- Czy to znaczy, że ma pan zamiar przenieść się w nasze strony?

W tym momencie wróciła Carrie, niosąc drugą tacę, a na niej butelki i szklanki. Sam błyskawicznie zerwał się na nogi, aby jej pomóc. Potrwało chwilę, nim zrobili więcej miejsca na stole, przesuwając kubek z lodem. Sam otworzył oszronioną butelkę z winem, precyzyjnie wyciągając korek. Nalał wina do szklanki i podał ją Elfridzie.

- Czym mogę panu służyć? - zwrócił się do Oskara, który wyglądał na zadowolonego, że może sobie spokojnie siedzieć przy kominku, a kto inny pełni za niego obowiązki gospodarza.

- Poproszę whisky z wodą sodową, ale bez lodu.

Sam nalał mu drinka.

- Tak będzie dobrze?

- Wyśmienicie.

Dopełnił jeszcze szklankę Carrie, a gdy Elfrida spytała go, na co on sam ma ochotę, odparł, że nie skończył jeszcze pierwszego drinka. Wziął swoją szklankę ze stolika przy kominku i wrócił na miejsce obok Elfridy.

- Do którego miejsca już doszliście? - chciała wiedzieć Carrie.

- Z czym?

- Z wyjaśnieniami.

- Dowiedzieliśmy się już, co się stało z zakładami McTaggartów - poinformowała ją Elfrida. - Pewnie żadnej sensacji więcej nie usłyszymy.

- No, to się zdziwisz - mruknęła Carrie, zwijając się na fotelu w kłębek jak kot.

- Słucham, czym mnie jeszcze zadziwicie. - Elfrida przybrała postawę wyczekującą.

- To trudna sprawa, taka bardziej osobista - podjął swe wy-

jaśnienia Sam. - Muszę dodać, że zanim jeszcze tu przyjechałem, zaraz po powrocie z Nowego Jorku zatrzymałem się u moich przyjaciół, Janey i Neila Philipów, w ich domu w Wandsworth. Akurat wtedy przyszedł do nich na kolację stary znajomy rodziców Janey, Hughie McLellan...

Zrobił przerwę, chyba celowo, aby dać obecnym czas na przetrwanie tej informacji. Elfridzie wydawało się, że ta przerwa będzie trwać wieki, dopóki nie odezwał się Oskar.

- Hughie? Chyba nie mówi pan o moim kuzynie Hughiem McLellan!

- Wydaje mi się, że właśnie o nim mówię.

- Przecież mój kuzyn mieszka na Barbados.

- Ale wtedy przebywał w Londynie, pewnie po to, aby odwiedzić znajomych i pozatratować różne sprawy. Święta i Nowy Rok chciał spędzić u niejkiej Maudie Peabody, która mieszka na południu Francji.

- Co za nadzwyczajny zbieg okoliczności!

- Rozmawialiśmy trochę i przy tym wyszło na jaw - pewnie Janey mu to powiedziała - że wybieram się do Buckly, by przejąć zakłady McTaggarta. Spytał mnie wtedy, czy mam tam gdzie mieszkać, a kiedy przyznałem się, że będę dopiero musiał coś znaleźć - wyciągnął z kieszeni ten klucz i dał mi. Powiedział, że połowa tego domu należy do niego, a druga połowa do jego kuzyna, który chce to sprzedać.

- Niech mnie szlag trafi! - zaklął Oskar, a Elfrida uznała, że i tak wyraził się bardzo łagodnie. - A to gnida! Zresztą zawsze był z niego kawał drania. Nie mógł, do jasnej cholery, porozumieć się najpierw ze mną?!

- Na jego usprawiedliwienie muszę dodać, że chyba próbował - przyznał obiektywnie Sam. - Pan mieszkał w Hampshire, prawda? On twierdził, że dzwonił tam, ale się nie dodzwonił.

- Przecież jego ojciec, Hektor, wiedział, że wyjechałem do Creagan. Nie mógł powiedzieć Hughiemu, gdzie mnie szukać?

- Myślę, że Hughie nie widział się z ojcem i nawet nie miał zamiaru, przynajmniej do czasu powrotu z Francji.

- A to ci historia, jak z kiepskiej powieści!

Oskar był tak wstrząśnięty przewrotnością swego kuzyna, że dla odzyskania równowagi pociągnął potężny łyk whisky. Po-

tem zaczął głośno rozważać wszystkie aspekty tej nienormalnej sytuacji.

- Co mu odbiło, że nagle zdecydował się sprzedać tę posesję? Przecież utrzymywaliśmy ją przez tyle lat, dzieląc czynsz między siebie. A jeśli już chciał wystawić ją na sprzedaż, to najpierw powinien był to uzgodnić ze mną!

- Przypuszczam, że po prostu pilnie potrzebuje gotówki.

- Nic dziwnego, alimenty dla trzech byłych żon muszą pochłaniać majątek. Zresztą pieniądze nigdy się go nie trzymały. - Po chwili jakby coś sobie przypomniał. - Zaraz, czy w tę sprawę był już zaangażowany jakiś pośrednik?

- Nie. Hughie miał zamiar zwrócić się do agencji Hursta i Fieldmore'a, ale po rozmowie ze mną zrezygnował. Doszedł do wniosku, że prywatna umowa będzie bardziej satysfakcjonująca dla obu stron.

- Ale wiedział pan, że jestem współwłaścicielem?

- Tak, powiedział mi o tym.

- I co pan na to?

- Tylko tyle, że bez porozumienia z panem nie podejmę żadnej decyzji.

- Więc co pan tu robi?

- Hughie miał klucz przy sobie i namówił mnie, żebym obejrzał sobie ten dom, skoro i tak wybieram się na północ. Był pewien, że nikt tu nie mieszka, bo wprawdzie kiedyś wynajęto go starsze małżeństwo, ale potem mąż zmarł, a żona się wyprowadziła.

- I to wzbudziło pana zaufanie?

- Raczej przypuszczałem, że byłbym dla niego tak samo dobrym klientem jak każdy inny.

- A przy okazji zaoszczędziłby na prowizji dla pośrednika?

- Otóż to właśnie.

- Czy on wymienił jakąś konkretną sumę?

Przez cały czas trwania tej rozmowy Sam ani razu nie zmienił pozycji, choć siedział wyprostowany na niewygodnym krześle. Nie spuszczał też uporczywego wzroku z Oskara. Także i teraz, kiedy musiał już wyłożyć karty na stół, nawet nie mrugnął okiem ani nie wykazał najmniejszej oznaki zakłopotania.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy funtów - wypalił bez ogródek.

- Byłby pan gotów wydać taką sumę?
- Jeszcze nie obejrzałem dokładnie tego domu.
- Ale gdyby pan zdecydował się go kupić?
- Wtedy tak.
- Z tego na każdego z nas wypadaloby po siedemdziesiąt pięć tysięcy?
- Dokładnie tyle.
- A gdybym zażądał więcej?
- Myślę, że moglibyśmy się dogadać. Przytaczam tylko słowa pańskiego kuzyna.
- Aha, rozumiem.

Oskar akurat skończył drinka, więc Sam bez słowa poderwał się na nogi, odebrał od niego pustą szklankę i ponownie ją napełnił. Podał ją Oskarowi, mówiąc:

- Teraz już państwo wiecie, jak do tej sytuacji doszło. Doprawdy, bardzo mi przykro z tego powodu. Najlepiej będzie, jeśli oddam państwu klucz, który dostałem od Hughiego, i zapomnimy o całej sprawie, ale najpierw musiałem to wszystko wyjaśnić.

- Rozumiem i dziękuję panu bardzo - Oskar nawiązał także do świeżo nalanego drinka.

Elfrida do tej chwili siłą woli nakazywała sobie milczenie, ale tym razem już nie wytrzymała i wtrąciła się do rozmowy.

- Rzeczywiście, wytłumaczył nam to pan bardzo wyczerpująco, panie Howard...

- Mówcie mi: Sam, dobrze?

- No więc, Samie, wszystko jest jasne z wyjątkiem tego, jak się tu dostałeś.

- Już od dwóch dni jestem w drodze na północ.

- Dziś po raz pierwszy byłeś w swoim nowym miejscu pracy? - zagadnął Oskar.

- Tak.

- A mówiłeś, że już w listopadzie ściągnięto cię z Nowego Jorku, a tymczasem mamy już prawie Boże Narodzenie. Coś ten Sturrock i Swinfield nie bardzo się spieszą!

Sam, choć z kwaśnym uśmiechem, musiał to przyznać.

- To rzeczywiście może tak wyglądać, ale jeszcze musieliśmy z prezesem skoczyć do Szwajcarii, żeby ocenić sprzęt, który chcemy kupić. To nam zajęło dobry tydzień.

- A teraz zatrzymałeś się w Buckly? - dopytywała Elfrida.

- Nie, w hotelu w Inverness, ale dziś miałem pierwsze spotkanie z moimi przyszłymi pracownikami i wyjaśniliśmy sobie wiele spraw. Po wszystkim jeszcze poszedłem na piwo z Fergussem Skinnerem... to znaczy z przedstawicielem załogi, który zorganizował to spotkanie. Już wyruszyłem w drogę powrotną do Inverness, kiedy wpadłem na pomysł, żeby, skoro już jestem tak blisko, zajrzeć przy okazji do Creagan i rzucić okiem na ten dom. Byłem pewien, że stoi pusty, a to, że zobaczyłem światło w oknach, pobudziło tylko moją ciekawość. Dlatego zadzwoniłem do drzwi, bo nie lubię pozostawiać pytań bez odpowiedzi.

- Aha, rozumiem! - Elfrida potrafiła wczuć się w sytuację. Już wyobraziła sobie, jak to mogło wyglądać. Niespodziewany dzwonek do drzwi, a za nimi przystojny nieznajomy... Carrie oczywiście otwiera i wpuszcza go do środka...

Właśnie, Carrie! Dotychczas nie odezwała się ani słowem, zwinęta w kłębek na swoim fotelu. Bywały dni, kiedy trudno było odgadnąć, o czym myśli, i ten dzień pewnie do takich należał.

- Mam nadzieję, że zaprosiłaś Sama, żeby został na kolacji? - zwróciła się wprost do Carrie.

Carrie parsknęła śmiechem i wymieniła z Samem porozumiewawcze spojrzenie. Wyglądało to, jakby oboje coś ukrywali. Sam też się uśmiechnął i od razu jakby odmłodził, zrzucając maskę poważnego człowieka interesu.

- No, to wszystko się wydało - zawyrokował.

- Raczej wszystko się namieszało! - warknęła Elfrida, nie rozumiejąc, do czego ten człowiek pije.

Carrie zrobiło się jej żal.

- Elfrido, ja go zaprosiłam, żeby został u nas na noc! - wyrzuciła z siebie. - Dzwoniliśmy do informacji i okazało się, że szosa do Inverness jest nieprzejezdna. Wiesz, że tutaj żaden hotel o tej porze nie jest czynny. Bardzo ci będzie przeszkadzało,

jeśli Sam zanocuje? Tak mi przykro, powiedz, czy bardzo się gniewasz.

- Przeciwnie, chyba nic nie mogłoby mnie bardziej ucieszyć - odpowiedziała Elfrida, nawet nie próbując ukryć zadowolenia.

Dochodziła już północ. Elfrida leżała w łóżku obok Oskara, który czytał do poduszki książkę *Miłość w czasach zarazy*. Jedynym źródłem światła w sypialni była lampka przy jego łóżku, a reszta pokoju tonęła w cieniu. Nie dociągnięte do końca zasłony pozostawiały wąską szczelinę, którą wpadało do środka światło latarni ulicznych i powiew chłodnego powietrza przez uchylone okno. Szczęśliwie tak Oskar, jak i Elfrida zgadzali się w tej kwestii i nie lubili spać w całkowitej ciemności.

Promień światła padł na wypole Rowaną mosiężną poręcz w nogach łóżka, która przez chwilę zaśniła jak złoto. Oświetlił także mahoniową szafę na wysoki połysk, srebrne ramki zdjęć stojących na toalecie Elfridy, jej lustro oprawne w kość słoniową i flakon z perfumami. Był to tak samo jej pokój, jak i Oskara, i to w jego domu.

Wróciła wspomnieniem do wydarzeń minionego wieczoru, w większości niespodziewanych. O dziewiątej ona, Sam, Oskar i Carrie zasiedli do kolacji. *Kedgeree* było już trochę wysuszone, ale nikomu to nie przeszkadzało, a przynajmniej nikt nie narzekał. Do tej potrawy zjedli groszek (przechowywany w zamrażalniku starej lodówki), a na deser brzoskwinie z bitą śmietanką. Oskar otworzył butelkę białego wina, a kiedy wysuszyli ją do dna - jeszcze jedną. Pili już kawę, gdy Lucy z Rorem wrócili z tańców. Policzki mieli zaróżowione od podskoków, a może od chłodu, kiedy już wyszli z budynku szkolnego.

Lucy była zaskoczona obecnością obcego człowieka przy stole, ale zaraz mu ją przedstawiono i wprowadzono w sprawę. Okoliczności, w jakich Sam trafił do ich domu, wydały się jej bardzo romantyczną historią.

- To znaczy, że pana zasypało śniegiem? - wypytywała niedowierzającym tonem.

- Na to wygląda.

- Jakie to podniecające! Zupełnie jak w powieści Agaty Christie! Pewnie do jutra ktoś z nas zostanie zamordowany...

- Kto jak kto, ale ja nie będę mordercą.

- Więc pewnie Oskar w nocy kogoś zasztyletuje albo udusi sznurem, a rano nikt się niczego nie domyśli. Dopiero kiedy przyjedzie policja i jeden mądry detektyw...

- Dlaczego to ja mam być czarnym charakterem? - zaprotestował Oskar.

- Bo jesteś najsympatyczniejszy ze wszystkich, a w powieściach Agaty Christie zawsze mordercą jest ten, po kim nikt się tego nie spodziewa!

Oskar zadał jeszcze Lucy kilka pytań na temat szkolnej zabawy. Z jej odpowiedzi wynikało, że bawiła się świetnie, jak nigdy w życiu, i przetańczyła wszystkie tańce, z wyjątkiem jednego, strasznie trudnego, o nazwie *Księżę i księżna Edynburga*, którego trzeba specjalnie się uczyć. Przygrywała do tego prawdziwa kapela, a tancerze mieli do dyspozycji pod dostatkiem napojów chłodzących.

- Rory, kto to wszystko zorganizował? - zaciekała się Carrie.

- Nasz dyrektor i może kilku starszych chłopaków. Było fajnie, bo wszyscy się bawili, nawet najmniejsze szkraby.

Oskar zaproponował Rory'emu piwo, ale ten wymówił się, twierdząc, że woli gorącą czekoladę. Lucy zaofiarowała się, że ją zrobi, gdyż też miała ochotę na ten napój. Przynęśli sobie krzesła i popijali czekoladę, a do niej ciasteczka, których Elfri-da miała całą puszkę.

Kiedy Rory zaczął zbierać się do wyjścia, Sam zagadnął go:

- Co tam się dzieje z pogodą?

- Tyle tylko, że przestało padać. Powiem ojcu, że pana poznałem i że ten zakład McTaggartów znowu rusza. Tato na pewno bardzo się ucieszy.

- Niech się za bardzo nie cieszy, bo jeszcze nieprędko ruszymy.

- No cóż, od czegoś trzeba zacząć - odparł filozoficznie Rory. - Lucy, spróbuję jutro po południu podłączyć ci ten telewizor. Wszystko zależy od tego, co będzie się działo na polu

golfowym. Jeśli będzie można pojeździć na sankach, zadzwonią do ciebie.

Wyszedł tylnym wyjściem, bo tamtędy bliżej mu było do domu. Lucy odprowadziła go do drzwi i wróciła z szerokim uśmiechem na ustach, który po chwili przeszedł w równie szerokie ziewnięcie.

Carrie troskliwie objęła ją ramieniem.

- Jesteś zmęczona. Idź się położyć.
- Dobrze, ale najpierw chciałabym się wykapać.
- Oczywiście. Dobrze się bawiłaś?
- Najlepiej, jak tylko można! - Lucy z radości ucałowała młodą ciotkę.

Oskar i Sam siedzieli jeszcze przy kawie i koniaku, który Oskar na tę okazję wydobył ze swego schowka. Tymczasem Carrie i Elfrida pozmywały naczynia i poszły wyszukać w kredensie pani Snead świeżą pościel dla Sama. Posłały łożko, naszykowały czysty ręcznik i dodatkowy koc na wypadek zimna. Carrie sprawdziła zawartość szafy, w której znajdowały się tylko dwa wieszaki i mocno pachniało naftaliną. Elfrida z grubsza wytarła kurze i położyła na komodzie obramowany koronką bieżnik. Carrie nakręciła budzik.

- Czego jeszcze może potrzebować mężczyzna? - zastanawiała się głośno Elfrida.

- Świeżych kwiatów, chusteczek higienicznych czy może dobrze zaopatrzonego barku? - próbowała zgadywać Carrie.

- Po tym, czym poczęstował go Oskar, barek nie będzie już mu potrzebny. Gorzej, że nie mam zapasowej szczoteczki do zębów.

- Mówił, że ma swoją. Ma także maszynkę do golenia.
- A piżamę?
- Wygląda mi na takiego, co śpi na golasa.
- Skąd wiesz?
- Intuicja mi to podpowiada.

Jak na komendę obie parsknęły śmiechem.

- Wiesz, ty jesteś naprawdę świętą osobą! - wyznała Carrie. - Musiałam zaproponować mu nocleg, ale miło było mieć świadomość, że nie będziesz się gniewać.

- Gniewać? Ależ skąd! Uwielbiam ruch w interesie. A ten dom jest wręcz stworzony, aby przyjmować w nim gości. Za długo już tłukliśmy się tu sami z Oskarem. - Z tonu jej głosu przebijała najwyższa satysfakcja. - Pełna chata! Prawdziwy rodzinny dom! I tak właśnie powinno być.

Już leżąc w łóżku, Elfrida powtarzała sobie te słowa. Zawsze chciała mieć taki dom, który chroniłby ją jak tarcza czy jak skorupa żółwia. Uważała, że prawdziwy dom to taki, w którym jest pełno przyjaciół. Tyle tylko, że na ten dom zakusy miał Hughie, a Elfrida nie mogła znieść myśli, że Oskar mógłby utracić jedyne miejsce, które kiedykolwiek należało do niego.

Oskar akurat doszedł do końca rozdziału. Zaznaczył to miejsce zakładką, zamknął książkę i odłożył na nocny stolik.

- Nie śpisz? - spytał.

- Nie.

- Przepraszam!

- Nie ma za co, po prostu nie śpię.

Zgasił lampę, ale szpara między zasłonami przepuszczała trochę światła, które rozjaśniało ciemność.

- Oskarze... - zagadnęła go Elfrida.

- O co chodzi?

- Czy gdyby Hughie chciał sprzedać swoją połowę domu, mógłbyś go spłacić?

- To kosztowałoby siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów.

- Nie masz tyłu, prawda?

- Gdybym sprzedał wszystko, co mam, z trudem uzbierałbym dwadzieścia tysięcy.

- Mógłbyś wziąć kredyt.

- Nie na taką sumę i nie w moim wieku. Zresztą zawsze miałem awersję do pożyczek. Nieraz mi znajomi doradzają: „Weź kredyt”, ale tak naprawdę znaczy to: „Pożycz pieniędzy”, a ja nigdy w życiu nie robiłem długów i nie mam zamiaru na stare lata czegoś takiego zaczynać.

- A gdybym ja miała siedemdziesiąt pięć tysięcy, czy to by coś pomogło?

- Nawet gdybyś je miała, byłyby to twoje pieniądze, nie przeznaczone na spłacanie moich długów.

- Aleja zdążyłam już tak polubić ten dom...

- Naprawdę, kochanie?
- A ty nie czujesz, że on jakby żył własnym życiem? Jest taki bezpretensjonalny, ustawny, a przy tym osłania nas i promieniuje swoją wewnętrzną siłą.
- Nie mam takiej bujnej wyobraźni jak ty - przyznał Oskar.
- W każdym razie nie możesz wypuścić tego z rąk.
- Hughie nie sprzeda go bez mojej zgody.
- Tak, ale teraz pilnie potrzeba mu pieniędzy. - Elfrida przez chwilę leżała cicho, układając sobie w myśli, co zamierza powiedzieć. - Jak myślisz, ile mogłabym dostać za mój obraz Davida Wilkiego?
- Przecież to twój skarb!
- Raczej moje zabezpieczenie, które właśnie teraz może się przydać.
- No właśnie, twoje, a nie moje!
- Przecież jesteśmy razem, więc nie ma sensu spierać się o drobiazgi.
- Siedemdziesiąt pięć tysięcy to nie drobiazg - to sporo pieniędzy.
- Jeśli ten obraz jest wart tyle, ile myślę, to uważam, że powinniśmy go sprzedać. Nawet gdybyśmy nie dostali za niego całych siedemdziesięciu pięciu tysięcy, to różnicę zawsze będzie można dopożyczyć. Po co mam trzymać ten obraz, jeśli za niego mogę kupić zabezpieczenie na całe życie, a tym dla nas byłby ten dom. Nie mogę nawet myśleć, że tak urocze miejsce przeszłoby w obce ręce!
- Oskar przez dłuższą chwilę nie odzywał się, aż w końcu sięgnął po jej rękę, którą schował w swojej ciepłej dłoni.
- Jaka ty jesteś kochana!
- Śpij już.
- I taka szlachetna...
- Porozmawiamy o tym jutro.

Lucy

20 grudnia

Jest już wpół do ósmej rano, ale muszę opisać w pamiętniku, co się wczoraj wydarzyło. Powinnam zanotować to na gorąco, ale wieczorem byłam tak zmęczona, że mogłam już tylko wziąć kąpiel i iść spać.

Więc żebym nie zapomniała - to było fantastyczne!

Do Kennedych poszliśmy piechotą, bo Oskar nie chciał w taką pogodę wyciągać samochodu. Dotychczas widziałam taki śnieg tylko na zdjęciach! Dobrze, że droga nie zajęła nam dużo czasu, bo szliśmy na skróty. Dom Kennedych nazywają też plebanią, bo Peter jest pastorem. To stary dom, podobny trochę do tego tutaj, ale więcej w nim mebli i różnych drobiazgów. Carrie nie mogła pójść z nami, bo jest przeziębiona.

Oprócz nas byli tam już także inni goście. Zostaliśmy wszystkim przedstawieni. Pani Kennedy'ma na imię Tabitha, wygląda wciąż ładnie i młodo, ale trochę oryginalnie. Rory powiedział mi, że ona uczy w szkole wychowania plastycznego. Zaraz jednak zostawiliśmy dorosłych w salonie, a sami wyszliśmy do kuchni, gdzie czekało już trzech kolegów Rory'ego i jego siostra Clodagh. Ta mała ma dopiero dwanaście lat, jest chuda i zwinna, z niebieskimi oczami i blond kucykami, ale straszna z niej flirtiar! Najpierw napiliśmy się coli, ale zaraz dostaliśmy obfity podwieczorek, zapiekany makaron z serem i sałatką, a na deser duży czekoladowy tort i lody. Po podwieczorku ubraliśmy się i poszliśmy spacerkiem do szkoły, do której mieliśmy jakieś pół mili drogi. Ta szkoła jest dość stara, ale ma masę nowych przybudówek. Na przykład salę gimnastyczną, która służy także jako aula.

Szkoła była pełna dzieciaków w różnym wieku, od siedmioletnich szkrabów do prawie dorosłych. Dyrektor nazywa się Macintosh, ale po cichu przezywają go Pan Nieprzemakalny. Jestem pewna, że on o tym wie, ale jest jeszcze młody i bardzo fajny.

W jednym końcu sali ustawiono podium, a na nim grała prawdziwa kapela - akordeonista, perkusista i skrzypek. By-

to dużo hałasu, ale kiedy pan Macintosh poprosił o ciszę - wszyscy od razu się uspokoili, chociaż wcale nie podnosił głosu. Zapowiedział, że czas zaczynać. Najpierw tańczyliśmy Gałązką wierzby, bo to najłatwiejsze, nawet dla maluchów i początkujących (takich jak ja).

Rory i jego koledzy pomagali nam ustawiać się w węża lub znajdować partnerów, chociaż to nie miało wielkiego znaczenia, bo chłopcy mogli także tańczyć z chłopcami, a dziewczęta z dziewczętami. Wydaje mi się, że to dobry pomysł. Dwóch chłopców chciało poprosić Cłodagh, a Rory tańczył ze mną.

Znaleźliśmy się mniej więcej w połowie węża, więc nie zawsze orientowałam się, co się dzieje. Muzyka grała tak żywo i skocznie, że trudno było ustać spokojnie na nogach, zwłaszcza że takt wybijał wielki bęben. Taniec nie był trudny, musiałam tylko szybko wirować w kółko najpierw z jednym partnerem, potem z drugim i tak dalej, a potem od początku. Czasem trafiałam w ręce potężnego, silnego chłopaka, który unosił mnie w górę, a po chwili musiałam tańczyć z zupełnym chudziakiem i uważać, aby z kolei jego nie oderwać od ziemi. Pod koniec wszyscy się zgrzali i zadyszeli, ale zrobiono przerwę, żeby można się było czegoś napić i bawić dalej.

Ten taniec był przeznaczony dla ośmiu osób, ale tańczyliśmy go w szesnastkę, co dodatkowo komplikowało sprawę. Następny nazywał się Dom Hamiltonów i był bardzo zabawny, bo najpierw łąpało się jednego chłopaka, aby potem kręcić się z drugim. Siwy sierżant polegał na tym, że przemierzało się salę trójkami, i to każda w przeciwną stronę, więc pod koniec wszyscy mieszały się ze wszystkimi. Wesołego Gordona nie tańczyliśmy, bo Rory powiedział, że to głupi taniec, więc tymczasem poszliśmy napić się lemoniady. Nie tańczyłam przez cały czas z Rorem, bo wielu innych chłopaków, których imion nawet nie pamiętam, prosiło mnie do tańca. Większość miała na sobie dżinsy lub jakieś stare ciuchy, ale kilku chłopaków nałożyło szkockie spodniczki, koszulki do gry w rugby lub stare tweedowe kamizelki.

Czas upływał tak miło, że nikt nie chciał schodzić z parkietu, choćby spociał się jak mysz i dostał zadyszki, bo gdy tylko muzyka zaczęła grać - nogi ruszały się same. Impreza skończyła

się około dziesiątej. Nikt jeszcze nie chciał iść do domu, ale kapela spakowała instrumenty, więc dalsza zabawa nie miała już sensu. Ubraliśmy się więc i Clodagh ze swoimi przyjaciółmi wróciła na plebanie. Któryś z chłopców miał saneczki i woził dziewczęta na zmianę. Natomiast Rory odprowadził mnie do domu Oskara. Noc była piękna, miękkie płatki śniegu wciąż padały i zamazywały wszystkie kształty.

Carrie radziła, żeby zaprosić Rory'ego na piwo. Chętnie się zgodził i wszedł do środka, a tam czekały nowe niespodzianki. Wszyscy siedzieli w kuchni przy kolacji, Carrie już wstała z łóżka, ale przybył jakiś zupełnie obcy pan. Nazywał się Sam Howard i przyjechał w nasze strony, aby kierować tkalnią w Buckly. Bardzo przystojny i chyba w sam raz w odpowiednim wieku dla Carrie! Myślałam, że to jakiś jej dawny znajomy, ale okazało się, że ugrzązł tu z powodu śnieżycy i musi zostać na noc, bo nie da rady dojechać do Inverness. Rzeczywiście, po drodze widzieliśmy eleganckiego range-rovera przed domem, ale nie skojarzyliśmy tych faktów.

Napiliśmy się gorącej czekolady z ciasteczkami, a potem Rory musiał iść do domu. Obiecał, że przyniesie mi telewizor, chociaż nie wydaje mi się, abym go potrzebowała. Dzieje się tu tyle ciekawych rzeczy, że chyba nie będę miała czasu oglądać telewizji.

Najprzyjemniejsza jest świadomość, że po jednych ciekawych zdarzeniach będą następować inne. W Londynie nigdy nie przeżywałam czegoś takiego. Tam, kiedy impreza się kończyła, nic więcej się nie działo, a tu każdego dnia spotykają mnie jakieś miłe niespodzianki.

Chyba już się ubiorę i zjedę ją dół, bo czuję bardzo zachęcający zapach bekonu...

Elfrida

Rano Elfrida, jak zawsze, pierwsza zeszła na dół. Na półpiętrze rozsunała ciężkie zasłony i z ciekawością wyjrzała na zewnątrz. Było jeszcze ciemno, ale przynajmniej przesta-

ło padać i w świetle lamp ulicznych rysowały się zaokrąglo-
ne kształty drzew i krzewów w ogrodzie, przysypanych śnie-
giem i trudnych do identyfikacji. Wszędzie panowała cisza
i spokój.

Horacy chyba czuł się już lepiej, bo kiedy otworzyła drzwi
kuchni - wylażł z koszyka i przywitał ją merdaniem puszystego
ogona. Poklepała go, pogłaskała i zagadała do niego, po czym
otworzyła tylne drzwi i wypuściła psa na dwór. Horacy spróbo-
wał znaleźć w zwałach śniegu odpowiednie miejsce do za-
łatwienia swych potrzeb, ale nie przyszło mu to łatwo. Wyszedł
stamtąd wyraźnie oburzony, że w okresie rekonwalescencji
musi jeszcze znosić takie niewygody. W złym humorze ułożył
się na powrót w swoim koszyku.

Tymczasem Elfrida zajęła się śniadaniem. Nakryła stół, za-
parzyła kawę i usmażyła bekon. Zauważyła przy tym, że bekon
się kończy, a więc trzeba go dokupić. To z kolei przypomniało
jej, że powinna już pomyśleć, co w święta przygotuje do jedze-
nia. Odkładała tę decyzję z dnia na dzień, aż zostało tak mało
czasu, że w ogołoconych sklepach niewiele już dało się kupić.
Toteż znalazła jakąś starą kopertę i ołówek, i doglądając sma-
żącego się bekonu, spróbowała sporządzić pRowizoryczną listę
zakupów. Na pierwszym miejscu zapisała oczywiście bekon,
potem mandarynki, ale nic więcej nie przyszło jej do głowy,
więc dała sobie spokój, przynajmniej dopóki nie napije się
kawy.

Przy tej kawie zastał ją Sam Howard. Miał na sobie ten sam
oficjalny garnitur co wczoraj, bo po prostu nie miał się w co
przebrać. W tym miejscu ten strój prezentował się zupełnie nie-
odpowiednio, tym bardziej że Elfrida zeszła do kuchni w swo-
ich kraciastych spodniach i szafiRowym swetrze z wrabianym
wzorem pasących się owiec. Zrobiło się jej więc żal Sama
i chciała go jakoś pocieszyć.

- Może znajdę ci jakiś sweter, dobrze? - zaproponowała.
- Wiem, że wyglądam jak dziwadło.
- Raczej jak prezes, który ma właśnie wygłosić przemówie-
nie. Wypałeś się dobrze?
- Nawet bardzo wygodnie. Pamiętam takie łóżka z domu
mojej matki.

- Na śniadanie jest bekon.
- Już na schodach go poczułem!
- Możesz dostać do tego jajko.
- Chętnie sam je usmażę.
- W najlepszej marynarce? Nie radzę, bo przesiąknie kuchnią. Poczekaj, przyniosę ci coś mniej sztywnego.

Poszła na górę i przeszukała pokój Oskara, który akurat golił się w łazience. Wyciągnęła z jego komody niebieski sweter z szetlandzkiej wełny, podczas gdy Sam, tylko w koszuli, smażył sobie jajko. W biegu rzuciła mu sweter.

- Za zimno tak w samej koszuli! - pouczyła. Złapał golf i wciągnął przez głowę. - O, tak już lepiej. Od razu ci ulży.

Sam usmażył jajko, zsunął je na talerz, dołożył do tego dwa plasterki bekonu, podczas gdy Elfrida włożyła kromki chleba do nowego tostera i naleła mu kawy. W miłej atmosferze zasiedli razem przy stole.

- Śnieg przestał padać...
- Tak mi przykro z powodu tej nocy...

Oboje odezwali się jednocześnie i w tym samym momencie umilkli, czekając, aż to drugie skończy zdanie.

- Niby dlaczego ma ci być przykro? - Pierwsza zdecydowała się Elfrida. - To dla nas żaden kłopot. Wielka rzecz, że poczęstowaliśmy cię przesuszoną potrawką i zmieniliśmy pościel w jednym łóżku!

- Nie o to mi chodzi, chociaż było to bardzo uprzejme z waszej strony. Gorzej, że wtargnąłem do waszego domu z kluczem od niego i oznajmiłem, że mam zamiar go kupić. Na samo wspomnienie robi mi się niedobrze. Mam nadzieję, że nie obraziłem Oskara ani go nie zdenerwowałem.

- Oskar nie jest taki, żeby się od razu obrażać. Na pewno był trochę zły, ale na Hughiego, nie na ciebie. No, a Hughie zachował się rzeczywiście po chamsku, choć Oskar twierdzi, że to w jego stylu, a ja nie wiem, jak jest naprawdę, bo w życiu go nie widziałam. A ty go lubisz? To znaczy Hughiego?

- Niespecjalnie. To taki staroświecki, oblesny typ, który lubi bawić się własnym krawatem.

Elfrida od razu zorientowała się, że chodzi o manierę typową

dla mężczyzn, którzy nie mają co zrobić z rękami, bardzo męczącą dla obserwatora.

- Och, jak nie cierpię facetów, którzy to robią! - skrzywiła się. - Mogę sobie wyobrazić, co to za gagatek!

- Ciągle jeszcze mam ten klucz. Chyba oddam go Oskarowi.

- On akurat tym się nie martwi.

- A czy... - Sam odłożył nóż i widelec, sięgając po filiżankę kawy. - ...Oskar nie chciałby spłacić Hughiego?

- Wczoraj wieczorem, przed zaśnięciem, długo o tym rozmawialiśmy. Widzisz, znamy się dopiero od niedawna. Jestem z Oskarem, odkąd jego żona i córka zginęły w wypadku samochodowym, a on sam musiał opuścić Hampshire. Żyjemy ze sobą, ale na razie nie planujemy wspólnej przyszłości. Jestem dla niego raczej czymś w rodzaju zapasowego koła, więc trudno mi wywierać na niego jakąkolwiek presję lub nawet coś mu sugerować.

- A czy on ma zamiar wrócić do Hampshire?

- Nie, bo dom, w którym mieszkał z Gloria, został wystawiony na sprzedaż.

- Więc tylko ten dom jest jego własnością?

- Tak, i to zaledwie w połowie.

- Nie lepiej byłoby spłacić Hughiego?

- Na pewno lepiej, ale na razie to niemożliwe, bo nie mamy tyle pieniędzy.

- Nie mogłby wziąć kredytu?

- Nie chce nawet o tym myśleć.

- Rozumiem. - Sam wrócił do swoich jajek na bekonie, ale Elfridzie dodawała siły sama jego obecność. Czuła, że może mu ufać, jak nikomu dotąd.

- Ostatniej nocy przyznał mi się, że gdyby nawet sprzedał wszystko, co ma, nie uzbierałby więcej niż dwadzieścia tysięcy funtów. Przypomniałam mu wtedy, że przecież mam jeszcze swój obraz.

Sam odruchowo spojrzał w górę i nad stołem skrzyżowały się ich spojrzenia. Elfrida domyśliła się, że i on rozważał taką możliwość.

- Mówisz o tym obrazie Davida Wilkiego?

- Tak, właśnie o tym. Dostałam go przed laty i sądzę, że to oryginał, choć nigdy nie dawałam go do oceny, bo nie próbowałam go ubezpieczyć. Wystarczy mi przeświadczenie, że jest wart dużo pieniędzy. Traktuję go jako zabezpieczenie na czarną godzinę.

- I byłąbyś gotowa go sprzedać?

- Dla Oskara jestem gotowa na wszystko... No, może z wyjątkiem skoku z piętra czy palnięcia sobie w łeb! W końcu czym jest jeden mały obrazek wobec perspektywy posiadania takiego pięknego domu?

- Osobiście zgadzam się z tobą, ale czy to znaczy, że nie wiesz, ile to dokładnie jest warte?

- Właściwie nie, a tu nie mam gdzie ani kiedy dać obrazka do wyceny. Nikogo tu nie znam, zauważyłam tylko, że po przeciwnej stronie ulicy jest sklep z antykami, ale to trochę mało.

Sam przez dłuższą chwilę jakby coś sobie przypominał. Wreszcie przywołał w pamięci to, co chciał.

- Zaraz, zaraz...przecież żona mojego starego kumpla, Janey Philip, pracowała przedtem w Galerii Sztuki Boothbych! Zadzwońię do niej, na pewno nam coś podpowie.

- Trochę głupio zajmować się handlem dziełami sztuki przed sAmymi świętami.

- Nie musimy tego robić już teraz.

- I tak nie zdziałalibyśmy wiele przez ten śnieg. Mam nadzieję, że z tego powodu i ty nie będziesz mógł jeszcze od nas wyjechać.

Sam odstawił filizankę i zaniósł się śmiechem. Elfrida zmarszczyła brwi.

- Co cię tak rozśmieszyło?

- Ty. Większość ludzi czekałaby tylko na to, by pozbyć się intruza!

- Kiedy ja cię wcale nie traktuję jak intruza! Ale wiem, że powiedziałam głupstwo, przecież na pewno chcesz jak najszybciej dostać się do Inverness, a stamtąd do domu.

- Na razie nie wybieram się dalej niż do Inverness.

- Jak to, nie spieszysz się do domu?

- Widzisz, o to chodzi, że w tej chwili właściwie nie mam domu. Moje mieszkanie w Nowym Jorku nie jest już dla mnie

domem, odkąd jesteśmy z żoną w separacji, a zresztą i tak musiałem je opuścić, kiedy wezwano mnie z powrotem do Anglii.

- Och, Samie, tak mi przykro...
- Niby dlaczego ma ci być przykro?
- Z powodu twojej żony. Nic o tym nie wiedziałam.
- Skąd miałas wiedzieć? Takie rzeczy się zdarzają.
- To znaczy, że nadal jesteś żonaty?
- Tak.
- Dzieci macie?
- Nie.
- A co z twoimi rodzicami?

- Oboje już nie żyją, a nasz stary dom w Yorkshire kupił ktoś obcy.

- No więc jak spędzisz święta?

- Nawet o tym nie myślałem. Pewnie przeczekam wszystkie imprezy w Inverness, a potem wrócę do Buckly, żeby rozkręcić robotę. W tej chwili to jest dla mnie najważniejsze, a święta i rodzinę postanowiłem sobie w tym roku opuścić.

- Wykluczone! Musisz zostać na święta u nas!

- Ależ, Elfrido...

- Mówię całkiem poważnie. Nie zniosłabym myśli, że siedziałbyś wtedy sam jak palec w hotelu w Inverness. My z Oskarem też na początku myśleliśmy, że nie będziemy urządzić żadnych świąt, tylko na modłę pogańską uczymy Przesilenie Zimowe pieczenia z barana. Okazało się jednak, że będą z nami Carrie i Lucy, więc Oskar już zamówił choinkę i wraz z Lucy kupili jakieś ozdoby. Wynika stąd, że trzeba będzie narwać ostrokrzewu, ustrzelić indyka, czy co tam jeszcze ludzie robią na święta? Zaczęłam już sporządzać listę zakupów, ale nie wymyśliłam jeszcze nic poza bekonem i mandarynkami... Nigdzie nie jedź, zobaczysz, jak będzie fajnie!

Kiedy skończyła swoją tyradę, Sam milczał, więc Elfrida przestraszyła się, że znów powiedziała jakieś głupstwo albo coś przedobrzyła. Dodała więc szybko:

- Zresztą najważniejsze jest to, czego ty sam chcesz.

- Wiem, że jesteś najbardziej gościnną i szlachetną osobą, jaką w życiu spotkałem - uspokoił ją Sam. - Wiesz, co zrobić? Zadzwoń teraz do informacji i dowiem się, jak przedstawia

się sytuacja na drogach. Jeśli są już przetarte, uwolnię was od swego towarzystwa i pojedę do Inverness, bo naprawdę mam roboty do licha i trochę. Natomiast jeśli szosa nadal będzie nieprzejezdna, chętnie przyjmę twoje zaproszenie.

- Świetnie! Zaraz zacznę się modlić o zawieje i zamiecie śnieżne.

- A co na to powie Oskar?

- Powie: „Cudownie!” i wsadzi nos w gazetę.

Sam odwinął mankiet pożyczonego od Oskara swetra i spojrzął na swój elegancki zegarek marki Rolex.

- Dochodzi dziewiąta - powiedział. - W takim razie zamknę się teraz w pokoju z moim telefonem komórkowym i odbędę parę rozmów.

- Proszę bardzo, ale może najpierw napijesz się jeszcze kawy?

Następna w kuchni zjawiła się Carrie.

- Gdzie reszta? - spytała. - Zdawało mi się, że słyszę jakieś głosy.

- Był tu Sam, ale poszedł do swego pokoju zadzwonić.

- Wszystko wciąż jest zasypane śniegiem - zauważyła. Na-lała sobie kawy, włożyła do opiekacza kromkę chleba, złapała w palce plasterek bekonu i zjadła. Siadając do stołu, dostrzegła kopertę z listą zakupów układaną przez Elfridę. - A to co? Be- kon i mandarynki? Czyżbyś szykowała imprezę?

- Trzeba w końcu pomyśleć o świętach. Odwlekałam to, ale zostały nam tylko cztery dni.

- Pozwolisz, że ja się tym zajmę? Organizowanie to moja specjalność, a wręcz uwielbiam sporządzanie list zakupów. Gdzie tu można obkupić się od stóp do głów?

- Po drugiej stronie mostu, w Kingsferry, jest olbrzymi supermarket. Musiałas go minąć, wracając z lotniska. Nie wiem tylko, czy dostaniesz się tam przez ten śnieg. Dowiemy się wszystkiego, kiedy Sam dodzwoni się do informacji.

- Olbrzymi supermarket, mówisz? To brzmi zachęcająco.

- Owszem, możesz tam kupić wszystko, od karmy dla psów po nawóz pod róże. Dotychczas byłam tam tylko raz, bo dla nas dwojga nie trzeba było tyle jedzenia, ale święta to co innego.

- Czy Sam pojedzie do tego Inverness?

- To zależy od stanu szos. Gdyby nie mógł się stąd wyostać, z góry zaprosiłam go, żeby spędził z nami cały okres świąteczny, jak to się teraz mówi.

- To znaczy, że będzie nas pięcioro - podsumowała Carrie, nie zdradzając żadnych emocji. Przysunęła do siebie kopertę z notatkami Elfridy i ołówkę. - Przewidujemy jakiś uroczysty posiłek?

- Myślę, że tak. Lunch albo kolację, co lepiej?

- Kolacja - to brzmi znacznie bardziej uroczyście.

- Indyk nie zmieści się do tego małego piekarnika.

- No więc podAmy kurczaki. Myślę, że wystarczą dwa.

Carrie z zapałem notowała. A więc kurczęta. Brukselka. Ziemniaki. Goździki do sosu chlebowego. Mrożony groszek. Marchewka. Różne owoce. Masło. Francuski chleb. Żurawinowy ketchup. Laseczki cynamonu...

- Będziemy mieli trzaskawce*?

- Oczywiście, że musimy je mieć.

- A wino?

- Tym już zajmie się Oskar.

- Wędzony łosoś?

- To moje ulubione danie!

- No i na pewno orzechy i inne bakalie. Upieczemy placek z jabłkami?

- Proponowałabym raczej kupić gotowe ciasto, bo nie idzie mi to najlepiej. Najwyżej dla zmyłki nasączymy je koniakiem. Mogę natomiast upiec keks i ugotować świąteczny pudding.

- Przydałoby się także trochę szynki do kanapek na drugi dzień świąt.

- Właśnie. Kanapki i duży sagan zupy!

- Zupę to ja ugotuję. - Elfrida czuła się kompetentna w tej materii, gdyż jej specjalnością była zupa na smaku rosółu z kury, do którego dodawała wszystkie warzywa, jakie się jej nawinęły pod rękę. Nazywała tę potrawę Przeglądem Tygo-

dnia. - No i jeszcze chipsy i sosy do nich, bo może urządzimy imprezkę.

- Imprezkę?

- A co, nie wolno nam?

- I kogo chcesz zaprosić?

- Hm... - Elfrida zamyśliła się, gdyż nie miała zbyt wielu możliwości. - Oczywiście Kennedych. Naszego doktora z żoną. I tego miłego pana z księgami, którego poznaliśmy na plebanii. Od razu przypadli sobie do gustu z Oskarem.

Jak na zawołanie, akurat w drzwiach pojawił się Oskar.

- Z kim to tak przypadliśmy sobie do gustu?

- Z księgarzem.

- Jeśli już, to on nazywa się Stephen Rutley, a jego żona ma na imię Anna.

- Jak to dobrze, że pamiętasz! Widzisz, chciałabym urządzić małe przyjęcie i myślę, że powinniśmy ich zaprosić.

- Kiedy ma się odbyć to przyjęcie?

Carrie i Elfrida spojrzały po sobie, ponieważ same się jeszcze nie zdecydowały na żaden konkretny termin.

- W sobotę - wypaliła Carrie. - Najlepiej jest urządzać przyjęcia w sobotę wieczorem.

- A więc w przeddzień Wigilii.

- Zatem muszę kupić coś do picia - postanowił Oskar.

- Jeżeli most będzie przejezdny, Carrie pojedzie do supermarketu w Kingsferry i zrobi wszystkie zakupy. Mógłbyś pojechać z nią.

- Rzeczywiście mógłbym, bo Elfridzie chyba skończył się bekon.

- Och, przepraszam, to ja zjadłam ostatni plasterk! - sumiotowała się Carrie. - Zaraz usmażę ci jeszcze.

- Więcej już nie ma - wyprowadziła ją z błędu Elfrida.

Na szczęście w lodówce były jeszcze kiełbaski, więc Carrie je ugotowała. Kiedy do kuchni zeszła Lucy, Elfrida dyskretnie się ulotniła. Cieszyła się, bo zdążyła poczynić już pewne plany i nie musiała tracić co najmniej godziny w supermarkecie, przepychając się z wózkiem między tłumami przedświątecznych zakupowiczów.

Udała się najpierw do swojej sypialni, gdzie zaściła łóżko,

przykrywając je z wierzchu swoim czerwonym jedwabnym szalem. Brudną bieliznę wrzuciła do kosza, przeglądając jego zawartość pod kątem ewentualnego prania. Pogoda była odpowiednia do suszenia bielizny na sznurze, bo na bezchmurnym niebie słońce stało coraz wyżej, aż śnieg iskrzył w jego świetle. Z okna Elfrida obserwowała poranny ruch uliczny w całej pełni. Gospodynie szły po zakupy, wolno jechały samochody, a w zaparkowanej furgonetce kieRowca pokrzepiał się bułką z szynką. Z piekarni wyszła dziewczyna w kombinezonie i gumowcach. Wyniosła na dwór miotłę i zaczęła odgarniać śnieg z chodnika. Nad jej głową kołowały mewy, od czasu do czasu przysiadając na wieży kościelnej i wietrząc pióra w słońcu.

Elfrida oderwała się od podziwiania tego pięknego widoku, zebrała bieliznę przeznaczoną do prania i rzuciła ją w łazience na podłogę z myślą o późniejszym zabraniu jej na dół. Przeszła do salonu i rozsunała tam zasłony, aby wpuścić trochę światła. Na miejscu zastała pozostałości po wczorajszym wieczorze - puste szklanki, opróżnioną butelkę whisky Oskara, zgniecione poduszki i porozstawiane niedbale fotele. Uporządkowała nieco ten nieład, pozbierała szklanki i uklękła, żeby wygarnąć popiół z paleniska kominka. Nie znosiła tej czynności, lecz ktoś musiał codziennie to robić. Wprawdzie Oskar deklaRował, że chętnie ją w tym zastąpi, ale wystarczyło, że podjął się rąbania drewna. Elfrida uważała, że byłoby nie w porządku wymagać od niego jeszcze wynoszenia popiołu.

Wygarniała właśnie resztki z paleniska, gdy usłyszała za sobą głos Sama:

- Ależ, Elfrido, przecież ja mógłbym to zrobić!

- Ach, to ty! - Odwróciła się i dostrzegła Sama stojącego w otwartych drzwiach. Przerwała wymiatanie i wstała, ocierając z kurzu ręce o spodnie. - Nie przejmuj się tym, robię to co rano. Zresztą skończę później. Mów, co tam nowego.

- Obawiam się, że będziecie musieli męczyć się ze mną przez całe święta - wyznał z pewnym skrepowaniem.

- Ależ to cudownie! - Elfrida nawet nie usiłowała ukryć satysfakcji. Potem jednak pomyślała, że wypadałoby okazać mu trochę współczucia. - Biedny Samie, utknąłeś tu na dobre?

No, to rzeczywiście nie masz wyboru. Chodź i opowiedz, jak wygląda sytuacja.

Usiadła na ławie przy oknie, a on przysiadł się obok. Białe zimowe słońce przygrzewało ich nieco przez szybę.

- No więc szosa jest przejezdna do Cromarty Bridge, ale przez Black Isle nie da się przejechać, więc Inverness jest odcięte od świata. Ani wjazdu, ani wyjazdu.

- Pewnie napadało tam więcej śniegu niż u nas.

- Na to wygląda.

- Carrie i Oskar wybierają się na zakupy do supermarketu w Kingsferry, zaraz za mostem. Myślisz, że zdołają tam dojechać?

- Powinni. Do tego miejsca pług śnieżny chyba już oczyścił drogę. Problemy zaczynają się bardziej na południe.

- Zawiadomiłeś swój hotel?

- Tak, jak również mojego szefa w Londynie, Davida Swinfielda. Zadzwoiłem także do Janey Philip.

- Janey...? - Elfrida zdążyła już zapomnieć, o kogo chodzi.

- No, przecież ci mówiłem. Żona Neila.

- Aha, ta, co pracowała u Boothbych?

- Ta sama. Dużo mi pomogła. Wyszperła w najnowszym katalogu Boothbych, że mają niedaleko stąd swojego przedstawiciela. Mieszka w Kingsferry House i nazywa się sir James Erskine-Earle.

- O rany, jak uroczyście! - nie wytrzymała Elfrida.

- Dała mi jego numer telefonu, ale jeszcze do niego nie dzwoniłem. Chciałem najpierw uzgodnić to z tobą, żeby upewnić się, czy naprawdę chcesz sprzedać ten obraz albo przynajmniej go wycenić.

- Nie powiedziałam nic Oskarowi.

- A chciałabyś porozmawiać z nim o tym?

- Raczej nie. Przypuszczam, że próbowałby wyperswadować mi ten pomysł.

- Wycenić to jeszcze nie znaczy sprzedać. Tak czy owak powinnaś go ubezpieczyć.

- Obawiam się, że nie byłoby mnie stać na składki.

- No więc jak, mam do niego zadzwonić?

- Tak, zobaczymy, co powie.

- Dobrze, idę do mojego pokoju. Zostawiłem tam telefon.

Sam wyszedł z salonu, a Elfrida przeniosła wzrok na tę ścianę, na której wisiał jej skarb. Towarzyszył jej przez tyle lat... Starsze małżeństwo siedzące przy stole, na którym leżała ich rodzinna Biblia - mężczyzna poważny i uroczysty, kobieta dumnie obnosząca jaskrawoczerwoną suknię i kanarkowożółty szal. Z ich twarzy emanowała mądrość i życzliwość, a z całych postaci - spokój i godność. Ich milcząca obecność przez lata dodawała jej siłę, pomagała dzielnie znosić ciężkie chwile. Bardzo polubiła to małe dziecko, ale przecież nie bardziej niż Oskara!

Po jakichś pięciu minutach wrócił Sam. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

- Wszystko załatwione! - oświadczył, wracając na swoje miejsce.

- Rozmawiałeś z tym sir Jamesem Erskine'em-Earle'em?

- Bez problemów. Sam odebrał telefon. Akurat dziś po południu przyjeżdża do Creagan, bo jest w Komitecie Budowy Pomnika Bohaterów Ostatniej Wojny. Wpadnie tu około czwartej i rzuci okiem na ten twój obrazek, bo chyba się nim zainteresował.

- Och, Samie, nie wiem, czy wytrzymam tak długo! - Elfrida zareagowała nerwowo na tę wiadomość.

- Będziesz musiała.

- Oczywiście poczęstujemy go herbatą. Muszę kupić do tego jakieś słodkie bułeczki. Czy ten facet miał przynajmniej miły głos?

- W każdym razie robił wrażenie odpowiedzialnego człowieka.

- To zaczyna być podniecające!

- Niewykluczone, że rzeczywiście będzie.

- Uważasz, że powinnam powiedzieć o tym Oskarowi?

- Na twoim miejscu zrobiłbym to. Chyba sama nie chciałabyś, żeby ktoś knuł coś za twoimi plecami?

- Rzeczywiście, masz rację. I dziękuję ci, że się dla mnie trudziłeś.

- Cieszę się, że mogłem zrobić dla ciebie przynajmniej to. Właściwie mogę zrobić coś jeszcze. Wspominałaś, że Carrie

wybiera się z Oskarem po zakupy? Przecież ja mógłbym z nią pojechać. Pomógłbym jej wyładowywać towar z wózków i odwieźć do domu.

Elfrida uznała, że to świetny pomysł, i to z więcej niż jednego powodu. Głośno zaś wyraziła swoją aprobatę słowami:

- Jak to miło z twojej strony! Oskar bardzo się ucieszy, bo nie cierpi zakupów.

- A ja mam swoje powody! (Brawo! Coraz lepiej!) Przede wszystkim muszę sobie kupić coś do ubrania na zmianę, żeby przez całe święta nie wyglądać jak manekin u krawca. Mam nadzieję, że w tym Kingsferry mają jakiś sklep z konfekcją męską. No i jeszcze muszę wpaść do drogerii, bo nie mam pasty do zębów.

Elfrida skwapliwie mu przytaknęła, ale poczuła się nieco zawiedziona, bo sądziła, że te jego tajemnicze powody miały coś wspólnego z Carrie.

- Przy okazji mógłbym kupić wino dla Oskara... - Sam kontynuował swoją wyliczankę. - Ale pewnie powinienem najpierw się z nim naradzić.

- Słusznie, bo Oskar ma ustalone poglądy, jeśli chodzi o gatunek wina.

- I ma rację!

Na dworze robiło się coraz jaśniej. Mewy kwiliły, przysiadły na rynnie dachu, kołowały nad wieżą kościelną i upajały się świeżym powietrzem. Elfrida obserwowała je, rzucając przy tym luźne zdanie:

- Właściwie to chciałabym, żebyś zamieszkał w tym domu. To w sam raz odpowiednia rezydencja dla dyrektora poważnej firmy.

Rzuciła przy tym okiem na Sama, który w niebieskim swetrze Oskara sprawiał wrażenie, jakby mieszkał tu z nimi od zawsze.

- Dziwnie się plecie na tym świecie, prawda? Najpierw ni z tego, ni z owego zjawiasz się z tym kluczem. Potem śnieg odcina ci drogę powrotną i dzięki temu mam wokół siebie młodych i energicznych ludzi. Carrie jest urodzoną organizatorką, a ty podejmujesz decyzje, których sama nigdy bym nie podjęła. Zwykle kierowałam się w życiu impulsami, a to cza-

sem źle się kończyło. Zbyt długo siedzieliśmy tu sami z Oskarem jak stary dziad i baba, a do tego baliśmy się, że tegoroczne święta będą dla nas raczej smutne. Dobrze, że ty, Lucy i Carrie trochę nas rozruszacie. Może będzie tak jak z tym przyjęciem, na które najpierw nie ma się ochoty pójść, a potem okazuje się, że bawiliśmy się świetnie, jak nigdy w życiu. Rozumiesz, co mam na myśli?

Sam odparł, że rozumie ją doskonale.

Lucy

O wpół do jedenastej każdy już sobie znalazł jakieś zajęcie. Sam i Carrie odjechali jego luksusowym terenowym samochodem do supermarketu w Kingsferry. Wymagało to pewnej dozy wysiłku fizycznego, gdyż najpierw Sam musiał szuflą, znaną w szopie na narzędzia, odgarnąć śnieg z dróżki od bramy do drzwi frontowych. Potem miotełką obmiotł wóz z nawianego śniegu i spryskał szyby odmrażaczem. Dopiero wtedy przyłączyła się do niego Carrie i wyruszyli w drogę, zaopatrzeni w listę, której sporządzenie wymagało długich deliberacji. Carrie włożyła swój płaszcz z lodenu i czarną futrzaną czapkę, a Sam eleganckie, granatowe palto, w którym wyglądał na prawdziwego człowieka sukcesu.

Elfrida rozwiesiła pranie na dworze i wyprowadziła Horacego na krótki spacer do zamkniętego o tej porze hotelu na górze, a z powrotem obok stacji kolejowej. Obawiała się bowiem, że brak ruchu spowoduje u niego zanik mięśni, a wtedy nie wyłaźłby nawet ze swego koszyka. Oskar rozsiadł się przy kominu z gazetą, zadowolony, że nie musi robić zakupów.

Lucy usiadła więc przy stole w swojej sypialni i opracowała własne plany na najbliższą przyszłość. Postanowiła, że jeszcze tego ranka musi kupić prezenty gwiazdkowe dla wszystkich bliskich sobie osób. Jeszcze przed wyjazdem z Londynu zawczasu wręczyła swoje upominki mamie i babci, ale zostało jej jeszcze wielu innych adresatów. Elfrida, Oskar, Carrie, teraz

doszedł jeszcze Sam, pani Snead, oczywiście Rory, a żeby to nie budziło podejrzeń - także i Clodagh. Na szczęście, dzięki sumom otrzymanym na własne wydatki, nie musiała liczyć się z każdym groszem. Poza wymienionymi jakoś nikt inny już nie przyszedł jej na myśl.

Włożyła do plecaka listę osób przeznaczonych do obdaRowania i swój imponująco wypchany portfel. Ubrała się i zeszła na dół, a po drodze wsadziła głowę przez otwarte drzwi salonu.

- Oskarże...
- Tak, kochanie?
- Wychodzę do miasta po zakupy.
- Dobrze, kochanie.
- Kiedy Elfrida wróci, powiedz jej, że wyszłam.
- Oczywiście.

Wychodząc z domu, odczuwała coraz bardziej namacalną bliskość nadchodzących świąt. Już przy śniadaniu zapadły decyzje i Lucy dowiedziała się, że w dzień przed Wigilią odbędzie się uroczysta kolacja. W Londynie przywykła do znacznie skromniejszych obchodów. Zazwyczaj poprzestawano na świątecznym obiedzie, po którym reszta dnia wlokła się niechętnie. Natomiast wieczorne przyjęcie oznaczało cały dzień wypełniony radosnym oczekiwaniem. Do kolacji będzie też mogła włożyć swoją nową, czarną minispódniczkę i biały sweter...

Już w hallu zaczęła to sobie wyobrazać. Przechodziła akurat koło drzwi nie używanej jadalni, więc tknięta nagłym impulsem otworzyła je. Pomieszczenie było ciemne, ponure i aż się prosiło o gruntowne wysprzątanie, ale Lucy w myślach zobaczyła już płonący na kominku ogień, nastrojowe światło świec i stół uginający się pod wykwintnymi potrawami. Mogłyby tam znaleźć się, na przykład, kandyzowane owoce, płonący pudding, a do tego wino, trzaskawce w błyszczącym papierze i srebrne misy wypełnione orzechami i czekoladkami...

Nie miała jednak czasu, aby od razu wcielić ten pomysł w czyn. Teraz musiała wyjść na dwór w mroźny poranek, lśniący osłepiającą bielą śniegu. Po przeciwnej stronie ulicy, pod murem kościoła, stała komunalna ciężarówka z wysięgni-

kiem, za pomocą którego dwaj pracownicy rozwieszali na gałęziach drzew girlandy lampek.

Lucy obeszła najpierw małe sklepiki wokół rynku. Także i one miały wystawy odświętnie udekorowane sztucznym śniegiem, czerwonymi atłasowymi wstążkami i imitacją ostrokrzewu. Właściciel sklepu żelaznego wystawił w oknie piłę łańcuchową przewiazaną ozdobną wstążeczką i zaopatrzoną w bilecik z napisem: „Miły upominek gwiazdkowy”. Lucy zachodziła w głowę, czy znajdzie się amator na tego rodzaju towar.

Najpierw zaszła do sklepu z dzianiną. Znalazła tam duży wybór czapek, skarpetek, rękawiczek, swetrów z wrabianymi motywami ostu lub pseudoetnicznymi wzorami, które wyglądały, jakby je zaprojektował jakiś szalony Peruwiańczyk. Tym jednak, co finalnie przypadło jej do gustu, był długi, czerwony szalik z delikatnego kaszmiru. Uznała, że będzie się elegancko prezentował na smukłej szyi Carrie, a jeszcze do tego ją ogrzeje!

W następnej kolejności wstąpiła do księgarni. Dziś klientów obsługiwał sam właściciel, pan Rutley, którego poznała w czasie przyjęcia na plebanii. Przywitał Lucy jak starą znajomą i udzielił jej wszelkiej możliwej pomocy. Po długich poszukiwaniach zdecydowała się kupić dla Oskara cenne, albumowe wydawnictwo z całostronicowymi zdjęciami starych szkockich dworców, zamków i ogrodów. Album w sam raz nadawał się do położenia na stoliku do kawy i Lucy była pewna, że Oskarowi się spodoba. A gdyby nie - pan Rutley zapewniał, że gotów jest go wymienić. Lucy jednak wiedziała, że do tego nie dojdzie, bo Oskar prędzej padłby trupem, niżby zranił czyjeś uczucia.

Pan Rutley doradził jej również, że najodpowiedniejszym prezentem dla Sama będzie topograficzna mapa Creagan i okolicy, w tym także Buckley. Wyglądało to trochę prozaicznie, ale, z drugiej strony, co mogłoby bardziej przydać się komuś, kto zamierzał zamieszkać i pracować w tym rejonie? Mapa zresztą była bardzo elegancko wydana i dosyć droga. Lucy kupiła ją, a do tego jeszcze kilka bilecików, papier do pakowania z motywem ostrokrzewu i metalizowaną wstążeczkę. Pan Rutley za-

pakował jej to wszystko w reklamówkę i zainkasował należność.

- Pewnie zobaczymy się jeszcze po świętach, prawda, Lucy? - zagadywał.

- Na pewno. Dziękuję panu.

- Wesołych świąt!

W drogerii poszło o wiele szybciej. Dla pani Snead Lucy kupiła lawendowe mydło, a dla Clodagh ozdobne spinki do kucyków. Nieco większe trudności miała z wyborem podarunku dla Rory'ego. Nie wiedziała przecież, czym naprawdę mogłaby mu sprawić przyjemność. Znacznie ułatwiłoby jej zadanie, gdyby miała brata albo choćby zaprzyjaźnionego chłopaka. W którymś momencie zauważyła jednak dużą butlę olejku kąpielowego marki Badedas i przypomniała sobie, że jej ojciec w dawnych, dobrych czasach, kiedy jeszcze był z nimi, lubił używać tego olejku o zapachu kasztanów. Może więc Rory, kiedy przychodził do domu zmęczony po pracy w klubie golfowym, chętnie wymoczyłby się w takiej aromatycznej kąpieli? Po krótkim namyśle, ponieważ nie była w stanie wykombinować nic lepszego, kupiła olejek.

Najtrudniej było wybrać coś dla Elfridy. Czym mogłaby odplacić jej za tyle radości i szczerego zainteresowania, jakim hojnie darzyła Lucy? W drogerii nie znalazła niczego odpowiedniego, ale gdy przechodziła obok sklepu warzywno-owocowego należącego do Artura Sneada, coś ją tknęło. Weszła do tego sklepu, w którym każde zamknięcie drzwi akcentował dzwonek.

- Pan Snead?

- A, szanowanko!

- Jestem Lucy Wesley. Mieszkam teraz w Zarządzie Majątku i dobrze znam panią Snead.

- Tak, rzeczywiście. Moja mi mówiła o takiej miłej panience.

- Gdybym zamówiła takie lepsze kwiaty dla Elfridy, czy mógłby pan je dostarczyć w Wigilię?

Właściciel powątpiewająco wydał wargi.

- Wigilia przypada w niedzielę, kochaneczko.

- No więc w sobotę. To nawet lepiej, bo w sobotę Elfrida wydaje przyjęcie.

- Ciężka sprawa, mała, bo przez ten śnieg to niemożliwość fizyczna przywieźć cokolwiek z Inverness, a stamtąd zawsze spRowadzam towar. Co by to miało być? Chryzantemy, goździki?

Lucy skrzywiła nosek.

- Właściwie to nie.

- Na zapleczu mam lilie, odmiany Stargazer. Wczoraj je przywiozłem, kiedy jeszcze szło dojechać. Tyle że one są dość drogie, ale jeszcze w pąkach, i trzymam je w chłodzie. Dopiero za dzień lub dwa zaczną się otwierać.

- Mogłabym zobaczyć, jak one wyglądają?

- Czegóż by nie?

Artur Snead znikł na zapleczu, a po chwili pojawił się ponownie, niosąc łądyżkę osypaną owalnymi, kremowymi pąkami, ciasno zamkniętymi. Podobne babcia czasem kupowała w kwiaciarni na rogu Fulham. Potrafiły utrzymać się w wodzie nawet do dwóch tygodni.

- Dużo pan tu ma takich lilii?

- Cały tuzin, ale jak mówiłem, one są drogie. Po trzy funty jedna.

Trzy razy sześć czyniło razem osiemnaście, a więc musiałyby wydać osiemnaście funtów. Za to już sobie wyobraziła, jak cudownie prezentowałyby się takie kwiaty w salonie Elfridy. Pąki otwierałyby się powoli, ukazując różowe płatki i napełniając cały dom słodkim zapachem.

- Wezmę sześć - zdecydowała. - Zapłacę za nie już teraz, ale żeby pan przetrzymał je do soboty, a potem dostarczył do domu.

- Nie ma sprawy, kochana. Mogę jeszcze zapakować ci je w specjalny papier i przybrać dużą, różową kokardą.

- Tak, proszę, niech pan to zrobi! Aha, i mam tu taki bilecik, który kupiłam w księgarni. Gdybym napisała kilka słów, czy byłby pan łaskaw dołączyć je do bukietu?

- Z przyjemnością.

Pożyczył jej nawet pióro, aby mogła napisać krótki tekścik:

Dla Elfridy, z serdecznymi pozdRowieniami i życzeniami wesołych świąt - od Lucy.

Potem włożyła bilecik do kopertki, napisała na niej *Elfrida Phipps*, zakleiła i wręczyła panu Sneadowi razem z osiemnastoma funtami. Uważała, że jak na kwiaty to ogromna suma, ale te lilie były tego warte.

Zadzwieczętał dzwonek przy kasie pana Sneada.

- Jeśli chcesz zamówić jemiołę, to powiedz od razu - ku-
sił. - Zostały mi jeszcze może ze dwa krzaki, ale sprzedają się
jak ciepłe bułeczki.

Jemioła kojarzyła się automatycznie z całowaniem, więc
Lucy starała się nie zdradzać zbyt dużego entuzjazmu.

- Jeszcze zobaczę - odrzekła wymijająco.

Pożegnała się i odeszła do domu ze swymi pakunkami, do-
piero teraz czując się naprawdę świętecznie. Miała zamiar od
razu zanieść wszystko do swojej sypialni, gdzie zapakowałaby
je w papier drukowany w liście ostrokrzewu, obwiązała metali-
zowaną wstążeczką i schowała w szufladzie komody. Jednak
przechodząc na drugą stronę placu, zauważyła stary, wielomiej-
scowy samochód z otwartym bagażnikiem, zaparkowany przed
domem Oskara. Nie zwróciła na niego specjalnej uwagi, ponie-
waż mieszkańcy Creagan parkowali swoje wozy, gdzie się tyl-
ko dało, ale po wejściu do domu usłyszała głosy dochodzące
z kuchni. Jeden należał do Elfridy, mieszającej coś w rondelku,
a drugi do... Rory'ego Kennedy'ego! Na stole kuchennym stał
telewizor, a obok mały, czarny stolik na kółkach.

Oboje przerwali rozmowę i przywitali uśmiechem obłado-
waną paczkami Lucy.

- Cześć! - powiedział Rory, który w swej puchowej kurtce
i gumowcach wyglądał bardzo po męsku.

Lucy uradowała się z tych niespodziewanych odwiedzin, ale
z zaskoczenia zaniemówiła.

- O, cześć!... Myślałam, że przyjdiesz później, bo przecież
pracujesz!

- W taką pogodę na polu golfowym nie ma wiele do robo-
ty. Konserwator zieleni puścił nas wszystkich do domu, więc
skorzystałem z okazji, wzięłem wóz ojca i podrzuciłem ci tele-
wizor.

Lucy rzuciła okiem na odbiornik, który wyglądał na bardziej
skomplikowany od tego, jaki miała w Londynie.

- Myślałam, że to będzie coś starszego, a ten jest jeszcze zupełnie nowy.

- Tak, koloRowy. Nie używam go tylko dlatego, że dostałem większy. Przywiozłem od razu stolik na wypadek, gdybyś nie miała go gdzie postawić.

Elfrida zestawiała rondel z ognia na żelazny trójnóg.

- Już widzę, jak wszyscy tłoczmy się na poddaszu, żeby go oglądać! - zażartowała. - Lucy, pokaż lepiej Rory'emu, gdzie on ma stać.

- Tam trzeba przejść cztery ciągi schodów! - ostrzegła Lucy.

- Myślę, że jakoś sobie z tym poradzę - roześmiał się.

Lucy poszła pierwsza, wymachując pełnymi siatkami.

- Aha, świąteczne zakupy?! - zawołał za nią Rory.

Pomyślała, że chyba tylko on byłby zdolny dźwigać taki ciężar przez tyle schodów i jeszcze mieć ochotę na pogawędkę!

- Tak, to prezenty gwiazdkowe. Nie miałam czasu kupić ich w Londynie.

Niepostrzeżenie doszli na ostatnie piętro i znaleźli się przed drzwiami do jej pokoju. Lucy otworzyła je i rzuciła na łóżko swoje paczki. Rory postawił delikatnie telewizor na podłodze i z uznaniem rozejrzał się wokół siebie.

- Ej, masz fajny pokój. I jaki duży! Zawsze utrzymujesz go w takim porządku?

- Z grubsza - rzuciła z udawaną obojętnością, nie chcąc, aby miał ją za jakąś zwariowaną pedantkę.

- U Clodagh w pokoju jest zawsze straszny bałagan. Ile się mama na nią nakrzyczy, żeby posprzątała swoje rzeczy! Czeka, przyniosę jeszcze ten stolik i dopiero go podłączymy.

Głośno tupiąc, zbiegł po schodach, a Lucy tymczasem szybko wrzuciła swoje prezenty do szuflady w komodzie. Byłby wstyd, gdyby Rory domyślił się, co ma dostać.

Nie minęła nawet chwila, a już był z powrotem, niosąc mały stolik na kółkach. Postawił na nim telewizor, znalazł odpowiednie gniazdko i wetknął wtyczkę. Nie trzeba było oddzielnego gniazda antenowego, bo odbiornik miał własną antenę. Rory podłączył ją i tak długo ustawiał, aż obraz stał się czysty i ostry.

- On rzeczywiście jest całkiem dobry! - zadziwiła się Lucy.
- Zaraz zrobimy jeszcze lepiej.

Usiadł po turecku na dywanie i po kolei włączał różne przyciski, zmieniał kanały, regulował dźwięk i ustawiał wewnętrzną antenę. Lucy przysiadła obok niego na podłodze i śledziła zmieniające się obrazy na ekranie. Na kanale dla dzieci szedł serial o Supermanie, na innym jakiś stary, czarno-biały film, a w jeszcze innym programie sympatyczna dama instruowała, jak własnoręcznie wykonać świąteczne kartki z życzeniami, używając do tego elementów wyciętych z katalogu nasion.

- ...i wykańcz Amy kokardką z ładnej wstążeczki, o, taką jak ta. Jestem pewna, że każdy ucieszyłby się, gdyby otrzymał tak oryginalną kartkę...

- Ja nie - wszedł jej w słowo Rory i przełączył na inny kanał. Tam z kolei nadawano prognozę pogody. Prezenter z silnym szkockim akcentem przestrzegał, że w przewidywalnej przyszłości nie będzie korzystnych warunków do chodzenia po górach ani uprawiania wspinaczki.

- Mam zostawić włączony? - spytał Rory.

- Nie, już wiem, jak go uruchomić.

Rory wyłączył więc odbiornik.

- Tylko nie dotykaj anteny. Myślę, że ustawiłem ją, jak mogłem najlepiej.

- To ładnie z twojej strony, że mi go przyniosłeś.

- Żaden problem, sprawa już załatwiona. - Rozejrzał się wokół siebie z widocznym podziwem. - To te rzeczy, które moja mama pomagała wybrać? Bardzo to ładnie wygląda. Mama uwielbia jeździć na ten bazar w Buckly. Zawsze coś stamtąd przywozi, na przykład starą powłoczkę, figurkę z porcelany czy inny podobny drobiazg. W całym domu pełno jest rozmaitych rupieci, ale chyba jeszcze sporo się zmieści. Czy twój pokój w Londynie jest podobny do tego?

- Przede wszystkim jest znacznie mniejszy i nie ma takiego widoku z okna, ale jest całkiem miły. Najważniejsze, że nie muszę go z nikim dzielić. Trzymam tam swoje książki, komputer i wszystko, co mam.

- Jak to jest, kiedy się mieszka w mieście?

- W porządku.

- To chyba musi być wspaniałe, tyle tam muzeów, wystaw, koncertów i sztuk teatralnych... Byłem w Londynie tylko raz, kiedy tato brał udział w jakiejś konferencji. Zatrzymaliśmy się wtedy w hotelu i co wieczór chodziliśmy do teatru. Panowały wtedy straszne upały, więc jadaliśmy w restauracyjnych ogródkach, przy stolikach wystawionych wprost na chodniku, a przy okazji napatrzyliśmy się na różnych dziwaków, jacy chodzą po ulicach. Czegoś takiego nie zobaczyłbym w Creagan!

- Na pewno, ale jeśli mieszka się tam stale, to zupełnie co innego.

- Chyba tak.

- Jeszcze gdyby się mieszkało w takim normalnym domu z prawdziwym ogrodem, jaki mieliśmy w Kensington, kiedy byłam mała, to nie czułoby się tak bardzo tego miasta... Ale moi rodzice się rozwiedli i my z mamą i babcią mieszkamy teraz w zwykłym mieszkaniu. Niby jest tam balkon, i widok na rzekę, ale nie można pójść na trawę ani położyć się pod drzewem z książką... Na szczęście moja dobra koleżanka, Emma, z którą chodzę do szkoły, ma prawdziwy dom z ogrodem i czasem urządzamy tam pikniki.

Nie miała pomysłu, co jeszcze mogłaby powiedzieć, a obawiała się śmiertelnie, żeby nie wypaść mętnie i nudno. Po krótkiej przerwie Rory zapytał:

- Nie tęskno ci za domem?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Tęskno, to znaczy co?

- No, czy nie brakuje ci tu twojej matki, rzeczy, do których przywykłaś, i tak dalej? Clodagh jest pod tym względem zupełnie niemożliwa. Wystarczy jeden wieczór z dala od domu, a już beczy jak małe dziecko!

- Nie! - Lucy przyłapała się na tym, że jej głos zabrzmiał nadspodziewanie twardo i ostro. - Wcale nie tęsknię za tym domem. Nawet nie myślę o powrocie do Londynu. Przeciwnie, staram się wyrzucić to z pamięci.

- Ależ...

- Ty tego nie zrozumiesz, bo to nie jest taki dom jak ten ani jak twój, gdzie ciągle coś się dzieje, przewija się mnóstwo przyjaciół, różni ludzie przychodzą i wychodzą... Nasze miesz-

kanie należy do mojej babci, która nie lubi, kiedy kręca się po nim moi koledzy, bo podobno od tego głowa ją boli. Emmy też nie lubi, więc kiedy czasem przychodzi, zwykle siedzimy przez cały czas w moim pokoju... Tylko raz nam się tak udało, że mama z babcią gdzieś sobie wyszły, a wtedy zamknęłyśmy się w łazience, myłyśmy włosy, perfumowałyśmy się, malowałyśmy sobie paznokcie... U Emmy w domu jest zupełnie inaczej. Można robić, co się chce, i nikt na to nie zwraca uwagi. Jej mama jest redaktorką czasopisma i przebywa większość czasu poza domem, a gosposia jest bardzo fajna i pozwala nam gotować różne dziwne potrawy...

Przerwała, dając Rory'emu możliwość skomentowania tego wybuchu szczerości. On jednak nie odezwał się, więc zwracała się dalej.

- Tu jest zupełnie inaczej. Mogę robić wszystko, a jeśli nie ma nic konkretnego do roboty, to mogę wyjść do miasta albo na plażę, albo gdziekolwiek, nawet wieczorem, i nikt mi tego nie zabrania. Z jednej strony wszyscy mówią do mnie: koteczku, kochanie lub podobnie, a z drugiej czuje się, że traktują mnie jak dorosłą osobę, nie jak dziecko. Babcia i mama zawsze zwracały się do mnie: Lucy, ale nigdy przy nich nie czułam się pełnowartościowym człowiekiem, jakby należała do mnie tylko nauka w szkole i nic więcej. Byłoby inaczej, gdybym miała brata lub siostrę... Zwłaszcza brata, bo baby potrafią być takie ograniczone... Mówią między sobą o sAmych głupstwach, na przykład o ciuchach, czy jaka restauracja jest lepsza, albo obgadują innych ludzi!

- Do jakiej szkoły chodzisz?

- Ona się nazywa Stanbrook, blisko od nas, tylko dwa przystanki metrem. To nawet fajna buda, lubię nasze panie i nawet panią dyrektorkę, zresztą z Emmą też się tam zaprzyjaźniłam... Często ходzimy na koncerty, wystawy albo na basen czy do parku grać w piłkę, ale z sAmymi dziewczynami to nudne. Myślę, że fajniej byłoby chodzić do takiej zwykłej szkoły, gdzie można poznać tylu różnych ludzi...

- A co na to twój ojciec? - włączył się Rory.

- Rzadko go widuję, bo mama nie lubi, kiedy do niego chodzę, a jego nowa żona mnie nie znosi. Moim dziadkiem jest

Jeffrey Sutton, ojciec Carrie, ale on mieszka aż w Konwalii i też ma nową żonę i dzieci.

- Czy nie mogłabyś przenieść się do niego?

- Niby mogłabym, ale babcia z kolei jest zła na niego, bo nie może mu wybaczyć, że ją opuścił, więc w naszym domu prawie się o nim nie mówi. Kiedyś może zbiorę się na odwagę, żeby powiedzieć głośno, iż chcę u niego zostać. Ale to chyba dopiero wtedy, kiedy będę starsza.

- Wcale nie musisz czekać, aż będziesz starsza. Możesz to zrobić już teraz.

- Chyba nie mam tyle odwagi - przyznała ze smutkiem Lucy. - Nie cierpię wyklócać się o swoje prawa. Pamiętam, jak pokłóciłam się z mamą i babcią, bo chciałam dać sobie przekłuć uszy, a one mi nie pozwoliły. Wszystkie dziewczyny w mojej klasie mają już przekłute uszy, tylko ja nie! Niby taki drobiazg, ale awantury trwały przez kilka dni, aż w końcu dałam sobie spokój. Nie mogę znieść kłótni ani awantur!

- Myślę, że powinnaś nosić kolczyki - roześmiał się Rory. - Pasowałyby ci takie złote kółka jak moje!

- Jedno to mało. Chciałabym mieć dwa.

- No więc daj sobie przekłuć uszy tutaj. W Kingsferry jest jubiler, który to robi.

- Moja mama chyba by umarła!

- Przecież ona jest w Ameryce.

- Skąd wiesz?

- Elfrida powiedziała o tym mojej mamie, a ona mnie.

- Ona pojechała ze swoim przyjacielem, który się nazywa Randall Fischer. Ma spędzić z nim święta na Florydzie. Dlatego przyjechałam tu z Carrie. Chcieli zabrać także i mnie, ale czułam, że tylko bym im przeszkadzała. Zresztą niezbyt lubię tego faceta.

Rory nie skomentował tych słów, więc Lucy doszła do wniosku, że on umie słuchać. Zastanawiała się, czy jest to dar wrodzony, czy też ojciec nauczył go, jak ważne jest umieć w odpowiednim momencie zachować milczenie. Przypomniała sobie, jak Carrie niespodziewanie zjechała do Londynu, kiedy ona właśnie była w nastroju do zwierzeń. Sądziła, że uczyni Carrie swoją powiernicą, ale szybko wyczuła, że po powrocie

z Austrii młoda ciotka robiła wrażenie częściowo nieobecnej duchem. Tymczasem Rory Kennedy wyraźnie jej współczuł i miał dużo czasu, żeby jej wysłuchać. Serce Lucy przepełniała głęboka wdzięczność.

- Przepraszam, nie miałam zamiaru tego wszystkiego powiedzieć - usprawiedliwiała się. - Przyszło mi to na myśl tylko dlatego, że tu jest tak fajnie. I Elfrida, i Oskar, i tyle ludzi w moim wieku... I że to będą prawdziwe święta, nie takie jak w Londynie, gdzie tylko zjadłybyśmy z mamą i babcią piezowego bażanta, albo nawet poszłybyśmy do jakiejś nudnej restauracji, bo im nie chciałoby się gotować! I tu jeszcze jest śnieg, i tak pięknie oświetlony kościół...

Głos jej zawisł w próżni, bo nie miała już nic więcej do powiedzenia. Przez chwilę pomyślała o nudnym londyńskim mieszkaniu, ale zaraz upchnęła tę informację do najdalszych zakątków pamięci. Szkoda było czasu na te wspomnienia, które mogły tylko popsuć takie miłe chwile jak teraz.

Wyczuła, że Rory ją obserwuje. Uśmiechnęła się, kiedy skrzyżowały się ich spojrzenia.

- Może poszłabyś po obiedzie na sanki? - zaproponował.

- A ty się wybierasz?

- Czemu nie? Skrzyknąłbym trochę moich kumpli i poszlibyśmy na tor golfowy, tam jest parę niezłych górek. - Spojrzał na zegarek. - Wiesz co? Dochodzi już dwunasta, a musimy wyrobić się przed zmrokiem. Chodźmy teraz do mnie, mama da nam coś do zjedzenia, a ja tymczasem zadzwonię po resztę.

- Kiedy nie mam sanek...

- No to co? W garażu mamy ich trzy lub cztery pary, więc mogę ci jedno pożyczyć. - Mówiąc to, podniósł się. - No, chodź.

- Ale czy twoja mama...

- Nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli ci o to chodzi. U nas zawsze jest tyle żarcia, że starczyłoby na pułk wojska.

Złapał Lucy za ramię i podciągnął do pozycji stojącej.

- No już, przestań martwić się na zapas i stwarzać sztuczne trudności.

- A czyja robię coś takiego?

- Jak dotąd nie robisz nic innego.

Elfrida

Zakupy w Kingsferry udały się nad podziw. Sam i Carrie przywieźli całe pudła warzyw, owoców, wypieków i innych produktów na świąteczny stół, a oprócz tego skrzynki wina, transportery piwa, coli i sześć butelek whisky. Mało tego, znaleźli także sklep z konfekcją męską, gdzie Sam kupił sobie sportową odzież, o wiele bardziej przydatną na wsi - sztruksowe spodnie, ciepłe koszule, gruby sweter robiony ściągaczem, ocieplane buty i skafander. Elfrida przez grzeczność nie śmiała o to pytać, ale na pewno zaopatrzył się też w zapas bielizny, skarpet i środków higieny osobistej, aby zachować czystość i świeżość.

Już na lunch ubrał się w nowe rzeczy i od razu zaprezentował się bardziej odpowiednio do okoliczności. Po posiłku założył nową kurtkę i razem z Oskarem wybrał się spacerkiem do klubu golfowego. Umówił się tam z sekretarzem klubu, gdyż chciał go zapytać o warunki członkostwa. Elfrida obserwowała ich z okna, jak ręka w rękę szli chodnikiem. Pomyślała, że pasują do siebie i że Oskarowi przyda się męskie towarzystwo.

Sama z Carrie zaczęła czynić przygotowania do wizyty sir Jamesa Erskine'a-Earle'a, który miał przyjść o czwartej. Przede wszystkim musiały zdecydować się, gdzie mają zamiar podjąć go podwieczorkiem. Elfrida optowała za kuchnią, by nie uczynić poczęstunku zbyt ceremonialnym. Carrie jednak była zdania, że można w ten sposób przyjmować znajomych, ale nie wiadomo, jak zareagowałby sir James na propozycję siedzenia przy kuchennym stole i picia herbaty z kubka. Elfrida przyznała jej rację.

- No więc w salonie - zaproponowała.
- Może przysiadziemy na piętach wokół kominka?
- A niby dlaczego nie?
- Mężczyźni na ogół tego nie znoszą, chyba że są do tego przyzwyczajeni, jak pastorzy. Przeważnie źle sobie radzą z filiżanką, spodkiem i ciastkami jednocześnie. Lepiej poprośmy

go do stołu przy oknie. Tylko przyzwóicie go nakryjmy. Tak zawsze robiła moja matka.

- W takim razie będą musiała znaleźć jakąś gustowną serwetę.

- Na pewno coś się znajdzie w kredensie pani Snead. Może upiekę gorące bułeczki?

Zaimponowała tym Elfridzie.

- A umiesz?

- Oczywiście. Ty tymczasem idź do piekarni i kup jakieś lukRowane ciasteczka.

Elfrida ubrała się i wyszła. Niestety, w miejscowej piekarni nie sprzedawano lukRowanych ciasteczek. Mieli natomiast piernik, więc Elfrida kupiła go, a do tego wzięła słoiczek domowej galaretki z jeżyn.

- Spodziewa się pani gości? - ciekawie zapytała panienska od piekarza. Elfrida odpowiedziała wymijająco, że ktoś ma do niej wpaść na popołudniową herbatkę.

Po powrocie do domu od razu poczuła smakowity zapach piekących się bułeczek. Dołożyła do nich swój piernik i dżem, a na tacy ustawiła najlepsze, choć zdekompletowane talerzyki, filiżanki i spodeczki, cukiernicę, maselniczkę, a nawet nożyk do masła.

- Ale będziemy wytworne! - zauważyła. Znalazła jeszcze ładne łyżeczki do herbaty i wyszoRowała czajniczek od wewnątrz.

W kredensie pani Snead udało się jej wygrzebać całkiem przyzwoity, nakrochmalony i wyprasowany obrusik. Dzięki niemu stół nabrał odświętnego wyglądu. Postawiła na nim pięć talerzyków, widelczyków i łyżeczek oraz filiżanki, spodki, maselniczkę i słoik z dżemem. Nie miała pod ręką żadnych kwiatów, ale liczyła, że sir James Erskine-Earle nie zwróci na to uwagi.

Wracając od stołu, z pustą tacą w rękę, rzuciła okiem na swój obrazek, z którym miała już rozstać się na zawsze. Wisiał trochę krzywo, więc pod pozorem wyprostowania go podeszła bliżej i z czułością poklepała go jak dziecko, któremu dodaje się otuchy.

- W razie gdybym nie miała czasu się z tobą pożegnać,

robię to teraz - powiedziała głośno. - Było nam z sobą bardzo dobrze.

Oskar i Sam wrócili z klubu golfowego we właściwym czasie i w dobrym nastroju. Rozmowa z sekretarzem klubu wypadła pomyślnie. Poinformował on Sama, że wprawdzie chętni do członkostwa muszą zapisywać się na listę oczekujących, ale ze względu na to, że Sam wpRowadza się do Buckly na stałe, przypuszczalnie uda się go przyjąć poza kolejką. Obaj z Oskarem zostali przedstawieni kapitanowi drużyny i kilku innym członkom klubu, pooglądali nagrody w sali tradycji i ruszyli w drogę powrotną.

Najwyraźniej Oskarowi posłużył ten mały spacer. Elfrida dziękowała Bogu, gdyż pamiętała, jak panicznie uciekł z klubu po ostatniej wizycie. Chętnie uściskałaby Oskara, lecz musiała jeszcze przyczesać włosy i uszminkować usta.

Sir James Erskine-Earle przyszedł punktualnie o czwartej i zaskoczył wszystkich. Elfrida zbiegła na dół, słysząc przenikliwy dźwięk dzwonka, lecz stanęła jak wryta, gdyż nie spodziewała się tak młodego człowieka. Mało tego, mimo że wracał z oficjalnej uroczystości, był ubrany jak do pracy w ogrodzie, w znoszone tweedowe pumpy i marynarkę z porurywanymi guzikami. Kołnierzyk od koszuli miał wystrzępio-ny, a na swetrze z wycięciem w szpic znać było małą dziurkę. Jeszcze przed drzwiami zdjął tweedową czapkę, ukazując krótko przycięte włosy mysiego koloru.

- Pani Phipps, prawda?

- Tak, proszę bardzo, sir Jamesie... - Wymienili uściski rąk. - To miłe z pana strony, że pan tak od razu zgodził się przyjść.

- Nigdy nie przepuszczam okazji, kiedy mogę zobaczyć coś niezwykłego.

Głos miał ujmujący, a uśmiech - szczery i otwarty. Elfrida wpRowadziła go do salonu i przedstawiła oczekującym, tak spiętym, jakby to ich sir James miał oceniać.

- Oskar Blundell. Moja kuzynka Carrie. A to Sam Howard, który przyjechał tu przejąć Zakłady Przemysłu Wełnianego w Buckly.

- Ach, to z panem rozmawiałem przez telefon? Miło mi pana poznać. Pan pracuje u Sturrocka i Swinfielda, tak? Byłem w Eton z jakimś Swinfieldem, ale chyba nie z pańskim szefem.

Rozejrzał się dookoła.

- No proszę, z zewnątrz ten dom niczym się nie wyróżnia, a w środku... Zachwycające! Należy do majątku Corrydale, prawda?

- No, odjakiegoś czasu już nie - wyjaśnił Oskar. - Pan znał mojego wuja, Hektora McLellana?

- Nie bardzo. Przez całe lata pracowałem w Londynie, dopiero po śmierci mojego ojca przenieśliśmy się na północ. Dla mojej rodziny był to prawdziwy szok, ale chyba się już do tego przyzwyczaili.

Mówiąc, zmierzał wprost do okna, jak wszyscy goście, którzy bawili tu pierwszy raz. Elfrida mimo ciemności nie zaciągnęła zasłon, aby widać było girlandy migoczących lampek na tle fasady kościoła.

- Jaki stąd jest wspaniały widok! I jak blisko macie do kościoła! Na pewno słyszać stąd organy. Cóż za cudowny instrument!... Ale zaraz, przecież nie mogę zabierać państwu czasu. Gdzie jest ten obraz, który mam wycenić?

Elfrida odchrząknęła.

- O, tam, na tamtej ścianie.

- Wisi tak samotnie?

- Nie mamy innych obrazów.

- Mogę go zdjąć?

- Ależ oczywiście.

Sir James przeszedł na drugą stronę pokoju, zdjął obrazek i zaczął go oglądać tak delikatnie, jakby miał do czynienia z kruchym porcelanowym cackiem.

- Cóż za uroczy drobiazg! - podstawił go pod światło lampy na roboczym stole Oskara. - To miał być sir David Wilkie, prawda?

- Przynajmniej tak mi się zawsze wydawało.

- Wiedziała pani, że to portret jego rodziców? Malowany około roku tysiąc osiemset trzydziestego piątego.

- Myślałam, że to po prostu miłe, starsze małżeństwo. Nie miałam pojęcia, że to jego rodzice.

Zapadła cisza i zebrani w napięciu oczekiwali na werdykt. Sir James nie spieszył się - najpierw sięgnął do kieszeni sfatygowanej marynarki i wyjął stamtąd okulary bez oprawy. Kiedy włożył je na nos - przypominał w nich biednego studenta, może nawet medycyny, bo ręce miał wrażliwe jak u chirurga. Przyglądał się obrazkowi uważnie, wodził po nim czubkami palców, odwrócił go spodnią stroną do góry i dokładnie ją oglądał.

Po wszystkim odłożył obrazek na stół i zapytał Elfridę:

- Jak weszła pani w posiadanie tego obrazu?
- Dostałam go w prezencie już dawno, jakieś trzydzieści lat temu. Dał mi go mój dobry znajomy.
- A wie może pani, gdzie on go kupił?
- Myślę, że w sklepie ze starzyzną w Chichester.
- No tak, to by się zgadzało...
- Zawsze wierzyłam... miałam powody wierzyć... że to oryginał, ale nigdy go nie ubezpieczyłam ani nie dałam wycenić! - nerwowo plątała się Elfrida.

Sir James przyglądał się jej w świetle lampy i uśmiechał się ujmującym młodzieńczym uśmiechem. Nachylił się nad stołem i zdjął okulary.

- Naprawdę bardzo mi przykro, ale to nie jest oryginał - oświadczył. - To kopia.

Wszystkich zatkało, bo nikt nie miał pomysłu, co można by w takiej sytuacji powiedzieć. Oskar pierwszy wyłamał się z ogólnego milczenia.

- Po czym pan to poznał?
- Przede wszystkim ten obraz nie jest podpisany. Styl i temat nawet by się zgadzały, ale Wilkie zawsze sygnował swoje oryginalne prace. Poza tym wiem na pewno, że to kopia, bo tak się składa, że oryginał został w zeszłym roku sprzedany na aukcji u Boothbych. Wylicytował go chyba przedstawiciel jakiegoś muzeum w Stanach Zjednoczonych. Oryginał był większy od tego, stąd wnioskuję, że to nie może być zwykła podróbka, tylko uczeń chciał imitować styl swego mistrza. Trzeba przyznać, że naśladownictwo jest bardzo udane, podobne pociągnięcia pędzla, dobór kolorów, światłocien... Ciekawym, kto chciał tak pochlebić Wilkiemu.

Znów zapadła nieprzyjemna cisza. W końcu Elfrida zdecydowała się zadać pytanie, którego najbardziej się obawiała.

- Ile to jest warte, sir Jamesie?
- Proszę, mówcie mi po prostu: Jamie.
- No więc, Jamie, ile taki obraz jest, według ciebie, wart?
- Gdyby to był oryginał, wymieniłbym sumę rzędu osiemdziesięciu pięciu tysięcy funtów. Nie pamiętam dokładnie, za ile to poszło, ale coś koło tego.

- A ile warta jest kopia?
- Myślę, że około tysiąca funtów. No, może trochę więcej albo i mniej, zależnie od zapotrzebowania. Wiadomo, że każda rzecz jest warta tyle, ile ktoś chce za nią dać.

Mało tego, że kopia, to jeszcze warta wszystkiego tysiąc funtów! I to miało być zabezpieczenie Elfridy na czarną godzinę! W gruncie rzeczy nic takiego się nie stało, bo na razie nie musiała sprzedawać tego obrazu, a nawet lepiej, bo śmiało mogła go zatrzymać. Czuła jednak rozczarowanie ze względu na Oskara. Potrzebowała tych pieniędzy głównie po to, aby spłacić Hughiego i zapewnić Oskarowi bezpieczną przyszłość, a teraz okazało się, że nic z tego nie wyjdzie. Wszystkie jej plany i marzenia rozsypały się w proch i pył.

Przez chwilę miała wrażenie, że zaraz się rozpłacze. Na szczęście była przy niej Carrie, a jej łagodne, czarne oczy patrzyły na nią ze współczuciem i zrozumieniem. To właśnie Carrie najlepiej wyczuła sytuację, bo kiedy Elfrida chciała coś powiedzieć - szybko weszła jej w słowo.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zejdę na dół i zaparzę herbatę. Wszystkim nam to dobrze zrobi.

- Pomogę ci - odezwał się Sam po raz pierwszy, odkąd został przedstawiony Jamiemu.

Elfrida wiedziała dobrze, że do zaparzenia herbaty nie trzeba aż dwóch osób. Tym bardziej była wdzięczna Samowi za jego takt, że w obliczu kłopotliwej sytuacji potrafił w porę się usunąć. Wolałaby nawet, żeby sir James Erskine-Earle też sobie poszedł. Wprawdzie sami go poprosili o wycenę obrazu i nie był winien temu, że okazał się on podróbką, ale przez swoją fachowość tylko popsuł wszystko. Teraz Oskar nie będzie miał innego wyjścia, tylko odsprzedać Samowi prawa

własności do połowy domu. Elfridzie nie przeszkadzałyby, żeby Sam go kupił, gdyby nie fakt, że przez to Oskar nie będzie go miał!

Po wyjściu tamtej dwójki zapanowało nieprzyjemne milczenie. Jamie musiał wyczuć rozgoryczenie Elfridy, bo jeszcze raz powtórzył:

- Doprawdy, bardzo mi przykro.

- Na miłość boską, przecież nie jesteś niczemu winien! - odburknęła ze zniecierpliwieniem Elfrida.

Jamie ostrożnie odwiesił obrazek, z którego spoglądała na niego dobrotliwie starsza dama w żółtym szalu. Elfrida nie była w stanie sama tego zrobić.

- Przynajmniej będziesz mogła dalej się tym cieszyć - próbował coś powiedzieć.

- Dla mnie to już nie będzie to samo, co przedtem.

Oskar, wyczuwając napięcie w jej głosie, włączył się do rozmowy.

- A ja się cieszę, że Elfrida nie musi tego sprzedać. Wiem, że ten obraz wiele dla niej znaczy.

- Ależ chętnie bym go sprzedała, przecież to tylko obraz, ale nie za taką śmieszłą sumę!

- Spokojnie, wszystko będzie dobrze...

Elfrida odwróciła się tyłem do obydwóch i podeszła do ognia, aby zająć się czymś, co stłumiłoby gorycz doznanego zawodu. Wyjęła z koszyka świeże polano i wrzuciła je w płomień, obserwując, jak się zajęło. Nagle za jej plecami odezwał się Jamie:

- Przepraszam, nie chcę być wścibski, ale do kogo należy ten oryginalny zegarek?

Elfrida sądziła, że się przesłyszała.

- Jaki zegarek?

- Od razu zauważyłem, że to coś niezwykłego.

- To Elfridy - odpowiedział za nią Oskar.

- Mógłbym się temu przyjrzeć?

Elfrida przytaknęła i usunęła się na bok. Jamie Erskine-Earle ponownie nałożył na nos okulary i zdjął zegar z gzymsu kominaka. Po raz drugi Oskar i Elfrida z zapiętym tchem czekali, aż zakończy skrupulatne oględziny. Elfrida w myśli przyrzekała

sobie, że jeśli i tę rzecz Jamie oceni jako bezwartościowy bibelot - dzieli go w łeb szufelką do węgla.

Tymczasem Jamie zawyrokował:

- Coś wspaniałego, prawdziwy chronometr podróżny! Jak też mogłaś wejść w posiadanie takiego skarbu?

- Masz na myśli skarb w sensie sentymentalnym czy finansowym?

- Nie jestem pewien - odpowiedział wymijająco.

- Odziedzyczyłam go po ojcu chrzestnym, który dużo podróżował - rzuciła szorstko, ale zaraz dodała już łagodniejszym tonem: - Widzisz, ma trzy oddzielne skale, godzinową, minutową i sekundową. Trzeba go codziennie nakręcać, więc może powinnam była przerobić go na baterię...

- Niech cię Bóg broni! Tak cennych antyków się nie przerabia.

- Cennych? Przecież to tylko staroświecki okrętowy zegar.

- Owszem, jest praktyczny, ale i elegancki.

Elfrida popatrzyła teraz na swój stary zegar zupełnie innym okiem, bo każda rzecz nabiera nowego blasku, kiedy ktoś ją podziwia. Prawda, że skórkowy futerał od zewnątrz trochę się wytarł, ale za to od środka zachował nieskalany kolor i miękkość. Wieczko, które otwierało się jak okładka książki, było wybite koralowym, choć nieco wgniecionym aksamitem, a wokół cyferblatu biegł wianuszek ze złotych listków. Ten sam motyw powtarzał się na wieczku, a kluczyk, zawiaski i zameczek były mosiężne.

- Nawet nie wiem, jakie to może być stare... Mógłbyś to określić? - spytała.

- Niestety, nie jestem specjalistą od zegarów, ale mam kolegę, który się na tym zna. Gdybyś zechciała, mógłbym mu to pokazać.

- Po co?

- Ponieważ uważam, że jest to coś bardzo cennego.

- Jak bardzo?

- Już raz użyłem określenia „skarb”.

- Myślisz, że to naprawdę jest coś warte?

- Nie chcę wypowiadać się w tej materii, ponieważ za mało o tym wiem.

- Ale chyba nie jest wart siedemdziesięciu pięciu tysięcy funtów?

Zadała to pytanie obojętnym tonem, spodziewając się, że ekspert najwyżej z politowaniem pokiwa głową albo wręcz parsknie śmiechem. Jednak Jamie Erskine-Earle wcale się nie roześmiał, tylko powiedział całkiem poważnie:

- Naprawdę nie wiem, ale gdybym mógł go zabrać ze sobą, to skontaktuję się z kolegą, który się zna na takich rzeczach. Oczywiście dam ci na to rewers i będę trzymał pod kluczem.

To z kolei rozśmieszyło Elfridę.

- Masz pojęcie, że u mnie w Hampshire ten zegar przez cały czas stał nad kominkiem, a ja nigdy nie zamykałam domu na klucz?

- No to miałaś szczęście, jeśli nie jest ubezpieczony. - Potraktował ten fakt jako coś oczywistego.

- Pewnie, że nie jest. Dla mnie to po prostu drobiazg, który mam od lat i wszędzie wożę ze sobą.

- Powiedzmy raczej: bardzo cenny drobiazg - poprawił. - No więc jak, mogę go wziąć?

- Oczywiście.

- Gdybym mógł dostać jakieś pudełko albo coś, w co mógłbym to zapakować... Chusteczka do nosa będzie za mała.

Oskar wysunął szufladę w swoim stole i znalazł tam arkusz piankowej folii, który został mu z paczki zamówionych książek.

- Może być to?

- Bardzo dobre, ale poproszę jeszcze o kawałek papieru, żebym mógł napisać pokwitowanie. Zwykle noszę ze sobą gotowy kwitariusz, ale oczywiście zostawiłem go w domu.

Oskar zapakował zegar w folię chronioną bąbelkami powietrza, a Jamie tymczasem napisał pokwitowanie.

- Lepiej ja to wezmę - zaproponował Oskar. - Elfrida często gubi różne rzeczy.

Schował kwitek do górnej kieszonki marynarki.

- Aha, jeszcze jedno! - przypomniała sobie Elfrida.

- Tak, słucham?

- Nie mówmy za dużo o tym zegarku, kiedy wrócą Sam i Carrie. Wystarczy, że nastawili się na tego Davida Wilkiego.

Nie chcę od nowa wzbudzać i rozwiewać nadziei. Umówmy się, że wzięłaś go tylko do wyceny, bo sądzisz, że powinnam go ubezpieczyć.

- Oczywiście, to bardzo dobra wymówka, tym bardziej że chyba prawdziwa...

Elfridzie wydawało się, że całe popołudnie spędziła, pędząc w jakiejś zwariowanej kolejce górskiej - tyle przeżyła wlotów i upadków, oczekiwań i zawodów. Przygotowując na kolację sos boloński do spaghetti, myślami była zupełnie gdzie indziej, toteż zupełnie zapomniała o istnieniu Lucy. Kiedy dziewczynka tylnymi drzwiami weszła do kuchni - Elfrida spojrzała na zegarek i skonstatowała, że dochodziła już siódma. Usiłowała więc przypomnieć sobie, co też to dziecko porabiało przez cały dzień.

- To ja! - ściągnęła ją z obłoków Lucy.

- Och, przepraszam cię, kochanie!

- Wyglądasz, jakbym była ostatnią osobą, której się spodziewałaś! - zaśmiała się Lucy.

- Widzisz, tyle tu się wydarzyło, że kompletnie umknęłaś mi z pamięci, ale chwala Bogu, że już wskoczyłaś do niej z powrotem.

- A co tu się takiego działo? - zaciekała się Lucy, zdejmując wełnianą czapkę i rozpinając kurtkę. - Czy ominęło mnie coś ważnego?

- Niezupełnie, ale był u nas na herbatce taki miły pan. Carrie upiekła wspaniałe bułeczki, ale chyba zjadł większość.

- Co to za pan?

- Nazywa się sir James Erskine-Earle i mieszka w Kingsferry.

- O, ja też dopiero co byłam w Kingsferry, z Rorym.

- Myślałam, że poszliście na sanki.

- Na sankach też byliśmy, ale potem zrobiło się ciemno, więc wróciliśmy na plebanię. Zjedliśmy podwieczorek, a potem Rory zawiózł mnie do Kingsferry.

- Chcieliście jeszcze coś kupić?

- Niezupełnie...

Coś w brzmieniu głosu Lucy zaintrygowało Elfridę. Wydawało się, jakby dziewczyna siłą tłumiła śmiech.

- Co ty tam knujesz? - zagadnęła.

Lucy odgarnęła swoje długie włosy do tyłu, a wtedy coś spod nich błysnęło jak złoto.

- Dałam sobie przekłuć uszy u jubilera w Kingsferry. Rory zapłacił za to i kupił mi te złote kółeczka. Powiedział, że to na Gwiazdkę.

- Ach, kochanie...

- Wiesz, od jak dawna marzyłam o tym?

- Pokaż, niech no spojrzę.

- Mama nigdy by mi nie pozwoliła.

- Rzeczywiście są urocze. Wyglądasz w nich jak dorosła osoba. To naprawdę wspaniały prezent.

- Myślę, że chyba nigdy w życiu nie dostałam lepszego... - westchnęła Lucy rozmarzonym głosem.

Lucy

Środa, 20 grudnia

*To chyba był jeden z najlepszych dni w moim życiu! Napa-
dało pełno śniegu i wszystko ślicznie wygląda. Rano robiłam
przedświąteczne zakupy, a kiedy wróciłam z miasta, okazało
się, że Rory już mi przywiózł telewizor. Wniósł go do mojego
pokoju, podłączył, a przy tym mieliśmy okazję pogadać. Tak
nam dobrze się rozmawiało, że od razu opowiedziałam mu
o wszystkim - o nudnym londyńskim mieszkaniu, mamie, babci
i Randallu Fischerze, tatusiu, Marilyn i naszej rodzinie
w Kornwalii. To naprawdę wspaniałe znaleźć kogoś, kto chce
cię po prostu wysłuchać, nie przerywając mi ani nie próbując
na siłę pocieszyć czy rozweselić. Nie powiedział ani razu, że
mówię głupstwa ani że nie rozumie, o czym ja w ogóle mówię,
tylko zwyczajnie słuchał.*

*Kiedy już wyrzuciłam z siebie wszystko, zaprosił mnie do sie-
bie na plebanię. Jego mama zrobiła nam hamburgery, a on tym-*

czasem obdzwonił kolegów i poszliśmy na sanki. Zjeżdżaliśmy na polu golfowym, które się świetnie do tego nadaje, dopóki się nie ściemniło i nie zmachaliśmy się do upadłego. Wtedy wróciliśmy na plebanię, zjedliśmy podwieczorek i Rory zapytał ojca, czy może jeszcze raz wziąć samochód. Pan Kennedy zgodził się, więc Rory zabrał mnie do Kingsferry. To takie stare, oryginalne miasteczko, w którym jest mnóstwo sklepów. Zatrzymaliśmy się przed sklepem jubilera i Rory kazał mi przekłuć uszy. Nic a nic nie bolało i od razu wsadzili mi w uszy małe złote kółeczka.

Powiedziałam Rory 'emu, że w domu nie pozwalano mi na coś takiego, a on na to, że teraz nie jestem w domu, tylko z nim. Zapłacił za zabieg i za kolczyki, mówiąc, że to jego prezent dla mnie na Gwiazdkę.

W drodze powrotnej rozmawialiśmy jeszcze trochę w samochodzie. Ta rozmowa stanowiła chyba punkt zwrotny w moim życiu, bo Rory pouczył mnie, że powinnam zapamiętać pewne zasady. O takie:

Jeżeli otrzymuję w szkole dobre stopnie, to znaczy, że nie jestem głupia.

Jeżeli nie będę sama upominać się o swoje prawa, nikt tego za mnie nie zrobi.

Upominać się o swoje prawa mogę za pomocą rozsądnych argumentów, a nie grymasów i narzekania.

Jeśli naprawdę chcę odwiedzić mojego dziadka i Serenę w Kornwalii, to nikt nie będzie w stanie mnie powstrzymać. Powinnam wziąć sprawę w swoje ręce, spowodować, żeby dziadek mnie zaprosił, i po prostu do niego pojechać.

Muszę wykazać więcej przedsiębiorczości, bo przecież potrafię doskonale sobie radzić. Wiem wszystko o niebezpieczeństwach związanych z tabletkami ekstazy, pijakami, narkomanami, zboczeńcami i pocziwymi staruszkami nagabującymi samotne dziewczęta na przystankach autobusowych.

Może powinnam też pomyśleć o przeniesieniu się do koedukacyjnej szkoły z internatem i zdaniu tam potrzebnych egzaminów? Nigdy nie wpadło mi to do głowy, a przecież mogę spróbować przekonać o tym mamę. Panna Maxweł-BRown na pew-

no stanęłaby po mojej stronie. Tym sposobem miałabym dwa lata z głowy.

Od razu poczułam się bardziej zdeterminowana, mając przed sobą konkretne plany działania. Szkoda, że nie mam takiego brata jak Rory... Chociaż właściwie to wcale nie chciałabym, żeby on był moim bratem, bo to już nie to samo!

Tymczasem był u nas na herbatce jakiś pan James Erskine-Earle. Zabrał ze sobą zegar Elfridy do oszacowania, bo ona chce go ubezpieczyć. Carrie mówi, że on zjadł aż sześć bułeczek, które upiekła!

A więc jutrzejszy dzień będzie pierwszym w moim nowym życiu.

Sam

Kiedy Sam otworzył oczy, było jeszcze ciemno i przeraźliwie zimno. To właśnie ten chłód go obudził i dopiero wtedy Sam zdał sobie sprawę, że ześliznęła się z niego puchowa kołdra, a dwa koce i prześcieradło z wyhaftowanym monogramem nie zapewniały dostatecznej ochrony. Do tego jeszcze zasłony były odsunięte, a okno uchylone - niezbyt szeroko, ale przez pozostawioną szczelinę wpadało mroźne powietrze jak przez otwarte drzwiczki zamrażalnika. W nocy na pewno temperatura na dworze spadała nieprzyzwoicie nisko.

Zmusił się do wstania, podniósł kołdrę i przykrył się nią z powrotem. Jej miękka, puszysta lekkość przyniosła mu ulgę, choć nie od razu się rozgrzał. Zanim się tego doczekał, wyciągnął spod kołdry rękę, zapalił nocną lampkę i spojrzął na zegarek. Okazało się, że jest już wpół do ósmej rano.

Zdażył już zapoznać się z wnętrzem swojego pokoju, choć jego narożniki jeszcze kryły się w cieniu. Stała tam duża szafa, w której bez trudności zmieścił swoją szczupłą garderobę. Dawna wiktoriańska umywalka, pełniąca obecnie funkcję toaletki, miała marmurowy blat w kolorze wątroby, a na nim stała porcelanowa misa w kwiatki i dzbanek na wodę. Jedyne lustro znajdowało się po wewnętrznej stronie drzwi od szafy, a jedyne krzesło było małe i ozdobne. Pokój ten nie nadawałby się więc

do pracy, kiepsko do pogaduszek, natomiast był idealny do spania i odbywania ważnych rozmów przez telefon.

Leżąc, powoli się rozgrzewał i zachodził w głowę, co mu się tak tu podobało. Po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że ten pokój ma w sam raz odpowiednie proporcje, puste ściany nie rzucają się w oczy, a przetarte zasłony, spływające w festonach do poziomu równie zużytego dywanu, przypominają mu jego stary dom w Radley Hill. Te miały przyszyte mosiężne kółka, nawleczone na mosiężny pręt z końcówkami w kształcie ananasów. Przesuwając się, przyjemnie brzęczały. To brzęczenie przywiodło mu na pamięć inne odgłosy rodzinnego domu, na przykład wołanie matki: „Synku, wstawaj, już czas na śniadanie!” Widać gnębiła go nostalgia, ale chyba najlepsza, jaką znał.

Cały dom był utrzymany w podobnym stylu. Duże pokoje, z wymyślnymi gzymsami i wysokimi, kwadratowymi drzwiami; schody o niskich stopniach, prowadzące aż na poddasze; poręcz z bałtyckiej sosny; staroświecka, lecz funkcjonalna kuchnia; łazienki wyłożone białą glazurą, z oryginalnym wiktoriańskim wyposażeniem, w tym spłuczkami zaopatrzonymi w łańcuszki i rączki do pociągania...

Pomimo tego pierwszego, kłopotliwego wieczoru od razu poczuł się tu, jakby wrócił do domu, bo ten dom od początku przemawiał do niego. Już sam splot dziwnych okoliczności, które go tu przywiodły, nie mógł być przypadkowy. To, że trafił tu akurat w takim momencie, a potem nie mógł się wydostać, wydawało się zapisane w księgach przeznaczenia lub w jego horoskopie, czy może w liniach życia.

Pierwszym ogniwem tego ciągu wydarzeń było spotkanie z Hughiem McLellanem w Londynie. Następnym - otrzymanie od niego klucza do tajemniczego domu w Creagan. Wreszcie - wynik rzutu monetą, który miał przesądzić o jego dalszym postępowaniu. Gdyby wyrzucił orła, jechałby dalej prosto do Inverness i przypuszczalnie dotarłby tam, zanim śnieg zasypałby szosę. Natomiast wyrzucenie reszki wywróżyło nie planowany postój w Creagan.

Nawet i wtedy nie traciłby czasu, gdyby dom stał zrujnowany i opuszczony, jak się tego spodziewał. Chciał przecież tylko

zorientować się z grubsza w położeniu domu, a już same jego rozmiary, solidna konstrukcja i majestatyczna, wiktoriańska architektura zachęciłyby go do powtórnej inspekcji. Wszystko przez jego ciekawość - to, że w oknach świeciły się światła, zaintrygowało go tak dalece, że zdecydował się zadzwonić do drzwi. A potem już wsiąkł na dobre!

Spędził tu już dwa dni w towarzystwie czworga przypadkowo dobranych osób i zapowiadało się, że zostanie na całe święta. Miał zamiar przesiedzieć ten czas przy komputerze, przedkładając interes zakładu nad swoje sprawy prywatne, ale okoliczności zmusiły go do próżnowania, gdyż jego przenośny komputer, kalkulator, dyskietki, ważne dokumenty i numery telefonów zostały w pokoju hotelowym w Inverness. Na spotkanie w Buckly zabrał ze sobą tylko telefon komórkowy, cienką teczkę z najważniejszymi dokumentami i klucz do Zarządu Majątku.

Nie mogąc pracować, od razu przeszedł w stan ducha, w jakim nie był od dawna. Poczuł się jak pasażer statku, odcięty od reszty świata, ale ściśle związany z innymi współpasażerami. Ci początkowo zupełnie obcy ludzie okazali się mu bliżsi niż rodzina, której właściwie nie miał. Ten dom pomieścił wszystkich, jakby zadowolony, że w pokojach ktoś mieszka, drzwi się otwierają i zamykają, na kominkach płonie ogień, a ciszę zmąciły głosy i kroki.

Sam czuł, że to dobry dom, i chciał objąć go w posiadanie. Problem leżał w tym, że musiał uprzednio odkupić go od Hughiego i Oskara. Miał idealną lokalizację - nie dalej niż dwadzieścia minut jazdy samochodem od miejsca pracy. Wystarczył krótki spacer, aby dostać się do klubu golfowego, a gdyby nagle zabrakło mu puszki piwa, butelki mleka czy bochenka chleba - po drugiej stronie rynku znajdował się supermarket.

Taki dom mógł mieć przyszłość, a z tym związana byłaby przyszłość także jego, Sama. Gdyby był jego właścicielem, nie musiałyby się nigdzie przenosić. Inaczej niż segment w szeregowcu czy malownicza chatka tonąca w różach - taki dom nadawałby się do wszelkich adaptacji i przeróbek. Właśnie trwałość stanowiła dla Sama największą zaletę tego domu. Miał już trzydzieści dziewięć lat i nie chciał wciąż zaczynać

wszystkiego od nowa. Szukał stabilizacji i wszystko wskazywało, że znalazłby ją tutaj.

Tyle tylko, że połowa tego domu należała do Oskara Blundella. Mieszkał tu z Elfridą i prawdopodobnie nie miał innej własności. Hughie scharakteryzował go jako nudziarza, ale Sam zarzuciłby Oskarowi raczej wszystko inne niż to, że jest nudny. Przeciwnie, nadzwyczajnie go polubił, ale to w niczym nie ułatwiało sprawy.

Gdyby Hughie znajdował się na jego miejscu, pewnie nabrałby wody w usta i nie zawracałby sobie głowy obrazem Elfridy. Na pewno też nie zadawałby sobie trudu dzwonienia do Janey ani odszukiwania przedstawiciela Boothbych, sir Jamesa Erskine'a-Earle'a. Wprawdzie to Elfrida wpadła na pomysł sprzedaży obrazu, ale była osobą tak nieżyciową, że sama na pewno nie zrobiłaby nic w tej sprawie. Zresztą wizyta sir Jamesa nie załatwiła niczego, gdyż malowidło okazało się falsyfikatem, a więc wszyscy wrócili do punktu wyjścia. Może nawet lepiej byłoby, gdyby obrazek był autentyczny i wart przynajmniej milion funtów - wtedy Sam mógłby dać sobie spokój z marzeniami i rozejrzeć się za innym mieszkaniem.

Mimo wszystko jednak nie mógł pozbyć się przeświadczenia, że pisane mu jest spędzić resztę życia w tej solidnej, z gruba ciosanej, wiktoriańskiej kamienicy.

Zmusił się do zaprzestania tych niepotrzebnych refleksji i wstania z łóżka. Zaczął od tego, że zamknął okno. Jego pokój leżał na tyłach budynku, więc w świetle lampy przy furtce widział stamtąd ogród wznoszący się tarasowo aż do kępy zmarzniętych, oszronionych sosen. Nie poruszał ich nawet najmniejszy wietrzyk i nie słychać było żadnego dźwięku.

Będąc jeszcze chłopcem w Yorkshire, Sam lubił czasem zerwać się wczesnym rankiem i wspinać się na jakąś samotną skałę, skąd mógł obserwować wschód słońca. Poranna jutrzienka nigdy nie wyglądała dwa razy tak samo, a stopniowe rozświetlanie się nieba zawsze zakrawało na cud. Wracał z tych wypraw biegiem, na przełaj przez ścieżki i strumyki, wprost kipiąc energią. Nie miał jednak wątpliwości, że ta radość miała coś wspólnego z obfitym śniadaniem czekającym nań w domu.

Dawno już nie obserwował wschodu słońca, więc niby dla-

czego nie miałyby powtórzyć tego doświadczenia w najkrótszy dzień roku? Ubrał się więc, włożył ciepłe buty i kurtkę, poszukał w kieszeniach rękawiczek i na paluszkach wyszedł z pokoju, cicho zamykając drzwi. W pustej kuchni zastał tylko Horacego drzemiącego w swoim koszyku.

- Chcesz iść na spacer? - zagadał do niego.

Horacy doszedł już do siebie po konfrontacji z rottweilerem, bo zaakceptował tę propozycję. Sam zauważył listę zakupów sporządzoną przez Elfridę i dopisał na niej krótką informację, dokąd się wybiera. Wyszedł do hallu, wziął z wieszaka swoją tweedową czapkę i nie wiadomo czy szalik, gdyż uważał, że przyda mu się jakiś ocieplacz. Otworzył drzwi frontowe i wyszedł w ciemność i mróz na dworze. Pod stopami trzeszczała mu zlodowaciały śnieg. Ledwo otworzył bramę, a zaraz przemknął tędy pług śnieżny z piaskarką, wyrzucając przed siebie snopy światła.

Sam z psem udali się w stronę przeciwną, w kierunku klubu golfowego i plaży. Zostawili za sobą światła miasteczka, bo wystarczyła im pojedyncza gwiazda jarząca się na czystym niebie. Tylko wzdłuż linii horyzontu ścieliła się mgła. Dawno minął przypływ, piasek zaskorupiał, a płytkie oczka wodne zamarły na kamień. Wiatr z północy ciął ostro jak nóż, więc Sam schował podbródek w szalik. Przywołał na pamięć inne kraje i kontynenty leżące na tej samej szerokości geograficznej, poniżej sześćdziesięciu stopni na północ od równika. Na zachód od niego, za Atlantykiem, znajdowały się Labrador, Zatoka Hudsona i Alaska, a w kierunku wschodnim Skandynawia i bezkresne przestworza Syberii. Tam pewnie zamarłyby na śmierć, ledwo wychyliłby nos za drzwi domu, a tu maszerował beztrąsko jak turysta, z psem u nogi, nie odczuwając chłodu. Ten Golfstrom to jednak dobra rzecz!

Szybkim krokiem przemierzył plażę i zwrócił się w stronę stałego lądu. Wspiął się na wydmy, przeciął obydwie pasma toru golfowego i zaczął pokonywać strome zbocze serpentyną wijącą się między kępami kolcolistu. Zanim dotarł na szczyt - porządnie się zgrzał, a Horacy dyszał jak miech. Doszedł do płotu, w którym wykonano przełaz osłonięty od wiatru gęstym krzewem kolcolistu, oparł się o niego i wpatrzył w morze.

Tymczasem niebo pojaśniało, a samotna gwiazda znikła. Wi- dać stałoby się długą linię horyzontu, zatokę rozciągającą się aż do mrugającego światła latarni morskiej i różowo zabarwione południowo-wschodnie pasmo nieba. Okazało się, że znalazł sobie świetny punkt widokowy. Sprawdził na zegarku, że mi-nęła dopiero ósma czterdzieści, więc przysiadł na schodku przejazdu i czekał.

Pies usiadł u jego nóg. Sam zdjął rękawiczkę i położył dłoń na jego jedwabistej głowie, bawiąc się aksamitnymi uszami. Z tej wysokości reszta świata wydała mu się równie czysta i dziewicza jak w dniu stworzenia, a cały ten wszechświat zda- wał się należeć tylko do nich obydwu.

Ni z tego, ni z owego przypomniał sobie deszczowe po- południe w Londynie, kiedy przepychał się przez zatłoczoną Kings Road. W którymś momencie uświadomił sobie, że w tym tłumie nie było nikogo, kto oczekiwałby od niego gwiazdkowe- go prezentu. Dlatego, przyjeżdżając do Creagan, nie liczył się z taką możliwością. Tymczasem okazało się, że miał aż cztery osoby do obdarowania, a może nawet pięć, włączając tajem- niczą panią Snead, którą znał tylko z opowiadań. Pozostała czwórka to Oskar, Elfrida, Lucy i Carrie.

Właśnie, Carrie! Kiedy odeszła od niego Debora, a on mu- siał zamknąć na klucz mieszkanie w Nowym Jorku i objąć nową posadę - myślał raczej o wszystkim innym niż o związa- niu się z inną kobietą. Na tym etapie nie chciał od nowa anga- żować się uczuciowo. Tymczasem na końcu tajemniczego ciągu wydarzeń czekała na niego Carrie. Jakby popychany nie- widzialną siłą, poszedł prosto do tych drzwi i nacisnął dzwo- nek, a otworzyła je Carrie.

Od razu wpadła mu w oko jej gładka fryzura, ciemne i wyra- ziste oczy, szczupła sylwetka i długa szyja, skośna linia brwi i kokieterijny pieprzyk w kąciку ust. W jej niskim głosie po- brzmiewał jakby tłumiony śmiech, wskutek czego Sam nigdy nie był pewien, czy Carrie żartuje, czy mówi poważnie. Miała długie palce o nie malowanych paznokciach, smukłe przeguby rąk, a na palcu prawej dłoni nosiła pierścionek z diamentami i szafirem, pewnie ofiarowany przez wielbiciela lub odziedzi- czony w spadku po kochających dziadku czy babci.

Nie było w niej ani krztyny sztuczności. Jeśli nie miała nic do powiedzenia, po prostu milczała. Natomiast kiedy już wygłaszała jakiś sąd - czyniła to w sposób inteligentny i przemyślany. Nie gustowała w banalnych rozmówkach i kiedy wszyscy wdawali się w błahą pogawędkę, na przykład przy stole - słuchała uważnie, lecz wołała nie zabierać głosu. Tylko z Elfridą i Lucy łączyły ją silne więzi uczuciowe. Dziewczynkę otaczała czułą opieką, ale nie była wobec niej zaborcza. Lucy to przychodziła, to wychodziła, ale zawsze czekało ją miłe przyjęcie, pieśczoła bądź gotowość do wysłuchania jej problemów.

Sam nie mógł odgadnąć, co Carrie właściwie o nim myśli. Zwykle zachowywała się na luzie, ale panowała nad sytuacją, w każdej chwili gotowa zamknąć się w sobie. Tylko raz miał ją dla siebie przez więcej niż pięć minut - było to podczas jazdy do Kingsferry. Wydawało mu się wtedy, że przełamał lody, ale ilekroć rozmowa zbaczała na sprawy osobiste - Carrie milkła i szybko zmieniała temat. Nawet w sklepie z konfekcją męską, gdzie musiał kupić sobie zupełnie nowe rzeczy, bo nie miał w czym chodzić - spodziewał się, że Carrie będzie mu towarzyszyć przy tych zakupach. Liczył, że mu coś doradzi, może nawet wyśmiejże jego wybór piżamy czy slipów, które właściciel sklepu nazywał niewymownymi, albo namówi do kupna wyjątkowo niegustownego krawata. Tymczasem od razu przeszła na drugą stronę ulicy, do sklepu żelaznego, gdzie chciała kupić nową blachę do pieczenia i formę budyniową dla Elfridy, podczas gdy Sam przy zakupie tak intymnych artykułów był zdany tylko na siebie. Kiedy wrócił do samochodu - czekała tam na niego, czytając „Timesa” i nie wykazując najmniejszego zainteresowania jego zakupami.

Ciekawiło go, czy była już przedtem zameżna, ale wiedział, że nie starczy mu odwagi, aby zapytać o to wprost. W końcu nie powinno go to obchodzić. Pewnych, acz zdawkowych informacji o sobie dostarczyła mu podczas tego pierwszego wieczoru, kiedy siedzieli sami i czekali na Oskara i Elfridę. Dowiedział się wtedy, że przez trzy lata pracowała w austriackim przedstawicielstwie biura podróży, a teraz przeniosła się do głównej siedziby tej samej firmy w Londynie, na Bruton Street.

Powiedziała mu jeszcze, że ma mały domek na Ranfurly Road, niedaleko od miejsca, gdzie Sam kiedyś mieszkał. Chwilowo jednak musiała zatrzymać się u znajomych, gdyż wynajęła swój dom do lutego.

Tyle zdołał się dowiedzieć, bo Carrie nad niczym się nie rozwodziła. Miał wrażenie, jakby odgrodziła się od niego solidnymi drzwiami i nie miała zamiaru ich otworzyć.

Już bardziej wylewna była, jeśli chodziło o Lucy. Od razu przedstawiła ją jako córkę swojej siostry Nicoli, z którą nie przyjaźniła się bliżej. Nicola była rozwódką i wraz z dziewczynką mieszkała u swojej matki. Carrie w niezbyt miłych barwach odmalowała stosunki panujące między tymi kobietami. Właśnie dlatego przywiozła Lucy ze sobą do Creagan, że Nicola postanowiła spędzić Boże Narodzenie na Florydzie ze swoim nowym przyjacielem.

Chętniej Carrie opowiadała o własnym ojcu. Ilekroć poruszała ten temat - od razu ożywiała się, głos jej łagodniał, a oczy nabierały blasku. Sam dowiedział się więc, że jej ojciec ma na imię Jeffrey i mieszka w Kornwalii ze swą drugą żoną, o wiele od niego młodszą.

- Zawsze był taki szlachetny, prawdziwy altruista - opisywała go Carrie. - Żył z moją matką, mimo że był z nią niešťczęśliwy, dopóki Nicola i ja nie dorosłyśmy i nie usamodzielniliśmy się. Dopiero wtedy odszedł, aby żyć z Sereną. Gdyby Lucy miała takiego ojca, jej życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Jeffrey był dla mnie więcej niż ojcem - był moim najlepszym przyjacielem. Zawsze mnie wspierał, nie szczędził pochwał ani zachęty. Mając go za sobą, mogłam uwierzyć, że nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych.

Może tak i było, ale chyba nie zawsze. W którymś momencie musiało coś się popsuć, ale Carrie nie miała zamiaru wyjawić, co to było. Jednak jej powściągliwość tylko rozbudzała ciekawość Sama. Zastanawiał się już, czy się w niej przypadkiem nie zakochał, bo inaczej jakie miałyby to dla niego znaczenie? Tylko po co miałyby zakochiwać się w kobiecie, która na pierwszym miejscu stawiała swą karierę zawodową i niedobraną rodzinę? Przecież taka osoba na pewno nie rzuci tego

wszystkiego w diabły i nie pojedzie z nim na północne rubieże Szkocji!

A niezależnie od tego nadal pozostawał w formalnym małżeństwie z Deborą...

Pies zaczął kręcić się niespokojnie i pisać. Najwyraźniej zmarł. Samowi też zrobiło się zimno, ale jeszcze nie ruszał się ze swego punktu widokowego, bo zauważył, że bladoniebieskie pasmo nad horyzontem raptem rozbiło się w wiązkę promieni jak czerwone i żółte języki ognia. Wśród nich, za szczytami wzgórz, ukazał się pierwszy skrawek tarczy słonecznej. Jej promienista korona dotknęła tafli morskiej, rozpraszając cienie na piasku i rozjaśniając niebo od szafirowego błękitu do odcienia akwamarynu.

Obserwując ten cud przyrody, Sam stracił poczucie czasu, jak również przestał odczuwać chłód. Jednocześnie zgasło światło latarni morskiej, z tej odległości nie większe od główki szpilki. Rozpoczął się nowy dzień, a wszystkie następne dni miały odtąd być dłuższe. Wkrótce nadejdzie nowy rok, ale nikt dziś nie jest w stanie przewidzieć, co mu przyniesie.

Do Creagan wracał szybkim krokiem, wąską ścieżką przecinającą pole golfowe. Tymczasem znikła poranna mgła i ukazało się bladoniebieskie, bezchmurne niebo. Zanim doszedł do pierwszych zabudowań, w miasteczku trwał już w najlepsze codzienny ruch - kursowały samochody, pootwierano sklepy, a pierwsi klienci, zaopatrzeni w koszyki i reklamówki, wyruszyli po zakupy. Rzeźnik odmiatał śnieg ze stopnia przed wejściem, a młoda matka ciągnęła na saneczkach ciepło opatulone dziecko.

Sam dopiero wtedy zorientował się, że jest głodny jak wilk. A kiedy wreszcie dostał się do domu, tam też wrzało jak w ulu. Na piętrze brzęczał odkurzacz przy akompaniamencie damskiego głosu wyśpiewującego stary przebój Beatlesów: *love you, ye, ye, ye...* Domyślił się, że to ta osławiona pani Snead przyszła posprzątać.

Z otwartych kuchennych drzwi padało światło. Dochodziły stamtąd również apetyczne zapachy bekonu i kawy. Sam spuścił Horacego ze smyczy, zdjął wierzchnie okrycie i wszedł

przez te drzwi. Wewnątrz zastał tylko Carrie siedzącą wśród resztek śniadania. Piła kawę i czytała „Timesa”, ale podniosła wzrok znad gazety i przywitała go:

- Dzień dobry!

Już dwa dni temu, kiedy tak bezczelnie tu wtargnął, omal nie zwałił go z nóg nieprzeciętny urok tej dziewczyny. Jak potem się dowiedział, właśnie przeszła grypę czy inną paskudną infekcję. Pewnie dlatego zrobiła na nim wrażenie bladej, kruchej i wątłej. Teraz jednak jej młody, odporny organizm już uporał się z chorobą, a jeszcze do tego włożyła dziś rano czerwony kaszmirowy sweter. Jego żywy kolor dodał jej urody i atrakcyjności, a że Sam był tego ranka w wyjątkowo dobrym nastroju, poczuł wręcz fizyczną potrzebę dotknięcia jej i porwania w ramiona. Może to przełamałoby wreszcie niewidzialną barierę między nimi?

- Jak ci się udał spacer? - zagadnęła, przez co od razu uleczyła go z szalonych pomysłów.

- Chyba zaszliśmy trochę za daleko. Horacy bardzo się zmęczył.

Horacy akurat pił wodę ze swojej miski, głośno chłopcząc.

- A ty pewnie-zmarzłeś?

- Przeciwnie, raczej się zgrzałem. Za to mocno zgłodniałem.

- Zostało jeszcze trochę bekonu. - Carrie odłożyła gazetę i wstała.

- Od razu poczułem.

- Zaparzę ci świeżej kawy.

- Ależ mogę sam to zrobić.

- Nie. - Na podgrzewanej płytce stał talerz, przykryty drugim talerzem. Carrie zestawiała go na stół i z pewną ostentacją zdjęła przykrycie. Pod spodem ukazał się nie tylko bekon, ale smażone jajka, kiełbaska i pomidor, wszystko tak gorące, że aż skwierczało. - Ty już jedz. Ja to zrobię.

Sam nie spodziewał się, że zobaczy taką obfitość pożywienia.

- Kto tyle tego nasmażył?

- Ja, bo przypuszczałam, że wrócisz głodny jak wilk.

Wzruszyła go ta troska.

- Jesteś naprawdę słodka.

- Przecież to żaden kłopot.

Usiadł więc, a smarując grzanekę masłem, spytał:

- Gdzie jest reszta?

Carrie nalała wody do czajnika i postawiła go nagazie.

- Zjedli już śniadanie i pewnie kręcą się gdzieś w pobliżu.

Przyszła pani Snead, więc pewnie Elfrida zwleka brudną posciel. Oskar ma ważną rozmowę telefoniczną. Chodzi o to, że musimy jeszcze dziś przywieźć choinkę. Dobrze byłoby, gdybyś mógł pojechać po nią swoim samochodem, bo jest większy, a Oskar boi się pRowadzić po śniegu.

- A skąd trzeba przywieźć tę choinkę?

- Z majątku Corrydale. Oskar właśnie tam dzwoni, do faceta nazwiskiem Charlie Miller. Wszystko jest już załatwione, chciał się tylko upewnić, czy Charlie będzie na miejscu, kiedy przyjedziemy.

- My? Czy to znaczy, że chcesz jechać ze mną?

- Oskar narysował mapkę, ale myślę, że powinnam cię pilotować. Zresztą sama chciałabym zobaczyć ten majątek, bo Oskar tyle mi o nim naopowiadał. Mieszkała tu jego babcia, wujek, a potem Hughie. Oskar przyjeżdżał tu na wakacje, kiedy był mały. Pamiętał, że były tu piękne tereny i ogrody, ale pewnie teraz, odkąd dwór przerobiono na hotel, wszystko się zmieniło. Tak czy owak, chciałabym to zobaczyć. Teraz hotel stoi pusty, więc jeżeli Charlie nam pozwoli, będziemy mogli się rozejrzeć.

Sam odczuwał dziką satysfakcję, bo cóż mogłoby być lepszego niż wyjazd z Carrie po choinkę, a potem oglądanie okolicy? Zresztą był ciekaw, jaki to majątek Hughie McLellan kiedyś posiadał, a potem roztrwonił. Na głos jednak powiedział tylko: „Dobrze!”, gdyż nie chciał demonstRować Carrie swojego zadowolenia, aby jej nie spłoszyć.

Ona tymczasem nasypała do dzbanka mielonej kawy i zalała ją wrzątkiem.

- Chcesz jeszcze grzanekę?

- Jeśli byłabyś taka miła...

Zrobiła więc jeszcze jedną grzanekę, nalała kawy jemu i sobie, po czym wróciła na swoje krzesło. Sam miał nadzieję, że

będą mogli teraz swobodnie porozmawiać, ale przeszkodziła im Lucy, która akurat zbiegła z góry.

- Carrie, pani Snead będzie teraz robić wielkie pranie. Masz może coś brudnego? O, Sam, fajnie, że już jesteś. PospaceRowaliście sobie

- No pewnie!

- O której wyszliście?

- Około ósmej. Było jeszcze ciemno i mieliśmy okazję zobaczyć wschód słońca.

- O rany, szkoda, że nie wzięłaś mnie ze sobą. Jeszcze nigdy nie widziałam wschodu słońca, a nad tym zaśnieżonym polem golfowym to musiało wyglądać super! Jak w Szwajcarii albo w czymś podobnym.

- Jedziemy dziś z Samem do Corrydale po choinkę - oświadczyła Carrie. - Może chciałabyś pojechać z nami?

- O rany! - jęknęła Lucy. - Pewnie, że chciałabym, ale obiecałam pani Snead, że jej w czymś tam pomogę. Tak chciałabym zobaczyć Corrydale, ale teraz naprawdę nie mogę...

Sam poczuł dla niej za to głęboką wdzięczność.

- To nic, zabiorę cię tam kiedy indziej - obiecał.

- Na pewno? Oskar powiedział, że to najpiękniejsze miejsce na świecie. Podobno jego babcia potrafiła wyhodować azalie we wszystkich możliwych kolorach. Kiedyś trzymał nawet łódkę, bo część gruntów leży nad wodą.

Nad ich głowami rozległ się donośny głos pani Snead:

- Lucy, co z tą brudną bielizną? Pozbierałaś ją wreszcie?

Carrie zrobiła zabawną minę.

- Lepiej róbmy, co nam każą, bo będzie bieda! - zażartowała.

Sam dopijał swoją kawę, zadowolony jak dzieciak, który wie, że czeka na niego pyszny deser.

Oskar sporządził bardzo szczegółową mapkę okolicy, nanosząc na nią wszystko, co znajdowało się w granicach majątku, nawet labirynt wąskich uliczek, kępy drzew i długą linię brzegową. Również domki pracowników majątku były nie tylko zaznaczone, ale przy każdym z nich podano nazwisko lokatora - na przykład major Billicliffe, Rosę Miller, gajowy...

Jako ostatni narysowany był domek ogrodnika, czyli Charliego Millera. Z pieczołowitą dokładnością oddano nawet otoczony murem ogród i garaż na ciągnik. Za następnym zakrętem Oskar drobiazgowo odmalował dawny dwór w Corrydale wśród ogrodów tarasowato schodzących aż do zatoki. Samowi przypominało to mapki zamieszczone na końcu *Kubusia Puchatka*, natomiast Carrie uznała rysunek Oskara za prawdziwe dzieło sztuki i postanowiła oprawić go w ramkę.

Posługując się tą mapką, zajechali w okolice, których dotąd nie znali. Na skrzyżowaniu przed mostem, zamiast w stronę Kingsferry, skręcili w prawo, na starą, krętą szosę prowadzącą przez typowo rolnicze tereny. Droga wiodła w górę i w dół, chwilami w tunelach utworzonych przez bezlistne żywopłoty z karłowatych buków. Wszędzie leżał śnieg, ale dzień był pogodny, choć mroźny. Ruch panował niewielki i mało gdzie widziało się ludzi - najwyżej tu i ówdzie przetoczył się ciągnik z przyczepą siana, kobieta rozwieszała pranie lub czerwony furgon pocztowy grzązał w wyżłobionych koleinach.

Po lewej stronie rozciągała się morska zatoka, wcinająca się w ląd na jakieś piętnaście mil lub więcej, w połowie trwania przyływu. Tafla wodna miała barwę błękitną jak w lecie, a kontrastowała z nią biel ośnieżonych wzgórz, z rzadka przecięta czernią prostopadle sterczących ścian skalnych.

- Wszystko tu jest jakieś takie wielkie! - zauważyła Carrie. Miała dziś na sobie czarną kurtkę, futrzaną czapkę i przeciw-słoneczne okulary. - Nawet to niebo wydaje się wyższe niż gdzie indziej.

- Myślę, że takie czyste, nie zapyłone powietrze jak tu jest także bardziej przezroczyste. A wiesz, że pięć najbogatszych w łososie rzek Szkocji wpływa właśnie do tej zatoki?

- Kto ci o tym powiedział?

- Oskar.

- Pewnie łowił je, kiedy był dzieckiem.

- To miał szczęśliwe dzieciństwo.

Carrie uważnie studiowała narysowaną przez Oskara mapę.

- Myślę, że wkrótce dojedziemy na miejsce. Najpierw będzie mur, a po jakiejś ćwierćmili główna brama...

Rzeczywiście prawie natychmiast pojawił się mur graniczny majątku. Za nim widać było okazałe drzewa, celowo rozmieszczone - najwidoczniej należały już do dworskiego parku. Główną bramę otaczały z obu stron dwie wyniosłe welingtonie. Tuż przy bramie znajdował się mały domek z ogródkiem. O tym, że był zamieszkały, świadczył dym z komina, rozwieszony na sznurze pranie i dziecięcy traktorek - zabawka porzucona na schodkach. Nieopodal okazały sztyl reklamował czterogwiazdkowy hotel „Dwór Ziemiański” w Corrydale.

- Tu skręćmy - oświadczyła Carrie.

Sam wjechał przez główną bramę w aleję obsadzoną dębami. Na śniegu znaczone podłużnymi cieniami drzew widać było liczne ślady pojazdów, co świadczyło o dużym ruchu lokalnym. Ujechali tak ze ćwierć mili, aż do rozwidlenia dróg, na którym stał drogowy znak. Malowane na deszczułkach napisy sygnalizowały: w prawo - „Droga dla gości hotelowych” (pokryta dziewiczym śniegiem), a prosto - „Gospodarstwo” i „Tartak”. Pojechali więc prosto. Carrie porównywała drogę z mapą.

- Na następnej krzyżówce skręćmy w lewo, koło domu majora Billicliffe'a.

- A kto to jest ten Billicliffe?

- Kiedyś był rządcą majątku. Przechowywał u siebie klucz od tego domu, więc Elfrida i Oskar musieli go od niego odebrać. Podobno byli zdegustowani, bo okazał się strasznym nudziarzem, a jego dom - zupełną graciarnią. Tymczasem potem wyszło na jaw, że był już od dawna ciężko chory, więc zrobiło im się wstyd, a Oskar odwiózł go do szpitala. Do dziś zresztą tam przebywa.... O, to już to skrzyżowanie! Skręćmy w lewo.

Także i ta droga musiała być często używana, bo znaczyły ją liczne ślady opon. Carrie wskazała pierwszy z domków pracowniczych, jaki dał się zobaczyć.

- O, tu właśnie mieszka major.

Sam z ciekawości zwolnił, żeby się bliżej przyjrzeć. Domek był nieduży, kamienny, ale mocnej konstrukcji. Ozdobiony był rustykalnym gankiem i dwoma mansardowymi okienkami w łupkowym dachu. Od bramy do domu prowadził krótki podjazd, na którym stał, przysypany co najmniej dziesięciocalową warstwą śniegu, wiekowy i mocno przerdzewiały vauxhall. Zza

szczelnie zamkniętych okien nie dobywał się ani promyk światła, a z komina ani pasemko dymu.

- Cóż za ponure miejsce! - zauważyła Carrie.

- Nic nie wygląda dobrze, jeśli nikt się tym nie zajmuje.

Powoli jechali dalej, pokonując niespodziewane zakręty drogi. Za następnym łukiem ukazała się zagroda Rose Miller, schludna i zadbana, z koronkowymi firankami w oknach, kurami grzebiącymi w ogródku i wesoło snującym się z komina dymem z palonego torfu. Kolejne odcinki serpentyny prowadziły obok budynków gospodarstwa i czuć było stamtąd zapach obornika. Dalej pasły się owce, za pastwiskiem znajdował się dom gajowego, a za nim kojce i wybiegi dla psów. Biegały tam akurat dwa spaniele, ujadając wściekle.

- Chwała Bogu, że nie wzięliśmy ze sobą Horacego, bo dostałby zawału! - zauważyła Carrie.

Znów ukazała się zatoka i pola schodzące nad samą wodę. Rosło tu więcej drzew, zza których wyłoniła się następna zagroda i kamienny mur otaczający wewnętrzny ogród, z dwiema kutymi w żelazie bramami. W załomie muru stała drewniana szopa z szeroko otwartymi drzwiami, a przed nią zaparkowany stary, wybryzgany błotem land-rover. Sam zaparkował obok i oboje z Carrie wysiedli z wozu. Natychmiast pojawił się przy nich młody człowiek ze starym psem - złocistym labradorem. Ubrany był w kombinezon i gumowce, a na głowie miał czapkę z dwoma daszkami, z których jeden sterczał daleko do przodu.

- Pan Charlie Miller? - zapytał Sam.

- Tak, to ja. Leżeć, Brandy, nie skacz na panią!

- Ależ nic nie szkodzi! - uśmiechnęła się promiennie Carrie.

- Zaszkożdzi, jak narobi pani wszędzie śladów łap. A pan to Sam Howard, prawda?

- Zgadza się. A to pani Carrie Sutton.

- Bardzo mi miło - wyrecytował Charlie i oboje uścisnęli sobie ręce. - Oskar dzwonił, że państwo przyjedziecie po choinkę. Jest tam, w garażu...

Poprowadził ich do szopy, która najwyraźniej spełniała tu wiele funkcji. Sam zauważył w jej mrocznym wnętrzu palety do zbioru ziemniaków, stosik narąbanych klocków drewna, stare skrzynki po owocach i brukiew popakowaną w siatkowe wo-

reczki. Pachniało tam trocinami, ziemią i olejem napędowym, a oparta o traktor marki Massey-Ferguson stała choinka.

- Oskar mówił, że wystarczy sześć stóp, więc wyciąłem tę. Ma ładny kształt i ani jednej złamanej gałęzi - zachwalał Charlie.

- Owszem, niezła - zgodził się Sam.

- Kosztuje dwa funty za stopę, więc razem dwanaście. Macie na nią stojak?

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Oskar nic o tym nie mówił.

- Mam tu coś takiego. - Charlie wyciągnął z kąta toporną konstrukcję drewnianą, pozbijaną murarskimi gwoździami. - Syn jednego farmera wyrabia takie rzeczy i sprzedaje po dwa pięćdziesiąt.

- A czy to będzie pasować? - Sam przyglądał się urządzeniu z powątpiewaniem.

- Na pewno, na mur-beton. - Charlie osadził drzewko w stojaku.

- Dobrze, biorę.

- Razem będzie czternaście pięćdziesiąt. - Charlie był z natury prostolinijny.

Sam wyjął portfel i wręczył Charliemu piętnaście funtów.

- Niech pan powie temu synowi farmera, że reszty nie trzeba. Należy mu się, choćby za samą przedsiębiorczość.

- Dobrze, powiem mu. - Banknoty znikły w kieszeni jego kombinezonu. - Załadować panu drzewko do wozu?

- Byłoby to bardzo miłe z pana strony. Rozłożyłem tylne siedzenia, więc powinno się zmieścić.

- Nie ma sprawy.

Do rozmowy włączyła się Carrie.

- Czy nie miałyby pan nic przeciwko temu, żebyśmy się tu trochę pokręcili? Jeszcze nigdy nie byliśmy w Corrydale, więc chcielibyśmy obejrzeć sobie majątek i dwór. Chyba że to może jest zabronione...

- Ależ proszę bardzo, nikt nie zabrania. Tyle że hotel jest zamknięty, a w ogrodach nie ma co oglądać.

- Nie szkodzi, coś znajdziemy. Którędy radziłby nam pan iść?

- Najlepiej zawróćcie do szosy, którą przyjechaliście, a na

wysokości domu majora Billicliffe'a skróćcie na skrzyżowaniu w lewo. Dojdziecie tamtędy do dworu i ogrodów. Stamtąd biegnie ścieżka nad samą wodę, a wzdłuż brzegu można nią dojść z powrotem do nas. Ja tymczasem zwiążę choinkę i wsadzę ją do waszego wozu. Gdyby mnie tu nie było, kiedy wrócicie, to znaczy, że poszedłem na obiad.

- Dziękujemy panu bardzo.
- Nie ma za co. Życzę państwu miłego spaceru.

Szli po zamarzniętych koleinach, a śnieg skrzypiał im pod nogami. Powietrze było kryształowo czyste i chłodne, a słońce grzało od tyłu, roztapiając czapy śniegu na gałęziach drzew, rysujących się jak czarna koronka na tle żywego błękitu nieba. Minęli zabudowania gospodarstwa, domek gajowego i urokliwe gniazdko Rosę Miller.

- W takim miejscu człowiek chętnie spędziłby resztę życia - zauważyła Carrie.

Na wysokości opuszczonego domu majora Billicliffe'a zeszli z szosy i odnaleźli ścieżkę prowadzącą do dawnego dworu. Tędy szło się trudniej, ponieważ dziewiczy śnieg był głęboki i hamował tempo marszu.

- Ktoś w to musiał władować sporo pieniędzy - zwróciła uwagę Carrie. - Pomyśl, takie duże gospodarstwo, te wszystkie domy dla pracowników, ogród otoczony murem... Ciekawam, skąd się wzięło takie bogactwo.

- Myślę, że głównie z przemysłu, takiego jak stalowy czy okrętowy, a także z handlu ze Wschodem. Statki, herbata, drzewo tekowe, czy ja wiem? Lepiej zapytajmy Oskara.

- Oskar chyba nie ma już nic.
- Też mi się nie wydaje, aby coś miał.
- No więc gdzie się podział ten cały szmal?
- Zwykle działo się tak, że starsi ludzie umierali, a wtedy lwia część majątku pożerał podatek od masy spadkowej. Poza tym wzrastały koszty utrzymania. Ostatnia wojna wyrzuciła do góry nogami cały dawny porządek. A już zupełna degrengolada zaczęła się, kiedy majątki przejęli osobnicy pokroju Hughiego McLellana. Przepuścili, co tam jeszcze zostało, i wyprzedali resztę. Na południu Anglii taki teren jak ten dawno byłby pościęty na działki budowlane i rekreacyjne. Tylko dlatego, że to

Daleka Północ, no i przedsiębiorstwo hotelarskie przejęło dwór, przynajmniej z zewnątrz wygląda to tak jak dawniej.

- Ale dlaczego nie przejął tego Oskar? Świetnie nadawałby się na dziedzica!

- Przypuszczalnie nie miał prawa do spadku, bo Hughie był potomkiem pierwotnego syna. Szkoda tylko, że okazał się takim szubrawcem.

- To straszna niesprawiedliwość!

- Carrie, życie w ogóle jest niesprawiedliwe.

- Tak mi żal Oskara. Zasłużył sobie na lepszy los, i Elfrida także. Powinni znaleźć sobie jakieś miejsce na ziemi, które mogliby nazwać swoim, i zyskaliby pewność, że nikt ich stamtąd nie wyrzuci. Chciałabym mieć tyle pieniędzy, żeby móc im to zapewnić. Żałuję, że byłam przy tym, kiedy okazało się, że ten jej David Wilkie nie jest autentyczny. Elfrida pokładała w tym taką nadzieję... Była pewna, że posiada skarb, który może stanowić dla nich obojga zabezpieczenie na przyszłość. Przeżyła ten zawód tak ciężko, że aż przykro było patrzeć.

- Mnie też było przykro - przypomniał Sam.

- Dla ciebie to co innego.

- Dlaczego?

- Bo jeśli nie będą mieli pieniędzy, Oskar będzie zmuszony odsprzedać ci swoje prawa do połowy tego domu, a wtedy ty dostaniesz to, czego chciałeś.

- Czy uważasz mnie za takiego potwora?

- Sama nie wiem, za kogo mam cię uważać. ZnAmy się zbyt krótko, aby wiedzieć, co naprawdę o tym myślisz.

Sam wolał nie rozwijać tego tematu, żeby nie spowodować kłótni na samym początku obiecującego spaceru. Zadał więc pytanie w nieco innym duchu:

- Czy sądzisz, że oni już zostaną ze sobą?

- Przypuszczam, że tak, bo oprócz siebie nie mają nikogo. Tylko gdzie zostaną?

- Tam, gdzie są, bo jeśli Oskar nie zechce zbyć swojej połowy, Hughie go do tego nie zmusi.

- Co zrobiłbyś wtedy?

- Rozejrzałbym się za innym mieszkaniem.

- WBuckly?

- Jeszcze nie wiem. Na razie tu się dobrze nie rozejrzałem, co dopiero myśleć o kupnie posesji!

Carrie nie od razu znalazła na to odpowiedź. Przemierzili więc kawałek drogi w milczeniu, szybkim krokiem, bo długie nogi Carrie nadażały za tempem Sama mimo sypkiego śniegu. Po ich lewej stronie zaśnieżone pola opadały w kierunku wód zatoki, a po prawej rósł rzadki starodrzew buków, których pnie odślaniały śnieg upstrzony tropami królików i ptaków. Nad głowami krakały gawrony, a od strony pustych plaż dobiegał bełkotliwy krzyk kulika.

Carrie ni z tego, ni z owego przeszła na całkiem inny temat.

- Chciałabym zobaczyć twoje zakłady - wypaliła. Zaskoczyła tym Sama, który prędzej spodziewałby się śmierci niż jej zainteresowania tą dziedziną.

- Naprawdę chciałabyś?

- A co, nie wierzysz mi?

- Widzisz, tam nie ma nic ciekawego do obejrzenia. Duże, puste hale, a w nich najwyżej parę kadzi barwierskich i to, co udało się uratować z maszyn.

- Jak to, przecież sam mówiłeś, że te budynki są na liście zabytków. Już to samo przez się może być interesujące! Chyba wolno ci tam wejść? Masz klucz?

Mówiła to całkiem poważnie.

- Oczywiście.

- Moglibyśmy któregoś dnia tam się wybrać?

- Jeśli tylko chcesz.

- Bo, widzisz, lubię oglądać takie puste, ogołoczone ze wszystkiego budynki. Mogę wtedy wyobrazić sobie, jakie one będą, kiedy już sieje urządzi. Ty pewnie przeżywasz to jeszcze intensywniej, bo dla ciebie to wyzwanie - czy uda sieje znowu uruchomić.

Sam od razu skojarzył pojęcie wyzwania z innymi problemami, pozornie nie do pokonania.

- Po części wyzwanie, ale trochę mnie to przeraża - wyznał. - Na pewno nieraz jeszcze będę się denerwował, frustrował i żałował, jeśli ma się za sobą kogoś, kto w ciebie wierzy. W Buckly mam

swojego człowieka, Fergus Skinnera. Wiem, że mogę mu ufać.

- Mimo wszystko z Nowego Jorku do Szkocji to duży przeskok.

- Gdybym był młodszy, nie podjąłbym się tego zadania, ale mam już trzydzieści dziewięć lat. Chyba to już najwyższy czas, jeśli się chce dokonać w życiu jakichś zmian. W sferach biznesu największą satysfakcję daje uruchomienie przedsiębiorstwa od podstaw.

- A czy nie jest to pewną degradacją?

- W jakimś sensie tak, ale ja od szczeniaka wyrosłem w cieniu warsztatu tkackiego. Wpojono mi przekonanie, że nie wymyślono jeszcze nic wygodniejszego i szykowniejszego niż dobrze skrojona tweedowa marynarka. Wytrzyma wszystkie przeciwności i człowiek jest w niej zawsze dobrze ubrany. Kocham sam zapach i dotyk tweedu, zgrzyt kół zębatach, stukot krosien i gręplarek... Lubię także i szanuję ludzi, którzy przy tym pracują, nieraz od kilku pokoleń - prządki, tkacze, farbiarze. Oni mają ten fach w genach, a ja jestem w swoim żywiole.

- No, to chyba masz szczęście.

- Z powodu mojej pracy?

- Nie tylko. - Carrie przystanęła z głową odrzuconą do tyłu, aby śledzić lot myszołowa, który szybował po niebie, jakby unoszony przez prąd wstępujący. - Dlatego że przyjechałeś tutaj, w takie rozległe, czyste, dziewicze strony. Będiesz tu mógł grać w golfa, polować na pardwy i bażanty, łowić łososie w tych rzekach, o których mówiłeś...

Kontynuowała marsz, rozwijając tę myśl.

- Lubisz jeździć na ryby?

- Owszem. Jeszcze jako mały chłopiec w Yorkshire chodziłem z ojcem na ryby, tylko że tam łowiło się pstragi. Nie przepadam natomiast za polowaniem.

- Ja też nie. Jak można strzelać do takich ślicznych, małych ptaszków? I tak po upieczeniu kurczą się do wielkości karnarków.

Z tej odległości widzieli już mur ogrodu, zwieńczony żelaznymi sztachetami. Ścieżka prowadziła prosto do kutej z żelaza bramy, strzeżonej z obu stron przez słupki ozdobione heral-

dycznymi lwami i oplecione pnącymi różami, teraz poczer-
niały od mrozu.

Przed bramą zatrzymali się, bo z tej perspektywy chcieli
przyjrzeć się tarasowało opadającym trawnikom i fasadzie
dawnego dworu Corrydale. Budynek był wzniesiony z czerw-
onego kamienia, utrzymany w stylu wiktoriańskim, z licznymi
wieżyczkami i facjatkami oplecionymi dzikim winem. Może
zbyt pretensjonalny, lecz solidny, czynił wrażenie dostatku
i stabilizacji. Okna były szczelnie pozamykane, ale wychodziły
na południe, toteż w ich szybach odbijało się słońce. Z najwyż-
szego tarasu sterczał pomalowany na biało maszt, ale nie po-
wiewała na nim żadna flaga.

- Ładne to - powiedziała Carrie po chwili ciszy. - Oskar
musiał mieć szczęśliwe dzieciństwo.

- A ty chciałabyś tu mieszkać? - zagadnął Sam.

- W tym majątku czy w tym hotelu?

- Nie, w Creagan, czy raczej w ogóle w Sutherland.

- Przecież mam pracę w Londynie. Muszę jakoś zarabiać na
życie.

- A gdybyś nie musiała, chciałabyś zakopać się na takim
odludziu?

- Czy ja wiem? Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Mu-
siałabym rozważyć wszystkie „za” i „przeciw”, ale żeby opu-
ścić Londyn, musiałabym być wolna, bez żadnych zobowiązań.

- Jakież ty masz zobowiązania?

- Jest przecież Lucy.

- A co ma Lucy do ciebie?

Carrie otworzyła bramę i rozsunęła jej skrzydła. Za nimi
ukazała się szeroka i prosta, jak wykreślona przy linijce, aleja
przecinająca ogród i prowadząca aż do kępy buków. Pośrodku
tej alei, w jednej linii ze schodami od domu, stał kamienny ze-
gar słoneczny, a przy nim gięta drewniana ławka. Inny ciąg
schodów prowadził do francuskiego ogrodu, ocienionego za-
roślami rododendronu i azalii. Założony był na planie koła,
w obrębie którego okrągłe, owalne lub fantazyjne grządki,
obrzeżone żywopłotami z bukszpanu, rozchodziły się promie-
niście od kamiennego posągu jakiejś antycznej bogini. Teraz to

wszystko, przysypane śniegiem, przypominało szkic węglem na białym papierze.

- To właśnie Lucy jest głównym powodem, że zdecydowałam się przyjąć tę posadę - tłumaczyła Carrie. - Potrzebuje kogoś, kto byłby przy niej i przynajmniej od czasu do czasu wyciągał ją z tego babinca, w którym jest zmuszona żyć. Ktoś musi dać jej szansę, żeby mogła zmienić ten stan rzeczy, a tym kimś mogę być tylko ja.

Sam nie bardzo wiedział, co ma o tym sądzić.

- Jak to, przecież wygląda na takie pogodne, szczęśliwe dziecko! - zaryzykował.

- Zgadza się, jest szczęśliwa, ale tutaj, z Elfridą i Oskarem, gdzie ciągle coś się dzieje, no i oczywiście z Rorym Kennedym. Powrót do Londynu będzie dla niej tragedią.

Sam był zdania, że Carrie jest za młoda, aby układać sobie życie wyłącznie pod kątem potrzeb siostrzenicy.

- E, nic jej nie będzie! - próbował zbagatelizować sprawę. - Jest młoda, odporna, a z czasem się usamodzielni.

- Co ty o tym możesz wiedzieć? - obruszyła się Carrie. - Trzeba by ci było poznać tę jej zapatrzoną w siebie mamuszkę!

- No, a co ty możesz zrobić dla Lucy?

- Dokładnie nie wiem, ale wystarczy, że będę blisko, pod telefonem w razie czego. Może na Wielkanoc uda mi się ją zabrać do Kornwalii, żeby trochę pobyla z Jeffreyem. W końcu jest jej dziadkiem. Ewentualnie będziemy mogli razem wyskoczyć gdzieś na narty, bo jego dzieci są już dość duże. Mnie Jeffrey pierwszy raz zabrał na narty, gdy miałam dziewięć lat i tak to polubiłam, że do tej pory narty są moją największą namiętnością.

- Pojechałybyś znów do Oberbeuren?

- O, nie! - zaprzeczyła z naciskiem, zanim Sam dokończył pytanie. - Wszędzie, tylko nie tam. Może być Arosa, Grindelwald albo Val dTsere...

- Mogłabyś też pojechać do Stanów. W Kolorado czy Vermont są świetne tereny narciarskie. Kawał drogi, ale w sumie to taniej wypada.

- A ty jeździłeś na nartach w Vermont? - indagowała, idąc przy nim z rękami w kieszeniach.

- Owszem, wiele razy. Często wyrwaliśmy się tam z miasta na weekendy.

- My, to znaczy ty i twoja żona? - podchwyciła Carrie.

A więc tutaj bolało! Sam przypuszczał, że prędzej czy później dojdą do newralgicznego punktu, wokoło którego cały czas kluczyli.

- Tak - potwierdził. - Wiedziałaś, że jestem żonaty?

- Tak - rzuciła luźno.

Przeszli tak, ramię w ramię, dalszy odcinek drogi, jakby nie padły żadne istotne słowa.

- Elfrida ci powiedziała, prawda?

- Oczywiście. Myślałeś, że nie powie?

- Przeciwnie, spodziewałem się tego. Jesteśmy z żoną w separacji.

- O tym też mi powiedziała.

- Chciałabyś może poznać bardziej sensacyjne szczegóły?

- Niespecjalnie.

- Wydaje mi się jednak, że to ważne.

- Dla ciebie na pewno.

- Myślę, że nie tylko dla mnie, ponieważ chciałbym, żebyś mnie lepiej zrozumiała.

- A cóż tu jest do rozumienia? Czyżbyś to ty był winien?

- I tak, i nie. Nie miałem romansu z inną kobietą, ale nie miałem też dla niej dość czasu. Chyba pracowałem za ciężko i zbyt często przebywałem poza domem.

- Czy ona nie miała imienia?

- Ależ miała. Debora, zdrobniale Debbie. Gdy pracowałem w Nowym Jorku, wyrwałem się kiedyś na weekend do Easthampton z kolegą i to on mnie z nią poznał. Jej dziadek utrzymywał tam dom na wysokim poziomie - posiadłość z własną plażą, basenem i końmi pod wierzch. Ślub też braliśmy w tej posiadłości, na trawniku przed rezydencją rodzinną, w obecności siedmiuset gości, z druhnami, družbami we frakach i podobnymi szykanami. Debora wyglądała szalenie, a ja cieszyłem się jak głupi, że dostałem się do wyższych sfer. Potem kupiliśmy sobie mieszkanie na Siedemdziesiątej Alei i urządziliśmy je, nie oglądając się na koszty. Na początku to ją nawet bawiło, ale kiedy architekt wewnątrz już się wyniósł, za-

częła się zwyczajnie nudzić. W związku z moją pracą dużo podróżowałem, a ona w tym czasie albo wracała do Easthampton, albo po prostu nieźle się zabawiła.

- Jak to, nie mieliście dzieci?

- Nie, bo ona nie chciała, przynajmniej na razie. Obiecywała, że może kiedyś, ale nie teraz. Tymczasem ubiegłego lata zesła się z takim bubkiem, którego znała jeszcze z college'u. Od tamtej pory on zdążył dwa razy się ożenić, ale akurat był wolny, nadziany i głupi, ale za to jurny jak kocur w marcu. Zaczęli ze sobą kręcić, a ja niczego się nie domyślałem, dopóki nie oświadczyła mi, że odchodzi z nim. Ciężko to przeżyłem, nie tyle jej utratę, ile świadomość, że straciła głowę dla gówniarza! Dobrze wiedziałem, że kiedy taki typ żeni się ze swoją kolejną kochanką, to tak, jakby zwalniał następne miejsce pracy...

- Jednak nie rozwiodłeś się z nią?

- Prawdę mówiąc, nie miałem kiedy. Sześć tygodni po jej odejściu zadzwonił do mnie mój szef, David Swinfield, i wezwał mnie do Londynu. Miałem tyle innych problemów, że po prostu grałem na zwłokę. I tak wiem na pewno, że prędzej czy później otrzymam pozew od jej adwokata i zabawa zacznie się na nowo.

- Czy myślisz, że ona zażąda wysokich alimentów?

- Nie wiem, bo to zależy od sprytu jej adwokata. Ona raczej nie należy do tego rodzaju osób. Poza tym ten jej kochaś jest nadziany, zresztą ona ma własne pieniądze, chyba nawet za dużo. Przypuszczam, że stąd wzięły się nasze, a raczej moje problemy.

- Czy ty ciągle ją kochasz?

- No wiesz, Carrie...

- Aha, rozumiem. Czujesz się za nią odpowiedzialny, prawda? Boisz się, żeby nie doznała zawodu, nie została porzucona, bo troszczysz się o jej przyszłość?

Po chwili namysłu Sam przyznał:

- Chyba tak.

- A gdyby poprosiła cię, żebyś do niej wrócił... może nawet zażądała tego... czy przystałbyś na to?

Trochę zastanawiał się nad odpowiedzią, ale zdecydowanie odrzekł:

- Nie!

- Dlaczego nie?

- Ponieważ rozpocząłem nowe życie, a Debora należy już do przeszłości. Przyjechałem tu i chcę zostać, gdyż mam zadanie do wykonania.

- Ale ona jest nadal twoją żoną.

- Co to miałyby znaczyć?

- To, że mąż i żona są jak jedno ciało. Kto raz się ożenił, ten nigdy nie będzie całkiem wolny. Zawsze będzie należał do tej drugiej osoby.

Wymówiła te słowa z taką goryczą, że Sam odniósł nieodparte wrażenie, iż wystarczy posunąć się jeszcze trochę dalej, a mur między nimi ostatecznie runie. Zwrócił się więc do niej:

- Carrie...

Chciała iść dalej, więc złapała ją za ramię i obrócił twarzą do siebie. Zamiast jej oczu miał przed sobą czarne półkule jej okularów przeciwsłonecznych, więc je zdjął. Ku swemu przerażeniu dojrzał wtedy w jej piwnych oczach łzy.

- Carrie, powiedz mi o tym! - prosił.

- Niby dlaczego? - mrugała ze złością oczami, aby zatuszować łzy. - Dlaczego mam ci opowiadać?

- Ponieważ ja byłem wobec ciebie szczerzy.

- No to co? Nie zawierałam z tobą żadnej umowy. To nie twoja sprawa i nie mam zamiaru o tym rozmawiać. Zresztą nie ma o czym mówić, a ty i tak byś tego nie zrozumiał.

- Może jednak spróbujmy, bo wydaje mi się, że ciebie bym zrozumiał. Sam miałem ciężkie przejścia i wiem, że najgorsze, co może człowiekowi się przytrafić, to świadomość, że o tym, co się działo, od dawna wiedzieli już wszyscy oprócz ciebie. Dzień po dniu próbujesz wmówić sobie, że czas najwyższy pogodzić się z odrzuceniem...

- Kiedy ja wcale nie zostałam odrzucona! - wrzasnęła Carrie. W okamgnieniu jej twarz ściągnęła się jak u dziecka, a z oczu trysnęły strumienie łez. Próbowwała się wyrwać z uchwytu Sama, ale on trzymał ją mocno, jakby się obawiał, że gdyby ją puścił - rozleciałaby się w kawałki. - On mnie wcale nie po-

rzucił, kochaliśmy się i chcieliśmy być razem, ale zbyt wiele kłód rzucono nam pod nogi. Na przeszkodzie stanęły jego zobowiązania, tradycje rodzinne, żona, dzieci, rodzice, nakazy religijne i pieniądze. Byłam tylko jego kochanką, tą trzecią, a co gorsza, miałam świadomość, że to się nigdy nie zmieni. Oszukiwałam tylko samą siebie, wmawiając sobie, że wszystko jakoś się ułoży. W końcu mam już trzydzieści lat, więc sądziłam, że potrafię znieść wszystko. Tymczasem, kiedy Andreas oświadczył, że odchodzi, cały mój świat legł w gruzach. Teraz już wiesz, dlaczego nie interesują mnie żonaci faceci? Tylko nie próbuj litować się nade mną, bo zacznę krzyczeć!

Już otworzył usta, aby zaprzeczyć, lecz w tej chwili Carrie silnym skrętem ciała wyrwała się z jego uchwytu i biegiem ruszyła naprzód, jakby chcąc uciec od niego jak najdalej. Potykała się przy tym w zaspach śniegu, lecz wstawiała i biegła dalej, dopóki Sam jej nie dopędził.

- Och, Carrie... - zaczął, ale tym razem nie próbowała się wyrwać. Może była zbyt zmęczona, a łkanie dławiło ją w gardle? Kiedy wziął ją w ramiona, przywarła twarzą do jego kurtki, pozwalając, aby łyzy w nią wsiąkały. Choć satysfakcja nie była w tym momencie na miejscu, Sam osiągnął to, czego pragnął przez cały ten dzień - trzymał przy sobie jej smukłe, wiotkie ciało i mimo grubych warstw zimowego ubrania czuł bicie jej serca, a przynajmniej tak mu się wydawało. Włoski futra jej czapki przyjemnie łaskotały mu policzek, a skóra pachniała chłodno i orzeźwiająco. - Moja kochana Carrie, zobaczysz, wszystko będzie dobrze!

- Nic nie będzie dobrze i nie jestem twoją kochaną Carrie! - prychnęła. Sam najchętniej scałowałby łyzy z jej policzków, oczu i pięknie wykrojonych ust, ale siłą woli starał się zapanować nad sobą, powtarzając, że nie czas i nie miejsce ku temu. Jej konwulsyjny szloch nieco ucichł, więc Sam mógł stopniowo odsunąć ją od siebie, aby mogła osuszyć zapłakaną twarz rękawiczką.

- Przepraszam, tak głupio wyszło - usprawiedliwiła się. - To dlatego, że nie mam teraz nikogo.

- Nie byłbym tego taki pewien! - uśmiechnął się Sam.

Lucy

36 strona pamiętnika

Dziś rano Carrie i Sam przywieźli choinkę, a ja z panią Snead porządnie wysprzątałyśmy jadalnię, bo była zakurzona i zaniedbana. Na drzwiach wywiesiłyśmy kartkę: „Nie przeszkadzać!”, żeby nikt nie wchodził. Pani Snead spaliła kawałek papieru w palenisku kominka, żeby sprawdzić, czy kawki nie uwiły gniazd w przewodzie kominowym. Na szczęście cały dym uciekł kominem, co oznacza, że przewód jest czysty i będziemy mogli rozpalić porządną ogień, a wtedy od razu zrobi się inaczej.

Znalazłyśmy tam dwa wielkie tekturowe pudła, które wyglądały, jakby były wypchane naszymi tylko zgniecionymi gazetami. Jednak kiedy przeszukałyśmy je dokładniej, okazało się, że w środku są cztery srebrne świeczniki, strasznie poczerniałe, ale bardzo ładne. Wszystkie stare graty wyniosłyśmy do dawnego biura, gdzie i tak jest bałagan. Odkryłyśmy też, że są tam grube, haftowane zasłony, trochę zakurzone, więc przyniosłyśmy ze zmywalni drabinkę, zdjęłyśmy je, a potem wytrzeptałyśmy w ogródku. Umyłam okno, a pani Snead wyszła Rowała kafelki w palenisku kominka. Razem odsunęłyśmy stół, żeby pani Snead mogła odkurzyć. WypoleRowałyśmy wszystkie meble, a na rozłożonych gazetach postawiłyśmy świeczniki i próbowałyśmy je wyczyścić. Potrwało to długo, bo miały masę ozdóbek, ale kiedy się z tym uporałyśmy, poszłam do miasta kupić świece. Przyniosłam takie wysokie i kremowe jak gromnice, a tymczasem pani Snead szukała w kredensie jakiegoś obrusa. Nie znalazła, ale powiedziała, że duże łniane prześcieradło też się nada, tylko pod spód trzeba podłożyć gruby koc, żeby chronić blat. Na razie na tym skończyłyśmy, bo pani Snead musiała iść do domu, żeby podać ArtuRowi obiad, ale świece i ogień płonący na kominku spowodowały, że od razu się zrobiło bardziej świątecznie.

To miała być niespodzianka, ale przed naszym lunchem Carrie i Sam wrócili z choinką. Od razu wywiązała się dyskusja, gdzie ją postawić. Myśleliśmy o salonie, ale Elfrida chciała za-

prosić mnóstwo gości na swoje przyjęcie w sobotę, a taka choinka zajęłaby zbyt dużo miejsca. Oskar proponował, żeby postawić ją na połpiętrze, ale tam miał stać stół na drinki, więc trudno byłoby przejść. Wtedy nieśmiało nadmieniałam o jadalni, więc wszyscy zbiegli na dół sprawdzić, co tam zrobiliśmy. Było mi bardzo przyjemnie, bo najpierw postawili oczy jak spodki, a potem jednogłośnie zdecydowali, że właśnie tu ma stać choinka. Sam kupił ją od razu ze stojakiem, więc nie było kłopotu z ustawieniem. Ełfrida przyniosła swój czerwony szal i owinęła nim stojak, żeby zakryć surowe drewno i te brzydkie gwoździe. Razem wszystko wyglądało ślicznie i pachniało jak olejek sosnowy do kąpiel. Uwielbiam zapach świeżego igliwia w mieszkaniu!

Po południu ubraliśmy choinkę świecidełkami, które kupiliśmy z Oskarem. Sam porozczepiał lampki i powiesił gwiazdę na czubku. Ełfrida przyniosła krążek takiej pięknej wstążki w szkocką kratę, którą kupiła do pakowania prezentów, ale uznała, że taśma klejąca też wystarczy. Porobiłyśmy więc kokardy i porozwieszałyśmy na drzewku, a kiedy jeszcze dołożyłyśmy do tego lamety i zapaliłyśmy lampki - to była chyba najpiękniejsza choinka, jaką kiedykolwiek widziałam.

Carrie powiedziała mi, jak ładnie jest w Corrydale i że kiedyś będę musiała to zobaczyć. Podobno wszystko tam było obasypane śniegiem, iskrzącym się w słońcu i poznaczonym błękitnymi cieniami. Ogrody ciągnęły się od dworu aż do samej wody, a wszędzie rosło mnóstwo grubych, starych drzew. Szkoda, że nie pojechałam z nimi po tę choinkę, ale chciałam zrobić porządek w jadalni, dopóki była u nas pani Snead, bo obiecała mi pomóc.

Jutro zaczynamy przygotowania do przyjęcia. Ełfrida zadzwoniła do Tabithy Kennedy i poprosiła ją, żeby pożyczyła trochę szklanek. Carrie ma zająć się kuchnią. Jeszcze dziś, kiedy już uporałyśmy się z choinką, poszłyśmy zamówić bułeczki do hot dogów, małe pizze, zapiekanki i wędzonego łososia do kanapek na ciemnym chlebie. Impreza ma się zacząć o szóstą, pani Snead i Artur mają przyjść, by pomóc. Nie przypuszczałam, że przygotowanie przyjęcia wymaga tyle pracy. Pewnie dlatego mama i babcia nie bardzo lubią gości.

Oczywiście zaprosiliśmy także Rory'ego i Clodagh. Włożę moją nową, czarną miniówkę, czarne rajstopy i biały sweter.

Włosy upnę w kok, żeby było widać kolczyki.

Elfrida

Kiedy w środku zimy i na północy kraju Elfrida budziła się po ciemku - zwykle sięgała po zegarek i usiłowała z jego fosforyzującej tarczy odczytać godzinę. Jeśli była dopiero druga nad ranem - zwlekała się z łóżka, owijała w szlafrok i dreptała do łazienki. Równie dobrze mogła to być piąta lub ósma rano, czyli pora wstawania, ale za oknem panowały ciemności jak o północy.

Tym razem stwierdziła, że jest już wpół do ósmej, ale Oskar jeszcze spał. Wyśliznęła się więc z łóżka cicho, aby go nie budzić, narzuciła na siebie ciepły szlafrok, wsunęła nogi w ciapy i podeszła do okna, aby je zamknąć. Na dworze znowu padał śnieg, ale niezbyt silnie, tylko wiatr od morza unosił pojedyncze płatki. Wiał w powietrzu, zataczały kręgi wokół kościelnej wieży i pomiędzy bezlistnymi gałęziami drzew, a w świetle latarni ulicznych wyglądały jak złote. Widok był tak zachwycający, że Elfrida zapragnęła pokazać go jeszcze komuś. Oskara wołała nie budzić, więc opuściła sypialnię, zapaliła światło na schodach, zeszła do kuchni, nastawiła wodę i zaparzyła herbatę. Nalała ją do dwóch kubków, zaniosiła je do salonu i postawiła na stole przy oknie, odsuwając uprzednio zasłony. Potem skierowała się na poddasze, by obudzić Lucy.

Jej łóżko stało pod pochyłym, mansardowym dachem z oknem w suficie. Żaluzja nie była zaciągnięta, więc na szybach osiadła warstwa mokrego śniegu. Lucy spała w rozczulającej pozie małego dziecka, z piąstką podsunietą pod brodę i wijącymi się wokół szyi pasmami włosów. Elfrida zapaliła lampkę nocną przy jej łóżku.

- Lucy!

Dziewczynka poruszyła się niespokojnie, ziewnęła i otworzyła oczy.

- Hmm...

- Nie śpisz?

- Teraz już nie.

- Chciałabym, żebyś wstała. Muszę ci coś pokazać. Zrobiłam ci herbatę, żebyś się rozgrzała.

- A która to godzina?

- Prawie za piętnaście ósma.

Lucy, na w pół śpiąc, usiadła, przecierając oczy.

- A myślałam, że środek nocy!

- Nie, mamy już rano, i to bardzo piękny. Wszyscy jeszcze śpią, ale chciałam, żebyś to zobaczyła.

Wciąż jeszcze rozespana, dziewczynka wstała z łóżka i narzuciła na siebie ciepły szlafrok z wielbłądziej wełny.

- Ale tu zimno! - zauważyła.

- Bo na dworze jest wiatr i śnieg znowu pada.

Zeszły piętro niżej przez pograżony we śnie dom. Od progu salonu przywitała je feeria świateł.

- Popatrz! - Elfrida poprowadziła ją prosto do siedzenia przy oknie. - To jest tak zachwycające, że musiałam cię zbudzić, bo obawiałam się, że zanim wstaniesz, śnieg przestanie padać. Na razie jednak nie zmieniło się nic, odkąd wstałam.

Lucy usiadła obok niej, podziwiając widok.

- To wygląda zupełnie jak szklana kula, którą kiedyś miałam - zauważyła po chwili namysłu. - W środku była mała kietka kościoła, a kiedy się potrząsnęło, wzbijała się wokół niego śnieżna zamieć.

- Też tak od razu pomyślałam. W tym świetle płatki wyglądają jak złote.

- Widziałam takie widoczki na świątecznych pocztówkach, ale myślałam, że naprawdę nic nie może tak wyglądać.

- A na ulicy ani żywej duszy, pieszej czy zmotoryzowanej! Tak jakbyśmy byli sami na świecie. - Elfrida na chwilę zamilkła, a potem coś jej przyszło do głowy. - Pewnie na szosach powstaną zawieje i zamiecie śnieżne. Dobrze, że nigdzie się nie wybieramy.

Lucy zadrżała.

- Szybko, napij się gorącej herbaty!

Dziewczynka chętnie piła, grzejąc sobie palce o kubek. W milczeniu obie kontemplowały widok zza okna. Na horyzoncie pojawił się samotny samochód, okrążył kościół i skierował się w biegu. Za nim pozostał ciemny ślad.

- Ciekawe, która godzina jest teraz na Florydzie - zagadnęła Lucy, gdy odjechał.

Zaskoczyła tym Elfridę, bo ani razu dotąd nie wspomniała o Florydzie, o swojej matce ani o jej nowym przyjacielu.

- Nie wiem dokładnie, ale tam jest chyba o pięć godzin wcześniej niż u nas - odpowiedziała, starając się nie uzwędnąć emocji głosem. - To by było około trzeciej nad ranem, ale pewnie już o tej porze jest tam gorąco i wilgotno. Przynajmniej tak to sobie wyobrażam, bo nigdy nie byłam w Ameryce.

Spodziewała się, że Lucy rozwinie ten temat, ale mała nie powiedziała już nic więcej.

- Nie wolałabyś teraz tam być? - sondowała ostrożnie Elfrida. - Zamiast mrozów i śniegu miałabyś słońce, plażę i basen pod palmami...

- Nie cierpię basenów, plaży ani palm.

- Natomiast twoja mama chyba to lubi i mile spędza święta.

- Aleja nie cierpię tego Randalla Fischera!

- Dlaczego?

- Bo jest taki fałszywy i oślizły.

- Podejrzewam, że jest po prostu uprzejmy i nieszkodliwy.

- Mama też tak uważa.

- Grunt, że jej z tym dobrze.

- Tysiąc razy wolę być tutaj niż na tej całej Florydzie! Tu przynajmniej będą takie prawdziwe święta!

- Mam nadzieję, Lucy. Pożyjemy, zobaczymy.

- Oskarze...

Oskar podniósł oczy znad gazety, którą czytał przy kominku.

- Tak, kochanie?

- Mam zamiar zostawić cię samego.

- Na zawsze?
- Nie, najwyżej na pół godziny. Zadzwoniłam właśnie do Tabithy Kennedy i jadę do niej, żeby pożyczyć trochę szklanek. Ma ich na plebanii całe pudła, bo trzyma je na różne imprezy parafialne.

- To ładnie z jej strony, że chce je nam pożyczyć.
- Ale będę musiała wziąć samochód. Postaram się jechać powoli.

- Mam pojechać z tobą?
- Jeśli tylko chcesz...
- Prawdę mówiąc, wolałbym zostać tutaj, ale wiesz, że zawsze chętnie ci pomogę.

- Będziesz mógł mi pomóc przydzwigać te pudła, kiedy je przywiozę.

- Oczywiście, zawołaj mnie, kiedy będziesz z powrotem.

Po krótkim namyśle dodał jeszcze:

- Co tu wszędzie tak cicho? Gdzie są wszyscy?
- Sam i Carrie pojechali do Buckley, a Lucy zamknęła się w swoim pokoju, bo pakuje prezenty. Możecie oboje zabrać Horacego na spacer, bo przestało już padać.

Oskar nie wyglądał na zachwyconego tą propozycją. Odmruknął tylko niezobowiązującym tonem: „Tak”.

- No, to uważaj na siebie. - Elfrida nachyliła się i pocałowała go, ale on już powrócił do przerwanej lektury.

Na zewnątrz wiatr zacinał ostro, a śnieg zapadał się zdradliwie. Elfrida przed wyjściem z domu nałożyła na siebie swoje palto z koca, włóczkową czapkę i ciepłe buty, więc przystanęła, aby spojrzeć na niebo i chmury. Po burzliwym niebie krążyły chmury, a wśród nich miotły się porywane mroźnym wiatrem mewy. Śnieg zdążył już przysypać samochód Oskara, więc Elfrida odmiotła przednią szybę rękawiczką. Okazało się jednak, że pod świeżo nawianym śniegiem wytworzyła się warstewka lodu, więc Elfrida musiała zapalić silnik i włączyć dmuchawę, aby roztopić lód. Ostrożnie ruszyła, najpierw wzdłuż ulicy, potem pod górę, gdzie mieściła się plebania. Na szczęście uprzednio przejechała tędy piaskarka, więc nie wpadła w poślizg.

Zaparkowała przy bramie plebanii, przeszła przez ogródek

od frontu, otrzepała śnieg z butów i zadzwoniła do drzwi. Sama je sobie otworzyła i weszła na werandę.

- Tabitho!

- Jestem tutaj, w kuchni!

Elfrida zauważyła, że dom pastora był już świątecznie przystrójony. U podnóża schodów stała niewielka choinka ubrana lametą i gwiazdkami, a pod sufitem wisiały podniszczone papierowe łańcuchy. Z zaplecza domu wyłoniła się Tabitha w fartuszkach i z włosami związanymi w kucyk.

- Ależ dziś fatalna pogoda, prawda? Świetnie, że przyszłaś. Właśnie nastawiłam kawę. Wchodź do środka i zamknij drzwi. Szaś piechotę?

- Nie, odważyłam się i przyjechałam samochodem. Musiałam, bo sama nie doniosłabym do domu dwóch skrzynek ze szkłem. Gdybym się pośliznęła, nie tylko mogłabym złamać nogę, ale i potłuc szklanki.

Poszła w ślad za Tabithą do kuchni.

- Cóż za wspaniałe zapachy! - zauważyła.

- Właśnie piekę. Szarlotkę, bułeczki, dwa torty i maślane ciasteczka. Na ogół lubię gotować, ale Boże Narodzenie to nie żarty. Siedzę w garach od rana, a jeszcze zostało mi do zrobienia nadzienie i masło koniakowe... Aha, muszę jeszcze polukrować keks i ugotować szynkę! Widzisz, w tych dniach odwiedza nas wielu parafian z życzeniami świątecznymi albo z prezentami dla Petera. Wypada każdego coś poczęstować.

- Rzeczywiście, masz sporo roboty. Przepraszam, że ci przeszkadzam.

Tabitha zalała wrzątkiem kawę w dzbanku.

- Przeciwnie, dzięki temu mam pretekst, żeby choć na pięć minut oderwać się od tych garów. Proszę, weź sobie krzesło. - Z impetem postawiła dzbanek na stole. - Wiesz, czego bym naprawdę chciała? Wyjść stąd! Pójść na spacer po plaży albo na pole golfowe zjeżdżać na sankach zamiast być niewolnikiem świąt. Na pewno nie wymyślono ich po to, żeby zaharowywać się na śmierć. Każdego roku zarzekam się, że ułatwię sobie pracę, a tymczasem coraz więcej jej sobie dokładam.

Elfrida w końcu dała się namówić na kawę. Kuchnia na plebanii była równie staroświecka jak w Zarządzie Majątku, ale

kipiała życiem - na drzwiach wisiały przypięte rysunki Clodagh, a na starym biurku piętrzyły się papiery i rodzinne fotografie. Widać było, że to królestwo Tabithy, gdzie nie tylko przyrządzała posiłki dla rodziny, ale także odbywała ważne rozmowy telefoniczne i pisała listy. Teraz nalała sobie kawy i usiadła po drugiej stronie stołu.

- No więc opowiadaj, co tam u ciebie słychać.
- Nic ciekawego. Oskar został w domu zagłębiany w gazecie, a Sam i Carrie pojechali do Buckly obejrzeć zakłady wełniane.
- Sam to ten tajemniczy nieznajomy, którego przywiała do was śnieżyca? Ciągle jeszcze siedzi u was?
- Zostaje na święta, bo pogoda jest fatalna, a on, zdaje się, nie ma dokąd wracać.
- To rzeczywiście przykre. Czyżby zaprzyjaźnił się z Carrie?
- Tak mi się wydaje - odparła wymijająco Elfrida.
- No, to kroi nam się romans!
- Ale słuchaj, on jest żonaty.
- Czemu więc nie przyjechał tu z żoną?
- Ona została w Nowym Jorku.
- Czyżby się pokłócili?
- O ile wiem, są w separacji, ale szczegółów nie znam.
- Zdarza się w najlepszej rodzinie - podsumowała filozoficznie Tabitha.
- Dziwne, że jeszcze nie zdążyłaś go poznać. Mam wrażenie, jakby przebywał tu z nami od niepamiętnych czasów, choć naprawdę to tylko kilka dni. Zresztą poznasz jego i Carrie jutro wieczorem, bo o szóstej przychodzicie do nas na drinka.
- Wystawiłam ci te pudła do hallu. Sześć kieliszków do wina, sześć szklanek do whisky i dwa dzbanuszki. Potrzebujesz może talerzy?
- Nie przypuszczam, bo to nie będzie jakaś zasiadana kolacja, tylko drinki i zakąski. Carrie już je szykuje.
- Ilu osób się spodziewasz?
- Około siedemnastu. Ty, Peter, Rory, Clodagh...
- Clodagh nie przyjdzie. Jest zaproszona na kolację do koleżanki i przenocuje tam. Chyba nie masz nic przeciwko temu?
- Skąd, tam lepiej się będzie bawić.
- Rory przyjdzie na pewno. Kto jeszcze ma być?

- Jamie Erskine-Earle z żoną.
- Nie wiedziałam, że znasz Jamiego i Emmę.
- Poznałam go, kiedy przyszedł wycenić mój obraz Davida Wilkiego. Okazało się jednak, że to podróbka. Znowu się zawiodłam.

- A co, chciałaś go sprzedać?

- Może kiedyś, ale nie teraz.

- Zabawny facet z tego Jamiego, prawda? Wygląda jak smarkacz, a tymczasem nie tylko jest biegłym w swojej specjalności, ale i ojcem trzech dorodnych synów. Czy poznałeś już Emmę?

- Tylko rozmawiałam z nią przez telefon, kiedy ich zapraszałam.

- To przemiła kobieta, taka życiowa i bezpośrednia. Zajmuje się hodowlą kuców szetlandzkich i tresurą psów, a oprócz tego zarządza całym Kingsferry. Jamiemu w głowie tylko dzieła sztuki, a Emma bardziej interesuje się wykotami owiec i naprawą dachu. Kogo jeszcze zaprosiłaś?

- Rutleyów z księgarni.

- Dobrze zrobiłaś.

- Doktora Sinclaira z żoną.

- Jeszcze lepiej.

- Tylko nie znam ich imion...

- Geordie i Janet.

- No i jeszcze Sneadów.

- Panią Snead i jej Artura?

- Ona sama ofiarowała się, że przyjdzie pomóc przy podawaniu do stołu i zmywaniu. Zrobiło mi się jej żal, że musiałyby przez cały czas tkwić w kuchni, więc zaproponowałam, żeby przyprowadziła także Artura. On może doskonale roznosić drinki.

- Pewnie, niech wystąpi w roli kamerdynera.

- Bardzo się z nimi zżyliśmy, nie wypadało o nich zapomnieć.

- Idę o zakład, że będą duszą towarzystwa.

Tabitha wypijała swoją kawę, a gdy odstawiała kubek - napotkała spojrzenie Elfridy.

- A co porabia Oskar? - zmieniła temat.

- U niego wszystko w porządku, ale chyba najbardziej lubi w spokoju czytać gazety i rozwiązywać krzyżówki.
- Wiesz, że Peter dał mu swój zapasowy klucz od organów?
- Oskar nigdy mi o tym nie wspomniał.
- Peter sądził, że muzyka może mu pomóc odzyskać równowagę. To jakby rodzaj terapii.
- Jak dotąd był w kościele tylko raz, i to dlatego, że Lucy prosiła, aby z nią poszedł. O ile wiem, więcej się tam nie pokazał.
- Nie wydaje mi się, żeby mu to mogło pomóc.
- Oskar nie potrzebuje pomocy. Wolałby, aby go pozostawiono w spokoju, żeby mógł sam we właściwym czasie dojść do wszystkiego. To zabawne, ale wydaje mi się, że bawią go wciąż nowi goście, zapowiedziani i niezapowiedziani. Szczególnie polubił Lucy. Czuję jednak, że nie do końca się przede mną otworzył, chociaż jesteśmy sobie bardzo bliscy. Tak jakby jakaś jego część żyła w innym świecie, do którego ja nie mam dostępu.
- Peter sądzi, że to wymaga cierpliwości.
- Cierpliwością nigdy nie grzeszyłam. Mam za to sporo innych grzechów.
- Na pewno nie większych niż inni! - roześmiała się Tabitha. - Chcesz jeszcze kawy?
- Dziękuję, wystarczy, że ta była wspianała - oświadczyła Elfrida, wstając. - Nie będę ci już więcej przeszkadzać, przecież musisz nadziać tego indyka. Dziękuję za szklanki i za to, że zechciałaś mnie wysłuchać.
- Poczekaj, pomogę ci wsadzić je do bagażnika. Nie są ciężkie, ale bardzo nieporęczne. No, a jutro wbijemy się w odświętne ciuchy i chętnie do was przyjdziemy. To takie podniecające, że nie mogę się doczekać!

Oskar

Zaledwie w dziesięć minut po wyjściu Elfridy Oskar musiał oderwać się od krzyżówki w „Timesie”, bo przeszkodziła mu Lucy. Była już w butach i kurtce, jakby szykowała się do wyjścia.

- Oskarże...
- O, cześć, kochanie! - odłożył gazetę. - Myślałem, że pakujesz prezenty.
- Właśnie to robiłam, ale skończyła mi się wstążka. Gdzie jest Elfrida?
- Pojechała na plebanię pożyczyć coś od Tabithy Kennedy. Niedługo wróci.
- Myślałam, iż chciałaby, żeby jej coś przynieść ze sklepu.
- Jedyne, czego chciałaby, to żeby ktoś wyprowadził Horacego na spacer.
- Tylko skoczę do księgarni i zaraz zabiorę go na plażę.
- Tam na pewno leży mnóstwo śniegu.
- Nie szkodzi, włożę wysokie buty.
- Tylko uważaj, żeby was znów nie napadł jakiś rottweiler! Lucy zrobiła groźną minę.
- Nawet mi nie przypominaj!
- Dobrze, powiem Elfridzie, że wrócisz na lunch.

Lucy wyszła, potem wróciła i zaraz rozległo się radosne szczekanie Horacego, zapowiadające oczekiwany spacer. Oskar usłyszał jeszcze odgłos otwierania i zamykania drzwi frontowych, a po następnej chwili znowu został sam. Wrócił do swojej krzyżówki i zaczął zastanawiać się nad znaczeniem hasła pod szóstką poziomo. W tym momencie zadzwonił telefon.

W pierwszym odruchu Oskar pomyślał, żeby poczekać, aż kto inny go odbierze. Przypomniał sobie jednak, że jest sam w domu, więc ze złością odłożył gazetę, wsunął długopis na powrót do kieszeni i zbiegł na półpiętro.

- Zarząd Majątku, słucham?
- Czy mogę mówić z panem Blundellem? - spytał kobiecy głos z wybitnym szkockim akcentem.
- Jestem przy telefonie.
- Tu mówi siostra oddziałowa Thomson ze szpitala w Inverness. Przykro mi, ale muszę przekazać panu smutną wiadomość: major Billicliffe zmarł dziś rano. Mam tu zapisane pańskie nazwisko jako najbliższego krewnego...

Oskara aż zatkało na tę wiadomość. A więc stary Billicliffe umarł! Rozpaczliwie próbował wymyślić coś, co powinien teraz powiedzieć, ale nie wpadł na nic lepszego niż:

- Tak, rozumiem.
- Wszystko odbyło się spokojnie i bez bólu. Miał lekką śmierć.
- Chwała Bogu. Dziękuję siostrze za wiadomość.
- Zostało po nim trochę jego rzeczy osobistych. Gdyby pan mógł...
- Oczywiście - odparł szybko Oskar.
- I wie pan, co tam jeszcze trzeba załatwić... - zaczęła pielęgniarka, lecz taktownie nie dokończyła zdania. Oskar jednak domyślił się od razu, do czego zmierza.
- Tak, oczywiście, zajmę się wszystkim - obiecał. - Dziękuję siostrze za opiekę nad nim. Będziemy w kontakcie.
- Dziękuję panu. Jeszcze raz chcę powiedzieć, że bardzo roi przykro. Do widzenia.
- Do widzenia, siostro.

Odłożył słuchawkę, ale czuł, że zaraz musi usiąść. Przycupnął więc na pierwszym schodku prowadzącym na górę, do pokoju Lucy. Przypomniał sobie bowiem, że nie tylko podał się za krewnego Billicliffe'a, ale również zgodził się pełnić rolę wykonawcy jego testamentu. Nie mógł się więc opędzić od nieprzyjemnych i wysoce w tym momencie niewłaściwych myśli. Dobrze, że Elfrida nie mogła tego słyszeć!

Że też ten stary idiota nie miał kiedy wykitować! Dom pełen gości, święta za pasem, szosa do Inverness nieprzejezdna... Gdyby nawet chciał, nie mógłby wybrać bardziej nieodpowiedniego momentu.

Wkrótce jednak miejsce złości zajął smutek, gdy Oskar uświadomił sobie, że staruszek umierał w samotności, bo ani on, ani Elfrida mimo najlepszych chęci nie byli w stanie dotrzeć do szpitala, aby się z nim pożegnać i przeprosić za swoje poprzednie zachowanie.

Zaczął więc rozmyślać, co ma teraz zrobić. Jasne było, że powinien przejąć inicjatywę, ale nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Przypomniał więc sobie, że nie minęły jeszcze nawet dwa miesiące od śmierci Glorii i Franceski, ale niewiele pamiętał z tamtych koszmarnych dni. Mętnie przypominał sobie nabożeństwo żałobne w wypełnionym po brzegi kościele, gdzie pastor, kiepski kaznodzieja, rozpaczliwie silił się na do-

bór słów. Oskar stał wtedy pod samym ołtarzem w swym odświętnym, czarnym płaszczu, ale nie był w stanie odpowiedzieć, skąd się tutaj wziął. Nie pamiętał też wszystkich czynności urzędowych poprzedzających pogrzeb. Chyba przyjechał wtedy Giles, najstarszy syn Glorii, i po prostu mówił mu, co ma robić. Giles nigdy nie był specjalnie sympatyczny, ale wtedy akurat się przydał. Wszystko poszło sprawnie, a teraz należało już do przeszłości.

Po uroczystościach pogrzebowych Oskar przez jakiś czas wegetował jak w transie, dopóki Giles nie ściągnął go na ziemię nową rewelacją. Oświadczył bowiem ojczymowi, że będzie musiał opuścić dom, który spadkobiercy chcą wystawić na sprzedaż. Oskar nie miał mu tego specjalnie za złe, gdyż godził się biernie z sytuacją, idąc po linii najmniejszego oporu. Otrząsnął się z letargu dopiero wtedy, kiedy pasierb zaczął coś przebąkiwać o domu starców...

Teraz jednak sytuacja była inna i to do niego należał następny ruch. Próbował sobie przypomnieć, jak mógł dać się w coś podobnego zrobić, i wrócił myślą do tamtego chłodnego poranka, kiedy wioził majora do szpitala. Staremu wiarusowi nie zamykały się wtedy usta przez całą drogę. Podsumował w końcu swoje mętne rozważania sentencją: „Przygotuj się na najgorsze, ale licz na najlepsze” i poprosił Oskara, aby zechciał być wykonawcą ostatniej woli.

Oskar zanotował wtedy w kalendarzyku nazwisko adwokata wskazanego przez majora. Wrócił więc do salonu, odnalazł na swoim zaimprowizowanym biurku ten kalendarzyk, a w nim to nazwisko - Murdo McKenzie. Chyba tylko Billicliffe mógł wybrać sobie tak dziwnie nazywającego się pełnomocnika! Na tej samej kartce kalendarzyka figurował też adres kancelarii adwokackiej: McKenzie i Stout na South Street w Inverness.

Nie było tam natomiast numeru telefonu, więc musiał odnaleźć go w książce telefonicznej. Dopisał go obok adresu, zszedł z kalendarzykiem na półpiętro, gdzie znajdował się aparat telefoniczny, ustawił go obok siebie na schodku, usiadł tam i wybrał numer.

Zanim uzyskał połączenie, zaczął się już zastanawiać nad organizacją pogrzebu. Trzeba będzie przecież zamówić nabożeństwo żałobne, zorganizować czuwanie przy zwłokach, zamieścić nekrolog w gazecie... Tylko w jakiej? Ogólnokrajowej czy lokalnej?

- Kancelaria McKenzie i Stout, słucham?

- Dzień dobry. Czy mogę mówić z mecenasem Murdem McKenzie?

- A kogo mam zapowiedzieć?

- Z tej strony Oskar Blundell, z Creagan.

- Proszę chwileczkę poczekać.

Oskar słyszał już nieraz takie zapewnienia i obawiał się, że będzie musiał czekać znacznie dłużej, wysłuchując tylko muzyki odtwarzanej na zapleczu. Na szczęście jego obawy okazały się nieuzasadnione, bo Murdo McKenzie podszedł do telefonu prawie natychmiast.

- Dzień dobry panu, z tej strony Murdo McKenzie. Czym mogę panu służyć?

Jego poważny i zdecydowany głos, ze swojskim, szkockim akcentem, podziałał na Oskara ośmielające

- Dzień dobry. Przepraszam, że pana trudzę, ale właśnie odebrałem telefon ze szpitala, że major Billicliffe zmarł dziś rano. Godfrey Billicliffe - dodał, jakby znał jeszcze jednego majora o tym samym nazwisku.

- To przykra wiadomość, ale chyba należało się tego spodziewać. - Sądząc po tonie głosu, rzeczywiście było mu przykro.

- Zadzwonili przede wszystkim do mnie, ponieważ podałem się za jego najbliższego krewnego. Major ustanowił mnie także wykonawcą swojej ostatniej woli, bo chyba nie miał kogo o to prosić.

- Rzeczywiście, nie pozostawił żadnej rodziny. Zawiadomił mnie, że pan się zgodził.

- Dlatego właśnie dzwonię do pana. Pewnie powinienem zorganizować pogrzeb, ale nie bardzo wiem, jak się to ma odbyć, gdzie i kiedy. Chyba miał znajomych w Creagan, którzy chcieliby w tym uczestniczyć, ale o ile wiem, drogi są nadal nieprzejezdne i nie mająk dostać się do Inverness, poza tym to

już prawie święta, a tu trzeba zawiadomić przedsiębiorcę pogrzebowego, bank, urząd stanu cywilnego...

Murdo McKenzie delikatnie mu przerwał.

- Dlaczego pan nie pozostawi tego mnie? Po pierwsze, major przekazał mi instrukcję, że życzy sobie, aby go poddano kremacji, co znacznie ułatwia sprawę. Przedsiębiorcę pogrzebowego biorę na siebie, w Inverness znam renomowaną firmę, która się tym zajmuje. Chyba nie będzie miał pan nic przeciwko temu, żebym skontaktował się z panem Luggiem i zlecił mu organizację pogrzebu?

- To bardzo miłe z pana strony, ale kiedy, pana zdaniem, powinno to się odbyć?

- Proponowałbym koniec przyszłego tygodnia. To byłoby przed Nowym Rokiem. Do tego czasu pogoda powinna się unormować i wszyscy znajomi zmarłego będą mogli wziąć udział w ceremonii.

- Może jednak powinniśmy pomyśleć także o spotkaniu przyjaciół, przynajmniej o wspólnej herbatce po pogrzebie? Byłbym gotów to sfinansować.

- Pan Lugg, to znaczy przedsiębiorca pogrzebowy, może z powodzeniem to zorganizować, na przykład w hotelowej kawiarni albo w domu przedpogrzebowym... To zależy, ile przyjedzie osób.

- A jeśli chodzi o zatwierdzenie testamentu, zablokowanie konta bankowego i tym podobne sprawy?

- Tym się też zajmujemy.

- I trzeba jeszcze... - Oskar przypomniał sobie spraną flanelową piżamę Billicliffe'a, jego aparat słuchowy i zniszczoną skórzaną walizę. Ku swemu przerażeniu zorientował się, że na wspomnienie tych przedmiotów poczuł kompromitujący ucisk w gardle. - ...zabrać ze szpitala jego rzeczy osobiste.

- Zadzwońię tam i porozmawiam z siostrą oddziałową. Pamiętaj pan może numer oddziału?

O dziwo, Oskar zapamiętał.

- Piętnaście.

Murdo McKenzie widocznie chciał to zanotować, bo przez chwilę się nie odzywał. Potem obiecał:

- Polecę mojej sekretarce, aby tego dopilnowała.

- Naprawdę nie wiem, jak panu dziękować. Kamień spadł mi z serca.

- Wiem, że major Billicliffe nie chciał sprawiać panu kłopotu, więc zadzwonię do pana Lugga, a potem dam panu znać, co on będzie w stanie załatwić. Czyja mam numer do pana?

Oskar podał mu numer telefonu do siebie.

- Mieszka pan w Zarządzie Majątku w Creagan, prawda?

- Zgadza się.

- No więc załatwione. Gdyby wynikły jakieś problemy, skontaktuję się z panem.

- Jeszcze raz panu dziękuję. Nie będę już więcej zabierał panu...

- Chwileczkę, panie Blundell!

- Słucham?

- Proszę się nie rozłączać, bo mam panu coś jeszcze do powiedzenia. Oczywiście wyślę panu oficjalne pismo, ale o tej porze roku nie można mieć zaufania do poczty, więc skoro i tak rozmawiamy, przynajmniej wprowadzę pana w sprawę.

- Przepraszam, ale nie rozumiem! - zdziwił się Oskar.

- Major Billicliffe zadzwonił do mnie, kiedy tylko znalazł się w szpitalu. Mieszkam blisko i przejeżdżam obok szpitala w drodze do mojego biura, więc wpadłem do niego zaraz w poniedziałek rano. Był już bardzo słaby, ale w pełni przytomny, a chciał widzieć się ze mną, żeby zmienić testament, bo nie zdążył zrobić tego od śmierci żony. Udzielił mi dokładnych wskazówek, według których w moim biurze została sporządzona nowa wersja testamentu, którą jeszcze był w stanie podpisać. Zgodnie z tą wersją pan jest jego jedynym spadkobiercą. Nie posiadał żadnego majątku, ale zapisał panu dom w Corrydale, swój samochód i psa. Te dwa ostatnie legaty nie są zbyt atrakcyjne, ale taka była jego wola. Jeśli idzie o pieniądze, major żył bardzo skromnie ze swojej niewielkiej emerytury, ale miał też pewne oszczędności. Po potrąceniu wydatków związanych z pogrzebem i uregulowaniu zaległych rachunków zostanie z tego jeszcze około dwóch tysięcy pięciuset funtów...

Oskar siedział na schodku ze słuchawką przy uchu i nie miał pojęcia, co mógłby na ten temat powiedzieć.

- Panie Blundell, słyszy mnie pan? - denerwował się adwokat.

- Tak, oczywiście, przez cały czas słucham.

- Myślałem, że coś nas rozłączyło.

- Bynajmniej, dobrze pana słyszą.

- Zdaję sobie sprawę, że nie jest to pokaźny spadek, ale major chciał w ten sposób dać panu do zrozumienia, że docenia pana dobroć.

- Ależ ja wcale nie byłem dla niego dobry! - zaprotestował Oskar, ale adwokat albo tego nie dosłyszał, albo zignorował.

- Nie wiem, czy pan zna ten dom...

- Ostatnio byłem tam tylko raz, aby odebrać od majora klucz, ale wcześniej, kiedy jeszcze moja babcia była dziewczką Corrydale, mieszkał tam leśniczy.

- Kiedy major wykupił ten dom z majątku, spisywałem akt notarialny i przyjrzałem się tej nieruchomości. Jest skromna, ale rozwojowa.

- Ach, tak. Przepraszam, że zbywam pana półsłówkami, ale doprawdy brak mi słów.

- Doskonale to rozumiem.

- W życiu nie spodziewałbym się...

- Napiszę o tym szczegółowo do pana i wtedy pan podejmie decyzję, jaką pan zechce. I niech pan się nie kłopotuje sprawami organizacyjnymi. Powierzmy to fachowcowi, jakim jest pan Lugg.

- Dziękuję panu, dziękuję bardzo! - powtarzał Oskar, mając świadomość, że oczekuje się od niego czegoś więcej niż tylko podziękowań.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Blundell. Do widzenia i wesołych świąt!

Rozłączył się, więc i Oskar odłożył słuchawkę. No i proszę, jaki numer wywinął stary Billicliffe, stojąc już nad grobem! Oskar czuł taki zamęt w głowie, że zaklął głośno do pustych ścian: „Aniech mnie szlag trafi!”

Nieraz już myślał o tym małym domku na terenie majątku Corrydale, ale nie za czasów Billicliffe'a, tylko wówczas, kiedy mieszkał tam jeszcze nadleśniczy ze swą poczciwą żoną. Wtedy tamten domek kipiał życiem, pod nogami pętało się

czworo dzieci i trzy psy, przy tylnych drzwiach stała klatka z fretkami, a na sznurze suszyła się bielizna. W kominku zawsze paliły się torfowe brykiety, mały chłopczyk darł się wniebogłoso, a na gościa czekał półmisek gorących bułeczek, ociekających masłem. Oskar próbował przypomnieć sobie rozkład pomieszczeń, ale w tamtych dniach nigdy nie zapuszczał się dalej niż do salonu, gdzie pachniało parafinowymi lampami i piekącym się chlebem. A teraz ten dom miał należeć do niego!

Spojrzał na zegarek. Pięć minut temu minęło południe. Nagle nabrał ochoty na drinka, choć zazwyczaj nigdy w środku dnia nie pił nic mocniejszego niż piwo. Teraz jednak czuł, że gin z tonikiem dobrze mu zrobi - doda mu sił, aby było mu łatwiej przyjąć do wiadomości niespodziewane zmiany w jego życiu.

Podniósł się więc ze swego miejsca i zszedł najpierw do kuchni, a stamtąd do zaimprowizowanej piwniczki na wino. Znalazł tam pół butelki ginu Gordona i butelkę toniku. Wrócił z tym do kuchni, wziął szklankę i nalał sobie wzmacniającego trunku.

W tym momencie akurat dał się słyszeć dźwięk otwieranych drzwi i głos Elfridy:

- Oskarze!
- Tu jestem!
- Czy możesz zejść i pomóc mi?

Wyszedł na jej powitanie ze szklanką w ręku.

- Widzisz, zaczynam już popijać do lustra - zażartował.

Elfrida jednak nie przejęła się tymi rewelacjami.

- Dobra, dobra. Grunt, że przywiozłam dwie skrzynie szkła. Są w bagażniku.

Zostawiła za sobą otwarte drzwi. Tymczasem Oskar wyciągnął rękę i zamknął je.

- Później! - oświadczył stanowczo.
- Ależ...
- Wniesiemy je potem. Na razie chodź do kuchni, bo mam ci coś do powiedzenia.

Elfrida spojrzała na niego rozszerzonymi z przerażenia oczami.

- Czy to coś złego?
- Wręcz przeciwnie. Rozbierz się i usiądźmy, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać.

- A gdzie jest Lucy?

- Poszła dokupić wstążki, a potem wybrała się na spacer z Horacym. Sam i Carrie też jeszcze nie wrócili. Korzystajmy więc z okazji, że jesteśmy sami. Napijesz się ginu z tonikiem?

- Jeśli już musimy pić przed lunchem, to wolałabym sherry. - Elfrida zdjęła płaszcz, przewiesiła go przez poręcz schodów i poszła za Oskarem do kuchni. Po drodze zauważyła: - Wyglądasz na dziwnie podnieconego. Co tu się dzieje?

- Zaraz ci powiem.

Usiadła przy stole, a wtedy Oskar przyniósł jej nalaną szklaneczkę sherry i usiadł także.

- Twoje zdrowie, kochanie!

- I twoje.

Gin z tonikiem był dosyć mocny, ale smaczny i orzeźwiający, akurat taki, jakiego potrzebował. Oskar napił się trochę, odstawił szklanekę i zaczął:

- To raczej skomplikowana historia, więc obiecuję, że nie będziesz mi przerywała, zanim ci wszystko opowiem.

- Przynajmniej spróbuję.

- Dobrze. Zacznijmy więc od tego, że major Billicliffe zmarł dziś rano. Zadzwonili do mnie ze szpitala.

- O Boże! - nie wytrzymała Elfrida, przesłaniając usta dłonią.

- Widzisz, nie zdążyliśmy go odwiedzić, prawda? Nie posiedzieliśmy przy nim ani nie przynieśliśmy mu winogron. Wiesz jednak, że przy takim stanie dróg to było niemożliwe.

- Nie o to chodzi, ale to takie smutne, że umarł w samotności.

- Przesada! W końcu leżał w szpitalu, pod troskliwą opieką lekarzy i pielęgniarek. Nie był ani w połowie tak samotny jak we własnym domu po śmierci żony.

- Pewnie tak! - westchnęła Elfrida. - Czy to znaczy, że będziesz miał dodatkowe kłopoty, bo przecież podałeś się za jego najbliższego krewnego?

- Właśnie - podchwycił Oskar. - Teraz posłuchaj uważnie.

Opowiedział jej wszystko po kolei, jak zadzwonił do mecenasa Murda McKenziego, który miał doświadczenie w załatwianiu takich spraw i obiecał wziąć na siebie związane z tym kłopoty. Pan Lugg, przedsiębiorca pogrzebowy z Inverness, do którego adwokat miał pełne zaufanie, zajmie się organizacją pogrzebu, od kremacji po stypę.

- Kiedy więc odbędzie się pogrzeb? - spytała Elfrida.

- Ustaliliśmy, że pod koniec przyszłego tygodnia. Mam nadzieję, że do tej pory będzie można dojechać tam z Creagan. Śnieg nie będzie utrzymywać się wiecznie. Prędzej czy później nastąpi odwilż.

- Musimy zamieścić nekrolog w gazecie.

- Pan McKenzie wziął to na siebie.

- I zawiadomić miejscowych...

- Zadzwonię do Petera Kennedy'ego.

- Że też musiał umrzeć akurat teraz!

- To samo pomyślałem, ale to nie po chrześcijańsku.

- Czy to już wszystko, co chciałeś mi powiedzieć?

- Nie, Elfrido, to jeszcze nie koniec.

- Czyżbyś miał jeszcze coś w zanadrzu?

- Wyobraź sobie, że Billicliffe zmienił testament i z jakichś powodów uczynił mnie swoim jedynym spadkobiercą... Czekaj, nic nie mów, jeszcze nie skończyłem. To oznacza, że zapisał mi swój dom, samochód, psa i wszystkie swoje oszczędności, które po opłaceniu rachunków wyniosą około dwóch i pół tysiąca funtów. Tyle zdołał odłożyć ze swojej skromniutkiej emerytury.

- Zostawił ci swój dom? Jakie to wzruszające! Naprawdę nie miał żadnej rodziny ani dalszych krewnych?

- Nikogo.

- Biedny człowiek, rzeczywiście musiał być samotny. A myśmy tak źle o nim mówili!

- Ale tylko między sobą.

- Tak? A kto chował się za kanapą, w razie gdyby do nas zajrzał?

- Nawet mi nie przypominaj.

- I co zrobisz z tym domem?

- Bo ja wiem? Nie miałem jeszcze czasu o tym pomyśleć.

Pewnie go sprzedam, ale najpierw trzeba by uprzątnąć wszystkie rupiecie pozostawione przez Billicliffe'a i jeszcze wykadzić.

- Jak wygląda ten dom?

- Przecież go widziałas. Kompletna rudera.

- Chodzi mi o to, ile ma pokoiów, czy jest tam kuchnia, łazienka i tak dalej?

- W biurach nieruchomości nazywają to „dwa na górze, dwa na dole”. Po wojnie prawdopodobnie dobudowano od tyłu kuchnię i łazienkę.

- Ciekawe, na którą stronę to wychodzi.

Oskar musiał zastanowić się nad tym głębiej.

- Chyba frontowa fasada na północ, a tyły na południe.

- Czy jest tam ogród?

- Myślę, że nawet spora działka. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba pani Ferguson, leśniczyna, uprawiała tam ziemniaki i pory. Rosła także jabłoń...

Elfrida musiała przetrwać te informacje. Po chwili milczenia zaskoczyła Oskara swoją reakcją.

- A może ty byś się tam wprowadził?

Oskar spojrzał na nią niedowierzająco.

- I co, miałbym sam tam mieszkać?

- Nie sam, głuptasie, tylko ze mną.

- Przecież ten dom wcale ci się nie podobał.

- Nie ma takiego domu, którego nie dałoby się przerobić, zmodernizować, ładnie urządzić. Na pewno w czasach, kiedy mieszkał tam leśniczy, było to urocze gniazdko. Tym, co go szpeciło, były walające się wszędzie aparaty słuchowe, psia sierść, pełne popielniczki i brudne szklanki. Z gołymi murami można zrobić, co się zechce.

- Przecież ja już mam ten dom.

- Masz tylko połowę praw do niego, a to niepewne. Gdybyś sprzedał swoją część za siedemdziesiąt pięć tysięcy, mógłbyś za te pieniądze odremontować dom majora Billicliffe'a i żyć tam spokojnie do samej śmierci.

- Chciałabyś, żebym stąd się wyniósł i opuścił Creagan?

- Czegoś się tak przeraził? To całkiem dobry pomysł. Sam Howard chciałby kupić ten dom, a Hughie McLellan chętnie by

się go pozbył. Wiem, że polubiłeś ten dom, bo i ja też, ale to strasznie wielkie gmaszysko, prawie nie umeblowane. Kiedy Sam, Carrie i Lucy wyjadą, zostaniemy tu sami i będziemy latać po pustych pokojach jak koty z pęcherzem. Taki dom byłby odpowiedniejszy dla rodziny z małymi dziećmi, nie dla dziada i baby, takich jak my.

- Sam na razie nie ma dzieci.
- Na razie nie ma, ale na pewno ożeni się powtórnie...

Elfrida nie dopowiedziała tego zdania do końca, spoglądając spod oka na Oskara.

- Tak, ale nie z Carrie - dokończył za nią.
- Dlaczego nie?
- Lepiej nie próbuj ich swatać.
- Trudno tego nie robić, bo idealnie do siebie pasują.
- Wcale nie. On przymila się do niej, jak może, a ona wystawia kolce jak jeż.
- Ona jest jeszcze przewrażliwiona, bo ma świeży uraz, ale już wczoraj... widziałeś, jak długo trwało, zanim przywieźli tę choinkę! Carrie tłumaczyła się, że zwiedzali Corrydale, ale nie chce mi się wierzyć, żeby w ciągu dwóch godzin niczego sobie nie powiedzieli.

- Prawda jest taka, że spotkali się przez przypadek.
- Może i masz rację - westchnęła Elfrida. - Zresztą mniejsza o Carrie, ale ten dom świetnie się nadaje na rezydencję dla tak ważnej osobistości jak dyrektor restytuowanych zakładów wełnianych, świetnie zapowiadający się biznesmen Sam Howard! Już widzę, jak przyjmuje tu partnerów handlowych z Japonii czy Niemiec albo zaprasza szefa na weekend i partyjkę golfa... No i przede wszystkim Sam rzeczywiście chciałby mieć ten dom. Widzę, że czuje się tu jak u siebie. Czy nie lepiej byłoby sprzedać ten dom jemu niż komuś obcemu? A siedemdziesiąt pięć tysięcy też piechotą nie chodzi.

- Ależ, Elfrido, ja nie mam innych pieniędzy. Gdybym sprzedał budynek Zarządu, raczej odłożyłbym sobie tę sumę na czarną godzinę, niż utopił ją w remoncie starej chałupy majora, bo wtedy nie miałbym już żadnych oszczędności.

- Przecież jeszcze nie wiemy, ile pochłonałby remont.
- Na pewno sporo pieniędzy.

Elfrida nie dawała się łatwo zbyć.

- Dajmy na to, że sprzedałabym swój dom w Hampshire. Moglibyśmy wtedy przeznaczyć te pieniądze na...

- Nie! - przerwał jej Oskar z dziwną jak na niego stanowczością.

- Dlaczego nie?

- Bo to twój dom, prawie wszystko, co posiadasz. Czegoś takiego nie wolno ci sprzedać. Jeśli już, raczej go wynajmij.

- No, dobrze już... - Dała za wygraną, więc Oskarowi zrobiło się przykro. - Wydawało mi się, że to dobry pomysł, ale może i masz rację. Na pewno jednak to bardzo podniecające. Musimy koniecznie dokładnie obejrzeć ten dom, zrobić coś z samochodem, żeby go całkiem rdza nie zżarła, no i z tym psem... Co zrobimy z psem Baskerville'ów, który wyje po nocach i wyważa drzwi swoim ciężarem?

Rozśmieszyło ją to wspomnienie.

- Prawdę mówiąc, wolę już Horacego - przyznał Oskar. - Może uda się namówić Charliego Millera, żeby tę sukę zatrzymał? Pomówię z Rose...

Tymczasem na półpiętrze zadzwonił telefon.

- Że też ktoś nie wie, kiedy zadzwonić! - zdenerwowała się Elfrida.

- Zostaw go, niech dzwoni. Najwyżej ktoś pomyśli, że nas nie ma.

- Chciałabym mieć takie mocne nerwy, ale niestety nie mam.

Podерwała się na nogi i wybiegła z kuchni. Oskar słyszał tupot jej kroków na schodach, a gdy dobiegła - natychmiast ustało dzwonicie. Z góry dobiegł tylko stłumiony przez sufit głos Elfridy:

- Słucham?

Oskar cierpliwie czekał na jej powrót, jeszcze raz przetrwając ów dziki pomysł. Obawiał się bowiem, że suma uzyskana ze sprzedaży domu stanowiłaby jego jedyne zabezpieczenie na starość i ryzykowne byłoby lokowanie jej w tak niepewnym przedsięwzięciu. Oczywiście trzeba będzie dobrze obejrzeć dom Billicliffe'a, bo niewykluczone, że po gruntownym wysprzątaniu i odmalowaniu nadawałby się jeszcze do

użytku. I tak jednak w porównaniu z przestronnymi pomieszczeniami w Zarządzie Majątku byłaby to smężna nora. Tym bardziej żał byłoby mu pozbywać się tak bezpiecznego, solidnego i słonecznego mieszkania, nawet na rzecz tak dobrego przyjaciela jak Sam Howard.

Elfrida ciągle jeszcze prowadziła rozmowę przez telefon. Stąd słyhać było tylko szmer jej głosu, ale nie pojedyncze słowa. Co jakiś czas milkła, a potem odzywała się znowu. Oskar nie domyślał się, z kim mogła rozmawiać. Modlił się tylko, aby nie otrzymała żadnych złych wiadomości.

. Dopił do dna swój gin z tonikiem, a kiedy wstał, aby wypłukać szklanekę - przypomniał sobie pudła ze szkłem, pozostawione w bagażniku samochodu. Wyszedł na dwór, gdzie panowało przenikliwe zimno, i po ośnieżonej ścieżce przeszedł do miejsca parkowania samochodu. Kiedy otworzył bagażnik - przekonał się, że pudła są ciężkie i nieporęczne, więc nie mógł wziąć więcej niż jedno naraz i musiał odbyć dwa kursy. Odstawił drugie na kuchenny stół i poszedł zamknąć drzwi frontowe, kiedy usłyszał charakterystyczny dźwięk odkładanej słuchawki. Przystanął więc u podnóża schodów, zadzierając głowę i czekając, aż Elfrida zejdzie na dół. Ponieważ jednak długo jej nie było, zawołał ją po imieniu.

- Elfrido!

Nie odpowiedziała od razu. Schodziła po schodach z dziwnie zagadkową miną. Faktem jednak było, że oczy jej błyszczały jak nigdy dotąd, wyglądała o wiele młodziej niż zwykle i emanowała jakieś tajemnicze promieniowanie, które jednak nie miało nic wspólnego z południowym słońcem przeświecającym przez burzę jej płomiennych włosów.

- Kochanie... - zaczął.

- Och, Oskarze... - Stała o jeden schodek wyżej od niego, z tej wysokości objęła go ramionami i przytuliła policzek do jego twarzy. - Wydarzyło się coś zupełnie nadzwyczajnego!

- Czy chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Tak, ale najpierw lepiej usiądźmy.

Oskar wziął ją za rękę i wrócili do kuchni, gdzie znowu usiedli przy stole naprzeciwko siebie.

- Dzwonił Jamie Erskine-Earle, w sprawie mojego zegar-

ka - wyjaśniła Elfrida. - Pamiętasz, że miał skonsultować się ze swoim kolegą, który pełni rolę rzeczoznawcy u Boothbych? Rzecz w tym, że kolega mieszka w Londynie, a w taką pogodę nie sposób było się do niego dostać. Jamie wysłał mu więc faks z dokładnym opisem i zdjęciem mojego zegarka, a ten kolega dziś mu oddzwonił, że to bardzo rzadki okaz, wyprodukowany około tysiąc osiemset trzydziestego roku we Francji, przez niejakiego J. F. Hourieta. Oficjalnie nazywa się to Srebrnym Chronometrem Tourbillona. Masz pojęcie, że przez tyle lat go miałam, nie wiedząc, że to Srebrny Tourbillon? Chciał wiedzieć, skąd go mam, więc Jamie powtórzył mu to, co usłyszał ode mnie, że odziedziczyłam go po moim ojcu chrzestnym, ale oczywiście nie wiem, skąd to się wzięło u niego. W każdym razie Jamie rozpływał się, że to prawdziwy skarb i powinnam go wysoko ubezpieczyć, a kiedy zebrałam się na odwagę i spytałam, ile to może być warte, to zgadnij, jaką sumę wymienił.

- Już powiedz, nie trzymaj mnie w niepewności!

- Siedemdziesiąt lub nawet osiemdziesiąt tysięcy funtów! - oświadczyła triumfalnie Elfrida.

- Niemożliwe. Na pewno się przesłyszałem.

- Wcale się nie przesłyszałeś, bo to prawda. Jamie powiedział, że jego kolega uważa ten zegar za prawdziwy rarytas dla kolekcjonera. Gdyby wystawić go na aukcję rzadkich zegarów i chronometrów u Boothbych, można by osiągnąć nawet wyższą cenę.

- Doprawdy, brak mi słów!

- I pomyśleć, że to tamten obraz miał być moim zabezpieczeniem na starość, podczas gdy prawdziwy skarb stał sobie spokojnie nad kominkiem na Poulton's Row! Całe szczęście, że nikt go stamtąd nie gwizdnął!

- Zwłaszcza że nigdy nie zamykałaś drzwi od frontu... To naprawdę piękna rzecz i mam nadzieję, że nie masz zamiaru jej sprzedać.

- A niby dlaczego nie miałabym tego sprzedać? Za te pieniądze moglibyśmy przerobić dom Billicliffe'a na luksusową rezydencję, z oranżerią i salą balową...

- Elfrido!

- ...i kupilibyśmy sobie kuchenkę mikrofalową!

- Elfrido, posłuchaj. Nawet jeśli sprzedasz ten zegar, to będą to twoje pieniądze.

- Nie moje, tylko nasze. Tym sposobem dożyjemy do końca naszych dni w uroczym gniazdku usłanym różami. Nasadzimy sobie kartofli i porów, będziemy mieć za sąsiadkę Rosę Miller, a za płotem czterogwiazdkowy hotel „Dwór Ziemiański”. Co może być lepszego? Czy to nie jest cudowne i nadzwyczaj podniecające?

- Oczywiście, że jest, ale musimy być rozsądni, kochanie.

- Wcale nie chcę być rozsądna! Przeciwnie, chcę tańczyć na ulicy i wykrzyczeć wszystkim swoją radość!

Oskar rozważył taką ewentualność, jakby to była konkretna propozycja. Po namyśle jednak orzekł:

- Co to, to nie.

- Dlaczego?

- Przynajmniej na razie nikt nie powinien o tym wiedzieć, póki nie porozmawiam z Samem, wyjaśniając sytuację. Musi wiedzieć, że chcemy mu sprzedać ten dom, żeby nie zaczął rozglądać się za czymś innym. I bez tego ma dość zmartwień! Przecież nie będzie wiecznie u nas siedział, więc musimy wprowadzić go w sprawę, zanim wyjedzie i, być może, nie zobaczymy go więcej. On też może potrzebować czasu, może do namyślu, może na zebranie potrzebnej sumy? Nie wiemy na pewno, ale musimy od niego zacząć.

- Rzeczywiście, masz rację. Kiedy chcesz mu o tym powiedzieć?

- Jeszcze dziś wieczorem zaproszę go na piwo do baru.

- A kiedy powiemy Carrie i Lucy?

- Po mojej rozmowie z Samem.

- A co zrobimy, jeśli dom Billicliffe'a okaże się zupełną ruiną?

- Będziemy musieli przemyśleć sprawę na nowo.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy go obejrzymy. Dziś nie możemy tam jechać, bo na tym śniegu twój wóz łatwo wpadłby w poślizg. Jutro też nie, bo szykujemy imprezę.

- Więc może w niedzielę?

- Przecież to Wigilia!

- No to co? Taki sam dobry dzień jak inne. Pojedźmy tam w niedzielę rano.

- Dobrze, niech będzie niedziela. Może namówimy Sama, żeby nas zabrał swoim terenowcem, wtedy nie wyładujemy w Rowie.

Przemyślała-tę propozycję i po chwili dorzuciła:

- Już wiem! Pojedziemy tam wszyscy, Carrie i Lucy też.

Oskar odniósł się do tej idei z rezerwą.

- Będzie wtedy pięć osób i pięć różnych opinii.

- To tym lepiej. Na pewno Sam wykaże najbardziej praktyczne podejście. Wypowie się autorytatywnie na temat wilgoci, konstrukcji ścian nośnych i działowych. Ale mam lepszy pomysł! Jeśli nie będzie padało, możemy urządzić tam sobie piknik. Nagotuję cały gar mojej ulubionej zupy. MAmy klucz do domu majora Billicliffe'a?

Prawdę mówiąc, Oskar do tej pory nie pomyślał o kluczu.

- Nie - przyznał szczerze.

- No więc jak się tam dostaniemy?

- Na pewno ma go Rosę Miller, a nawet jeśli nie, to wie, kto go ma. Zadzwońię do niej, choćby po to, żeby jej powiedzieć, iż staruszek nie żyje, chociaż do tej pory pewnie już o tym wie. Aha, i jeszcze muszę zadzwonić do Petera Kennedy'ego.

Carrie

Jechali do Buckly wąską, lokalną szosą prowadzącą wzdłuż wybrzeża. Nie mogli oczekiwać niczego więcej poza zimowym pejzażem - ośnieżonymi pagórkami, szarym niebem i chmurami gnanyymi mroźnym wiatrem z północy. Akurat znaleźli się na szczycie niskiego wzgórza, skąd było widać wąską zatokę morską z laskiem iglastym po przeciwnej stronie i zbiorowiskiem białych domków ponad zrujnowanym, nie używanym od dawna molem. Carrie jeszcze nigdy nie przejeżdżała tą drogą.

- Jak się nazywa ta zatoka? - spytała.

- Loch Fhada. Tu jest siedlisko ptaków.

Skęcili na łuku szosy biegnącej wzdłuż brzegu. Plaża była tu kamienista i raczej odstręczająca. Morze wchodziło właśnie w fazę przypływu, tocząc wody szare jak zimowe niebo i nakrapiane strzępkami pienistych grzyw. Na oddalonej ławicy piaskowej odpoczywało małe stadko fok, a od strony wschodniej nadleciał klucz kaczek i wylądował na jeziorzku powstałym wskutek zalania wodami przypływu.

Na drugim końcu zatoki droga biegła przez most przerzucony nad wodą, za którym widniała dolina porośnięta krzewami i paprocią, otoczona wzgórzami. Z głównej szosy skęcili na północ, gdzie zaczynały się tereny rolnicze - śnieg plamiły bryzgi błota wyrzuconego spod kół traktorów i ciężarówek, owce stały w zagrodach z niskich kamiennych murków, a z kominów domostw unosił się dym woniejący torfem. Na przełaj przez pole toczył się ciągnik z przyczepką załadowaną sianem, a z którychś drzwi wychyliła się kobieta, aby sypnąć okruchy gęsiom. Podczas dalszej jazdy minęli samotnego mężczyznę, idącego pieszo z długą laską i owczarkiem u nogi. Widząc przejeżdżających, zatrzymał się, aby ich przepuścić, i pozdrowił ich gestem

- Wygląda to jak z obrazu Breughela - zauważyła Carrie.

Przypomniała sobie, jak wyglądały tereny rolnicze na południu Anglii - przez cały rok pełne zieleni i krzewów. U jej ojca w Konwalii krowy przez całą zimę korzystały z pastwiska.

- Nie mogę sobie wyobrazić, jak można gospodarować w takim klimacie - dziwiła się. - To raczej wygląda na walkę o przetrwanie.

- Tutejsi ludzie są przyzwyczajeni do takiej pogody, bo zimy zawsze są tu ostre, ale i naród twardszy i bardziej zahartowany - tłumaczył Sam.

- Chyba nie mają innego wyjścia.

Jechała z Samem, aby zwiedzić zakłady wełniane, w których miał pracować. Teraz żałowała, iż wyraziła takie życzenie, ale skąd miała wiedzieć, że on z takim entuzjazmem na to przystanie? Zresztą wyszła z tą propozycją, zanim nastąpiły późniejsze wydarzenia, a dziś rano nie wypadało już odmówić.

Było już za późno, aby wycofać słowa wypowiedziane pod

wpływem emocji, nagły przypływ szczerości, prawdę tak starannie ukrywaną, a niespodziewanie ujawnioną. Wiedziała dokładnie, co spowodowało, że nagle otworzyła serce przed Samem. Dokonała tego specyficzna atmosfera Corrydale.

Skrzący się w słońcu śnieg, zapach sosen, błękit nieba, panorama gór otaczających zatokę, ciepło zimowego słońca miło przenikające przez jej kurtkę, skrzyp śniegu pod stopami i kryształicznie czyste powietrze - to wszystko przypomniało jej Austrię. A jeśli Austria, to Oberbeuren i nierozdzielnie złączona z tym miejscem postać Andreasa. Złudzenie było na tyle silne, że jakby słyszała jego głos nabrzmiały wesołością i prawie czuła cytrynowy zapach jego wody po goleniu, nieodłącznie towarzyszący ich spacerom, pieszczotom i układaniu planów na przyszłość. Carrie jednak doskonale zdawała sobie sprawę, że wszystkie te sensacje są jedynie wytworami jej wyobraźni. Przecież Andreas odszedł, wrócił do swojej Ingi i dzieci, a ją zostawił z bólem zawodu i straty, tak przemożnym, że trudno było w tych warunkach zachować rozsądek.

Sam bezwiednie przepełnił miarę nieszczęścia, opowiadając o rozpadzie swojego małżeństwa. A kiedy jeszcze użył tego okropnego słowa „porzucenie” - rzuciła się na niego z taką zaciekłością, o jaką nigdy by siebie nie podejrzewała. Ten wybuch złości w końcu roztopił się we łzach i właśnie od tych kompromitujących łez chciała uciec jak najdalej, ale Sam dogonił ją i porwał w objęcia, jakby chciał utulić zapłakane dziecko.

W powieści lub filmie w tym momencie nastąpiłoby szczęśliwe zakończenie. Po pokonaniu przeszkód kochankowie padliby sobie w ramiona, a kamera najeżdżałaby na niebo, klucz dzikich gęsi lub inny podobnie wymowny symbol. Towarzyszyłaby temu nastrojowa muzyka, przez ekran przewijałyby się nazwiska współpracowników, a widz miałby satysfakcję, że wszystko dobrze się skończyło.

Życie to jednak nie film ani powieść. Nie kończy się w momencie happy endu, tylko toczy się dalej. Uścisk Sama, który stanowił pewną formę kontaktu fizycznego, przyniósł jej niejaką ulgę, ale nie przełamał jej rezerwy. Wciąż była tą samą Carrie, która przekroczyła trzydziestkę i utraciła wielką miłość

swojego życia. Może nawet lepiej, że te przeżycia zahartowały jej serce, że stało się lodowate jak ten śnieg na dworze. Może nawet wolałaby, aby tak już zostało?

Elfrida słusznie zauważyła, że świat jest pełen żonatych facetów. Dlatego lepiej nie wiązać się z nikim uczuciowo, aby potem nie doznawać zawodu.

Zakłady wełniane McTaggartów w Buckly znajdowały się na peryferiach miasteczka. Od szosy oddzielał je kamienny mur i dwuskrzydłowa, kuta w żelazie brama, na tyle szeroka, aby przepuścić konny wóz, a od góry zwieńczona ozdobnym łukiem z jakimś heraldycznym symbolem.

Tego ranka brama stała otwarta na oścież, ukazując szeroką przestrzeń otoczoną kolistymi klombami, z których każdy był obłożony okrągłymi kamieniami. Oczywiście teraz nic tam nie rośło i wszystko leżało przysypane śniegiem. Carrie mogła się tylko domyślać, że w lecie na pewno pyszną się tu pelargonie, lobelie i obriecje posadzone przez zarząd miasta.

Śnieg był dziewiczy, nieskalany śladami stóp ludzkich ani opon, co ożfcaczało, że w tym dniu nikt inny nie odwiedzał tego miejsca. Carrie już na pierwszy rzut oka zrozumiała, dlaczego konserwator zabytków uważał ten obiekt za niezwykle cenny. Oczywiście nie brakowało typowego komina fabrycznego nad spadzistym dachem, a wokół dobudowano różne bardziej lub mniej obskurne szopy i magazyny, ale główny budynek miał wygląd zarówno efektowny, jak imponujący.

Zbudowany był z miejscowego kamienia. Fasadę miał podłużną i symetrycznie rozplanowaną, w środkowej partii zakończoną wieżą zegarową. Na wysokości pierwszego piętra znajdowało się tylko jedno okno, a pod nim główne wejście do budynku, zwieńczone wachlarzowatym okienkiem.

Na obie strony rozchodziły się dwa skrzydła, z których każde wyposażono w dwa rzędy oszklonych okien. Dach był kryty łupkiem i w wielu miejscach poprzedzielany lukarnami. Po kamiennych ścianach wił się bluszcz.

Sam podjechał pod główne wejście i oboje wysiedli z samochodu prosto w śnieg. Carrie przystanąła na chwilę, żeby się

rozejrzeć. Sam towarzyszył jej, trzymając ręce głęboko w kieszeniach kurtki.

- No i co o tym myślisz? - spytał ją po chwili.

- Wydaje mi się to bardzo ładne.

- Mówiłem ci, że nie ma mowy o zburzeniu tego.

- Spodziewałam się zobaczyć jakąś upiorną ruinę albo typową fabrykę. To wygląda raczej na dobrze prowadzoną szkołę, do pełnego efektu brakuje tylko boiska.

- Hale fabryczne znajdują się na tyłach, bliżej rzeki. Ten budynek postawiono w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym, więc jest nowszy od reszty. W założeniu miała to być wizytówka zakładu, więc zaplanowano tu biura, sklep firmowy, sale konferencyjne. Pomyślano nawet o czytelni dla pracowników, bo tak przejawiał się wiktoriański paternalizm w kierowaniu zakładem. Na pierwszym piętrze składowano produkty gotowe, a wyżej, na poddaszach, magazyny wełny. Tweedy produkowano tu od połowy osiemnastego wieku i wtedy celowo usytuowano zakład w pobliżu rzeki.

- Na oko wszystko jest we wzoRowym porządku - odparła Carrie. - Aż trudno uwierzyć, że wszystko to zalała woda.

- Tak ci się wydaje? No, to poczekaj, dopiero się zdziwisz.

Wyjął z kieszeni potężny klucz i wsadził go w mosiężny zamek drzwi frontowych. Otworzył je i usunął się na bok, przepuszczając Carrie przodem. Weszła do wysoko sklepionego, kwadratowego hallu i tam dopiero ujrzała obraz zniszczenia.

Pomieszczenie było puste, tylko na wysokości około metra pięćdziesięciu odznaczał się ślad, do jakiego poziomu sięgały wody powodziowe. Nad tą linią zachował się wzór na tapecie, natomiast poniżej - papier rozmókł i odchodził płatami. To samo działo się z podłogą - deski zbutwiały i popękały, ziały w nich dziury, a ponad wszystkim unosił się wszechobecny odór wilgoci i pleśni.

- Tu znajdowały się pomieszczenia recepcyjne, gdzie przyjmowano gości lub nowych klientów, aby zrobić dobre wrażenie - wyjaśniał Sam. - Pewnie przedtem stały tu wytworne meble, leżały dywany i wisały portrety przodków rodziny McTaggartów. Zachował się stiukowy gzyms, natomiast wszystkie

inne rzeczy powódź tak zniszczyła, że nadawały się tylko do wyrzucenia.

- Jak długo to trwało, zanim woda opadła?

- Około tygodnia. SpRowadzono dmuchawy, aby jak najszybciej osuszyć, co się da, ale było już za późno na ratunek.

- Czy ta rzeka już kiedyś przedtem wylała?

- Raz, mniej więcej pięćdziesiąt lat temu. Po tamtej powodzi zainstalowano tamę i służę do kontrolowania poziomu wody, ale ostatnio opady były tak intensywne, że rzeka po prostu wystąpiła z brzegów.

- Wprost trudno to sobie wyobrazić!

- Najlepiej zobacz sama, tylko patrz pod nogi, żeby się podłoga pod tobą nie zapadła.

W tylnej części hallu znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Sam otworzył je i Carrie w ślad za nim przeszła do drugiego pomieszczenia. Miała wrażenie, jakby z pokoiów przeszła do oficyn dla służby. Po drugiej stronie drzwi znajdowała się bowiem przestronna hala o kamiennej posadzce, z przeszklonym dachem, pusta i niemiłosiernie zimna. Tu i ówdzie przetrwały pozostałości świadczące o rodzaju pRowadzonej tu produkcji, na przykład rAmy po krosnach, a w drugim końcu pomieszczenia drewniane schodki pRowadzące na galerię. Całość porażała martwością i pustką.

- Co tu było? - zadała pytanie Carrie. Jej głos odbił się echem od gołych, poplamionych ścian.

- Tkalnia. Fergus Skinner akurat wtedy tu pracował i opowiedział mi, co się działo. Tamtej nocy wszyscy haRowali do jedenastej, bo nawet kiedy woda zaczęła wdzierać się do środka, jeszcze liczyli, że fala powodziowa opadnie. Jednak nic z tego nie wyszło, więc przez resztę nocy próbowali wyrwać z podłogi, co się dało. Ocalały przedzarki, czyszczarki i drapariki, ale największe straty przyniosło zniszczenie gotowych wyrobów, całych partii zamówionego towaru, już spakowanych i gotowych do wysyłki. To właśnie ostatecznie zrujnowało McTaggartów.

- Czy na parterze znajdowały się biura?

- Niestety, tak. Fergus Skinner próbował przedostać się tam w bród, aby zobaczyć, czy nie da się czegoś uratować, ale woda

już wtedy sięgała do pasa. Zalała komputery, a listy kredytowe pływały luzem po całej hali.

- Co stało się potem z pracownikami?

- Chwilowo wszyscy zostali zwolnieni, bo nie było innego wyjścia. Gdy tylko wody opadły, około stu ludzi wróciło, aby ratować, co się jeszcze da. Niestety, połowa urządzeń nadawała się tylko na złom, szczególnie tych najnowocześniejszych i najdroższych, o bardziej skomplikowanej technologii, jak na przykład niedawno zainstalowane niemieckie automatyczne krosna. Ocalały staroświeckie, toporne maszyny o prostszej konstrukcji, na przykład krosna, które kupiono już używane, czterdzieści czy pięćdziesiąt lat temu. Inżynierom udało się rozebrać gręplarkę na części, oczyścić je, zanim wdała się rdza, i złożyć z powrotem. W magazynach zachowało się kilka maszyn sprowadzonych z Włoch, które teraz chcemy odesłać tam do remontu i reaktywacji...

Carrie słuchała go uważnie, zafascynowana treścią jego relacji, ale w którymś momencie zaczęła odczuwać zimno. Chłód przenikał nawet przez grube podeszwy jej butów, więc bezwiednie zadrżała. Nie uszło to uwagi Sama, który od razu poczuł wyrzuty sumienia.

- Och, przepraszam cię, Carrie. Tak się rozgadałem, że zapomniałem o całym świecie. Może już masz dość i chciałabyś stąd wyjść?

- Nie, chce zobaczyć wszystko i dowiedzieć się, co masz zamiar z tym dalej robić. To się w głowie nie mieści, jak można podjąć się czegoś, co jest prawie niemożliwe!

- Nie ma rzeczy niemożliwych.

- W każdym razie wzięłeś na siebie ogromną odpowiedzialność...

- Tak, ale nie sam. Stoi za mną potężny koncern, dysponujący pokaźnym kapitałem, a to spora różnica.

- Ciekawe, dlaczego właśnie tobie powierzono to zadanie.

Sam szeroko się uśmiechnął, przez co zyskał nie tylko bardziej chłopięcy wygląd, ale także większą pewność siebie.

- Może dlatego, że pochodzę z Yorkshire, a w Yorkshire powiadają, że gdzie gnój, tam i pieniądze. Chodźmy już, to pokazę ci resztę, zanim całkiem zamarznie.

Zanim zakończyli zwiedzanie zakładu, Carrie zdążyła już porządnie zmarznąć. Kiedy zAMYkał za sobą ostatnie drzwi, zauważył, że czeka na niego skulona, szczelnie owinięta w płaszcz, z rękami w kieszeniach.

- Oj, chyba zmarzłaś na kość! - zwrócił uwagę.
- I owszem.
- Tak mi przykro... Nie powinienem cię tak długo przetrzymywać.
- Kiedy to było bardzo ciekawe, tylko nogi mi zmarzły.
- Mam nadzieję, że cię nie zanudziłem.
- Przeciwnie, raczej zaciekawileś.

Sam spojrział na zegarek.

- MAMY już wpół do dwunastej. Co robimy: wracAMY od razu do Creagan, czy wstępujemy gdzieś na drinka? Sądząc po tobie, najlepiej zrobiłaby ci whisky Mac.

- Gorąca kawa da ten sam efekt.
- Wszystko jedno, wsiadAMY do wozu i jedziemy się rozgrzać.

Wyjechali z fabrycznego podwórza i za efektowną bramą skręcili w prawo, aby wjechać do miasteczka. Trzeba było przebyć labirynt krętych uliczek i przeciąć plac, na którym stał pomnik Bohaterów Wojny. Nie panował tam zbyt duży ruch, ale w witrynach sklepów widniały świąteczne dekoracje. Za mostem przerzuconym nad korytem rzeki, która poprzednio wylała, Sam zaparkował samochód przed dość ponurym lokalem z wypisanym ozdobnymi, złotymi literami szyldem: „Pod Książęcymi Sztandarami”. Carrie przyglądała się temu bez zbytniego entuzjazmu.

- Na pewno w Buckly są atrakcyjniejsze miejsca, ale ja znam tylko to - usprawiedliwiał się Sam. - Zresztą ta knajpa też ma swój urok.

- Jakoś nic tu nie zapowiada szampańskiej zabawy.
- Będzie taka, jaką zechcemy, żeby była.

Wysiedli z samochodu i Sam poszedł przodem, otwierając drzwi, zza których uderzyła fala ciepła i zapachu piwa. Carrie dyskretnie wśliznęła się do ciemnego i obskurnego, ale dobrze ogrzanego wnętrza. W palenisku staroświeckiego kominka żarzyły się bryły węgla, a nad jego gzymsem wisiała ogromna,

wypchana ryba w szklanej gablocie. Na małych, chwiejących się stolikach stały podstawki pod kufle i popielniczki. Jedynymi klientami lokalu w chwili obecnej byli dwaj starsi panowie. Za bufetem siedział właściciel zapatrzony w czarno-biały telewizor z maksymalnie przyciszonym dźwiękiem. Inne dźwięki dochodziły od tykającego zegara i syczących brył węgla, staczających się w płomienie. Carrie najchętniej obróciłaby się na pięcie i wyszła stąd.

Jednak Sam miał zupełnie inne plany.

- Siadaj tu, przy ogniu - zarządził donośnym głosem. - Oczywiście możesz napić się kawy, ale radzę ci, spróbuj maca. To najbardziej rozgrzewający napój na świecie.

Rzeczywiście, zabrzmiało to bardziej zachęcająco niż zwykła kawa!

- No dobrze - zgodziła się.

Usiadła przy stoliku, rozpięła płaszcz i zdjęła rękawiczki, grzejąc dłonie przy kominku. Sam tymczasem podszedł do baru, gdzie barman przyjął jego zamówienie, odrywając się od telewizora. Oczywiście od razu wdał się z nim w rozmowę, jak z każdym bywalcem barów, ścisząc głos, jakby powierzali sobie jakieś tajemnice.

Carrie zdjęła futrzaną czapkę i przeczesła włosy palcami. Napotkała przy tym spojrzenie mężczyzny siedzącego pod oknem. W jego załzawionych oczach wyczytała raczej dezaprobatę, więc domyśliła się, że kobiety nieczęsto bywały w tym lokalu. Próbowała ułagodzić starszego pana uśmiechem, ten jednak tylko marniał sztucznymi szczękami i na powrót wsadził nos w kufel.

Sam nadal dyskutował z barmanem, siedząc w niedbałej pozycji stałego bywalca, z nogą opartą na mosiężnej poręczy, a łokciem na bufecie. Barman powoli, w trakcie rozmowy, realizował zamówienie Sama, coraz to rzucając okiem na ekran telewizora.

Carrie odchyliła się do tyłu na oparcie krzesła, wyciągnęła nogi przed siebie i przyglądała się mężczyznom pochłoniętym rozmową. Doszła właśnie do wniosku, że dziś poznała Sama z zupełnie innej strony. Człowiek, który zjawił się nagle, nie wiadomo skąd, jakby przywiał go wiatr - bez wysiłku zrosł się

z tą małą, przypadkowo dobraną społecznością, w której się znalazł, jakby bywał tu często.

Z własnej woli, bez namowy, spełniał prozaiczne, codzienne obowiązki domowe, takie jak rąbanie drewna, przynoszenie węgla, wyprowadzanie psa czy porcjowanie pieczonego bażanta. Podjął się nawet wypatroszenia łososia, którego Elfrida, tknięta nagłym impulsem, zakupiła u handlarza sprzedającego świeże ryby z samochodu. Bez szemrania odgarniał śnieg, pchał wózki z zakupami w supermarkecie, zaopatrzył piwniczkę Oskara w wino i przywiózł z majątku choinkę. Mało tego - zainstalował na niej wiecznie psujące się, a teraz już zreperowane lampki, za co Oskar był mu szczególnie wdzięczny.

Z drugiej strony okazał się pomocny, kiedy Elfrida zdecydowała się na sprzedaż swojego pamiątkowego obrazu. Wytzasnął wtedy nie wiadomo skąd, jak królika z kapelusza, sir Jamesa Erskine'a-Earle'a. Najbardziej też wziął sobie do serca fakt, że obraz okazał się falsyfikatem, a związane z nim plany spełzły na niczym, choć nie był tu przecież niczemu winien.

Trudno byłoby go nie lubić! Z Oskarem od razu przypadli sobie do serca, mimo dzielącej ich różnicy wieku. Odkryli też, że mają wiele wspólnych tematów do rozmowy, gdyż Oskar chętnie wspominał swoje lata dziecińne, kiedy przyjeżdżał na wakacje do babci w Corrydale. Zdażył wtedy dobrze poznać nie tylko miejscowych ludzi, ale w ogóle same te strony, więc udzielił Samowi wielu cennych informacji, nawet anegdotycznych, dotyczących regionu, w którym zamierzał żyć i pracować.

Oskar dobrze się czuł w towarzystwie innego mężczyzny, chociaż obcego, z którym jednak od razu się zaprzyjaźnił. Zaimponował mu przebieg jego kariery zawodowej, dzieciństwo w Yorkshire, lata spędzone w Londynie i Nowym Jorku, a teraz podjęcie przez niego wyzwania, jakim była próba postawienia na nogi zrujnowanego przedsiębiorstwa. Pamiętał dawną tkalnię McTaggartów i schodzące z ich krosien zgrzebne tweedy, więc tym bardziej podziwiał ambitne plany Sturrocką i Swinfielda, zakładające unowocześnienie produkcji, rozszerzenie oferty asortymentowej i przekwalifikowanie pracowników, którzy zawsze stanowili najmocniejszy atut firmy. Od czasu do

czasu obaj panowie wymykali się nawet do klubu golfowego albo do baru na kieliszczyk!

Elfrida również była oczarowana niespodziewanym gościem, ale ona zawsze miała słabość do przystojnych panów, szczególnie takich, którzy potrafili śmiać się z jej niezbyt dowcipnych powiedzonek i odpowiednio dobierać proporcje koktajlu Dry Martini. Natomiast Lucy któregoś wieczoru zwierzyła się Carrie, kiedy ta przyszła do jej pokoju przed zaśnięciem, że Sam przypomina jej Mela Gibsona.

- Podoba ci się, co? - podpytywała rozbawiona Carrie.

- Jeszcze jak! On jest naprawdę super. I taki na luzie! Zawsze krępowalam się facetów, bo przypominali mi ojców innych dziewczyn, ale Sam jest jak taki fajny, równy wujek albo nasz stary kumpel.

Lucy utrafiła w sedno, bo Sam właśnie taki był. Dla Carrie mogłoby nawet tak zostać, gdyby nie wydarzenia dnia wczorajszego i dzisiejszego przedpołudnia.

Właściwie nic takiego się nie zdarzyło. Tyle tylko, że kiedy szła za nim przez opustoszałe hale fabryczne, magazyny i farbiarnie - nagle jakby zobaczyła drugie wcielenie Sama. Kiedy opisywał jej zniszczenia wywołane powodzią i rozwodził się nad planami na przyszłość, przytaczał liczby, ceny, wskaźniki, od których kręciło jej się w głowie - stawał się kimś zupełnie innym, pewnym siebie fachowcem, człowiekiem na stanowisku. Raz czy drugi spróbował objaśnić jej jakiś proces technologiczny przedzenia czy tkania - prawie nic nie rozumiała, jakby mówił w obcym języku. On czuł się w swoim żywiole, a ona wpadła w kompleks niższości. Raptem gdzieś się podziął przemiły przyjaciel domu i dusza towarzystwa - pojawił się biznesmen, dyrektor, ktoś, z kim należało się liczyć, a broń Boże wejść mu w drogę!

W końcu wrócił do stolika, niosąc drinki i dwie torebki orzeszków. Postawił to wszystko na blacie i wyciągnął sobie krzesło.

- Przepraszam - usprawiedliwiał się. - Musiałem z nim porozmawiać.

- O czym?

- No, o piłce nożnej, rybach, pogodzie... Bo ja wiem, o czym jeszcze?

Dla siebie zamówił piwo, więc uniósł w górę wysoką szklanę.

- No to siup!

- Nie rozumiem tego żargonu - zgorzyła się Carrie.

- Inaczej mówiąc, zdrówko!

Carrie upiła łyczek, ale szybko odstawiła szklanę.

- Uch, ależ to mocne!

- To najlepsza rozgrzewka zimą w górach. Ewentualnie może być cherry brandy.

- A co twój rozmówca sądzi o pogodzie?

- Zapowiada się odwilż. Właśnie usłyszał w telewizji, że wiatr zmienia się na południowo-zachodni i napływa łagodniejsze powietrze.

- Czyżby miało nie być białych świąt?

- Będą białe i mokre zamiast białych i mroźnych. No i wreszcie oczyści się szosa do Inverness.

- Czy to oznacza, że chcesz nas opuścić?

- Nie, obiecałem zostać na święta, więc zostanę, zresztą i tak nie miałbym do kogo pojechać. Natomiast w drugi dzień będę już musiał spakować manatki. - Uśmiechnął się kwaśno. - Czuję się trochę, jakbym po wakacjach musiał wracać do szkoły.

- Nie martw się, bo na razie zapowiada się mnóstwo atrakcji. Na początek przyjęcie Elfridy...

- Choćby dlatego muszę tu zostać, bo obiecałem, że wymieszam dry martini.

- Tylko nie rób za mocnego, bo nie chcielibyśmy, żeby ktoś się upił. Wyobrażasz sobie na przykład Artura Sneada tańczącego szkockie tańce z lady Erskine-Earle?

- To rzeczywiście byłoby straszne.

- A kiedy dostaniesz się do Inverness, czy zatrzymasz się tam na dłużej?

- Nie, bo w przyszłym tygodniu muszę już być w Londynie. David Swinfield zarządził zebranie załogi na dwa dni przed Nowym Rokiem. Potem pewnie wyślą mnie do Szwajcarii, tak że nie wrócę do kraju przed dwunastym stycznia.

- Lucy i ja wracamy do Londynu trzeciego. Zarezerwo-

wałam już poranny lot. - Na samą myśl o tym Carrie przygryzła wargę. - Wcale mi do tego nie pilno. Lucy znowu poczuje się samotna, a ja nie będę wiedziała, jak ją pocieszyć. Wyobrażam sobie, jak czułabym się na jej miejscu, wiedząc, że zostawiam za sobą wszystko, co przyjemne, a czeka powrót do nudnego mieszkania i matki, która wcale nie ucieszy się na jej widok.

- No nie, chyba nie może być aż tak źle!

- Niestety, jest.

- To przykre.

- Obawiam się, że nic na to nie poradzisz.

- Mógłbym najwyżej kupić jej szczególnie miły prezent na Gwiazdkę. Jak myślisz, co chciałyby dostać?

Rozbawił tym Carrie.

- A co, nie zrobiłeś jeszcze świątecznych zakupów?

- Chyba sama widziałaś, że nie miałem na to czasu. Jutro rano pojedę do Kingsferry i wszystko załatwię.

- Jutro wszędzie będą dzikie tłumy i kolejki.

- Jakie w takim Kingsferry mogą być tłumy? Zawsze kupowałam wszystkie prezenty w samą Wigilię na Regent Street albo Piątej Alei, tam dopiero był rejwach! Zresztą i tak nie ma już czasu, żeby zwlekać.

- Dla mnie zakupy w tłoku zawsze były koszmarem - roześmiała się Carrie. - No, ale rzeczywiście, po Nowym Jorku czy Londynie Kingsferry nie ma ci czym zaimponować. Masz silne bary, wszędzie się dopchasz.

- Ciągle jeszcze nie powiedziałaś mi, co mam kupić Lucy.

Carrie zastanowiła się nad tą kwestią.

- Może złote kolczyki, ładne, ale nie zanadto ekstrawagancie? Przecież te kółeczka są tylko tymczasowe.

- Dostała je od Rory'ego, więc nie sędzę, aby chciała coś innego na ich miejsce.

- Przynajmniej będzie wiedziała, że ma drugą parę na zmianę.

- Dobrze, zobaczę.

Na chwilę zapadła cisza, dzięki czemu z zewnątrz dobiegł warkot przejeżdżającego samochodu i pisk mewy. Aby prze-

rwac nieprzyjemne milczenie, Sam otworzył jedną paczuszkę orzeszków, wytrząsnął trochę na dłoń i podsunął Carrie.

- Wiesz, właściwie nie przepadam za orzeszkami - wyznała szczerze.

Sam zjadł dwa, a resztę odłożył z powrotem na stół.

- Współczuję Lucy - kontynuował rozpoczęty wątek. - Żyjemy tu teraz jak na statku pasażerskim. Każdy z nas został na jakiś czas oderwany od swoich codziennych zmartwień. Zaczynam ulegać niebezpiecznym pokusom, aby tak poleniuchować na zwolnionych obrotach jeszcze co najmniej parę tygodni.

- W gruncie rzeczy pobyt tutaj był dla ciebie stratą czasu.

- Jak to stratą czasu? - najeżył się Sam.

- Przecież przyjechałeś do Creagan głównie po to, aby obejrzeć sobie dom Hughiego McLellana, z myślą o jego kupnie. A tu co? Kłapa! Masz teraz następny problem ze znalezieniem mieszkania.

- Chciałbym mieć tylko takie problemy.

- Wołałabym nie zajmować stanowiska w tej sprawie, bo z jednej strony uważam Zarząd Majątku za odpowiednie miejsce na rezydencję dla dyrektora Zakładów Wełnianych, ale dla Oskara i Elfridy byłyby to wymarzona przystań na stare lata...

- W przypadku Elfridy nie można mówić o starości. Dla mnie ona jest w kwiecie wieku. Natomiast w moim przypadku wszystko sprowadza się do kwestii pieniędzy, ale na pewno nie był to dla mnie czas stracony.

Carrie sięgnęła po szklanke i pociągnęła następny łyk rozgrzewającego i cudownie odprężającego trunku. Odstawiła naczynie na odrapany blat stolika i podniosła wzrok, kierując go prosto na twarz Sama. Słowa „nie był to dla mnie czas stracony” cudownie sprawiły, że nagle poczuła się, jakby zobaczyła Sama po raz pierwszy w życiu. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że poznała się na nim za późno, bo on wkrótce wyjedzie i nie zobaczy go więcej.

Ciepło ognia albo działanie whisky spowodowały, że nagle jakby coś w niej się przełamało. Wyobraziła sobie, że w podobnej sytuacji muszą znajdować się ofiary ciężkich wypadków, podłączone do aparatury reanimacyjnej. Nieraz przecież bliscy

takiego nieprzytomnego pacjenta siedzą przy nim, trzymając go za rękę i wypatrując jakiegokolwiek znaku życia. Wtedy byle drgnięcie powieki lub ruch głową daje nadzieję na powrót do zdRowia.

Wczoraj w Corrydale, po jej wybuchu złości zakończonym kompromitującym płaczem, Sam przyciągnął ją do siebie i trzymał w ramionach, dopóki nie przeszedł jej ten atak. Wtedy jednak nie czuła do niego żadnych ciepłych uczuć, a jego bliskość nie wyzwałała w niej żadnej fizycznej reakcji poza krępującą wdzięcznością i wstydem za swoje nieopanowanie.

Teraz natomiast czuła u siebie wyraźne objawy powrotu do normalności. Chłód, którym się opancerzyła, zaczął ustępować, a jego miejsce zajęło pragnienie, aby znów kochać i być kochaną...

- Carrie...
- Słucham?
- Możemy porozmawiać?
- O czym?
- O nas, to znaczy o mnie i o tobie.

Carrie nie reagowała, więc ośmielony jej milczeniem rozwinął ten temat.

- Wiesz, mam wrażenie, że spotkaliśmy się w nieodpowiednim momencie. Każde z nas jest w tej chwili jakby zawieszony w próżni. Przypuszczam, że oboje potrzebujemy czasu, żeby uporządkować nasze sprawy. No, i żadne z nas nie jest zupełnie wolne. Ty wzięłaś na siebie odpowiedzialność za Lucy, a ja wciąż jestem mężem Debory...

Obserwował mimikę jej twarzy z powagą i niepokojem, czekając na reakcję. Najwyraźniej jej odpowiedź miała dla niego duże znaczenie.

- Co właściwie chcesz mi przez to powiedzieć, Samie? - spytała w końcu.

- Tylko to, że powinniśmy dać sobie trochę czasu. Ty teraz wrócisz do Londynu, wpRowadzisz się z powrotem do dawnego domu i zaczniesz awansować w pracy. Ja tymczasem skontaktuję się z adwokatem Debory w Nowym Jorku. Jestem dziwnie pewien, że wszczęła już kroki rozwodowe. Nie mam pojęcia, jak długo to może trwać, ale ponieważ nie mamy dzieci, proces

nie powinien się przewlekać. W grę może wchodzić najwyżej podział majątku, takiego jak mieszkanie, samochód i pieniądze.

- Czy naprawdę chcesz tego rozwodu?

- Właściwie to nie - wyznał z brutalną szczerością. - Tak samo jak nie życzyłbym sobie amputacji żadnej części ciała, ale zanim zacznę myśleć o przyszłości, muszę rozprawić się z przeszłością. Inaczej mówiąc, pozbyć się balastu.

- A czy Deborze nie stanie się krzywda?

- Mam nadzieję, że nie i że jeszcze będzie w życiu szczęśliwa. Ma na to wszelkie szanse, a oprócz tego zaplecze w kochającej rodzinie.

- Ale żeby to wszystko załatwić, będziesz musiał jeszcze raz polecieć do Nowego Jorku?

- Pewnie tak.

- Nie będzie ci przykro?

- Zawsze jest przykro, kiedy to, co zaczynało się dobrze, kończy się źle, ale to już skończone, a z czasem i ból minie.

- Rozumiem, co masz na myśli - przyznała Carrie. Sam więc kontynuował zaczęłą myśl.

- Ja będę mieszkał i pracował w Buckly, a ty w Londynie. Rozdziela nas setki mil. Na pewno jednak będę często latał do Londynu w celach służbowych, na przykład na różne konferencje. Może więc będziemy mogli od czasu do czasu się spotkać, wybrać się na kolację czy na koncert... Zacząć wszystko od początku, tak jakby to, co było przedtem, w ogóle się nie zdarzyło.

Mieliby więc razem, we dwoje, zacząć wszystko od początku?

- No, nie chciałabym wymazać z pamięci tego, co przeżyliśmy tutaj! - sprostowała Carrie.

- Cieszę się, bo te dni były niezwykle, jakby wyrwane z innego świata, prawda? Kiedy będę musiał stąd wyjechać, uschnę z tęsknoty!

Zwrócił uwagę na rękę Carrie spoczywającą na blacie stolika. Płomień kominka odbijał się akurat w szlifowanych ściankach brylantu i szafirów w jej pierścionku.

- Od kogo dostałaś ten pierścionek? - spytał, wcale nie z ciekawości.

- Od Andreasa.
- Szkoda, bo miałem nadzieję, że zapisała ci go w spadku stara ciotka.
- Niestety, kupił mi go Andreas, kiedy byliśmy razem w Monachium. Zobaczył go na wystawie sklepu z antykami, wszedł do środka i zwyczajnie kupił.
- Musisz stale go nosić, bo ślicznie wygląda na twojej ręce. Powiedz, jak mam cię odnaleźć w Londynie.
- Moje biuro podróży mieści się na Bruton Street. Znajdziesz je w książce telefonicznej. A w lutym wprowadzę się z powrotem na Ranfurly Road.
- Nie byłem tam od czasu, kiedy sprzedawałem dom na Eel Park i przeniósłem się do Nowego Jorku. Może zafunduję sobie „powrót do korzeni”, a ty pokażesz mi, gdzie mieszkasz.
- Przyjedź koniecznie, to poczęstuję cię dobrym obiadem.
- Ale na razie niczego sobie nie obiecujemy, dobrze?
- Dobrze, żadnych zobowiązań.
- I na razie niech tak zostanie?
- Zgoda, niech tak zostanie.

Jakby chcąc przypieczętować zawarte porozumienie, Sam nakrył dłonią leżącą na stole rękę Carrie, ona zaś odwróciła swoją i objęła palcami jego nadgarstek. Oboje wypili już swoje drinki, pozostawiając niemal nietknięte orzeszki. Oznaczało to zapewne, że już czas się zbierać, ale jakoś nie spieszyli się do wyjścia. Pozostawali w tej samej pozycji, choć barman, wycierając ścierką szklanki, przyglądał się im ze zdziwieniem. Także dwaj starsi panowie siedzieli nieruchomo jak pogażone w śnie zimowym żółwie, nie zdając sobie sprawy, że tymczasem cały świat zdążył już się zmienić.

Sam

O wpół do siódmej wieczorem Sam jeszcze raz wybrał się do baru. Tym razem jednak był to bar w Creagan, a towarzyszył mu Oskar.

- Chodźmy gdzieś na jednego! - zaproponował Oskar, kiedy zostali sami w salonie.

Carrie i Elfrida były zajęte w kuchni, przygotowując zarówno kolację na dziś, jak potrawy na jutrzejsze przyjęcie Elfridy i na uroczysty posiłek świąteczny. Zaraz po obiedzie zjawił się Rory Kennedy, przynosząc całe naręcze gałęzi ostrokrzewu oblepionych jagodami. Razem z Lucy zabrali się do dekoRowania nimi domu i wciąż jeszcze nie mogli się z tym uporać. Pozrywali z ogrodowego muru pędy bluszczu i zawzięli się, aby owinać nimi na całej długości poręcze schodów. Zapowiadało się na dłuższą robotę, więc Lucy zaprosiła Rory'ego, aby został na kolacji.

Bar w Creagan miał o wiele sympatyczniejszy wystrój niż gospoda „Pod Książęcymi Sztandarami” w Buckly, chociaż dla Sama tamten smętny lokal miał już na zawsze kojarzyć się z miłymi wspomnieniami. Tu wyczuwało się już świąteczną atmosferę. Pojawiły się też nowe twarze - na przykład to hałaśliwe towarzystwo w kącie sali, dobrze już podpici młodzieńcy w snobistycznie znoszonych tweedach i modnie ubrane panienki mówiące z londyńskim akcentem. Przypuszczalnie przyjechali tu z wynajętego na święta domku myśliwskiego, aby uciec przed rodziną. Sam zdążył już zapomnieć, że niedawno jeszcze sam zachowywał się podobnie, i teraz narzekał na niepotrzebny hałas.

W każdym razie lokal kipiał życiem. Na kominkach płonął ogień, a całą salę zdobiły okolicznościowe dekoracje - tektuRowe sylwetki ostrokrzewem i obsypanych brokatem.

Zajął trochę czasu, zanim dopchali się do bufetu i zwrócili na siebie uwagę zabieganego barmana. W końcu Oskarowi się to udało, więc zamówił whisky - z lodem dla Sama i z wodą dla siebie. Po krótkich poszukiwaniach znaleźli wolny stolik gdzieś w ciemnym kącie, z dala od ognia, ale w pomieszczeniu i tak było ciepło.

- Zdrówko! - zaanonsował Oskar. Umoczył usta w szklance i od razu przeszedł do rzeczy. - Tu przynajmniej będziemy mogli swobodnie porozmawiać. W domu raz po raz albo dzwo-

ni telefon, albo ktoś przychodzi zawracać głowę. Tu choć nikt nam nie przeszkadza.

- To brzmi groźnie! - zaniepokoił się Sam.

- Skąd, nie dzieje się nic groźnego, tylko wynikły pewne komplikacje, dlatego chciałem pogadać z tobą na osobności.

- A co takiego się stało?

- Przede wszystkim zmarł major Billicliffe. Może coś już o nim słyszałeś?

- To ten stary rządcą, którego zawiozłeś do szpitala?

- Tak, ten.

- Bardzo mi przykro.

- Wszystkim nam jest przykro, choć z różnych powodów. W każdym razie staruszek wyciągnął nogi. Podejrzewam, że musiał już długo choRować, dłużej, niż myśleliśmy. Rzecz w tym, że zapisał mi w spadku swój dom w Corrydale.

- Ależ to cudownie!

- Nie byłbym taki pewien. Ten dom jest w opłakanym stanie.

- Czy ja wiem? Widzieliśmy go z Carrie, kiedy wybraliśmy się po tę choinkę. Był przysypany śniegiem i na pewno zaniedbany, ale wydaje mi się, że to całkiem przyzwoita posesja. Przede wszystkim jest stamtąd piękny widok na zatokę ukrytą za drzewami.

- Oprócz domu zapisał mi jeszcze swój samochód, psa labradora i pewną sumę pieniędzy... - Oskar ciągnął tę wyliczankę tonem człowieka, który chciałby wyrzucić z siebie wszystko, co leży mu na sercu.

- No, nie cieszyłbym się zbyt z tego wozu - Sam zrobił smętną minę. - Wątpię, czy jeszcze uda się go uruchomić. Natomiast co do psa... Pewnie to ten, którego widzieliśmy u Charliego Millera? Może da się go namówić, aby go zatrzymał?

- Też tak myślę.

- W każdym razie to wspianiała wiadomość. I co zrobisz z tym domkiem? Sprzedasz go czy będziesz wynajmował letnikom? W ten sposób mógłbyś nieźle zarobić.

- Pewnie tak - zgodził się Oskar. - Tylko, widzisz, może to brzmi trochę dziwnie, ale pomyśleliśmy sobie z Elfną, że moglibyśmy tam zamieszkać. Oczywiście wszystko zależy od tego, czy ten dom spodoba się Elfridzie, kiedy go dokładnie

obejrzy. Ona jeszcze nie była w Corrydale, a ja też trzymałem się od tego miejsca z daleka, bo kiedyś byłem tu taki szczęśliwy, że bałem się te wspomnienia popsuć.

- Doskonale cię rozumiem.

- Ściślej mówiąc, raz zajrzeliśmy tutaj, kiedy musieliśmy odebrać klucz od Billicliffe'a. Wtedy jednak ten dom zrobił na nas wybitnie niekorzystne wrażenie, ale byliśmy zmęczeni, było już ciemno i zimno, a niechlujstwo Billicliffe'a tak nas odstręczało, że nie mogliśmy się doczekać, kiedy stamtąd wyjdziemy. Jeszcze gorzej wyglądało to, kiedy się rozchoRował i leżał w łóżku. Dlatego zanim podejmiemy jakąkolwiek decyzję, musimy się dobrze zastanowić i ocenić sytuację.

- Naprawdę chciałbyś tam mieszkać? - zagadnął Sam. - To całkiem dobry punkt.

- Owszem, chociaż trochę w bok od szosy, ale sąsiedztwo dobre. Jest stamtąd blisko do dawnego dworskiego gospodarstwa, obok mieszkają MilleRowie i ta Rose, która była pokojówką mojej babci... Powstało tam właściwie całe osiedle. W ten dom na pewno trzeba by sporo zainwestować, ale pomysł wart jest rozważenia.

- Rzeczywiście, dach tam się nie zapadł, okna nie są wybite... Nie wiesz, jaką to ma powierzchnię?

- Wszystkie domy pracowników majątku były budowane według tego samego planu. Dwa pokoje na górze i dwa na dole, a po wojnie dobudowano kuchnie i łazienki.

- Czy tyle przestrzeni wystarczy na was dwoje?

- Myślę, że tak, zwłaszcza że nie mamy wielu ruchomości.

- A co wtedy zrobicie z budynkiem Zarządu Majątku?

- O tym właśnie chciałbym z tobą pomówić. Gdybyśmy z Elfridą przenieśli się do Corrydale, chcielibyśmy odsprzedać ci nasz udział. Mógłbyś wtedy skontaktować się z Hughiem McLellanem i powiedzieć mu, że spłacisz nas obydwóch.

- Jeśli przeniesiecie się do Corrydale...

- Tak.

- A jeśli Elfrida postanowi inaczej? Jeśli po obejrzeniu obiektu zmienicie zdanie?

- Wtedy trzeba będzie jeszcze raz przedyskutować całą sprawę, ale jakoś nie wierzę, żeby mogło do tego dojść. Oczy-

wiecie doprowadzenie tego do stanu używalności będzie trochę kosztować, choćby samo malowanie i wymiana okien, ale jeśli za swój udział w Zarządzie Majątku wezmę siedemdziesiąt pięć tysięcy...

- Jakże znowu siedemdziesiąt pięć tysięcy?

- No, przecież sam wymieniłeś taką sumę.

- Nie ja, tylko Hughie, a to, co mi w tej chwili powiedziałeś, całkowicie zmienia postać rzeczy.

- Nie rozumiem...

- Myślę, że twój kuzyn Hughie pilnie potrzebuje gotówki. To dlatego tak mi wciskał ten klucz i chciał za wszelką cenę uniknąć prowizji dla pośrednika. Osobiście uważam, że ten dom jest wart o wiele więcej. Radzę ci zaangażować biegłego, obiektywnie go wycenić i załatwić czynności notarialne. Sam chętnie dorzuciłbym jeszcze pięćdziesiąt tysięcy, a może i więcej.

- To znaczy razem dwieście tysięcy? - wyjąkał oszołomiony Oskar.

- Co najmniej. Natomiast gdybyś chciał sprzedać go na wolnym rynku...

- Nie, chciałbym sprzedać go tylko tobie.

- W drodze prywatnej umowy?

- Tak.

- Zgodnie z prawem powinienem wtedy zaoferować ci cenę znacznie wyższą od urzędowej - uśmiechnął się Sam. - Tak że całkiem dobrze na tym wyjdiesz.

- Zaskoczyłeś mnie. Po czyjej właściwie stoisz stronie?

- Twojej i Elfridy. Faktem jest, że bardzo chciałbym wejść w posiadanie tego cudownego domu, ale nie mógłbym sam sobie spojrzeć w oczy, gdybym nie załatwił tego jak należy.

- Dysponujesz taką sumą pieniędzy?

- Tak, ale nawet gdybym chwilowo tyle nie miał, zawsze mogę liczyć na firmę Sturrock i Swinfield. Praca w potężnym koncernie ma swoje zalety.

Oskar, kompletnie oszołomiony, tylko potrząsał głową. W końcu wyduśił:

- A niech mnie szlag trafi!

- Nie podniecaj się zanadto, dopóki nie obejrzysz tamtego domu dokładnie! - roześmiał się Sam.

- Elfrida uważa, że moglibyśmy pojechać tam w niedzielę rano, urządzić sobie piknik, a przy okazji zorientować się w sytuacji. Muszę tylko dowiedzieć się, kto ma klucz od tego domu. Zadzwoń do Rose, ona to wie na pewno.

- Jesteś przekonany, że powinniśmy wszyscy być przy tym? Nie boisz się, że możemy w jakiś sposób wpłynąć na waszą decyzję? Przecież musicie sami z Elfridą coś postanowić.

- To właśnie Elfrida chce, żebyś postukał w ściany i sprawdził, czy nie ma tam korników.

- Przecież nie muszę powiedzieć prawdy. A co, jeśli skłamię, że ich nie ma?

- Nie podejrzewam cię o to. - Oskar wychylił do dna swojego drinka. - Jesteś porządnym człowiekiem, Samie.

- No więc na dowód tego i aby oblać transakcję, jeszcze po jednym!

Lucy

Tu jest tak fajnie dlatego, że to, co ma się stać - zdarza się akurat wtedy, kiedy powinno. Dzisiejszy dzień był pełen niespodzianek. Wprowadzie ciągłe jest zimno jak diabli i dmie straszny wiatr z deszczem, od czego robi się jeszcze zimniej, ale jakoś pasuje to do wszystkiego, co się dzieje. Nie napadało już więcej śniegu, ale to, co leży, i tak wystarczy, żeby na ulicach robiła się albo chlapa^ albo gołoledź. Po zakupy trzeba chodzić środkiem jezdni.

Dzisiaj rano pakowałam swoje prezenty pod choinkę, ale skończyła mi się wstążka, więc poszłam dokupić, a przy okazji zabrałam Horacego na spacer. Byliśmy aż na plaży, ale chętnie wróciliśmy do ciepłego domu. Po południu przyszedł Rory i przyniósł masę gałęzi ostrokrzewu z jagódkami. Nazrywał ich w hotelowym parku, bo przecież hotel i tak jest zamknięty. Razem nawykaliśmy gałęzi za obrazy (tam, gdzie jakieś były), a resztę ustawiliśmy w wielkim wazonie na podeście schodów. Narwaliśmy także bluszczu, powiązaliśmy pędy zielonym sznurkiem i oplekliśmy nimi wszystkie poręcze, od najwyższego piętra

po parter. Po liściach bluszczu łąziły takie małe chrząszczyki, ale potem gdzieś się pochowały - pewnie porobiły sobie gniazdko. Bluszcz ma bardzo ostry zapach, ale to jeszcze bardziej kojarzy się ze świętami. Zająłoby nam to masę czasu, więc Elfrida zaprosiła Rory'ego na kolację, dzięki czemu mogliśmy wszystko ładnie skończyć. Podczas gdy dekoRowaliśmy dom, Elfrida i Carrie zamknęły się w kuchni i szykowały to, co będzie do jedzenia przez najbliższe dwa dni. Na podwieczorek dostaliśmy gorące bułeczki, które upiekła Carrie.

Po szóstej kolacja jeszcze nie była gotowa, ale Oskar zaprosił Sama do baru. Zanim wrócili, dokończyliśmy przystrajania domu bluszczem i ostrokrzewem. Oskarowi bardzo się to spodobało. Sam wpadł na pomysł, że jeszcze lepiej wyglądałby długi sznur lampek owinięty wokół bluszczu. Oczywiście nie mieliśmy ich aż tylu, więc Sam obiecał, że dokupi trochę, bo jutro wybiera się do Kingsferry po zakupy. To taki mądry i dobry człowiek - potrafi pomyśleć o wszystkim!

Na kolację jedliśmy spaghetti z sosem bolońskim, a na deser szarlotkę z kremem. Po kolacji jak zwykle rozmawialiśmy, ale w którymś momencie Oskar przerwał nam i poprosił, żebyśmy teraz jego posłuchali.

Kiedy usłuchaliśmy, powiedział nam, że od dziś ma jeszcze jeden dom. Major Billicliffe, który był kiedyś rządcą Corrydale, zmarł w szpitalu w Inverness i zapisał Oskarowi cały swój majątek, w tym także mały domek. Nie byłam jeszcze w Corrydale, ale Sam i Carrie widzieli ten domek, kiedy pojechali tam po choinkę. Elfrida też go widziała, ale tylko raz, i to po ciemku.

Oskar chce teraz odsprzedać swoją połowę domu w Creagan Samowi, który bardzo chciałby go mieć. A Sam z Elfrida przeprowadziłby się do tego małego domku. Wprawdzie nie wyobrażam sobie, że mogliby mieszkać gdzie indziej niż tu, ale Elfrida twierdzi, że ten dom jest dla nich za duży. Może i rzeczywiście, bo kiedy my wyjedziemy, robi się tu strasznie pusto. Elfrida uważa, że mają z Oskarem dosyć pieniędzy, aby wyremontować domek majora Billicliffe'a, tak jak będą chcieli, a w razie czego nie będą tam sami, bo wokół pełno sąsiadów.

Oczywiście nie chcąc jeszcze nic postanawiać, dopóki nie pojedą do Corrydale i nie obejrzą wszystkiego dokładnie. Wybie-

rAmy się tam w niedzielę rano. Sam ma nas zawieźć swoim land-roverem, a na miejscu urządzimy piknik. Spytałam, czy Rory mógłby też z nami pojechać, na co Elfrida odpowiedziała: „Ależ oczywiście!” Wyjedziemy wcześniej, żeby wrócić do domu jeszcze przed zmrokiem. Jeśli szczęście nam dopisze i będzie ładna pogoda, to piknik uda się fantastycznie.

Tymczasem zrobiła się już dziesiąta wieczorem i jestem porządnie zmęczona. Mam nadzieję, że ten nowy domek wszystkim się spodoba. Może to i lepiej dla Oskara i Elfridy, żeby mieszkali na wsi. Przecież dla niego byłby to powrót w rodzinne strony, bo tu mieszkała jego babcia. Oskar jest taki dobry, że chciałabym, aby mu udało się jak najlepiej z tym domkiem. Kiedy wrócę do Londynu, będę sobie wyobrażała, jak im się mieszka.

Prezenty mam już popakowane i wyglądają naprawdę świątecznie. Położyłam je pod choinką w jadalni, gdzie leżały już jakieś paczki. Kiedy przyjrzałam się im dokładniej - poznałam, że są od Carrie dla nas wszystkich. Jak dobrze pójdzie, będzie ich tu więcej.

Przyjęcie Elfridy

Tego ranka Sam zszedł do kuchni pierwszy, bo mimo iż wybiła ósma - pozostali mieszkańcy domu jeszcze spali. Sam postawił więc czajnik na gazie, otworzył tylne drzwi i wypuścił Horacego na dwór. Zauważył przy tym, że pogoda diametralnie się zmieniła. Rację miał barman z knajpy „Pod Książęcymi Sztandarami” (albo raczej jego telewizor) - nadeszła odwilż. Mimo że było jeszcze ciemno - rano nie mroziło już chłodem, wiatr północny zmienił kierunek na zachodni, łagodnie poruszając sosnami w górnej partii ogrodu. W świetle lampy ulicznej widać było, że miejscami śnieg stopniał, odsłaniając płaty darni. Pachniało tam mchem i wilgotną ziemią.

Horacy załatwił swoje potrzeby i wrócił do Sama, który zabrał go do domu. W kuchni Sam zastał ubraną już Lucy, jak robiła sobie grzanki.

- Cześć, już wstałaś?

- Nie śpię od siódmej. Czytałam w łóżku, a wstałam dopiero wtedy, kiedy usłyszałam, że ktoś schodzi na dół. Jedziesz teraz do Kingsferry?

- Tak. Chciałabyś może pojechać ze mną? Pomogłabyś mi nieść paczki. Chcę zdążyć zrobić zakupy, zanim tłum runie na sklepy.

- Naprawdę mogłabym? Swoje prezenty już kupiłam i podłożyłam pod choinkę, ale może jeszcze coś mi wpadnie w oko. Ugotować ci jajko?

- Dziękuję, wystarczy grzanka.

Tymczasem zagotowała się woda. Sam zaparzył sobie kawę, a Lucy, stojąc przy zlewozmywaku, zjadła płatki śniadaniowe z mlekiem. Potem oboje wstawili brudne naczynia do zlewu, włożyli kurtki i wyszli przez frontowe drzwi.

Nawierzchnia szosy była mokra, ale lód ustąpił, a niebo stopniowo się rozjaśniało. Most przechodził ponad wysoką falą przypływu, a za nim widać już było łupkowoszare wody zatoki morskiej, wcinającej się na zachód pomiędzy wzgórze. Na nich jeszcze utrzymywał się śnieg i przypuszczalnie miał tam zostać do wiosny. Od strony wschodniej powierzchnię morza marszczyły lekkie fale przynoszone przez wiatr od brzegu. Po obu stronach zatoki rozciągały się pastwiska, na których stado szkockiego bydła górskiego skubało resztki trawy.

- Całkiem jak ze starego obrazu - zauważyła Lucy. - Wiesz, takiego jak te, co nieraz w dużych domach wiszą nad stołami w jadalni.

- Bardzo to wymownie opisałaś.

- Rzeczywiście chciałbyś zostać tu, w Szkocji?

- Tak, wydaje mi się, że będę się tu czuł dobrze.

- Chciałabym przyjechać tu znowu w lecie. Rory Kennedy mówi, że wtedy jest tu bardzo fajnie, bo można pływać na desce. A Tabitha dodała, że na wydmach rosną wspaniałe, dzikie kwiaty, a we wszystkich ogrodach Creagan kwitną róże.

- O tej porze roku trudno to sobie wyobrazić.

- I naprawdę chciałbyś zamieszkać w Zarządzie Majątku?

- O ile Oskar zgodzi się odsprzedać mi swoją połowę.

- To chyba zbyt duży dom jak dla jednej osoby.

- Nie muszę od razu używać wszystkich pokojów.
- Pewnie zechcesz go urządzić zupełnie inaczej, nowocześniej?

- Doprawdy nie wiem. - Przypomniał sobie mieszkanie w Nowym Jorku, które Debora kazała projektantowi wewnątrz tak przerobić, że zmieniło się nie do poznania. - Na razie podoba mi się tak, jak jest.

- Moja babcia uwielbia przemeblowywać pokoje. Salon urządziła cały w różowościach i błękitach, a wszędzie porostawiała porcelanowe cacka.

- Macie duże mieszkanie?

- Całkiem duże i jest stamtąd piękny widok na rzekę. Tylko że ja tego widoku nie mam, bo mój pokój wychodzi na podwórko studnię. - Jakby wstydzając się tego narzekania, dodała jeszcze: - Ale to jest tylko mój pokój, i bardzo go lubię!

- Dobrze jest mieć własny kąpiel.

Lucy przez chwilę nie odzywała się, a potem zaczęła z innej beczki.

- Na razie wolę nawet nie myśleć o Londynie. Dotychczas cieszyłam się przynajmniej z tego, że wracam do szkoły i koleżanek, ale teraz ani trochę mi tam nie spieszo.

- Ja też po drugim dniu świąt muszę wracać do szarej codzienności.

- Ale ty wiesz, że tu wrócisz i zostaniesz już na zawsze.

- Przecież ty też możesz jeszcze raz tu przyjechać. Zatrzymałabyś się u Elfridy i Oskara...

- Wtedy oni nie będą już mieszkać w tym domu, a w tym małym może nie być dla mnie pokoju.

- Nie przypuszczam, aby taki szczegół mógł zniechęcić Elfridę. W najgorszym razie umieści cię w łazience albo rozbije ci namiot w ogrodzie.

- W lecie to mogłoby być nawet fajnie...

Tymczasem ukazały się już przed nimi światła miejskie Kingsferry oraz wieże kościelna i ratuszowa.

- Wiesz już, co komu kuoisz? - zagadywała Lucy.

- Nie mam pomysłu - wyznał szczerze Sam. - Liczę, że mi coś podsuniesz.

Zegar na wieży ratuszowej wybił dziewiątą, gdy wjechali na

główną ulicę Kingsferry. Panował tam już ożywiony ruch - sklepy były otwarte, samochody rozbryzgiwały na boki błotnistą ciecz powstałą po stopnieniu śniegu. Mieszkańcy miasteczka kupowali zwykle o tej porze poranne gazety i bułki na śniadanie. Z zaparkowanej przy krawężniku furgonetki wyładowywano właśnie skrzynki z owocami i warzywami, pęczkami ostrokrzewu i miniaturowymi choinkami. Parking za kościołem był do połowy wypełniony, ale Sam znalazł miejsce, uiścił opłatę w parkometrze i w dalszą drogę ruszyli pieszo.

Lucy nie przepadała zbyt za zakupami. W Londynie czasem towarzyszyła matce, ale po dwóch godzinach łożenia po dusznych sklepach, zanim Nicola zdecydowała się na fason butów lub kolor szminki, zwykle zaczynało ją nudzić. Najpierw narzekała na gorąco, a potem prosiła, aby pozwolono jej wracać do domu.

Czymś zupełnie innym okazały się zakupy z Samem. Wchodzili do sklepów, podejmowali błyskawiczne decyzje, nie pytając o cenę, i zaraz wychodzili. Sam za wszystko płacił kartą kredytową, więc Lucy doszła do wniosku, że musi być oszałamiająco bogaty.

Wkrótce dźwigali już pełne reklamówki. Kaszmirowy sweter w odcieniu morskiej zieleni dla Elfridy, rękawiczki na futrze dla pani Snead... W składzie papierniczym Sam kupił dla Oskara wieczne pióro i oprawny w wytworną skórę terminarz na biurko. Przy okazji Lucy wypatrzyła w tym samym sklepie kilka rolek złotego papieru.

- Masz w co pakować prezenty? - spytała.

- Nie - przyznał.

- To może kupimy trochę tego ozdobnego papieru, wstążkę i bileciki?

- No więc wybierz takie, jakie uważasz, że będą potrzebne. W Nowym Jorku ekspedientka zawsze pyta: „Czy zapakować?“, a jeśli powiesz, że tak, wychodzi na zaplecze i przynosi prezent już zapakowany. Od lat sam tego nie robiłem, więc kiepsko mi idzie.

- Ja ci wszystko popakuję - zaofiarowała się Lucy. - Ale to, co ma być na bilecikach, już sam napiszesz.

Oddaliła się na chwilę i zaraz przyniosła sześć rolek złotego papieru, kilka paczuszek czerwonych naklejek z motywem ostrokrzewu i duży kłębek czerwono-złotej wstążki. Mieli już coraz więcej paczek i były coraz cięższe, ale Sam nie zamierzał na tym poprzestać. Dużo czasu spędzili w staroświeckim sklepie spożywczym pod wypisanym złotymi literami szyldem „Włoski Handel Kolonialny”, gdzie pachniało jak na parterze u Fortnuma i Masona. Sam wybierał tam luksusowe przystawki, jak wędzony łosoś, jajeczka przepiórcze czy cały słoik kawioru, duże pudła czekoladek Bendiksa i serek pleśniowy Stilton w glinianym garnuszku.

Sprzedawca od razu wyczuł dobrego klienta i jak stary przyjaciel gawędził z Samem, doradzając mu, jakie wybrać alkohole. Po krótkiej wymianie zdań obaj panowie zdecydowali, że najlepsze będzie dwanaście butelek wina Bordeaux, cztery butelki szampana i butelka francuskiego koniaku.

Wkrótce na ladzie nagromadziło się tego tyle, że Lucy zatroskała się, jak też zabiorą się z tym do domu, ale kupiec zapewnił, że dostarczy towar swoim samochodem. Sam podał mu więc swoje nazwisko, adres Zarządu Majątku i ponownie użył swojej karty kredytowej. Po zakończonej transakcji właściciel sklepu odprowadził ich do drzwi i wylewnie się pożegnał, życząc wesołych świąt.

- Takie zakupy są o wiele fajniejsze niż jeżdżenie wózkami po supermarkecie - uznała Lucy. - Kto nam jeszcze został? Chyba kupiłeś już prezenty dla wszystkich.

- A Carrie?

- Myślałam, że te czekoladki to dla niej.

- Mnie się wydaje, że czekoladki nie byłyby odpowiednim prezentem, a tobie?

- A gdyby coś z biżuterii? Jeśli pójdziemy tą ulicą, to kawałek dalej jest sklep jubilerski. Wiem, bo tam właśnie Rory zaprowadził mnie, abym przekłuła uszy, i kupił mi te kolczyki.

- Pokażesz mi, gdzie to jest, dobrze?

Nie doszli jeszcze do jubilera, gdy Sam wyatrzył po przeciwnej stronie ulicy niedużą galerię sztuki.

- Zajrzyjmy tam - zaproponował.

Przeszli więc na drugą stronę, lecz zanim weszli do środka,

zatrzymali się przed oknem wystawowym. Lucy nie widziała tam niczego godnego uwagi, bo na wystawie stał tylko biało-błękitny flakon ze wstawionymi weń gałązkami i mały obrazek w złotych ramkach, ustawiony na niewielkiej sztaludze. Przedstawiał róże, trzy różowe i jedną białą, stojące w srebrnym dzbanuszkach, na tle udrapowanego na stoliku szala i fragmentu zasłony. Sam kontemplował tę martwą naturę w milczeniu, co nie uszło uwagi Lucy.

- Podoba ci się ten obraz? - spytała.

- Że co? Aha, obraz! Owszem, bardzo. To Peploe.

- Kto taki?

- Samuel Peploe, malarz szkocki.

- Samuel to tak jak ty? - od razu skojarzyła Lucy, ale Sam chyba jej w ogóle nie słuchał.

- Co jak ja? - Nie zrozumiał.

- No, czy ty też się nazywasz Samuel?

- Tak, a dlaczego pytasz?

- Bo się zastanawiałam, czy Sam to zdrobnienie od Samuela.

- Dostałem to imię na pamiątkę po dziadku.

- Jakoś nie znałam dotąd żadnego Samuela.

- No więc teraz już znasz. Mnie.

- Myślałam, że to tylko takie przezwisko albo skrót od Samsona, albo Sambo...

- Dobrze, wchodźmy już! - przerwał te rozważania.

Otworzył drzwi i wszedł pierwszy, a Lucy za nim. W środku galeria okazała się zadziwiająco przestronna. Całe ściany były zawieszane obrazami, a w wielu miejscach stały także dosyć niekonwencjonalne rzeźby i ręcznie wypalane wyroby ceramiczne, które zapewne przeciekałyby, gdyby nalać do nich wody. W rogu sali stało biurko, a za nim siedział niezwykle chudy młody człowiek w obszernym, workowatym swetrze robionym na drutach, nie ogolony i z włosami sterczącymi na wszystkie strony. Na widok gości podniósł się z widocznym wysiłkiem.

- Siemanko! - przywitał ich.

'- Dzień dobry - odpowiedział uprzejmie Sam. - Interesuje nas ten obraz na wystawie...

- Aha, Peploe!
- Czy to oryginał?
- Oczywiście, nie prowadzę reprodukcji.
- Czy mógłbym go zobaczyć? - Sam starał się zachować spokój.

- Jeśli pan sobie życzy...

Pracownik podszedł do wystawy, wyjął z niej obraz, zdjął go ze sztalugi i podstawił pod światło. Sam odstawił pełne reklamówki.

- Mogę? - spytał i ostrożnie wziął do rąk ciężką ramę. W milczeniu obejrzał ją dokładnie. W tym czasie młody człowiek, najwyraźniej bardzo zmęczony, oparł się o kant biurka i założył ręce przed sobą.

Przez jakiś czas nic się nie działo. Lucy znudziło się stanie z boku, więc zaczęła oglądać inne obrazy na ścianach (przeważnie abstrakcyjne) oraz ceramikę i rzeźby. Jedna z nich nosiła szumną nazwę „Racjonalność II”, a składała się z dwóch kawałków drewna wyrzuconych przez morze i powiązanych zarzewiałym drutem. Cenę tego dziełka określono na pięćset funtów. Lucy stwierdziła więc, że jest to całkiem dobry sposób zarabiania pieniędzy. Tymczasem panowie dyskutowali na temat obrazu.

- Skąd go pan ma? - był ciekaw Sam.

- Ze starego domu, który wystawiono na sprzedaż po śmierci właścicielki. To była dawna znajoma Peploego. Możliwe, że dostała obraz w prezencie ślubnym.

- To miał pan nosa, żeby go kupić!

- Nie ja. Odkupiłem go od pośrednika. A pan jest amatorem Peploego?

- O tyle, że odziedziczyłem jeden jego obraz po matce.

- Dlaczego więc...

- To nie ma być dla mnie.

W tym momencie wtrąciła się Lucy.

- A dla kogo to ma być, Samie?

Sam jakby dooiero teraz przypomniał sobie ojej obecności.

- Lucy, to potrwa jeszcze długo. Chyba nie zechce ci się czekać? - zwrócił się do niej. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął portfel, a z niego trzy dziesięciofuntowe banknoty, któ-

re wcisnął jej do ręki. - Nie kupiliśmy jeszcze lampek do przy-
czepienia na poręczach, a obok tego stoiska kolonialnego wi-
działem sklep elektryczny. Idź i kup tyle lampek, ile trzeba, a to
wszystko tu zostaw. W razie gdybyś zobaczyła jeszcze coś, co
może się przydać, kup i to, dobrze?

- Pewnie! - zgodziła się natychmiast Lucy. Przecież dostała
do dyspozycji aż trzydzieści funtów! Wepchnęła pod krzesło
reklamówkę z poprzednimi zakupami i wybiegła, przekonana,
że Sam chce się jej pozbyć z dwóch powodów. Po pierwsze, nie
chciał, aby wiedziała, ile ma kosztować ten obraz, a po drugie,
zamierzał także kupić prezent dla niej, a to miała być niespo-
dzianka...

Zawróciła tą samą drogą, którą przyszli tu z Samem. Miała
nadzieję... nie, nawet była pewna, że Sam nie wybierze dla niej
jakiegoś staroświeckiego wazonu. Była ciekawa, czy Sam na-
był obraz Samuela Peploego z myślą o Carrie. No, a za trzy-
dzieści funtów można kupić kilometr sznur lampek!

Po dłuższych targach Sam i długowłose młodzieniec doszli
wreszcie do porozumienia. W efekcie Sam nabył płótno Pe-
ploego. Po niezbędnych formalnościach i zapakowaniu obrazu
przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie bez trudności odnalazł
sklep jubilera. Na wystawie stały tam srebrne ramki do zdjęć
i ozdobne budziki, ale wewnątrz zaproponowano Samowi duży
wybór kolczyków. Wybrał złote, w kształcie kwiatków sto-
krotek. Ekspedientka zapakowała mu je w pudełeczko i złotą
kopertkę. Zapłacił, wsadził sprawunek do kieszeni i wrócił do
galerii sztuki, gdzie dokończył transakcji. Jedyne problem po-
legał na tym, że młody człowiek nie przyjmował kart kredyto-
wych i Sam musiał zapłacić czekiem.

- Na kogo mam go wypisać? - spytał.
- Na mnie.
- Ale chyba pan się jakoś nazywa, prawda?
- Tristram Nightingale - obwieścił młodzieniec, wyciągając
wizytówkę.

Sam, wypisując czek, współczuł biedakowi obciążonemu tak
okropnym imieniem. Z takim „garbem” miał prawo zachowy-

wać się trochę niezręcznie! Właśnie podpisywał się, kiedy wróciła Lucy z kolejnym pudłem.

- Dostałaś je?

- Pewnie, cztery sznury. Myślę, że to chyba wystarczy.

- Aż zanadto. Poprosimy Rory'ego, żeby nam je założył. - Sam wręczył czek właścicielowi galerii i zabrał starannie zapakowaną paczkę. Tristram po otrzymaniu czeku pomknął w dyrdy, aby otworzyć drzwi tak poważnemu klientowi.

- Wesołych świąt! - życzył im na odchodnym.

- Nawzajem! - odpowiedział Sam, ale gdy oddalili się poza zasięg głosu - dodał po cichu: - Z nadwyżką, panie Nigh-tingale!

- Panie Jaki?

- Masz pojęcie, że on się nazywał Tristram Nightingale? Musiał mieć rodziców sadystów, bo jak można kogoś tak nazwać? Nic dziwnego, że jest wściekły na cały świat.

- Rzeczywiście, koszarne imię, ale przez tyle lat chyba zdażył się do niego przyzwyczaić. Samie, dla kogo jest ten obraz?

- Dla Carrie, ale nie mów jej.

- Na pewno nie powiem. Czy to bardzo drogie?

- O takich rzeczach nie mówi się, że są drogie, tylko że są dobrą inwestycją.

- Myślę, że to uroczy prezent. Na pewno powiesi go na ścianie salonu w swoim domu na Ranfurly Road.

- O tym właśnie myślałem.

- Będzie jej to przypominać Szkocję.

- Też na to liczę.

- Czy jeszcze się kiedyś zobaczycie?

- Nie wiem, ale mam nadzieję, że tak.

- Ja też mam nadzieję - odparła Lucy, a po chwili dodała: - Tak fajnie spędziliśmy przedpołudnie! Dziękuję ci, że pozwoliłeś mi jechać ze sobą.

- To ja ci dziękuję. Bardzo mi pomogłaś.

O wpół do szóstej wieczorem wszystko było gotowe do urządzenia przyjęcia.

Na drzwiach od frontu wisiał wieniec z ostrokrzewu, a w

światle lampy dobrze była widoczna plansza z napisem: „Proszą wchodzić”. Elfrida liczyła, że zachęceni tym goście nie będą za każdym razem dzwonić, co prRowokowałoby Horacego do szczekania i ciągłego biegania z góry na dół. Już od wejścia jawiła się bogato przystrojona choinka, a pod nią sterta paczek. W drugim końcu hallu przyciągały wzrok poręczce schodów, oplecione ostrokrzewem, bluszczem i girlandą lampek.

Na podeście schodów urządzono barek. Oskar i Sam przenieśli tam stół, który zwykle stał w salonie pod oknem. Teraz nakryto go białym obrusem i ustawiono na nim butelki z trunkami, kubełek z lodem i rząd pożyczonych od Tabithy Kennedy szklanek.

Kiedy przybyli małżonkowie Snead - zajęli się wykończeniem gotowych już potraw, na przykład podgrzewaniem pizzy czy nadziewaniem parówek na szpadki. W tym czasie domownicy rzucili się do mycia, golenia i przebierania się przed kolacją. Spoza zamkniętych drzwi pokojów i łazienek dobiegał szum wody, brzęczenie golarek i ulatniały się obłoki wonnej pary.

Horacy nudził się w towarzystwie Sneadów, więc wymknął się do salonu. Nikogo tam nie zastał, ale przynajmniej ułożył się wygodnie przed kominkiem, w którym buzował ogień.

Pierwszy gotowy był Oskar. Po wyjściu ze swojej sypialni rozglądał się przez chwilę, aby nacieszyć się widokiem swojego domu w świątecznej szacie. Wymyte i wypoleRowane szklanki przypominały mu bańki mydlane, złote i zielone butelki szampana, chłodzące się w kubełku z lodem, efektownie kontrastowały ze śnieżną bielą obrusa. Zaciągnięte zasłony odgradzały od panujących na zewnątrz ciemności cztery kondygnacje schodów, gdzie od ciemnej zieleni bluszczu odcinały się czerwone jagody ostrokrzewu i świetliste gwiazdki lampek. I pomyśleć, że to wszystko przygotowano, aby uczcić dzień Przesilenia Zimowego! Obiecał Elfridzie tylko skromną uroczystość, ale z przyjemnością skonstatował, że suRowa, po spartańsku urządzona siedziba Zarządu Majątku przypomina dziś starą purytańską ciotkę, która na specjalną okazję wyciągnęła odświętną suknię i biżuterię, na czym bardzo zyskał jej wygląd!

Oskar również zadał sobie trochę trudu, aby zadbać o swój wygląd. Nałożył smoking i najlepszą, jedwabną koszulę, do której Elfrida dobrała mu krawat i namówiła, aby wsunął nogi w czarne, aksamitne domowe pantofle ze złotym haftem. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz tak się wystroił, ale dotyk jedwabnej koszuli miło chłodził mu skórę, a gęste, siwe włosy skropione wodą fryzjerską ładnie się układały.

Elfrida, jeszcze w szlafroku, stała przed lustrem i zakładała kolczyki. Pochwaliła Oskara, stwierdzając, że wygląda bardzo seksownie.

Z kuchni dobiegały głosy Sneadów i odgłosy krzątania. Oczywiście tym razem pani Snead nie przyszła w kombinezonie, tylko w swojej najlepszej sukni, czarnej ze stanikiem nazywanym cekinami. Na tak uroczystą okazję nawet utapirowała włosy i przybrała fryzurę czarną atłasową kokardą.

Oskar, zajęty przygotowaniami i rozmową z Elfridą, nie dopuszczał do siebie wspomnień o zeszłorocznych świętach, jeszcze w „Dworze”. Gloria, jak zwykle, przeszła wtedy samą siebie wystawnością posiłków, tłumami zaproszonych gości, obfitością prezentów, a nawet wysokością choinki. W wykonaniu Glorii nie była to jednak jakaś rażąca gigantomania, bo wszelką przesadę łagodziła jej wrodzona radość życia i dobroć serca.

Pozwolił sobie na to rozpamiętywanie dopiero wtedy, kiedy na chwilę został sam. Wtedy też zdał sobie sprawę, że od tamtych dni minęło dopiero dwanaście miesięcy, choć wydawało mu się, że to już bardzo dawno temu. Mało tego - miał wrażenie, jakby to, co wspominał, działo się w poprzednim wcieleniu. Spróbował więc przywołać na pamięć postać Franceski. W tamte święta miała na sobie czarną aksamitną sukienkę (gwiazdkowy prezent od matki) i z rozpuszczonymi włosami biegała po całym domu. Przypominał ją sobie zawsze biegnącą tak, jakby nie chciała zmarnować ani chwili.

Jeszcze całkiem niedawno takie wspomnienia wprawiłyby go w wisielczy nastrój, ale w chwili obecnej Oskar tylko dziękował Bogu, że tak urocza istota mogła pojawić się w jego życiu. Wiedział, że pozostanie ona zawsze w jego sercu, ale po tym, co przeszedł, przede wszystkim cieszył się, że pozostał przy życiu i ma wokół siebie przyjaciół.

Z dołu doszedł go odgłos otwieranych drzwi kuchni i poleceń wydawanych przez panią Snead mężowi. Po chwili na schodach pojawił się Artur, niosąc tacę z małymi kanapeczkami, orzeszkami i krakersami. Miał na sobie popielate flanelowe spodnie i klubową marynarkę z wyhaftowanym na kieszeni godłem. Dochodził już na najwyższe piętro, kiedy dostrzegł Oskara.

- O, już pan tu jest, panie Blundell? Ależ pan dzisiaj elegancki! Moja stara kazała mi przynieść tu te przekąski, a potem roznosić je między gośćmi. Tylko bieda, że ten wasz Horacy gdzieś się podział. Głowę daję, że wymknął się do salonu i gotów nam to wszystko zeżreć!

- Postaw to tak, żeby nie mógł dosięgnąć.

Wskazał Arturowi drogę do salonu, który dziś wyglądał szczególnie zachęcająco. Świeciły się wszystkie lampy, a na kominku buzował ogień. Elfrida poustawiała wszędzie bukiety białych chryzantem i ostrokrzewu, ale najwspanialej prezentowały się lilie, które dostała w prezencie od małej Lucy. Artur dostarczył je dziś rano, opakowane w celofan i przewiązane różową wstążką. Elfrida o mało się nie rozpłakała ze wzruszenia, a teraz kwiaty stały w wielkim flakonie na stoliku obok kanapy i powoli rozchylały płatki. W nagrzanym powietrzu salonu rozchodził się ich egzotyczny zapach.

Oskar z Arturem porzastawiali talerzyki z przekąskami na bezpiecznej wysokości, poza zasięgiem Horacego, który leżał przy kominku i udawał, że śpi. Oskar zastanawiał się, czy nie powinien wyprowadzić psa z powrotem do kuchni, ale zrobiło mu się go żal, bo Horacy tak wygodnie się ułożył! Kiedy już wszystko poustawiali, zeszli do barku, przy którym stał już Sam, w wyszczuplającym sylwetkę, granatowym garniturze i koszuli w niebieskie i białe paseczki.

- Arturze, czy poznałeś już Sama Howarda?

- Jeszcze nie miałem przyjemności, ale bardzo mi miło.

- Samie, Artur będzie naszym barmanem.

- O, to świetnie. Na pewno umiesz otwierać szampana, prawda?

- No, nie za bardzo, bo ja to raczej lubię piwko. Widziałem tylko w telewizji, jak wręczali jakieś ważne nagrody, to piana

tryskała wszędzie jak ze strażackiego węża. Widzi mi się, że szkoda marnować tyle dobrego wina!

- Masz rację! - roześmiał się Sam. - Może to i fajna zabawa, ale na pewno straszne marnotrawstwo. Można to zrobić zupełnie inaczej, bez huku strzelających korków ani tej masy piany.

Wyjął butelkę z kubełka z lodem i udzielał ArtuRowi wskazówek.

- Tylko odkręć ten drucik i spróbuj delikatnie wyjąć korek. Nie kręć nim, tylko trzymaj go nieruchomo i obracaj butelkę...

I rzeczywiście, korek wysliznął się z szyjki prawie bezszelstnie. Można było rozlać złociste wino do kieliszków, nie roniąc ani kropelki.

- No proszę, nie miałem zielonego pojęcia, że to można tak ładnie zrobić! - wyznał Artur.

Elfrida umalowała tuszem rzęsy i oceniła efekt w lustrze umieszczonym na drzwiach szafy. Włożyła czarne jedwabne spodnie i skąpą, przezroczystą, również czarną bluzeczkę, a na wierzch luźny żakiet z zielonego jedwabiu. Pasowały do niego zwisające kolczyki i długie sznury paciorków z zielonego nelfrytu. Powieki umalowała na niebiesko, wargi na kolor żywej czerwieni, a włosy przypominały płomień. Oby tylko jej nowi znajomi z Creagan nie pomyśleli, że tym razem przedobrzyła!

Kiedy wyszła z sypialni, Artur Snead stał już na swoim posterunku przy zaimprowizowanym barze.

- Jak się masz, Arturze! Gdzie twoja małżonka?

- Jeszcze coś tam wykańcza. Powinna lada moment się wyrobić. Ale pani dziś szalowo wygląda, że się ośmielę powiedzieć! Nie poznałbym pani na ulicy!

- Dziękuję, Arturze. Czy wszyscy już są?

- Siedzą przy kominku i czekają. Goście powinni nadejść lada chwila.

- Mam nadzieję, że sami wejdą, bez dzwonienia. Gdyby jednak ktoś dzwonił do drzwi, to bądź tak miły i otwórz.

- Nie ma sprawy, proszę pani. Tymczasem może byśmy się napili tych bąbelków? Tak dla kurażu, jak mówi pan Blundell.

Nalał jej do kieliszka szampana i Elfrida dołączyła do towa-

rzystwa. Salon prezentował się tak wykwintnie i gustownie jak na ilustracji z ekskluzywnego czasopisma. Lucy upięła włosy w wysoką fryzurę, odsłaniając smukłą szyję i kolczyki. Z długimi nogami w czarnych rajstopach wyglądała jak pannica co najmniej siedemnastoletnia. Natomiast Carrie olśniewała wyjątkową urodą, a takiego błysku w oczach Elfrida już dawno nie widziała.

Młoda kobieta miała na sobie przezroczystą, czarną sukienkę bez rękawów, o kroju prostym jak koszulka, od bioder spływającą miękko do kostek. Do tego włożyła sandałki składające się praktycznie tylko z dwóch wąziutkich, błyszczących pasków i bardzo wysokich obcasów. Jediną jej biżuterią był pierścionek z szafirami i brylantowe kolczyki. Elfrida nie mogła wyobrazić sobie, że można nie zakochać się w kimś o takim wyglądzie.

Sam jednak starał się nie uzewnętrzniać swoich uczuć i sprawał wrażenie, jakby uważał urodę Carrie za coś najnaturalniejszego w świecie. Może i postępował słusznie. Wprawdzie Elfrida pragnęła nade wszystko szczęścia Carrie, ale i Oskar miał rację, że za wcześnie jeszcze na popychanie tych dwojga ku sobie. Na razie należało się cieszyć z tego, co już zostało osiągnięte - choćby z tego, że ni stąd, ni zowąd na horyzoncie pojawił się Sam, no i że chyba w końcu zdołał zaprzyjaźnić się z Carrie.

Obecni w salonie byli pogrążeni w rozmowie, ale Oskar, stojąc przy kominku, zauważył wejście Elfridy. Przez chwilę skrzyżowały się ich spojrzenia, jakby w tym rzęsiście oświetlonym pomieszczeniu znajdowali się tylko we dwoje. Dopiero po krótkim wahaniu Oskar odstawił szklanekę i ruszył ku niej z wyciągniętą ręką.

- Wyglądasz zachwycająco! - pochwalił.

- Coś takiego, a ja myślałam, że wyglądam na starą aktorycę po przejściach, za to bardzo szczęśliwą! - zażartowała. Ucałowała go w policzek ostrożnie, żeby nie zostawić śladu szminki. - A co u ciebie, wszystko w porządku?

Przytaknął, ale w tym momencie jakiś gość przez pomyłkę nacisnął dzwonek do drzwi frontowych. Horacy zerwał się na

równe nogi i z ogłuszającym szczekaniem wybiegł z salonu, a potem po schodach w dół.

- No i cały mój plan wziął w łeb! - roześmiała się Elfrida.

- Pójdę otworzyć - zaofeRowała się Lucy, przypuszczalnie licząc, że tymi gośćmi będą pastorstwo Kennedy, a więc będzie mogła olśnić Rory'ego swoim odmienionym wyglądem.

Pobiegła w ślad za Horacym i po chwili z dołu dały się słyszeć głosy:

- Jesteśmy pierwsi? Nie przyszliśmy za wcześnie?

Lucy oczywiście zapewniła gości, że nic podobnego.

- Proszę bardzo, państwo się rozbiorą. Wszyscy czekają w salonie na górze.

Oznaczało to, że dopiero teraz przyjęcie Elfridy naprawdę się zaczęło.

Mniej więcej kwadrans po ósmej było już po wszystkim. Rutleyowie, SinclaiRowie i Erskine-Earle'owie przy akompaniamencie pożegnań i podziękowań opuścili już gościnny dom. Zostali tylko Kennedy'owie, którzy przyszli ostatni, bo przedtem musieli wziąć udział w uroczystej wigilii urządzonej jak co roku w miejscowym domu starców. Peter, jeszcze w koloratce, oświadczył, że ma już po uszy herbaty z bułeczkami, toteż chętnie wychylił kieliszeczek i z radością pograżył się w rozmowie z nieco młodszymi przyjaciółmi.

Teraz jednak zmęczenie zaczęło nieco dawać się we znaki. Sam dołożył do ognia i z ulgą opadł na fotel. Rory i Lucy poszli do kuchni, aby pomóc Sneadom przy zmywaniu. Dochodzące stamtąd śmiechy i radosne głosy świadczyły, że dla nich impreza trwała nadal. Elfrida rozsiadła się wygodnie, zsuwając czółenka z obrzmiałych stóp.

- Nie mogę uwierzyć, że to już się skończyło - westchnęła. - Przez cały dzień krzątaliśmy się po to, żeby stwierdzić, iż już ósma i goście zaczynają spoglądać na zegarki...

- To znaczy, że wszyscy dobrze się bawili - podsumował z uśmiechem Peter. - Szczęśliwym czas szybko leci.

Usiadł przy kominku w miękkim fotelu z „uszami”, a żona wyciągnęła się na dywanie u jego nóg.

- Najlepsza to była lady Erskine-Earle - zauważyła Carrie. - Wyglądała jak mały kucyk spowity w kaszmir i perły.
- Rzeczywiście, zupełna gwiazda! - zachichotała Tabitha.
- Miała sporo do omówienia z panią Snead.
- To dlatego, że obie należą do rady parafialnej i do koła pań. Miałaś nosa, że zaprosiłaś do pomocy tych Sneadów. Dzięki nim nie musiałaś się obawiać kłopotliwych przerw w rozmowie.

- Artur to cwaniak! - podkreślił Oskar. - W przerwach między obsługiwaniem gości a goszczeniem się ubił od razu kilka interesów. Przyjął zamówienia na sylwestra, chryzantemy dla Emmy Erskine-Earle i sześć owoców awokado dla Janet Sinclair. A propos, cóż to za urocza osoba! Dotychczas jej nie znałem, widziałem tylko doktora, kiedy przyszedł zbadać Carrie.

- A wiesz, że ona jest architektem? - dorzuciła Carrie. - Trzy razy w tygodniu pracuje w Kingsferry.

- I ma świetne wyniki - dodał Peter. - Zaprojektowała nowe skrzydło dla tego domu opieki, w którym byliśmy. Zrobiła naprawdę dobrą robotę, tylko że przy tym skrzydle reszta obiektu wygląda trochę ponuro.

Odstawił szklanekę i przeciągnął się na krześle, jakby zdrętwiał pod ciężarem swojej żony, która opierała się o jego kolana.

- Tabitho, kochanie, chyba powinniśmy już się zbierać. - Spojrzał na zegarek.

- Och, nie idźcie jeszcze, chyba że naprawdę musicie - prosiła Elfrida. - Dopiero teraz możemy sobie swobodnie pogadać. Chodźcie do kuchni, dokończymy, co tam jeszcze zostało. Mamy trochę zupy, wędzonego łososia i serka Stilton...

- Naprawdę? - Widać było, że Tabitha da się skusić. - Bo u nas na plebanii zostały tylko jajka...

- Pewnie, że musicie zostać!

W tym momencie Carrie przejęła inicjatywę.

- Dobrze więc, pójdę zobaczyć, co się dzieje w kuchni - zapowiedziała. - Samie, ty siedź i baw gości, na dzisiaj zrobiłeś już dosyć.

- Dziękuję ci, naprawdę jesteś kochana! - rozpływała się w pochwałach Elfrida. - Gdybyś potrzebowała pomocy, tylko zawołaj.

- Z pewnością to zrobię.

Kiedy Carrie wyszła z salonu, na podeście zastała tylko pusty stół przykryty białym obrusem. Znikły z niego wszystkie butelki i szklanki. Sneadowie, Rory i Lucy naprawdę się napracowali.

Akurat w tym momencie zadzwonił telefon. Carrie spojrzała w tamtą stronę ze zdziwieniem, bo nie spodziewała się, aby ktokolwiek miał teraz dzwonić, ale już po pierwszym sygnale podniosła słuchawkę.

- Słucham?

- Kto mówi? - Kobięcy głos z tamtej strony drutu był czysty i wyraźny, ale przebijało w nim lekkie wahanie.

- Z tej strony Carrie.

- Tu mówi Nicola, z Florydy.

- O rany! Co tam u ciebie?

- Wszystko jak najlepiej, a ty co porabiasz?

- Mieliśmy właśnie gości, a teraz odpoczywamy.

- Jest tam gdzieś może Lucy?

- Tak, w kuchni, pomaga przy zmywaniu. Bawi się tu wspaniale jak nigdy dotąd. Macie tam dużo słońca na tej Florydzie?

- Pewnie, przez cały czas mamy piękną pogodę. W ogóle tu jest cudownie.

- No to poczekaj przy telefonie, zawołam Lucy.

Carrie położyła słuchawkę na stół i zbiegła do kuchni. Wszystko było już tam uprzątnięte i pozmywane, a pani Snead zapinała już srebrne guziki przy swoim palcie z imitacji karakułów. Artur dopijał jeszcze ostatnie piwko, Rory stał przy zlewie, a Lucy siedziała na stole.

Pani Snead nie przestawała tokować.

- No, muszę powiedzieć, że odwaliliśmy naprawdę kawał dobrej roboty... - zaczęła, ale przerwała jej czkawka. Przekrzywiła się przy tym kokarda w jej włosach, co nadało kobiecie zalotny wygląd. - O, Carrie! Mówiłam właśnie, że odwaliliśmy kawał dobrej roboty. I gości też mieliście fajnych...

- Rzeczywiście, było bardzo miło - podsumowała ją Carrie. - Lucy, leć szybko do telefonu, dzwoni twoja mama.

Lucy błyskawicznie odwróciła się i w oczach Carrie dojrzała przestraszonych.

- Mama?

- Tak, z Florydy. Biegnij już, bo licznik bije.

Lucy zsunęła się ze stołu, przeniosła wzrok z Carrie na Rory'ego i z powrotem, po czym szybko wypadła z kuchni i wbiegła na schody. Carrie dyskretnie zamknęła za nią drzwi.

- Ależ to zmyślne, żeby dzwonić aż z Florydy! - zauważył z podziwem Artur.

- Tam jest o pięć godzin wcześniej niż tu - oznajmiła z triumfem pani Snead. - Macie pojęcie, całe pięć godzin różnicy!

Już zapięła palto, a teraz zdjęła zamszowe czółenka i nałożyła kozaczki z myślą o pieszym spacerze do domu.

- Lucy naprawdę dużo mi pomogła - rozprawiała dalej. - Jakoś daliśmy sobie z tym radę, prawda, Rory? Artur wyniósł puste butelki do zmywalni, a resztki kiełbasek odłożyłam na talerzu dla Horacego, niech sobie zje jutro na obiad.

- Oboje byliście wspaniali! - chwaliła Carrie. - Bez was nici byłoby z całej imprezy.

Artur wysączył do końca resztki piwa i odstawił pustą szklanę.

- I jeszcze nastęrczyliście mi klientów! - dodał. - Carrie, powiedz twemu znajomemu, że bardzo mu dziękuję. Nauczyl mnie, jak powinno się otwierać butelką z szampanem. Będę miał się czym pochwalić na najbliższym zebraniu klubu kręglarskiego.

- Ach, Arturze, ty to jesteś dobry numer!

- Zawsze mówiłem, że człowiek przez całe życie się uczy.

Pani Snead pozbierała już swoje rzeczy - torebkę i reklamówkę, do której schowała czółenka.

- No to dobranoc, Carrie.

- Dobranoc i wesołych świąt.

- Nawzajem. Powiedz pani Phipps, że w czwartek przyjdę jak zwykle.

Oboje wyszli, trzymając się pod rękę. Ledwo zamknęły się za nimi tylne drzwi, Rory spytał:

- Co matka chciała od Lucy?

- Nie wiem, Rory. - Carrie narzuciła na przezroczystą sukienkę fartuch Elfridy. - Pewnie chciała życzyć jej wesołych świąt.

- Przecież jeszcze nie święta!

- Może wolała załatwić tę sprawę wcześniej... Elfrida prosiła, żebyście zostali na kolacji, więc muszę teraz coś przygotować.

- Mam w czymś pomóc?

- Wydaje mi się, że dosyć już się dziś narobiłeś.

- Nie szkodzi, wolę to niż gadki o wszystkim i o niczym.

- Zauważyłam, że całkiem ci to dobrze szło.

- To nic strasznego, kiedy się zna ludzi. A co mam teraz zrobić?

- Jeśli naprawdę chcesz pomóc, to nakryj do stołu na osiem osób. Noże i widelce są w szufladzie, a talerze w kredensie. W lodówce jest wędzony łosoś, chyba już pokrojony w plastry, trzeba go tylko wyłożyć na talerz i przygotować trochę chleba z masłem.

Carrie przeszła do wyiębionej zmywalni i przyniosła stamtąd olbrzymi gar przyrządzonej przez Elfridę zupy. Postawiła go na gazie, zmniejszając płomień, aby zawartość powoli się podgrzała.

- Rozmawiałem dziś z Lucy... - zaczął Rory za jej plecami.

- Słucham? - nie zrozumiała od razu Carrie.

- No, Lucy dużo mi dziś opowiedziała. O Londynie, rozwodzie rodziców, o tym, jaka jest babcia... I przede wszystkim, że nie chciałyby tam wracać.

Mówiąc to, nie patrzył na nią, tylko równo układał noże i widelce.

- Ach, Rory, tak mi przykro!

- Niby dlaczego tobie ma być przykro?

- Ponieważ czuję się za nią odpowiedzialna, a i trochę winna. Może to przez to, że tak długo siedziałam w Austrii i praktycznie straciłam kontakt z rodziną. Niby wszystko było w najlepszym porządku, ale jeśli chodzi o Lucy... Dopiero kiedy wróciłam, zorientowałam się, jak wyglądało jej życie w tym domu. Teoretycznie miała wszystko i nie działa jej się krzywda, ale brakowało jej ojca i nigdy nie umożliwiono jej kontaktu

z dziadkiem, to znaczy z moim ojcem. Wzrastała w atmosferze zawziętości i pielęgnowanych urazów, a takie życie nie jest łatwe.

- Może lepiej byłoby, żeby poszła do szkoły z internatem? Przynajmniej zmieniałaby otoczenie.

Carrie była zaskoczona spostrzegawczością młodego człowieka.

- Pewnie masz rację, ale, widzisz, jestem tylko jej ciotką, w dodatku jeszcze panną - usprawiedliwiała się. - Nie bardzo wypada mi wtrącać się tak dalece w jej wychowanie, tym bardziej „z doskoku”. Poza tym ona chodzi do dobrej szkoły, ma wspaniałą dyrektorkę, którą uwielbia...

- Co z tego, kiedy tam są same dziewczyny? - Rory zadał retoryczne pytanie, kończąc nakrywanie do stołu. - Gdzie jest ten łosoś?

- W lodówce, a lodówka w zmywalni.

Rory poszedł tam, a Carrie tymczasem wyjęła z pojemnika bochenek ciemnego chleba, zamieszała zupę i znalazła owalny półmisek, na którym ładnie prezentowałyby się różowe plastry. Rory rozciął nożem foliową torebkę i delikatnie rozłożył porcje ryby tak, aby zachodziły na siebie. Carrie wzięła z misy na owoce dwie cytryny i pokroiła je w ósemki.

Przyglądała się przy tym, jak Rory sprawnie pracuje. Zwróciła uwagę na jego nienaturalnie złocisty odcień włosów, kolczyk w uchu i wydatne rysy, których twardość świadczyła, że chłopak powoli stawał się już mężczyzną. Pomagając Sneadom w zmywaniu, zawiązał rękawy ciemnoniebieskiej dżinsowej koszuli, odsłaniając opalone, muskularne przedramiona i zręczne ręce. Carrie nie dziwiła się, że Lucy od razu go polubiła. Modliła się tylko, aby nie przeszło to w młodzieńcze zadurzenie, bo oboje byli jeszcze za młodzi na miłość. Rory snuł plany związane z wyjazdem do Nepalu, a to złamałoby serce zakochanej nastolatki.

- Postąpiłeś bardzo ładnie wobec niej - zauważyła. - Większość chłopców w twoim wieku nie zwracałaby sobie głowy problemami jakiejś małolaty.

- Po prostu było mi jej żal.

- Dlaczego?

- Wydawała mi się taka samotna...
- Ale bardzo fajna, prawda? - Nie wytrzymała, żeby się z nim nie podrażnić. - Najlepszy dowód, że kupiłeś jej kolczyki!

- Och, daj spokój, Carrie! - roześmiał się. - Chodziło tylko o to, żeby dać jej mamusce do zrozumienia, iż ona nie jest już małym dzieckiem. W końcu co szkodzi, jeśli będzie miała przekłute uszy?

Cofnął się, żeby ocenić wzrokiem półmisek z artystycznie [ułożonymi płatkami łososa.

- No, to chyba jest to. Wystarczy tyle tego?

f - Musi wystarczyć, bo drugą paczkę chcemy zachować na pierwszy dzień świąt.

- Ciekawe, jak poszło Lucy.

- Może lepiej pójde sprawdzic... Albo chodźmy razem. Dość się już napracowałeś.

- Nie, już ja się zajmę kuchnią. Zawsze lubiłem gotować, zostało mi to z czasów, kiedy robiłem z mamą ludziki z piernika... Wracaj do gości, a ja posmaruję chleb i może podgrzeję te pizze, co zostały. Mogę też otworzyć jakieś wino...

Carrie zdecydowała się powierzyć Rory'emu ster kuchni, odwiązała więc fartuch Elfridy i powiesiła go na haku. Przechodząc przez półpiętro, zauważyła, że słuchawka leży na widełkach telefonu, a Lucy nigdzie nie widać. Zaniepokoiło ją to, ale zanim powzięła jakąkolwiek decyzję - telefon znów zadzwonił, więc go odebrała.

- Słucham?

- Czy to Zarząd Majątku? Chciałabym mówić z Carrie!

Carrie nie miała wątpliwości, kto to mógł być. Tym większy przejął ją niepokój.

- To ja. Cześć, mammo.

- Ach, to ty, chwała Bogu! Rozmawiałaś może z Nicola?

- Dzwoniła z Florydy jakieś dwadzieścia minut temu, ale chciała rozmawiać z Lucy.

- A tobie nic nie powiedziała?

- O czym?

- No, że wyszła za mąż za Randalla Fischera. Dziś rano wzięli szybki ślub w jakiejś Kaplicy Aniołów czy czymś po-

dobnym. Nigdy nie wspomniała, że się zaręczyli ani że planują ślub. Aż do jej telefonu nie miałam pojęcia, co się szykuje...

Carrie nakazywała sobie, że musi za wszelką cenę zachować spokój, cokolwiek będzie się działo.

- Powiedziała ci to, zanim zadzwoniła do Lucy?

- Tak, bo chciała wszystko załatwić.

- Co takiego?

- No, co zrobić z Lucy, kiedy wróci ze Szkocji. A tyś myślała, że co?

Zaczyna się zabawa! - pomyślała Carrie.

- Chodzi o to, że Nicola do końca stycznia nie wróci do Londynu. Miodowy miesiąc, rozumiesz? Odwołała powrotny lot i żąda ode mnie, żebym czekała na Lucy w Londynie i wyprowadziła ją do szkoły. Rzecz w tym, że chciałam zostać do końca stycznia w Bournemouth i nie mam zamiaru zmieniać planów. Niby dlaczego mam brać sobie kłopot na głowę? Powiedziałam to Nicoli, ale wiesz, jaka ona jest samolubna. W tej chwili myśli tylko o tym facecie.

- Czy ma zamiar zostać na stałe w Ameryce?

- Pewnie tak, skoro wyszła za Amerykanina.

- A co będzie z Lucy?

- Lucy robi to, co się jej każe, i tyle. Problem tkwi tylko w tym, kto się nią zajmie, zanim jej matka wróci do domu.

Carrie stała, trzymając słuchawkę, i czuła narastającą wściekłość. Nie odpowiedziała od razu, bo choć wiele razy w życiu była zła na matkę i siostrę - nigdy jeszcze nie przybrało to aż takich rozmiarów. W myśli klęła w żywy kamień także Randalla Fischera za jego bezmyślność i brak wyobraźni. Nie mógł, u licha, uprzedzić rodziny Nicoli, zanim w Kaplicy Aniołów włożył jej obrączkę na palec? Zachował się gorzej niż słoń w składzie porcelany! Carrie wiedziała jednak, że cokolwiek na ten temat powie - spowoduje tylko bezproduktywną wymianę zdań, prowadzącą donikąd.

- Carrie, słyszysz mnie? - niecierpliwiła się matka po drugiej stronie drutu.

- Mamo, wiesz co? Może zadzwonię do ciebie później?

- Rozmawiałaś już z Lucy?

- Nie, bo sama dopiero teraz usłyszałam tę radosną nowinę.

- Czy *to* miała być ironia?
- Nie.
- Znasz numer do mnie do Bournemouth?
- Tak, oddzwonię na pewno.
- Kiedy?
- Niedługo. Może nawet jutro.
- Tylko proszę cię, kochanie, nie zwlekaj z tym za długo, bo się tu zamartwiam.
- Oczywiście.
- Na pewno miło spędzasz święta, prawda?
- Fantastycznie - odpowiedziała Carrie i odłożyła słuchawkę.

Odczekała chwilę, aby ochłonać i zebrać w jedną całość zasłyszane wiadomości. A więc Nicola na Florydzie, w Kaplicy Aniołów, poślubiła tego swojego Randalla Fischera! Carrie próbowała wyobrazić sobie, jak to się odbyło. Pewnie przy bezchmurnym niebie i pod palmami, Randall w białym garniturze, a Nicola w jakiejś zaimprowizowanej kreacji! Ciekawe, czy zaprosili dużo znajomych na świadków. Pewnie któryś kumpel Randalla dał się namówić, aby w zastępstwie ojca oddać pannę młodą panu młodemu, a jego żona, w długiej sukni z przypiętym bukietem storczyków, pełniła funkcję starościny. Po ceremonii pojechali we czwórkę do najbliższego podmiejskiego klubu, gdzie bawili się na koszt obecnych.

Zresztą mało istotne, jak to wyglądało. Grunt, że stało się i już się nie odstanie. Teraz należało martwić się, co począć z tym całym bałaganem, który się wskutek tego wytworzył. Carrie nie bardzo wiedziała, od czego zacząć.

W tym momencie najważniejsza była Lucy. Po otrzymaniu tej szokującej informacji od matki odłożyła słuchawkę i gdzieś znikła, tylko gdzie? Carrie wiedziała, że dziewczynka nie ukrywała swojej niechęci zarówno do Randalla Fischera, jak idei wyjazdu na Florydę. Faktem jednak było, że gdyby Nicola się uparła, Lucy, jako niepełnoletnia, zostałaby wbrew swojej woli wyrwana ze swego środowiska i przeniesiona do kraju o innej kulturze i modelu życia, który nie musiał jej odpowiadać.

Wizja ta przejęła Carrie głębokim niepokojem. Przede wszystkim nie wiedziała, co zrobiła Lucy po odłożeniu słu-

chawki. Mogła przecież wybiec na oślep przed siebie, skieRować się ku wał się klif, łatwo mogła w bezsilnej rozpaczy rzucić się z wysokiego brzegu i roztrzaskać o skały!

Carrie wołała nawet nie myśleć o takiej ewentualności. Spróbowała zapanować nad sobą i z duszą na ramieniu ruszyła na górę, do pokoju Lucy. Na podeście schodów świeciło się światło, ale drzwi od sypialni były zamknięte. Na pukanie nikt nie odpowiedział, więc Carrie delikatnie nacisnęła klamkę. Wewnątrz pokoju panowały ciemności, toteż namacała wyłącznik, zapaliła lampę i drżącym z przejęcia głosem zagadnęła:

- Lucy?

Skulona pod biało-niebieską narzutą kupka nieszczęścia nie poruszyła się ani nie odezwała, ale Carrie poczuła taką ulgę, że aż się nogi pod nią ugięły. Najważniejsze, że Lucy była na miejscu, nie wybiegła w ciemną noc ani nie rzuciła się do morza... Weszła więc dalej, zamknęła drzwi za sobą i przysiadła na brzegu łóżka.

- Lucy!...

- Idź sobie!

- Kochanie, to ja, Carrie.

- Nie chcę z nikim rozmawiać!

- Wiem, o co chodzi. Babcia dzwoniła z Bournemouth i powiedziała mi, co się stało.

- To nieważne, co ci powiedziała. I tak popsuka wszystko. Wy zawsze wszystko psujecie!

- Ależ, Lucy... - Carrie położyła rękę na narzucie w miejscu, gdzie wyczuwała ramię Lucy, ale ta gniewnie się otrząsnęła, nie chcąc żadnej pociechy.

- Idź sobie i zostaw mnie samą!

Mówiła głosem zduszonym, nabrzmiałym łzami. Carrie rozumiała przyczyny jej gniewu i żalu, ale bała się zostawić ją samą.

- Słuchaj, ja też uważam, że twoja mama nie powinna tak postąpić - spróbowała mediacji. - To nierozsądnie z jej strony, iż zaserwowała ci taką sensację przez telefon i jeszcze oczekiwała, że będziesz skakać z radości! Spróbuj jednak spojrzeć na sprawę z jej punktu widzenia...

Tego było już za wiele. Lucy odrzuciła kapę i zwróciła ku Carrie twarz zalaną łzami i zapuchniętą od płaczu. Włosy, przedtem starannie upięte, teraz w nieładzie opadały jej na policzki. Z wyrazu jej wykrzywionej złością twarzy Carrie wynioskowała, że ta złość skierowana była nie tylko przeciw matce, lecz także wszystkim dorosłym, w tym również i przeciwko niej, Carrie.

- No jasne, trzymasz z nią, bo to twoja siostra! - krzyczała Lucy. - Wszystkie jesteście takie same! Nienawidzę jej i nie pojedę do żadnej Ameryki! Tego Randalla Fischera też nienawidzę i nie chcę o tym rozmawiać! Zostaw mnie i wynoś się stąd!

Odwróciła się gwałtownie od Carrie, naciągnęła kapę na głowę, schowała twarz w mokrą od łez poduszkę i zaniósła się rozpaczliwym, niepowstrzymanym łkaniem.

- Słuchaj, państwo Kennedy zostają na kolacji... - nieśmiało próbowała Carrie.

- A niech sobie zostają! - usłyszała stłumiony głos spod narzuty.

- Może przynieść ci kolację na górę?

- Nie chcę żadnej kolacji! Chcę, żebyś sobie poszła!

Tego nie dało się dłużej wytrzymać. Carrie dla pewności posiedziała jeszcze chwilę, ale w końcu wstała i wyszła, zamykając drzwi za sobą. Czuła się kompletnie roztrzęsiona, a co gorsza, nie miała pojęcia, co robić dalej. Stojąc u szczytu schodów, słyszała z salonu rozbawione głosy. Zeszła więc niżej i trzeba trafić, że w tym momencie, po raz trzeci w dniu dzisiejszym, zadzwonił telefon.

Tego jeszcze brakowało! - pomyślała Carrie i podniosła słuchawkę. Zabrzmiał w niej głos:

- Carrie, to ty?

- Nicola?

- Tak, to znowu ja. - Podniesiony głos Nicoli kipiał oburzeniem. - Już od dziesięciu minut próbuję się do was dodzwonić. Lucy odłożyła słuchawkę, kiedy jej powiedziałam...

- Wiem, co jej powiedziałaś.

- Ale ta bezczelna smarkata nie dała mi nawet dokończyć,

tylko trzasnęła słuchawką! Zaraz mi tu ją zawołaj. Nie miała prawa tak się zachowywać...

- Wydaje mi się, że miała wszelkie prawa. Myślała, że dzwoniś po to, aby życzyć jej wesołych świąt, a ty zaszokowałaś ją rewelacją o ślubie z Randallem Fischerem! Spodziewałaś się, że będzie tym zachwycona?

- Pewnie, że powinna być! Będzie miała nowego, wspańskiego ojca, luksusowy dom w pięknej okolicy... Zobaczyłaby to sama, gdyby zechciała ze mną pojechać. Dlaczego zawsze musi mi się sprzeciwiać? Chyba dla niej zrobiłam już dość i mam prawo pomyśleć o swoim szczęściu. Czy nic dla niej nie znaczy, że nareszcie jestem szczęśliwa?

- Nicola...

- Mama jest taka sama. Ma pretensję, że chcę zostać w Stanach trochę dłużej, aby mieć swój miesiąc miodowy!

- Nicola, ja nie mam do ciebie o nic pretensji. Naprawdę cieszę się, że ci się powiodło, ale musisz także pomyśleć o swojej córce. Ona nie jest już małym dzieckiem i trudno od niej wymagać, aby się cieszyła z tego, że całe jej życie ma zostać przewrócone do góry nogami.

- Nie chcę nawet tego słuchać! Po co ta cała gadanina? Zawołaj ją do telefonu i koniec.

- Nie zrobię tego, bo ona zamknęła się w swoim pokoju i tonie we łzach. Próbowałam ją uspokoić, ale nie chce nawet ze mną rozmawiać. Zresztą jak ty to sobie w ogóle wyobrażasz? Po Nowym Roku Lucy musi wrócić do szkoły, a kto będzie na nią czekał w domu, jeżeli matka chce zostać w Bournemouth?

- Nie mogłabyś nawet tego zrobić dla mnie?

- Na razie nie mam gdzie mieszkać w Londynie.

- Mogłabyś zatrzymać się w mieszkaniu mamy i zostać z Lucy, żeby wyprawić ją do szkoły...

- Ależ, Nicola, przecież rozpoczynam nową pracę...

- No tak, oczywiście, zapomniałam, że dla ciebie zawsze liczyła się tylko kariera zawodowa! Bardziej niż my wszyscy!

- Mogłabyś chociaż raz pomyśleć o innych, a nie tylko o sobie.

- Że niby to ja cały czas myślę o sobie? Dawno nie sły-
szałam takiej bezczelności! Po raz pierwszy od tylu lat, odkąd
Miles odszedł ode mnie, odważyłam się pomyśleć o sobie.
Przynajmniej Randall mnie ceni i szanuje. Po raz pierwszy
w życiu trafiłam na kogoś takiego...

Carrie nie próbowała już być miła za wszelką cenę.

- Och, przestań pleść głupstwa! - wypaliła bez ogródek.

- Nie mam zamiaru tego słuchać... - W głosie Nicoli znów
zabrzmiało święte oburzenie, więc Carrie przeszła na łagod-
niejszy ton.

- Dobrze już, przepraszam cię, ale tym sposobem do nicze-
go nie dojdziemy. Mam twój numer na Florydę, spróbuję coś
wymyślić i wtedy ci oddzwonię.

- I powiedz Lucy, żeby do mnie zadzwoniła.

- Tego ci w najbliższej przyszłości nie mogę obiecać, ale
spróbuj tak się nie denerwować, a ja na pewno coś wymyślę.

- No, dobrze - westchnęła niechętnie Nicola.

- Wesołych świąt!

Nicola, jak zwykle, nie wyczuła ironii. Rzuciła: „Nawza-
jem!” i odłożyła słuchawkę.

W tej chwili Carrie najbardziej pragnęła, żeby do tego
wszystkiego nie doszło, a czas zatrzymał się na dniu wczoraj-
szym. O ile milej było chodzić śladem Sama po opustoszałych
halach fabrycznych, siedzieć z nim przy kominku w barze „Pod
Książęcymi Sztandarami” i popijać rozgrzewający trunk w to-
warzystwie dwóch starszych panów i barmana wpatzonego
w telewizor! Wtedy przynajmniej nie musiała myśleć o nikim
innym poza sobą i tym mężczyzną, który chciał rozmawiać
o ich niepewnej przyszłości.

Od tamtej pory jednak wszystko się zmieniło. Carrie przy-
gładziła więc ręką włosy, wyprostowała się i otworzyła drzwi
salonu. Wewnątrz wszyscy obecni siedzieli na tych sAmych
miejscach i w tych sAmych pozach co przedtem, jakby się nic
nie zmieniło. Dołączył do nich tylko Rory, który skończył już
robotę w kuchni i przyszedł sprawdzić, co się dzieje i dlaczego
nikt nie schodzi na kolację. Tymczasem siedział po turecku na
dywanie naprzeciw matki, trzymając w ręce szklankę piwa.

Zgromadzeni toczyli luźną rozmowę, lecz w momencie we-

jścia Carrie wszyscy umilkli i głowy zwróciły się w jej stronę, jakby się jej nie spodziewali lub czekali na nią zbyt długo.

- Już jestem - powiedziała, zamykając drzwi za sobą. - Przepraszam, że pozwoliłam wam czekać.

- Co tu się dzieje, kochanie? - spytała zaalarmowana Elfrida. - Ciągłe jakieś telefony. Rory mówił, że matka Lucy dzwoniła z Florydy. Mam nadzieję, że nic złego się nie stało.

- Niby nic, a właściwie wszystko - wyjaśniła Carrie enigmatycznie, co było zarówno prawdą, jak nieprawdą. - Taki mały rodzinny kryzys, ale nie przejmujcie się za bardzo, bo tu chodzi o moją rodzinę.

- Ależ, Carrie, to brzmi okropnie! - zaniepokoiła się Elfrida. - Proszę cię, opowiedz nam, co się dzieje.

- Kiedy nie wiem, od czego zacząć... - wymawiała się Carrie. Zareagował na to Sam, siedzący w drugim końcu salonu. Podbiegł do niej i zaproponował:

- Może się czegoś napijesz?

Carrie potrząsnęła przecząco głową, zastanawiając się, czy tak zbladła, czy raczej nienaturalnie się zarumieniła. W takim razie Sam podsunął jej fotel, a kiedy z ulgą usiadła, poczuła, jak dłoń Elfridy dotyka jej ręki.

- Carrie, kochanie, opowiedz nam o tym.

- No więc dzwoniła Nicola. Moja siostra, matka Lucy - dodała tytułem wyjaśnienia, bo niby skąd Kennedy'owie mieli wiedzieć, kim była Nicola. - Spędza święta na Florydzie ze swoim przyjacielem, niejakim Randallem Fischerem. I dziś zadzwoniła, że właśnie się pobrali, czym nas kompletnie zaskoczyła. Najpierw powiedziała o tym Lucy, ale ona nawet nie dosłuchała do końca i poleciała z płaczem do swego pokoju. Wciąż nie może się uspokoić i zaklina się, że nigdy nie znosiła tego Randalla Fischera i za nic nie pojedzie do Ameryki. Tymczasem matka zadzwoniła do mnie i przekazała mi tę nowinę. Okazało się, że Nicola odłożyła powrót do domu, bo chce najpierw udać się z Randallem w podróż poślubną. Mama wpadła w histerię, bo to oznaczałoby, że będzie musiała wracać do Londynu, aby zaopiekować się Lucy, podczas gdy wołałaby zostać jeszcze w Bournemouth. Nicola zadzwoniła z kolei do

mnie, żeby poskarżyć się na zachowanie Lucy, i z tego wynikała sprzeczka, która o mało co nie przerodziła się w awanturę.

- To nie do zniesienia! - podsumowała Elfrida, co Carrie uznała za bardzo łagodne określenie.

- No więc mAmy tu do czynienia zarówno z kryzysem ostrym, jak i długotrwałym - kontynuowała wyjaśnienia. - Ostry kryzys wystąpił teraz, bo nie ma kto zostać z Lucy w Londynie i zająć się nią. To znaczy jest ktoś taki, a mianowicie ja. Oczywiście, jeśli będzie trzeba, mogłabym przez jakiś czas posiedzieć z nią w mieszkaniu mojej matki, dopóki ona lub Nicola nie wróciłyby do Londynu, ale na dłuższą metę nie rozwiązuje to właściwego problemu. Chodzi o przyszłość Lucy. Nicola wyszła za Amerykanina, więc pewnie zechce tam zostać i chyba podoba się jej ta perspektywa. Natomiast Lucy nigdy nie chciała pojechać do Ameryki nawet na święta. Nie przepada za Randallem, a chyba i za swoją matką.

Wszyscy wysłuchali jej z uwagą, a także z coraz większą troską. Kiedy jednak Carrie skończyła opowieść, nikt się nie odezwał. Dopiero Tabitha wyrzuciła z siebie coś w rodzaju: „O Boże!”, co miało pewnie oznaczać współczucie.

- Przecież ona nie musi wyjeżdżać do Ameryki! - zaryzykowała w końcu Elfrida z nadzieją w głosie. - Czy nie mogłaby zamieszkać w internacie?

- Niestety, ta szkoła nie ma internatu. Zresztą wciąż jeszcze trwają ferie.

- A twoja matka...?

- Wiesz równie dobrze jak ja, że mama nawet nie próbuje sama dać sobie rady z czymkolwiek.

- No to może ojciec Lucy?

- Także niewypał. Jego druga żona nigdy się na to nie zgodzi.

- No więc...

- Przecież to śmieszne! - Do dyskusji włączył się nowy głos.

Był to Rory Kennedy, który podniósł się z wygodnej pozycji na dywanie i stanął przed zebranymi, rzucając pioruny ze swoich niebieskich oczu. Nikt mu nie przerwał, bo wszystkich zaskoczył swoim wystąpieniem.

- To śmieszne! - powtórzył. - Drepczecie w miejscu, bo z góry założyliście, że Lucy ma wrócić do Londynu. Tymczasem ona w ogóle nie powinna tam wracać! I bez tego, co się stało, była tam nieszczęśliwa. Sama mi to powiedziała. Ani normalnego domu, ani przyjaciół, ani poczucia, że się było kochaną. Natomiast naprawdę szczęśliwa poczuła się dopiero tu, z Elfridą i Oskarem. I wy powinniście ją zatrzymać! Nie odsyłajcie jej do Londynu. Mogłaby zostać z wami, a w sąsiedztwie byłaby moja mama i tatuś, i Clodagh, i nasi przyjaciele... Ona też zaprzyjaźniłaby się z nimi, a do szkoły mogłaby chodzić w Creagan. Tatuś załatwiłby to z panem McIntoshem, a on już wcisnąłby ją do jakiejś klasy. Uważam, że powinniście tak zrobić. To byłaby zbrodnia - pozwolić jej wrócić do Londynu bez żadnych perspektyw na przyszłość! Dobrze wiecie, że sfrustrowane nastolatki zdolne są do największych głupstw! Lucy jest z wami związana o wiele bardziej niż ze swoją matką, więc macie moralny obowiązek postąpić tak, jak należy, to znaczy zatrzymać ją tutaj, w Creagan.

Umilkł, zaczerwieniony na twarzy od ciepła ognia lub też z przejęcia. Przez chwilę w salonie zapanowała cisza, bo dorośli i poważni ludzie spoglądali na Rory'ego ze zdziwieniem nacechowanym szacunkiem. Rory, w obawie, że posunął się za daleko, poczuł się trochę niezręcznie, więc zaczął się usprawiedliwiać.

- Przepraszam, nie chciałem wtrącać się w nie swoje sprawy...

Nie doczekał się odpowiedzi, dopóki Peter Kennedy nie odsunął Tabithy ze swoich kolan, aby wstać.

- Wcale nie wtrącasz się w nie swoje sprawy, synu - przemówił, kładąc mu rękę na ramieniu. - Myślę, że masz rację. To było bardzo mądrze powiedziane!

Lucy leżała na łóżku, patrząc w pochyły sufit swojej sypialni. Zmęczyła się długotrwałym płaczem i było jej przykro, że tak opryskliwie zachowała się w stosunku do Carrie. Zazwyczaj nie wszczyniała awantur, więc nie mogła się zdecydować, co ma dalej robić. Na pewno wszystko wróciłoby do normy, gdyby przeprosiła Carrie, ale nie mogła się zdobyć, żeby wstać

z łóżka, uczesać się, umyć twarz i stanąć oko w oko z resztą domowników. To, że Kennedy'owie mieli zostać na kolacji, tylko pogarszało sprawę.

Bolała ją głowa, czuła się kompletnie wypompowana, a jeszcze do tego głodna. Jedyłą skromną satysfakcją sprawiło jej to, że odważyła się trzasnąć słuchawką, przerywając matce w pół zdania, kiedy uraczyła ją wiadomością o swoim ślubie z Randallem Fischerem. Nicola rozpływała się w zachwytach, informując Lucy, jakiego to będzie miała nowego tatusia i jak od tej pory będą pławić się w luksusach w rajskim klimacie Florydy... Jak zwykle nie obchodziły jej niczyje uczucia oprócz własnych. Lucy w końcu nie mogła już tego słuchać i odłożyła słuchawkę na widełki.

Teraz jednak, z upływem czasu, ten postępek wydawał się jej tchórzostwem. Powinna raczej wypalić matce wprost, że robi się jej niedobrze na samą myśl o przeflancowaniu do obcego kraju i wywróceniu do góry nogami jej dotychczasowej egzystencji. Tak, jak się sprawy miały, było już na to za późno.

Gdyby miała osiemnaście lat - w świetle brytyjskiego prawa byłaby pełnoletnia i nikt nie mógłby ruszyć jej z miejsca, gdzie czuła się bezpiecznie i pewnie. Natomiast czternaście lat to taki głupi wiek. Za dużo, żeby dać się bezwolnie przenosić z miejsca na miejsce jak paczkę, a zbyt mało na pełną swobodę działania. Już przedtem działo się źle, a to, co miało nadejść - zapowiadało się jeszcze gorzej.

Przez okno sufitowe nad głową widziała niebo. Ciemność za oknem odbijała światło latarni ulicznych, co czyniło ją nieprzejrzystą. Lucy dostrzegła jednak pojedynczą gwiazdę i od razu wyobraziła sobie, że przez szybę wdzierają się wiatr od morza i porywa ją ku gwiazdom, jakby leciała rakieta. Wcale nie chciałyby stamtąd wracać!

W tym momencie usłyszała kroki na schodach. Pewnie to znowu Carrie! Lucy obawiała się, że gdyby to rzeczywiście była Carrie - mogłyby znowu zacząć wrzeszczeć. Oznaczałoby to, że nie panowała już nad swoimi emocjami.

Po chwili rozległo się pukanie do drzwi. Leżała, przycis-

kając policzek do mokrej poduszki, i nie reagowała, ale drzwi i tak się otworzyły.

- Lucy?

Okazało się, że to nie Carrie, lecz Oskar. Lucy zrobiło się głupio, że ten uroczy pan zobaczył ją w takim stanie, zmiętoszona, rozczochrana i zapłakana. Szkoda, że akurat on tu przyszedł. Pewnie wysłali go po nią, ale dlaczego nie Carrie albo Elfridę? Dlatego początkowo nic nie odpowiedziała.

- Można? Nie przeszkadzam? - spytał łagodnie Oskar, a ponieważ nie słyszał odpowiedzi, przeszedł przez pokój, pozostawiając drzwi uchylone, i przysiadł na brzegu łóżka. Pod jego ciężarem kapa ciasno obciągnęła ciało Lucy, co przyniosło jej dziwną ulgę. Posunęła się więc, aby zrobić mu miejsce, nabrała w płuca dużo powietrza i wyrzuciła z siebie:

- Ależ skąd, proszę bardzo.

- Jak się czujesz? - spytał tonem zaprzyjaźnionego lekarza domowego, odwiedzającego chorą podopieczną.

- Fatalnie - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- Carrie opowiedziała nam, co się stało.

- Zachowałam się okropnie wobec niej.

- Tego nam nie mówiła, tylko to, że masz straszne zmartwienie. Zresztą każdy by się zmartwił, gdyby otrzymał przez telefon taką wiadomość! Nigdy nie lubiłem dowiadywać się o czymkolwiek na odległość, bo gdy nie widzi się twarzy tego drugiego - człowiek czuje się zupełnie bezsilny.

- To jeszcze nie byłoby takie złe, gdybym lubiła tego Randalla.

- Może z czasem go polubisz?

- Nie przypuszczam.

Patrząc na Oskara, jego miłą twarz i łagodne oczy pod ciężkimi powiekami, co nadawało im wyraz pewnego smutku, myślała sobie, że kogoś takiego polubiła od razu, podczas gdy Randalla Fischera nie polubiłaby nawet za miliony lat.

- Byłam taka niemiła dla Carrie! - Na samo wspomnienie tego jej oczy wypełniły się znowu łzami, ale uważała, że musi mu to wyznać. - Krzyczałam na nią i kazałam jej się wynosić, chociaż ona była dla mnie taka dobra! Tak mi przykro!

Pociągnęła nosem, a wargi jej drżały jak u dziecka. Oskar wyciągnął z kieszonki eleganckiej welwetowej marynarki mocno spraną chusteczkę, przesyconą zapachem wody fryzjerskiej. Podał ją Lucy, żeby wytarła nos. Od razu poczuła się trochę lepiej.

- Na ogół nie krzyczę na ludzi - zapewniła.

- Wiem, że nie, ale najgorsze jest to, że gdy jesteśmy zli albo jest nam smutno, zwykle wyładowujemy się na naszych najbliższych i najbardziej kochanych.

- To wszyscy tak robią? - zdziwiła się.

- Przeważnie.

- Niemożliwe, ty chyba nigdy na nikogo nie krzyczałaś.

Oskar uśmiechnął się tym ciepłym uśmiechem, który rzadko gościł na jego wargach i od razu zmieniał całe jego zachowanie.

- Zdziwiłabyś się! - powiedział z powagą.

- Tak mi głupio, bo wiem, że właściwie powinnam się cieszyć, ale to było dla mnie...

- Zaskoczenie, prawda?

- To jeszcze nie byłoby najgorsze, gdyby chodziło o kogoś stąd, kogo już bym znała. Ale za nic nie chciałabym nagle znaleźć się w Ameryce, w zupełnie innej szkole, wśród obcych ludzi! Londyn jaki jest, taki jest, ale przynajmniej wiem, na czym stoję. Z babcią też nie mogę zostać, bo ona robi z powodu wszystkiego dużo zamieszania, a tak naprawdę obchodzą ją tylko jej znajomi i rozgrywki brydżowe. Kiedy przychodzą goście na brydża, nie pozwala rai nawet wejść do pokoju, żeby się przywitać. A znów kiedy do mnie przychodzi Emma, jest zła, że niby robimy za dużo hałasu. Nie, Oskarze, ja naprawdę nie mogę z nią wytrzymać!

- Rzeczywiście.

Jego ręka spoczywała na narzucie, więc gdy Lucy oddała mu chusteczkę - wziął ją od niej i ujął jej dłoń w swoją. Taki fizyczny kontakt przysporzył jej ciepła i bezpieczeństwa, dzięki czemu ławiej jej było się otworzyć.

- Najgorsze, że nie wiem, co dalej będzie - wyznała. - I to, że jestem za młoda, aby cokolwiek z tym zrobić.

- Myślę, że nie musisz sama nic z tym robić - pocieszył ją.
- Pozwól, żeby ktoś zrobił to za ciebie.
- A kto taki?
- Na przykład ja.
- Ty?
- Posłuchaj uważnie, bo mamy pewien pomysł. Obgadaliśmy to już na dole. Gdybyś tak po Nowym Roku nie wracała do Londynu z Carrie, tylko została tutaj z Elfridą? Ja tymczasem pojechałbym z Carrie do Londynu i zobaczył się z twoją babcią w Bournemouth.
- I co byś jej powiedział? - zaniepokoiła się Lucy.
- Zaproponowałbym, żebyś, dopóki twoja mama nie ułoży sobie jakoś życia, została z nami w Creagan, przynajmniej na razie.
- Dobrze, ale co będzie ze szkołą? Przecież muszę wracać do szkoły!
- Oczywiście, że musisz, ale mogłabyś zwolnić się na semestr z twojej szkoły w Londynie i przez ten czas chodzić do szkoły w Creagan. Peter Kennedy przyjaźni się z dyrektorem tutejszej szkoły, więc może to załatwić. Myślę, że twoja dyrektorka nie będzie miała nic przeciwko temu.
- Panna Maxwell-Brown?
- Ona się tak nazywa?
- No wiesz, przecież nie mogę tak po prostu opuścić szkoły...
- Nikt ci nie każe tego robić. Wystarczy, abyś zwolniła się na jeden semestr. Wiele dzieci znajduje się w podobnej sytuacji, kiedy na przykład ich rodziców wysyłają na placówkę za granicę. Jestem pewien, że panna Maxwell-Brown pójdzie ci na rękę i będzie trzymać dla ciebie miejsce, dopóki kryzys nie zostanie zażegnany.
- Lucy chciała się upewnić, czy dobrze słyszy, gdyż to, o czym mówił Oskar, wydawało się za piękne, aby mogło być prawdziwe.
- To znaczy, że nie musiałabym po Nowym Roku wracać do Londynu, tylko mogłabym zostać tu z tobą i Elfridą?
- Jeśli tego chcesz. To powinna być twoja decyzja.

Lucy musiała to wszystko dokładnie przetrwać. Wydawało się jej, że realizacja tego pomysłu napotka mnóstwo przeszkód. Jedną z nich mogła być Elfrida.

- Babcia nigdy nie zaakceptuje Elfridy - wyraziła swoje wątpliwości.

- A wierzę, wierzę! - roześmiał się Oskar. - Ale na pewno zaakceptuje mnie, jeśli przedstawię się jej jako organista i były dyrektor szkoły z nieposzlakowaną przeszłością. To chyba ją przekona?

- Na pewno, jeśli za tę cenę będzie miała mnie z głowy! - Lucy zdobyła się nawet na żart.

- A co z twoją matką?

- Ona nigdy specjalnie się mną nie przejmowała, a tym mniej teraz, kiedy ma swojego Randalla.

- A więc z jej strony nie powinno być przeszkód?

- Nie przypuszczam.

- Carrie jutro zadzwoni do jednej i drugiej, żeby poinformować je o naszych planach. Na razie wybiegamy naprzód mniej więcej do Wielkiejnocy, a potem będziemy się zastanawiać, co dalej.

- Ja na pewno nie zmienię zdania. Nie chcę słyszeć o żadnej Ameryce.

- Trzymajmy się więc tego. Możesz zostać tu z nami, jak długo zechcesz. Będziesz chodziła do szkoły w Creagan, dopóki jej nie ukończysz. Potem rozejrzemy się za jakąś koedukacyjną szkołą średnią z internatem. Znam dużo takich placówek, gdzie panuje bardzo przyjemna atmosfera. Mam znajomości wśród nauczycieli, więc będę mógł zasięgnąć języka. Razem zorientujemy się w sytuacji, żebyś mogła dokonać wyboru.

- To samo mówił Rory, kiedy rozmawialiśmy na ten temat.

- To mądry chłopak i dobrze, że jest twoim idolem. To on spowodował nas do działania. Powiedział nam: „Musicie coś zrobić”, i miał zupełną rację.

- Tak, ale...

- Co jeszcze?

- Przecież nie będziecie mnie tu trzymać przez dwa lata!

- A niby dlaczego nie?

- No bo moglibyście być moimi dziadkami, a babcia ciągle wymawiała się, że nie da rady.

- Och, Lucy! - roześmiał się Oskar. - Dziadkowie to świetny wynalazek. Jak świat światem, dziadkowie zawsze mieli sporo czasu, aby zająć się dziećmi, i dawało im to masę radości. Zobaczysz sama.

- I wy naprawdę chcielibyście, żebym z wami zamieszkała?

- Bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

- Nie będę wam przeszkadzać?

- Nigdy.

- A gdybyście przeprowadzili się do domku w Corrydale, a ten sprzedali Samowi?

- I co z tego?

- Tam pewnie nie starczyłoby dla mnie miejsca.

- Jeszcze nie obejrzelśmy sobie dokładnie tego domu, ale jeśli będzie trzeba, najwyżej się go przerobi. Urządzimy specjalny apartament i przybijemy na drzwiach tabliczkę: „Pokój Lucy”.

- Naprawdę nie wiem, dlaczego jesteście tacy dobrzy!

- Ponieważ cię kochamy i potrzebujemy. Może jestem egoistą, ale nie mam zamiaru cię stąd wypuścić. Zdążyłem już się przyzwyczaić do dźwięku twego głosu, śmiechu, kroków na schodach... Gdybyś nas opuściła, pewnie popadłbym w depresję!

Lucy coś sobie przypomniała.

- A wiesz, że kiedy tylko przyleciałyśmy z Londynu, bałam się spotkania z tobą, bo Carrie opowiedziała mi o twojej córce...

- Ona miała na imię Francesca.

- Właśnie, bałam się, że mój widok będzie cię denerwował, bo będę przypominać ci Francescę.

- Owszem, przypominasz mi Francescę, ale wcale to mnie nie denerwuje.

- Jak ona wyglądała?

- Mniej więcej tak jak ty, ale miała długie, jasne włosy, piegi na nosie i aparat na zębach. Była zresztą o dwa lata młodsza od ciebie. Wiecznie gdzieś się spieszyła, nigdy nie usiedziała spokojnie, najwyżej wtedy, kiedy razem czytaliśmy na głos...

- Kiedy byłam mała i mój tatuś jeszcze mieszkał z nami, lubiliśmy tak czytać *Kłopoty rodu Pożyczalskich*. Nawet w żartach nazywał mnie Arietta. Pamiętam jeszcze, że używał do kąpieli olejku Badedas i cały dom wtedy pachniał sosną. A co Francesca lubiła robić?

- Właściwie wszystko. Miała kucyka, stary Rower i morską świnkę w klatce, a w swoim pokoju masę książek. W deszczowe dni lubiła przesiadywać w kuchni i piec ciasteczka. Przeważnie wychodziły nie dopieczone albo przypalone, ale zawsze je jadłem i udawałem zachwyty. Razem też słuchaliśmy muzyki i grywaliśmy na cztery ręce na fortepianie...

- Dobrze grała?
- Niespecjalnie.
- Więc może dobrze się uczyła?
- Też nie za bardzo.
- A w czym była naprawdę dobra?
- W życiu.
- To chyba też ważne.
- Bardziej niż cokolwiek innego. Pamiętasz, kiedy poszliśmy do kościoła, a tam rozmawialiśmy o Bożym Narodzeniu i Przesileniu Zimowym? Wtedy po raz pierwszy byłem w stanie myśleć o Francesce bez rozpacz. Przypomniałem sobie, że mniej więcej rok temu odbyłem z nią podobną rozmowę. Próbowałem wytłumaczyć jej, co to jest gwiazda betlejemka, wyjaśnić naukową teorię czasu. Wysłuchiwała mnie, ale nie dała się przekonać. Nie chciała w to wierzyć. Wolała legendę, tak jak ja.

*W środku mroźnej zimy
lodowaty wiatr lamentował,
Ziemia była twarda jak żelazo,
a woda jak kamień.*

Ona wolała widzieć Boże Narodzenie właśnie w ten sposób, inaczej nie miało ono tej specyficznej magii. Ponieważ kolędy, zmrok i prezenty były częścią mijającego czasu, kiedy cały świat wlatywał do gwiazd.

- Te święta też takie będą - zapowiedziała Lucy.
- No więc zostań z nami, kochanie.
- Kocham cię, Oskarze.

- Pamiętaj, że miłości na tym świecie jest dużo.
- Nigdy o tym nie zapomnę.
- Może teraz zejdziesz na dół i coś zjesz, jeśli jeszcze coś dla nas zostało?
- Dobrze, ale muszę najpierw umyć twarz i przyczesać włosy.
- W takim razie... - Oskar poklepał ją po rękę, wstał z łóżka i skierował się ku drzwiom. Lucy odprowadzała go wzrokiem, więc jeszcze odwrócił się i pożegnał ją uśmiechem. - Tylko pośpiesz się, kochanie!

Wigilia Bożego Narodzenia

W tej strefie klimatycznej człowiek budził się rano, nie wiedząc, jaki dzień go czeka. Jednak poranek w Wigilię Bożego Narodzenia przypominał dzień wiosenny. Śnieg stopniał, utrzymując się już tylko na szczytach wzgórz, które lśniły w wąłym, zimowym słońcu, stojącym na bezchmurnym niebie. Promienie słońca w połączeniu z bezwietrzną pogodą dawały nikłe ciepłko, z bezlistnych koron drzew odezwały się ptaki, a w ogrodzie Zarządu Majątku pod krzakiem bzu przebiło się nawet kilka przebiśniegów!

W ogrodzie Rosę Miller w Corrydale stał karmnik dla ptaków, regularnie napełniany resztkami i okruchami, z zawieszonym na stałe woreczkiem orzeszków. Zlatywały się doń hurma gołębie i szpaki, podczas gdy sikorki i gile wołały dziobać orzeszki lub skórki od słoniny, które Rosę wieszała dla nich na sznurku. Krążyły nad karmnikiem, zawisały w powietrzu lub kryły się w gęstwinie gałęzi krzewu głogu, które aż trzęsły się od trzepotu skrzydeł.

Przy ładnej pogodzie i czarnej nawierzchni dróg Oskar i Elfrida mogli sami pojechać do Corrydale samochodem Oskara. Carrie, Sam, Lucy i Rory Kennedy mieli dojechać później, bo Carrie przypomniała sobie, że musi najpierw zadzwonić do siostry przebywającej na Florydzie. Odbyła już rozmowę tele-

foniczną z matką odpoczywającą w Bournemouth i, o dziwo, poszło jej łatwiej, niż myślała. Dodie była zadowolona, że zdjęto jej z głowy odpowiedzialność za Lucy, więc wyrażała się w słomych superlatywach na temat gościnności i życzliwości Elfridy, zapominając, że przedtem zwykła była odsądzać ekscentryczną kuzynkę swego dawnego męża od czci i wiary.

- Oskar odwiedzi cię w Bournemouth, bo chciałby cię poznać - obiecała Carrie. - Jeśli zechcesz, będziecie mogli dokładnie wszystko obgadać.

Dodie nie tylko zaakceptowała ten pomysł, ale nawet zaofiarowała się zaprosić Oskara na podwieczorek w salonie dla gości hotelowych. Pozostało więc jeszcze tylko przekonać Nicole do planów związanych z jej córką. Elfrida była pewna, że Carrie nie będzie miała z tym problemów. Nicola mało przejmowała się losem innych, jeśli tylko jej życie układało się bez przeszkód.

Elfrida wspomniała coś o zupie i kanapkach na piknik, ale Carrie i Sam wypchnęli ją z kuchni, obiecując, że sami się tym zajmą. Mogła więc z lekkim sercem wyruszyć z Oskarem w drogę. Teraz więc obserwowała ptaki przy karmniku Rosę Miller z okna jej salonu. W ogrodzie Rosę nie było o tej porze roku warzyw ani kwiatów, tylko kilka krzaczków brukselki. Jednak starannie przekopane i zagrabione grządki tylko czekały na czas siewu. Ogród urządzono na długiej i wąskiej działce wzdłuż pochyłości zbocza. Drewniany płot i kilka karłowatych, pokrzywionych buków oddzielało go od pól schodzących nad samą zatokę i wzgórz po jej drugiej stronie. Elfrida z zainteresowaniem śledziła tę panoramę, bo widok z okien domku majora Billicliffe'a był podobny. W przejrzystym zimowym powietrzu wszystkie kolory i kształty rysowały się o wiele wyraźniej niż zawsze, a na ich tle bezlistne gałęzie drzew wyglądały jak czarna koronka. Elfrida dawno nie widziała czegoś równie pięknego.

Oskar i Rosę siedzieli za nią, przy kominku, na którym płonęły bryły torfu. Pili świeżo zaparzoną kawę, a Rosę, odkąd Oskar i Elfrida przyjechali do niej, ani na chwilę nie przestała rozprawiać.

- ...jasne, że ten biedny staruszek pozostawił dom w strasz-

nym stanie! Po śmierci jego żony Betty Cowper, ta, która jest zamężna z traktorzystą, starała się mu pomagać w miarę możliwości. Wiele jednak zrobić nie mogła, bo miała dosyć roboty z mężem i trójką dzieci. Kiedy tylko dowiedzieliśmy się, że pan major umarł, poszliśmy tam z Betty i spróbowałyśmy jako tako uporządkować ten dom. Większość jego rzeczy nadawała się tylko do spalenia, więc popakowałyśmy do walizek to, co jeszcze było w niezłym stanie i może się przydać dla biednych. Zdaje mi się, że pan major nie miał nic wartościowego, ale zostawiłyśmy jego książki i inne rzeczy tam, gdzie były, żebyście mogli zdecydować, co z tym zrobicie.

- To bardzo ładnie z twojej strony, Rosę.

- Betty posprzątała, co się dało, wyszrowała podłogę w kuchni i łazienkę, która była w strasznym stanie. Co za nieszczęście, żeby umierać w samotności i opuszczeniu! Powiadacie, że pogrzeb ma się odbyć pod koniec tygodnia? Dajcie mi znać, proszę, kiedy będziecie dokładnie wiedzieć. Chciałabym w tym uczestniczyć.

- Oczywiście, musisz wiedzieć, że to ma być kremacja. Zabierzemy cię samochodem do Inverness.

- To naprawdę nie była wina tego biednego człowieka, że tak zapuścił ten dom. Kiedy go przejmiecie, zamówicie brygadę budowlaną i przerobicie sobie, jak wam będzie pasować.

- Jeszcze nie zdecydowaliśmy się, czy go weźmiemy - uważał nieśmiało Oskar.

- A niby dlaczego nie mielibyście wziąć? - oburzyła się Rosę. - Major Billicliffe nie zostawiłby wam domu, gdyby nie wierzył, że w nim zamieszkacie. Wyobraź sobie, po tylu latach masz szansę powrotu do Corrydale!

- Wiesz, Rosę, ten dom może okazać się za mały. Ma tu zamieszkać z nami pewna młoda osoba.

Rosę zaniósł się tubalnym śmiechem.

- No nie, chyba mi nie powiecie, że spodziewacie się małego dziecka!

Oskar, niespieszony, wyjaśnił, o co chodzi.

- Skąd, Rosę, nic z tych rzeczy. Tylko, widzisz, na święta przyjechała do nas czternastoletnia kuzynka Elfridy, Lucy. Jej matka po raz drugi wyszła za mąż, za Amerykanina, a Lucy nie

chce mieszkać ani z tym ojczymem, ani z babcią w Londynie, tylko tu, z nami.

- Ależ to wspaniałe! - zachwyciła się Rosę. - Wszystkim nam dobrze zrobi, jeśli będzie się tu kręcić jakaś młoda osoba. Może zaprzyjaźni się z dziećmi Betty Cowper, one są trochę młodsze, ale bardzo towarzyskie. Zresztą Corrydale to raj dla dzieci. Mogą tu wszędzie biegać i jeździć na Rowerach bez obawy, że wpadną pod ciężarówkę!

Elfrida zrezygnowała z obserwacji ptaków i przesiadła się na stary fotel obok Oskara i Rosę. Sięgnęła po swoją filiżankę kawy.

- Może uda się nam powiększyć dom majora, na przykład przez dorobienie przybudówki? - zaryzykowała.

- Tak, ale do tego będziecie musieli starać się o zezwolenie budowlane! - rozważnie przestrzegła Rosę. W swym długim życiu zdążyła się napatrzeć na różne posunięcia lokalnych władz. - Taki na przykład Tom Cowper postawił bez zezwolenia szklarnię i ani się obejrzał, jak kazali mu ją rozebrać. A ta... dziewczynka, gdzie ona teraz jest?

- Dojedzie tu później, razem ze swoją ciotką Carrie, moją kuzynką - wyjaśniła Elfrida. - Będzie jeszcze Rory Kennedy i Sam Howard, nasz nowy znajomy. Przyjechał tylko zobaczyć budynek Zarządu Majątku i nie mógł się stąd ruszyć z powodu śnieżyicy.

- A kim on jest?

- Nowym dyrektorem Zakładów McTaggarta.

- Coś podobnego, tylu gości! Kiedy Oskar zadzwonił, że chcecie urządzić tu sobie piknik, wzięłam klucz od Betty i napaliłam w kominku, żeby wam nie było zimno. Ale w taki dzień jak dzisiaj świetnie możecie rozłożyć się z tym wszystkim w ogrodzie. Zupełnie jakby Pan Bóg sprawił, żebyście zobaczyli swoją posiadłość z najlepszej strony.

- Rzeczywiście na to wygląda - musiała przyznać Elfrida.

Rosę była drobną, starszą kobietką, ruchliwą i zwinną jak ptaszek. Nosiła tweedową spódnicę i bluzkę z kołnierzykiem spiętym broszką, a na to rozpinany, niebieski sweterek z wełny szetlandzkiej. Jej bystre, piwne oczy doskonale obydwały się bez okularów, rzadkie, siwe włosy miała ściągnięte w ko-

czek, a jej zaawansowany wiek zdradzały tylko ręce - spracowane i zdeformowane artretyzmem. Taką samą barwnością i schludnością cechował się jej dom, gdzie na stołach stało pełno bibelotów, cacek z porcelany i zdjęć rodzinnych w ramach. Nad kominkiem wisiał portret jej siostrzeńca w marynarskim mundurze. Siostrzeniec zginął podczas drugiej wojny światowej.

Rosę nigdy nie wyszła za męża. Całe swoje życie poświęciła usługiwaniu pani McLellan we dworze Corrydale. Nie rozpa- cząła jednak, kiedy dwór adaptowano na hotel, który nie nale- żał już do rodziny. Po prostu przeszła nad tym do porządku dziennego.

- A co będziecie robić jutro? - zagadnęła.

- Nie wiem, pewnie odpakowywać prezenty! - roześmiała się Elfrida. - Choinka stoi w jadalni, a wieczorem zjemy świąteczną kolację.

- Boże, świąteczna kolacja! Pamiętam, jakie przyjęcia od- bywały się za dawnych czasów w Corrydale, na koronkowych obrusach i przy świecach! Zjeżdżały się tłumy krewnych i zna- jomych, wszyscy w wieczorowych strojach. To samo w Wi- gilię, też była uroczysta kolacja, a potem wszyscy jechali do Creagan na pasterkę. Podstawiano nawet samochód dla służby! Pamiętam, jaką sensację budzili w kościele panowie w od- świętnych płaszczach i czarnych krawatach, a na czele pani McLellan w długiej taftowej sukni i futerku z norek... Aż miło było patrzeć. Ty tego nie pamiętasz, Oskarze.

- Nie, bo nigdy nie przyjeżdżałem do Corrydale na święta.

- Wszystkie dobre, stare zwyczaje poszły do lamusa, odkąd Hughie przejął majątek. Nie wiem, czy on w ogóle chodził do kościoła. Przykro pomyśleć, że takie dobra dostały się chłyst- kowi, który wszystko przepuścił! - Westchnęła nad niego- dziwością Hughiego. - Co tam, było, minęło. A ty, Oskarze, pójdziesz na pasterkę? Przecież masz blisko, po drugiej stronie ulicy.

- Ja raczej nie. Może tamci? - wymówił się.

No wiesz, Oskarze! - pomyślała ze smutkiem Elfrida, ale nie skomentowała głośno jego wypowiedzi. W końcu był to jego problem, z którym musiał sam sobie poradzić. Tak jakby po-

kłócił się ze starym przyjacielem - nie było wyjścia z impasu, dopóki ktoś pierwszy nie wyciągnął ręki do zgody. Może w przyszłym roku Oskar poczuje się dostatecznie silny, aby pokonać ostatnią przeszkodę.

- Ja w każdym razie pójdę - ratowała sytuację. - Reszta, jak kto zechce. Myślę, że Lucy na pewno będzie chciała iść do kościoła, no i na pewno Carrie. Kościół w nocy wygląda tak pięknie! A ty, Rose, idziesz na pasterkę?

- Za nic w świecie nie opuściłabym mszy świętej! Mój siostrzeniec Charlie obiecał, że mnie zawiezie.

- No więc zobaczymy się w kościele.

Oskar coś sobie przypomniał albo może po prostu chciał zmienić temat.

- Rose, major Billicliffe zapisał mi jeszcze coś, czym nie jestem już tak zachwycony. Chodzi o psa.

- Czyżby zostawił ci swoją Brandy?

- Obawiam się, że tak.

- I nie chciałbyś jej wziąć?

- Nie, bo mAmy już innego psa.

- Najlepiej więc, żeby Charlie ją zatrzymał. Polubił tę starą sukę, zabiera ją nawet do pracy, a dzieci zapłakałyby się, gdyby musiał ją oddać.

- Czy jesteś tego pewna? Może najpierw rozmówiłbym się z Charliem?

- Już ja z nim pomówię! - zapowiedziała Rose tonem źle wróżącym Charliemu, gdyby nie zastosował się do jej woli. - Oczywiście, że zatrzyma tego psa. Chcecie jeszcze kawy?

Trzeba jednak było się zbierać. Kiedy goście wstali z miejsc, Rose wyjęła klucz ze starego porcelanowego czajniczka, który stał na gzymsie kominka. Dała go Oskarowi i odprowadziła gości do drzwi.

- Lepiej zostawcie tu wóz i przejdźcie się piechotką - radziła. - Do domu majora jest raptem parę kroków, a tam nie ma dużo miejsca do parkowania.

- A nie zastawimy wam drogi?

- Niby dlaczego mielibyście zastawić?

Posłuchali więc rady Rose, zatrzymując się tylko po to, aby wypuścić Horacego, który w czasie ich pobytu u Rose siedział

zamknięty w samochodzie na wypadek, gdyby zachciało mu się zapolować na królika lub bażanta. Pies radośnie wyskoczył przez otwarte drzwi i z rozkoszą wdychał nowe dla siebie zapachy.

- Dla psa to chyba coś takiego jak dla nas zabłądzić w dziale perfumeryjnym Harrodsa - zauważyła Elfrida. - Chętnie kupiłby buteleczkę takiego zapachu i skropiłby się za uszami.

Wysoko, na gałęziach drzew, krakały gawrony. Elfrida, patrząc w niebo, dostrzegła białą, prostą, jakby była nakreślona przy linii, smugę pozostawioną przez czterosilnikowy odrzutowiec pasażerski. Leciał tak wysoko, że lepiej było widać smugę niż samolot, ale można było określić kierunek lotu - na północny zachód. Pewnie leciał z Amsterdamu.

- Masz pojęcie, że w tej małej kropce w tej chwili siedzą ludzie, jedzą orzeszki, czytają gazety i zamawiają gin z tomkiem? - zagadnęła Elfrida.

- Prawdę mówiąc, jakoś nigdy nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Ciekawe, dokąd oni lecą.

- Może do Kalifornii przez Biegun Północny?

- Na Boże Narodzenie to by nawet pasowało, ale cieszę się, że nie wyjeżdżam na święta do Kalifornii.

- Naprawdę?

- Owszem, wolę piknik w domku majora Billicliffe'a. W ogóle musimy jakoś inaczej nazwać ten domek, bo przecież majora już nie ma wśród nas.

- Przedtem to była leśniczówka, ale z czasem na pewno stanie się domem Oskara Blundella. Czy to ma sens?

- Oskarze, wszystko, co mówisz, ma sens.

Jeden dom od drugiego oddzielało nie więcej niż sto metrów, których przejście zajęło zaledwie kilka chwil. Nowa posiadłość Oskara miała te same wymiary co domek Rosę, ale brakowało jej wdzięku. Negatywne wrażenie potęgował jeszcze zardzewiały wrak samochodu zaparkowanego pod domem. Elfrida przypominała sobie pierwszą wizytę w tym domu, kiedy po ciemku, zmęczeni podróżą, namierzili wreszcie siedzibę majora, aby odebrać odeń klucz od Zarządu Majątku. Od tamtego

wieczoru tyle się wydarzyło, że zdawało się jej, jakby minęły lata.

Do drzwi wejściowych pRowadził podjazd wysypyany morskimi kAmykami, które chrzęściły pod nogami idących. Oskar włożył klucz do zamka, przekręcił go i nacisnął mosiężną klamkę. Drzwi otworzyły się do wewnątrz i Elfrida śladem Oskara weszła do małego saloniku.

W środku panowało przeraźliwe zimno i wilgoć, czyli to, czego Elfrida najbardziej się obawiała. We wpadającym przez okno świetle słonecznym widać było, że Rosę do spółki z Betty Cowper wyszoRowały, co się dało, wyczyściły popielniczki, wytrzepały dywany i wymiotły śmiecie. W powietrzu unosił się zapach mydła i silnego środka dezynfekującego. Błat biurka był zasunięty, a z barku na kółkach znikły puste butelki i brudne szklanki. Nawet bawełniane zasłonki zostały uprane i uprasowane, a w palenisku kominka naszykowano drewna i papier na podpałkę. Mosiężne wiaderko na węgiel było wypoleRowane i napełnione brykietami, a obok przygotowany stosik grubszych bierwion.

- Zacznijmy od najważniejszego - zapowiedział Oskar. Zdjął kurtkę, przyklął przy palenisku i przyłożył zapaloną zapałkę do przygotowanych gazel, od których zaraz zajęły się drewna.

Na przeciwległej ścianie pokoju znajdowały się te same drzwi, które poprzednio tak szturmowała poczciwa Brandy, co wypRowadzało Elfridę z równowagi. Teraz już bez przeszkód mogła je otworzyć. Za nimi znajdowała się wyiębiona i prymitywnie urządzone kuchnia, zbudowana z żużlobetonowych pustaków, z oknami o metalowych ramach. Do jej wyposażenia należał ceramiczny zlew, szczebelkowa suszarka do naczyń, mała lodóweczka i kuchenka gazowa. Niewielki stolik był przykryty ceratą, a podłoga - wytartym linoleum. Niczego więcej tam nie było. Oszklone do połowy drzwi pRowadziły na zewnątrz, gdzie na małym, wybrukowanym placu stały połamane taczki, widły szerokożębne i donica z uschniętymi pe-largoniami. Nigdzie natomiast nie rzucało się w oczy żadne urządzenie grzewcze - wszędzie panowało upiorne zimno.

Elfrida wróciła do Oskara, który dorzucił już węgla do ognia. Dołożył do tego jedno lub dwa grubsze polana.

- Ciekawe, czym major Billicliffe ogrzewał swój dom - zagadnęła.

- Chodźmy i zobaczymy - zaproponował Oskar, otrzepując ręce o sztruksowe spodnie.

Poszukiwania nie potrwały długo. Przez mały korytarzyk przeszli do jadalni, gdzie podczas ich pierwszej wizyty na krzesłach suszyły się koszule majora. Tu także Betty i Rosę pracowały się solidnie, aby nadać pomieszczeniu w miarę przyzwoity wygląd. Znikły stamtąd tekturowe pudła i sterty starych gazet, a blat stołu wypolerowano i ustawiono przy nim cztery krzesła.

Z tego pokoju wąskie i strome schody prowadziły na piętro, gdzie znajdowały się dwie sypialnie. W jednej z nich pozostawiono tylko dwie stare skórzane walizki. Elfrida przypuszczała, że sprzątające panie spakowały do nich lepsze rzeczy majora. Przykryły także łóżko świeżą bawełnianą narzutą i wyprały szmaciane dywaniki.

- Moglibyśmy się tu wprowadzić choćby jutro - zauważyła Elfrida, ale szybko dodała, w obawie, aby Oskar nie podchwycił jej słów: - Oczywiście gdybyśmy tylko chcieli.

- Chyba na razie jeszcze nie chcemy, prawda, kochanie?

Druga sypialnia była mniejsza, a łazienka nie znajdowała się wprawdzie w tak strasznym stanie, jak opowiadała Rosę, nie zachęcała jednak do długiego moczenia się w kąpieli z dodatkiem aromatycznych olejków. Wanna była pokryta wewnątrz plamami rdzy, umywalka pęknięta, a linoleum zawijało się na rogach. Na drewnianym wieszaku wisiał przetarty, lecz czysty ręcznik, a na umywalce leżała kostka mydła Lifebuoy.

Główną zaletę łazienki i kuchni stanowił widok z okien. Elfrida otworzyła je z pewną trudnością i wyjrzała na zewnątrz. Wszędzie panował spokój, przerywany tylko szumem drzew poruszanych ledwo dostrzegalnym wiatrem. W tę ciszę wdarł się smutny krzyk kulików, lecących w stronę wody. Pod oknami rozciągał się zaniedbany ogród z resztkami wyschłej trawy i chwastów oraz dwoma zardzewiałymi słupkami, między którymi rozpinano kiedyś linkę do wieszania bielizny. Chyba

przez całe lata nikt tam nic nie robił, ale jakoś widok ten nie działał na Elfridę przygnębiająco. Może dlatego, że przypominał jej to, co podziwiała z okna Rose. Tak samo pola schodziły z pochyłości aż nad samą wodę, a w oddali majaczyły wzgórza. Taki widok stanowił dobre uzupełnienie dla domu, który nie wiązał się ze szczęśliwymi wspomnieniami. Elfridę natchnął do refleksji, że sytuacja jest ciężka, ale nie beznadziejna. Ten dom i ogród potrzebowały po prostu, jak żywa istota, odrobiny serca, a wtedy wróciłoby tam życie. Brakowało jeszcze tylko czegoś do ogrzania tego wnętrza...

- No, to idę na dwór zrobić przegląd swoich włości - zapowiedział tymczasem Oskar.

- Tak, zrób to koniecznie! Zobaczysz, jak pięknie obrodziły ci chwasty!

Słyszała, jak schodzi po schodach, gwizdząc na Horacego. Po chwili zobaczyła go z okna. Z Horacym u nogi przeszedł przez całą długość swojej działki, a zatrzymał się dopiero przy wałącym się płocie, który stanowił jej granicę. Oparł się łokciami o słupek i wpatrzył się w ptaki morskie wlatujące z brzegów zatoki. Elfrida postanowiła, że kupi mu lornetkę, aby mógł obserwować ptaki. Zauważyła, że Oskar czuje się tu swobodnie i jest odprężony, jak prawdziwy ziemianin, który wrócił do swoich dóbr.

Z uśmiechem zamknęła okno i z łazienki przeszła z kolei do najmniejszej sypialni. Chciała ją dobrze obejrzeć, gdyż od razu pomyślała, że można będzie przeznaczyć ten pokój dla Lucy. Zastanawiała się, czy zmieści się tu biurko, aby dziewczynka miała gdzie odrabiać lekcje. Oceniała, że będzie to możliwe, jeśli podwójne, małżeńskie łóżce z czarnego dębu zastąpi się pojedynczą wersalką. Szkoda tylko, że okna tej sypialni wychodziły na północ, bo pokój mógł być trochę ciemny. Może da się coś wymyślić od strony zachodniej...

W tym momencie usłyszała warkot nadjeżdżającego samochodu, więc wyjrzała przez okno. Widać stąd było podskacujący na wybojach land-rover Sama, zatrzymujący się przed)wartą bramą. Z tylnych drzwi wytoczyła się Lucy.

- Elfrido! - wołała radośnie, jakby po raz pierwszy w życiu wszystko jej się udało. Po raz pierwszy też wyglądała na

szczęśliwą i pełną optymizmu. Elfrida wybiegła więc z pokoju, aby szeroko otworzyć drzwi i ramiona. Lucy rzuciła się jej na szyję i wylewnie się uściśniły. Zanim Elfrida zdołała otworzyć usta - zalała ją potokiem słów. - Och, Elfrido, jak wszystko wspaniale poszło! Carrie ma taką siłę przekonywania! Mamusia na początku nie rozumiała, co my tu planujemy, i Carrie musiała tłumaczyć jej dwa razy. Wmówiła mamie, że powinna teraz myśleć przede wszystkim o sobie i Randallu, żeby mieli udany miodowy miesiąc i jak najlepiej wykorzystali czas przed powrotem do Anglii. I rzeczywiście, mama wygadała się, że wybiera się w podróż poślubną na Hawaje, a potem do Cleveland, żeby zobaczyć drugi dom Randalla, więc potrzebuje sporo czasu i bardzo jest ci wdzięczna, że będę mogła u ciebie zostać!

Elfrida, szczerze ucieszona, nie zaniedbywała jednak spraw praktycznych.

- A co będzie z twoją szkołą w Londynie? - dopytywała.

- Mamusia obiecała, że to załatwi. Zadzwoni do panny Maxwell-Brown, wszystko jej wyjaśni i poprosi, żeby zatrzymała dla mnie miejsce do przyszłego lata. Chciała też pomówić z tobą, ale Carrie powiedziała, że tu jesteś, więc mama ma zadzwonić innym razem. Elfrido, ten dom jest naprawdę cudowny, ale co tu robi ten stary gruchot?

- Pewnie rdzewieje.

- A gdzie się podział twój?

- Stoi na podwórzu u Rose.

- Już myśleliśmy, że zamieniłaś go na ten...

- No wiesz! Jak mogliście tak pomyśleć?

- Czy on w ogóle jeździ?

- Nie mam pojęcia.

- Rory na pewno potrafi go uruchomić. Aha, wiesz, jaki on dostał list? Że już w połowie miesiąca wyjeżdża do Nepalu! Czy to nie fascynujące? Szkoda tylko, że nie będzie go tutaj, kiedy ja tu będę, ale wraca już w sierpniu, żeby zdążyć przygotować się na studia. Czy to jest salon? O, już napaliliście w kominku! Jak tu teraz przytulnie! A gdzie jest Oskar?

- W ogrodzie.

- Jak tam się dostać?

- Przez kuchnię. Tam są takie oszklone drzwi...

Lucy, nie tracąc czasu, wybiegła do ogrodu, głośno wołając Oskara po imieniu. Po niej pojawiła się Carrie, dźwigając ogromny koszyk, z którego wystawały szyjki butelek i termosów.

- No, już jesteśmy. Przepraszam, że daliśmy wam czekać. - Postawiła z głośnym stukotem koszyk na podłodze. Prostując się, pokazała Elfridzie palce złożone w znak zwycięstwa. - No, przekonałam Nicole. Mamy już jej rodzicielską zgodę, żeby Lucy została z wami i chodziła w Creagan do szkoły. Nicola zaofiarowała się nawet partycypować w kosztach jej wyżywienia i utrzymania.

- Ależ ja nawet o tym nie myślałam! - obruszyła się Elfrida.

- Wcale cię o to nie posądzałam. Mało tego, ona chce złożyć nam wizytę, kiedy wróci do kraju. Wyobrażam sobie, jaką luksusową limuzyną tu przyjedzie z Randallem Fischerem za kółkiem, żeby olśnić nas wszystkich, a przy okazji otaksować ciebie i Oskara z góry na dół.

- No wiesz, Carrie, nie bądź złośliwa.

- Kiedy już wyobrażam sobie, jak będzie zadzierać nosa!

- A co nas to obchodzi? Będziemy robić swoje i tyle. W każdym razie zrobiłaś dobrą robotę.

Uściśnieły się radośnie, ale zaraz Carrie odsunęła się i przybrała poważny wyraz twarzy.

- Elfrido, daj mi słowo, że to nie będzie ciężarem dla ciebie! - zażądała.

- Nie przypuszczam - Elfrida machnęła ręką.

- Pamiętaj, że bierzesz na siebie poważne zobowiązanie...

- Nigdy mi nawet nie mów takich rzeczy.

- Jak tam jest w tym domu w środku?

- Przede wszystkim zimno. Dlatego właśnie napaliliśmy w kominku.

- Mogę się tu trochę rozejrzeć?

- Oczywiście.

- To ma być kuchnia?

- Tak. Żałosna, prawda?

- Ale za to jaka słoneczna! O, tam jest Oskar... - Wybiegła przez drzwi kuchenne, wołając głośno: - Oskarze!

Tymczasem Elfrida zaniósła do kuchni przyniesiony przez Carrie koszyk i postawiła go na stole. Dołączył do niej Sam, który przyniósł duże pudło produktów spożywczych.

- To wszystko na piknik? - spytała, oszołomiona.
- Na bardzo uroczysty piknik. Gdzie mam to postawić?
- Obok tego koszyka. Gdzie jest Rory?
- Próbuje coś zrobić ze starym samochodem majora, bo taki gruchot przed samym frontem psuje wygląd twojej posesji. Są do niego kluczyki?

- Nie mam pojęcia.
- Możemy przynajmniej spróbować zwolnić hamulec ręczny i zepchnąć go gdzieś na bok. - Podeszedł do okna i z góry ogarnął wzrokiem ogród, skąd wracali właśnie Carrie, Oskar i Lucy. - Ależ stąd piękny widok! To dobry, solidny dom, Elfrido.
- Też tak myślę - wyznała, płonąć z dumy jak matka, której dziecko zbiera pochwały.

Wigilijny piknik w Corrydale przerodził się w ruchome święto, bo jego uczestnicy przemieszczali się z miejsca na miejsce. Najpierw napili się wina przy kominku, grzejąc się w ciepłe płonących kłód drewna, ale dzień był tak piękny, że zdecydowali przenieść się na dwór. Pierwsi do ogrodu wynieśli się Rory i Lucy, a pozostali stopniowo szli w ich ślady, wynosząc sobie krzesła kuchenne, poduszki z kanapy czy po prostu gruby koc z samochodu Sama. Mimo stosunkowo niskiej temperatury nie czuło się zimna, gdyż świeciło słońce, a ściana domu dawała dobrą osłonę od wiatru.

Carrie i Sam wykonali zadanie na medal. Przywieźli gorącą zupę zaprawioną sherry, którą pito z kubków; świeże bułeczki z szynką i angielską musztardą; tarte z bekonem i jajkami; udka kurczaka, sałatkę pomidorową, chrupiące zielone jabłka i plasterki sera Cheddar. Do tego na zakończenie podano gorącą, niedawno zaparzoną kawę z termosu.

Elfrida usiadła na poduszce, opierając się plecami o ścianę i nadstawiając twarz pod promienie słońca.

- To najlepszy piknik, w jakim kiedykolwiek uczestniczyłam! - rozmarzyła się. - To wino zaszumiło mi w głowie... Równie dobrze mogłabym znaleźć się na Majorce!

- Razem z twoim paltem z koca! - zaśmiał się Oskar.

Rory i Lucy wcześniej już zjedli swoje porcje, zabrali ze sobą wielką torbę chipsów, czekoladowy batonik i udali się na zwiedzanie domu. Potem znowu dołączyli do towarzystwa.

- Ale tu ładnie! - obwieściła Lucy.

- Tylko strasznie zimno! - uzupełnił Rory. - Musicie w pierwszej kolejności zrobić coś z ogrzewaniem, bo to istna Syberia!

- Nie przesadzaj, Rory! - zaoponowała Carrie. - Przecież ten dom stał tyle czasu pusty, a do tego zasypany śniegiem. Zresztą wiadomo, że w grudniu nie jest ciepło.

Oskar był innego zdania.

- Nie, Rory ma rację. Trzeba będzie zacząć od instalacji ogrzewania. Gdzie wy się tam znowu wybieracie?

- Chcieliśmy zabrać Horacego na spacer, na przykład na plażę, nad samą wodę.

- Pójdę z wami! - postanowił Oskar, który dotychczas siedział na kuchennym progu. Odstawił kubek i wyciągnął rękę do Rory'ego, żeby pomógł mu wstać. - Tak się najadłem, że potrzebuję ruchu. Kto jeszcze idzie z nami?

- Ja! - zgłosiła się Carrie.

- A ja nie - sprzeciwiła się Elfrida. - Nie możecie choć przez chwilę spokojnie posiedzieć? Tu jest tak błogo!

- Jeśli zaraz nie wyjdziemy, zrobi się ciemno, zanim się obejrzymy. Idziesz z nami, Samie?

- Nie, zostanę z Elfridą. Muszę tu przeprowadzić inspekcję budowlaną.

Oprowadzanie Sama Howarda po domu majora Billicliffe'a było zupełnie czym innym niż oględziny w towarzystwie Oskara, kończące się konkluzją, że obiekt nie jest w tak złym stanie, jak się obawiali. Sam natomiast podchodził do sprawy dokładniej i z praktycznego punktu widzenia. Stukał w ściany, odkręcał kurki, badał framugi okienne i gniazda elektryczne. Nie skomentował uwag Elfridy na temat prymitywnego urządzenia łazienki. Po zakończonych oględzinach oboje przeszli do salonu. Ogień wygasnął, więc Elfrida rozrzuciła żar po grzebaczem i dołożyła parę klocków drewna. Obawiała się, że

Sam w duchu nie aprobował decyzji Oskara i uznał posiadłość za nieodpowiednią do zamieszkania, skoro poczynił tak mało uwag.

- I co o tym myślisz? - naciskała.

- Uważam, że to bardzo obiecująca inwestycja, a lokalizację ma wręcz cudowną... Czekaj, niech no przyniosę coś z samochodu... Zaraz, a prąd tu jest? Dobrze byłoby zapalić światło, bo zaczyna się ściemniać.

Wyszedł, a Elfrida spróbowała włączyć światło. Niestety, lampa sufitowa świeciła słabo. Może żarówka była za słaba albo major oszczędzał także i na elektryczności? Na szczęście w pomieszczeniu znajdowały się jeszcze lampka na biurku i druga przy kominku. Zapalenie ich znacznie poprawiło sytuację. Tymczasem wrócił Sam z notatnikiem i długopisem.

- No więc postawmy sprawę jasno - zaczął Sam, kiedy usiedli razem na kanapie. Wyjął z kieszeni okulary i nałożył je. - Czy chcecie zasiedlić ten dom tak, jak jest, czy woleli-
byście go najpierw zmodernizować?

- To zależy.

- Od czego?

- Ile miałyby to kosztować.

Sam zaczął kreślić na kartkach notatnika pRowizoryczne plany.

- Dajmy na to, że zdecydowalibyście się wyburzyć tę przybudówkę z kuchnią i łazienką. Radziłbym wam to zrobić, bo są brzydkie, niepraktyczne i odcinają dostęp światła od południa. Powinniście także zburzyć ścianę rozdzielającą dwa pokoje na parterze. To tylko gipsowa ścianka działowa, nic się na niej nie trzyma, a w ten sposób uzyskalibyście jeden, duży pokój dzienny. Obecną jadalnię radziłbym przerobić na kuchnię, a od południa dobudować przeszkloną werandę. Mielibyście stamtąd piękny widok, moglibyście tam jadać, a w załomie ścian wygospodarować mały taras, żeby mieć gdzie posiedzieć w letnie wieczory.

- A co zrobić ze schodami?

- Przesunąć je pod tylną ścianę.

- A gdzie postawimy lodówkę i pralkę?

- W adaptowanej kuchni. Jest tam przewód kominowy, więc można przy nim zainstalować piec, który wytwarzałby stałe ciepło. W razie fali upałów, co rzadko się zdarza w tych stronach, wystarczy pootwierać na przestrzał drzwi i okna.

- Co z ogrzewaniem?

- Wydaje mi się, iż ten dom jest zbudowany z tak solidnego kamienia, że będzie trzymać ciepło wytworzone przez piec. W salonie macie jeszcze kominek, a w sypialniach możecie postawić elektryczne grzejniki. Do podgrzewania wody dobre są elektryczne termy, a w razie awarii prądu będziecie mieli podgrzaną wodę z węzownicy pieca.

- Dobrze, a co byś radził zrobić z tą łazienką?

- Nad werandą wybudowałbym całkiem nową.

- Tylko że Lucy też musiałyby z niej korzystać.

- O co ci chodzi?

- Ta mała sypialnia, którą przeznaczylismy dla niej, jest bardzo ciemna.

- Jeżeli zlikwidujecie starą łazienkę i korytarz, zyskacie południową ścianę, gdzie będzie można wybić dodatkowe okno.

Elfrida przyglądała się jego pobieżnym szkicom, wykonanym od ręki na żółtych kartkach notatnika, i podziwiała Sama, że tak szybko umiał znaleźć wyjście z każdej sytuacji. Nawet spodobał jej się pomysł urządzenia jednego, otwartego pokoju na parterze. Wyobrażała już sobie, jak będą tam siadywać z Oskarem przy kominku, mając bezpośredni dostęp do nowoczesnej kuchni.

- A przedpokój? - zaryzykowała.

- Zlikwidujcie, bo tylko tworzą się tam przeciągi. Wystarczającą izolację od zewnątrz zapewnią podwójne szyby w oknach i szczelne drzwi.

Elfrida ze zdenerwowania obgryzała paznokcie, w końcu zdecydowała się zapytać:

- Wszystko to pięknie, ale ile to będzie kosztowało?

- Prawdę mówiąc, nie wiem dokładnie.

- Ale czy więcej niż osiemdziesiąt tysięcy?

Sam roześmiał się, aż twarz komicznie skurczyła mu się w uśmiechu.

- Nie, nie sądzę, żeby to miało kosztować aż tyle. W końcu

nie przebudujecie gruntownie tego domu, tylko go zmodernizujecie. Najważniejsze, że konstrukcja dachowa jest mocna i nie widać nigdzie wilgoci, ale na wszelki wypadek dobrze będzie poprosić o konsultację inspektora nadzoru budowlanego. Radziłbym również wymienić instalację elektryczną. Nawet w najgorszym wypadku osiemdziesiąt tysięcy powinno wystarczyć z nadwyżką. A co, masz akurat tyle?

- Jeszcze nie mam, ale mogę mieć. Widzisz, nie mówiliśmy ci o tym, ale Jamie Erskine-Earle wycenił mój stary zegar i okazało się, że to cenny antyk, który dla kolekcjonera byłby wart sporo pieniędzy. Poprosiłam go więc, aby go dla mnie sprzedał.

- Równo za osiemdziesiąt tysięcy?

- Jamie powiedział, że może nawet więcej, góra osiemdziesiąt pięć.

- No to możesz śmiało iść na całość. Cieszę się, że nie będziesz miała z tym problemów.

- Będziemy musieli zaangażować architekta do opracowania planu, wyrobić zezwolenie budowlane...

- Zaraz, przecież Janet Sinclair, żona doktora, jest architektem! To nawet lepiej, bo mieszka na miejscu, więc poleci wam najlepszych fachowców od prac budowlanych.

- Jak długo może potrwać taki remont?

- Nie wiem dokładnie, ale przypuszczam, że około sześciu miesięcy.

- Dopóki ten dom nie zostanie doprowadzony do stanu używalności, będziemy musieli pozostać w budynku Zarządu Majątku.

- To chyba jasne.

- Ale co ty wtedy zrobisz? Przecież chciałaś wprowadzić się do naszego domu.

- Mogę zaczekać. Na pewno nie mam zamiaru wyrzucić was na bruk.

- To gdzie będziesz mieszkać, jeśli rozpoczniesz pracę w Buckly?

- Jakoś dam sobie radę.

Elfrida wpadła na świetny pomysł, a że zawsze była impulsywna - od razu postanowiła zdradzić go Samowi.

- Przecież możesz na razie mieszkać z nami! I tak już masz u nas swój pokój, więc co szkodzi, żebyś tam pozostał?

Któryś już raz Sam się roześmiał.

- Lepiej zastanów się dobrze, zanim wyskoczysz z czymś takim.

- Nad czym mam się zastanawiać?

- No, możesz zmienić zdanie. I najpierw musisz porozumieć się z Oskarem, bo jemu to nie musi się spodobać.

- Och, Oskar byłby szczęśliwy, gdybyś zamieszkał z nami, tak samo jak i ja. Dla mnie byłoby to nowe zajęcie, bo w życiu byłam już podrzędną aktorką, kelnerką, kiedy nie miałam angażu, kochanką i hafciarką poduszek, ale nie zajmowałam się jeszcze prowadzeniem gościnnego domu. Zgódź się, proszę, bo to tak, jakby ten dom był ci od dawna pisany!

- W takim razie zgadzam się, oczywiście pod warunkiem, że Oskar też się zgodzi. Dziękuję ci, Elfrido.

Zanim Oskar i Carrie wrócili ze spaceru, słońce zaczęło się już chować za linię horyzontu. Pierwszy do domu wpadł Horacy, bo bardzo chciało mu się pić.

- Jak tam było? - spytała Elfrida, szukając w kredensie odpowiedniej miski dla psa.

- Cudownie! - opowiadała Carrie, odwiązując z szyi szalik. - Znaleźliśmy takie urocze miejsce! Tyle tam było różnych ptaków, kaczki, kormorany, mewy... A jak wam tu poszło?

- Och, Sam jest genialny. Właściwie narysował nam już plany przebudowy. Popatrz, Oskarze, tu nie będzie dużo do zrobienia, tylko coś rozwalić, a dobudować co innego. Nie rób takich wielkich oczu, bo to wszystko jest bardzo proste. Janet Sinclair sporządzi nam odpowiedni plan. Potrzebny będzie przegląd techniczny i wymiana instalacji, ale Sam sądzi, że wszystko jest raczej w dobrym stanie. Zresztą zobacz sam.

Rory i Lucy wrócili dopiero pół godziny później. Tymczasem Oskar zdążył zapoznać się z propozycjami Sama, przedyskutować je i ostatecznie wyrazić zgodę. Carrie też spodobały się jego pomysły.

- Wiesz, że do takiego małego domku nawet pasuje jedno duże pomieszczenie na parterze? Ileż to więcej światła i prze-

strzeni! Samie, mądry z ciebie facet. Skąd wiesz tyle o burzeniu ścian i planowaniu przebudowy?

- Przez ostatnie dwa miesiące siedziałem po uszy w planach, projektach i mapkach geodezyjnych. Musiałbym być idiotą, żeby się czegoś przy tym nie nauczyć.

Zrobiło się już prawie ciemno, więc Carrie spojrzała na zegarek i zaproponowała powrót do Creagan. Lucy musiała przecież dokończyć dekoracji stołu na świąteczną kolację, a ona sama chciała ugotować coś naprawdę pożywnego na dzisiejszy wieczór.

- Wybieramy się na pasterkę, Elfrido? - zagadnęła.

- Oskar chyba nie, ale ja tak.

- Ja też, i Sam, i Lucy. Przed nami długi wieczór, więc chyba kolację zjemy później.

- A może byśmy zagrali w karty? - zaproponował Oskar. - Znalazłem kilka talii w dolnej szufladzie biblioteczki. Umiecie grać w kanastę trzema taliami?

- Wiem, to się nazywa samba - przypomniał sobie Sam. - Ostatnio w Nowym Jorku panowała wielka moda na tę grę.

- Aleja nie umiem w to grać! - poskarżyła się Lucy.

- To nic, będziesz grała ze mną, a ja cię nauczę - obiecał Sam.

Nie pozostało już nic więcej, tylko spakować resztki, pozierać czapki i rękawiczki, no i szykować się do odjazdu. Uczestnicy pikniku podzielili się na dwie grupy. Sam zabrał ze sobą Carrie, Lucy i Rory'ego, natomiast Elfrida i Oskar z Horacym zostali jeszcze, aby dobrze pozamykać dom. Na razie wyszli tylko, aby odprowadzić odjeżdżających do bramy.

Dochodziła dopiero czwarta po południu, ale zapadał już zmierzch i na szafirowym niebie ukazał się księżyc na nowiu, przypominający kształtem rzesę. W wieczornym świetle oświetlone szczyty wzgórz błyszcząły, a odpływ wysysał wodę z zatoki, odsłaniając plaże i ławice piaskowe. Nad brzegiem unosiły się jeszcze kuliki, ale inne ptaki już zamilkły.

Wkrótce z pola widzenia znikły nawet tylne światła land-rovera discovery. Oskar i Elfrida czekali przy drzwiach, dopóki było słyhać warkot jego silnika.

- Nie chcę jeszcze stąd wyjeżdżać! - zarzekła się Elfrida. -
W ogóle nie chcę, żeby ten dzień się skończył!

- Przecież możemy jeszcze trochę tu zostać.
- Gdybym miała herbatę, moglibyśmy się napić.
- Napijemy się już w domu.

Oskar, zmęczony, ciężko opadł na kanapę w tym samym miejscu, gdzie przedtem siedział Sam Howard. Czuł, że nieco przesadził z długością spaceru. Elfrida usiadła naprzeciw niego, dołożyła do ognia ostatnie polano i grzała zmarznięte ręce przy płomieniach.

- Zamieszkaamy tutaj, prawda, Oskarze? - upewniała się.

- Jeśli tylko zechcesz.

- Ja tak, ale czy ty zechcesz?

- Tak, choć przyznaję, że miałem pewne obiekcje. Jednak teraz, kiedy Sam zapoznał mnie ze wszystkimi możliwościami, zobaczyłem ten dom w zupełnie innym świetle i myślę, że to jest właśnie to.

- Jakie to frapujące - tak zaczynać wszystko od początku!
Uwielbiam zapach świeżego tynku i farby!

- A skąd weźmiemy meble?

- Na razie wystarczy nam to, co jest, a z czasem będziemy dokupywać różne ładne rzeczy. Najważniejsze, żebyśmy urządzili sobie ten dom tak, jak chcemy, żeby był ciepły, jasny i przestronny. Najważniejszy jest dobry piec. Nie mogę sobie wyobrazić, jak major Ełillicliffe wytrzymał taki ziąb.

- To był człowiek starej daty, wychowany tak, że musiała mu wystarczyć gruba tweedowa marynarka i wełniane ka-lesony.

- Mam nadzieję, że ty nigdy nie będziesz taki. Nie zniosłabym, gdybyś zaczął nosić długie wełniane gacie!

- W dobrych układach może nie będę.

Cienie kładły się coraz dłuższe, a drzewa za oknem stapały się z ciemnością.

- Chyba musimy już jechać - westchnęła Elfrida. - Nie mam sumienia obarczać wszystkim Carrie...

Tym razem jednak zaoponował Oskar.

- Zaczekaj. Chciałbym z tobą pomówić.

- O czym?

- O nas.

- Jak to?... - Elfrida chciała powiedzieć, że przecież przez cały dzień nie rozmawiają o niczym innym, ale Oskar nie dał jej skończyć.

- Posłuchaj mnie, proszę.

Wymówił te słowa z taką powagą i naciskiem, że wstała z fotela i przesiadła się na kanapę obok niego. Wtedy Oskar położył swą rękę na jej dłoni, jak zrobił już kiedyś, zaraz po śmierci Glorii i Franceski.

- Słucham, słucham - ponagliła go.

- Dziś posunęliśmy się o krok naprzód, podjęliśmy ważne zobowiązanie. Postanowiliśmy zainwestować w ten dom, aby razem w nim mieszkać. W przewidywalnej przyszłości dołączy do nas jeszcze Lucy. Czy nie uważasz, iż najwyższy już czas, żebyśmy się pobrali? Wiem, że to tylko formalność, bo chyba trudno być bardziej mężem i żoną, niż już jesteśmy, ale co szkodzi przypieczętować nasz związek? Nie w sensie moralnym, lecz jako zabezpieczenie na przyszłość.

Elfridzie zrobiło się głupio, gdyż poczuła, że jej oczy napełniają się łzami. Uwolniła rękę i zaczęła gorączkowo szukać chusteczki, bo przypomniała sobie własne słowa, jak to starsi ludzie od płaczu brzydą...

- Ależ, Oskarze, to zupełnie niepotrzebne - zaprotestowała. - Przecież tak mało czasu upłynęło od śmierci twoich najbliższych! Chyba nie zdążyłeś jeszcze dojść do siebie. A o moją przyszłość nie masz się co martwić, bo nie należę do osób, które przykładałyby wagę do formalności. Chętnie zostanę z tobą do końca moich dni, a nie chciałabym, abyś myślał, że musisz się ze mną ożenić...

- Absolutnie nic takiego nie myślę. Kocham cię i szanuję taką, jaka jesteś, i nie dbam o to, co ludzie powiedzą. Wiem tylko jedno, że pomogłaś mi rozpocząć nowe życie i uczynić te ciężkie chwile, jakie przeżyłem, nie tylko znośnymi, ale nawet radosnymi. Wniosłaś radość w moje życie i nie zamierzam tego utracić. Już dawno powiedziałem ci, że potrafisz mnie rozweselić, a okazało się, że potrafiłaś także mnie rozkochać. Proszę cię, wyjdź za mnie, bo nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Gdybym nie zeszywniał z tego zimna, ukląkłbym przed tobą!

- Nie chcę, abyś robił takie rzeczy! - Elfrida wreszcie znalazła chusteczkę, więc wydmuchała nos. - Natomiast, owszem, chciałabym wyjść za ciebie. Dziękuję ci, że mi to zaproponowałeś.

Odłożyła chusteczkę, więc Oskar mógł znowu wziąć ją za rękę.

- A więc jesteśmy zaręczeni. Czy mamy rozgłosić tę radosną wieść, czy zachować ją dla siebie?

- Na razie lepiej tego nie rozgłaszajmy.

- Masz rację, teraz i tak dzieje się zbyt dużo. Poczekajmy, aż miną święta, a wtedy pojedziemy do Kingsferry, kupię ci pierścionek z brylantem i obwieścimy całemu światu o naszym szczęściu.

- Jeśli mam być szczerą, nie przepadam za brylantami.

- A jakie kamienie lubisz?

- Może być akwamaryn!

Oskar roześmiał się, pocałował ją i mogliby tak siedzieć w nieskończoność, ale wypaliła się ostatnia kłoda i po zachodzie słońca zrobiło się zimno. Oznaczało to, że czas się zbierać. Na zewnątrz błyskawicznie się ochłodziło, jakby wróciła zima. Północny wiatr poruszał bezlistne gałęzie buka rosnącego naprzeciw bramy.

Elfrida, z rękami w kieszeniach, rozejrzała się dookoła. Na niebie wzeszedł już księżyc i ukazała się pierwsza gwiazda.

- Wrócimy tu - powiedziała w przestrzeń, nie wiadomo, do kogo.

- Oczywiście - przytaknął Oskar, biorąc ją pod rękę. Z Horacym u nogi szli razem zwirowaną ścieżką w błękitnym świetle księżyca.

Z dziennika Lucy:

Wigilia Bożego Narodzenia. Dochodzi ósma wieczorem, a mamy jeszcze masę roboty. Muszę jednak zanotować to wszystko, co się zdarzyło, aby to uwiecznić. A zdarzyło się wiele!

Najgorszy był wczorajszy telefon od mamy z wiadomością, że wyszła za Randalla Fischera. Dla mnie oznaczało to zupełny

koszmar, bo nie mogłam sobie wyobrazić innej możliwości niż wyjechać do Ameryki i stracić wszystkich przyjaciół albo zostać z babcią w Londynie. I tu, i tam tylko bym przeszkadzała i czuła się niepotrzebna. Z rozpaczy wpadłam w histerię i nawymyślałam Carrie. Na szczęście wszystko dało się odkręcić.

Chwała Bogu, że znalazło się wyjście z tej sytuacji. Będę mogła zostać w Creagan z Elfridą i Oskarem, przynajmniej na razie, i chodzić tam do szkoły. To Rory poradził im, żeby tak zrobili. Całe szczęście, że mieliśmy czas porozmawiać o tym, kiedy podłączał mi telewizor. Dzięki temu dowiedział się tego, o czym nikt inny nie wiedział. Myślę, że jest moim najlepszym przyjacielem. W połowie tego miesiąca wybiera się do Nepalu i bardzo to przeżywa. Będzie mi go brakowało, ale w sierpniu ma być z powrotem. Wtedy, żeby nie wiem co, muszę się z nim zobaczyć. Do tego czasu skończę już piętnaście lat, a to zawsze poważniej brzmi niż czternaście.

Dziś rano obudziłam się więc z lekkim sercem. Carrie zadzwoniła do babci i powiedziała jej o naszych planach, a ona bez problemu się zgodziła! Zadzwoniła także do mAmy na Florydę i ją też przekonała. Ja też rozmawiałam z mamą, ale musiałam uważać, żeby nie okazywać zbyt wielkiego zachwytu, bo mogła się jeszcze obrazić i zmienić zdanie.

Potem przyszedł Rory, zabraliśmy pRowiant na piknik, a Sam zawiózł nas do Corrydale. Zawsze chciałam zobaczyć to miejsce. Do tego jeszcze była piękna pogoda, bezchmurne niebo i bez wiatru, a więc całkiem ciepło. Nowy domek Oskara jest uroczy, widać stamtąd wysokie drzewa, zatokę i wzgórze. Przede wszystkim jednak panuje tam nieprawdopodobny spokój - oprócz śpiewu ptaków nie słychać innych dźwięków. Domek jest nieduży i mocno zaniedbany, poza tym nie ogrzewany, ale kiedy Oskar napalił w kominku, - zaraz zrobiło się przytulnie. Są tam tylko dwie sypialnie, a ta mniejsza, która ma być dla mnie, jest trochę ponura, ale Elfrida obiecuje, że w pRowadzą pewne myśłów i kiedy je zrealizuje - będzie naprawdę pięknie. Jest tu ogród, chociaż strasznie zachwaszczony, a nawet rodzaj małego tarasu, gdzie urządziliśmy piknik. Elfridą powiedziała mi, że w sąsiedztwie mieszka rodzina Cowperów, którzy też

mają dzieci. One chodzą do szkoły w Creagan, więc po feriach będą mogła zabierać się razem z nimi.

Wróciliśmy z Samem, odwieźliśmy Rory'ego na plebanię i dopiero wtedy pojechaliśmy do domu. Carrie zrobiła na kolację pyszną potrawę, która nazywa się tortilla, ma w środku ziemniaki, pory, jajka, bekon i masę innych dobrych rzeczy. Zanim ją przygotowała, nakryłam już stół do świątecznej kolacji. Postawiłam na nim świece, trzaskawce, miseczki z czekoladkami i ładnie ułożyłam serwetki. Pośrodku stołu umieściłam wazę z gałązkami ostrokrzewu, co wygląda naprawdę świątecznie, a kiedy jeszcze rozпали się w kominku - będzie zupełnie jak na pocztówce!

Teraz mAmy zamiar grać w karty, żeby nam się wieczór nie dłużył, bo wybieramy się na pasterkę. Tylko Oskar nie chce iść z nami.

Nie wiem, jak długo to potrwa, zanim będzie można wprowadzić się do Corrydale, bo jest tam jeszcze mnóstwo do zrobienia. Chciałabym latem już tam mieszkać, ale Elfrida mówi, że to się zobaczy. Zresztą tutaj też jest ładnie, tym bardziej że Sam na razie będzie z nami mieszkał.

Wprost nie mogę uwierzyć, że jednego dnia mogłam tak rozpacać, a już nazajutrz czułam się taka szczęśliwa!

Najbliższą notatkę w moim pamiętniku umieszczę dopiero po świętach.

Elfrida próbowała ułożyć w wachlarzyk trzymane w ręce karty, a jednocześnie zdecydować się, którą z nich wyrzucić. Pozbyła się już dwójek i trójek, ale nie mogła dociec, czy Carrie ma w ręku jakąś parę, a jeśli, to jaką? W talii znajdowało się zbyt dużo kart, aby mogło jej to w czymś pomóc, tym bardziej że zbliżali się już do końca gry. Jeśli Carrie będzie mogła wziąć kartę z talii - Elfrida i Sam przegrają.

- No, wychodź już, Elfrido! - ponaglał ją Oskar, zniecierpliwiony oczekiwaniem. - Zdecyduj się i wyrzuć coś, czego nie jotrzebujesz.

Zacisnęła więc zęby, wyrzuciła ósemkę kier i z niepokojem izeknęła na triumfalny okrzyk Carrie. Ta jednak tylko potrząsnęła głową, więc Elfrida odetchnęła z ulgą. Źle znosiła napięcie

nerwowe i pomyślała, że gdyby nie wybierała się do kościoła - chętnie strzeliłaby sobie dużego drinka.

Dziesięć po jedenastej trwało jeszcze ostatnie rozdanie. Pod względem punktacji pRowadzili Sam i Elfrida, ale napięcie utrzymywało się, dopóki na stole nie znalazła się ostatnia karta. Elfrida nie grała w sambę od czasów, kiedy żył Jimbo. Wówczas z dwójką innych znajomych często grywali wieczorami. Zdążyła już zapomnieć części zasad, a pewne posunięcia przypomniały się jej dopiero w trakcie gry. Oskar i Sam grali jak starzy wyjadacze, natomiast Carrie i Lucy dopiero się uczyły. Carrie w lot pojęła prawidłą samby, a Lucy grała razem z Samem, który cierpliwie objaśniał jej zagrania, a przy ostatnim rozdaniu pozwolił jej samodzielnie decydować, które karty wyrzucić. Nie złościł się jednak, gdy dokonywała błędnego wyboru.

Carrie wzięła dwie karty, dołożyła do trzymanyh w ręce i z nimi mogła już zakończyć grę, ale musiała coś wyrzucić. Oskar chrząknął z zadowoleniem, gdy odrzuciła czwórkę pik.

- Spróbuj to podnieść, Samie, a uduszę cię gołymi rękami! - zagroziła żartobliwie.

- Chciałbym, ale nie mogę.

- Zostały jeszcze tylko cztery karty! - zauważyła Lucy.

- Weź dwie i zobaczymy, co tu mamy - pouczył Sam. - Jeśli oni skończą pierwsi, wygrają.

Tymczasem z półpiętra dobiegł dzwonek telefonu.

- Niech to diabli! - zaklął Oskar. - Co za dureń dzwoni o tej porze?

- Ja odbiorę - zaofeRowała się Elfrida.

Jednak Oskar pierwszy odłożył karty, podniósł się, szybkim krokiem wyszedł z pokoju i zamknął drzwi za sobą, ale słychać było, jak mówił: „Tu Zarząd Majątku, słucham?” Oczywiście nie dało się stąd usłyszeć odpowiedzi jego rozmówcy, ale zaraz Oskar rzucił w słuchawkę parę słów i po chwili wrócił na swoje miejsce i pozbierał karty.

- Kto to był? - spytała z ciekawości Elfrida.

- Jakaś pomyłka.

- Jeśli wiedziałeś, że to pomyłka, to po co podchodziłeś do telefonu? - Sam odświeżył stary kawał, a Lucy zachichotała.

Rozdanie skończyło się nierozegraną, gdyż wszyscy wyczerpali wszystkie dostępne karty. Jednak Sam podliczył łączną punktację i oznajmił, że na punkty zwyciężyli on i Elfrida. Zaznaczył przy tym, że spodziewa się ze strony Oskara hojnej nagrody.

- Nie licz na to! - wymówił się Oskar. - Miałeś po prostu szczęście i karta ci szła, ale nie jesteś wcale lepszy ode mnie.

Odłożył karty i wstał od stołu.

- Teraz idę z Horacym na spacer - zaanonsował.

Elfrida spojrzała na niego ze zdziwieniem. Oskar nieraz przed zaśnięciem wypuszczał Horacego do ogrodu, ale nigdy o tej porze nie zabierał go na dłuższy spacer.

- Dokąd się wybierasz? Na plażę?

- Sam jeszcze nie wiem, ale czuję, że muszę zaczerpnąć świeżego powietrza i rozprostować nogi, więc równie dobrze Horacy może mi towarzyszyć. Jeśli nie wrócę przed waszym wyjściem, zostawcie otwarte drzwi. Lucy, pamiętaj, że masz pięknie śpiewać!

- Postaram się - obiecała.

Oskar wyszedł, zamykając drzwi za sobą, a Elfrida nie posiadała się ze zdziwienia.

- Coś podobnego! Przecież nałykał się dziś tyle świeżego powietrza, że wystarczy mu na tydzień!

- Daj spokój, Elfrido! - mitygowała Carrie, próbując uporządkować karty według koloru koszulek. Rozkładała na trzy oddzielne kupki karty z koszulką czerwoną, niebieską i w kwiatki. - Pomóż mi, Lucy. Możesz układać na przykład te w kwiatki. Cóż to za wspaniała gra! Najlepszy jest moment, kiedy niepostrzeżenie przechodzi się z samby w kanastę. Najtrudniejsze jest podliczanie punktów. Musisz zapisać mi zasady, Samie, żebym się nauczyła.

- Dobrze, chętnie.

Uporządkowane karty złożono w trzy równe talie i schowano. Elfrida obeszła pokój dookoła, poprawiła poduszki i zbierała gazety z podłogi. Ogień już przygasał, ale nie podsycała go, tylko obserwowała, jak żar rozsypuje się w popiół.

- Nie trzeba się zbyt długo grzebać, bo możemy nie znaleźć

miejsca! - przestrzegają. - Na pasterkę zwykle przychodzi tłumy.

- Zupełnie jakbyśmy wybierali się do teatru - zauważyła Lucy. - Czy w tym kościele jest zimno? Mam wziąć kurtkę?

- Oczywiście, i ciepłe buty też.

W swojej sypialni Elfrida przyczesła włosy, uszmiłowała usta i spryskała się perfumami. Wyjęła z szafy swoje palto z koca i czapkę w kształcie pokrowca na czajnik. Usiadła na łóżku, aby nałożyć buty podbite futrem. Przygotowała jeszcze trochę drobnych na tacę, rękawiczki i chusteczkę do nosa, na wypadek, gdyby atmosfera podczas śpiewania kolęd wzruszyła ją do łez. Kiedy była już gotowa, krytycznie oceniła swoje odbicie w lustrze. Doszła do wniosku, że, jak przystało na przysłą panią Blundell, wygląda szalenie.

Oto jestem, Panie Boże, i dziękuję Ci - pomyślała.

Wychodząc, zajrzała jeszcze do kuchni, aby sprawdzić, czy wszystko jest przygotowane na jutrzejsze święto i czy przypadkiem nie zostawiła zapalonego gazu lub czajnika na ogniu, co często jej się zdarzało. Zauważyła przy tym, że Horacy leży w swoim koszyku.

- Horacy, co tu robisz? - zdziwiła się. - Pan miał wziąć cię na spacer!

Horacy tylko patrzył na nią i tak merdał ogonem, że objął go o brzegi koszyka.

- Niedobry pan, zostawił pieska?

Horacy tylko przymknął oczy.

- A nie wiesz, gdzie on poszedł?

Tego pies już nie mógł jej powiedzieć.

Elfrida wróciła więc jeszcze raz na górę i zajrzała do salonu. Zawołała Oskara po imieniu, ale odpowiedziała jej cisza. Salon był pusty, ciemny, wszystkie światła wyłączone.

Na półpiętrze zastała Sama, który właśnie wkładał granatowy płaszcz.

- Oskar gdzieś znikł! - zaalarmowała go.

- Przecież miał pójść na spacer z Horacym - przypomniał jej Sam.

- O to chodzi, że Horacy jest w kuchni, w swoim koszyku. Tajemnicza sprawa!

- Pewnie Oskar wymknął się na jednego do baru! - roześmiał się Sam.

- No wiesz, co za pomysł!

- W każdym razie jest dorosły i nie musisz się o niego martwić.

- Wcale się nie martwię. - Mówiła nawet szczerze. - Tylko ciekawam, gdzie on mógł się podziać.

Tymczasem z poddasza zbiegła Lucy.

- Już jestem gotowa. Czy mam wziąć drobne na tacę?

- Oczywiście, a masz?

- Pięćdziesiąt pensów wystarczy?

- Aż nadto. Gdzie jest Carrie?

- Jeszcze się szykuje.

- Wiesz co, Lucy? Chodźmy pierwsze, to zajmiemy ławkę dla wszystkich. Samie, zaczekasz na Carrie i pójdziesz z nią.

- Nie ma sprawy.

Elfrida i Lucy zbiegły na dół i z podestu schodów Sam słyszał, jak najpierw otworzyły, a potem zamknęły ciężkie drzwi od frontu. Czekając na Carrie, słyszał także ściszone odgłosy dochodzące z jej pokoju - otwieranych szuflad, zamykanych drzwi szafy... Nie denerwował się, bo wiele razy w życiu przychodziło mu czekać na różne kobiety. To siedział przy barze, to przechadzał się po foyer teatralnym albo zajmował stolik w małej włoskiej restauracji. Nie pamiętał już, ile razy czekał na Deborę, która zawsze się wszędzie spóźniała. Nie dziwił się więc, że w pustym domu, który w przyszłości miał należeć do niego, czekał teraz na Carrie.

- O, Samie, czekasz na mnie? - Zamykając za sobą drzwi pokoju, dostrzegła go, co ją nieco zaskoczyło. - Przepraszam, nie mogłam znaleźć apaszki!

Miała na sobie ten, co zawsze, płaszcz z lodenu, futrzaną czapkę i kozaczki, a na smukłej szyi zamotaną nieszczęsną apaszkę, całą w różowościach i błękitach. Nieraz już widział ją w tym stroju, ale dziś wydała mu się tak piękna jak nigdy dotąd.

- Gdzie tamci? Poszli już?

- Tak - odpowiedział Sam i położył jej ręce na ramionach. Przycisnął ją do siebie i pocałował, co chciał zrobić od dawna,

chyba już od tej pierwszej nocy, kiedy otworzyła mu drzwi. Potrwało więc długo, zanim dopiął swego, ale kiedy odsunęli się od siebie - zobaczył na jej twarzy uśmiech, a w oczach błysk, jakiego jeszcze nie widział.

- Wesołych świąt! - powiedział, aby coś powiedzieć.
- Wesołych świąt, Samie. Czas już na nas.

Elfrida i Lucy przeszły na drugą stronę ulicy. Rynek był już rzęście oświetlony, ze wszystkich stron nadjeżdżały samochody i schodzili się piesi. Zanosiło się, że kościół będzie przepełniony. Znajomi pozdrawiali się już z daleka.

- Elfrido! - zawołał ktoś także i na nią. Obie z Lucy zatrzymały się i zobaczyły za sobą Tabithę, która w towarzystwie Rory'ego i Clodagh schodziła właśnie stromą uliczką od strony plebanii.

- Jak się masz! Myślałam, że przyjdziemy za wcześnie, ale widzę, że wręcz przeciwnie. Dawno nie widziałam tyle narodu w jednym miejscu...

- Miło popatrzeć, prawda? - Tabitha miała na sobie palto w szkocką kratę, a na szyi czerwony szalik. - Tu u nas zawsze tak wygląda. Ludzie zjeżdżają się z daleka... Tyle że w tym roku mamy pewne trudności. Alistair Heggie, nasz organista, złapał grype, więc nie będziemy mieli przyzwoitej muzyki.

- No wiesz! - Elfrida była wstrząśnięta. - Mamy śpiewać kolędy bez akompaniamentu? Niemożliwe!

- Może nie całkiem bez, bo znajomy Petera, Bill Croft, który pracuje w telewizji, poratował nas i zainstalował potężny głośnik, żebyśmy mogli puszczać muzykę z taśmy. Nie jest to całkiem to, co być powinno, ale lepszy rydz niż nic.

- Dla Petera musi to być ciężki cios.

- No, ale co na to poradzisz? Chodźmy, to może zajmiemy sobie ławkę.

Przeszli na drugą stronę rynku do otwartych bram kościelnego dziedzińca, stamtąd wąską ścieżką do kamiennych schodów i dwuskrzydłowych drzwi kościoła, które dziś stały otwarte na oścież. Światło żyrandoli padało na płyty dziedzińca, a ze środka dobiegał nagrany na taśmę śpiew chóru:

*Mędracy świata, monarchowie,
gdzie spiesznie dążycie?*

Akompaniament do tej kolędy brzmiał nieco martwo i metalicznie, jakby był odtwarzany z płyty. Nie pasowało to zbyt do tak uroczystej okazji. Z taśmy akurat leciała kolęda:

Gdy się Chrystus rodzi...

gdy nagle muzyka się urwała i zapanowała cisza. Albo nawalił magnetofon, albo ktoś nieumyślnie wyłączył prąd...

- Chryste, chyba głośnik nie dostał grypy? - nie wytrzymał Rory.

W tym momencie nawę kościoła przepełnił dźwięk organów. Głośne akordy rozlegały się nawet na zewnątrz, lepiej słyszalne w ciszy nocnej.

Elfrida zmartwiała. Spojrzała na Tabithę, lecz w jej rozszerzonych oczach mogła wyczytać tylko czyste zdumienie. Przez dłuższą chwilę żadna z nich nie wiedziała, co powiedzieć. W końcu odezwała się Elfrida:

- Czy Peter dzwonił do Oskara mniej więcej kwadrans po jedenastej?

- Nie mam pojęcia - wzruszyła ramionami Tabitha. - Chodźcie, dzieciaki, może znajdziemy jakieś miejsce siedzące.

Szybko ruszyła naprzód, z dwojgiem swoich dzieci i Lucy następującą im na pięty. Po krótkim wahaniu Elfrida podążyła za nią. Sympatyczny pan z brodą zdawał się czekać na nią, gdyż powiedział: „Dobry wieczór, pani Phipps” i wręczył jej śpiewnik. Wzięła go machinalnie, ani nie dziękując, ani nie zaglądając do środka. Kiedy dostała się do głównej nawy, była ona już prawie zapełniona. Wspólnota parafialna rozsiadła się na swoich miejscach, oglądając się za siebie lub plotkując z sąsiadami. Nad nimi rozbrzmiewała muzyka, odbijając się echem od sklepienia i ścian nawy. Elfrida przeszła środkowym przejściem, po czerwono-niebieskich flizach posadzki, jakby wchodziła we wzburzoną toń oceanu dźwięków.

Czyjaś ręka dotknęła jej ramienia. Była to Lucy.

- Elfrido, chodź do nas, trzymamy miejsca dla ciebie, Carrie i Sama.

Nie zareagowała na ten sygnał.

W samym środku prezbiterium, między amboną a pulpitem do czytania lekcji, stała bogato ubrana choinka. Za nią, przy północnej ścianie kościoła, wznosiły się piszczałki organowe. Krzesło dla organisty było ukryte w dębowej stalli przed wzrokiem parafian siedzących w ławkach, ale Elfrida stała. Z wyżyn swojego wzrostu widziała głowę grającego, jego profil i gęste, siwe włosy w artystycznym nieładzie.

Oskar Blundeł grał *Odę do radości* Beethovena. Wkładał w tę grę całe serce, bo czuł, że pojednał się z Bogiem i wrócił tam, gdzie jego miejsce.